

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

Dragonlance Saga Cykl Bohaterowie tom pierwszy Richard A. Knaak Legenda o Humie
Prolog

Bardzo rzadko zdarza się, bym ja, Astinus, naczelny historyk Krynnu, dołączył do mych kronik osobisty przypisek. W ostatnich czasach uczyniłem to jedynie jeden raz, a mianowicie wtedy, gdy mag Raistlin o mały włos nie został wszechpotężnym bóstwem, silniejszym nawet niż Paladynie i Takhisis. Aczkolwiek mu się nie powiodło - w przeciwnym razie zapewne nie pisałbym tych słów - była to jednak porażka godna upamiętnienia.

Pisząc komentarz do tego incydentu, zdałem sobie sprawę, że w poprzednich tomach moich kronik znajduje się straszliwy błąd. Charakter pisma każe mi podejrzewać, że niejaki Paulus Warius, mój asystent sprzed około trzech stuleci, który wyróżniał się raczej swą nieudolnością niż umiejętnością prowadzenia zapisków, zniszczył przypadkowo fragmenty trzech lub czterech poprzednich tomów, a następnie zastąpił uszkodzone stronicie tym, co uważał za dokładne kopie. W rzeczywistości takimi nie były.

Błąd dotyczył okresu przejściowego między epokami zwanymi obecnie Wiekiem Jasności i Wiekiem Potęgi. Na przykład, Ergoth był imperium znacznie starszym niż podaje to fałszywa historia. Vinas Solamnus w rzeczywistości objął dowództwo jego armii w roku 2692 PC, a nie czternaście stuleci później, jak twierdzą sfalszowane kroniki. Druga smocza wojna, zapisana przez Wariusa nieprawidłowo jako druga i trzecia, ponieważ trwała przeszło czterdzieści pięć lat, skończyła się w roku 2645 PC. Na poważne błędy po raz pierwszy natknąłem się w tym właśnie punkcie, gdy zajrzałem na stronicie dotyczące owych ostatnich lat celem uczynienia adnotacji dotyczącej Humy, rycerza solamnijskiego, zwykłego śmiertelnika, który stawił czoła Takhisis, bogini zła, Królowej Smoków, i zwyciężył ją. Po zakończeniu drugiej smoczej wojny miałem zamiar opisać bohaterskie czyny Humy, ale - jak zawsze się to dzieje - byłem zajęty pracą. Poświęciłem temu zadaniu więcej czasu niż początkowo było to moim zamiarem. Być może powodem był fakt, że ja również poczułem niejaką ulgę po zakończeniu owego konfliktu, jako że w pewnym momencie byłem już gotów zamknąć ostatni tom dziejów naszego świata. Szkoda byłoby wielka, albowiem w owych czasach mój zbiór składał się jedynie z kilkuset tysięcy woluminów. Już z tego jednego powodu pamiętam Humę. Jego historia na szczęście ocalała w tym tomie nienaruszona i pozwolę, by przemówiła w jego imieniu.

Astinus z Palanthas.

Rozdział pierwszy

Kierując się na północny zachód, do Kyre, armia przechodziła przez wioskę. Osada nosiła nazwę Seridan. Spustoszyły ją mór, głód i obłąd.

Wydawało się, że plagi następują jedna po drugiej. Wszystkie zabiły wielu mieszkańców. Kilkadziesiąt lat temu wioska była kwitnąca. Obecnie na miejscu budynków z cegły, które padły ofiarą śmiałych goblinów oraz plądrujących okolicę smoków ciemności, wznosiły się nędzne chałupy i prowizoryczne schronienia. Z jakiegoś powodu wioski nigdy nie zniszczono. Po prostu obracała się stopniowo w ruinę, podobnie jak ludzie, którzy usiłowali w niej mieszkać.

Pojawienie się kolumny rycerzy nie uradowało zbytnio mieszkańców. W gruncie rzeczy wydawało się, że żywią oni głęboką urazę do jeźdźców i piechurów paradujących po błotnistym szlaku, który był jedyną drogą w osadzie. Wyczerpani nieustannymi zmaganiem tubylcy mieli pretensję do rycerzy solamnijskich o ich styl życia, który - zgodnie z wyobrażeniami wieśniaków - z pewnością był lepszy od tego, czemu sami musieli codziennie stawiać czoło.

Na przedzie kolumny, prezentujący się wspaniale w kolczudze i zbroi płytowej, jechał lord Oswal z Baxtrej. Ozdobne róże widniejące na jego napierśniku mówiły, że jest członkiem tego z solamijskich zakonów, który obrał sobie za symbol ów kwiat. Powiewający za jeźdźcem fioletowy płaszcz przytrzymała klamra ozdobiona podobizną zimorodka z częściowo rozpostartymi skrzydłami i koroną nad głową. Ptak ścisnął mocno w pazurach miecz zwieńczony różą.

Większość rycerzy była odziana podobnie jak lord Oswal, choć ich zbroje były znacznie bardziej zniszczone, a płaszcze z reguły wydawały się niewyszukane w porównaniu z okryciem noszonym przez ich dowódcę. Ubiór lorda Oswala stanowił symbol jego rangi. Rycerz ów najwyższym wojownikiem, mistrzem Zakonu Róży, a obecnie również prawą ręką wielkiego mistrza, który władał całym rycerstwem.

Gdy jechali przez wieś, najwyższy wojownik obrzucił przelotnym spojrzeniem mężczyznę jadącego u jego boku. Obaj sprawiali wrażenie „odlanych z tej samej matrycy”. Upodabniały ich do siebie ostre rysy oraz długie, falujące wąsy popularne wśród rycerzy. Twarz Oswala miała jednak łagodniejszy wyraz, ze względu na wiek i pełniejsze zrozumienie świata, w którym żył, podczas gdy drugi, młodszy o ponad dwadzieścia lat, nadal żywił przekonanie, że to właśnie jego ręka zmieni ów świat. Faktycznie byli spokrewnieni. Bennett był bratankiem i synem samego Trake'a, wielkiego mistrza. Arogancja, tak widoczna na jego obliczu, wskazywała, że już teraz widzi siebie jako następcę ojca.

Lord Oswal miał nadzieję, że Bennett nauczy się do tego czasu umiarkowania. Młodzieniec uważał, iż rycerze wykonują wolę Paladine'a i

w związku z tym odniosą triumf, albowiem ich sprawa jest słuszna. Lord Oswal wiedział, że nie zawsze tak to wygląda.

Twarze młodszych rycerzy jadących w orszaku wyglądały jak starannie wypracowane, pozbawione wyrazu maski. Już wkrótce mieli oni poznać okrutną prawdę o życiu. Lord Oswal wiedział, że owi młodszy wojownicy (a także wielu starszych) nadal uważają się za bohaterów - bohaterów świata skazanego na nieuchronną zagładę.

A zwłaszcza jeden z nich - pomyślał lord Oswal. Otworzył usta, by krzyknąć: - Rennardzie! Do mnie!

Huma przyglądał się jak wysoki, niemal wychudzony mężczyzna podjechał ku przodowi kolumny. Jeśli dowódca pragnął porozmawiać z Rennardem, znaczyło to, że na coś się zanosi. Mogło to dotyczyć również Humy, albowiem wydawało się, że Rennard obserwuje go uważnie, aczkolwiek młody rycerz poznał już walkę. Być może - podobnie jak sam Huma - Rennard nadal uważał, że ma do czynienia z kimś, kogo nigdy nie powinno się przyjąć w szeregi rycerstwa.

Huma podskoczył w siodle, gdy jego rumak potknął się w błoci. Zasłona hełmu opadła z trzaskiem przed jego oczyma, co go trochę przestraszyło. Wyciągnął rękę i uniósł żelazo, pozwalając, by chłodny wiatr szczypał jego przystojną, choć lekko ogorzałą twarz. Choć wąsów nie miał tak wspaniałych, jak Bennett czy najwyższy wojownik, delikatna siwizna, która dotknęła ich przedwcześnie - podobnie jak włosów na jego głowie - dodawała mu trochę powagi. Rysy twarzy miał zaskakująco łagodne - do tego stopnia, że inni niekiedy pozwalali sobie na uwagi odnoszące się do jego młodego wieku, aczkolwiek nie wtedy, gdy był w pobliżu.

Huma nie mógł nie patrzeć na brudne, podarte szaty seridańskich kobiet i dzieci. Nawet jego zbroja, choć zniszczona i znacznie mniej zdobna od noszonej przez lorda Oswala, wydawała się wykonana ze złota w porównaniu z tym co mieli na sobie ci ludzie. Łachmany zwisały na nich luźno. Huma zastanawiał się, jak często i jak wiele jedzą. I co w ogóle jedzą, jeśli już o tym mowa. Buntownicza część jego natury pragnęła zdjąć juki z siodła i rzucić je wieśniakom. Niechby sobie

wzięli schowane tam racje żywnościowe. Zapewne byłby to najlepszy posiłek, jaki zjedli od tygodnia.

- Hej ty, trzymaj tempo! - warknął jadący za nim rycerz. Huma zdał sobie sprawę, jak niewiele zabrakło, by naprawdę oddał swe racje. Wiedział, że byłoby to sprzeczne z zasadami obowiązującymi w rycerstwie, niemniej jednak czuł silne pragnienie. By tak postąpić. Kolejny dowód na to, że się nie nadaje - pomyślał z westchnieniem. Zastanowił się, dlaczego w ogóle wyrażono zgodę na przyjęcie go w szeregi rycerzy.

Z zamyślenia wyrwał go Rennard. Podobnie jak Huma, starszy mężczyzna nosił tarczę ze znakami wskazującymi, że należy do Zakonu Korony. Rennard jednak miał wieloletnie doświadczenie i w związku z tym przyznano mu samodzielne stanowisko dowódcze. Spoza zasłony widać było tylko parę niebieskich oczu o zimnym jak lód, przeszywającym wyrazie. Widać było jedynie cień twarzy. Nawet w Zakonie Korony Rennard miał nie wielu przyjaciół.

Rycerz odwzajemnił spojrzenie Humy, po czym omiół wzrokiem całą sekcję. - Gaynor, Huma, Trilane... - wymienił warkliwym tonem osiem imion. - Opuścić szyk celem udania się na patrol.

Jego słowa nie zdradzały żadnych uczuć. Systematyczny Rennard był strategiem dużego kalibru. Trudno byłoby wyobrazić sobie lepszego dowódcę na czas walki. Mimo to jego obecność zawsze zdawała się paraliżować jakąś część duszy Humy.

- Lord Oswal chce, byśmy przeszukali martwy las rozciągający się na południu. Mogą tam być goblinowie albo nawet ogrowie. Musimy wrócić do oddziału przed zachodem słońca. - Rennard spojrzał przelotnie na wiecznie zachmurzone niebo. Nieustannie wydawało się, że zaraz zacznie padać, lecz deszcz wciąż nie nadchodził. - Zanim zapadnie całkowita ciemność. Lepiej żebyśmy nocą nie przebywali w lesie. Nie tak blisko zachodniej granicy. Zrozumiano?

Gdy rycerze odpowiedzieli twierdząco, zawrócił wierzchowca -wysokie, jasne zwierzę przypominające swego jeźdźca - i gestem nakazał mi podążyć za sobą.

Po kilku minutach na szczęście byli już daleko od Seridanu. Grunt był twardy i rumakom łatwiej było się po nim posuwać. Nie było to zaskoczeniem. Ogień zniszczył większą część lasu, ku któremu zmierzali, a także wypalił sąsiednie pola. W nadchodzących latach nie miały one zrodzić żadnych plonów.

Wszystko to czasem wydaje się całkiem bez sensu - pomyślał Huma. Gdzie się podział Paladine? Huma dziwił się, że bóg pozwala na podobne rzeczy. Spoglądał na spopielone pnie drzew mijane przez patrol. Sprawy układały się tak, że Krynn równie dobrze mógłby już teraz znaleźć się w szponach Takhisis.

Zacisnął mocno usta. Jak śmiało zwać się rycerzem, jeśli nawiedzały go podobne myśli! Gdy dotarli do pierwszego zagajnika pełnego sękatych

powykręcanych drzew, rycerze opuścili zasłony. Z daleka mogli przypominać demony, gdyż rogi albo skrzydła zdobiące boki każdego z hełmów były teraz znacznie wyraźniej widoczne. Im wyższa ranga, tym bardziej wyszukane były ozdoby. Jedyny wyjątek od tej zasady stanowił Rennard, który miał tylko grzebień biegnący od przodu hełmu w dół pancerza.

Las był kolejną nieszczęsną ofiarą pustoszącej kontynent Ansalon wojny, która zdawała się nie mieć końca. Huma zastanawiał się, jak wyglądała ta okolica, nim spustoszyły ją stwory Królowej Smoków. Martwe drzewa nadawały lasowi złowieszczy wygląd. Jadący w patrolu rycerze byli niezwykle spięci. Rozglądali się na wszystkie strony. Każdy z jeźdźców wypatrywał wrogów za poczerniałymi pniami.

Huma zacisną dłoń na rękojeści miecza. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że dostrzega jakiś ruch. Wilk? W tak zniszczonej krainie? Rycerze posuwali się dalej. Nie zauważył już żadnego ruchu.

Nerwy. W tym lesie nie było żadnego życia ani w ogóle nic poza smutkiem.

Renard uniósł rękę, każąc im się zatrzymać. Nawet on sprawiał wrażenie, że nie chce się odzywać, jak gdyby głos mógł przywołać coś niepożądanego.

- Uformujcie wachlarz. Wy czterej mojej prawej strony - powiedział, wskazując na Humę i trzech innych rycerzy. - Pozostali z lewej. Wyciągnął miecz.

Inni rycerze podążyli za jego przykładem. Zajęli pozycje. Humę dzielił od dowódcy patrolu jeden człowiek. Renard dał znak nakazujący ruszać naprzód. Rycerze utrzymywali powolne, lecz miarowe tempo.

Wśród lasu wyrastało wzgórze, jedno z nielicznych w tej okolicy. Jeśli gdzieś w pobliżu czaili się goblinowie bądź ogrowie, to z pewnością właśnie tutaj. Rennard wskazał ręką rycerza jadącego u lewego boku Humy i nakazał mu ruszyć przodem. Reszta patrolu zatrzymała się, by zaczekać. Zwiadowca zsiadł z konia i podążył ku szczytowi wzniesienia. Pozostali przyglądali się niespokojnie, jak wyrzwał na jego drugą stronę, po czym - tak szybko i cicho, jak tylko mógł - wrócił do oddziału. Huma, który trzymał wodze jego wierzchowca, podał mu je. - I co? - zapytał cicho Rennard.

- Goblinowie. Paskudy właśnie coś jedzą. To pewnie patrol maruderów. Z pewnością co najmniej dwudziestu. Chyba nie więcej niż kilka tuzinów. Rennard skinął głową z zadowoleniem. - Damy sobie z nimi radę.

Huma dziękował Paladinowi, że zasłona hełmu ukryła jego zaniepokojoną twarz. Rennard wskazał ręką na zwiadowcę, Humę i dwóch rycerzy stojących na prawo od niego.

- Omińcie wzgórze z prawej strony. My pojedziemy z lewej. Gdy usłyszycie głos sowy, ruszajcie do ataku. Humo będziesz dowódcą drugiej grupy.

Niektórzy z pozostałych poruszali się niespokojnie, lecz nikt nie miał zamiaru protestować. Huma popatrzył na zasłony hełmów swych trzech towarzyszy i bez trudu odgadł wyraz oczu każdego z nich. Omal nie poprosił, by zamiast niego dowództwo objął ktoś inny, lecz Rennard oddalał się już ze swymi ludźmi.

Huma postanowił nic nie mówić. Zawrócił swego wierzchowca. Bez względu na to, co o nim sądzili, ci trzej byli rycerzami solamijskimi. Wydano im rozkaz i wykonają go. Ku jego uldze, podążyli za nim bez szemrania.

Droga nie była długa, lecz posuwali się naprzód powoli i ostrożnie. Goblinowie byli niestaranni we wszystkich przejawach swego życia, wliczając również wojskową dyscyplinę, lecz mógł się między nimi trafić obdarzony inicjatywą dowódca, któremu przyszłoby do głowy wystawić strażę. Istoty te nie grały wielkiej roli w planach strategicznych naczelnego wodza Królowej Smoków. Były co najwyżej maruderami. Świadomość tego, jak również faktu, że ich umiejętność walki była niewielka lub wręcz żadna, bynajmniej zbytnio Humy nie uspokajała.

Nie dostrzegł żadnych wartowników. Odważył się zsiąść z konia i przyjrzeć obozowi goblinów z niewielkiego wzniesienia. Nazwać te stworzenia brzydkimi byłoby niedopowiedzeniem. Ich skóra miała niezdrowy, zielony odcień, z każdego fragmentu ust wystawały zęby, a oczy przywodziły rycerzowi na myśl żabie ślepie. Byli przysadziści i pokraczni, lecz przy tym bardzo silni. Wielu z nich dzierżyło topory, a paru dźwigało nawet prymitywne łuki. Ich zbroje wyglądały na sklecone z wszystkiego, co zdołali wyszperać na polach bitew.

Na oczach Humy jakiś goblin podbiegł do tego ze stworów, który wyglądał na wodza. Był on dwukrotnie większy i brzydszy od każdego ze swych podwładnych. Mniejszy goblin wyszeptał coś do dowódcy patrolu. Ten zeszywniał i warknął głosem wydał rozkazy.

Huma zrozumiał, co się stało. Albo nowo przybyły był strażnikiem, albo też z jakiegoś powodu

oddalił się od obozu. Tak czy inaczej, nieprzyjaciel najwyraźniej zorientował się, że z drugiej strony zbliża się Rennard wraz z pozostałymi i przygotowywał się do walki. Po kilku

sekundach z reguły niezorganizowani goblinowie ustawili się w ofensywny szyk, co - w połączeniu z elementem zaskoczenia - oznaczało, że Rennard i jego towarzyszy niemal na pewno czeka klęska. Nie było czasu wysłać kogoś, żeby ich ostrzec.

- Przygotować się! - wyszeptał Huma, wspinając się z powrotem na konia. Z mieczem w rękę zwrócił się ku pozostałym. - Atakujemy natychmiast!

- Natychmiast? - zapytał jeden z rycerzy. Wszyscy trzej popatrzyli na siebie nawzajem, a potem znowu na Humę.

Ten nie miał czasu na ich wątpliwości. Trzymając miecz i tarczę w pozycji bojowej, kopnął boki swego wierzchowca. Koń rozpoczął szarżę. Huma, wymachując mieczem nad głową, wydał z siebie okrzyk bojowy. - Paladine!

Własna odwaga przyprawiła go o szok, nie większy jednak niż goblinów. Zwrócili się jak jeden mąż w jego stronę, by stawić czoło temu niespodziewanemu niebezpieczeństwu. Rumak wdarł się w sam środek obozowiska. Miecz rycerza spadł już na najbliższego wroga. Ten uniósł swój zardzewiały pałasz, usiłując się zasłonić, lecz oręż Humy przeciął na pół broń, a potem jej właściciela.

Rycerz pragnął jedynie powalić jak najwięcej nieprzyjaciół, by dać Rennardowi i jego ludziom potrzebną im szansę. Kolejny goblin padł pod ciosem jego miecza. Reszta pognała ku samotnemu napastnikowi, naciągając łuki i unosząc piki. Wiedział, że nie zadowolą się wzięciem go do niewoli.

Nagle usłyszał za swymi plecami krzyki. Zrozumiał, że to pozostali trzej rycerze przyłączyli się do walki. Zaczął bić się z większym entuzjazmem, wiedząc, że ma jeszcze szansę na ocalenie życia. Część goblinów zaczęła uciekać przed czterema jeźdźcami. Pozostali usiłowali dokonać przegrupowania, wykonując pośpieszne rozkazy dowódcy.

Pod niebiosa wzbily się kolejne okrzyki bojowe. Huma podniósł wzrok i ujrzał Rennarda wraz z pozostałymi. Rycerze zaatakowali goblinów od tyłu. Ci z nieprzyjaciół, którzy próbowali ucieczki, padli pod potężnymi kopytami rumaków. Rennard ze spokojem skosił dwóch, którzy próbowali stawić mu czoło, po czym popędził wierzchowca naprzód. Jego ruchy wskazywały, że niemal pali się do walki.

Jednego rycerza z grupy Humy ściągnięto z siodła. Cios ciężkiego topora powalił go, zanim jego dowódca zdążył zareagować. W kilka sekund później koń Humy stratował stojącego nad swą ofiarą goblina. Odrażający stwór zdążył jedynie podnieść wzrok, zanim przednie kopyta rumaka trafiły go w głowę, roztrzaskując czaszkę.

Goblinowie wiedzieli, że są zgubieni, walczyli więc z rzadko spotykaną determinacją. Drogę ucieczki zagradało im tylko trzech jeźdźców. Huma ledwie zdołał zablokować okrutne uderzenie. Nad jego głową przemknęła strzała. Wtem powietrze zdrzało od przerażającego wycia.

Coś skoczyło na wierzchowca Humy. Rycerz kątem oka dostrzegł stwora przypominającego kształtem wilka. Podobieństwo kończyło się jednak na sylwetce. Monstrum było trupioblade, jakby obdarto je ze skóry. Żółte, ociekające śliną kły wydawały się długie jak palce mężczyzny i ostre jak igły. Nagle koń Humy zarżał głośno i zawrócił, nie zważając na sprzeciwy jeźdźca. Wyteżając wszystkie mięśnie, zwierzę umknęło z pola bitwy, ignorując trzymającego się go rozpaczliwie człowieka. Stwór zawył raz jeszcze, tuż za nim, Huma mógł jedynie ścisnąć kurczowo wodze, by nie spaść z oszalałego wierzchowca. Odgłosy walki cichły, gdy zagłębił się coraz bardziej między zwęglone pnie.

Co mogło tak przerazić nawykłego do walki rumaka? Z pewnością nie żadna naturalna bestia.

Wtem nawet ta myśl zniknęła z umysłu Huma. Jego koń przedarł się przez poczerwiałe konary skupiska drzew i rycerz przekonał się nagle, że ziemia jest bardzo daleko w dole.

Rozdział drugi

Gdy rycerz odzyskał przytomność, było już ciemno. Sierp Lunitari lśnił słabo, rzucając niewyraźną, karmazynową poświatę. Całkiem jak krew - skonstatował Huma. Jeśli Lunitari ubywa, który z dwóch pozostałych księżyców zmierza ku pełni? Solinami nie był widoczny. Jeśli rzeczywiście przybywa Nuitari, Huma się o tym nie dowie. Ciemnego księżyca nie mógł dostrzec nikt poza Czarnymi Szatami, tymi czarodziejami, którzy oddawali cześć mrocznemu bogowi magii. Nuitari był niewidoczny dla zwykłych ludzi, a być może również dla tych, którzy podążali ścieżką białej i czerwonej magii.

Gdy jego zmysły odzyskały sprawność, wyraźniej dostrzegł otoczenie. Koń leżał pod nim. Skręcił sobie kark podczas upadku. Gruby podkład zbroi, w połączeniu z masą rumaka, ocalił życie rycerza.

Spróbował się podnieść i omal na nowo nie stracił przytomności. Podkład nie wystarczył, by uchronić go przed wstrząsem mózgu. Czekał, aż ponownie rozjaśni mu się w głowie, Huma rozejrzał się wokół.

Ongiś, gdy deszcze padały częściej, mogła tu płynąć bardzo głęboka rzeka. Z pewnością wystarczyła, by zabić oszalałego wierzchowca, nawet tak silnego, jak jego rumak.

Drugi brzeg koryta leżał w pewnej odległości. Sądząc po schorzałym zielsku, które ledwie zasługiwało na nazwę roślinności, Huma podejrzewał, że rzeka wyschła już przed bardzo wielu laty, być może we wczesnych dniach wojny, gdy Królowa Smoków liczyła jeszcze na szybkie, zdecydowane zwycięstwo nad zwolennikami Paladine'a.

Huma ponownie spróbował wstać. Przekonał się, że tętniący ból w jego głowie osłabło. Był on teraz jedynie drobną dolegliwością, pod warunkiem, że rycerz nie zginał raptownie szyi lub nie spoglądał zbyt gwałtownie w dół. Pamiętając o tym, zdołał się podnieść. - Bogowie!

To słowo zjawiło się na jego wargach spontanicznie. Huma dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że jest sam na terytorium nieprzyjaciela. Pozostali z pewnością sądzili, że nie żyje bądź też uznali go za tchórza, który salwował się ucieczką.

Zaczęła zbierać się mgła. Jej zimne, puszyste wstęgi posuwały się wzdłuż parowu. Mógł przeczekać noc i rozpocząć wędrówkę z pierwszym brzaskiem dnia - co zapewne oznaczałoby natknięcie się na kolejny goblini patrol - albo wędrować po ciemku i modlić się, by to, co się tu czaiło, było w nocnej mgle równie ślepe jak on. Żadna z tych perspektyw nie wydawała mu się pociągająca, niemniej nie przychodziło mu do głowy nic innego.

Ból głowy zelżał nieco, co pozwoliło mu poszukać w pobliżu miecza. Leżał tuż obok, nie uszkodzony. Juki stanowiły odrębny problem. Część z nich była pochowana pod wierzchowcem, a - choć Huma był silny - pozycja zwierzęcia praktycznie uniemożliwiała mu jego podniesienie bądź przetoczenie. Musiał się zadowolić kilkoma racjami żywnościowymi, hubką z krzesiwem oraz krzemieniem, a także paroma przedmiotami osobistego użytku wyciągniętymi z nie przygniecionej części juków.

Humie nie podobała się myśl o nocnej wędrówce, lecz jeszcze mniej uśmiechała mu się perspektywa podróży za dnia, gdy każdy mógłby go dostrzec. Zabrał rzeczy i z mieczem w dłoni zaczął wchodzić na szczyt stanowiącą brzeg koryta rzeki. Na górze mgła będzie rzadsza, a wyższa pozycja zawsze była pod względem strategicznym. Taką przynajmniej Huma żywił nadzieję.

Mgła nie zgęstniała, ale również się nie rozproszyła. Huma widział większość gwiazd, lecz na ziemi zasięg jego wzroku nie przekraczał trzech metrów. Trudno mu też było dostrzec szczegóły w słabym blasku, którym czerwony księżyc oświetlał spowitą całunem ziemię. Rycerz cały czas trzymał

miecz w lewej dłoni, gotowy do użytku. Nie miał tarczy. Z

pewnością zgubił ją gdzieś podczas szalonej ucieczki konia.

Na to wspomnienie Huma nie mógł nie pomyśleć o demonicznym obliczu, które przelotnie dostrzegł. Jeśli ten stwór gdzieś tu się krył... Zacisnął mocniej dłoń na rękojeści.

Wędrował przez godzinę, nim usłyszał ochryple, drwiące głosy. Goblinowie! Skrył się w butwiejącym pnem drzewa. Rycerza dzieliło od nich nie więcej niż dziesięć metrów. Ocalała go jedynie mgła. Było ich co najmniej trzech, może czterech. Wydawało się, że dworują sobie z czyjegóż losu. Zapewne z jakiegoś więźnia. Choć jedna część jaźni Humy nalegała, by oddalił się bezpiecznie, druga żądała, by udzielił pojmanemu wszelkiej możliwej pomocy. Podkraść się ostrożnie bliżej i zaczął nasłuchiwać.

Chrapliwy, nieprzyjemny głos źle wpływał na jego ból głowy. - Tak se myślę, że sam naczelny wódz nas za niego nagrodzi.

Niższy głos dołączył do pierwszego: - Może podaruje nam tego byka. Chciałbym sam zedrzeć z niego skórę na dywanik. Zabił Guivera! - Nigdy go nie lubiłeś! - Był mi winien forszę! Teraz już jej nie odzyskam! - Jak też ogrowie go ukatrupią, he? - wtrącił się trzeci głos. Huma wyteżył słuch. Usłyszał odgłos ostrzenia noża o kamień. - Bardzo powoli. Mają pieruński łeb do takich spraw.

Ktoś zaszczekał łańcuchami. Huma spróbował ustalić, w którym miejscu znajduje się więzień. Gdzieś daleko po prawej - pomyślał. - Ocknął się. - Pobawmy się trochę.

Łańcuchy zazgrzytały raz jeszcze. Rozległ się głos, dźwięczny i z łatwością docierający do miejsca, gdzie skrył się rycerz: - Dajcie mi broń i pozwólcie walczyć.

- Ha! - goblinowie zachichotali. - Chciałbyś, co, krowia gębo? Myślisz, że trafiłeś na głupich? - Dopóki nie zjawią się głupszy, będziecie w sam raz. Nieznajomy zaczął nagle stękać, jakby z wielkiego wysiłku. Goblinowie - było ich czterech, ocenił Huma - umilkli, gdy odgłos ten przeszedł w ciężkie dyszenie. Łańcuchy brzęczały. - Przez chwilę myślałem, że mu się uda! - Stawiam dwa miedziaki, że mógłby to zrobić! - Co? Ty głupku! Chcesz się założyć o coś takiego? - Guiver by się założył. Goblinowie tak mocno zaabsorbowali uwagę Humy, że mało

brakowało, by nie zdołał usłyszeć cichych kroków za swoimi plecami. Gdy wreszcie zwrócił na nie uwagę, był pewien, że go zauważono. Nowo przybyły szedł jednak dalej przed siebie. Huma zrozumiał, że owa istota -goblini strażnik - nie widzi we mgle zbyt dobrze. Niemniej jeszcze kilka kroków wystarczyłoby, żeby wróg znalazł się tak blisko, iż nawet gęsta mgła nie uratowałaby rycerza.

Huma zebrał całą odwagę i cicho zaszedł goblina od tyłu. Podążał za nim krok w krok, ale jego kroki były o połowę dłuższe. Coraz bardziej zbliżał się do przeciwnika. Jeszcze tylko kilka. - Świniarz?

Huma przeklął swego pecha. Oddalił się pośpiesznie od zwłok. Goblinowie zaprzestali torturowania jeńca - od którego najwyraźniej pochodził ryk - i posuwali się teraz ostrożnie w kierunku - jak sądzili -dobiegł głos ich kompana. - Świniarz! - Pewnie znowu potknął się o kamień. - No i co kurde zrobił potem? Rozwalił se łeb? Świniarz! - Chyba lepiej zostaną tutaj. Na wszelki wypadek.

- Jest jeszcze Snee. Jazda z nami, bo poczęstuję cię odrobiną tego, co dostał byk. - No dobra, dobra!

Goblinowie robili tyle hałasu, że z nawiązką wystarczyło to, aby zagłuszyć odgłosy poruszeń Humy. Mgła ukryła go, choć - co zdumiewające - jednemu ze stworów przyszło do głowy, by wziąć ze sobą pochodnię. Wkrótce jednak znajdą zwłoki swego kamrata, a to pozbawi Humę chwilowej przewagi.

Jego manewry sprawiły, że znalazł się blisko granicy obozu. Wydało mu się, że widzi potężną postać leżącą na ziemi. Na głowie miała coś, co wyglądało na ozdobiony rogami hełm. Mgła nadawała jej jednak dziwne proporcje, jak na człowieka - czy nawet elfa albo krasnoluda. Ognisko paliło się słabo. Zbliżała się do niego widmowa, niezdarna postać. Huma zrozumiał, że to z pewnością goblin imieniem Snee, którego pozostawiono, by pilnował więźnia.

Choć ognisko dawało mało światła, Huma nie żywił złudzeń, że ma szansę podkraść się do wartownika nie zauważony. Teren przed nim nie dawał żadnej osłony, a podenerwowany stwór obracał się to w jedną, to w drugą stronę. Huma dostrzegł w jego łapskach coś, co wyglądało na straszliwy, obosieczny topór.

Wolna dłoń rycerza zacisnęła się na kilku małych kamykach. W jego obolałej od wstrząsu głowie zaczęły się rodzić początki planu. Zgarnął garść kamyków i odważył się uklęknąć. Odmówiwszy pośpieszną modlitwę do Paladine'a, cisnął je na drugi koniec obozu, daleko od więźnia.

Ku wielkiej uldze Humy strażnik zareagował zgodnie z jego przewidywaniami. Gdy goblin pomknął w tamtą stronę, by zbadać sprawę, Huma podniósł następną garść kamyków, wstał i podkradł się cicho na miejsce za plecami więźnia. W połowie drogi wyrzucił pociski, tym razem starając się, aby poleciały jeszcze dalej. Z biciem serca pokonał resztę drogi.

Kimkolwiek był jeniec, był ogromny, ogromny i cuchnący. Hełm właściwie sprawiał wrażenie jakiejś ozdoby głowy, choć Huma nie przyjrzał mu się wystarczająco uważnie, by się upewnić. - Nie ruszaj się - wyszeptał.

Poczuł, że ciało więźnia zeszywniało, lecz nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Z miejsca, gdzie się znajdował, Huma dostrzegł, że w przeciwieństwie do ramion, które skuto łańcuchami, nogi nieznajomego spętano jedynie sznurkiem. Sięgnął za pas i wydobyl stamtąd sztylet. W tej samej chwili goblinowie wydali z siebie chóralny wrzask. Odkryli swego kompana. - Przetnij więzy i uciekaj! Zrobie, co będę mógł, żeby dać ci czas! Wypowiedziawszy te słowa, Huma zastanawiał się nad własną odwagą. Czy może głupotą. Trudno było określić, czym. Wiedział tylko, że jako rycerz ma obowiązek narażać Życie dla innych.

Wyprostował się w tej samej chwili, gdy Snee pomknął z powrotem ku ognisku, by odkryć przyczynę krzyków. W pierwszej chwili goblin wziął Humę za jednego ze swych towarzyszy, lecz niemal natychmiast odgadł prawdę. Wyciągnął topór i zamachnął się szaleńczo na młodego rycerza. Huma uchylił się z łatwością i ciał goblina w ramię. Wówczas Snee odzyskał odrobinę rozsądku i wezwał głośno pomoc.

W jego atakach nie było umiejętności, a jedynie brutalna siła. Huma bez trudności unikał ciosów topora. Wiedział jednak, że każda chwila zwłoki kosztuje go drogo. Słyszał już pozostałych goblinów, którzy wracali do obozu.

Nagle ten z nich, który wyglądał na dowódcę, wydał z siebie okrzyk zaskoczenia. - Byk się uwolnił! - wrzasnął. Faktycznie ktoś się uwolnił. Huma zastanawiał się, kogo - czy też co oswobodził. Widmowa postać przemknęła obok niego z dzikim, prymitywnym rykiem. Zaskoczony goblin opuścił z brzękiem topór. W chwilę później sam również padł na ziemię.

Nieuzbrojony, z rękoma zakutymi w łańcuchy, nieznajomy z pewnością nie mógł ujść z życiem ze starcia z trzema przeciwnikami. Gdy jednak Huma zwrócił się w jego stronę, by przyjść mu z pomocą, dostrzegł olbrzymią, masywną postać, przy której goblinowie wydawali się małymi dziećmi. Jeden z nich podszedł za blisko i wił się teraz bezradnie w powietrzu nad głową byłego więźnia. Pozostali dwaj cofali się ze strachem. Huma zatrzymał się. Nagle przestał być pewien, czy postąpiłby rozsądnie, gdyby się zbliżył.

Uwolniony jeniec cisnął nieszczęsnym goblinem w bliższego z jego kamratów. Ten spróbował się

uchylić przed żywym pociskiem, pisnął i rzucił się do ucieczki. Dwaj goblinowie zderzyli się ze sobą z towarzyszącym łamaniu kości trzaskiem. Padli na ziemię i znieruchomieli.

Jedyny ocalały stwór nie miał czasu, by zareagować. Wysoka, muskularna postać sięgnęła ku niemu obiema rękoma i owinęła łańcuch wokół szyi sparaliżowanego paniką nieboraka. Jednym szarpnięciem łańcuchów, stanowiącym dowód siły potężnych ramion, złamała goblinowi kark. Martwe ciało padło na ziemię niczym worek owsa.

Huma zatrzymał się w odległości około sześciu metrów od więźnia, którego uwolnił. Kimkolwiek on był, przerastał Humę o co najmniej trzydzieści centymetrów, choć rycerz nie był bynajmniej niski. Był też prawie dwukrotnie szerszy od niego w barach. Ramiona dorównywały grubością udom Humy, uda zaś sprawiały wrażenie, że ich właściciel mógłby przebiec trzydzieści kilometrów, nie okazując najmniejszego zmęczenia.

Nieznajomy wyglądał na usatysfakcjonowanego obrazem swej zemsty. Teraz jednak wyprostował się i skierował wzrok na rycerza.

Ponownie rozbrzmiał jego niski i dźwięczny głos. — Jestem ci wdzięczny, rycerzu solamnijski. Ocaliłeś mi życie. Tego długu nigdy nie spłacę, aczkolwiek podejmę próbę, by ci to wynagrodzić, choćby miało to zająć resztę moich dni.

Huma nadal stał bez ruchu, lecz część jego niepokoju zniknęła. — Nie jesteś mi nic winien. Każdy postąpiłby tak samo. Wysoka postać zachichotała złowieszczo. — Doprawdy?

Uwolniony zwrócił się w stronę rycerza. Nawet w słabym świetle wyraźnie było widać, że nie jest człowiekiem ani elfem. Rogi stanowiły część jego ciała, podobnie jak gęste, czarne futro pokrywające szczyt

głowy oraz większą część jej tyłu. Zgodnie z prostackimi słowami goblinów, wyglądał on ni mniej, ni więcej jak byk o ciele człowieka. Minotaur.

Powoli zbliżył się o kilka kroków do Humy, jak gdyby pragnął dowieść, że nie żywi złych zamiarów. Choć wszystko, czego nauczono rycerza, ostrzegało go głośno, że to wróg - i to jeden z najbardziej wojowniczych - stworzenie zafascynowało go i wzbudziło w nim naturalną ciekawość. W tych stronach jedynie nieliczni widzieli kiedykolwiek minotaura. Ojczyzna owych istot leżała daleko, na wschodnich brzegach Ansalonu. Niemniej, choć Huma był zaintrygowany, nie przeszkodziło mu to unieść miecza do pozycji obronnej.

Głowa sprawiała wrażenie zbyt wielkiej, nawet na tak masywnym ciele. Jej czubek oraz tył pokrywało gęste, ciemne futro, resztę zaś rzadkie kędziory. Oczy minotaura przypominały ślepia prawdziwego byka, w ich głębi widniał jednak wyraz inteligencji. Pysk był krótki i szeroki, a zęby, które odsłonił uśmiech stworzenia, wyglądały na przystosowane raczej do szarpania mięsa niż przeżuwania zielonej trawy. Huma przypomniał sobie niektóre z historii opowiadanych o tej rasie. Mimo woli cofnął się o krok.

Minotaur uniósł w górę długie, szerokie dłonie, by zademonstrować łączące je łańcuchy. Palce były grubsze od ludzkich i bardziej tępo zakończone. Widniały na nich ostre paznokcie - nie, pazury. Dłonie Humy wyglądały w porównaniu z nimi jak rączki kilkunastomiesięcznego dziecka.

- Sądzę, że jesteś w korzystniejszej sytuacji ode mnie, w przeciwieństwie do goblinów, którzy zawsze muszą mieć sześciokrotną przewagę liczebną, by choć pomyśleć o ataku. Nie wątpię, że wiesz, jak posługiwać się tą wspaniałą bronią.

- Wiem - zdołał wreszcie wykrztusić Huma. - Jak do tego doszło? Dlaczego zostałeś więźniem tych goblinów? Zawsze słyszałem, że minotaurowie są sojusznikami ogrów.

Karmazynowy blask księżyca nadawał oczom byłego jeńca straszliwy wygląd. - Należałoby raczej powiedzieć żołnierzami-niewolnikami, rycerzu solamnijski. Tym właśnie jesteśmy dla naszych

kuzynów. Trzymają nasze rodziny i nasze ziemie jako zakładników, choć określają to słowem ochrona. Dlatego musimy robić to, czego oni nic potrafią dokonać. Pewnego dnia jednak to minotaurowie obejmą władzę. Czekamy na to z niecierpliwością. - To nie tłumaczy, dlaczego byłeś tu więźniem. Huma nadał swej twarzy wyraz największej pewności siebie, na jaką

było go stać. Złamanie karku młodemu rycerzowi nie byłoby dla minotaura zbyt wielkim wysiłkiem. Widział już na to dowód.

Zwierzolud opuścił zakute ręce. Parsknął. - Zabiłem mojego ogrowego kapitana, człowieku. Powaliłem go gołymi rękoma. To był dobry cios. Rozwaliłem mu czaszkę jednym uderzeniem.

Myśl o uderzeniu, a co dopiero zamordowaniu przełożonego, zatrwożyła rycerza. Uniósł zasłonę i odważył się podejść do minotaura. - Zamordowałeś go?

- Lubisz ogrów? Dzięki mnie jego topór już nikomu nie odbierze życia. A muszę przyznać, że władał nim dobrze. Wielu zginęło pod jego ciosami, człowieku, w tym również słabi i bezradni. Znalazłem go nad ciałami wiekowego mężczyzny i dwojga dzieci. Może były jego wnukami. Zrobiłem to, co uważałem za słuszne. Mordowanie starych, słabych i dzieci nie przynosi zaszczytu. Przynajmniej nie wśród moich pobratymców. Co prawda, nigdy nie wybaczyliby mojej zdrady. Sądziłem, że między rycerzami solamijskimi wygląda to tak samo. Teraz widzę, że mogłem się mylić minotaur ponownie wyciągnął przed siebie skute nadgarstki, co sprawiło, że Huma cofnął się pośpiesznie o kilka kroków. - Albo mnie zabij, albo uwolnij z tych okowów. Nie mam ochoty o tym dyskutować. Goblinowie dawali mi mało jedzenia i dosypywali do niego jakiegoś narkotyku. Wysilek omal mnie nie wykończył.

Minotaur faktycznie padał z nóg. Huma podjął decyzję, odrzucił ją, podjął następną, a na koniec wrócił do pierwszej. Nawet wtedy jednak nic nie zrobił. Czy naprawdę mógł uwierzyć słowom stojącej przed nim niezwyklej istoty? Minotaurów uważano za honorową rasę, lecz służyli oni bogom zła. Tak zawsze powiadali nauczyciele.

Ręka, w której Huma trzymał miecz, zdrząła - zarówno pod wpływem jego myśli, jak i dlatego, że od dłuższego czasu utrzymywał ją w niewygodnej pozycji. Zwierzolud czekał cierpliwie, gotowy tak na śmierć, jak i na uwolnienie. Spokój i wiara, z jakimi nie dawny jeniec spoglądał na swego wybawcę, sprawiły wreszcie, że Huma podjął ostateczną decyzję. Rycerz powoli i ostrożnie schował miecz. - Który z niech ma klucze?

Minotaur osunął się na kolana. Oddychał potężnymi sapnięciami, całkiem jak byk przygotowujący się do szarży. - Ten, którym cisnąłem. Jeśli któryś z nich je ma, to tylko on. Nie widziałem żadnych kluczy. Nie były im potrzebne. Osta. ostatecznie po cóż mieliby chcieć mnie uwolnić? Gdy wyczerpany dezerterski począł na ziemi, Huma podszedł do goblina i

przeszukał niezliczone sakiewki otaczające brzuch stworzenia. W każdej kryło się mnóstwo rozmaitych przedmiotów. Wiele z nich było odrażającymi lupami wojennymi. Znając goblinów, prawdopodobnie zabrali je zabitym. Kilku nie sposób było rozpoznać. W jednym z woreczków znalazł wreszcie klucze.

Minotaur miał zamknięte oczy. Huma zaniepokoił się nagle, że mimo wszystko któryś z goblinów zadał mu śmiertelną ranę. Gdy jednak zabrzączał kluczami przy jego twarzy, krzepki stwór rozchylił powieki.

- Dziękuję - powiedział, gdy Huma oswobodził już oba jego nadgarstki. - Na mych przodków do dwudziestego pokolenia, nie spocznię, dopóki nie zrównoważę szal. Składam ci taką przysięgę. - Nie ma potrzeby. To to był mój obowiązek.

Minotaur zdołał w jakiś sposób nadać swej twarzy bardzo ludzki wyraz niedowierzania. - Mimo to dotrzymam mej przysięgi w taki sposób, jaki uznam za stosowy. Niech nikt nie waży się mówić, że

Kaz jest mniej wart od swych przodków. Huma wstał. - Czy dasz radę iść?

- Daj mi trochę czasu. - Kaz rozejrzał się wokół pośpiesznie. - Poza tym, nie mam ochoty spędzić nocy na otwartym terenie. Wolałbym odnaleźć jakieś schronienie. - Przed czym?

Huma nie potrafił sobie wyobrazić, co mogłoby przestraszyć równie potężnego wojownika, chyba że byłby to smok lub jakiegoś stworzenie zbliżonych rozmiarów.

Kaz dzwignął się powoli. - Kapitan był aktualnym ulubieńcem naczelnego wodza. Obawiam się, że ten ostatni mógł wypuścić na wolność niektórych pieszczołów renegata. - Nie rozumiem.

Minotaur skierował nagle swą uwagę na poszukiwania porządnej broni. Dostrzegł topór, który należał do pierwszego przeciwnika Humy. Podniósł go celem wypróbowania. - Niezły. Zapewne krasnoludzki. Miejmy nadzieję, że nie okaże się potrzebny - dodał, zwracając się do Humy. - Nie sądzę, byśmy zdołali ująć z życiem z podobnego spotkania.

W rękach goblina topór wydawał się ogromy. Kaz jednak władał nim ze swobodą wojownika przyzwyczajonego do jeszcze większego oręża. Broń była przeznaczona do użycia oburęcznego, lecz Minotaurowi do uchwycenia jej wystarczyła jedna, masywna łapa. - W którą stronę zamierzasz się udać? - Na północ. - - Do Kyre?

Huma zawahała się. Wiedział, że wielu rycerzy, nawet Bennett, nigdy nie uwolniłoby z więzów podobnej istoty. Popędziliby ją przed sobą przez pustkowia pod groźbą miecza, a już z całą pewnością nie zdradziliby minotaurowi, dokąd się udają. Jeśli ten tak zwany więzień był w rzeczywistości szpiegiem, podobna niedyskrecja mogła się okazać tragiczna w skutkach nie tylko dla Humy. Niemniej Kaz sprawiał wrażenie honorowej osoby.

Rycerz zwlekał jeszcze przez chwilę, aż wreszcie skinął głową. - Tak. Do Kyre. Mam nadzieję odnaleźć tam moich towarzyszy.

Minotaur zarzucił sobie topór na ramię i przytwierdził go do czegoś, co - jak zdał sobie sprawę Huma - było uprzężą przeznaczoną do tego celu. Stanowiła ona jeden z dwóch tylko elementów stroju Kaza. Drugim było coś w rodzaju spódniczki, czy może wielkiej przepaski na biodro.

- Obawiam się, że podróż do Kyre jest w tej chwili nierozsądnym pomysłem. Nie chcę cię jednak namawiać do zmiany zdania. - Dlaczego nierozsądnym?

Kaz ponownie zaprezentował swą imitację ludzkiego uśmiechu, uśmiechu pełnego wyczekiwania. - Tam właśnie przebiega teraz front. Moi kuzyni, ogrowie, z pewnością już dotarli w to miejsce - zachichotał. Jego głos ponownie skojarzył się Humie z parsaniem byka. - To będzie wspaniała walka. Żałuję, że nie będę przy niej obecny.

Huma skrzywił twarz, widząc, że zabijanie sprawia jego nowemu znajomemu niemałą przyjemność. Najwyraźniej niektóre opowieści dotyczące niezwykłych Minotaurów były aż nadto prawdziwe.

Pokonał odrazę, by wytrzeć swój miecz z krzepnącej krwi. Tylko przelotnie spojrzął na świeżo odnalezionego towarzysza, który sprawiał wrażenie, że przynajmniej częściowo rozumie obrzydzenie widoczne na twarzy rycerza.

- Możesz udać się tam ze mną albo ruszyć swoją drogą, Kaz - odezwał się Huma. - Jak sobie życzysz. Niewykluczone, że rycerze nie zechcą uwierzyć, iż jesteś dezterem.

Kaz nie wahał się. - Rozumiem niektóre z twych uczuć, rycerzu solamnijski. Aż za dobrze zdaję sobie sprawę z dzielących nas różnic. Niemniej mam u ciebie dług, a poza tym wolę spotkać się z twoimi towarzyszami, niż wrócić do swej armii, gdzie przed egzekucją czekałyby mnie przewlekłe tortury. Nie mam ochoty zdać się na łaskę ogrow.

Coś zawyło w mroku nocy, daleko od nich. Huma uznał, że to wilk, a zarazem nie wilk. Głos był zbyt zimny, zbyt... zły.

- Lepiej ruszajmy w drogę - zdecydował szybko Kaz. - To nie jest nocą bezpieczne miejsce. Odór śmierci z pewnością przyciągnie tu gości. Osobiście, rycerzu, wolałbym się stąd oddalić.

Oczy Humy nadal były zwrócone w kierunku, z którego dobiegło wycie. Człowiek skinął krótko głową. Nagle towarzystwo Minotaura wydało mu się znacznie bardziej pożądane. - Zgoda. - Wyciągnął prawą rękę w geście przyjaźni. - Kaz, mój przyjacielu, mam na imię Huma.

- Huma. - Siła, z jaką Minotaur uściśnął jego dłoń, nie wystarczyłaby by połamać w niej wszystkie kości, lecz nie wiele do tego brakowało. - To mocne imię. Godne wojownika.

Rycerz odwrócił pośpiesznie wzrok i podniósł swe sakwy. Jak bardzo mylił się minotaur! Godne wojownika, też coś! Poczul drżenie w każdej części swego skrytego w zbroi ciała. Spróbował sobie wyobrazić na swym miejscu Bennetta, który zawsze zachowywał się w należyty sposób, jak rycerz urodzony na dowódcę. Ta myśl pogłębiła tylko jego frustrację. Zdawał sobie sprawę, że Bennett nigdy nie zaplątałby się w podobną sytuację.

Opuścili obóz z jego dogasającym ogniskiem i porozrzucanymi odpadkami, po czym ruszyli w kierunku wybranym przez Humę. Żaden z nich się nie odezwał, choć każdy z innego powodu. Za ich plecami - na szczęście nie bliżej niż poprzednio - ponownie rozległo się wycie.

Rozdział trzeci

Dwaj wędrowcy nie zdołali dotrzeć zbyt daleko, nim zostali zmuszeni do odpoczynku. Humie nadal dokuczał ból głowy. A Kaz odczuwał jeszcze działanie narkotyku, który podali mu w jedzeniu goblinowie.

- Zachowałem się jak głupiec! Złapali mnie drzemiącego niczym niemowlę i związali jak barana! Jestem zdolny do wielu rzeczy, ale nie aż tak szalony, by porwać się na dwie piki, którymi we mnie mierzyli. Z tej odległości nawet goblinowie nie mogliby chybić.

Kaz roześmiał się na te słowa, choć Humie nie wydały się one zbyt zabawne.

Wreszcie zdecydowali, że urządzą postój na małym wzniesieniu, które mogło im zapewnić pewna osłonę. Choć niepokojąco przypominało miejsce wybrane przez pierwszy z goblinich patroli, było jednak lepsze niż otwarty teren. Huma modlił się tylko, by zdołał utrzymać oczy otwarte wystarczająco długo, żeby móc obudzić Kaza, gdy nadejdzie czas na objęcie przez niego warty.

Rozmawiali jeszcze chwilę, być może dlatego, że obaj obawiali się zasnąć. Huma opowiadał o rycerstwie, jego podstawowych zasadach i organizacji. Kazowi rycerze solamnijscy wydali się interesujący. Wiele aspektów ich życia przypadło do gustu przybyszowi ze wschodu, zwłaszcza wielki szacunek dla honoru.

Kaz podał bardzo niewiele szczegółów na temat swych pobratymców. Było prawdą, iż są znakomitymi marynarzami, lecz obecnie kontrolę nad ich życiem przejęli ogrowie. Minotaurowie nadal organizowali honorowe turnieje, które pozwalały zdobyć wyższą rangę drogą pokonania przeciwniku, lecz ogrom ta metoda nie podobała się zbyt. Wprowadzili nowe sposoby, które bardziej im odpowiadały. Ze względu na to, Kaz już przed śmiertelnym starciem ze swym kapitanem odczuwał potężną nienawiść do swych tak zwanych panów. Sądził, że wszystko jest lepsze od służby tej rasie.

Humę niepokoił nieco fakt, iż powierza Kazowi swe życie. Widział już, jak okrutny potrafi być minotaur. Sam nigdy nie byłby w stanie złamać przeciwnikowi karku tak sprawnie - i skwapliwie - jak uczynił to tamten. Miał jednak wrażenie, że gdy minotaur da słowo, można mu zaufać. Spór w umyśle Humy toczył się aż do chwili, gdy rycerz uległ znużeniu. Potem sprawa przestała mieć znaczenie.

Noc minęła bez żadnych incydentów, podobnie jak pierwsze godziny następnego dnia. Zjedli resztki racji żywnościowych Humy. Nie było tego wiele. Przejrzawszy przelotnie bagaże goblinów,

rycerz stracił wszelką

ochotę na kosztowanie ich jedzenia. Poza tym, niewykluczone, że czegoś do niego dodano.

Dzień był pochmurny. Zerwał się zimny, przenikliwy wiatr. Huma cieszył się, że ma pod zbroją dobry, mocny podkład. Kazowi jednak chłodna pogoda zdawała się nic przeszkadzać. Minotaurowie byli rasą podróżników, marynarzy i wojowników. Podczas ciemnych miesięcy w jego ojczystych stronach panowały niekiedy wyjątkowe chłody. Rozebrany do pasa piechur nie nosił nawet butów. Gdyby Huma wędrował tak długo na bosaka, jego stopy byłyby podrapane, krwawiące i pokaleczone. Grunt stwardniał tu, gdyż w przeszłości solidnie go wypalono.

Około południa Huma zauważył w oddali jeźdźców. Nie zmierzali oni w kierunku dwójki wędrowców i ci szybko stracili ich z oczu. Huma sądził jednak, że byli to rycerze solamnijscy. Oznaczało to, że jest prawdopodobne, iż kolumna - a przynajmniej jej część - czeka w pobliżu.

Kaz, z drugiej strony, nie był zbyt pewien tożsamości jeźdźców. Tutaj, tak blisko frontu, mógł to być każdy.

- To prawda, że wyglądali na ludzi - albo może elfów - mogli jednak być tymi, którzy służą Takhisis. Nigdy nie widziałeś Czarnej Gwardii, elitarnych oddziałów naczelnego wodza. Ani renegatów, skoro już o tym mowa. Minotaur użył tego zagadkowego słowa już wcześniej. - Kim są renegaci? — zapytał Huma.

- Niewyszkolonymi czarodziejami. Obłąkanymi magami. Każdy z nich - w taki czy inny sposób - umknął uwadze magicznych zakonów. Nie wszyscy są źli. Powiadają jednak, że jeden z nich, dysponujący olbrzymią mocą, zawarł paki z samą Królową Ciemności, a ona pragnie teraz zwycięstwa tak rozpaczliwie, że wyrzekła się własnych Czarnych Szat.

Magia. Huma wiedział na jej temat więcej niż większość jego towarzyszy. Zetknął się z nią już w dzieciństwie. Jego najlepszy jedyny -przyjaciel zajął się czarami. Od samego początku Magius powtarzał Humie, że pewnego dnia zostanie wielkim i potężnym czarodziejem, podczas gdy ten drugi skłaniał się ku zajęciu rycerza, które zgodnie ze słowami matki - było jego dziedzictwem.

Wspomnienie o Magiusie sprawiło, że Huma zaczął zbyt wiele myśleć o latach dzieciństwa, czasach, które - choć pod pewnymi względami były bliskie jego sercu - pozostawiły mu w spadku zgorzknienie i brak pewności siebie. Nie widział Magiusa już od wielu lat, od dnia, w którym jego przyjaciel ukończył nauki i wszedł do wieży, by poddać się jakiegoś rodzaju próbie, która miała określić jego los. Tego samego dnia Huma

również podjął decyzję i wyruszył, by stanąć przed rycerzami solamnijskimi celem złożenia petycji o przyjęcie w ich szeregi. Odpędził od siebie te myśli.

Nadal szli przed siebie. Kaz nieustannie obserwował horyzont, sprawiał jednak wrażenie, że nie zna tej okolicy. W pewnej chwili zwrócił się w stronę Humy. - Czy wszystkie ludzkie ziemie tak wyglądają? - zapytał. - Czy nigdy ich nie widziałeś?

- Tylko najbardziej spustoszone obszary. Czyż ogrowie skierowaliby nas gdzie indziej niż na najgorsze pozycje? W pewnym sensie łatwiej im poświęcić nas niż goblinów. Nie ufają obu rasom, ale wiedzą, że nad goblinami potrafią zapanować.

Huma skinął głową na znak zrozumienia. - Istnieją jeszcze tereny nie tknięte przez wojnę, lecz z każdym rokiem jest ich coraz mniej. Tam gdzie stał mój dom, rozciąga się teraz pustkowie podobne do tego.

Te słowa wywołały przyływ gorzkich wspomnień. Huma nakazał sobie skupić się na ciągnącej się przed nim ścieżce. Przeszłość zostawił już za sobą.

Minotaur wysunął gwałtownie głowę do przodu. - Mamy jakieś towarzystwo.

Rycerz zmrużył powieki. Ponad trzy tuziny ludzkich postaci zmierzały mniej więcej w ich

kierunku. Uchodźcy z jakiejś wioski - pomyślał. Najwyraźniej zabłądzili. Mieli dwa rozklekotane wozy zaprzężone w ledwo żywe zwierzęta. Prowadzący je mężczyźni nie wyglądali lepiej. Były tam też kobiety, a nawet kilkoro dzieci. Gdy się zbliżyli, Huma zdał sobie nagle sprawę, że większość z nich gapi się na jego towarzysza. Nie spodobało mu się w najmniejszym stopniu to, co wyczytał w ich spojrzeniach. - Musimy zachować ostrożność, Kaz.

- Wobec tej żalostnej hołoty? Nie masz się czym przejmować. Dam radę załatwić wszystkich w pojedynkę.

Kaz zaczął sięgać po umocowany na plecach topór, lecz Huma złapał go za rękę. - Nie! - syknął. - To morderstwo!

Z reguły szybko reagujący wojownik zawahał się. Umysł minotaura funkcjonował w sposób zupełnie inny od ludzkiego. Kaz widział zagrożenie. Ludzi było wystarczająco wielu, by go powalić, gdyby nie podjął niezbędnych kroków. W jego świecie nie było miejsca na kompromis. Istniały tylko triumf albo śmierć. Huma zapomniał języka w gębie. Nie chciał walczyć z Kazem, nie mógł jednak pozwolić, by

minotaur rzucił się na uchodźców.

Choć Kaz opuścił rękę, szkód nie dało się już naprawić. Wieśniacy widzieli jedynie potwora, który im zagroził. Byli już świadkami zniszczenia swych domów oraz pomordowania przyjaciół i krewnych. Frustracja wywołana bezradnością stawała się coraz silniejsza i nie mogła znaleźć ujścia. Teraz na ich drodze stanął samotny minotaur reprezentujący wszystko, co złe, wszystkie ich cierpienia.

Grupa mężczyzn i kobiet zgraja obdartusów - ruszyła naprzód, powłócząc nogami. Byli bladzi i porażeni samobójczym strachem. Pragnęli jedynie szansy na zadanie wrogowi ciosu, zanim zginą.

Humę przeraził ten widok. Poruszali się jak żywe trupy. Ściskali w dłoniach narzędzia rolnicze, noże, sznur, a nawet różne narzędzia kuchenne, których zamierzali użyć jako broni. Kaz nie cofną się, obrzucił jednak Humę przelotnym spojrzeniem.

- Jeśli zbliżą się jeszcze o kilka kroków, zaatakuję ich, bez względu na to, co mówisz. Nie pozwolę się im zabić bez oporu.

Oczy minotaura załśniły krwawą czerwienią. Niedługo przejdzie do czynów. Huma zastąpił drogę tłuszczu, unosząc w górę miecz. - Stać! On nie chce was skrzywdzić!

Ta żalostna próba nie miała szans na sukces. Jej rezultaty były zgodne z jego obawami. Opętany żądza mordu tłum zatrzymał się, lecz tylko po to, by zdecydować, co zrobić z młodym rycerzem, który chciał mu przeszkodzić.

- Odsuń się! - krzyknął posiwiaty starzec. Jedno z jego oczu zasłaniała przepaska. Widniała na niej czerwona plama - rana musiała być odniesiona niedawno. Skórę miał spękaną, a rzadkie włosy przylegały mu do głowy. - Chcemy się z nim policzyć! Musi zapłacić za to, co zrobił! - Nie wyrządził wam żadnej krzywdy!

Niewiele starsza od Humy kobieta sprawiająca wrażenie, że ongiś była ładna, splunęła w jego kierunku. - Jest jednym z nich! Co ma za znaczenie, czy to on zabił moje dzieci! Jeśli nie zrobił tego tutaj, uczynił to w innym miejscu!

Próby wyjaśnienia sprawy byłyby bezcelowe. Wieśniacy nie wysłuchaliby Humy. Zresztą nawet gdyby to zrobili, nie wymazałoby to okropności, które przeżyli. Kaz był jedynym dostępnym celem.

Zdesperowany Huma wy dobył miecz. Rozległy się szepty. Kilka mniej odważnych osób cofnęło się. Rzekoma zdrada własnej rasy przez rycerza solamijskiego wyczerpała jednak cierpliwość niektórych. Tłum ponownie ruszył naprzód. Było oczywiste, że tym razem jego celem jest również Huma.

Rycerz usłyszał, jak stojący za nim masywny wojownik wyciąga topór. - Nie obawiaj się, Humo. Zmiażdżymy ich.

W jego słowach brzmiała żądza walki jeszcze silniejsza niż wtedy, gdy Huma po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę.

Nawet widok rozgniewanego minotaura dzierżącego w olbrzymiej dłoni potężny topór bojowy nie wystarczył, by powstrzymać wieśniaków. Chude, kościste ramiona, z których zwisały łachmany, uniosły się w górę. Niektórzy mieli puste dłonie, inni byli gotowi uderzać tym, co w nich trzymali. Huma cofnął się.

Czy naprawdę był gotów pozabijać tych ludzi, by ocalić kogoś, kto jeszcze kilka dni temu był jego wrogiem? Żaden rycerz nie postąpiłby tak. Huma zdawał sobie z tego sprawę. Nie mógł jednak zostawić Kaza swemu losowi. - Kaz, lepiej uciekaj!

- Teraz by cię zabili, Humo. Za to, że mi pomogłeś. Lepiej stawmy im czoła.

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

Było to ostatnią rzeczą, której pragnął Huma, wyglądało jednak na to, że nie ma wyboru. Albo zejdzie tłumowi z drogi i zdradzi minotaura, albo nie zejdzie i zdradzi tych, których poprzysiągł bronić. Miecz zachwiał się w jego ręku. Nagle zza jego pleców zadął silny wiatr.

Tłuszcza zamarła. Wszystkie oczy skierowały się ku górze. Huma usłyszał, że Kaz odwrócił się błyskawicznie i zaklął. - Smok!

Tuman pyłu wzbił się ku niebu, zasłaniając rycerzowi widok, gdy ten spojrział za siebie. Usłyszał łopot potężnych skrzydeł. Bestia najwyraźniej przygotowywała się do lądowania. W jego umyśle pojawił się obraz jednego ze śmiertelnie groźnych czarnych smoków albo może olbrzymiego czerwonego, który nadleciał powalić ich wszystkich. Jego miecz będzie bardziej niż bezużyteczny.

Zanim jeszcze pył opadł, Kaz rzucił się do ataku. Nie było dla niego ważne, czy jest to smok ciemności czy światła. W obu przypadkach nie widział przed sobą żadnej przyszłości. Miał tylko nadzieję zadać tytanowi cios, nim ten go zmiażdży. Minotaur wydał w biegu okrzyk bojowy. Topór zawirował wokół jego głowy. Gdy Kaz się zamachnął, Huma dostrzegł wreszcie smoka.

Rycerz uniósł rękę. - Nie! - krzyknął, choć wiedział, że jest już o wiele za późno.

Siła minotaura była doprawdy imponująca. Powiadano, że topór w rękach jednego z tych stworzeń mógł rozłupać głaz na dwoje. Gdyby Kaz zadał cios, było całkiem możliwe, że zwyciężyłby. Zamarł jednak nagle w połowie ruchu, a jego potężny impet sprawił, że runął jak długi na ziemię tuż pod wielką paszczą smoka.

Ten spojrział tylko przelotnie na leżącego straceńca, po czym podniósł wzrok, by popatrzeć na człowieka. Huma odwzajemnił jego spojrzenie. Jako rycerz, był przyzwyczajony do częstego widoku smoków światła. Służyły one jako strażnicy i posłańcy. Nigdy jednak nie widział żadnego z tak bliska.

Był wysoki i lśniący. Całe ciało miało kolor srebrny, a oczy żarzyły się niczym słońca. Huma odgadł instynktownie, że smok jest samicą, choć trudno byłoby mu wytłumaczyć, skąd to wie. Szczęki były dłuższe od rąk rycerza, zęby zaś tak wielkie, że bestia z łatwością mogłaby jednym ukąszeniem odgryźć jego głowę. Pysk miała wydłużony i zakończony spiczasto.

Głos smoczycy pozostawał w kontraście z jej wyglądem. Był niski, lecz melodyjny. - Rycerzu solamnijski, co tutaj robisz? Jesteś daleko od swych towarzyszy. Czy ścigasz tego śmiecia, który tu leży? Bądź pewien, że minotaur nigdzie nie odejdzie, dopóki powstrzymuje go siła mej woli.

Huma opuścił broń. Wieśniacy wycofali się, choć nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. - Nic ci się nie stało?

To pytanie brzmiało autentycznie. Srebrzysta smoczyca naprawdę się o niego niepokoiła.

- Proszę cię - wykrztusił Huma. - Nie rób mi krzywdy! Nie jest tak, jak ci się zdaje!

Wydawało się, że lśniące lekko oczy bestii szacują go dokładnie. Była zaintrygowana. - Dlaczego chcesz darować życie temu stworzeniu? Czy pragniesz uzyskać od niego jakieś informacje? Potrafię je z niego wydobyć bez większych trudności.

Smoczyca czekała z cierpliwością kogoś, dla kogo miarą czasu nie są minuty, lecz stulecia. - To mój towarzysz. Wyrzekł się zła Królowej Ciemności. Gdyby ktoś wcześniej powiedział Humie, że smocze oblicze może przybrać bardzo ludzki wyraz zaskoczenia, rycerz zareagowałby drwiną. Tak jednak właśnie było. Człowiek zachował milczenie, podczas gdy smoczyca przetrawiała tę niezwykłą informację. - Minotaur zamierzał zadać mi cios. Jest oczywiste, że chciał wyrządzić mi wielką krzywdę. Jakże więc mogę zaakceptować twe zapewnienia?

Huma zesztywniał. - Musisz mi uwierzyć na słowo. Nie mam żadnego dowodu.

Smoczyca naprawdę się uśmiechnęła. Jej oblicze nawet wówczas wyglądało straszliwie. Lord Oswal mówił kiedyś, że smok uśmiecha się tak, jak lis przygotowujący się do pożarcia kury.

Proszę o wybaczenie, rycerzu solamnijski. Nie chciałam zasugerować, że nie wierzę w prawdziwość twych słów. Musisz przyznać, że nie co dzień widuje się minotaura walczącego u boku jednego z twych braci. - Nie czuję się urażony. - A co z nimi?

Huma nie odwrócił się. Wciąż pamiętał swe niezdecydowanie i to, do czego mogło dojść. - Ich strach i gniew są zrozumiałe. Wiele wycierpieli. Nie mam do nich żadnych pretensji.

Zareagowała na jego odpowiedź wężowym poruszeniem długiej, wąskiej szyi. - Zboczyliście z drogi - powiedziała wieśniakom. - Zwróćcie się na południowy zachód. Są tam kapłani Mishakal, którzy zaopiekują się waszymi rannymi i dadzą wam jedzenie. Powiadomcie o tym innych, których spotkacie po drodze.

Nie spotkała się z ich strony z żadnym sprzeciwem, co ucieszyło Humę. Popatrzyła, jak uchodźcy ruszyli we właściwym kierunku, po czym przeniosła wzrok na Kaza z miną wyrażającą niesmak.

- Jeśli go uwolnię, ty będziesz musiał o niego zadbać. Mam do jego rasy równie mało sympatii, jak ci nieszczęśnicy.

Huma zawahał się. - Nie mogę gwarantować, jak zareaguje, gdy go wypuścisz. Szybko wpada w gniew.

- To charakterystyczne dla minotaurów. Gdyby nie zabijali się nieustannie nawzajem w swych pojedynkach o rangę, sądzę, że już dawno podbiliby cały Ansalon.

Westchnęła, co zmusiło Humę do zamknięcia oczu, gdy gorące powietrze owiało mu twarz. - Niech będzie.

Gdy padły te słowa, minotaur odzyskał nagle życie. Nie ponowił próby ataku, lecz zatrzymał się w pewnej odległości od smoczyicy i rycerza, trzymając topór w obu dłoniach. Popatrzył nieufnie na bestię. Ta ze wzgardą odwzajemniła jego spojrzenie - Słyszałeś wszystko.

Nie było to pytanie. Wyraz twarzy masywnego wojownika upewnił Humę, że Kaz słyszał aż za dobrze. Niemniej minotaur nadal nie ufał żadnemu z nich. - Słyszałem. Nie jestem pewien, w co mam wierzyć, - - Z łatwością mogłabym cię zmiażdżyć, minotaurze.

Na dowód srebrna smoczyca uniosła potężną łapę. Gdyby któryś z nich poczuł jej pełną siłę, jego koniec byłby marny.

Kaz zwrócił spojrzenie na Humę. - Już raz ocaliłeś mi życie, rycerzu Humo. Wygląda na to, że uczyniłeś to ponownie, choć tym razem za pomocą słów - minotaur potrząsnął głową. - Nigdy nie zdołam spłacić ci długu jak należy.

Huma zmarszczył brwi. Znowu długi! - Nie chcę od ciebie niczego poza pokojem. Czy zechcesz schować topór?

Minotaur wyprostował się, spojrzał raz jeszcze na stojącą przed nim olbrzymią postać, po czym z wahaniem zatknął oręż z powrotem na plecach. - Jak już mówiłem, nie ma dla mnie powrotu. Co ze mną będzie?

Smoczyca parsknęła, wysyłając w powietrze małe kłęby dymu. - Nie obchodzi mnie to. Decyzję musi podjąć Huma. - Ja?

- Jak dotąd, wykazałeś się znakomitą oceną sytuacji. Gdyby tylko więcej przedstawicieli naziemnych ras miało tyle rozsądku. W jej głosie nie było słycać drwiny.

Huma czuł się dziwnie zadowolony z komplementu wypowiedzianego przez istotę o wyglądzie tak królewskim, jak srebrny smok. Przez kilka chwil zastanawiał się głęboko, rozważając pomysły, które na wpół skonkretyzowały się podczas ich wędrówki. Wreszcie zwrócił się w stronę minotaura.

- Musimy dołączyć do kolumny. Jeśli naprawdę chcesz nie tylko mi dowieść czystości swych intencji, będziesz musiał opowiedzieć im wszystko, co wiesz o ruchach wojsk ogrów i sprawić, by ci uwierzyli -Huma przerwał. - Musisz chyba wiedzieć coś, co im się przyda?

Kaz myślał przez dłuższy czas. Wreszcie chrząknął. - Wiem więcej niż powinienem. Jeśli zdołasz ich przekonać, by nie zabili mnie natychmiast, postąpię zgodnie z twoją radą. Być może pomoc, której wam udzielię, przyspieszy dzień, w którym mój lud odzyska wolność. - Będziesz musiał oddać mi topór.

Minotaur wydał z siebie ryk wściekłości. - Nie mogę udać się między nich nie uzbrojony! Utraciłbym twarz! To sprzeczne z naszymi zwyczajami!

Huma wybuchnął gniewem. - Nie jesteś wśród swoich pobratymców, lecz wśród moich! Jeśli pojawisz się między nimi z tym wysłużonym toporem, nie będzie żadnej nadziei na kompromis. W najlepszym razie zostaniesz więźniem. W najgorszym, zginiesz. Smoczyca przeszła minotaura spojrzeniem połyskujących oczu. -

Rycerz prawidłowo ocenił sytuację. Lepiej będzie, jak go usłuchasz.

Kaz parsknął, warknął i powołał się na imiona sześciu albo siedmiu wybitnych przodków, na koniec jednak zgodził się oddać Humie broń, gdy nadejdzie czas.

Srebrna smoczyca rozpostarła potężne skrzydła. Była wspaniałym stworzeniem, prawdziwym połączeniem mocy i piękna w jednym ciele. Huma widział w twierdzy Vingaard gobeliny, drewniane figurki oraz rzeźby, które usiłowały oddać prawdziwy wygląd smoków. W porównaniu z rzeczywistością wszystkie wydawały się bladymi cieniami.

- Gdy was ujrzałam, leciałam do Północnego Ergothu, by połączyć się tam z moimi kuzynami. Zaintrygowała mnie ta jedyna w swym rodzaju sytuacja, postanowiłam więc wylądować. Powinnam ruszyć w dalszą drogę, ale nie będę musiała zboczyć z niej zbytnio, jeżeli odtransportuję was na miejsce.

Myśl o tym, że będzie mknął przez niebiosa na grzbiecie jednego z legendarnych smoków wprowadziła Humę w stan bliski oszołomienia. Wiedział, że są rycerze, którzy biorą udział w walce, dosiadając tych wielkich bestii, a nawet z nimi rozmawiają, lecz jego samego nigdy nie spotkał podobny zaszczyt. - Jak zdołamy się utrzymać?

- Jeśli będę leciała powoli, nie powinno wam to sprawić trudności. Wystarczą nogi i ręce. Wielu robiło to już przedtem, choć będziecie pierwszymi, którzy dosiądą mnie. To zaoszczędzi wam wiele czasu i wysiłków. Opuściła głowę tak, że spojrzała Humie prosto w oczy.

Będzie leciał! Magius mówił ongiś, że jednym z najpoważniejszych powodów, dla których chciał wstąpić do czarodziejskich zakonów, jest myśl o unoszeniu się wśród obłoków.

Siadł okrakiem na długiej, muskularnej szyi tuż powyżej barków. Nie mógł nie uśmiechnąć się do smoczycy, która zwróciła głowę w jego stronę. Wiedział, że olbrzymia istota aż za dobrze rozumie jego entuzjazm. Poczzerwieniawszy lekko, Huma wyciągnął rękę do Kaza. Minotaur popatrzył na jego dłoń i na grzbiet stworzenia.

Potrząsnął gwałtownie głową. - Mój lud to mieszkańcy lądu i marynarze pływający po morzach. Nie jesteśmy ptakami.

- To absolutnie bezpieczne. - Smoczyca sprawiała wrażenie urażonej. - Nawet niemowlę mogłoby polecieć na mnie bez obaw. - Niemowlę mogłoby być wystarczająco głupie. Ja nie jestem. - Nie ma się czego bać, Kaz. -

Słowa Humy ubodły jego towarzysza. Rycerz na to właśnie liczył. Jeśli byle człowiek potrafił stawić czoło podobnemu wyzwaniu, on, minotaur, nie mógł okazać się gorszy. Parsknął wściekle, złapał Humę za rękę i wdrapał się na górę. Usiadł tuż za rycerzem. Nie odzywał się ani słowem, choć

wszystkie mięśnie miał napięte. Objął szyję smoczyca rękoma i nogami. - Czy obaj jesteście gotowi?

Huma obejrzał się na Kaza, który wpatrywał się przed siebie nie widzącymi oczyma. Odwrócił się z powrotem. - Na tyle, na ile to możliwe.

Serce mu waliło. Czuł się raczej jak małe dziecko niż jak rycerz solamnijski. - Czy polecimy wysoko?

Srebrna smoczyca naprawdę się roześmiała, wydając z siebie niski, gardłowy chichot. - Nie tak wysoko, jak byś tego pragnął, sądzę jednak, że nie będziesz rozczarowany.

Obrzuciła minotaura ostatnim, rozbawionym spojrzeniem, po czym zaczęła poruszać skrzydłami. Huma patrzył zafascynowany, jak grunt oddala się od nich. Po kilku sekundach srebrna smoczyca wzbijała się po spirali w niebo. Huma opuścił zasłonę, by choć częściowo osłonić twarz przed wiatrem. Kaz trzymał się tylko ze wszystkich sił. Nie zmienił metody ani zdania nawet wtedy, gdy srebrzysty olbrzym przestał się piąć w górę i przeszedł wreszcie do powolnego, jednostajnego lotu.

Huma uniósł zasłonę i nachylił się tak blisko nad smoczą głową, jak tylko mógł. - To... to fantastyczne!

- Może sam powinieneś urodzić się smokiem! - usłyszał w odpowiedzi krzyk. - Gdybyś tylko potrafił widzieć świat tak, jak ja! Nie próbowała wyjaśnić swych słów, a Huma jej o to nie prosił. Na krótką chwilę wojna, rycerstwo i wszystkie jego problemy zniknęły. Usiadł wygodnie, by chłonąć w siebie otaczające go piękno.

Rozdział czwarty

Wojna miała być szybka i rozstrzygająca. Takhisis, Królowa Ciemności, Królowa Smoków, wysłała do boju swe dzieci, swych niewolników, wojowników, magów oraz mistyków w jednej olbrzymiej armii. Celem jej ataku byli rycerze solamnijscy, albowiem dostrzegła w nich siłę i zagrożenie, które ongiś reprezentowali elfowie. Obecnie stali się oni jedynie cieniem swej ongiś wielkiej potęgi, gdyż dobrowolne wygnanie za świata zewnętrznego pozbawiło ich wigoru. Mogli zachekać. Zajmie się nimi dopiero wtedy, gdy rycerze zostaną zmiażdżeni.

Solamnijscy jednak również mieli sojuszników i - co najważniejsze - dyscyplinę i organizację, których rozpaczliwie brakowało stronnikom Królowej. Ponadto poświęcili swe życie jej odwiecznemu wrogowi, Paladine'owi.

Powiadano, że ów bóg osobiście stworzył rycerstwo. Z pewnością prawdą było, iż Vinas Solamnus, ergothiański dowódca zbuntowany przeciw tyranii swego cesarza, wprowadził przysięgę i regułę, których mieli przestrzegać jego żołnierze. Zawsze jednak utrzymywał, że na

odległej wyspie Sancrist, położonej na zachód od brzegów Ansalonu, natknął się na gaj, w którym oczekiwał sam Paladine. Wraz ze swymi bliźniaczymi synami, bogami Kiri-Jolithem i Habbakukiem, wyjaśnił on Vinasowi Solamnusowi, jak stworzyć potężną siłę działającą na rzecz dobra.

Od Habbakuka wywodził się Zakon Korony, który za swą podstawową wartość uważał wierność. Wszyscy nowo przyjęci rycerze stawali się jego członkami, by nauczyć się współdziałania, pomagania towarzyszom oraz wiernego przestrzegania przysięgi i reguły.

Od Kiri-Jolitha, boga walki o słuszną sprawę, wywodził się Zakon Miecza. Ci, którzy tego pragnęli, mogli wstąpić w jego szeregi, gdy tylko udowodnili swą wartość jako członkowie Zakonu Korony. Dla Rycerza Miecza najważniejszą sprawą był honor. Nie wolno mu było podnieść ręki w niesprawiedliwym gniewie, czy wyciągnąć broni dla załatwienia osobistych porachunków.

Na koniec był Zakon Róży, wywodzący się od samego Paladine'a. Stanowił on elitę. Jego rycerze utożsamiali się z dziełami swego boga tak bardzo, że nie liczyło się dla nich nic więcej. Ich życiem kierowały mądrość i sprawiedliwość. To spośród nich najczęściej wybierano wielkiego mistrza,

który władał całym rycerstwem.

Choć za życia Vinasa Solamnusa bynajmniej tak nie było, Zakon Róży z czasem stał się otwarty jedynie dla ludzi królewskiej krwi. Choć wszyscy rycerze twierdzili, że w ich żyłach płynie taka właśnie krew, Zakon Róży przyjmował jedynie tych, u których była ona najczystsza. Nikt nigdy nie zbuntował się przeciw tej zasadzie, choć pozostawała ona w sprzeczności ze wszystkimi naukami Paladine'a.

Wojna osiągnęła stan przerażającego pata. Ginęli ludzie, smoki, ogrowie, goblinowie - liczba ofiar rosła, padlinożercy napychali brzuchy, zaczęły się szerzyć epidemie.

- Nie wierzyłam... - głos srebrnej smoczyicy ucichł. Huma nie zdawał sobie sprawy, jak szybko zniszczenia mogą ogarnąć kolejny, do niedawna nietknięty obszar. Pod nimi, przerażająco rzeczywiste, widniały tego dowody.

Całe gaje dumnych, prastarych drzew powyrywały z korzeniami smoki bądź czarodzieje. Po polach zostały tylko wielkie kopce przeoranej ziemi zdeptanej śladami niezliczonych stóp. Walało się na nich mnóstwo trupów zarówno rycerzy, jak i ogrów, choć wydawało się, że tych drugich jest więcej. A może przez Solamnijczyka przemawiała jedynie ślepa nadzieja? Twarz Huma pobladła. Popatrzył na leżące wszędzie zwłoki, po czym

zasłonił na chwilę oczy, by odzyskać panowanie nad sobą.

- To bezcelowa walka - krzyczał mu do ucha Kaz. Głębokie zainteresowanie wojną przewyciężyło w minotaurze strach przed lataniem. - Crynus skubie i skubie, a dowódcy rycerzy odwzajemniają się mu własnymi ukąszeniami. Żadnej ze stron nie przyniesie to korzyści.

Te słowa sprawiły, że Huma zeszywniał. Kaz nie mógł nic poradzić na swą naturę. Bitwa była dla niego pretekstem do studiowania umiejętności obu stron i rozmieszczenia ich oddziałów. Nawet gdyby osobiście brał w niej udział, nie przestałby rozmyślać o strategii i taktyce. Nawet w chwili, gdy jego topór przeszywałby powietrze.

Srebrna smoczyca zwróciła głowę w ich stronę. - Oczywiście nie możemy tu wylądować. Kyre jest z pewnością stracone i to chyba dla obu stron. Z tych pól nikt nie zbierze pszenicy.

Huma zamrugał powiekami. - A więc jest jeszcze nadzieja. Linie zaopatrzeniowe ogrów muszą być rozciągnięte. U rycerzy wyglądają na bezpieczniejsze. - Ale rycerze ustępują siłą ogrom - wtrącił się minotaur.

Tak mocno skupili uwagę na rozciągającym się pod nimi pustkowiu, że żadne z nich nie zauważyło wielkich, ciemnych kształtów, które zmierzały w ich kierunku. To Kaz dostrzegł je pierwszy. Nagle złapał mocno Humę za ramię. Rycerz zwrócił wzrok w kierunku, w którym spoglądał minotaur.

- Smoki! - krzyknął do niosącego ich srebrnego olbrzyma. -Przynajmniej sześć.

Gdy się zbliżyły, Huma zaczął wyraźniej dostrzegać kształty i kolory. Czerwone smoki, prowadzone przez czarnego? Przymrużywszy powieki, zdał sobie sprawę, że to prawda. Ogromna czarna bestia miała na grzbiecie jeźdźca. Wszystkie ich miały!

- Nie zdołam walczyć z tak wieloma - oznajmiła srebrna smoczyca. -Zeskoczcie, gdy ziemia będzie blisko. Spróbuję je od was odciągnąć.

Zniżyła lot. Mknęła tuż nad drzewami, usiłując odnaleźć jakieś odpowiednie do lądowania miejsce, nim dościgną ich jej śmiertelnie groźni pobratymcy. - Musicie zeskoczyć, kiedy wam każę! Czy jesteście gotowi?

- Gorzka jest dla mnie myśl o ucieczce z pola bitwy, nawet toczonej wśród obłoków. Czy nie ma żadnego sposobu, byśmy mogli pomóc w walce, Humo? Rycerz odwrócił twarz od minotaura. - Nie, lepiej zeskoczmy. - Jak sobie życzysz. Przelecieli nad czymś, co ongiś było wiejskim domostwem.

Teraz

pozostał z niego jedynie niski, wałący się, ceglany mur o kształcie zbliżonym do prostokąta. Dalej jednak rozciągało się puste pole. - Zwalniam! Przygotujcie się! Zajęli odpowiednie pozycje. - Teraz!

Kaz ruszył się pierwszy. Runął na dół niczym ktoś trafiony w pierś strzałą. Szpony srebrnej smoczyca dotknęły lekko gruntu, gdy zawróciła, by raz jeszcze przelecieć nad polem. Huma nachylił się, by zeskoczyć z jej grzbietu. Zawahał się.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła do niego smoczyca. Szóstka jej przeciwników była coraz bliżej. - Nie możesz walczyć z nimi sama! - Nie bądź głupi! - Za późno! - wykrzyknął szybko.

Na każdym ze smoków zasiadała wysoka, złowieszcza postać odziana w czarną jak heban, pozbawioną wszelkich ozdób zbroję. Ich twarze były skryte za zasłonami hełmów. Huma nie potrafił odgadnąć, czy to ludzie, ogrowie, czy też ktoś jeszcze inny.

Dosiadający ogromnego czarnego potwora jeździec, przy którego potężnej postaci Huma wydawał się malutki, skinął na pozostałych. Czerwone smoki zwolniły lot, by poczekać na wynik walki. Czarny, spięty przez jeźdźca, zaskrzeczał ochoczo.

Przeciwnicy zbliżyli się do siebie przy akompaniamencie głośnych ryków. Błysnęły pazury. Jeden ze szponów wbił się w przedramię srebrnej smoczyca. Ta z kolei przeorała odsłoniętą pierś czarnego, zostawiając na niej głębokie szramy.

Zakuty w zbroję jeździec zamachnął się straszliwym, obosiecznym toporem. Huma uchylił się odruchowo przed atakiem. Gdy oba smoki zwarły się ze sobą, rycerz był w stanie zbliżyć się do przeciwnika na tyle, by spróbować zadać mu cios.

Pozostali jeźdźcy trzymali się z tyłu w nerwowym oczekiwaniu. Ich smoki skrzeczały gniewnie, rozłoszczone tym, że nie mogą wziąć udziału w walce.

Nagle srebrna smoczyca przejechała szponami po jednym ze skrzydeł przeciwnika. Ów zaskrzeczał z bólu. Czarny jeździec został ciśnięty w bok, co dało Humie szansę. Bez chwili zastanowienia rycerz pchnął nieprzyjaciela poniżej barku. Sztych z łatwością przedostał się przez cienką kolczugę. Impet sprawił, że miecz wbił się głęboko. Trafiony wróg jęknął i osunął się w tył.

Chór krzyków smoków i jeźdźców zwrócił uwagę czarnego olbrzyma na fakt, że jego podopieczny jest ranny. Poruszając się gorączkowo, potwór umknął swej srebrnej przeciwniczce.

Huma przygotował się na zmasowany atak, który z pewnością miał teraz nastąpić. Co jednak dziwne, nieprzyjaciel nie wykorzystał posiadanej przewagi. Pozostałe smoki otoczyły swego przywódcę i jego ciężko rannego jeźdźca ochronnym kręgiem, po czym sześć potężnych bestii oddaliło się w kierunku, z którego przyleciały. Rycerz i srebrna smoczyca patrzyli w osłupieniu na odlatującego wroga. Huma zauważył, że znowu oddycha spokojnie.

Smoczyca również odzyskała panowanie nad sobą. Jej rany nadal krwawiły. Huma zastanowił się, jak są poważne.

Jakby w odpowiedzi, odwróciła głowę, by mu się przyjrzeć. W każdym jej ruchu widać było troskę. - Czy jesteś ranny?

- Nie. A co z tobą? Czy potrzebna ci pomoc? - Jak opatrywało się rany smoka? - Nie wiem, czy potrafię ci jej udzielić, ale mogę spróbować.

Potrząsnęła lśniąca głową. - Uzdrowię się sama. Potrzebny mi jedynie odpoczynek. Bardziej mnie niepokoją osobliwe okoliczności tego starcia. To było coś więcej niż zwykły patrol. Nie potrafię wyjaśnić tej sprawy, jestem jednak przekonana, że to jakiś znak.

Huma skinął głową. - Musimy zabrać Kaza i polecieć do lorda Oswała. Powinien się o tym wszystkim dowiedzieć.

Srebrna smoczyca zniżyła lot i ujrzała coś, co sprawiło, że uśmiechnęła się cynicznie. - Wygląda

na to, że mamy nowych gości - powiedziała. - Takich, którzy, jak sędzę, nie będą zadowoleni, gdy ujrzą wśród siebie minotaura.

Spojrząwszy w tamtą stronę, Huma zobaczył ich. Rycerze solamnijscy. Uznał, że jest ich ponad dwudziestu. Patrol spod jego własnego sztandaru. Srebrna smoczyca miała rację. Było prawdopodobne, że rycerze zabiją Kaza, choć niewątpliwie kilku z nich przypląciłoby to życiem.

Ukryty w szczątkach wiejskiego wozu minotaur nie widział zbliżających się z tyłu jeźdźców. Podniósł się na nogi, by pomachać ręką do Humy i srebrnej smoczycy. Jeśli nawet rycerze nie zauważyli dotąd Kaza, lądowanie smoka nie mogło ująć ich uwagi. Jeden z nich dostrzegł istotę o głowie byka. Krzyknął do pozostałych, by ich ostrzec. Patrol natychmiast rozpoczął szarżę w pełnym pędzie. Minotaur odwrócił się błyskawicznie, usłyszawszy tętent kopyt. Zamarł na chwilę bez ruchu. Nagle topór, który Huma pozwoił Kazowi zatrzymać, opuścił swe

schronienie i zaczął kołysać się wyczekująco. Uniesiono miecze i wycelowano lance.

Humie przyszło do głowy tylko jedno rozwiązanie. Przekazał krzykiem swój plan srebrnej smoczycy. Zbliżający się wojownicy podnieśli ze zdumieniem wzrok. W ich uporządkowaną szarżę wkradł się chaos. Na widok wspaniałego mieszkańca powietrza zapomnieli na chwilę o wszystkim innym. Srebrna smoczyca wylądowała za plecami Kaza i zdołała złapać go za ramiona. Minotaur wydał z siebie okrzyk zdumienia. Wypuścił z rąk topór, gdy potężne szpony ścisnęły oba jego barki i uniosły go w górę. Rycerze szarpali mocno za wodze, rozpaczliwie próbując zatrzymać swe wierzchowce. Wydali głośne okrzyki radości na widok tego, co uważali za koniec minotaurzego marudera.

Kaz wydawał z siebie nieustanny potok przekleństw, od których pobladłby najgorszy bandyta. Niemniej w uścisku srebrnej smoczycy był bezsilny. Gdy oddalili się na pewien dystans, opuściła ona delikatnie minotaura na ziemię i wylądowała nie opodal.

Huma zeskoczył z jej grzbietu i natychmiast stawił czoło Kazowi. Podejrzewał, że zginąłby natychmiast, gdyby minotaur nie złożył wcześniej przysięgi, że będzie mu służył. W jego głęboko osadzonych oczach płonął ogień. Nieustannie parskał z gniewu. - Nie walcz! — rozkazał Huma.

- Zabijają mnie! Pozwól mi przynajmniej zginąć w walce, a nie stać tutaj jak jakiś olamowaty krasnolud źlebowy!

- Powiedziałem: nie walcz - powtórzył Huma bardzo cicho, z zimnym gniewem, który go zaskoczył.

Minotaur wypuścił z siebie gwałtownie powietrze. Wydawało się, że oklapł. Wbił wzrok w Humę. - Jak sobie życzysz. Pokładam wiarę w tobie, albowiem dwukrotnie ocaliłeś mi życie.

Znowu to samo! Poirytowany Huma również wypuścił z płuc powietrze. Odwrócił się, gdy zorganizowany na nowo patrol podjechał niepewnie do niezwykłej trójki. Jego dowódca - jedyny, który wyglądał na nie poruszonego widokiem wielkiego smoka - nakazał swym ludziom się zatrzymać. Pochylił się w siodle, chcąc przyjrzeć się młodemu rycerzowi. - Wygląda na to, że Bennett jednak się od ciebie nie uwolnił, Humo. Huma wreszcie go rozpoznał. - Rennard!

Dowódca patrolu podniósł zasłonę. Niektórzy z pozostałych poruszyli się niespokojnie. Twarz Rennarda była śmiertelnie blada. Gdy przemówił, wydawało się, że nie drgnął w niej niemal żaden mięsień. Mógł ongiś być przystojnym mężczyzną, lecz w młodości oszpecił go mór, który omal nie doprowadził do jego zgonu. Oblicze miał wymizerowane i pokryte bruzdami. Niektórzy z jego wrogów lubili żartować, że Rennard wówczas umarł, lecz po prostu tego nie zauważył. Podobnie barwnych komentarzy nigdy jednak nie wygłaszano w jego obecności. Tylko niewielu rycerzy mogło się z nim mierzyć.

Huma ucieszył się z widoku Rennarda. Od początku - od chwili, gdy przybył do Vingaardu, by

przedstawić petycję o przyjęcie w szeregi rycerstwa - starszy mężczyzna otaczał go opieką. Rennard poparł go, gdy pozostali zażądali, by odrzucono kandydaturę chłopca, który mógł jedynie zapewnić, że był synem rycerza, gdyż jego matka nie mogła przedstawić na to żadnych dowodów.

Rycerze uwolnili się już od lęku wywołanego widokiem smoka. Wszyscy przyglądali się Kazowi. Słychać było liczne szepty. Wiele z nich dotyczyło kwestii, skąd wzięła się tutaj tak dziwna istota. Rennard skinął na jednego z jeźdźców. - Zwiąż minotaura. Jestem pewien, że lord Oswal zainteresuje się tym stworem, a także pytaniem, co robi on tak daleko od pola walki. Kaz cofnął się, wznosząc w górę pięści. - Tylko spróbuj! Pierwszy, który mnie dotknie, nie dotknie już niczego! Jeden z rycerzy wyciągnął miecz. - Zuchwała bestio! Wcześniej zginiesz!

- Nie! - Huma podszedł do Rennarda. - On nie jest naszym wrogiem. Uciekał od ogrów. Gdy go znalazłem, był więźniem goblinów. Ocaliłem go. Zabił ogra, by uratować życie ludzi!

Kilku mężczyzn wygłosiło uszczypliwe uwagi na temat łatwości młodego rycerza. Huma poczuł, że jego twarz zapłonęła karmazynowa barwą.

Kaz parsknął. Obraza honoru Humy była zniewagą również dla niego, albowiem zawdzięczał temu człowiekowi życie. - A więc tak wygląda honor rycerzy solamijskich? Tak traktują swych towarzyszy? Być może myliłem się, sądząc, że rycerstwo może być równie honorowe, jak moja rasa!

Mężczyzna, który wyciągnął miecz, popędził swego konia naprzód. - Zapłacisz mi za to głowę, minotaurze! - Nie uczynisz nic w tym rodzaju, rycerzu Conradzie. Rozgniewany wojownik próbował zmusić Rennarda do opuszczenia wzroku, lecz - jak to zdarzyło się już niezliczoną ilość razy - to bladolicy rycerz odniósł zwycięstwo. Nikt nie mógł wytrzymać spojrzenia jego zimnych jak lód, niebieskich oczu.

- Prawdę powiedziawszy, nie macie podstaw, by oskarżać Humę o brak umiejętności oceny - ciągnął Rennard. - Wiecie o tym. Zachowujcie się jak rycerze, a nie małostkowi Ergothianie czy zarozumiali elfowie.

Pozostali wojownicy uspokoili się, choć było jasne, że nie ucieszyli się, iż zbesztano ich jak dzieci. Huma wiedział, że Rennard o to nie dba. Interesowała go tylko jego własna osoba.

- Zostawiam minotaura pod twoją opieką, Humo - rzekł. - Wiem o owej rasie więcej niż tamci. Jeśli przysięgnie, że pójdzie z tobą bez oporu, nie będzie mi potrzebne żadne inne zabezpieczenie.

Huma popatrzył na Kaza, który gapił się na cały patrol, a w szczególności na wychudzonego rycerza. Po chwili zastanowienia, minotaur wyraził wreszcie zgodę. - Składam ci przysięgę, że pójdę bez oporu i we wszystkich sprawach zdam się na osąd Humy.

Te ostatnie słowa stanowiły krytykę faktu, że rycerze nie uwierzyli w słowa swego towarzysza. Wszyscy poruszyli się niespokojnie. Nie podobała im się myśl, że tak potężny więzień będzie jechał między nimi nie spętany. Srebrna smoczyca spojrzała na nich z wyrazem lekkiej wesołości. Twarz Rennarda była pozbawiona wszelkiego wyrazu, lecz Huma odniósł wrażenie, że jego również rozbawiły słowa minotaura.

Dowódca patrolu wskazał za siebie kciukiem. - Mamy kilka nadliczbowych koni. Zdobyliśmy je około półtora kilometra stąd. Sądzę, że jeden z nich jest wystarczająco wysoki i silny, by udźwignąć minotaura. Gdy znajdziecie takie, które was usatysfakcjonują, chcę, żebyście obaj podjechali na przód kolumny. Mamy wiele do omówienia, rycerzu Humo. Twój raport z pewnością okaże się interesujący.

Pozostali rycerze ustąpili z drogi Humie i Kazowi, gdy ci wkroczyli między nich. Nadliczbowych koni było pięć - cztery bojowe rumaki oraz jeden koń pociągowy, najwyraźniej porzucony przez właściciela. Podobnie jak dwa z rumaków, okazał się on nieprzydatny pod wierzch. Trójkę zwierząt zabrano głównie ze względu na mięso pokrywające ich kości. Najwyższy z koni - jedyny zdolny do

udźwignięcia ciężaru minotaura - był narowisty, lecz nie do tego stopnia, by Kaz nie mógł nad nim zapanować. Dla Humy został srebrnosiwy wierzchowiec, którego rycerz natychmiast polubił. Dosiedli koni i podjechali do Rennarda. Huma rozejrzał się po pustkowiu. - Co tu się wydarzyło?

Pozbawiony wyrazu ton sprawił, że słowa Rennarda wydały się jeszcze bardziej przerażające. - A co zwykle się dzieje, Humo? Magowie toczą swe osobiste wojny i pustoszą okolicę, pozostawiając tym, którzy muszą chodzić po ziemi, jedynie nagą skałę i kratery. Smoki palą, mrożą lub

rozkopują resztę zielonych, żyznych terenów. W chwili, gdy dochodzi do starcia armii, zostaje niewiele - lub zgoła nic - o co warto byłoby walczyć.

Magowie byli dla Rennarda drażliwym tematem. Nikt nie wiedział dlaczego. Huma nigdy nie mówił mu o Magiusie w obawie, że go do siebie zrazi i straci jednego ze swych nielicznych orędowników. - Czy przegraliśmy?

- Doszło do pata. Walki po prostu przeniosły się na północ. Niemniej wysłano nas po to, by się upewnić, że ich odwrót nie ma na celu jedynie zmylenia przeciwnika. Mieliśmy właśnie zawrócić, kiedy was ujrzeliśmy.

Srebrna smoczyca, która do tej pory przez cały czas cierpliwie milczała, odezwała się wreszcie: - A więc nie widzieliście smoczyczych jeźdźców?

Rennard uniósł gwałtownie głowę. Pozostali rycerze zeszywnieli. - Czy powiedziałaś smoczyczych jeźdźców?

- Było ich sześciu. Wszyscy w czarnych zbrojach. Dosiadali czerwonych smoków, poza dowódcą, który leciał na czarnym olbrzymie. Nim nas zauważyli, wydawało się, że czegoś szukają. Próbowałam zyskać trochę na czasie, ale tu obecny rycerz nie chciał mnie opuścić. Uparł się, że weźmie udział w walce.

Ponieważ większość twarzy skrywały zasłony, Huma nie potrafił należycie ocenić reakcji swych towarzyszy. Kilku okazało aprobatę lekkim skinieniem głowy, dało się też jednak słyszeć, że jeden z pozostałych wymamrotał coś o zbytcej brawurze. Rennard sprawiał wrażenie zaabsorbowanego czym innym. - Powiedziałaś czarnym olbrzymie?

- Z największych. Niemniej był młody. Jego jeździec postanowił stoczyć z nami bój w pojedynkę. Gdy stanęliśmy do walki, wydarzyła się dziwna rzecz. Huma poważnie zranił jeździec i czarny smok był zmuszony wycofać się z bitwy. Zamiast szukać zemsty, pozostałe podążyły za nim, by pomóc rannemu dowódcy. Wykończyłyby nas, gdyby wszystkie zaatakowały jednocześnie. Nadal tego nie rozumiem.

Twarz Rennarda nadal nic nie wyrażała. Trudno było określić, w jakim stopniu zaniepokoiła go ta wiadomość. Gdy przemówił ponownie, wydawało się, że opowieść o ataku umknęła już z jego pamięci. - Mogę ci jedynie podziękować za przysługę, jaką oddałaś jednemu z naszych braci. Czy przyłączysz się do nas? Nie wiem nic o leczeniu smoczyczych ran, lecz jeśli moce kapłanów Mishakal będą w tym pomocne, w naszym głównym oddziale mamy ich kilku.

Wielka bestia zgłębia skrzydła - co zaniepokoiło niejednego rycerza, a także wiele koni - po czym odrzuciła jego ofertę. - Moje własne zdolności

wystarczą. Potrzebny mi tylko odpoczynek. Udaj się do mych pobratymców. Możliwe, że potem mnie zobaczysz. Ta ostatnia uwaga była skierowana raczej do Humy niż do Rennarda.

- Fascynujące było poznać cię choćby na tak krótką chwilę, rycerzu Humo - ciągnęła smoczyca. - Życzę ci szczęścia. Niech Paladine ma cię w swej opiece.

Bez dalszych ceregieli srebrna smoczyca wzbiła się wysoko w powietrze. Huma i pozostali musieli odwrócić wzrok, gdy z ziemi wzbił się tuman kurzu. Kiedy wreszcie opadł, zdumiewające

stworzenie było już daleko. Grupa obserwowała, jak smoczyca znika w chmurach. Rycerze wciąż byli wstrząśnięci jej obecnością. Rennard odwrócił się, by obrzucić spojrzeniem tych, którymi dowodził - w tym również Humę i Kaza - po czym zawrócił konia. Nie wydał żadnego rozkazu. Nikt tego po nim nie oczekiwał. Jeźdźcy po prostu podążyli za nim. Dwaj nowi przybysze jechali tuż za dowódcą patrolu.

Pokonali już spory kawałek drogi, gdy Rennard nakazał im gestem podjechać do swego boku. Mówiąc, nie przestawał obserwować szlaku przed nimi. - Ci jeźdźcy. Czy widziałeś ich już przedtem albo słyszałeś o nich, Humo? - A powinienem? - Być może. Minotaurze... - Mam na imię Kaz.

Sprawiał wrażenie zmęczonego tym, że zwracano się do niego tak, jakby nie był w pełni obecny. - Niech będzie Kaz. Z pewnością musiałeś o nich słyszeć?

- Czarna Gwardia. To jedna z wielu ich nazw. Służą magowi-renegatowi imieniem Galan Dracos oraz naczelnemu wodzowi Królowej, Crynusowi. - Co wiesz o samym naczelnym wodzu?

Kaz wzruszył ramionami. - To olbrzym. Wydaje się, że jedynie garstka uprzywilejowanych wie, czy jest ogrem, człowiekiem, czy kimś jeszcze innym. Jest znakomitym strategiem, skłonny podejmować ryzyko, nawet osobiste. Jego ulubionym wierzchowcem... wierzchowcem... - minotaur przestał mówić. Wybałuszył oczy.

Na twarzy Rennarda pojawił się wąski, morderczy uśmiezek. Na jego trupim obliczu stanowiło to przerażający widok. Rycerz zwrócił się w stronę Humy. - Jak sądzę, miał zamiar powiedzieć, że ulubionym wierzchowcem Crynusa jest olbrzymi czarny smok imieniem Charr. Zarówno jeździec, jak i bestia są nałogowymi ryzykantami i pojedynki są czymś, co nadzwyczaj uwielbiają.

- I... i ja z nim walczyłem.

Ta świadomość wstrząsnęła Huma. Stawił czoła samemu Crynusowi i uszedł z życiem.

Nagle zdał sobie sprawę, że naczelnny wódz również ocalał życie. Co prawda, został poważnie ranny, lecz Huma był pewien, że Crynus nie zginął. Przeczuwał, że naczelnny wódz go odnajdzie. Żeby odzyskać twarz. Odzyskać honor. Wyrównać rachunek z nawiązką. Żeby zabić go.

- Jak rozumiem, naczelnny wódz bardzo poważnie traktuje swe pojedynki - dodał Rennard, niemal od niechcienia. Ponaglił raptownie swego wierzchowca do szybszego biegu. Pozostali podążyli za nim, tak szybko, jak tylko mogli. Nawet wtedy jednak nie posuwali się wystarczająco prędko dla Humy, który zaczął z nagłym niepokojem przyglądać się niebu.

- Rozdział piąty

Choć z góry spustoszenia wyglądały okropnie, z bliska okazały się jeszcze gorsze. Huma widział teraz, jak gruntownie śmierć przeorała tę okolicę. Kyre, ongiś ludne miasto leżące w pobliżu granicy z Ergothem, przestało istnieć. Pola wypalono. Wszędzie wały się trupy przywodzące na myśl zepsute zabawki. Z większości budynków zostały tylko nagie ściany albo i mniej - czy też tego, co z nich zostało - przerażający odór rozkładu stawał się coraz silniejszy. Huma modlił się o to, by nie stracić panowania nad sobą. Nie sprawił mu satysfakcji fakt, że kilku innych rycerzy wyglądało tak, jakby dręczyły ich mdłości. Rennard jechał przed siebie z obojętną miną.

Pod koniec dnia ich konie i zbroje pokryła warstwa błota. Zdając sobie sprawę, że od głównych sił dzieli ich jeszcze wiele godzin drogi, a także wiedząc, że ścieżki przed nimi są zdradzieckie, Rennard zarządził postój w suchym miejscu położonym nie opodal, obok odcinka ubitej ziemi, który ongiś służył jako wiejska droga. Z tyłu dostrzegali obłoki dymu buchającego z pogorzelsk Kyre. Pożary dawno już zgasły, lecz dym wciąż się unosił, całkiem jakby chciał przypomnieć rycerzom o ich porażce.

Noc minęła bez incydentów. Kaz, wierny swej przysiędze, próbował do rana pełnić straż nad młodym rycerzem. Wreszcie zarówno Rennard, jak i Huma nakazali wyczerpanemu minotaurowi

położyć się spać.

Z pierwszym brzaskiem ruszyli w dalszą drogę. Huma i Kaz ponownie jechali tuż za dowódcą patrolu. Młody rycerz próbował wciągnąć Rennarda w rozmowę, lecz ten był równie małomówny, jak zawsze. Odzywał się tylko wtedy, gdy uznawał to za konieczne. W innych sytuacjach milczał.

Około dwunastej zbliżyli się do obwodu południowego skrzydła. Bitwa przerodziła się w wielką serię potyczek. Obie strony poszukiwały słabych punktów przeciwnika. Ich patrol miał szczęście. Gdyby nadciągnęli o innej porze dnia, mogliby natknąć się na jedno z takich starć.

Niektórzy z rycerzy wydali na widok jeźdźców ochryply okrzyk radości, błędnie biorąc ich za posiłki. Niskie morale rzuciło się w oczy. Gdy Solamniczycy rozpoznali Rennarda i Humę, okrzyki zamarły na ich wargach.

Obóz południowego skrzydła mieścił się na południowy zachód od ruin miasta. Rennard nakazał swemu wierzchowcowi zatrzymać się. Przed przybyszami wznosił się olbrzymi namiot otoczony przez Rycerzy Miecza.

Bładolicy jeździec nie zsiadł z konia. Wezwał do siebie kapitana straży. Ów pobladł na widok Rennarda. Zasalutował mu szybko. Trupie oblicze spojrzało na niego z góry. - Kto tutaj dowodzi?

- Lord Killian. Tu go jednak nie znajdziecie. Pojechał do swych ludzi, by spróbować podnieść ich na duchu. Strażnik sprawiał wrażenie, że bardzo wątpi w powodzenie tej próby.

Rennard skinął głową. - W takim razie może ty zdołasz nam pomóc. Gdzie znajdziemy kwaterę główną lorda Oswala? Gdy nasz patrol odjeżdżał, była w tej okolicy.

Porażony zimnym spojrzeniem Rennarda strażnik poinformował ich, że kwaterę główną przesunięto o kolejny pełen dzień drogi, tym razem w kierunku północno-wschodnim. Wiecznie ironiczny Kaz wymamrotał coś o uganianiu się za własnym ogonem. Uspokoilo go srogie spojrzenie Humy. Po kilku sekundach grupa ponownie ruszyła w drogę.

Okazało się, że tereny leżące na północnym wschodzie są w znacznie lepszym stanie. Już po godzinie jazdy rycerze ujrzeli pierwsze żywe drzewa. Stopniowo było ich widać coraz więcej. Choć niskie i przysadziste, były to jednak drzewa! Nastrój w drużynie poprawił się nieco.

Przez cały czas jazdy ani na chwilę nie stracili z oczu dwóch ogromnych armii manewrujących wśród wzgórz i zagajników. Na północy ciągnęły się łańcuchy górskie stanowiące granicę między Solamnią a Ergothem. Wznosiło się tam kilka przeszywających niebo turni stanowiących siedzibę wielkiej kolonii straszliwych ogrów. Ci, którzy wazyli się wędrować przez te okolice, ryzykowali życiem i zdrowiem.

Droga się przeciągała. Huma pogrążył się w myślach. Co powie lord Oswal, gdy usłyszy jego raport? Stosunki pomiędzy najwyższym wojownikiem a wielkim mistrzem zawsze były napięte. Lord Trake nie był zbyt zadowolony, gdy jego brat postanowił poprzeć młodego Humę. Ta decyzja mogła na dłuższą metę okazać się katastrofalna dla lorda Oswala z uwagi na zajmowane przez niego stanowisko. Mógł utracić wiele wpływów i władzy, gdyby Huma nie sprawdził się jako rycerz. Bez względu na całe swe sławetne dobro, rycerstwo było organizacją polityczną. Nie była to jednak sprawa Humy. Zastanawiał się tylko, co stałoby się z armią, gdyby dowodził nią ktoś inny niż najwyższy wojownik. Lord Oswal był najzdolniejszym generałem w całym rycerstwie.

Rennard krzyknął głośno i wskazał ręką na zachód. Wszystkie oczy zwróciły się w tamtą stronę. Już przedtem zachmurzone niebo w kilka

chwil stało się czarne jak smoła. Obserwatorzy patrzyli, jak ciemność posuwa się naprzód niczym chmura szarańczy nad polem uprawnym. Wiedzieli, co mają przed oczyma - czary najbardziej niegodziwego rodzaju. Słudzy Królowej ponownie wzięli się do dzieła, próbując złamać linie obrońców.

Rennard zwolnił. Popatrzył na pozostałych spod zasłony. Wbił wzrok w Humę i Kaza. - Czy minotaur będzie walczył po naszej stronie, jeśli go o to poprosisz, Humo? Kaz parsknął głośno. - Sam mnie poproś, żywy trupie!

Bładolicy rycerz zignorował szyderstwo, jak gdyby był to wiatr wiejący mu w twarz. - Czy będziesz walczył po naszej stronie?

Huma poczuł na sobie świdrujące spojrzenie Rennarda. - Decyzja należy do ciebie, Kaz.

Na krowiej twarzy pojawił się okrutny, pełen zębów uśmiech. - W takim razie będę walczył i to z chęcią. Da mi to szansę na rozprostowanie mięśni. Poza tym, dla moich pobratymców stałem się wyrzutkiem w chwili, gdy postanowiłem powalić ogra i uciec. Gdyby mnie schwytali, zabiliby mnie natychmiast. U waszego boku będę miał szansę udowodnić, że mój honor nie zginął. - A więc wspomóżmy swą siłą naszych braci.

Wypowiedziawszy te słowa, Rennard spiął wierzchowca. Ktoś wydał z siebie okrzyk bojowy. Huma zazgrzytał zębami. Miał nadzieję, że inni uznają jego grymas za wyraz zawziętej determinacji, a nie próbę stłumienia części targających nim uczuć. Pełzająca ciemność wybiegła im na spotkanie.

Równie dobrze mogliby walczyć o północy w bezksiężycową noc. Słysząc było wrzaski rannych i umierających oraz pełne wigoru krzyki wojowników obu stron. W powietrzu mknęły olbrzymie, mroczne kształty. Niekiedy atakowały one postacie stojące na ziemi, lecz rzadko z pełną siłą. Nie użyto jeszcze smoczego strachu. Na ziemi panował zbyt wielki chaos. Smoki mogłyby równie dobrze zniszczyć własnych sojuszników.

W jaskrawych rozbłyskach czystej mocy można było dostrzec fragmenty rzezi rozgrywającej się na polu bitwy. Magowie odziani w biel i czerwień walczyli z ubranymi na czarno. Troska o to, by nie przekroczyć granic rozsądku uniemożliwiła Czerwonym i Białym Szatom odniesienie zwycięstwa. Brak rozwagi zagradzał drogę do triumfu Czarnym. Niemniej obie strony osiągnęły pewne rezultaty. Olbrzymia atramentowa plama, która nadpłynęła tak szybko, zatrzymała teraz swój śmiertcionośny pochód, a nawet cofnęła się lekko. Czarne Szaty nie mogły dłużej niż przez krótką

chwilę jednocześnie atakować swych kolegów i podtrzymywać siły ciemnego obłoku.

Nagle niebo wypełniło się smokami. Było ich więcej niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. Zbierały się cicho i powoli, z myślą o tej właśnie chwili. Gdy ciemność ustąpiła, wypadły spod osłony chmur. Było ich znacznie więcej niż tych, które walczyły po stronie rycerzy. Czerwone, czarne, zielone, niebieskie - firmament pokryły kolory śmierci.

Choć wróg miał przewagę liczebną, smoki światła poleciały mu na spotkanie. Było ich jednak za mało. Dzieci Królowej Smoków szybko zaczęły wdzierać się między szeregi rycerzy. Ich ostateczny cel znajdował się dalej. Zalewały swą masą pagórkowate tereny, by osłonić ogrów i innych naziemnych sojuszników, którzy w tej samej chwili ruszyli naprzód wielką liczbą spomiędzy wzgórz. Rycerze znaleźli się w ciężkim położeniu. Obiegło ich zbyt wielu wrogów. Spoglądali na nowo przybyłą drużynę, licząc na jej wsparcie.

Z wzniesionymi mieczami i opuszczonymi lancami, patrol Rennarda przegrupował się, tworząc ofensywną formację. Nie obawiali się mknących nad nimi smoków. Linia obrońców nie pęknie.

Huma był jednym z tych, którzy nie mieli lancy. Wiedział jednak, że jego miecz wkrótce znajdzie przeciwnika. Pragnąc gorąco przełamać patową sytuację, ogrowie ruszyli już do ataku. Ich pierwsza fala postanowiła uderzyć w tej samej chwili, gdy Huma i jego towarzysze dotarli na pole bitwy. Pagórkowaty teren zmusił rumaki do zwolnienia biegu. Huma ujrzał, że jeden z rycerzy padł na ziemię, gdy jego koń stracił grunt pod nogami. Kilka innych wierzchowców również się potknęło. W chwilę później uderzyli w czoło formacji atakujących ogrów.

Wszędzie wokół rozbłysnął metal. Wydawało się, że wszyscy krzyczą na całe gardło. Huma

rozpaczliwie odbijał każdy wymierzony w siebie cios. Powalił kilku ogrów, niemal nie zdając sobie z tego sprawy. Spojrzał prosto w twarz jednego z wrogów. Była owłosiona i okrutna, z długimi, ostrymi zębami, jak u minotaura - szerokie, płaskie oblicze z oczyma o czerwonych obwódkach. Oddech ogra był cuchnący. Huma odpędził napastnika kopniakiem.

Uszu Humy dobiegł dziki śmiech, dziwnie pasujący do rozpaczliwej sytuacji. Otoczony walczącymi, wymachujący toporem we wszystkie strony, olbrzymi Kaz był bezlitosną siłą niosącą chaos i śmierć. Wszystkie ciosy trafiały w cel. W oczach masywnego stworzenia lśniła żądza krwi. Nagle Huma stracił Kaza z oczu, gdy kolejni ogrowie podjęli próbę pozbawienia go życia.

Topór drasnął nogę młodego rycerza. Jedynym, co ocaliło go przed utratą kończyny, był fakt, że uderzył jako pierwszy i to celnie. Kiedy stwór zadawał mu cios, był już martwy. Niemniej szok sprawił, że Huma stracił na chwilę panowanie nad sobą. Omal nie opuścił miecza. Wrogowie powaliliby go natychmiast, gdyby nie Rennard. Wysoki rycerz przerąbywał się przez nieprzyjacielskie szeregi w miarowym tempie. Ogrowie próbowali uciekać przed tą maszyną do zabijania, lecz Rennard dopadał ich. Huma wybałuszył oczy. W tej chwili wydawało się, że między rycerzem a minotaurem nie ma wielkiej różnicy.

Mimo to szarża nie osiągnęła celu. Wyglądało na to, że czeka ich klęska. Wtem do bitwy przyłączyły się kolejne olbrzymie postacie - tym razem po stronie Solamnińczyków. Przybyły posiłki. Ekstaza trwała krótko. Na Humę rzucił się kolejny ogr.

Atramentowa czerń zniknęła równie nagle, jak się pojawiła. Opór czarodziejów służących Królowej osłabł. Rycerze ruszyli do ataku, gnani nową nadzieją. Huma ujrzał, jak grunt eksploduje w górę. Zadrzał na myśl o niezliczonych nieprzyjacielskich wojownikach wyrzuconych wysoko w powietrze po to tylko, by w kilka sekund później runąć na ziemię. - Humo!

Był to głos Rennarda. Wydawało się, że rycerz chce go ostrzec. Huma zwrócił się w jego stronę. W tej samej chwili ciemność nagle powróciła. Ktoś zwarł się z nim. Humie udało się zasłonić mieczem przed przeciwnikiem, a następnie ciąć go w szyję.

Skierował konia w ciemność. Miał zamiar odszukać swych towarzyszy, kierując się jedynie słuchem. Stało się to jego zgubą. Przez mrok przemknęło coś ciężkiego, co uderzyło mocno w tył jego hełmu. Osunął się do przodu i ześliznął z siodła.

Huma nie spodziewał się, że śmierć będzie tak piękna i łagodna. Wyciągnęła ręce i otarła mu czoło, po czym uniosła lekko jego głowę, by pozwolić mu napić się odrobinę wody.

Rozjaśniło to lekko jego myśli. Zrozumiał, że nie jest martwy. Twarz, którą widział nad sobą, nie należała do śmierci, lecz do młodej, pięknej kobiety o białych - nic, srebrnych - włosach. Zafascynowały go one tak bardzo, że spróbował sięgnąć ku nim ręką, by ich dotknąć. Ku jego zaskoczeniu, ból wywołany tym prostym ruchem był tak potężny, że ponownie pochłonęła go nieświadomość.

- Czy masz zamiar kiedykolwiek się ocknąć? Burkliwy, lecz zatroskany głos przebił się przez mgłę spowijającą umysł Humy. Rycerz zamrugał

- powiekami, po czym zacisnął je mocno pod wpływem jasności.

- Odrobina światła cię nie zabije. Nie po tym, gdy nie udało się ogrom i smokom.

Huma odważył się spróbować raz jeszcze, tym razem wolniej. Trochę blasku przesączyło się przez jego rzęsy.

Otworzył oczy nieco szerzej. Wokół zaczęły się pojawiać różne kształty. Najwyraźniejszym z nich była brzydka, nieludzka gęba minotaura. - Kaz? Przestraszył go własny, charkotliwy głos. - Zgadłeś.

Huma przyjrzał się otoczeniu. Znajdował się w namiocie, w którym rycerze trzymali swych

ranych. Większość pozostałych łóżek była pusta. Na nielicznych, które były zajęte, spoczywały postacie pogrążone w głębokim śnie - albo może w czymś głębszym niż sen. Zadrżał. Przywołało to ból z powrotem. - Co mi się stało?

Na zwierzęcej twarzy wykwitł niemal ludzki uśmiech. Kaz wydał z siebie niski chichot. - Wiele różnych rzeczy. Najpierw oberwałeś płazem topora. Nie przejmuj się, otarł się tylko o bok głowy. Osunąłeś się w dół, spadłeś z konia i omal nie stratowano cię na śmierć. Szczęśliwie się złożyło, że przez cały ten czas byłeś nieprzytomny. To cud, że nie połamałeś sobie żadnych kości, mój przyjacielu Humo. Z pewnością zarobiłeś wystarczająco wiele siniaków. - Wszystko mnie boli. - Nic dziwnego. Powiedz mi, czy zawsze jesteś tak nieostrożny? Huma uśmiechnął się. Podobnie jak wszystko inne, okazało się to bolesne. - Czy jest przytomny?

Zapominając o bólu, odwrócił szybko głowę w stronę, z której dobiegał melodyjny głos. Wbił wzrok w wizję ze swych snów. Jej głowę okalały srebrnawe włosy. Miała na sobie suknię podobną do szat noszonych przez uzdrowicielki Mishakal, lecz na jej gładkiej szyi koloru kości słoniowej nie było medalionu. Szata nie była w stanie skryć jej kobiecych wdzięków. Huma zmusił się do odwrócenia wzroku, w obawie że ogarniające go zawstydzenie może wszystko zepsuć.

- Przytomny, żywy i najwyraźniej mniej cierpiący niż mu się zdawało - minotaur podniósł się z miejsca. - Zostawię cię w rękach tej uzdrowicielki, Humo. Kiedy ty sobie wypoczywałeś, ja byłem zajęty ujawnianiem wszystkiego, co zapamiętałem z planów strategicznych moich byłych

- panów.

- Pozwalają ci swobodnie poruszać się po obozie? Jeśli faktycznie tak było, stanowiło to zdumiewający gest ze strony rycerstwa.

Kaz prychnął pogardliwie. - Pod warunkiem, że towarzyszy mi dwóch uzbrojonych strażników. Raczli pozwolili mi na rozmowę z tobą na osobności.

- Jesteś dla nas niesprawiedliwy, Kaz. Zwierzolud potrząsnął przerażającą głową. - Nie. Być może dla ciebie i garstki innych, ale nie dla rycerstwa jako całości.

Kaz oddalił się dumnym krokiem, nie mówiąc już ani słowa. Huma spoglądał w ślad za nim. Jątrzące słowa minotaura nie pozostały bez echa. Czy rycerstwo faktycznie zasługiwało na podobną wzgardę? To niemożliwe. - Masz interesujących towarzyszy. Huma ponownie zwrócił uwagę na kobietę. - Słucham?

Uśmiechnęła się i wydawało się, że był to uśmiech pełen czystej doskonałości. Wargi miała pełne i czerwone. Nad nimi, idealnie umiejscowiony, widniał zgrabny nosek oraz dwoje oczu o kształcie migdałów. Były one koloru słońca, ostro kontrastującego z jej lśniącymi lokami. Ogólne wrażenie nie było w pełni ludzkie. Huma podejrzewał, że znaczną część swej urody dziewczyna zawdzięcza elfim przodkom. - Czy już skończyłeś? - zapytała z nutą wesołości w głosie. Zdał sobie sprawę, że gapi się na nią z bezwstydną fascynacją. Twarz mu poczerwieniała. Przeniósł wzrok na sufit.

- Przepraszam. Nic chciałem cię zirytować, wielmożna pani - zająknął się lekko i zaczerwienił jeszcze mocniej.

Uśmiech stał się jeszcze szerszy i - co niewiarygodne - bardziej doskonały. - Nie mówiłam, że mnie to irytuje.

- Wyjęła ze stojącej obok miski wilgotną szmatkę i zaczęła wycierać mu głowę. - Nie jestem też wielmożną panią. Gwyneth całkowicie wystarczy. Ostatecznie to moje imię. Odważył się odwzajemnić jej uśmiech. - Ja nazywam się Huma.

Skinęła głową. - Tak, wiem o tym. Zarówno minotaur, jak i rycerz, który cię przyniósł, kilkakrotnie wymieniali twoje imię. Nigdy jeszcze nie widziałam minotaura.

- Kaz to przyjaciel. - Huma postanowił poprzestać na tym. Brak mu było sił, by udzielić dokładniejszych wyjaśnień. Nagle coś przyszło mu do głowy. - Powiedziałaś rycerz? Czy wiesz który? - Nie mogłabym go zapomnieć. - Po ciele Gwyneth przebiegł dreszcz. -

Postacią i głosem bardzo przypominał trupa. Wyczułam w nim jednak pewien smutek.

Huma nigdy nie słyszał, by opisywano Rennarda w ten sposób, zrozumiał jednak, że bladolicy rycerz zdołał jakoś wynieść go z pola śmierci. - Czy czujesz się już lepiej? Miał wrażenie, że ból osłabł. - Tak. Czy to tobie mam dziękować za ten cud? Zarumieniła się. - Nie. Tylko pomagam uzdrowicielom.

Huma spróbował się podnieść, przekonał się jednak, że jest jeszcze za słaby na podobny manewr. Skrzywił twarz z bólu. Gwyneth popatrzyła na niego jak na niegrzeczne dziecko. - Nie próbuj tego więcej.

- Nie sądzę, bym był w stanie. Czy żaden z kapłanów mnie nie uzdrowił?

- Jest ich w obozie tylko garstka. Będziesz się musiał zadowolić niewielką pomocą, której byli w stanie ci udzielić. Nawet możliwości uzdrowicieli mają pewne granice. - Choć Gwyneth nadal się uśmiechała, ton jej głosu wskazywał, że według niej kapłani są przeciążeni. - Gdzie jesteśmy?

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

- W lasach porastających zachodnie kresy Solamnii. Byłeś nieprzytomny przez cały dzień jazdy. To wyjaśni ci, na jaką mniej więcej odległość oddaliliśmy się od frontu. - Czy zwyciężyliśmy? Huma nie był w stanie uwierzyć, że linie wytrzymały.

- Nikt nie zwyciężył. Skończyło się tak samo, jak zawsze. Gdyby nie wasza grupa, ogrowie mogliby przełamać front. Na szczęście, znowu im się nie udało - przerwała, głęboko zamyślona. Po chwili ponownie zaczęła mówić, innym już tonem. - Dość już rozmów o wojnie. Czy miałbyś ochotę coś przekazać? Od dwóch dni nic nie jadłeś.

Huma z ochotą zgodził się na jakiś posiłek. Przeraził się jednak, gdy Gwyneth zaczęła rozrabiać papkę koloru kredy. Podniosła wzrok i ujrzała jego minę. Uśmiechnęła się miło. Wsunęła z miski łyżkę i nachyliła się nad Huma, by go nakarmić. Rycerz spojrział spode łba na substancję. - Nie jest taka zła, jak by się zdawało, Humo. Spróbuj trochę. Czując się jak dziecko, otworzył bardzo ostrożnie usta. Przekonał się, że Gwyneth mówiła prawdę. Papka smakowała lepiej niż się tego spodziewał. Zmusił się, by zjeść jej więcej, raczej po to, by nie wypaść głupio w oczach dziewczyny, niż dlatego, że naprawdę miał ochotę na

podobną potrawę. Poczul się zadowolony, gdy resztkę substancji zniknęła.

Gwyneth również wyglądała na usatysfakcjonowaną, kiedy odstawiała miskę na bok. - Przykro mi, że cię opuszczam, ale mam też inne zadania. Od czasu do czasu będę do ciebie zaglądać. Obiecuję. Wyciągnął ku niej dłoń. - Ponownie ci dziękuję.

Zawahała się. Zawstydzony Huma opuścił rękę. Z kłopotliwej sytuacji wybawiło ich pojawienie się Rennarda w wejściu do namiotu. Gwyneth zabrała swe rzeczy i wymknęła się na zewnątrz. Huma spojrział w ślad za nią, po czym przeniósł wzrok na rycerza.

- Minotaur powiedział, że odzyskałeś przytomność i wracasz do siebie. Usłyszałem to z radością. - Bezbarwny głos Rennarda brzmiał tak, jakby rycerz odczytywał listę prowiantu, lecz mimo to Huma uwierzył w jego słowa. Podobnie jak Gwyneth, wiedział, że za noszoną nieustannie przez jego gościa maską obojętności kryje się coś więcej.

Rennard uniósł zasłonę. Huma bez oporów patrzył w twarz, od której tak wielu odwracało wzrok. Fakt, że bladolicy rycerz się tu zjawił, był ważny. Poza nim, niewielu interesowało się Huma na tyle, by złożyć mu wizytę.

Rennard przyklęknął obok. - Trzymaj zawsze gardę uniesioną, Humo. To twoja jedyna słaba strona. - Pomijając fakt, że ciągle obrywam po łbie.

Wąskie wargi rozciągnęły się na króciutką chwilę w słabym uśmiešku. - Tak. Z tym również musisz skończyć. To może się okazać niezdrowe.

Gdyby nie to, że dobrze znał Rennarda, Huma mógłby uznać, że rycerz mówił poważnie. - Co się dzieje? Gwyneth... - Ta młoda kobieta? Huma poczerwieniał. - Tak. Mówiła, że wróciliśmy do sytuacji patowej.

Rennard westchnął. Uniósł rękę, by zdjąć hełm. Odkrył w ten sposób przyklepione do głowy włosy barwy szronu. Był jednym z nielicznych rycerzy, którzy zamiast zapuścić długie i gęste wąsy chodzili gładko ogoleni, a także jednym z nielicznych, którzy obcinali włosy znacznie powyżej kołnierza. Nikt nie kwestionował jego decyzji. Rennard to był Rennard.

- Tak to chyba aktualnie wygląda. Bennett twierdzi, że to znak, iż nasze zwycięstwo jest pewne. Raz za razem powtarza, że wielkie uderzenie Crynusa załamało się. Od czasu, gdy stoczyłeś z nim tę potyczkę, nikt go nie widział ani o nim nie słyszał. Bennett posunął się nawet do tego, że na swój

sposób cię pochwalił. - Pochwalił? -

- Cytuję: Częściowo dzięki zdumiewającemu szczęściu tego rycerza, naczelny wódz Crynus może być martwy albo przynajmniej wyłączony z akcji.

Huma odwrócił twarz. Bennett mówił prawdę. Miał szczęście. Prawdziwy rycerz lepiej wykorzystałby podobną okazję i dopilnowałby, aby naczelny wódz nie uszedł z życiem.

- Wiem, co myślisz, Humo. Daj spokój. Nie jesteś gorszym rycerzem niż Bennett i jego popychadła. A nawet lepszym. Nie straciłeś z oczu prawdziwego świata.

Gdy Huma ponownie zwrócił się w jego stronę, Rennard pogrążył się w pełnym zakłopotania milczeniu. - Ile czasu upłynie, nim mnie stąd wypuszczą? - Nie zrobią tego, dopóki nie będziesz gotów.

- A lord Oswal? Czy ma coś do powiedzenia? Huma poczuł dreszcz strachu. Starszy rycerz był dla niego jak ojciec, którego nigdy nie znał.

Rennard podniósł się i założył hełm. Skinął głową. - Najwyższy wojownik życzy ci wszystkiego najlepszego i jak najszybszego powrotu do zdrowia. Mówi, że nadal ma niezachwianą wiarę w twe zdolności.

Najwyższy wojownik chciał w ten sposób powiedzieć, że wciąż jest bardzo dumny z Humy. W niespotykany sposób podniosło to na duchu młodego rycerza.

- Wypocznij dobrze, Humo. Spróbuję cię odwiedzić, gdy tylko będę miał wolny czas.

Gość wyszedł, pozostawiając Humę własnym myślom. Ranny zastanawiał się, czy kiedykolwiek stanie się takim rycerzem jak Bennett, lord Oswal bądź Rennard. Pomyślał o naczelnym wodzu sił zła, Crynusi, i zadał sobie pytanie, czy zakuta w czarną zbroję postać spróbuje poszukać zemsty na tak mało znaczącej osobie, jak on.

Coś przeszło cicho obok namiotu, w którym leżał. Nie był to koń, lecz chyba raczej pies. Nozdrzy rycerza dobiegł lekki odór. Usłyszał, że coś podrapało w brezent, jakby sprawdzało jego wytrzymałość. Światło pochmurnego dnia pozwoliło Humie dostrzec jedynie blady zarys jakiejś postaci.

Kapłan Mishakal wszedł do namiotu, by sprawdzić samopoczucie rannych. Kształt kryjący się za ścianą namiotu umknął. Choć poruszył się gwałtownie, odbyło się to niemal bezgłośnie. Woń rozproszyła się szybko. - Kapłanie?

Sama obecność starszego mężczyzny uspokoiła Humę. Był on niski i lekko brzuchaty. Na całej głowie miał nie więcej niż dwa tuziny włosów.

- Jestem Broderin. Czy mogę ci w czymś pomóc?

Huma zastanowił się głęboko, nim się odezwał. - Czy... czy w okolicy obozu są jakieś wilki? Wilki albo duże psy?

Broderin zeszywniał, jak gdyby spodziewał się, że jakaś wielka bestia wpadnie do środka przez poły namiotu. Po chwili odzyskał panowanie nad sobą. - Wilki? Psy? Tych drugich może trochę być, ale nie w tym miejscu. Co zaś do wilków... - kapłan zachichotał nerwowo. - Wilk pomiędzy rycerzami Paladine'a? Nie sądzę. Tu ich nie ma, mój synu, nie licząc tych, które walczą po drugiej stronie. Niestety, większość z nich jest inteligentna. Dlaczego pytasz? - Zdawało mi się, że widziałem wilka.

To przyprawiło staruszkę o kolejny atak niepokoju. Choć jego głos był w miarę spokojny, oczy poruszały się w różne strony, jak gdyby wszędzie widział wspomniane zwierzęta. - Musiałeś się pomylić, mój synu, albo może dręczą cię złudzenia wywołane ranami. Tak, to na pewno to. - Czy jesteś pewien? To, co widział, wydawało mu się całkiem realne.

- Każę komuś zbadać okolicę. Może przybłąkał się tu skądś jakiś pies. To zawsze jest możliwe.

Kapłan zwrócił się ku następnemu z rannych, dając do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną. Huma przyglądał mu się przez chwilę, po czym zamknął oczy.

Spał, na szczęście, spokojnie i bez przerw. Jedynie przez chwilę dręczył go sen, w którym coś bladego skradało się za nim przez nie kończący się las. Prześladowca zawsze znajdował się tuż za nim, a jednocześnie poza zasięgiem wzroku.

Tak jak w przypadku większości snów i koszmarów, po przebudzeniu nie pamiętał z niego nic.

Rozdział szósty

Huma wyszedł z namiotu, by po raz pierwszy przyjrzeć się obozowi. Nie znał jego dokładnej lokalizacji, zauważył jednak, że kwaterę dowództwa przesunięto raz jeszcze, najwyraźniej w kierunku granicy. Tak blisko Ergothu teren był gęściej porośnięty drzewami, które w dodatku były zdrowe i nienaruszone. Z powodów, których mógł się jedynie domyślać, bliżej gór ogrowie z większą uwagą unikali niszczenia okolicy. Nie mogło to raczej być spowodowane urokiem krajobrazu. O ile ktokolwiek coś na ten temat wiedział, rasa ta nie była szczególnie wrażliwa na piękno. Gdzieniedzie rósł tam prawdziwy las - wysokie, prastare drzewa, które mogły pamiętać spokojniejsze czasy, a nawet widzieć pierwszych elfów.

Huma oceniał, że nie opodal obozowało od dwustu do trzystu rycerzy. Stacjonujący tu ludzie stanowili mieszaninę złożoną z osobistej straży lorda Oswala, rannych będących w różnych etapach powrotu do zdrowia, garstki forysiów, którzy wspomagali rycerstwo swą znajomością terenu, a nawet kilku magów oraz kapłanów. Te dwie ostatnie grupy trzymały się tak daleko od siebie, jak tylko było to możliwe. Magowie nie ufali większości kapłanów, uważając ich za religijnych fanatyków, ci drudzy zaś, aczkolwiek bardziej tolerancyjni, nie dowierzali ceniącym niezależność czarodziejom, którzy koncentrowali się raczej na mocy niż na wierze w bogów.

Nikt nie ufał magom całkowicie. Dlatego właśnie nie pozwalano im na noszenie broni. Dzięki temu pod przynajmniej jednym względem rycerze

mieli nad nimi przewagę. - Jak się dzisiaj czujesz?

Twarz Humy rozpromieniła się na chwilę, lecz rycerz szybko zamaskował to wyrazem dzielnej powagi. Gwyneth podeszła do niego, trzymając w jednej ręce wiadro. Mimo podejmowanych wysiłków, Huma nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Mam już po dziurki w nosie tego namiotu i czuję się bardziej niż szczęśliwy, że ujrzałem świat, choćby nawet był to tylko ten obóz.

Roześmiała się wesoło, lecz nagle zmieniła nastrój. - Czy wkrótce cię wypuszczą?

Skinął z powagą głową. Rennard odwiedził go kilkakrotnie. Huma orientował się, że sprawdza on stan jego zdrowia z polecenia lorda Oswala. Jeśli chciał zachować szacunek w oczach najwyższego wojownika, musiał dołożyć wszelkich starań, by jak najszybciej odzyskać zdolność do służby.

Podmuch wiatru zasłonił twarz Gwyneth długimi, gęstymi lokami. Kobieta odgarnęła włosy. Wydawało się, że ma właśnie zamiar coś powiedzieć, gdy pojawiła się znajoma, masywna postać eskortowana przez dwóch Rycerzy Miecza. - Humo!

Kaz zbliżył się i spróbował przywitać swego jedynego wśród ludzi prawdziwego przyjaciela za pomocą uścisku, po którym Huma wróciłby do namiotu z trzema albo czterema złamanymi żebrami. Rycerzowi udało się usunąć na bok. Dzięki temu skończyło się jedynie siniakiem na barku w miejscu, gdzie minotaur klepnął go z radości. Upłynęły cztery dni, odkąd Huma ostatnio widział Kaza. W miarę jak zaufanie lorda Oswala do minotaura wzrastało, rady tego drugiego zaczynały zyskiwać na ważności. Rycerstwo toczyło wojnę z ogrami już od lat, lecz wiedziało o nich bardzo niewiele. Kaz, wychowany pod jarzmem swych kuzynów, znał ich aż za dobrze.

- Gwyneth - odezwał się Huma, przypomniawszy sobie o kobiecie. Zwrócił się jednak w jej stronę zbyt późno. Zniknęła już.

Minotaur był bardziej spostrzegawczy niż sugerował to jego wygląd. Czy zjawiłem się w nieodpowiedniej chwili? Przepraszam, jeśli ci przeszkodziłem.

Huma zbył jego przeprosiny machnięciem ręki. - To ja powinienem przeprosić ciebie. Cieszę się, że cię widzę, Kaz.

- Nie miałem pojęcia, że twoi pobratymcy potrafią zadawać tak wiele pytań. I to raz za razem! Wyciągnęli ze mnie całą moją wiedzę, a wciąż

- domagają się więcej.

- Są zdesperowani, Kaz. Chcemy przełamać... - Huma przerwał, gdy wysoka postać w karmazynowych szatach z kapturem przeszła obok, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Twarz mężczyzny była wąska i koścista. Przypominał Humie instruktora, który ongiś go uczył, gdy był jeszcze giermkim.

Minotaur podążył wzrokiem za odzianym w czerwień człowiekiem. -Magowie są skrajnie podenerwowani. Czują woń ich strachu. Czasami dostaję od tego mdłości.

Huma poczuł, że musi nieco oszczędzać lewą stronę. Nie był jeszcze w pełni zdrowy. - Czego się boją?

- Nieznanego. Są przyzwyczajeni do ścierania się ze swymi pobratymcami w czarnych szatach, ale krążą pogłoski, że Galan Dracos wprowadził do walki swych braci renegatów. Widziałeś choć fragment magicznej bitwy? - Któż mógłby ją przeoczyć? Objęła niemal całe niebo.

- Gdy rozpoczęła się walka, po naszej stronie było dwunastu potężnych magów. Czterech z nich zginęło, a piąty może już nigdy nie odzyskać pełnej sprawności ciała i umysłu. Czy wiesz ilu mieli przeciwników? - Ilu? - Trzech. - Trzech?

Rycerz potrząsnął głową. - Musieli być potężni. Ale skąd magowie wiedzą, że to nie byli czarodzieje w czarnych szatach?

Kaz uśmiechnął się z miną dobrze poinformowanego. - Mówią, że dwaj nimi byli. Ale trzeci, ten, który uszedł z życiem, nie był. Posługiwał się mocami zbyt dzikimi i nieprzewidywalnymi, jak na kogoś wychowanego pod kuratelą trzech zakonów. To był renegat. Nie chcą powiedzieć na ten temat nic więcej.

Huma nie mógł nie pomyśleć o Magiusie, którego wysoka postać i urodziwa twarz byłyby bardziej na miejscu na królewskim dworze niż w ociekających wilgocią, odludnych wieżach czarnoksiężników. Aż do chwili, gdy poddał się próbie czarów, przyjaciel Humy z lat dzieciństwa zwykł chodzić własnymi drogami. Jego umiejętności były tak wielkie, że już dawno prześcignął swych instruktorów. Magius zawsze lubił eksperymentować, nawet gdy zagrażało to jego życiu. Czasem jednak wspominał, że ma zamiar porzucić naukę.

Po raz kolejny Kaza wezwano. Minotaur jęknął i pożegnał się z Huma. Ten wrócił do namiotu i przespał większą część dnia. Zajrzał do niego

Rennard, by poinformować młodszego rycerza, że bez względu na to, czy wrócił już w pełni do siebie, powinien się przygotować na podjęcie jutro obowiązków wartownika. Huma mógłby się uskarżać, lecz był więcej niż szczęśliwy, iż dano mu kolejną szansę, by dowiódł, ile jest wart.

Odwiedziła go również Gwyneth, lecz ich rozmowa była krótka i praktycznie bezowocna. Wydawało się, że kobieta chce mu coś powiedzieć, lecz w rezultacie nie zdobyła się na to. Podczas swej rekonwalescencji nie widział jej już więcej.

W dniu, w którym Huma miał objąć pierwszą służbę od chwili, gdy omal nie stratowano go na śmierć, obóz pogrążył się w gorączkowej aktywności. Kolumny rycerzy przemykały obok centrum

dowodzenia, potężnego namiotu, nad którym powiewał sztandar z symbolem zimorodka. Straż pełnił tam nieustannie kontyngent Rycerzy Róży. Tu właśnie lord Oswal i jego oficerowie układali plany strategiczne. Huma mógł się jedynie domyślać powodów całego tego zamieszania. Krążyły liczne pogłoski mówiące, że ogrowie przedarli się przez górzystą wschodnią granicę i zmierzają w stronę twierdzy Vingaard. Inna plotka ostrzegała, że jedno z miast, w których rycerze zatrzymali się na popas, zaatakował mór. Według Humy wieści te były tylko wywołanymi strachem spekulacjami.

Gdy nadszedł Rennard, Huma pomagał kapłanom. Dźwigał za nich gorącą oraz zimną wodę i przynosił im jedzenie. Nie było to wiele, czuł się jednak przydatny. Powstrzymywało go to też przed myśleniem o bardziej nieprzyjemnych sprawach.

Huma wyprostował się nagle, gdy zbliżył się drugi rycerz. Omal nie oblał z tego powodu Rennarda świeżo przegotowaną wodą z jednego z przekazywanych z rąk do rąk wiader. Pozbawioną wyrazu twarz przebiegł skurcz, lecz Huma nie potrafił odgadnąć jakie wyrażał uczucie.

- Widzę, że jesteś już w pełni gotów do ponownego podjęcia obowiązków rycerza - stwierdził poważnym tonem Rennard.

Ciężka praca sprawiła, że Humę zalewał pot. Czoło miał mokre, twarz brudną, a ubranie pokryte plamami. Nie odważył się odezwać, gdyż nie wiedział, co powiedzieć. Skinął tylko głową.

Rennard skrzyżował ramiona. - Będiesz dziś w nocy dowódcą straży. Lord Oswal sądzi, że jesteś gotowy do przyjęcia takiej odpowiedzialności.

Zmierzył wzrokiem postać Humy od stóp do głów, nic zmieniając wyrazu twarzy.

Było już prawie ciemno. Młody rycerz przełknął ślinę. - Czy mogę otrzymać pozwolenie na umycie się i przebranie?

- Jak najbardziej. Wyzaczyłem już służby. Kiedy będziesz gotowy, zgłoś się do mnie.

Rennard wyprostował ręce i oddalił się. Nigdy nie wymagał, by mu salutowano. Poza tym, trudno było to robić, trzymając w obu rękach wiadra.

Huma obawiał się, że niektórzy będą się sprzeciwiać wyznaczeniu go na dowódcę straży. Tak się nie stało. Jego podkomendnymi byli rycerze, którzy albo go nie znali, albo też przyjęto ich dopiero niedawno i nie ulegli jeszcze wpływowi Bennetta i jego przyjaciół. Nie znaczyło to, że byli zielonymi, nie sprawdzonymi wojownikami. Żadnego giermka nie przyjmowano w szeregi rycerstwa, nie poddawszy go uprzednio próbom.

Dla bezpieczeństwa dodano kilku doświadczonych weteranów, lecz byli oni lojalni wobec lorda Oswala i sądzili ludzi według ich wartości, a nie pochodzenia.

Jeden z takich rutynowanych rycerzy stanął na baczność, gdy Huma przechodził obok niego. Ten poczuł się nieswojo na myśl, że będzie rozkazywał ludziom dwukrotnie od siebie starszym i mającym dziesięć razy więcej doświadczenia, wiedział jednak, że każdy rycerz, poza dowodzącymi oficerami, musiał od czasu do czasu pełnić straż. Mimo to przeszło go drzenie nerwowości, gdy przyjmował meldunek starszego wartownika. Zaczął oddychać spokojnie dopiero wówczas, gdy ruszył ku następnemu. Nie miało znaczenia, czy będzie on mniej doświadczony od pierwszego. Huma lękał się samego dowodzenia. Jeśli coś pójdzie źle, wina spadnie na niego.

Posuwając się skrajem obozu, dotarł do granicy zalesionego terenu. Przyjrzał się okolicy z pewną obawą. Mogło tam kryć się wszystko. Nietrudno było sobie wyobrazić, że wszędzie, gdzie tylko spojrzal, kryły się oczy oraz poruszające się ukradkiem widmowe postacie. Było już dobrze po północy, gdy natrafił na nie obsadzony posterunek.

Pochyłość terenu zasłaniała go przed jego wzrokiem, dopóki nie znalazł się niemal bezpośrednio nad nim. Zamarł na chwilę bez ruchu, sparaliżowany z wrażenia. Mógł przydzielić zadanie sprawdzenia wart komuś innemu, lecz dowodził po raz pierwszy i chciał zrobić to osobiście.

Powinien wezwać pomoc lub pognać z powrotem do obozu, by ostrzec lorda Oswala i pozostałych, wiedział jednak, że w obu przypadkach zajmie to zbyt wiele czasu, a ponadto zaalarmuje tego - lub to - kto się tu krył.

Trzymając w ręku miecz, Huma zagłębił się w mroczny las. Właściwie wiedział, że może ściągnąć na siebie kłopoty, lecz wydawało się, że wabi go jakaś hipnotyzująca obecność czająca się między drzewami. Nie

widział jej, wyczuwał jednak jej moc. Był bezradny. Zapuszczał się coraz głębiej w bór. Ów impuls stał się częścią jego jaźni. Nie pamiętał prawdziwych powodów, dla których odważył się tu przyjść. Wiedział tylko, że gdzieś tu kryje się ktoś - lub coś - kogo był zdecydowany odnaleźć.

Obok niego posuwał się jakiś cień wbijający w rycerza czerwone, niewidzące oczy. Drugi podobny przemykał się po drugiej stronie. Huma nie widział ani nie słyszał żadnego z nich. Byłoby to niemożliwe, nawet gdyby jego zmysły funkcjonowały prawidłowo. Potrzeba było wielkiej siły woli, by dostrzec bestie nocy, gdy skradały się po lesie.

Przed pogrążonym w transie rycerzem zatańczył migotliwy wzór lśniących światła. Większość z nich umknęła, gdy się zbliżył, lecz dwa pozostały na miejscu, wpatrując się w niego. Huma szedł ku nim, potykając się. Nie dostrzegł nieruchomej, zakutej w zbroję postaci, na którą omal nie wpadł. Połyskujące kule zamrugały. Wydawało się, że zmaterializował się wokół nich mroczny kształt.

Po raz pierwszy ciszę zmącił jakiś głos. Był to zaledwie cichy syk, lecz pochłonął całą uwagę Humy. - Odważny rycerz. Czuje się tak bezpiecznie ze swymi zabaweczkami.

Cień przesunął się lekko w bok. Spojrzenie Humy podążyło za nim posłusznie. Wydawało się, że widmowa postać poddaje zdobycz oględzinom. - Ciekawe, czy możesz być tym, o którego chodzi?

Pokryta zrogowaciałą skórą dłoń wysunęła się naprzód, by ująć Humę za brodę. Obróciła jego głowę w lewo i w prawo, choć rycerz ani na chwilę nie przestawał się wpatrywać w oczy swego strażnika. - Tak. Dracossss będzie zadowolony. Nawet naczelny wódz się ucieszy. To nie może być zbieg okoliczności. Przyłożył do tego ręki, by ocalić własną skórę - oczy i dłoń przesunęły się w dół, ku mieczowi Humy. - To już nie będzie ci potrzebne.

Daleko za widmową postacią pojawiło się lśnienie, które nagle odciągnęło od niej wzrok Humy. Jego strażnik, pochłonięty oględzinami jeńca, nie zauważył niezwykłego światła. Inni jednak je dostrzegli. Rozległy się gardłowe warknięcia. Odór śmierci nasilił się. Stwór przeniósł szybko wzrok z powrotem na twarz więźnia. Dwie pary oczu spotkały się. Huma nie był już w transie.

Rycerz zareagował instynktownie. Miecz uderzył z siłą zrodzoną z szoku i strachu. Okazało się, że fizyczna postać spowitej w mrok istoty nie jest w stanie stawić mu większego oporu. Pazury drapały szaleńczo twarz Humy, lecz rycerz, ignorował je. Starał się wepchnąć sztych tak głęboko, jak tylko można. Nagle napotkał opór, choć widmowy wróg nip padł na ziemię. Przestał jednak go drapać. Postać zadrżała dwukrotnie i znieruchomiła. Huma osunął się na kolana, całkowicie wyczerpany.

Stwory mroku zaczęły się do niego zbliżać, lecz po chwili zawahały się, jak gdyby wyczuły coś niespodziewanego. Rycerz uniósł głowę. Dostrzegł przelotnie coś bladego, przypominającego nieco kształtem wilka. Nagle istota zniknęła.

Huma nie wiedział, jak długo tam czekał. Usłyszał zbliżające się w jego kierunku ciche kroki. Odgłos dobiegał z niewłaściwej strony - z głębi lasu. Huma podniósł się, aczkolwiek odrobinę chwiejnie. Zdał sobie sprawę, że nie wrócił jeszcze w pełni do siebie. - Proszę, pozwól, bym ci pomógł.

Głos brzmiał pewnie, a dłonie, które podtrzymały Humę, były mocne. Rycerz zaczerpnął głęboko tchu. Przybysz popatrzył na szczątki napastnika. Zachichotał. - Dobra robota - stwierdził. -

Przygwoździłeś go do pnia drzewa. Imponujący pokazywał siły. Ten osobnik w pełni sobie na to zasłużył.
- Kim...

- Zachowaj oddech na drogę powrotną. Zapuściłeś się w las głębiej niż ci się zdaje.

Gdy ruszyli naprzód, Huma odważył się obrzucić przybysza ostrożnym spojrzeniem. Nieznajomy był wysoki. Miał na sobie ekstrawaganckie, dobrze skrojone szaty. Wspaniałe, złociste loki nadawały mu królewski, lwiego wygląd. Jego oblicze było słabiej widoczne, lecz Huma odniósł wrażenie, że jest to przystojna, niemal ładna twarz, która byłaby na miejscu na monarszych dworach. Mógłby tam pewnie flirtować z młodymi, bogatymi dziewczętami. Było w nim coś znajomego. Ktoś, kogo nie widział od lat...

- Magius! - wykrzyknął wstrząśnięty. Zatrzymali się. Przybysz puścił go. Popatrzyli na siebie. Rycerz zauważył, iż wewnątrz tamtego rozświetla coś w rodzaju łuny.

- Huma. Dobrze jest cię ujrzeć, nawet w podobnej sytuacji. Zastanawiałem się, jak długo będę mógł - jeśli wybaczysz mi to sformułowanie - utrzymywać cię w nieświadomości.

- Ty żyjesz! - Huma nigdy nie miał pewności, co wydarzyło się po próbie w wieży. - Żyjesz! - powtórzył zdumiony.

Twarz Magiusa można było dostrzec nawet w ciemności. Jego usta wykrzywiły się w smutnym uśmiechu. - Tak. Przepraszam cię.

Uśmiech zniknął z twarzy Humy. - Przepraszasz? - zapytał. - Za co miałbyś mnie przeproszać?

- Czy sądzisz, że znalazłem się tu czystym przypadkiem, Humo? Mam nadzieję, że nie. To przeze mnie twemu życiu zagroziło niebezpieczeństwo. - Nie rozumiem.

Myśl o niebezpieczeństwie sprawiła, że Huma sięgnął po miecz. Gdy jego dłoń natrafiła na pustkę, przypomniał sobie, gdzie zostawił broń. Odwrócił się. - Mój miecz! Muszę pójść po...

- Nie! - Głos maga był donośny i brzmiał w nim ton rozkazu. - Nie powinniśmy zostawać tu sami dłużej niż to konieczne. Wróć, kiedy będziesz miał ze sobą ludzi. Straszy-wilki zapewne uciekły, mogą jednak się mylić. To nie byłaby pierwsza moja pomyłka. Bogowie wiedzą, że nie pierwsza.

Magius skierował go z powrotem ku obozowi. Huma rozumiał, że to rozsądne. Chciał jednak usłyszeć odpowiedzi na parę pytań. - Co to było? Co znaczyły twe wcześniejsze słowa?

Wydawało się, że część wspaniałości jego dawnego przyjaciela ulotniła się. Magius stał się nagle człowiekiem starszym niż Huma, choć obaj byli w tym samym wieku. Czarnoksiężnik nie patrzył rycerzowi w oczy. - Sądzę, że lepiej będzie, jak zapytasz o to któregoś z magów Czerwonych Szat w obozie. Powinien być w stanie zaznajomić cię z oficjalną wersją. - Czy masz jakieś kłopoty?

- Tak. Dopilnuję jednak, by tobie nic już z ich powodu nie zagroziło. Byłem głupcem, że w ogóle zapragnąłem się z tobą zobaczyć.

Słaba łuna ognisk była pierwszym świadectwem tego, że obóz jest już blisko. Huma usłyszał odgłosy poruszających się ludzi. Ktoś zauważył nieobecność dwóch rycerzy, z których jeden był, ni mniej ni więcej, tylko dowódcą straży.

Magius również to usłyszał. Zatrzymał się nagle. - Bez względu na to, co ci powiedzą, ja się nie zmieniałem, Humo - mag złapał swego najlepszego przyjaciela za ramiona. - Uwierz mi! Jeśli próba cokolwiek dała, to dowiodła tego! Pełna splendoru łuna otaczająca czarodzieja zniknęła nagle. Huma zdążył jednak dojrzeć na twarzy Magiusa wyraz strachu. Nie tylko o siebie, lecz również o niego.

- Posłuchaj - twarz maga skryły cienie, co nadało mu niezmierny wygląd. - Te stwory nie będą już cię niepokoić. Ich panom chodzi o mnie. Wysłali je w pościg za mną, gdy tylko dowiedzieli się o moim zniknięciu. Humę przeszył dreszcz. - Uciekasz przed stworzeniami Królowej

Smoków - stwierdził rycerz.

Coś złamało zeszlą gałąź. Obaj mężczyźni zamarli. Huma wpatrzył się w las tak uważnie, jak

tylko potrafił, nie dostrzegł jednak niczego. Magius przysunął się do niego i wyszeptał:

- Muszę już odejść. Znasz mnie, Humo. Wiesz, na co mnie stać. Możesz w to wierzyć. Jeśli coś się zmieni, czy to na gorsze, czy na lepsze, skontaktuję się z tobą.

Pomiędzy drzewami pojawiły się wysokie, ciemne postacie. Magius spojrzął na nie groźnie i zniknął błyskawicznie. Huma otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zdał sobie sprawę, że byłoby to niebezpiecznym szaleństwem. Pragnął, by okazało się, iż Magius postąpił słusznie, zostawiając jego miecz zatknięty w pień drzewa, do którego przyszpilił poczwarę.

Zebrawszy całą odwagę, Huma ponownie ruszył w kierunku obozu. Po drodze modlił się, by pierwszą istotą, którą spotka, był jego towarzysz rycerz, a nie coś wywodzącego się z koszmaru maga.

Tak się złożyło, że natknął się na poszukiwaczy w odległości zaledwie kilku minut drogi od miejsca zniknięcia wartownika. Huma czuł się winny, że zapomniał o nieszczęsnym rycerzu, który miał jeszcze mniej doświadczenia niż on. Nie było jednak nic, co mógłby dla niego zrobić. Wiedział, że jego myśli powinno raczej zaprzętać to, co nadal mogło się czaić w pobliżu obozu, a także znaczenie tego faktu. Jeśli nieprzyjaciel przeniknął tak daleko poza ich linie...

Rennard przyjął jego meldunek. Nie sprawiał wrażenia zbytnio zaskoczonego tym, że Hume spotkały kłopoty. Wiadomość o napastniku, który mógł być jedynie magiem, zaniepokoiła go, choć jego mina nie zdradzała żadnych uczuć. Grupa, w której skład wchodził Huma i Rennard, wróciła tam, gdzie zwabiono młodego rycerza. Na martwym ciele wartownika nie było żadnych śladów walki, zupełnie jakby nieszczęśnik po prostu padł martwy na ziemię. Rennard splunął i w bezprecedensowej demonstracji emocji przeklął wszystkich magów. Huma skulił się ze strachu. Nie wspominał ani słowem o Magiusie, choć było to sprzeczne z przysięgą i regułą. Ile wart był honor rycerza, który kłamał? Magius jednak był jego przyjacielem.

Gdy Huma przyjrzał się spokojnie widmowemu napastnikowi, okazał się on aż nazbyt materialny. Rennard wyrwał miecz z drzewa i pozwolił ciału maga opaść na ziemię. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, Huma schylił się i ściągnął kaptur z twarzy zabitego. Nawet po ciemku wyglądała odpychająco. Jedynie Rennard sprawiał wrażenie nie poruszonego odciśniętym na niej złem.

Mag mógł być człowiekiem, lecz wyglądem bardziej przypominał gada. Jego ciemna, pokryta łuskami skóra połyskiwała w świetle pochodni. Oczy stanowiły wąskie szparki, a nosa niemal nie było. Huma zwrócił uwagę na zęby, których mógłby pozazdrościć minotaur. Niejeden rycerz wezwał imienia Paladine'a.

Zwłoki spowijała gruba, szorstka szata z brązowej tkaniny. Rennard dotknął jej palcami. Cofnął nagle dłoń, jakby trzymał w niej żmiję. - Nie jest odziany w czerń Królowej Smoków. - Skinął na dwóch rycerzy. - Zabierzcie to do obozu. Chcę się przekonać, co mają do powiedzenia czarodzieje. Reszta, uformować wachlarz. Upewnijcie się, że nie zostały po nim żadne niespodzianki. Humo, ty zostań ze mną.

Przeglądali się, jak reszta się oddala. Nagle Rennard odwrócił się i przeszył Humę spojrzeniem tak gniewnym, że samo pojawienie się podobnej miny na zwykle pozbawionej wyrazu twarzy sprawiło, iż młodszy rycerz cofnął się o krok. - Kim był ten drugi? - Nie było nikogo więcej.

- Był tu jeszcze jeden. - Jego słowom towarzyszył przejmujący chłód. - Wiem o tym. Nie widzę powodu, dla którego chciałbyś ukryć obecność maga, chyba że... - Wpatrzył się bacznie w oczy Humy. Ten odwzajemnił spojrzenie. Podjął wyzwanie. Nieoczekiwanie, to Rennard musiał odwrócić wzrok.

Był to jednak jałowy triumf. - To oczywiste. Przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba, którą tak

bardzo starałbyś się chronić. Co jednak mógł tu robić Magius?

- Nie... - Humie nie przychodziło do głowy nic, co mógłby powiedzieć. Skąd Rennard w ogóle wiedział o jego przyjacielu z dzieciństwa?

- Jesteś głupcem, Humo. Jesteś odważnym, kompetentnym rycerzem, ale masz w sobie zbyt wiele człowieczeństwa, zbyt wiele zaufania do innych. Zwłaszcza do magów. Im nie można ufać. Zawsze zwrócą się przeciwko tobie. Są zdradzieccy.

Mimo że szanował Rennarda, Huma zeszywniał, słysząc podobną obelgę. - Magius taki nie jest. Wychowaliśmy się razem. Nie zdradziłby tego, w co wierzy.

Rennard potrząsnął ze smutkiem głową. - Nie zrozumiesz tego, dopóki nie będzie za późno.

Nagle, jakby powiedziano już wszystko, co można powiedzieć, Rennard porzucił ten temat. - Chodź. Lepiej wróćmy do obozu. Sądzę, że lord

Oswal powinien usłyszeć o całej tej sprawie.

Bladolicy wojownik oddał miecz Humie i nie oglądając się na niego, ruszył przed siebie. Młodszy rycerz popędził za nim. Zastanawiał się, co tamten zamelduje i co powie on sam. Wiedział aż za dobrze, że jeden z tych, którzy go będą słuchać, będzie już wiedział, że skłamał. Czego wymagałyby od niego przysięga i reguła?

Rozdział siódmy

Jako młody giermek, Huma natknął się na instruktora imieniem Garig, który gorąco pragnął sprawić, by okazał się on nieprzydatny do stanu rycerskiego. Mężczyzna ów był prawdziwą bestią. Z postaci i oblicza przypominał raczej niedźwiedzia niż człowieka. Niektórzy dziwili się, że ktoś tak brutalny w ogóle mógł zostać rycerzem. W gruncie rzeczy, Garig postanowił w ciągu miesiąca zmusić Humę do rezygnacji.

Ten jednak wytrwał. Wytrwał, nauczył się wszystkiego i osiągnął biegłość, mimo że okropnie bał się Gariga. Odwagi dodawał mu lord Oswal, najwyższy wojownik. Podobnie jak Rennard, dojrzał on w Humie coś, co był zdecydowany udoskonalić, mimo wątpliwego pochodzenia chłopca. Wreszcie giermek stawiał czoło przerażającemu instruktorowi i pokonał go zdecydowanie w pojedynku, który jedynie w przenośni można było nazwać walką treningową. Odniósł zwycięstwo nie tylko nad Gangiem, lecz również nad strachem.

Teraz Huma bał się znowu, gdy stanął przed obliczem człowieka, który pomógł mu pokonać tę wcześniejszą przeszkodę.

Najwyższy wojownik nie spał. Miał na sobie kompletny strój. Humę -podobnie jak wielu innych - zdumiewało, że stary rycerz najwyraźniej nigdy nie odpoczywał. Dowódca sił ekspedycyjnych siedział na prostym drewnianym taborecie ostro kontrastującym z jego ozdobnym mundurem. Hełm spoczywał na stole, obok niego. Walało się tam też więcej niż tuzin map. Huma odnosił z jakiegoś powodu wrażenie, że hełm również mu się przygląda.

W pomieszczeniu przebywało poza nimi tylko dwóch rycerzy. Jeden z nich był niskim, okrągłutkim człowieczkiem, którego wygląd zdawał się zaprzeczać kryjącej się wewnątrz sile i inteligencji. Jego głowę zdobiło bardzo niewiele włosów, poza małą bródką oraz kilkoma kosmykami z tyłu. Arak Sokole Oko nie był człowiekiem obdarzonym wielkim poczuciem humoru. Swe drugie imię zawdzięczał precyzji w strzelaniu z łuku. Nawet koczownicze plemiona z południa słyszały o Sokolim Oku. Jeździł konno i strzelał lepiej niż którykolwiek z ich członków. Jego osobistą ambicją było nauczenie zgrai rycerzy konnej jazdy i strzelania na sposób mieszkańców równin. Miał na zbroi herby symbolizujące Zakon Korony. Był podczas obecnej kampanii jego głównodowodzącym.

Pomiędzy nimi, niemal nie zauważając młodego rycerza, stał Bennett, syn wielkiego mistrza,

bratanek najwyższego wojownika i przedstawiciel Zakonu Miecza. Jego obecność niepokoiła Humę najbardziej. Bennett stanowił uosobienie rycerstwa. Potrafił wyrecytować każdy wiersz zawarty

w każdym z tomów regulaminów spisanych tak dawno temu przez Vinasa Solamnusa. Żył według ich wskazań, dzięki czemu Huma nadal był członkiem zakonu. Mimo swych wpływów, Bennett nie uczyniłby nic, co byłoby wyraźnie sprzeczne z przysięgą i regułą. Gdy zarzuty dotyczące pochodzenia Humy nie zdołały zdyskwalifikować nowego rycerza, Bennett nie uciekł się do bardziej nieprzyjemnych metod, jak uczyniliby to niektórzy, nawet w szeregach rycerstwa. Zamiast tego, syn wielkiego mistrza traktował go jak zło konieczne, które - gdy tylko było to możliwe - należało ignorować. Był jednak wpływowy i ze względu na to Humie trudno było znaleźć przyjaciół.

Bennett przypominał z wyglądu swego ojca i stryja, choć niewątpliwie bardziej podobny był do tego pierwszego. Ci, którzy znali lorda Trake'a w dniach jego młodości, zarzekali się, że między rodzicem a potomkiem nie ma żadnej różnicy. Obaj mieli takie same orle rysy, przywodzące na myśl drapieżnego ptaka. W żyłach członków rodu Baxtrej płynęła najstarsza królewska krew. Podobny wygląd często można było spotkać wśród szlachty Imperium Ergothu. Gdy Bennett odwrócił się, udając zadumanego nad bieżącą sprawą, Huma spojrzał mu przelotnie w oczy. Ich wyraz był zimny. - Możesz odejść lub zostać, jak wolisz, Rennardzie.

Rennard zeszywniał. - Zostanę, jeśli najwyższy wojownik nie ma nic przeciwko temu.

Bennettowi wyraźnie się to nie spodobało. Syn Trake'a nienawidził Rennarda niemal równie gorąco, jak Humy, choć z innych powodów. Poza lordem Oswalem tylko jedna osoba potrafiła pokonać potomka wielkiego mistrza w treningowej walce. I to z łatwością. Dla kogoś takiego jak Bennett, kto chełpił się swą doskonałością, było to niemal nie do zniesienia. Obaj rywale gapili się otwarcie na siebie. W spojrzeniu Rennarda było tyle szacunku, ile mógłby go żywić dla źdźbła trawy.

Lord Oswal zwrócił się w stronę Humy. - W normalnych okolicznościach twój raport przyjąłby lord Arak, widząc jednak, że mamy do czynienia z sytuacją, która zmienia się z minuty na minutę, chciałbym, byśmy wszyscy wysłuchali go natychmiast. Zarówno Arak, jak i Bennett wyrazili na to zgodę - Bennett spojrzał na swego stryja, po czym ponownie odwrócił wzrok. - Czy więc zechcesz zacząć?

- Wielmożny panie - Huma odchrząknął. Po kilku pierwszych słowach jego niepokój zniknął. Zrelacjonował szczegóły ataku w zwięzłych, precyzyjnych zdaniach. Trzej dowódcy słuchali go uważnie. Huma napomknął o obecności Magiusa, choć pominął milczeniem większą część - ich konwersacji.

Gdy skończył, stanął bez słowa w postawie zasadniczej. Wbił oczy w pustkę. Wielmożni rycerze zwrócili się ku sobie nawzajem, by omówić niektóre ze szczegółów jego relacji. Rozmawiali szeptem, by Huma nie dowiedział się, co przyciągnęło ich uwagę.

Lord Sokole Oko oddalił się od pozostałej dwójki i zbliżył do Rennarda. - Rycerzu Rennardzie, czy masz coś do dodania?

- Tylko tyle, że wysłałem ludzi, by przeczesali las w poszukiwaniu śladów wspomnianych stworzeń i wyznaczyłem nowego dowódcę straży, aby pełnił tę funkcję pod nieobecność Humy.

Huma stłumił niepowstrzymane pragnienie okazania mu wdzięczności. Rennard udzielił mu poparcia.

- Rozumiem - stwierdził lord Oswal. - To więc byłoby wszystko. Rycerzu Humo, zalecę lordowi Arakowi Sokolemu Oku, by dał ci drugą szansę. Jest oczywiste, iż stanąłeś wobec magii o niespotykanej sile i to właśnie stało się przyczyną faktu, że opuściłeś obóz, nie zawiadamiając nikogo.

Spojrzenie Bennetta było mordercze, lecz Huma czuł zbyt wielką ulgę, by się tym przejmować.

- Dziękuję, wielmożny panie... wielmożni panowie. Najwyższy wojownik skinął ręką. - Wy dwaj możecie odejść.

- Rycerzu Humo i rycerzu Rennardzie, jesteście dziś w nocy zwolnieni ze służby - dodał lord Sokole Oko. - Wypocznijcie trochę.

Rennard skinął tylko głową, jak gdyby od początku przewidywał, jak zakończy się spotkanie. Wyszli, gdy trzech dowódcy zwrócili się ku sobie. Bennett podniósł głos w gniewie. Najwyraźniej uważał, iż reguła wymagała znacznie poważniejszej kary za coś, co dla niego było ewidentnym przejawem śmiertelnie groźnej bezmyślności. Niemniej zarówno Huma, jak i Rennard, byli już zbyt daleko, by usłyszeć odpowiedź. - No i poszło dobrze - rzucił od niechcienia starszy rycerz. Huma nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy. - Dziękuję ci, Rennardzie.

- Za co? Za to? Ktoś musi ocalić cię przed tobą samym. Poza tym, nie pozwoliłbym Bennettowi na taką satysfakcję. Nawet w imię przysięgi. Albo reguły.

Jego słowa pozostawiły Humę w niepewności. Najwyraźniej Rennard żył według własnego kodeksu. Pozostałą część drogi pokonali w milczeniu. Nad Humą majaczyła wielka wieża z brązu. Wznosiła się na krawędzi

nicości znanej jako Otchłań. Choć była z metalu, rozpadała się ze starości.

Rycerz poczuł, że coś przyciąga go wbrew jego woli ku jedynej bramie owej budowli. Stwory, które powinny być martwe, proponowały, że wskażą mu drogę. Trędowaci uśmiechali się pozbawionymi warg ustami. Ofiara moru, która ongiś była kobietą, wyciągnęła dłoń, by ująć go za rękę. Z drżeniem grozy dostrzegł, że to jego matka. Skulił się. Zjawa zniknęła.

Porośnięta pleśnią brama opuściła się przed nim, tworząc most zwodzony. Wysunęła się zza niej dłoń, która skinęła na Humę. Czekala na niego wysoka postać odziana w wystrzępione szaty. Miała zardzewiałą koronę na... na głowie? Pod koroną nie było twarzy, a jedynie dwoje czerwonych oczu w oceanie nieskończoności. Brama zamknęła się bezgłośnie za jego plecami.

Huma obudził się złany potem. Obóz był jeszcze pogrążony we śnie, choć rycerze mieli już wkrótce wstawać. Cieszył się z tego powodu. Po tym śnie nie miał wielkiej ochoty powrócić do drzemki.

Nigdy dotąd nie dręczyły go podobnie realistyczne koszmary. Niektórzy ludzie twierdzili, że takie sny coś oznaczają, lecz Huma nie potrafił pojąć sensu swej wizji. Co prawda rozpoznał wieżę z brązu i zło mieszkające w jej wnętrzu. Ten szczegół swej edukacji pamiętał znakomicie. Kapłan Paladine'a zapoznał go niegdyś z bogami pragnącymi zniszczyć światło. Imię nadane temu złu brzmiało Morgion. Karmiło się ono rozkładem świata.

Jeśli którykolwiek bóg czerpał korzyści z nie kończącej się wojny, to właśnie ten. Rozkład widziało się wszędzie, nawet w tych miastach, których nie dotknęły walki. Jeśli nie fizyczny, to moralny, jak w dekadencej stolicy ergothiańskiego cesarza, który - jak powiadano - żył w takim luksusie, że nawet nie wiedział o toczącej się wojnie.

Rozkład szerzył się niepohamowanie, a choroba stawała się naturalnym stanem życia. Huma zadrżał na wspomnienie matki. Jej śmierć w czasie epidemii zmieniła wszystko. Gdy został sam, usłyszał zew ojca. Choć nigdy go nie znał, czuł, że ojciec wywiera wpływ na całe jego życie. Cena jednak...

Strząsnął z siebie wspomnienie snu, wstał i przygotował się do nadchodzącego dnia. Rennard obiecał, że porozmawia z lordem Sokole Oko na temat przydzielenia Humie bardziej odpowiedzialnego stanowiska. Wydawało się, że wychudzony rycerz zapomniał o incydencie z Magiusem. Miał na głowie ważniejsze sprawy. Stłumiony jęk sprawił, że Huma spojrział w dół. Obudzony hałasem Kaz

zamrugał powiekami, odsłaniając dwoje słabo widocznych oczu. Wyraz jego twarzy tak silnie przywodził na myśl wyrwane ze snu zwierzę gospodarskie, że Huma nie mógł nie uśmiechnąć się przelotnie.

Minotaur zasnął na nowo. Nie wiedział jeszcze nic o wydarzeniach dzisiejszej nocy. Upewniwszy się, że wyciągnęli z niego wszelkie możliwe informacje, dowódcy rycerstwa pozwolili wreszcie nieszczęśnikowi porządnie się wyspać.

Z ziewnięciem na ustach, Huma skierował wzrok poza granicę obozu, gdzie między drzewami zaczęły pojawiać się pierwsze blaski jutrzeńki.

Spojrzał prosto w niewidzące oczy stworzenia, które mogło być jedynie tym, co Magius nazwał straszylkiem.

Niewykluczone, że ongiś był to prawdziwy wilk. Ogólna budowa ciała była taka sama, jak u wilka, lecz ten stwór wyglądał tak, jakby jakiś przewrotny nekromanta próbował go wskrzesić i udało mu się to jedynie częściowo. Białego jak kość ciała nie zdobił ani jeden włos. Wydawało się, że bestia nie ma nawet skóry. Wyglądała jak duch jakiegoś zwierzęcia zabitego i obdartego przez łowcę. Choć znajdowała się w odległości dobrych sześciu metrów, Huma czuł odór, który pamiętał z nocy. Smród rozkładu. Śmierci.

Stwór zdawał sobie sprawę z jego obecności. Mimo że jego oczy z pewnością nic nie widziały, wyczuwał go i rozpoznawał. Za martwymi ślepiami kryła się zimna, zła inteligencja, która zdawała się drwić z rycerza.

Nie odrywając od niego oczu, Huma pochylił się w stronę minotaura. -Kaz.

Poczuł, jak jego towarzysz sztywnieje. Jego uszu dobiegł ochryply szept. - Humo?

- Przetocz się na drugi bok. Wyjrzyj na zewnątrz. Minotaur wykonał jego polecenie. Otworzył oczy - odrobinę - lecz z początku nie dostrzegł nic, gdyż sen mącił mu jeszcze wzrok. Dopiero gdy odważył się szerzej rozchylić powieki, zauważył straszliwe stworzenie. Jego smród wypełnił nozdrza minotaura. - Na mych przodków! - syknął Kaz. - Humo, straszy-wilk! - Wiem.

A więc minotaur znał te bestie. Rycerz zadał sobie pytanie, co robiło tu wilkopodobne monstrum. Magius mówił, że te ohydne stwory odejdą, gdy przekonają się o jego zniknięciu. Dlaczego ten pozostał i do tego odważył się pokazać po świcie? Jak udało mu się ominąć strażników? Straszylk nie przestawał wpatrywać się w Humę martwymi ślepiami.

Nie było wątpliwości, że przyszedł do niego. Rycerz zdał sobie sprawę, że ma do czynienia ze swego rodzaju posłańcem. - Muszę podejść bliżej.

Kaz podniósł się szybko. Trzymał w ręku topór. Stwór jednak zaledwie raczył spojrzeć na niezwykłego towarzysza Humy. Wydawało się, że jego podniecenie wzrosło, gdy rycerz postąpił dwa niepewne kroki w jego stronę. - Humo, nie!

Tym razem Kaz przemówił głośno. Fakt, że nie nadbiegł żaden strażnik, zaniepokoił Humę. Czyżby pan bestii był tak potężny, że mógł zesłać sen na cały obóz?

Rycerz wzruszył ramionami, strącając z nich dłoń minotaura, po czym zbliżył się do straszy wilka jeszcze bardziej. Monstrum zamachało leniwie ogonem. Otworzyło paszczę. Huma ujrzał spróchniałe, żółte zęby, nadal wystarczająco ostre, by rozszarpać mu rękę. Stwór oblizał się i zacisnął szczęki w grymasie, który - jak obawiał się Huma - był chytrym uśmiechem.

Gdy rycerz odważył się zbliżyć na odległość trzech metrów, bestia ponownie otworzyła paszczę. To, co się z niej wydobyło, przstraszyło Humę tak bardzo, że mało brakowało, by odwrócił się i rzucił do ucieczki. - HUUUUUMOOOOO...

Stojący za jego plecami Kaz zaklął. Huma odzyskał panowanie nad sobą. Wydobył miecz, choć nie wiedział, ile nim zdziała przeciw podobnemu, nieżyjącemu stworzeniu. - Humo.

Tym razem jego imię zabrzmiało wyraźniej. W ślad za nim rozległ się złowrogi śmiech. - Kim jesteś? Czego chcesz?

Wydawało się, że straszywilk przygląda mu się przez chwilę. Wreszcie przemówił raz jeszcze. Tym razem jego wesołość była więcej niż oczywista. - Nieźle się za tobą nauganiaлиśmy, rycerzu solamnijski. Do tego straciliśmy przez ciebie cennego sługę. Uważamy cię za równie groźnego, jak twego zdradzieckiego przyjaciela, Magiusa. - Magiusa. Huma nie zareagował. Czy dopadli Magiusa?

- Wiemy, gdzie teraz przebywa. Dowie się, co to znaczy zdradzić Galana Dracosą.

Galan Dracos. Wódz renegatów. Sługa Królowej Ciemności. Huma znał to imię i kryjące się za nim zło.

Jakby na znak pogardy, straszywilk stanął na tylnych łapach. Huma zastanowił się przelotnie, czy posiada on własny rozum czy też jest jedynie marionetką w ręku sterującej nim siły.

- Zrobiłeś na Crynusię wielkie wrażenie podczas waszego krótkiego starcia. Kiedy się napatoczyłeś, był o krok od schwytania twego przyjaciela. Przestało nas to dziwić, gdy tylko zrozumieliśmy, kim jesteś. Twój najdroższy przyjaciel Magius posłużył się tobą jako przynętą, młody rycerzu. Czy zdawałeś sobie z tego sprawę?

Za plecami Humy rozległy się ciężkie kroki. Zrozumiał, że to Kaz podszedł bliżej. Straszywilk zwrócił na chwilę swe niewidzące oczy w stronę minotaura, po czym zignorował go i ponownie podjął przemowę.

- Crynus pragnął osobiście porwać cię z obozu i zabrać do swej cytadeli, by w wolnej chwili stoczyć tam z tobą bój. Huma poczuł, że zaschło mu w gardle. - Miałem szczęście.

- Szczęście to również umiejętność. Gdybyś miał pożyć jeszcze długo, mógłbyś się o tym przekonać.

Zarówno rycerz, jak i minotaur napięli mięśnie. Obaj spodziewali się, że las wypełni się nagle upiornymi postaciami niezliczonych straszy wilków. Nic się nie pojawiło. Samotny stwór zaszydził z nich ponownie swym niemal ludzkim uśmiechem.

- Z mojej strony nic ci nie grozi. Nie, Rycerzu Korony, jeśli musisz się kogokolwiek bać, to tylko siebie. W tej chwili sam jesteś swym najgorszym wrogiem.

Roześmiawszy się po raz ostatni, straszywilk zerwał się na nogi. Kaz zamachnął się na niego, lecz stwór odwrócił się tylko i błyskawicznie zniknął sprintem w lesie. Obaj wiedzieli, że nie ma sensu go ścigać. - O co tu chodziło? - zastanowił się minotaur.

- Wygląda na to, że przyszedł ze mnie drwić - Huma schował miecz. - Ale dlaczego Crynus zawraca sobie głowę kimś takim, jak ja?

- Być może bardziej go interesuje ten twój przyjaciel. Może wcale nie jest tak bliski schwytania go, a to była tylko jakaś sztuczka. Kim jest ten Magius?

Huma zrelacjonował mu pobieżnie nocny incydent. Twarz minotaura spochmurniała, kiedy zdał sobie sprawę, że wydarzyło się to podczas jego snu. Gdy Huma skończył opowiadać, niektórzy rycerze zaczęli już się budzić. - Co powinienem uczynić?

Kaz potrząsnął głową. - Wiem, co ja mógłbym zrobić, ale wasze zwyczaje są odmienne, rycerzu solamnijski. Radzę ci, byś zwrócił się do

żywego trupa. On najwyraźniej jest twym sojusznikiem.

Huma uznał, że Kaz ma rację. Może Rennard potrafi wyjaśnić mu słowa Galana Dracosy.

Nagle rozpętał się potężny wichur. Wydawało się, że na niebie zmaterializowało się kilka olbrzymich postaci. W całym obozie ludzie podnosili wzrok ku górze. Ten widok mógł jedynie dodać im ducha. Majestatyczne, uskrzydłone stworzenia okrążyły obozowisko kilka razy. Złote, srebrne, spiżowe i miedziane smoki prezentowały się wspaniale. Leciało też z nimi kilka mosiężnych, lecz

tych nie było wiele. Zdecydowanie wołały upalne pustynie.

Huma oceniał, że było ich trzydzieści, może czterdzieści. Całkiem spora siła, zwłaszcza że były dobrze zorganizowane. Stanowiło to jedyną przewagę, jaką miały nad swoimi kuzynami służącymi ciemności. Smoki Takhisis często walczyły pomiędzy sobą, niekiedy nawet podczas bitwy. Smoki światła zawsze szybko wykorzystywały podobne incydenty.

Wraz z ich pojawieniem się Huma na chwilę zapomniał o swych obawach. Obecność smoków zawsze przyprawiała go o niemal dziecinny zachwyty. Popędził w miejsce, gdzie lądowały, nie zważając na krzyki Kaza, który nie miał ochoty na tak szybkie ponowne spotkanie z tymi istotami.

Huma nie był jedynym, który pobiegł ku nim. Nawet doświadczeni rycerze gnali im na spotkanie, gdyż wizyta smoków często oznaczała ważne wieści.

Gdy przybył na miejsce, ujrzał, że trzech dowódców armii pograżyło się już w rozmowie ze złotym olbrzymem. Mimo swej masy przemawiał on cichym tonem, godnym bez mała uczonego. Wieści, które przyniósł, musiały być niepokojące, albowiem Huma dostrzegł, że twarz lorda Oswala zasępiła się.

Zauważył Rennarda. Rycerz wydawał się jeszcze bledszy niż zwykle. Wyglądał na zaskoczonego, gdy usłyszał głos Humy. - Jakie są wieści, Rennardzie? - Wschodnia armia jest w odwrocie.

Bezbarwny ton głosu Rennarda sprawił, że Huma nie pojął doniosłości tego, co powiedział wychudły rycerz. Gdy wreszcie zrozumiał, mógł tylko stać z rozdziawionymi ustami, nim wreszcie zdołał zaczerpnąć trochę powietrza, by wykrztusić te same słowa, które przed chwilą usłyszał. Powtórzył je raz jeszcze, po czym potrząsnął głową. - To niemożliwe! Rycerstwo nigdy nie poniosło podobnej klęski! - Teraz poniosło. -

Byli zmuszeni poczekać, aż dowódcy skończą rozmowę ze złotym smokiem. Kaz podszedł do Humy. Wyraz twarzy minotaura wskazywał, że słyszał już wiadomość. Młody rycerz zastanawiał się, jak czuje się gigantyczny mieszkaniec wschodu. Niemniej minotaur nie mógł powrócić w szeregi nieprzyjaciela po zabójstwie jednego ze swych dowódców.

Kaz opuścił wzrok, całkiem jakby odczytał jego myśli. - Nie żałuję tego, co uczyniłem, Humo. Postanowiłem powalić ogra i zrobiłbym to samo po raz drugi. Poza tym, nie znajdę już teraz prawdziwego domu wśród swych pobratymców. Uznaliby mnie za tchórza i słabeusza, ponieważ okazałem litość bezbronnym.

Większość smoków już wylądowała. Huma zauważył wśród nich srebrnego, który - o ile to możliwe - wydał mu się znajomy. Miał już zamiar odrzucić tę myśl jako śmieszna, gdy gigantyczne stworzenie zwróciło się w jego stronę i kiwnęło głową. To była ta sama smoczyca, która zaniósła ich w bezpieczne miejsce, ta sama, która stawiała czoła straszliwej czarnej bestii niosącej na grzbiecie naczelnego wodza, Crynusa.

Od strony frontu dobiegł dźwięk rogu, pojedynczy żałobny lament, który zmarł powolną śmiercią, całkiem jakby ten, kto dał w instrument, utracił wszelką nadzieję. Zapewne tak właśnie było.

Nieboskłon znowu zaczęła ogarniać ciemność. Za parę chwil miała zalać pierwsze szeregi rycerzy. Tylko bogowie wiedzieli, co stanie się na objętym nią obszarze.

Bennett i Arak Sokole Oko zakłęli głośno. Lord Oswal naprawdę wyglądał teraz na starca. Jego ramiona opadły. Był zmuszony odwrócić się od smoka. Olbrzym nie powiedział nic, było jednak oczywiste, że mu współczuje.

- Wielmożny panie! - Bennett zaczął krzyczeć. Moc wiatru narastała szybko. Niektóre ze smoków łopotały nerwowo skrzydłami. Być może wyczuwały złowieszcze moce, które wezwano, by wyczarować tę nową groźbę.

Wydawało się, że lord Oswal wrócił do siebie, usłyszawszy głos bratanka. Nie tracąc więcej

czasu, nakazał ludziom przygotować się do bitwy i skryć w najbliższej kotlinie. Obóz miano zostawić na pastwę wichury. Porządek nie był w tej chwili ważny. Chodziło o życie bądź śmierć.

Rennard opuścił zasłonę hełmu. - Nasze zwycięstwo nad tamtą ciemnością było podstępem - zawołał. - Założę się, że magowie spotkają się z jeszcze większym oporem, gdy tym razem spróbują ją odepchnąć.

Założę się też, że przegrają.

Wiatr wtlaczał Humie oddech z powrotem do płuc. Rycerz podążył za przykładem starszego towarzysza i opuścił zasłonę. Wciągnął z wysiłkiem powietrze. Stojący obok Kaz był zmuszony znosić to wszystko bez żadnego zabezpieczenia. Huma wiedział, że minotaurowie z łatwością żeglują po najburzliwszych morzach. Mimo to Kaz zasłonił sobie twarz dłońmi i opadł na jedno kolano. Wiatr wciąż się wzmagał.

Zaczął porywać leżący luzem ekwipunek. Konie parsknęły szaleńczo, gdy huragan cisnął między nie wyrwany z palikami namiot. Huma pobiegł ku zwierzętom i uwolnił je. Nie będąc w stanie utrzymać tkaniny, przyglądał się, jak wichura unosi ją między drzewa.

Cały teren obozu stał się śmiertelną pułapką w stu różnych postaciach. Ogniska buchnęły na wietrze wysokim, szalonym płomieniem, który wkrótce ogarnął niektóre namioty.

Kaz musiał zasłonić sobie oczy, by nie oślepił go wzbijany z ziemi pył. - Sargasie, wybacz mi! To król wszystkich huraganów, ale na lądzie!

Faktycznie wydawało się, że minotaur ma rację. Żadne tornado czy burza, które Huma w życiu widział, nie było wystarczająco silne, by spowodować podobne zniszczenia. Drzewa przyginały się niebezpiecznie ku ziemi. Wystarczy silniejszy podmuch, a zostaną wyrwane z korzeniami i pomkną ku niebu. Szalejąca ciemność nie słabła. Była to tylko kwestia czasu.

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

Huma usiłował zachować jakiś rodzaj równowagi. O ile straszniej musiało to wyglądać na linii frontu? Tylko jeden róg zdołał ich ostrzec swym dźwiękiem. Crynus dobrze to zaplanował. Podobnie jak Galan Dracos.

Nagle zapanowała cisza. Wiatr uspokoił się niemal całkowicie. Na ziemię spadł deszcz odpadków. Kaz podniósł się, a Huma uniósł zasłonę, by lepiej widzieć. - Czarnoksiężnicy! Udało im się. Stali daleko, po lewej stronie.

Było ich dwunastu, sześciu z Czerwonych Szat, a sześciu z Białych. Nawet z miejsca, gdzie stał, Huma widział, jak wie-le kosztuje ich to wysiłku. Burza nie przypominała poprzedniej. Tamta była jedynie marną namiastką, być może próbą albo nawet oszustwem. Tak czy inaczej, magowie mieli teraz do czynienia z mocą znacznie większą niż się tego spodziewali. Jeden z Czerwonych Szat padł wyczerpany na ziemię.

Pojawił się wietrzyk.

Jakiś jeździec zasłonił Humie widok. Rycerz uniósł głowę i ujrzał Bennetta, który mimo całego zamieszania w pełni panował nad sobą i nad sytuacją. W tej chwili, ze swymi orlimi, królewskimi rysami i bogato zdobioną zbroją, mógłby uchodzić za jednego z towarzyszy Vinaso Solamnusa.

Bennett dokonał przeglądu okolicy, po czym skierował wzrok na młodszego rycerza. - Sprowadź konie. Jeśli ich nie wypuścimy, zginą, gdy padną czarodzieje.

Gdy wymawiał te słowa, kolejny mag Czerwonych Szat zachwiał się na nogach, a potem runął na ziemię. Wietrzyk przerodził się w szkwał.

- Wycofujemy się! - Wicher zmusił Bennetta do krzyku. - Nasz odwrót nie może przerodzić się w bezładną ucieczkę! Jeśli tak się stanie, nic już nie będzie dzieliło szakali Królowej od twierdzy Vingaard. Nic!

Pozostali magowie nie byli już zdolni do skoordynowanych wysiłków. Kilku z nich osunęło się na ziemię. Tych, którzy jeszcze stali, było zbyt mało. Z jakiego rodzaju mocą musieli się mierzyć?

Nagły powiew huraganu wstrząsnął ziemią. Mało brakowało, by obalił Humę oraz Kaza. Bennett jedynie z największym wysiłkiem był w stanie zapanować nad swym wierzchowcem. Rumak był przyzwyczajony do krwi i stali, lecz nie do wiatru tak silnego, że omal nie porywał mu z grzbietu jeźdźca. Naturalne instynkty zwierzęcia kazały mu poszukać schronienia.

Bennett krzyknął coś niezrozumiałego, po czym popędził naprzód. Huma przypomniał sobie jego wcześniejsze polecenia. Na wpół poczołgał się ku miejscu, gdzie konie rżały głośno na znak protestu. Kaz podążył za nim. Gdy już odzyskał równowagę, dzięki swej masie poruszał się sprawniej od rycerza.

Uwolnienie rumaków okazało się trudne. Wpadły w szal. Wszystko, co się poruszało, uważały za groźbę. Najbliższy spróbował kopnąć Humę. Inne usiłowały ugryźć go w ramię. Choć było to niebezpieczne, jeśli rycerz miał je wypuścić, musiał się do nich zbliżyć.

Gdy już to uczynił, runęły na niego podkute kopyta. Nagle jakaś masywna postać obaliła go na ziemię. Jedynie dzięki temu uniknął ciosu, który mógłby go trwale okaleczyć. Jedna z końskich nóg trafiła go w prawe ramię. Uderzenie odbiło się rykoszetem, wystarczyło jednak, by sparaliżować jego kończynę.

Dźwignął się na nogi i rozsuptał wodze. Miał nadzieję uspokoić część zwierząt i być może odjechać na którymś w bezpieczne miejsce, lecz były

zbyt pobudzone. Jedno z nich na wpół ciągnęło go za sobą przez kilka metrów, aż wreszcie Huma

odzyskał zdrowy rozsądek i puścił konia. - Kaz!

Nie widział minotaura. Nagle przypomniał sobie, jak tamten zablokował atak oszalałego rumaka. Huma odwrócił się i ujrzał nieruchomą postać. Kaz zasłonił go przed kopnięciem własnym ciałem. Rycerz przypomniał sobie przysięgę minotaura. Z ust wyrwało mu się nietypowe dla niego przekleństwo. Nie chciał mieć na sumieniu śmierci przyjaciela. - Kaz!

Uklęknął obok swego wybawcy i obrócił go na plecy. Ku jego uldze, minotaur otworzył oczy. - Nie jesteś ranny? - zapytało stworzenie o głowie byka. - To ja powinienem cię o to zapytać!

Huma omal się nie roześmiał. Jeśli Kaz miał siłę, by się o niego niepokoić, miał też siłę, by żyć. Pomógł wielkiej istocie wstać. - Dasz radę biec? Minotaur pochylił się do przodu. - Daj mi trochę czasu.

Podczas gdy Kaz wracał do siebie, Huma rozglądał się wokół. Obóz był niemal całkowicie opustoszały. W jego południowej części widać było kilku rycerzy usiłujących ratować ekwipunek. Humie zdawało się też, że na wschodzie dostrzega jakichś jeźdźców. Namiot, w którym kapłani Mishakal opiekowali się rannymi, zniknął. Huma nie widział żadnych zwłok. Magowie dali zaatakowanym przynajmniej czas na ucieczkę. Mógł mieć jedynie nadzieję, że Gwyneth również zdążyła skryć się w bezpiecznym miejscu. Gdzie jednak podziały się smoki?

Huma nie widział ich od chwili, gdy rozpętała się burza. Ogromna ściana mrozącej krew w żyłach ciemności ogarnęła już niemal obóz. Przyniosła ze sobą widoczność odpowiadającą bezksiężycowej nocy. Huma nie pragnął wiedzieć, co czai się w owym mroku, zmusił się jednak, by wpatrzeć się weń. Gdy to uczynił, dostrzegł wreszcie smoki światła.

Ustawiły się w szereg, który Huma rozpoznał jako jedną z ich bojowych formacji, coś w rodzaju podwójnego V. Wobec zbliżającej się furii wydawały się żałośnie maleńkie.

Wiatrowi towarzyszyła teraz ulewa. Kaz parsknął gniewnie i powiedział coś na temat odoru mokrych ludzi. Wrócił już do siebie na tyle, by móc ruszyć naprzód. Szedł powoli, lecz trzymał się pewnie na nogach. Strugi deszczu sprawiały, że wszelkie ruchy były ryzykowne. Lepiej iść wolno i ostrożnie niż narażać się na to, by jeden z nich stracił równowagę lub by zdarzyło się to obu.

Równie dobrze mogłaby to być noc. Nie było widać ani śladu słońca. Huma dostrzegał przed sobą niewyraźne kształty. Jeśli nadal będą się posuwać w takim tempie, nawet one znikną, gdy moc Królowej Smoków stłumi jasność. Stłumi jasność...

Czy rycerze w końcu przegrali? Huma zadrżał na myśl o świecie znającym tylko ciemność. Świecie, którym władałaby Królowa.

Jedynym źródłem światła były teraz przesywające niebo rozbłyski ognia. Nie sprawiały wrażenia wywołanych przez burzę. Huma spojrział w górę. Zastanowił się, czy może to być dzieło smoków. Czyżby wreszcie starły się z nieprzyjacielem? Pragnął pomóc im w jakiś sposób, choć po zastanowieniu zrozumiał, że jego życzenie jest szaleństwem.

- Humo! - Syczący głos przestraszył go. Nagle zdał sobie sprawę, że to Kaz. Minotaur chrypiał. Rana osłabiła go bardziej niż chciał to okazać rycerzowi. - Humo! Przed nami jest światło!

Minotaur mówił prawdę. Była to jedynie blada poświata, przywodząca na myśl jednego z nocnych owadów, widzieli jednak jakiś blask. Ruszyli już w jego stronę, gdy Huma przypomniał sobie służącego ciemności czarodzieja, który próbował rzucić na niego urok. Niemniej to światło nie żądało od niego posłuszeństwa. Wydawało się raczej oferować bardzo potrzebną pomoc. By się zabezpieczyć, Huma wyciągnął miecz.

Brnęli z wysiłkiem przez błoto. W pewnej chwili omal się nie przewrócili. Potykając się i ślizgając, nie przestawali iść ku światłu.

Przez pewien czas wydawało się, że luna się nie zbliża. Stopniowo jednak odległość zaczęła się

zmniejszać. Wkrótce Huma zdał sobie sprawę, że blask również posuwa się w ich stronę. Zacisnął dłoń na mieczu. Idący u jego boku Kaz był cały spięty. - Szukałem cię.

Przed nimi, nie tknięty przez ulewę i wichurę, stał Magius. Łuna zdawała się dobywać z jego wnętrza.

Rozdział ósmy

Rzucone przez czarnoksiężnika zaklęcie światła otoczyło ich niczym namiot. Za jego obrębem majaczyła całkowita ciemność. Słyszeli rozszalałą magiczną burzę, choć nie czuli jej działania. Czar chroniący Magiusa wpływał również na Humę i Kaza. Jedynym problemem był fakt, że trudno im było utrzymać się na nogach, o czym minotaur przekonał się na własnej skórze. Huma pomógł mu wstać. Dolne partie ciała zwierzoluda były śliskie od błota.

Magius uśmiechnął się uprzejmie na ten widok, co rozgniewało Kaza. Nie poprawiły też sytuacji wygłaszane przez czarodzieja uwagi na temat tego, jak wolno posuwają się jego towarzysze, ani fakt, że wspaniałych szat, które miał na sobie, nie skalała najmniejsza plamka błota. Huma wiedział, że to skutek kolejnego zaklęcia, gdyż Kaz już próbował zachłapać plecy ich wybawcy. Błoto zatrzymywało się jednak w odległości kilku centymetrów od nie podejrzewającego niczego Magiusa i po chwili spadało na ziemię.

Ani rycerz, ani minotaur nie mieli najmniejszego pojęcia, dokąd prowadzi ich Magius. Wiedzieli tylko, że są wreszcie zabezpieczeni przed gwałtownymi czarami rozpętanymi przez czarnoksiężników Królowej Smoków. Fakt, że źli magowie mieli do dyspozycji taką moc, wprowadził Humę w głębokie przygnębienie. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd

wydawało mu się, że wszystko stracone.

Magius uniósł nagle wolną rękę. Łuna bijąca od jego osoby przygasała. Przed całkowitą ciemnością chroniło ich jedynie światło pochodzące od prostej laski, którą Huma i Kaz zauważyli dopiero w tej chwili.

Nie widzieli przed sobą nic, słyszeli jednak, że burza się uspokoiła. Ich uszu dobiegało coś jeszcze: odgłosy kroków wielu zwierzęcych łap oraz ciężkie oddechy jakichś dużych stworzeń. Dłoń Humy zbiegła z wysiłku, gdy zacisnął ją na rękojeści miecza. Stwory minęły ich. Jeśli były w stanie wędrować z taką łatwością, z pewnością były mieszkańcami nocy. W kilka minut po ich zniknięciu, gdy nie pojawiło się już nic więcej, Magius opuścił rękę.

Natychmiast zwrócił się w stronę swych towarzyszy. - Gońcy. Istoty hodowane i wypaczone przez Galana Dracosa. Nic dziwnego, że niektórzy zaczęli nazywać go śmiertelnym małżonkiem Królowej. Jego pokrętna wyobraźnia jest w pełni jej godna.

Humę zaciekało, kim są wspomniani przez Magiusa niektórzy. Pragnął zadać magowi wiele pytań dotyczących ostatnich kilku lat jego życia. Zanim wyruszył, by poddać się próbie, Magius był sarkastycznym, próżnym spryciarzem, który pokpiwał sobie ze swego najlepszego przyjaciela i nieustannie wyśmiewał się z rycerstwa z uwagi na jego nieprzystępność. Tylko Huma naprawdę rozumiał, że jego towarzysza dręczy straszliwa niepewność - co było jednym z powodów, dla których chciał się nauczyć magii - a drwiny, którym go poddawał, służyły innemu celowi. Ci sami rycerze, którzy gardzili młodym Humą, stawali się wówczas jego obrońcami. Honor rycerstwa zawsze stał na pierwszym miejscu.

Choć Magius nadal zachował skłonność do figli, w jego osobowości pojawił się poważny, posępny rys, który mógł ją zdominować. - Humo - wyszeptał minotaur. - Dokąd idziemy?

Obaj przyjęli założenie, że Magius prowadzi ich w miejsce, gdzie - jak miał nadzieję Huma - solamijskie siły dokonywały przegrupowania. Młody rycerz nabierał coraz większej pewności, że ich trójka w rzeczywistości kieruje się w przeciwną stronę. - Magiusie? - Hmmm? Czarnoksiężnik

nawet się nie obejrzał.

- Czy zmierzamy w głąb terytorium Solamni? - zapytał z wahaniem Huma. - Nie. - - Dokąd więc idziemy?

Mimo jego beztrudnej miny, w głosie czarodzieja brzmiała niepewność, być może nawet odrobina strachu. - Udajemy się do mojej cytadeli, mojej posiadłości.

Huma wyraził wreszcie prawdziwy powód swego niepokoju. - Do Ergothu? - Tak jest.

Magius nadal szedł przed siebie, lecz pozostali dwaj zatrzymali się. Nic dziwnego, że burza uspokoiła się tak szybko! Minęli linie nieprzyjaciela! - On nas zdradził!

Kaz wyciągnął dłonie. W uścisku jego potężnych łap szyja Magiusa złamałaby się z łatwością. - Kaz, nie!

Huma szarpał się przez chwilę z minotaurem, lecz ten nie chciał go słuchać. Spodziewał się, że czeka go wydanie w ręce jego niezbyt wyrozumiałych braci, a potem egzekucja.

Potężne dłonie utworzyły krąg wokół szyi maga, lecz nie mogły się zacisnąć. To samo zaklęcie, które chroniło Magiusa przed błotem, zabezpieczało go również przed fizyczną napaścią. To pierwsze zapewne było jedynie korzystnym efektem ubocznym, choć biorąc pod uwagę próżność Magiusa, nie można było mieć w tej sprawie pewności.

Czarodziej odwrócił się, z szyją nadal otoczoną dłońmi Kaza. Minotaur bez ostrzeżenia machnął jedną ręką w kierunku głowy maga. Jeśli spodziewał się, że brutalna siła przyniesie mu sukces, był w błędzie. Magius ani drgnął, a łapa napastnika odskoczyła do tyłu.

Na twarzy czarnoksiężnika pojawił się irytujący uśmieszek. Huma przez wiele lat obserwował, jak Magius go ćwiczył. Nagle, nawet w samym środku przytłaczającej ciemności, wydało mu się, że wróciła przeszłość.

- Nie zdradziłem żadnego z was. To prawda, że zdążamy do Ergothu, ale większa część tego kraju nadal pozostaje praktycznie nietknięta przez ogrów i ich plugawą panią. W gruncie rzeczy jest bardziej prawdopodobne, że znajdziemy bezpieczeństwo tam, niż gdybyśmy przyłączyli się do szaleńczej ucieczki twego walecznego rycerstwa.

Huma skrzywił twarz na te słowa. Poczul się zawstydzony, choć wiedział, że rycerze zrobili wszystko, co tylko mogli. Magius zapomniał dodać, że czarodzieje również uciekli.

Minotaur nie dał się przekonać. - Na Sargasa i mych przodków do dwudziestego pokolenia...

Magius skierował światło laski prosto w twarz Kaza. Ten cofnął się w obawie, że uderzy w niego zaklęcie. - Jeśli ktoś przyciągnie do nas uwagę, to właśnie ty, minotaurze! Wzywaj swych zapomnianych krewnych, jeśli musisz, ale nie wymieniaj imienia owego mrocznego boga, chyba że akurat w tej chwili pragniesz jego szczególnego zainteresowania!

Sargas. Upłynęło kilka sekund, nim Huma zidentyfikował to imię. Sargas - Sargonnas, małżonek Takhisis, Królowej Smoków. Niezależna moc. Minotaurowie oddawali mu cześć. Z pewnością ze strony Kaza był to odruch, lecz jego słowa mogły ich kosztować życie w czasie, gdy bogowie i boginie przyglądali się i nasłuchiwali z wielkim zainteresowaniem. Sargas nie byłby zadowolony z minotaura, który uciekł do śmiertelnych strażników wyznaczonych przez Paladine'a. Był bogiem zemsty i złych intryg. Kaz nie miał innego wyboru, jak się uspokoić i ustąpić wobec zdrowego rozsądku człowieka. Przynajmniej pod tym względem.

- No więc - podjął Magius, poprawiając płaszcz - czy możemy ruszać w dalszą drogę? Kiedyś się zmęcę. Wolałbym nie znajdować się wówczas w zasięgu wartowników Królowej.

Wydawało im się, że wędrówka przez mrok w towarzystwie maga trwała całe dni. Huma zaczął się zastanawiać, czy cały Ergoth ogarnął cień i czy zasnuł on teraz również Solamnię. Poczul ukłucie winy na myśl, że nie bierze udziału w przegrupowaniu sił. Pocięszal się jednak tym, że może dokonać

czegoś pożytecznego tutaj, gdzie naczelny wódz najmniej spodziewał się jego obecności.

Wreszcie trzej wędrowcy zauważyli przejaśnienie. Albo ciemność rozproszyła się tylko na chwilę, albo też zbliżali się do jej granic.

- Poziom mocy potrzebny do stworzenia i podtrzymywania tej potworności musi być gigantyczny - stwierdził Magius. - Renegaci Galana Dracosa są utalentowani, ale nawet ich możliwości mają jakieś granice. Wydaje się jednak, że osiągnęli cel. Równowaga została przełamana. Magius nie sprawiał wrażenia zbyt przejętego tym faktem.

Uformowały się mroczne, widmowe kształty sięgające w ich stronę. Demoniczne postacie nabrały wyrazistości, przeradając się w wyniosłe drzewa i gęste zarośla.

- Magiusie, co wydarzyło się na wschodzie? Czarnoksiężnik zwolnił, lecz nie odwrócił wzroku od biegnącej przed nimi ścieżki. - A co się miało wydarzyć?

- Przyleciały smoki. - Huma zastanowił się, co się z nimi stało. Czy wszystkie zginęły, w tym również srebrna smoczyca, do której czuł tak dziwne przywiązanie? - Powiedziały, że wschód upadł.

-
Magius zatrzymał się, odwrócił i spojrzał w twarz przyjaciela. -Doprawdy? Mag przybrał zamyśloną minę.

Kaz skrzyżował potężne ramiona. - Wiesz dużo, czarodzieju. Znacznie więcej niż nam mówisz.

Ponownie pojawił się cyniczny uśmieszek. - Zrobię, co będę mógł, aby wam wszystko wyjaśnić, kiedy już dotrzemy na miejsce. - A kiedy to nastąpi? Mógłbym przysiąc, że wędrujemy już wiele dni. Świecąca jasnym blaskiem postać potrzęsła złotymi lokami. - Cierpliwości! To może być najniebezpieczniejszy odcinek podróży.

- Znowu te cholerne zagadki! - zamruczał Kaz, gdy Magius się odwrócił.

Mroczny las wkrótce rozświetlił blask nadchodzącego świtu. Po chwili, dość szybko, wstał dzień. Był pochmurny, jak zawsze na Ansalonie od chwili przybycia Królowej, zawsze jednak był to dzień. Wszyscy trzej zatrzymali się, by się nim nacieszyć. Nawet Magius sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Powinniśmy być już w miarę bezpieczni. Wybrałem najkrótszą i najpewniejszą z możliwych w obecnych warunkach tras, lecz i tak czeka nas jeszcze cały dzień drogi. Nie chcę, by Dracos - czy choćby Czarne Szaty - poznał lokalizację mojego gaju.

Kaz potrzęsął tylko głową i popatrzył na Humę, który mógł jedynie odwzajemnić się mu tym samym gestem. On również nic nie wiedział o wspomnianym przez Magiusa gaju. Nagle pojawiła się nieoczekiwana przeszkoda. - Umieram z głodu - oznajmił minotaur.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, Huma również poczuł ssanie w żołądku.

Magius westchnął. Zastukał swą laską. Zmaterializowała się torba. Była wykonana ze zwykłej skóry i ciasno zasnuwana. Wielkością niemal dorównywała rycerskiej sakwie. - Nie ma tego wiele, lecz w obecnej sytuacji będzie musiało wystarczyć. To, co mag uważał za niewiele, mogło w pełni nasycić trzy osoby obdarzone zdrowym apetytem, nawet jeśli jedna z nich była minotaurem. Huma przyglądał się torbie, gdy Magius wyjmował z niej owoce, chleb, a nawet małą flaszkę wina. Wszystko to miało objętość ponad dwukrotnie większą od worka, a wydawało się, że w środku kryje się jeszcze więcej. Jakie inne, oczywiste dla maga, sztuczki znał jego przyjaciel z lat dzieciństwa? Jak potężny był Magius i komu poświęcił swą moc?

Gryząc jabłko, Huma przyglądał się bogatemu strojowi ich towarzysza. W myśl zasad, Magius powinien nosić białe szaty dobra albo - co znacznie bardziej prawdopodobne - czerwone neutralności. Tymczasem odziany był w błękitno-złoty strój, który bardziej pasowałby do ergothiańskiego dworzanina. Huma podejrzewał, że nic wykorzystaną do obszycia ubioru wykonano z

prawdziwego złota. Peleryna była biała, lecz tak miękka i dobrze utkana, że z pewnością była dziełem magii bądź też znakomitego rzemieślnika. Magius miał również na sobie sięgające bioder buty z lśniącej skóry. Nie była to przy tym zwykła skóra. Rycerz nie potrafił jej rozpoznać, ale widział już kiedyś takie buty. Wielki mistrz miał bardzo podobną parę. Nie był to strój maga. Żadnego maga, o jakim Huma dotąd słyszał. Kaz odezwał się, przerywając tok myśli rycerza. - Boże Morza! Nigdy nie kosztowałem podobnego wina! Wydawało się, że wyraz twarzy minotaura rozbawił Magiusa. - Gratuluję dobrego smaku. To rzadki trunek, który dali mi elfowie Qualinesti. Stał się ostatnio moim ulubionym. - Przebywałeś wśród elfów Qualinesti?

Huma słyszał o tej rasie, podobnie jak o ich kuzynach Silvanesti, lecz spotykał dotąd jedynie półelfów. Gwyneth wydawała się jedną z nich.

Myśl o niej przywołała wspomnienia i marzenia, nad którymi Huma nie chciał się rozwodzić. Skrył przeszłość w mrocznym zakamarku umysłu.

- Przebywałem - odparł Magius. - Chciałem ich wybadać. Nadal są równie uparci, jak ich kuzyni. Każdy z nich sądzi, że potrafi w pojedynkę zbawić świat. Cenę za ich pychę płaci ludzkość.

Po tych słowach nastrój stał się raczej ponury. Huma złapał się na tym, że gapi się w kierunku, z którego przyszli. Nie było już nawet śladu po przygniatającej ciemności.

Zapadła noc. Zgodnie z sugestią Magiusa rozbili obóz, by poczekać do świtu. Gdy Huma zaproponował, by wystawili strażę, czarodziej zareagował szyderstwem. Zapewnił ich, że jego moce wystarczą, by uporać się z tym zadaniem. Niemniej zarówno Huma, jak i minotaur byli nieustępliwi. Mag zgodził się wreszcie, niezadowolony, pod warunkiem, że sam będzie czuwał jako ostatni.

Rycerze, którzy spali twardo, nie żyli długo. Ta zasada była jedną z pierwszych, które poznawali giermkowie. Istniało zbyt wielu wrogów, którzy potrafili poruszać się bezszelestnie. Dzięki temu w rycerzach rozwinął się zmysł, który ostrzegał ich, gdy ktoś albo coś było w pobliżu. Dzięki temu Huma coś wyczuł.

Była to ostatnia warta, której Magius zażądał dla siebie. Huma, leżąc na boku, rozchylił ostrożnie powieki. W wąskim polu widzenia dostrzegł nogi minotaura oraz nieruchomą postać maga, który z pewnością spał.

Bez względu na to, kto to był, znajdował się za nim. Huma już to wiedział. Zaczął się obracać, powoli i ostrożnie, jakby nadal spał. Wreszcie spoczął na plecach. Jego dłoń podkradła się do rękojeści miecza. Wierzył w swe umiejętności wystarczająco mocno, by sądzić, że ma jeszcze szansę. Otworzył oczy na tyle, by wpuścić pod powieki światło dnia.

Z wielkim wysiłkiem powstrzymał się od krzyku. Czysto odruchowo przetoczył się na bok i dźwignął na kolano, wyciągając miecz. Za jego plecami Kaz wydał z siebie wściekłe parsknięcie. Był już gotowy do walki.

Było to jeszcze wyższe od minotaura - wysoki, masywny nawis skalny pokryty roślinnością. Gdyby wznosił się tu wczoraj, Huma mógłby nie dostrzec w nim nic niezwykłego. Mógłby nie zauważyć potężnych kamiennych narośli, które przypominały ramiona. Mógłby nie zwrócić uwagi na to, że w zewnętrznej powłoce ziemi i roślinności zachodzą nieustanne zmiany. Mógłby nawet w jakiś sposób przeoczyć dwa niebieskoszare kryształy, które zdawały się gapić na niego i tkwiły w czymś, co mogło być jedynie swego rodzaju twarzą.

Wszystko to dotarło do niego w ciągu zaledwie kilku sekund. Żywy kopiec przesunął się nieco naprzód, unosząc po drodze do góry ziemię wraz z owadami i roślinnością. Wydawało się, że nie ma on własnego ciała, lecz pożycza je sobie od miejsca, w którym stoi. Huma przygotował się do walki. Kaz złapał za wielki topór. Nagle las wypełnił się śmiechem. Śmiechem Magiusa.

- Porzućcie te pozy, dzielni wojownicy. Ten żywiołek nie ma zamiaru bić się z wami. Należy do

mnie. Można by go nazwać odźwiernym.

Kaz odwrócił się błyskawicznie w stronę maga. Topór wbił się głęboko w pień drzewa, pod którym siedział Magius, kilkanaście centymetrów nad jego głową. Czarodziej zrobił się blady jak Rennard. Śmiech zamarł mu na otwartych z wrażenia ustach.

Rozgniewany wojownik nie nacieszył się długo swą zemstą. Nagle stracił grunt pod nogami. W nieszczęsnego minotaura uderzyło trzęsienie ziemi o bardzo ograniczonym zasięgu. Huma spojrzał w dół, na własne stopy. Stał na nich równie pewnie, jak zawsze. Następnie przeniósł wzrok z powrotem na Kaza. Minotaur z rykiem runął na plecy. Magius tymczasem przyszedł do siebie po szoku. Starał się jednak, by

jego śmiech był cichy i mniej szyderczy. Potrząsnął głową, gdy Kaz bezskutecznie usiłował się podnieść.

- Nie staniesz na dwóch nogach, dopóki ci na to nie pozwolę, mój porywczy przyjacielu. Czy dasz mi słowo, że zaprzestasz prób pozbawienia mnie życia?

Broda minotaura uderzyła w ubitą ziemię. Kaz chrząknął na znak zgody. Magius spojrzał na żywiołaka. Huma odniósł wrażenie, że dwa kryształy obróciły się, by napotkać wzrok czarodzieja, wiedział jednak, że mogło to być jedynie wytworem jego wyobraźni. Grunt, na którym leżał Kaz, odzyskał stabilność. Minotaur zawahał się, podejrzewając, że to kolejna sztuczka.

Wstawaj wreszcie! - mruknął czarnoksiężnik. - Absolutnie nic ci nie grozi.

Huma odprężył się, lecz nie schował miecza do pochwy. Zbudowany z ziemi stwór niepokoił go.

Magius dźwignął się na nogi. Stał między Huma a istotą. Uniósł rękę w geście człowieka tresującego psa. - Przemów do mnie - nakazał.

Głos był niski i niósł się echem, lecz przypominał również dźwięk stosu większych i mniejszych kamieni, którymi ktoś potrząsał gwałtownie w wiadrze. Pierwsze słowa były praktycznie niezrozumiałe. Stworzenie powtórzyło je raz jeszcze.

- Wszystko w porządku. Nikt nie wszedł do gaju. Cytadela wita wracającego maga. Kopiec umilkł.

Magius skinął głową na znak satysfakcji. - Za tym gęstym skupiskiem drzew, trzy, cztery godziny drogi stąd, znajduje się nasz cel - powiedział.

Kaz zacisnął pięści, lecz nie stracił rozsądku. Poznał już część możliwości służki czarodzieja. - Tak blisko, a ty kazałeś nam spać tutaj? - Słyszałeś chyba, że żywiołak ziemi wspominał o gaju, prawda? Twarz maga była całkowicie poważna. - I co z tego?

- Tylko ja mógłbym się odważyć wejść na jego teren nocą, a to dzięki temu, że poświęciłem wiele czasu na to, by nad nim zapanować. Gdybym spróbował przeprowadzić przez niego was obu, z pewnością oznaczałoby to waszą zgubę.

Huma spojrzał w kierunku, który wskazał jego przyjaciel. - Na czym polega niebezpieczeństwo? Czy miecz lub topór mogłyby położyć mu kres? W śmiechu maga nie było wiele wesołości. - Istnieją groźby znacznie

poważniejsze od fizycznych. Powiedzmy tylko, że potrzeba by silnego umysłu, by wyjść stamtąd przy zdrowych zmysłach. Silnego albo prostego. Wybierz, co wolisz.

Zagadki, jak powiedziałby Kaz. Tak przynajmniej pomyślał wówczas Huma. Nie ufał wyzwaniom, którym nie można było otwarcie stawić czoła. Pod wieloma względami była to kolejna oznaka zmian, które zaszły w Magiusie od czasu ich ostatniego spotkania przed próbą.

- Żywiołak nas poprowadzi i zrobi, co będzie mógł, by obronić tego, kto zboczyłby ze ścieżki. Niech bogowie ulitują się nad tym, komu się to przydarzy, gdyż gaj z pewnością nie będzie miał litości.

Potrzebowali tylko pół godziny, by dotrzeć do granicy boru. Huma nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział równie gęste listowie. Drzewa, trawa, krzaki, a nawet pnącza rosły jedne obok drugich i splatały się ze sobą, tworząc prawdziwy mur obronny otaczający posiadłość Magiusa. Choć starał się ze wszystkich sił, Huma nie mógł nic dostrzec w leśnej głębinie.

W różnych miejscach przez gaj biegingy nie porośnięte ścieżki, wszystkie jednak szybko skręcały w bok i nie sposób było odgadnąć, którą z nich należy wybrać. Żywiołak ziemi minął kilka z nich, w tym dwie, które wyglądały na bardziej zachęcające od tej, w którą ostatecznie się skierował. Kaz przyjrzał się krytycznie dróżce. Potrząsnął ciężką dłonią.

Popatrz na to - wskazał zakończonym pazurem palcem na pokryte ostrymi cierniami pnącza wiszące nad przejściem. - Ścieżka, którą przed chwilą minęliśmy, była czysta i wydeptana! Z pewnością to nie jest odpowiednia droga!

Magius spojrzał na niego z nieskrywaną pogardą. - Najatrakcyjniejszy lep zwabia najwięcej much, mój przyjacielu. Możesz sobie pójść tamtędy, jeśli chcesz. Tutaj grozi nam lekkie podrapanie przez ciernie. Tam... może czaić się wszystko.

Kaz przestąpił niepewnie z nogi na nogę. Przeniósł wzrok z jednej ścieżyny na drugą, po czym popatrzył zdesperowany na Hume, poszukując wsparcia.

Huma z kolei spojrzał na Magiusa. Jego twarz niczego nie wyrażała. Rycerz przyjrzał się zarośniętej pnączami dróżce. - Wierzę mu, Kaz. - W takim razie pójde tam, gdzie ty.

- Cieszę się, że rozstrzygnęliśmy tę sprawę - powiedział Magius. Potrząsnął głową na znak zdumienia. Podniósł laskę i stuknął nią w tyłek żywiołaka - a przynajmniej w to miejsce, które wyglądało na jego tyłek.

- Żywy kopiec ruszył naprzód. Ziemia leżąca przed nim stawała się jego postacią, gdy szedł przez gaj. Magius podążył za nim bez wahania. Minotaur popatrzył na Hume, po czym pomaszzerował za magiem.

Rycerz został sam. Zaczerpnął głęboko tchu i trzymając miecz w gotowości - nie potrafił określić w jakim celu - wkroczył na ścieżkę.

Rozdział dziewiąty

Dróżka wiła się i zmieniała kierunek ze zdumiewającą regularnością. Gdyby Magius nie uspokajał ich kilkakrotnie, Huma pomyślałby, że kręcą się w koło.

Nie podobał mu się ten gaj. Nawet za dnia panował w nim mrok i pełno było cieni. Bez światła bijącego z laski z pewnością zbczyliby z trasy.

Huma uchylił się przed ciernistym pnączem zwisającym nad ścieżką. Po pierwszym ukłuciu jednego z niezliczonych ostrych kolców opuścił zasłonę hełmu. Niemniej każdy cierń drapał w chroniący jego ciało metal. Poirytowany rycerz przecinał mieczem jedną łodygę po drugiej. Mimo to, gdy się odwracał, nie dostrzegał żadnego śladu swej pracy.

Idący przed nim Kaz zaklął i uderzył toporem w kłujący krzak. Podrapany minotaur rąbał roślinę, aż wreszcie pozostały z niej tylko strzępy. Niemal natychmiast znowu wszedł prosto na zwisające pnącza. Oba ostrza topora pocięły je również na kawałki.

Nagły uskok kryjący się za następnym zakrętem zaskoczył ich wszystkich. Poruszenia gleby wywołane posuwaniem się żywiołaka oszukały Magiusa. Jego laska opadła w dół i spodziewający się oporu mag przewrócił się do przodu. Idący za nim Kaz runął prosto na czarnoksiężnika. Huma skręcił nagle, by nie wpaść na utworzony przez nich stos, stracił grunt pod nogami w innym miejscu i spadł ze ścieżki.

Zatrzymał się nagle na wielkim, obalonym pniu potężnego ongiś drzewa. Potarł się w tył głowy, która ucierpiała od wstrząsu i popatrzył w górę. W nicość.

Dróżki nie było. Cały teren porastały drzewa gaju. Większą część przestrzeni między nimi zajmowały wysokie, wieloletnie krzewy. Resztę wypełniały cienie. Głębokie i mroczne.

Huma zamknął oczy, po czym otworzył je ponownie. Tym razem upewnił się, że nie spogląda w stronę cieni. Przeszył go dreszcz. To, co zobaczył... zamarł. Co właściwie zobaczył? Nie sposób było tego opisać. Wiedział jedynie, że czai się to gdzieś w pobliżu, czekając by nieroztropnie zwrócił się w tamtą stronę. - Magiusie! Kaz!

Imiona wróciły do niego echem. Wydawało mu się, że zewsząd dobiega cichy, drwiący śmiech. - Huumoooo.

Na dźwięk tego głosu rycerz sięgnął po pałasz. Przekonał się jednak, że broń zniknęła. Pamiętał, iż trzymał ją w ręku. Gdy jednak przesukał grunt w słabym świetle, nie dostrzegł ani śladu oręża.

Z cieni wyłoniło się coś wysokiego i pokracznego, co przemknęło przelotnie przez pole widzenia. Nerwy Humy napięły się, gdy szyderca ponownie się roześmiał. Wyciągnął sztylet, w nadziei, że zrobi to na nim wrażenie.

Przestał cokolwiek widzieć, gdy coś dosłownie zmaterializowało się tuż przed nim. Pchnął mocno nożem. Ostrze natrafiło na błoto i piasek. Jego dłoń zatoneła w nim. Wypuścił mały sztylet z rąk.

Z rozwartymi oczyma spojrzał prosto w niebieskie jak lód, kryształowe ślepie żywiołaka.

Oparł się pragnieniu, by uściskać niezwykle stworzenie. Popatrzyło ono na niego i przemówiło tym samym, przypominającym chrzęst żwiru głosem, którym odpowiadało Magiusowi. - Pójdź za mną.

Tych kilka słów brzmiało w tej chwili dla rycerza cudownie. Nagle, ku swemu zachwytowi, ponownie poczuł w dłoni miecz.

Kryształy pograżały się szybko w głębi kopca. W pierwszej chwili żywy pagórek nie poruszał się. Rycerz uznał, że przyrósł do ziemi. Schował miecz i oparł się o tył ziemnej powłoki żywiołaka. Postanowił, że kopaniem wybawi go z kłopotliwego położenia. Gdy jednak dotknął dłońmi kopca, ziemia pod jego palcami zaczęła się niewiarygodnie nagrzewać. Szybko cofnął ręce. Z pagórka wyłoniły się dwa lśniące przedmioty.

- Pójdź za mną - powtórzył raz jeszcze żywiołak, gdy jego kryształowe oczy wróciły na miejsce.

Huma zeskoczył stworzeniu z drogi, gdy tylko ruszyło naprzód. Zamiast skręcać, jak robiłby to człowiek, żywiołak obracał po prostu swą twarz w kierunku, w którym pragnął powędrować. Wyglądało to co najmniej niepokojąco. Wytrzeszczając ze zdumienia oczy, Huma po raz drugi kompletnie zignorował polecenie ziemnego sługi. Kopiec nie powtórzył go po raz trzeci. Wdrapał się nagle na małe wzniesienie i po chwili zniknął.

Pierwszym odruchem Humy było wydobycie miecza. Następnie zazgrzytał zębami, postawił cztery zamaszyste kroki i znalazł się obok przeklinającego głośno minotaura oraz zaniepokojonego maga. - Huma!

Kazomal nie zmiażdżył go w niedźwiedzim - czy raczej byczym - uścisku.

Magius uśmiechnął się z ulgą. - Gdy spadłeś ze ścieżki, twój krowopodobny towarzysz chciał od razu pognać za tobą. Tylko z najwyższym trudem zdołałem mu wytłumaczyć, że byłoby głupotą pozwolić, żebyście zgubili się obaj.

Minotaur wypuścił z objęć Humę i zwrócił się błyskawicznie w stronę maga. - Nie chciałeś po niego pójść! Ktoś musiał to zrobić!

- Ktoś to zrobił. - Magius odgarnął arystokratyczne loki. - Choć potrafię odnaleźć drogę przez gaj, zdecydowanie wolałem wysłać żywiołaka, który nie musiał obawiać się niczego, zamiast narażać się tylko po to, by zrobić dobre wrażenie. - Jesteś tchórzem! - Jestem rozsądny.

Magius zwrócił się ku swemu staremu przyjacielowi. - Gdyby żywiołaka tu nie było albo gdyby nie zdołał cię odnaleźć, poszedłbym cię szukać. Daję słowo.

Kaz skomentował pogardliwym parsknięciem fakt, że Huma zaakceptował wyjaśnienia maga. Magius zignorował minotaura. Stuknął pośpiesznie laską w aktualną tylną część ciała żywiołaka i grupa ponownie ruszyła w drogę.

Choć nie natknęli się już na żadne trudności, Huma przez cały czas obserwował z uwagą ścieżkę. Wreszcie wyszli na oświetloną przestrzeń. Jaskrawo oświetloną. Wyglądało to tak, jakby wieczna pokrywa chmur ustąpiła wreszcie przed złocistymi promieniami słońca. Nawet Kaz uśmiechnął się szeroko i otwarcie. Gdy Magius odwrócił się, by do nich przemówić, również szczyrzył zęby od ucha do ucha. Wzniósł wysoko laskę. - Witajcie w moim domu.

Wpatrzyli się w dzikie, złote pole. Łatwo byłoby uwierzyć, że gdzieś na jego obszarze odbywają się tańce i zabawy elfów. Motyle i małe ptaszki latały to tu, to tam, a jasna, dojrzała pszenica kołysała się leniwie. Między rosnącymi tu i ówdzie na skraju lasu drzewami skakały małe, pokryte futrem stworzenia. Jeśli gdzieś na Krynnie istniał prawdziwy raj, to zapewne właśnie tutaj.

Na środku tego cudownego pola wznosiła się cytadela Magiusa, wieża, która - podobnie jak otaczający ją obszar - zdawała się być wykonana ze złota. Rolę drzwi pełniła gigantyczna, pojedyncza, drewniana brama. Na górnej części murów widniały plamki okien. Na szczycie mieścił się nawet niewielki taras. Wierzchołek nadawał cytadeli wygląd włóczni, dobrze wykonanej i ostrej jak igła. Ściany połyskiwały metalicznym blaskiem. Huma ubolewał tylko nad tym, że jej widok przypominał mu przelotnie o złowieszczej wieży z brązu wznoszącej się niepewnie na krawędzi piekielnej Otchłani.

Magius pokłonił się i wskazał gestem, by ruszyli przodem. Żywiołak zniknął. Być może wrócił do patrolowania zewnętrznych granic gaju. - Jesteście tu bezpieczni, przyjaciele. Tak bezpieczni, jak to tylko - możliwe na Ansalonie.

Rycerz i minotaur weszli na pole niczym dwoje dzieci. Opuścił ich niepokój o losy wojny. Opuściły ich nienawiść i strach. Liczyło się tylko zapierające dech w piersiach piękno rozpościerającej się przed nimi otwartej przestrzeni.

Mag patrzył, jak przechodzą obok niego. Uśmiech zniknął na chwilę z jego twarzy.

Gdy szli, działo się coś dziwnego. Cytadela rosła. Z każdym ich krokiem stawała się coraz wyższa. Huma i Kaz byli zmuszeni zadzierać głowy ku czemuś, co wydawało się samym sklepieniem niebios. - Jak smoki mogą przeoczyć coś zbudowanego na taką skalę? Tym razem w słowach Kaza nie było podejrzliwości, a jedynie zdumienie.

- To tak, jak z tym polem - odparł Magius. - Rzeczy nie zawsze są tym, czym się wydają, i nie zawsze wyglądają tak, jak je widzimy. Ktoś stworzył to miejsce na długo przed tym, nim ludzie postawili stopę na Krynnie. Spędziłem wiele czasu na próbach odcyfrowania tajemnic budowniczych. Pewne fragmenty sugerują, że byli ogrami. Nie potrafię uwierzyć, że kiedykolwiek byli oni zdolni wybudować coś równie pięknego. Być może miał to być rajski ogród dla samych bogów. Sądzę, że to bardziej prawdopodobne. Huma postanowił zmać powagę sceny kasznięciem.

Mag skrzywił twarz. - Wybaczcie mi. Z pewnością jesteście zmęczeni i spragnieni. Wejdziemy do środka, aby wypocząć. Potem porozmawiamy.

Magius ponownie uniósł laskę i wymamrotał długi szereg pozornie bezsensownych słów. Przynajmniej, którego blask poprzednio przygasł, rozjarzył się nagle nowym życiem. Zarówno Huma, jak i Kaz musieli zasłonić na chwilę oczy.

Brama otworzyła się, być może poruszana jakąś wielką, niewidzialną dłonią. Magius nie przestawał zdumiewać Humy. Nie było jednak wykluczone, że pałac również był dziełem owych

starożytnych.

Weszli do środka, do sieni, która - choć mniejsza niż widywane w szlacheckich posiadłościach - przyćmiewała większość z nich ekstrawagancją wystroju. Wzdłuż ścian stały posągi elfów, zwierząt, wysokich, człekokształtnych stworzeń, ludzi oraz istot, które mogły jedynie być samymi bogami. Korytarz wił się ku wyższym piętrům niczym olbrzymi wąż. Jedną ze ścian zdobiły złote i czerwone gobeliny przedstawiające gwiazdozbiory, na drugiej zaś można było zobaczyć górę, która dosłownie przytłaczała sobą krajobraz. Wyglądała tak realnie, że

przyciągnęła uwagę Humy. Coś w głębi jego umysłu powtarzało mu, że skądś zna to miejsce. Rycerz wiedział jednak, że nigdy dotąd nie widział tej turni. Nie przestawał się w nią wpatrywać, aż wreszcie głos Magiusa wyzwolił go spod uroku gobelinu.

- Nie są to wyłącznie oryginały, ale nie można mieć wszystkiego. Uważaj!

To ostatnie słowo było skierowane do Kaza, który poddawał dokładnym oględzinom prastarą rzeźbę wyobrażającą smoka o osobliwym kształcie. Bestia była długa i wąska.

Wyglądała niemal jak wąż z nogami i skrzydłami. Nieliczne ślady barwnika wskazywały, że była ongiś zielono-niebieska, co stanowiło dziwne połączenie kolorów dla jakiegokolwiek przedstawiciela smoczego rodzaju. - Tę rzeźbę wykonał ktoś z mojego ludu. - To niemożliwe. Z pewnością jest elfiej roboty. Przyjrzyj się jej.

Kaz parsknął. - Czy sądzisz, że nie mamy rzemieślników? Rozpoznaję charakterystyczne odciski w glinie, nawet jeśli twemu wykształconemu umysłowi nic one nie mówią.

- Dlaczego ktoś miałby nadać smokowi taki kształt? Nigdy nie widziałem równie długiego i wąskiego egzemplarza. Czy podobne stworzenia istnieją? - zapytał Huma, zwracając się do Magiusa.

Mag wzruszył ramionami. - Nie znam dowodów na istnienie podobnej bestii. Jestem przekonany, że to wyłącznie wytwór wyobraźni artysty. Kolejny powód, dla którego rzeźba nie może być dziełem minotaurów, nie wspominając już o fakcie, że jest na to o wiele za stara. - Byliśmy pierwszą cywilizowaną rasą. - Cywilizowaną czy udomowioną?

Kaz poruszył się szybko, lecz statuetka zawisła w powietrzu w odległości niespełna metra od twarzy Magiusa. Pogardliwemu spojrzeniu maga w pełni dorównywał wyraz dotkliwego rozczarowania, który pojawił się na obliczu Kaza. - Następnym razem rzuć celnie, krowo, gdyż nie otrzymasz kolejnej szansy. Użyj też czegoś odrobinę mniej wartościowego.

Gestem wolnej ręki Magius nakazał rzeźbie wrócić na miejsce. Kaz nie przestawał parskać. Jego oczy nabrały karmazynowej barwy. Huma wszedł nagle pomiędzy obu swych towarzyszy, wyciągając miecz. - Przestańcie!

Wybuch był tak gwałtowny, że zarówno mag, jak i minotaur spojrzeli na niego zdumieni, jakby postradał zmysły. Huma przenosił wzrok z

jednego na drugiego z miną, która - jak miał nadzieję - wyglądała srogo.

- Ansalon, albo i cały Krynn, może leżeć bezbronny u stóp Królowej Smoków, a wy dwaj zachowujecie się jak uczniaki!

Jedynie Kaz wyglądał na zawstydzonego. Magius zareagował na reprimendę obojętnie. Wzruszył tylko ramionami i udawał, że incydent nigdy się nie wydarzył.

- Jest tu jeszcze wiele do obejrzenia, ale przypuszczam, że chcielibyście obaj odpocząć. Czy mam rację?

- Przynajmniej pod tym względem - wymamrotał Kaz. Huma schował miecz, lecz ciągle był poirytowany. - A co będzie później? Czy potrafisz się skontaktować ze swym zakonem? Nie możemy zostać tu na zawsze. Odszukałeś nas. Czy masz jakiś plan? - Oczywiście.

Odpowiedź padła szybko, lecz w oczach czarnoksiężnika zalśniło coś, co - jak sądził Huma -

zadawało jej kłam. Ponownie zobaczył nie znane wcześniej oblicze Magiusa. Magiusa, który skrywał tajemnice przed jedyną osobą, której powinien zaufać. Jakże bardzo się zmienił.

A może to we mnie zachodzą zmiany? - zastanowił się Huma. W dawnych dniach nigdy nie przysłoby mu do głowy przepytować Magiusa lub wątpić w jego odpowiedzi. Rycerstwo otworzyło mu oczy na zawoalowane półprawdy, które odgrywały tak wielką rolę w życiu większości ludzi. - Chciałbym poznać ten twój plan - powiedział po namyśle.

- We właściwym czasie. Jest zbyt wiele spraw, którymi muszę się natychmiast zająć. Tymczasem będziecie mieli obaj szansę wypocząć i być może również coś zjeść.

Magius uderzył laską w podłogę. Huma poczuł, że przeszył go dreszcz. Potem ujrzał mgłę.

Unosiła się wokół czarodzieja niczym oswojony ptak wokół swego pana. Huma nie wyczuwał nawet śladu wiatru. Nie było również widać źródła oparu. Poruszał się on tak, jakby żył własnym życiem. - Goście. Zaprowadź.

Magius wypowiedział te słowa nie do Humy czy Kaza, lecz do chmury. Ta mu odpowiedziała. - Gośśścccie. Zaprowadźzzz.

Jej głos przypominał brzmieniem syk pary bijącej z zalanego wodą ogniska. - Pokoje na noc. - Poookkkkojee. Magius skrzywił twarz. - Żywiolaki powietrza są strasznie niemrawe. -

Machnął ręką w kierunku unoszącej się obok niego mgły. - Natychmiast, jeśli łaska - polecił. - Kiedy już się najecie i wypoczniecie, wszystko stanie się jaśniejsze - dodał czarnoksiężnik, zwracając się do Humy.

Kaz wydał z siebie głębokie: hmmm. Magius zignorował ten dźwięk. Żywiolak powietrza, otrzymawszy rozkaz, unosił się niecierpliwie wokół obu gości, pragnąc przystąpić do wykonywania obowiązków. - Chodźdźdźcie. Poookkkkojee. Gośśścccie.

Ich gospodarz przyglądał się, jak ruszają za utkanym z mgły stworzeniem w górę po spiralnych schodach. Gdy znaleźli się poza zasięgiem jego słuchu, Kaz nachylił się ku Humie, który szedł jako pierwszy. - Ten mag to twój przyjaciel? - wyszeptał. - Tak. Humie trudno było odpowiedzieć z pewnością w głosie.

- Módl się, by on również nadal cię za takiego uważał. Sądzę, że ta wieża, ze wszystkimi jej tajemnicami, byłaby bardzo pewnym i bezpiecznym więzieniem.

Rycerz nie spierał się z tym stwierdzeniem, gdyż już wcześniej przyszła mu do głowy podobna możliwość.

Jeśli faktycznie było to więzienie, niejeden łotrzyk błagałby na kolanach o to, by go w nim zatrzymano. Gdy przyzwyczajili się już choć w części do mglistych służących, Kaz i Huma z wielką przyjemnością spożyli mięso i owoce, nie wspominając już o winach, które byłyby odpowiednim składnikiem menu na każdym królewskim dworze.

Komnaty również były wspaniałe, choć o wiele za duże dla osoby normalnej wielkości, takiej jak Huma. Natomiast Kaz przekonał się, że meble doskonale pasują do jego rozmiarów. Twierdził, iż ten fakt stanowi kolejny dowód na to, że wieża jest zabytkiem pozostałym po jego rasie. Huma wiedział, że przed wybuchem wojen nikt nigdy nie spotkał minotaurów tak daleko na zachód, zachował jednak swe wątpliwości dla siebie.

Otrzymali oddzielne pokoje. Kaz z początku sprzeciwił się leniu jako łatwej do przejrzenia sztuczce pod hasłem „dziel i rządź”.

Gdyby miał taki zamiar, Magius mógłby sto razy powalić nas obu -zauważył Huma. - Pamiętaj, jak poradził sobie z tobą w korytarzu. - Miał szczęście. Niech no tylko zmierzę się z nim jeden na jednego.

- Nie zostałyby z ciebie nic oprócz popiołu. Magia jest dla niego równie naturalna, jak dla nas

oddychanie.

Minotaur walnął w ścianę potężną pięścią. Ku swemu zadowoleniu, wyraźnie ją naruszył. - W moim kraju...

Huma powstrzymał go, zanim zdążył posunąć się dalej. - Tu jest Ergoth. To ludzki kraj. Obowiązują w nim ludzkie zwyczaje. - Na pewno? Czyżbyś już zapomniał o bitwie?

- Nie zapomniałem. Sądzę tylko, że powinieneś mi zaufać. Znam Magiusa znacznie lepiej niż ty.

Kaz uspokoił się. Najpierw jednak powiedział: - Mam taką nadzieję. Dla dobra nas obu.

Nad tymi właśnie słowami zastanawiał się Huma, siedząc na łożu. Mimo utraty sił wywołanej marszem przez gaj, nie był w stanie zasnąć. Kaz natomiast, spał jak zabity, a odgłos jego chrapania odbijał się od ścian i wpadał do pokoju Humy.

Świece, które zapalono przed jego przyjściem, stopiły się już tak bardzo, że przestawały być przydatne. Ich migotliwe płomienie sprawiały, że pokój wypełniały niezwykle cienie. Huma złapał się na tym, że jego oczy nieustannie powracają do jednego z nich, szczególnie wysokiego i głębokiego, który zalegał w przeciwległym kącie. Był tak ciemny, że rycerz mógłby niemal uwierzyć, iż, gdyby zechciał, mógłby wstąpić w niego i przejść przez ścianę. - Humo.

Z cienia wysunęła się otwarta dłoń. Dołączyła do niej następna. Rycerz odsunął się od tej strony łoża, zbliżając się do miecza, który wisiał obok. - Humo, muszę z tobą porozmawiać. - Magius? - A ktośby inny?

W ślad za dłońmi pojawiły się ramiona, a potem reszta maga. - Wybacz mi to dramatyczne wejście - wyszeptał Magius. - Pragnąłem uniknąć dyskusji z tym minotaurem. Mogłyby mu się nie spodobać niektóre z rzeczy, jakie mam do powiedzenia. - A mnie się spodobają?

Huma był poirytowany. Sztuczki maga zaczynały męczyć nawet jego przyjaciela z lat chłopięcych.

Ich oczy spotkały się. Magius odwrócił szybko spojrzenie. - Mogą się nie spodobać. Ale tobie można przynajmniej przemówić do rozsądku. Wystarczy, by moje moce zawiodły mnie choć raz, a ten dwunożny byk mnie wykończy. - Nie przypisywałbym winy tylko jemu, Magiusie.

- Wiem. - Czarnoksiężnik skrył twarz w dłoniach. - Wiem o tym bardzo dobrze. Huma podniósł się, podszedł do starego przyjaciela i położył delikatnie

rękę na jego ramieniu. - Opowiedz mi wszystko. Obiecuję, że wysłucham cię bez uprzedzeń.

Magius podniósł wzrok. Na chwilę wrócili do dawnych dni, gdy żadnemu z nich nie chodziło o nic więcej prócz zabawy. Wrażenie owo zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Elegancki Magius wyciągnął dłoń. Natychmiast zjawiała się w niej laska, oczekująca na jego rozkazy.

- Widzisz przed sobą czarodzieja o wielkiej mocy i jeszcze większym potencjale. Nie jestem pierwszym, który to mówi. Tłusty, wesoły Belgardin powiedział to samo dnia, gdy mnie wprowadzał.

Belgardin. Huma pamiętał starego maga. To on pierwszy dostrzegł moc wzbierającą w młodym Magiusie. Moc, jakiej nigdy dotąd nie widział. Belgardin był wysokiej rangi adeptem Czerwonych Szat. Dzięki temu zdawał sobie sprawę, jak wielkiej pomocy potrzebuje chłopak. Wziął też pod uwagę prestiż, jaki mógł zdobyć ten, kto wyszkoli maga mogącego zostać mistrzem zakonu. Każdego zakonu.

Miał rację. Przecież pamiętasz. We wszystkim byłem najlepszy. Najzdolniejszy kandydat jakiego w życiu widzieli. Opanowałem zaklęcia, z którymi mieli trudności niektórzy z uznanych adeptów. Byłem cudownym dzieckiem.

Nuta zarozumiałości pobrzmiwająca w głosie Magiusa była całkiem uzasadniona. Wszystko, co mówił, było prawdą.

Twarcz maga przybrała poważny wyraz. - Wy, zwykli ludzie, słyszycie o próbie. Znacie pogłoski

o tym, co się podczas niej dzieje - wykonał swobodną dłonią gest naśladowujący cięcie. - Wszystkie one błędą w porównaniu z prawdą.

Próba stanowiła ostateczny dowód na to, że mag potrafi zapanować nad mocą. Nie miało znaczenia, do którego z zakonów należał. Wszyscy czarodzieje musieli się jej poddać.

Magius dotknął podłogi końcem laski. Wsparł się na niej ciężko. - Nie potrafię powiedzieć, przez co przeszli inni. Wiem tylko, że niektórzy tego nie przeżyli. Przed próbą ułożyłem sobie w myślach wszelkie wyobrażalne scenariusze. Sądziłem, że wysłą przeciwko mnie czarnych elfów, zmuszą mnie do zabójstwa kogoś starego albo chorego. Przypuszczałem, że mogą mi nakazać stanąć na krawędzi Otchłani i spojrzeć w twarz samej Królowej. Wiedziałem, że część z tego, co się zdarzy, będzie iluzją, ale większość będzie w pełni realna. Wystarczająco realna, by mnie zabić.

Huma skinął głową na znak zrozumienia. W naturalny sposób informacje wydostawały się na zewnątrz. Wyglądało na to, że w niektórych pogłoskach kryją się elementy prawdy.

Na przystojnej twarzy wykwitł uśmiech, który w obecnej sytuacji sprawiał wrażenie obłąkańczego. Magius roześmiał się cicho. Huma nie miał pojęcia, co wydało mu się tak zabawne. - Oszukali mnie do szczętu. Albo może nawet oni nie wiedzą o wszystkim, co dzieje się podczas prób. Podejrzewam, że czasami wtrąca się w nie sama moc. Tak czy inaczej, stanąłem w obliczu jedynej rzeczy, z którą - jak się okazało - nie potrafiłem się pogodzić. Mojej śmierci. Mojej śmierci w przyszłości.

Na te słowa Huma nie potrafił odpowiedzieć. Mógłby zapewniać Magiusa, że nie była to prawda, próbować przekonać go, że wszystko to musiało być iluzją, czy jednak mógłby twierdzić, że sam w to wierzy?

- W jakiś sposób udało mi się ocaleć. Sądzę, że w przypadku niepowodzenia czekało mnie szaleństwo. Oszukałem ich, pogrążając się w obłędzie innego typu. Wywołanym przez świadomość, że to, co ujrzałem, wydarzy się naprawdę. Gdy wyszedłem z wieży po próbie, wiedziałem, jaki czeka mnie los i byłem zdecydowany coś w tej sprawie zrobić. Przekonałem się jednak, że to niemożliwe. Zabraniały tego ściśle przepisy zakonów. Mimo ich rzekomej wolności od ograniczeń ani Czerwone, ani Czarne Szaty nie mogły mi zaoferować niczego, co byłoby pomocne. Oba zakony dawały zbyt mało swobody, a dobrze wiesz, że z pewnością nie byłem stworzony do tego, by nosić białe szaty.

Magius zachichotał na te słowa, po czym westchnął. Świece już się dopalały. Nie zostało z nich niemal nic.

- Gdy zdałem sobie sprawę z ograniczeń narzucanych mi przez wszystkie trzy zakony, uznałem, że muszę przełamać wytyczone przez nie bariery, aby - jeśli wybaczysz mi te słowa - zmienić przyszłość.

Huma cofnął się mimo woli. Szalone zaklęcia, dziwny strój, tak różny od prostych szat innych magów. Potrząsnął głową, nie wierząc, że to, co uczynił Magius, było możliwe.

- Wtedy właśnie - ciągnął czarodziej, skupiając uwagę na sobie - porzuciłem sformalizowaną, dławiącą wiedzę oferowaną przez konklawe i zostałem renegatem.

- Rozdział dziesiąty

- Czy to dla ciebie aż taki szok, Humo? Byłem młody i nieokiełznany. Zapewne i tak porzuciłbym zakony z innych powodów. Na przykład na skutek obrzydzenia do próby, którą nadal uważam za barbarzyński sposób na odsiewanie plew.

Huma osunął się z powrotem na łożo. Dla kogoś wychowanego w surowych zasadach rycerstwa wszyscy czarodzieje byli niegodni zaufania. Renegat był uważany za jeszcze gorszego od Czarnych Szat, gdyż wykorzystywał zaklęcia, przed których użyciem cofnęliby się nawet źli czarodzieje.

Magius dostrzegł jego minę. Uśmiechnął się ze smutkiem. - Renegat jest jedynie tym, czym sam

siebie uczyni, Humo. Jest takich niewielu, jako że trudno jest umknąć uwadze konklawe, lecz niektórzy z tej garstki są bardzo dobrymi ludźmi. Czasem jednak brak im wystarczającej mocy. Gdyby poddali się próbie, większość z nich zginęłaby. Dopóki żyją, robią, co mogą, by pomóc pozostałym, choć nie potrafią zbyt wiele. Oczywiście zawsze jest jeszcze druga strona. - Galan Dracos.

- Tak. - Magius pobladł. - Boją się go nawet czarni kapłani Królowej. Jest jej jednak potrzebny. Rycerz zeszywniał. - Dużo wiesz.

- Wiele o nim słyszałem podczas mych wędrówek. Sądziłem, że mógłby mi pomóc, ochronić mnie. Nie boi się trzech zakonów.

W sąsiedniej komnacie coś się poruszyło. Magius ponownie skrył się w cieniu. - Nie sądzę, byśmy mogli w tej chwili kontynuować naszą dyskusję. Postaraj się zrozumieć, że wszystko, co uczyniłem, miało swój powód. Porozmawiamy później.

Roztopił się w ciemności. Rycerz poderwał się i wetknął rękę w cienisty ką. Tak, jak się tego spodziewał, były tam tylko ściany. Portal otworzony przez Magiusa przed chwilą się zamknął. Kaz wpadł do komnaty z warknięciem. - Słyszałem go! Gdzie on jest? Zaskoczony gwałtownością minotaura, Huma cofnął się. - Co się stało, Kaz?

- Tak jak podejrzewałem, to pułapka! Mój topór zniknął! Sztylety również! - Co ty pleciesz? Huma sięgnął po miecz, który powiesił przy łóżku. Ale...

Pochwa była na miejscu, lecz okazała się pusta. Rycerz przeszukał pośpiesznie swe rzeczy. Podobnie jak Kaz, pozostał bez broni. Zniknęła ona podczas pogawędki dwóch starych przyjaciół.

Huma dotknął ręką głowy. Wydało mu się, że w komnacie zapanował nieznośny żar. Czuł się tak, jakby miał gorączkę. Kaz nagle znalazł się u jego boku, by go podtrzymać. - Co z tobą zrobił? Czy jesteś chory?

- Czuję się świetnie. - Zbył skinieniem dłoni swego współczującego towarzysza. - Nic mi nie jest.

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

Okazał się głupcem. Wierzył, że przeszłość nadal się liczy. Teraz stało się aż nadto oczywiste, że mag kłamał. Pełne sprzeczności, nadmiernie długie wyjaśnienia pozostawiły więcej pytań niż udzieliły odpowiedzi.

- Musimy się jakoś stąd wydostać - powiedział Huma, sięgając po zbroję. Kaz pomógł mu ją założyć.

Wydawało się, że w korytarzu nie ma strażników, rycerz jednak był pewien, że niedostrzegalni słudzy śledzą każdy ich ruch. Zastanowił się, jak daleko Magius pozwoli im się zapuścić.

Nic podoba mi się to - mruknął Kaz. W znacznie większym stopniu niż jego ludzki towarzysz nie ufał poczynaniom wszelkich czarodziejów.

Dotarli do długich, spiralnych schodów bez żadnych incydentów. Sprawilo to tylko, że stali się znacznie ostrożniejsi. Huma wyciągnął rękę i dotknął jednym palcem poręczy. Gdy nic nie poczuł, odważył się za nią

złapać. Postawił nogę na stopniu. Na drugim. Na trzecim. Kaz podążał za nim tak blisko, jak na to pozwalały jego wielkie rozmiary. Nieświadomie zwiększyli tempo.

Gdy Huma stanął na szóstym stopniu, zamrugał. Nagle znalazł się z powrotem na szczycie schodów. Pięć stopni niżej, Kaz obrócił się błyskawicznie, szukając rycerza. Zanim Huma zdążył go ostrzec, krzepki mieszkaniec wschodu postawił stopę na szóstym stopniu. W mgnieniu oka później Kaz zniknął, aby po chwili pojawić się na górze, obok swego towarzysza. - Nowe sztuczki - mruknął.

Podjęli następną próbę, która zakończyła się podobnie. Za każdym razem ten, kto postawił nogę na stopniu, nie zauważał chwili przeniesienia. Była to magia nadzwyczaj skomplikowanej i subtelnej natury.

Byli uwięzieni w swego rodzaju pętli. Huma zrezygnował pierwszy, zdając sobie sprawę, że to nie ma sensu. Kaz przez jakiś czas próbował jeszcze, w nadziei, że znajdzie jakieś wyjście. Wreszcie jednak minotaur stanął obok Humy w korytarzu. - I co teraz?

Huma upuścił na podłogę tłumok, który dzwigał. Odpiął pustą pochwę. - Nic. Wygląda na to, że nigdzie nie pójdziemy. - Nie możemy tu zostać! W oczach olbrzyma ponownie pojawił się czerwony blask.

- Czy masz jakieś pomysły? Nie ma tu okien, a ścian nie sposób sforsować. Przynajmniej my tego nie dokonamy. - Moglibyśmy zejść po linie.

Huma podniósł pustą pochwę i podszedł do schodów. Przerzucił ją nad poręczą. Przedmiot zniknął.

Kaz gapił się w dół, lecz Huma odwrócił się i wskazał na podłogę. Pochwa leżała za nimi. - Czekamy. Nie mamy innego wyboru. Ramiona minotaura opadły w geście bezradności.

Nadszedł czas, gdy chcąc nie chcąc zasnęli, mimo wszelkich wysiłków, by zachować czujność. Humę nawiedził sen. Sen o Gwyneth i o górze. O srebrnej smoczycy w locie. O złych czarnoksiężnikach i walkach bogów. Wszystko to tworzyło mieszankę tak chaotyczną, że nie mógł być pewien, czego właściwie dotyczył sen, ani jak się zaczął.

Wiedział jednak, że skończył się raptownie, albowiem przebudził go głos.

- ZZbuuuudź się.

Huma potrzebował paru chwil, by zdać sobie sprawę, że syczący szept nie jest częścią jego snu. Mglisty sługa przyszedł ich wezwać. - Paaann. Chccee. Poooroozzmmawiać. Huma wstał z łoża, podobnie jak Kaz, który także usłyszał żywiołaka. - ZZ Hhuuumąą. Tttyyylo.

- Pójdę z nim bez względu na to, czy podoba się to twojemu panu! Prowadź albo wciągnę cię do płuc!

Bez względu na to, czy żywiołak powietrza naprawdę zrozumiał słowa minotaura, popłynął w stronę schodów. Huma podążył za nim, z Kazem tuż za plecami. Istota powiodła ich w dół. Huma zawahał się lekko, gdy dotarli do miejsca, które odrzucało ich uprzednio. Postawił kolejny krok. Tym razem, ku wielkiemu zaskoczeniu rycerza, nic nie przerwało jego marszu. Powietrzny sługa unosił się obok, jak gdyby z niecierpliwością chciał ruszyć w dalszą drogę. Huma zaczął schodzić w dół, najpierw powoli, potem - gdy stało się oczywiste, że Magius nie zastawił żadnych pułapek - szybciej.

Głośny wrzask gniewu sprawił, że rycerz obejrzał się szybko za siebie. Gdy był odwrócony plecami, Kaz spróbował pójść w jego ślady. Ku wielkiej irytacji minotaura, zakłęcie nadal go więziło.

Huma odwrócił się bez słowa i podążył za sługą krętymi schodami, a potem korytarzami, których wczoraj nie widział. Przypominały one gaj. W niektórych miejscach były mroczniejsze niż wydawało się to możliwe. Tu i ówdzie, w migotliwym świetle nielicznych pochodni, widać było jakieś unoszące się w powietrzu istoty. Dopiero gdy zostawili blask żagwi za sobą, Huma mógł być pewien, że towarzyszący mu sługa nadal jest przed nim. - Paaann.

Huma w pierwszej chwili nie zrozumiał, gdyż komnata, do której wszedł, była równie ciemna i mroczna, jak korytarze. Nie widział też żadnych dowodów na to, by była zamieszkana. Nagle usłyszał, że coś się poruszyło.

Wypowiedziano jedno słowo. Pomieszczenie oświetliła laska Magiusa. Dźwięk, który dobiegł uszu rycerza, wywołał wstający z krzesła mag. Gdy się odwrócił, Huma otworzył usta porażony totalnym szokiem. Magius wydawał się niemal dwukrotnie starszy niż poprzednio. Nikt by nie uwierzył, że obaj są rówieśnikami. - Humo. Głos czarodzieja niemal błagał o przyjaźń. Cały gniew, który Huma

skrywał w sobie, zaczął topnieć, gdy rycerz przyglądał się tej nagłej utracie witalności. - Magiusie, co...

- Wiem. Po każdym naszym spotkaniu zostawiam cię z większą ilością pytań i obaw. Obawiam się, że nawet teraz nie zdołam tego zmienić, choć spróbuję wyjaśnić niektóre wątpliwości. Przed wszystkim chcę, żebyś zobaczył to.

Mag powiódł go do sąsiedniego pomieszczenia. Huma stanął twarzą w twarz z żywiołakiem ziemi, który prowadził ich przez gaj. Przed żywym kopcem coś leżało. Coś niepokojąco znajomego. Huma rozpoznał to. - Straszylilk.

Jego ciało było dziwacznie powykręcane. Rycerz zdał sobie sprawę, że stworowi oderwano jedną kończynę. Co jeszcze bardziej niezwykle, był on skamieniały. Huma sięgnął ręką w dół i potwierdził to wrażenie. Zupełnie jakby dotknął skały.

Miał wrażenie, że niewidzące oczy nadal go obserwują. Zwrócił się ku Magiusowi z prośbą o wyjaśnienie.

- Były jeszcze trzy, ale zginęły w gaju. Ten, choć z maltretowany i poszarpany, zdołał dotrzeć na pole, gdzie on - Magius wskazał na żywiołaka ziemi - go wykończył. Stało się. Galan Dracos wie, gdzie jestem. Zapewne wie też, że i ty tu przebywasz. Nie mam wyboru. Huma słuchał, nie wiedząc, ku czemu zmierza Magius. - Chodź ze mną.

Wrócili do komnaty, w której przebywali uprzednio. Magius podszedł do ściany, na której wisiało wielkie zwierciadło w złotej ramie. Było owalne i udekorowane starannie wykonaną wolutą. Magius stuknął laską w podłogę. - Pokaż mi - powiedział. - Tutaj. Ten szczyt w środku.

Na pierwszym planie obrazu majaczyła potężna góra. Huma szybko ją rozpoznał. Tę samą turnię

przedstawiał jeden z dwóch wielkich gobelinów.

- Gdy poddawano mnie próbie w wieży, ujrzałem właśnie to. Tę górę. Zapamiętałem ją dobrze, gdyż było to ostatnie miejsce, które się ukazało. Nie wiedziałem, że istnieje naprawdę, dopóki nie odnalazłem tej wieży i gobelinu w korytarzu. Gdy zobaczyłem go na ścianie, zrozumiałem, że w scenach z mojej próby kryje się więcej prawdy niż sądzili instruktorzy. Ten szczyt ma jakąś rolę do odegrania w obecnej wojnie. Coś się pod nim kryje. To jedyna zagadka, której nie potrafię rozwikłać. Nie znam nawet jego dokładnej lokalizacji. Leży gdzieś na zachód stąd. Może na

- południowy zachód.

Zwrócił się w stronę Humy i oddał rycerzowi broń, choć przed chwilą jego dłoń była pusta. - Minotaur również wszystko odzyskał. Żywiołak poprowadzi was do podziemnych przejść. Zawiodą was one do koni, które ukryłem z myślą o nieprzewidzianych sytuacjach. Wieża zatrzęsa się nagle. Magius odwrócił się błyskawicznie i wbił wzrok w lustro. - Pokaż mi! Góra zniknęła. Zastąpił ją obraz otoczonej cytadeli. Wielki czarny smok z jeźdźcem na grzbiecie. Inne smoki w pobliżu, czerwone.

- Na księżycze Krynnu! - Magius uśmiechnął się gorzko. - Czyż zasługuję na uwagę samego Crynusa? - Crynusa!

Mag popatrzył na Humę. Gorzki uśmiech stał się jeszcze wyrazistszy. - Och, prawda, wy się znacie. Gdybym miał czas, opowiedziałbym ci wiele ważnych rzeczy na temat jego i Czarnej Gwardii. W obecnej sytuacji... Wieża zatrzęsa się raz jeszcze. Z sufitu zaczął się sypać tynk. - Arionie!

W odpowiedzi na nagłe wezwanie czarnoksiężnika uformował się przed nimi mglisty sługa. - Zaprowadź ich do stajni! Szybko! - Paaannniee. - Magiusie, pozwól, bym ci pomógł.

- Chcesz mi pomóc? - Mag uśmiechnął się. - Ongiś stałem u boku Galana Dracosa. Byłem drugi po nim w jego zgromadzeniu magów. Trzeba będzie czegoś więcej niż smoki, by mnie powstrzymać.

Potężny powiew wypchnął Humę za drzwi. Rycerz zastanawiał się, jak wiele prawdy zdradził mu Magius. Nie tylko na temat swych możliwości, lecz również motywów. Czy kiedykolwiek zdobędzie w tej sprawie pewność? - Humo! - Kaz!

Minotaur pomknął przez mroczny korytarz nie zważając na żadne niebezpieczeństwa. Magius dotrzymał słowa. Zwrócił mu broń, łącznie z olbrzymim toporem. Pierwsze słowa masywnego wojownika były łatwe do przewidzenia. - Jakie szaleństwo ściągnął nam na głowę tym razem? - Tylko naczelnego wodza, sześć smoków i Paladine wie co jeszcze. Kolejny fragment murów runął z łoskotem. Kaz wzniósł topór wysoko nad głowę. - Na mych przodków do trzydziestego pokolenia, nie zgine przysypany skałą!

- Głuuuppccy! Zaaa mnnnąą! - Ten stwór...

- Jest przewodnikiem, który wskaże nam drogę do wyjścia! Dość już gadania!

Pognali za żywiołakiem powietrza, który teraz poruszał się zdumiewająco żwawo. Biła z niego słaba, srebrna poświata, nie istniało więc niebezpieczeństwo, że stracą go z oczu w mrocznych korytarzach.

Stajnia okazała się czymś w rodzaju groty z wentylacją. Przebywało w niej pół tuzina koni. Były różnych rozmiarów, lecz wszystkie dobrze umięśnione i lśniące. Gdy obaj wybrali już dla siebie wierzchowce, żywiołak powietrza zniknął. - Gdzie jesteśmy? - zapytał Kaz.

Huma wskoczył na swego konia - wysoką, srebrnosiwą klacz - i spojrzał w kierunku wejścia do jaskini. - Chyba na zachód od gaju. Korytarz prowadził pod nim.

- Świetnie. Jedna drobna trudność mniej. Minotaur wdrapał się na własnego wierzchowca, który co najmniej dorównywał mu wysokością.

Jaskinią targnął kolejny wstrząs. Huma uwolnił pozostałe zwierzęta. Nie mógł ich tu zostawić. Zginęłyby, gdyby grota się zawaliła. - Juhuuu!

Konie były szybkie. Przez dziesięć minut Huma i Kaz jechali, nie oglądając się za siebie. Słyszeli z tyłu ryki smoków atakujących osłonę cytadeli i jej pana.

Jaki był sens stawać do walki, której nie można było wygrać? Niemniej Huma wiedział, że sam będzie musiał wkrótce stoczyć podobny bój. Przemknęli przez polanę. Huma odważył się obejrzeć za siebie. - Jeźdźcy!

Było ich co najmniej ośmiu. Postacie w zbrojach barwy hebanu dosiadające czarnych jak węgiel koni przypominających stwory wywodzące się z Otchłani. Czarna Gwardia. Ręka Humy powędrowała do miecza. Chciał się upewnić, że broń jest na miejscu.

Za jeźdźcami, na polanie pojawiło się coś jeszcze. Blade, podobne do psów monstra o niewidzących, czerwonych oczach. Było ich sześć, może siedem. Straszywilki.

Nagle ziemia przed czarnymi jeźdźcami eksplodowała w górę z olbrzymią furią. Jednemu z nich udało się zachować równowagę, dwóch zaś zdołało ominąć miejsce wybuchu, reszta jednak zniknęła na chwilę za olbrzymim kopcem, w którym Huma rozpoznał żywiołaka ziemi. Punkt na korzyść Magiusa - pomyślał rycerz. Czarodziej wysłał jednego ze swych

najbardziej zaufanych sług na pomoc staremu przyjacielowi.

Straszywilki otrzymały ostrzeżenie, zdążyły więc ominąć kłębiący się chaos, choć jednego przygniótł koń, który stracił równowagę. Pozostałe kontynuowały pościg.

Gałąź uderzyła Humę w ramię. Rycerz odwrócił się akurat na czas, by uniknąć następnego, nisko zwisającego konaru. Kaz jechał w odległości kilku metrów na prawo od niego. Potężny wzrost przysparzał mu trochę kłopotów. Rogi na jego głowie z dokuczliwą regularnością zaczepiały o gałęzie. Minotaur podążał jednak naprzód z nieustępliwą zawziętością.

Huma oglądał się za siebie, gdy tylko pozwalało mu na to ukształtowanie terenu, lecz zawsze widział z tyłu to samo. Straszywilki posuwały się w stałym tempie. Sprawiały wrażenie, że się nie męczą. Jedynie sześciu hebanowych jeźdźców zdołało się przegrupować i dotrzymać im kroku.

- Nie możemy... — Gałąź uderzyła Kaza w twarz, gdy próbował coś powiedzieć. - Nie możemy tak dalej gnać. Konie padną.

Huma zgodził się z nim. Zmuszali zwierzęta do morderczego pędu. Wreszcie podjął trudną decyzję. - Rozdzielmy się! Ty skręć na północ!

Musiał gestykulować, by minotaur zrozumiał jego pomysł. Kaz zmarszczył brwi, zgodził się jednak. Huma pokazał, że skieruje się na południe. Nie mając własnego planu, jego towarzysz posłuchał go.

Gdy rycerz dał znak, Kaz zawrócił konia ostro w prawo. Omal nie stracił przy tym prawej ręki, gdyż zwierzę musiało otrzeć się o drzewo. Huma przyglądał się, jak minotaur znika, po czym ściągnął mocno wodze własnego wierzchowca.

Klacz była bliska kresu sił. Zwolniła gwałtownie, potykając się kilkakrotnie o zarośla. Huma nie czekał, aż się zatrzyma. Zeskoczył z siodła i pognął między drzewa w poszukiwaniu schronienia.

Straszywilki zbliżały się szybko. Huma zaledwie miał czas, by się przygotować. Wśród przedmiotów znajdujących się w stajni-grocie znalazł małą, drewnianą tarczę. Przytroczył ją sobie rzemieniem do wolnego ramienia. Gładkim, bezgłośnym ruchem wydobył pałasz. Modlił się, by straszywilki pobiegły najpierw za koniem. Jedynie wtedy mógł mieć jakąś szansę.

Był zdecydowany powstrzymać wrogów wystarczająco długo, by Kaz zdołał uciec. Zdawał sobie sprawę, że zapewne będzie go to kosztowało życie, lecz nie widział żadnej szansy ucieczki dla któregoś z nich, jeśli drugi nie zostanie z tyłu. Nie mógł o to prosić nawet Kaza.

Pierwszy ze straszywilków przemknął obok. Skupiony na jednym celu aż do granicy obsesji, makabryczny stwór popędził za porzuconym koniem. Zwierzę dopiero teraz zdało sobie sprawę ze swej sytuacji i ponownie zerwało się do biegu. Nie ucieknie daleko. Huma czuł niesmak na myśl, że musi w podobny sposób je poświęcić.

Jeszcze dwa straszywilki przebiegły obok. Podążył za nimi następny. Zostały jeszcze przynajmniej dwa. Huma uspokoił się, próbując zachować cierpliwość.

Następny. Następny. Gdy przestały się już pojawiać, rycerz odważył się wyrzeć zza drzewa. Okazało się to błędem, gdyż w tej właśnie chwili nadjechał pierwszy z gwardzistów, który zauważył go bez trudu.

Wybrał to właśnie drzewo ze względu na jego rozrośnięte korzenie, których część wystawała nad ziemię. Była to szczęśliwa decyzja, albowiem ścigający, skupiony na szansie, że dopadnie zbiega jako pierwszy, podjechał zbyt blisko. Lewe przednie kopyto czarnego konia zaczepiło o jeden z korzeni. Zwierzę runęło do przodu z przenikliwym rzeniem. Jeździec wyrzuciło wysoko w powietrze. Padł na ziemię w ślad za wierzchowcem. Huma upewnił się, że napastnik nie żyje, po czym zwrócił się ku pozostałym.

Reszta jeźdźców pojawiła się w grupie. Przerwy między drzewami były tak wąskie, że musieli zwolnić i przeciskać się między nimi jeden za drugim. W ten sposób złamali swą luźną formację. Huma wydał z siebie okrzyk wyzwania i runął do ataku.

Gdy dopadł pierwszego z wojowników z Czarnej Gwardii, przeciwnik spróbował zamachnąć się toporem, lecz broń ugrzęzła mu w gałęziach. Huma uderzył celnie i mężczyzna spadł z siodła.

Nagle przyszło mu coś do głowy. Skoczył na porzuconego konia. Zwierzę stawiało mu opór. Jeden z napastników padł na ziemię z czaszką roztrzaskaną uderzeniem kopyta. Wreszcie Huma zapanował nad wierzchowcem. Odparł atak kolejnego z wrogów i popędził rumaka naprzód, tym razem na południe. Tak, jak na to liczył, czterej jeźdźcy podążyli za nim.

Coś skoczyło na niego. Biała plama. Tylko szczęściu zawdzięczał, że udało mu się przebić napastnika sztychem, choć Straszywilk zdołał rozerwać mu kolczugę na nodze. Rycerz jechał naprzód, trzymając na mieczu wciąż wijące się monstrum. Ciężar stwora zmusił Humę, by włókł go za sobą, żeby nie wypuścić z ręki pałasza. Mężczyzna miał wrażenie, że zaraz wyrwie mu ramię ze stawu. Straszliwe szczęki spróbowały go schwytać. Niewidzące oczy zatoczyły

się w czasie. Wreszcie Straszywilk ześliznął się z miecza i upadł na ziemię. Rycerz obejrzał się za siebie. Ujrzał z przerażeniem, że stwór podnosi się, jakby nie stała mu się żadna krzywda. Straszywilk uniósł łeb akurat na czas, by dojrzeć przednie kopyta konia pierwszego ze ścigających, które runęły na niego. Jeździec stratował i unicestwił makabrycznego stwora, nie zwracając na niego uwagi.

Wierzchowiec Humy, podobnie jak konie należące do jego prześladowców, był u kresu sił. Płaty piany ściekały mu z pyska. Koń zaczął potykać się w biegu. Rycerz usłyszał za sobą trzask. Odważył się obejrzeć szybko do tyłu. Jedno z pozostałych zwierząt przewróciło się, a za nim następne, które na nie wpadło.

Huma zatrzymał swego wierzchowca, po czym zawrócił. Dwaj gwardziści, którzy nadal go ścigali, zaatakowali z przeciwnych stron z zamiarem wzięcia przeciwnika we dwa ognie. Jeździec zbliżający się z prawej zadał groźny cios mieczem. Ten, który nadjeżdżał z lewej, w mgnieniu oka później zrobił to samo. Huma bezbłędnie wyliczył czas. Pierwsze uderzenie zablokował tarczą, drugie zaś odbił tak precyzyjnie, że stworzyło mu to szansę. Sztych jego miecza wbił się między napierśnik a hełm jeźdźca z lewej. Ten padł na plecy. Niczego nieświadomy koń uniósł go ze sobą.

Ostatni z napastników nie miał ochoty na walkę jeden na jednego. Zawrócił ku swym dwóm

towarzyszom, którzy wydostawali się spod rannych wierzchowców. Huma zamachnął się szaleńczo. Nie zdołał zadać śmiertelnego ciosu, lecz gwardzista zleciał z siodła i nie podniósł się już z ziemi.

Tymczasem zdążyły wrócić pozostałe straszywilki. Rumak Humy zachwiał się na nogach i osunął na kolana. Rycerz zeskoczył na ziemię, by zwierzę go nie przygniotło. Stał z tarczą i mieczem w dłoni, by stawić czoła pięciu stworom oraz dwóm jeźdźcom, którzy zdążyli się przegrupować. Nieubłagana świadomość, że musi zginąć, zaćmiła jego umysł. Gdy pierwszy ze straszywilków skoczył mu do gardła, odpowiedział potężnym ciosem kogoś, kogo jedynym celem jest zabrać ze sobą na drugi świat tyłu wrogów, ilu tylko zdoła. Ciął, rąbał i pchał niemal na oślep. Nie widział przeciwników zbyt wyraźnie. Nawet tarcza stała się bronią. Uderzył nią przynajmniej jedną białą postać wystarczająco mocno, by roztrzaskać jej czaszkę.

Przed jego twarzą błyskały pożółkłe, ociekające posoką kły. Stał wrogich mieczy w każdej chwili mogła rozplatać mu gardło. Huma odpierał każdy atak, po czym oddawał cios.

Nagle zdał sobie sprawę, że uderza w powietrze. Ta świadomość przywróciła mu zmysły. Usunął mruganiem mgłę z oczu i spojrzał na rozpościerający się przed nim widok.

Ostatni dwaj gwardziści leżeli martwi. Ich broń spoczywała daleko od nich. Krew wsiąkała w ziemię. Wokół wałały się szczątki pięciu porąbanych na kawałki straszywilków.

Zalała go nagła fala zmęczenia. Osunął się na kolana. Przez długi czas gapił się bez ruchu na to, czego dokonał.

Rozdział jedenasty

Huma mógł jedynie domyślać się, ile czasu upłynęło, zanim poczuł ból. Oddalił się wreszcie od okropnej sceny zarówno po to, by uwolnić się od narastającego niesmaku wobec siebie, jak i celem ucieczki przed następnymi wrogami, którzy mogli się pojawić. Zdawał sobie niejasno sprawę, że tak się stanie, gdyż Dracos i naczelny wódz Crynus byli zdeterminowani aż do granic fanatyzmu. Huma sądził też, że przynajmniej ten drugi będzie pragnął poznać miejsce jego pobytu.

Ból narastał. Rycerz wpatrywał się tępo w liczne rany, które zadali mu przeciwnicy. Jego zbroja była powgniatana i podziurawiona, a kolczuga niemal bezużyteczna. Próbował przypomnieć sobie, w którym momencie doszło do tych uszkodzeń. Nie pamiętał z walki nic poza tym, że uderzał mieczem we wszystko, co się ruszało.

Odnalazł strumień i obmył w nim rany, najlepiej jak potrafił. Chłodna woda przyniosła ulgę nie tylko jego ciału, lecz również umysłowi.

Gdy skończył, postanowił podążyć wzdłuż rzeczulki. Płynęła ona mniej więcej w kierunku południowo-zachodnim. Rycerz przypominał sobie, że Magius radził mu udać się w tamtą stronę. To przywiodło mu na myśl Kaza. Czuł się winny, że porzucił swego jedyne prawdziwego przyjaciela. Czy minotaur znalazł gdzieś schronienie?

W górze przemknęła jakaś wielka sylwetka. Zerwał się potężny wiatr, od którego zakołysały się gałęzie. Huma przycisnął się instynktownie do pnia. Spojrzał w górę. Dostrzegł przelotnie szerokie, skórzaste skrzydło, które natychmiast zniknęło. Nie był nawet pewien jego barwy. Smok jednak nie wrócił.

Dzień dobiegł końca, zanim Huma zdał sobie z tego sprawę. Głód dawał o sobie znać. Rycerz pogrzebał w sakwie, którą zdjął z jednego z koni. Wyglądało na to, że Czarna Gwardia nie posiadała zbyt wiele osobistego dobytku. Na dnie znalazł to, czego szukał - racje żywnościowe na trzy dni.

W chwilę później wypluł kęs gwałtownie, mimo że był głodny. Kolejna lekcja na temat jego wrogów - ich upodobania kulinarne, nawet gdy chodziło o z reguły pozbawione smaku racje żywnościowe, były makabryczne. Huma wiedział, że spożycie czegoś takiego przyniosłoby mu więcej szkody niż pożytku. W swym obecnym stanie nie zdołałby zatrzymać podobnego posiłku w

żołądki.

Wreszcie zdołał znaleźć coś do jedzenia - ptasie jaja i jagody. Nie było to zbyt sycące, lecz złagodziło głód. Poszukiwania żywności uprzytomniły

mu też coś jeszcze. Większość krzewów ogołocoło z jadalnych jagód i to niedawno. Zbyt dokładnie, by mogła to być robota zwierząt. Poza tym Huma nie zauważył tu nic żywego oprócz ptaków. Jeśli zostanie w tej okolicy zbyt długo, zginie z głodu. Strumień również wyglądał na pozbawiony żywych stworzeń.

Wędrował wzdłuż niego przez trzy dni. Kiedy pewnego dnia ujrzał swoje odbicie w wodzie, uśmiechnął się drwiąco. Widoczny w tafli rycerz był rozczochrany, wąsy sterczały mu w stu różnych kierunkach, zbroję miał powgniataną i podziurawioną, usmarowaną krwią i ziemią. Z zakłopotaniem spróbował zetrzeć choć trochę brudu z symbolu Zakonu Korony. Ujrzał, że jego twarz zniknęła i pojawiła się inna, przypominająca oblicze Bennetta. Syn Trake'a był oczywiście niepokalany. Jego napierśnik lśnił jak zawsze. Wspaniałe wąsy miał gęste i schludnie przycięte. Był prawdziwym rycerzem.

Obok Bennetta pojawiła się druga twarz. Nie należała do solamnijskiego rycerza, lecz do człowieka zakutego w cudzoziemską zbroję. Porośnięte gęstą brodą niedźwiedzie oblicze uśmiechało się szyderczo.

Gdyby nie ujrzał tego na własne oczy, przypominający niedźwiedzia mężczyzna nigdy by nie uwierzył, że człowiek może się poruszać tak szybko. Zmaltretowana postać przeglądająca się w strumieniu zdołała jakimś cudem wydobyć pałasz. Pechowy przybysz z trudem zdążył się uchylić i to głównie dzięki temu, że nieznajomy siedział w pozycji utrudniającej zadanie ciosu.

Huma nie potrafił w pierwszej chwili zidentyfikować mężczyzny, który próbował się do niego podkraść. Miał on na sobie pancerz złożony z elementów najróżniejszego pochodzenia. Niektóre z nich były ogrowej roboty, inne zaś stanowiły fragmenty solamnijskiej zbroi. Huma pozwoliłby mu odejść, teraz jednak zadał sobie pytanie, czy nie ma do czynienia z bandytą, osobnikiem zdolnym okradać nawet zabitych.

Jego niedawny przeciwnik wrzasnął nagle, odwrócił się i uciekł z prędkością zdumiewającą u człowieka o tak niezgrabnej postaci. Huma rzucił się w pościg.

Wyczerpanie spowalniało jego ruchy, lecz mimo to zbliżał się już do nieznajomego, gdy ten ominął małe wzgórze. Rycerz podążył za nim...

...i natychmiast zawrócił, gdy ujrzał ponad tuzin jeźdźców i znacznie więcej piechurów, którzy spojrzeli zdumieni na dwóch przybyszy.

Wysoki mężczyzna o srebrno-czarnych włosach i schludnie przyciętej czarnej brodzie wydał warkliwym tonem rozkazy. Huma nie usłyszał

dokładnie słów, wiedział jednak, że dotyczą jego.

W tym momencie opuściło go szczęście. Las był tu rzadszy, a jeźdźcy dobrze znali teren, o czym świadczyły ich śmiałe manewry. Gdy zdał sobie sprawę, że nie zdoła przed nimi uciec, odwrócił się i stanął pewnie na nogach. Wiedział, że nie są to ludzkie oddziały Królowej Smoków, nie miał jednak pewności, czy ma do czynienia z sojusznikami czy wrogami.

Pierwsi dwaj popędzili w jego stronę. Byli dobrymi jeźdźcami, lecz potrafił utrzymać ich na dystans za pomocą miecza. Jego sytuacja siała się trudna, gdy zbliżył się trzeci jeździec, a za nim kilku piechurów. Znalazł się w szybko zaciskającym się kręgu. Niemniej żaden z żołnierzy nie zaatakował. Nikt nie chciał sławić czoła jego szybkiemu jak błysk orężowi. - Schować broń! To rozkaz!

Przybyli pozostali jeźdźcy. Mężczyzna, który wydał krzykiem komendę, podjechał do kręgu.

Żołnierze ustąpili mu z drogi. Zbliżył się do Huma i popatrzył na niego. Dowódca był człowiekiem o wyrazistych rysach twarzy. Pokrywały ją bruzdy wywołane ciężką na nim odpowiedzialnością. Podobnie jak wielu rycerzy solamnijskich miał orle oblicze świadczące o starej ergothiańskiej krwi. Królewskiej krwi. Nie była to jednak twarz tak surowa, jak u wielkiego mistrza czy Bennetta. Igrający na niej lekki uśmieszek nie pasowałby do żadnego z tych dwóch wybitnych dowódców.

- Rycerz solamnijski? Zawędrowałeś dość daleko od twierdzy Vingaard, Rycerzu Korony.

Huma zaczerwienił się, gdy zdał sobie sprawę, co tamten z pewnością o nim pomyślał. Wiedział, że jego wygląd nie budzi zaufania. Spróbował zdobyć się na odrobinę godności. - Od wielu dni jestem sam - odparł. - Walczyłem z potworami i wojownikami. Nie wybrałem tej trasy w pełni dobrowolnie. Nie ufał im jeszcze do tego stopnia, by wspomnieć o innych rzeczach.

- Rozumiem. - Dowódca przesunął się w siodle. - Jestem lord Guy Avondale z Durendi. Zapuściłem się trochę za daleko na południe, jak na mój gust. Kim jesteś i co robisz w środku Ergothu? Czy Solamnijscy wreszcie przebili się przez linie nieprzyjaciela?

- Jestem Huma, rycerz solamnijski z Zakonu Korony. Czarna Gwardia zmusiła mnie do ucieczki w tym kierunku, gdy źli słudzy Królowej Smoków rozbili nasze oddziały. Mógłby skłamać, rozbudzić ich nadzieje, lecz postanowił tego nie robić. Twarz Avondale'a zbielelała. Towarzyszący mu żołnierze zaczęli

pomrukiwać nerwowo do siebie. - Czy dobrze cię zrozumiałem? Rycerstwo rozgromiono?

- Nie, lordzie Avondale. Nasze linie zostały przełamane, ale mieliśmy się przegrupować w innym miejscu. Niestety zostałem zmuszony do ucieczki w niewłaściwym kierunku. Twierdza Vingaard nadal stoi, tak jak zawsze stała i zawsze stać będzie.

Tamten nagroził go sarkastycznym uśmieszkiem. - My w Ergothu aż za dobrze znamy siłę rycerstwa. Wydaje się jednak, że nie przyniosła ona zbyt wiele. Niemniej z radością słyszę, że nie ponieśliście totalnej klęski.

Jeden z jeźdźców zbliżył się. Huma odwrócił się błyskawicznie. Jego miecz ostrzegł, by tamten niczego nie próbował. Avondale uniósł dłoń, by uspokoić ich obu.

- Jest wiele pytań, które chciałbym ci zadać, ale wyglądasz na całkowicie wykończonego. Oddaj mu na razie swojego konia - dodał dowódca, wskazując ręką jeźdźca, który podjechał bliżej. - Tak jest, wielmożny panie.

Huma przeniósł wzrok z oferowanego rumaka na Guya Avondale'a, a potem z powrotem na zwierzę. Szlachcic zmarszczył brwi, gdy zdał sobie sprawę z obaw młodego rycerza.

- To nic jest pułapka, Humo. Jesteśmy wrogami Królowej Smoków, tak samo jak ty. Niech nasze przeszłe spory pozostaną, tam, gdzie jest ich miejsce, to znaczy w przeszłości.

- Pragnę tego samego, lordzie Avondale. Huma mruknął i wdrapał się z wdzięcznością na wierzchołku.

- Świetnie. Kiedy wrócimy do obozu, dopilnuję, by dano ci jeść. Potem będziesz mógł wypocząć albo od razu zgłosić się do mnie.

Humie przyszła do głowy pewna myśl. - Wielmożny pilnie, czy dotarły do ciebie pogłoski o kręcącym się po okolicy samotnym minotaurze?

- Minotaurze? - Avondale spojrział z zakłopotaniem na swych zastępców. Ci potrząsnęli głowami. - Wygląda na to, że nie. Jeśli na niego natrafimy, załatwimy się z nim. Nie ma obawy.

W głosie Huma pojawił się niepokój. - Wielmożny panie, nie o to mi chodziło! Ten minotaur - zdaję sobie sprawę, że trudno w to uwierzyć - jest naszym sojusznikiem i nie może mu się stać krzywda. Nazywa się Kaz.

Zaiste. - Avondale ponownie przyjrzał się Humie, tym razem dłużej. - Nigdy nie słyszałem o

czymś podobnym, a już z pewnością nie spodziewałem się, że usłyszę o tym od rycerza solamnijskiego. Spełnię jednak twoją prośbę. Czy to wystarczy?

- Tak, wielmożny panie.

- Świetnie - Avondale zwrócił się ku swemu adiutantowi. Doprowadź tę kolumnę do jakiegoś takiego porządku. Kiedy wrócimy, zamknij więźnia - szlachcic ponownie spojrzał w oczy młodego rycerza. - Człowiek, którego ścigałeś, był dezertorem. Jestem ci wdzięczny. Z niecierpliwością oczekuję naszej rozmowy.

Jeźdźcy i piechurzy sformowali szyk i na polecenie lorda Avondale'a ruszyli na południe. Huma zaufał ich dowódcy, choć wolałby kontynuować wędrówkę na południowy zachód. Nagle dopadły go mdłości. Omal nie zsunął się z siodła.

- Bogowie! - szcęki dowódcy poruszyły się, lecz w pierwszej chwili Avondale nie wiedział, co powiedzieć. - Dereku, pomóż mu! Nie chcemy, żeby wpadł pod kopyta własnego konia! - przyjrzał się Humie dokładniej. - Bogowie! - powtórzył. - Cały jest pokryty ranami!

W armii nie było uzdrowicieli Mishakał. W pobliżu Caergothu wybuchła nowa fala epidemii. Wśród pierwszych ofiar byli tamtejsi kapłani. Avondale wymamrotał coś o tym, że jest to bardzo szczególny rodzaj zarazy, gdyż najczęściej atakuje tam, gdzie może spowodować najbardziej dotkliwe szkody. Caergoth był dotąd nietknięty i miał stanowić główne źródło zaopatrzenia dla oddziałów Avondale'a. Huma spał przez całą dobę, co zaniepokoiło szlachcica, gdyż nieprzewyciężone zmęczenie stanowiło jeden z pierwszych objawów choroby. Lord Guy uspokoił się dopiero wtedy, gdy Huma zbudził się pełen energii i wdzięczności. Kiedy się upewnił, że młody rycerz wrócił w pełni do siebie, zaprosił go na rozmowę w cztery oczy.

Dowódca był przyzwoitym człowiekiem, wbrew wszystkiemu, co Huma słyszał o Ergocie od starszych rangą członków rycerstwa. Był również zdolnym strategiem, choć zdecydowanie wolałby wykorzystać posiadane kompetencje do uzdrowienia swego kraju. Cesarz Ergothu, niczym nie wyróżniająca się osobistość znana jako Bestell III, zarządził, by lord Avondale dowodził armiami w jego imieniu. Szlachcic, choć był wiernym sługą swej ojczyzny, pragnął, aby jego pan i władca zdobył się przynajmniej na to, by poświęcić część swej świetnie wyszkolonej i bardzo doświadczonej gwardii koronnej celem wzmocnienia straszliwie już uszczuplonej armii. Podobnie jednak jak jego poprzednicy, Bestell III dbał tylko o własny interes. Zawsze znajdował jakiś powód, który uniemożliwiał mu skierowanie osobistej gwardii dalej niż do bram stolicy.

Wieść o klęsce rycerstwa była tylko kolejnym punktem na rosnącej liście zmartwień lorda Avondale'a. - Nadal trudno jest mi pogodzić się z tą

myślą, wiem jednak, że powiedziałaś prawdę, Humo. W obecnej sytuacji nie widzę sposobu, bym mógł cię odesłać do twych towarzyszy. Udajemy się do Daltigothu, z rozkazu cesarza. Potem zapewne zawrócimy na północ. Czuję się jak marionetka, której pan pociąga sznurki to w górę, to w dół.

Huma siedział sam na sam z dowódcą w jego namiocie. Po raz pierwszy pozwolono mu opuścić ten, który mu przydzielono. Młodemu rycerzowi dano mocną ergothiańską zbroję. Avondale przyznał, że była ona przeznaczona dla jego syna, który zginął w pierwszej bitwie. Solidna kolczuga dobrze pasowała do ocalałych fragmentów pancerza Humy. Okazało się, że uszkodzenia hełmu i napierśnika dało się mimo wszystko naprawić. Huma cieszył się z tego. Choć podziwiał mistrzowskie wykonanie ergothiańskiej zbroi, wydawała się ona stanowczo zbyt ozdobna, nawet dla największych arystokratów między solamnijskimi rycerzami. Avondale wyznał, że swą ceremonialną zbroję zakłada tylko na audiencję u cesarza. Dla pomniejszych dygnitarzy musiała wystarczyć bojowa, nawet jeśli miałoby poczuć się dotknięci.

Huma opowiedział mu wszystko, pomijając jedynie nieszczęsną misję, którą miał wypełnić.

- Czy jest jakiś sposób, bym mógł uzyskać prawo swobodnego poruszania się po waszym kraju?

- Jesteśmy w samym środku wojny, Huma. Jak mógłbym ci na to pozwolić?

Huma pociągnął łyk wina, którym poczęstował go Avondale. Wydało mu się zabawne, że szlachcic traktuje niskiego rangą rycerza solamnijskiego z podobnym szacunkiem. Ergothianin nie był jednak głupcem. Wiedział, że niewielu ludzi mogłoby ujść z życiem z przejść, jakie stały się udziałem Huma i traktował go stosownie do tego.

- Jeśli mogę mówić otwarcie... - Huma spojrzał na stojących obok namiotu strażników.

Westchnął. - Krążą pogłoski - ciągnął - że gdzieś na południowy zachód stąd znajduje się klucz do położenia kresu tej nie kończącej się wojnie. Gdzieś pośród gór.

Avondale zastanowił się nad tym. - Faktycznie jest tam łańcuch górski. Tylko nieliczni zapuszczają się na jego obszar. Powiadają, że to schronienie smoków ciemności, a być może także innych rzeczy. W tych stronach rzeczywiście może się kryć coś ważnego. Na chwilę Humę ogarnął zachwyty. - Czy mógłbyś mi towarzyszyć? Dowódca roześmiał się. - Obawiam się, że cesarz ściałby mi za to

głowę. Poza tym, ten teren nie nadaje się dla konnicy. Patrole zapuszczające się w owe góry często znikają bez śladu. Magowie nie chcą się tam udawać, a kapłani wszystkich przed tym ostrzegają. Czy daje ci to wyobrażenie, o co mnie prosisz? - Tak, wielmożny panie.

Huma siedział bezwładnie na stołku. Wsparł głowę na dłoniach. W namiocie zrobiło się nagle bardzo ciepło. - Nic ci nie jest? - Nic. Proszę tylko chwilę poczekać.

Huma otarł sobie pot z czoła. Gorączka ustąpiła. Lord Avondale wyglądał na zaniepokojonego. - Może przełożmy naszą rozmowę na jutro. - Tak byłoby lepiej, wielmożny panie.

- Widzę to. - Szlachcic podrapał się w brodę. - Pojedź ze mną do Caergothu, a dopilnuję, byś mógł udać się w góry na własną rękę, jeśli nadal będziesz tego chciał. - Do Caergothu?

Po ataku gorączki Huma nadal miał mroczki przed oczyma. Trudno mu było skupić wzrok na dowódcy.

- Tak jest, do Caergothu. Kapłani pomogą nam ominąć obszary dotknięte morem. Co ty na to? - Dziękuję.

Huma podniósł się szybko. Zakręciło mu się w głowie. Pragnął jedynie się położyć. Wciąż jeszcze nie odzyskał sił. - Czy mi wybaczysz? Oczywiście.

Guy Avondale przyglądał się, jak rycerz solamnijski oddala się pośpiesznie. Czoło zmarszczyło mu się z niepokoju. Pociągnął łyk wina, po czym wpatrzył się w kielich.

Zanim objął ich pobór do armii cesarza, większość żołnierzy lorda Avondale'a była prostymi kupcami i wieśniakami. Z tego powodu rycerze solamnijscy byli dla nich niemal wyłącznie legendą. Teraz mieli wśród siebie taką żywą legendę. Po obozie krążyły już opowieści o jego przygodach, prawdziwych i wymaginowanych. Huma był niemal równie przejęty, jak Ergothianie, gdyż nie uważał się za bohatera legendy. Spojrzenia, które przyciągał, zawstydzają go głęboko.

Większość opowieści wiązała się z pościgiem i straceńczym bojem z zakutymi w hebanowe zbroje sługami naczelnego wodza. Wyglądało na to, że Huma zabił ich cały legion, a na dodatek wielkie stado demonicznych straszylków. Ludzie, którzy zdawali sobie sprawę, że odjeżdżając na wojnę, pozostawili swe rodziny praktycznie bez ochrony, obawiali się

bardzo tych bestii. Humie wydawało się dziwne, że mieszkańcy Ergothu, kraju, który rycerstwo było zmuszone opuścić, uważali go za bohatera.

Avondale sprawiał wrażenie rozbawionego tym wszystkim. Gdy Huma zapewniał, że opowieści są przesadzone, uśmiechał się tylko i odpowiadał, że wszystkie wielkie legendy poddaje się próbie

właśnie w ten sposób, że muszą sprostać swej sławie. - Potrzebni im bohaterowie. Są oni źródłem nadziei. Nadziei, że ciemność, którą jest Takhisis, zostanie w jakiś sposób pokonana i będą mogli wrócić do najbliższych.

Od czasu do czasu pojawiały się smoki przynoszące wieści o wojnie. Wróg zajął północny Ergoth oraz Hylo. Huma był coraz bardziej zaniepokojony. Zastanawiał się, czy Kaz skierował się na północ czy też zawrócił na południe, by go odszukać. Nawet jeśli prawdą było to drugie, w żadnym mieście tego kraju nie przywitają przyjaźnie minotaura. Huma martwił się nie tylko o Kaza. Pokryty bliznami z licznych bitew mieszkańców wschodu robi, co będzie mógł, by się upewnić, że sam nie zginie.

Dopytywał się o wieści z Solammii, lecz przybyłe smoki nie wiedziały nic o tym, co się tam wydarzyło. Krążyły pogłoski mówiące, że wycofujące się rycerstwo znalazło się już niemal w połowie drogi do twierdzy Vingaard. O tym, co się działo na wschodzie, nie było żadnych pewnych wiadomości.

Rozbili obóz w pobliżu ruin zamożnego ongiś miasta leżącego o dwa dni drogi od Caergothu. Padło ono ofiarą moru we wczesnej fazie wojny. Niektórzy ludzie sądzili, że najnowsza fala epidemii wzięła początek z jego ruin. Avondale był innego zdania.

- Pamiętasz - powiedział Humie tego wieczoru - że wspominałem, iż ta zaraza wydaje mi się bardzo szczególna. - Pamiętam.

Szlachcic zabębnił palcami w stojący w namiocie stół. - Jestem przekonany, iż jest tak szczególna dlatego, że celowo roznoszą ją ludzcy agenci.

Huma nie chciał uwierzyć, by ktokolwiek mógł świadomie szerzyć chorobę, wiedział jednak trochę o kulcie Morgiona. Plotki twierdziły, że we wszystkich społeczeństwach, wszystkich organizacjach i wszystkich krajach ma on swych wyznawców, którzy czekają tylko na rozkaz, by wypuścić na swobodę śmiertcionośne dary swego boga. - Czy nie możesz się mylić? Huma wolałby, żeby tak było. - Niewykluczone. Rycerzowi wolno już było opuszczać obóz. Avondale zabronił mu tego

pierwszego dnia, odwołał jednak zakaz, gdy tylko upewnił się, że Huma nie robi nic głupiego. Na przykład nie odjedzie gdzieś samotnie. Dzięki temu Solamnijszyk mógł wybrać się na przechadzkę. W końcu dotarł do najbliższych ruin. Niepokoiły go one, tak jak wszystko, co wiązało się z morem. Huma wiedział jednak, że po tak długim czasie nie będzie już żadnych śladów po chorobie.

Nie miał zamiaru wchodzić na obszar nieszczęsnego miasta, dopóki nie dostrzegł przelotnie czworonożnego cienia, który zniknął szybko wśród rozpadających się budynków. Możliwe, że był to tylko wilk albo dziki pies.

Wyciągnął miecz i zaczął skradać się za zjawą. Nie zauważył, jak głęboko w ruiny się zapuścił, aż do chwili, gdy usłyszał między zniszczonymi domami odgłos szybkich kroków. Nie był to dźwięk, którego spodziewałby się po czworonożnym stworzeniu. Wyszkolenie i doświadczenie powiedziały mu, że ten intruz chodzi na dwóch nogach.

Usiłował wypatrzeć w ciemności jakieś kształty. Zauważył słaby blask dwojga karmazynowych oczu, zanim zniknęły one w jednym z budynków. Rycerz postąpił krok w tym kierunku.

Usłyszał, że w domu po lewej coś się poruszyło. Zwrócił się w tamtą stronę, lecz nie dostrzegł nic oprócz ciemności.

Jakaś wysoka, bezkształtna masa potrafiła go, przesuwaną się za jego plecami. Odwrócił się błyskawicznie. Usłyszał wrzask bólu, po czym postać dosłownie roztopiła się w nocy. Huma pognął za nią z mieczem w dłoni.

Mogła zniknąć jedynie w roztrzaskanych drzwiach widocznych przed rycerzem. Huma otworzył kopniakiem szczątki wrót i wpadł do środka.

Pomieszczenie było puste. Przeszukał też pozostałe izby małego domku. W nich również gnieździły się tylko typowe w takich miejscach szkodniki. Ścigany zniknął. Rozgniewany Huma postąpił kilka kroków w kierunku tyłów budynku, wznosząc po drodze tumany kurzu. Za domem nie znalazł nic poza kolejnymi stertami gruzu. Nieznajomy musiał się skryć gdzie indziej, chyba że leżał płasko na ziemi za ruinami. Po prostu nie było tam gdzie się schować.

Unoszący się w powietrzu pył wywołał u Humy ostry atak kaszlu. Rycerz poczuł nagłą słabość. Ogarnęły go mdłości. Trudno mu było nawet iść, a co dopiero trzymać miecz. Poirytowany, rzucił go na podłogę, co wzbiło dalsze chmury nieznośnego kurzu. Pokrył on całą jego zbroję, lecz rycerz nie dbał o to. Ślaniał się na nogach. Wydawało się, że pył jest wszędzie. Wypełniał mu oczy, nos, uszy i gardło. Huma dotarł do drzwi i

osunął się z westchnieniem na ziemię. Siedział wpatrzony w martwą ulicę. To również stało się zdecydowanie zbyt męczące. Uznał, że drzemka przyniesie mu znacznie więcej pożytku. Zamknął oczy i wkrótce rozległo się chrapanie.

Wokół zmaterializowały się ciemne postacie odziane w długie, spowijające całe ciało płaszcze oraz głębokie kaptury, pod którymi nie sposób było dostrzec twarzy. Tylko jeden z przybyszy miał odsłonięte dłonie. Wydobyl zza pasa małą fiolkę. Odkorkował ją i delikatnym ruchem wysypał na podłogę zawartość. Był to czerwony proszek, który natychmiast wdał się w reakcję z tym, co Huma uważał za nagromadzony przez wieki kurz. Rozległ się syk. Buchnęła para. Obie substancje unicestwiły się nawzajem, pozostawiając jedynie naturalną warstwę szarego proszku, który faktycznie zbierał się przez lata. Zakapturzona postać zamknęła buteleczkę i zwróciła się ku leżącemu na podłodze rycerzowi. Nieznajomy strzelił palcami. Czterech jego towarzyszy pognało ku Humie, by go podnieść.

Po minucie izba była już pusta. Gdyby ktokolwiek zajrzał do środka, nie dostrzegłby oznak niczyjej obecności. Nie został żaden ślad po rycerzu ani widmowych postaciach, które go schwytały. Zimne powietrze miasta duchów wypełniło się drwiącym wyciem.

Rozdział dwunasty

Głosy syczały niezrozumiale, tocząc swego rodzaju debatę. Półprzytomny rycerz potrzebował kilku sekund, by zrozumieć, że to on jest przedmiotem sporu. Żałował, że mając zamknięte oczy, nie może zobaczyć, kto tak się troszczy o jego pomyślność.

Następny głos, skądś mu znany, wtrącił się pełen gniewu. - Dlaczego zwlekasz? - Jest naznaczony. - Cóż to ma za znaczenie, Skularisie?

Osobnik zwany Skularisem syknął, jak gdyby poczuł się urażony owym pytaniem. — Jest w tym coś dziwnego, jeśli rycerz solamnijski nosi podobny znak.

- On tego nie zrozumie, mistrzu nocy! - wtrącił się drugi głos, przypominający rechot wielkiej żaby. - Ten, który leży tu na ziemi, jest w większym stopniu jednym z nas niż on.

-

Ten, który przemówił jako pierwszy, mistrz nocy, podjął kolejną próbę wyjaśnienia. - Mamy wśród nich agentów i to potężnych.

Drugi z nieznanym wyraził rechotliwym tonem potwierdzenie. Huma poruszył się lekko. Zdawali się sądzić, iż nosi jakiś ważny znak. Sam jednak czuł w tej chwili jedynie to, że ma rozżarzone czoło.

- Zdaję sobie sprawę ze znaczenia znaku - ciągnął znajomy głos. Gdzie go słyszał? - Wiem również, że nie zabije go on, tak jak początkowo sądziłem. Znakomicie. Ten człowiek posiada

informację, która jest mi potrzebna. Sam fakt jego istnienia jest dla mnie ważny.

- Czegóż więc od nas oczekujesz? Nie możemy zrobić mu krzywdy, jeśli jeden z nas naznaczył go znakiem ochronnym.

Ten z rozmówców, który niewątpliwie był tu obcy, warknął. Huma odzyskał pełną jasność zmysłów, gdy rozpoznał ów odgłos. Jedyne straszylki wydawały podobne dźwięki.

Ktoś musiał zauważyć, że ciało rycerza się poruszyło, gdyż skryta w rękawicy dłoń obróciła jego głowę z lewa na prawo. Rękawica była przegniła. Cuchnęła tak paskudnie, że Huma cofnął się od niej odruchowo. Osobnik zwany mistrzem nocy zachichotał ohydnie.

- On nie jest jednym z nas, ale jeden z nas chciał go ochronić. To robi się coraz bardziej interesujące. - Co mamy zrobić? - zapytał rechoczący głos.

- Musicie go ukryć, wy nędzne trupy! - warknął obcy przybysz. - Schowajcie go gdzieś, dopóki moi słudzy nie skontaktują się z wami. Czy mór przeżarł wam umysły, tak samo jak ciała? Humie udało się wreszcie uchylić odrobinę powieki.

Dwie postacie wyglądające jak wysokie sterty spleśniałych, cuchnących łachów toczyły rozmowę ze straszylkiem. Nie było tam nikogo więcej. Spowity mgłą umysł Humy potrzebował kilku chwil, by pojąć, że Galan Dracos - przebywający gdzieś daleko w swej cytadeli - używał tego nie żyjącego sługi jako swych oczu, uszu i ust w Ergocie.

Mógł się jedynie domyślać, że nadal znajdują się gdzieś wśród ruin. Widział niewiele, lecz to, co zobaczył, zdawało się potwierdzać ową hipotezę, jako że pokój wypełniał gruz i brak było części sufitu. Huma nie wiedział, jak długo był nieprzytomny ani jak daleko go zawlekli.

Wtem ten z dwóch obdartych napastników, który sprawiał groźniejsze wrażenie, uniósł rękę, odsłaniając kościstą, pokryta bliznami dłoń. Skierował palec wskazujący ku wysłannikowi renegata. - Uważaj, magu. Na razie masz jej błogosławieństwo, ale łaska Królowej jest niestała dla tych, którzy ja zawiodą. Mądrzej postąpiłbyś, gdybyś uprzejmiej

rozmawiał z tymi, którzy są ci potrzebni.

Iliada postać straszylka najeżyła się z ledwo powstrzymywanej wściekłości. Dracos pozwolił, by sługa dał wyraz jego emocjom. Mniejszy z dwóch zakapturzonych osobników cofnął się, powłócząc nogami. Wyciągnął przed siebie krostowate dłonie w widocznym strachu.

Drugi, mistrz nocy, z pewnością się uśmiechnął, gdyż jego ton ociekał drwiną. - Twoje moce są straszliwe dla żyjących w strachu, lecz nie dla tych, którzy są pod opieką Morgiona.

Morgion! Huma zaledwie zdołał stłumić szok, który przeszył jego napięte ciało. Był więźniem wyznawców Morgiona, boga chorób i rozkładu! - To bezsensowna strata czasu - mruknął wreszcie Dracos. Zgadzam się. Świetnie, magu. Moi bracia zatrzymają go dla twych sługusów, ale wyłącznie dlatego, że służy to celom Pana. Nie dlatego, że obawiam się twojej mocy. - Oczywiście, że nie. - Ale znak... - wtrącił rechotliwy głos.

- Są chwile, bracie, gdy wszyscy musimy coś poświęcić, ku większej chwale Morgiona. - I Królowej, oczywiście - dodał znaczącym tonem Dracos. - I Królowej. Szkoda. Nadal mnie ciekawi, skąd wziął się ten znak. Skularis dotknął dłonią czoła Humy.

Rycerzowi zakręciło się w głowie pod wpływem szoku. Czuł się tak, jakby dokonano inwazji na jego duszę. Skulił się, lecz nie miał miejsca, by cofnąć się przed szponiastą dłonią.

I nagle jego umysł opuścił ruiny. Otoczył go kalejdoskop obrazów i dźwięków. Nie czuł strachu. Część jego jaźni wiedziała, że wszystko to dzieje się tylko w jego umyśle, choć nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego miałoby go to uspokoić. Zdawało mu się, że słyszy tętent kopyt koni jadących na bitwę, pobrękiwanie zbroi, okrzyki bojowe oraz szcęk stali uderzającej o stal. Ujrzał wizję trzech mężów. Każdy z nich nosił symbol rycerstwa: koronę, miecz i różę. Wszyscy mieli opuszczone

zasłony hełmów, lecz Huma wiedział skądś, że dwaj podążający z tyłu mogli być jedynie bliźniaczymi bogami Habbakukiem i Kiri-Jolithem. Dwoma członkami Solamnijskiego Triumwiratu. Znaczyło to, że ten, kto stał przed nimi...

Wizję Humy przerwano z przerażającą nagłością. Rycerz powrócił do rzeczywistego świata. Gdyby go nie zakneblowano, krzyknąłby, gdyż koścista, naznaczona śladami choroby dłoń cofnęła się od niego

gwałtownie. Wydało mu się, że wyrwała przy tym skrawki jego ciała. Zamglonymi oczyma Huma dostrzegł dwie spowite w tkaninę postacie gapiące się na niego.

- Nie zdołałem spenetrować jego umysłu. Chroni go czysta siła woli. Fascynujące. - A znak? - zarechotał drugi.

- Już go nie ma. Był zbyt słaby. Nie jest jednym z nas. Nigdy nie mógłby się nim stać.

Zza ich pleców ponownie dobiegł głos Dracosa płynący z paszczy straszylka. - W takim razie nie ma już powodów do wahań.

- Najmniejszych. Będzie należał do ciebie, gdy tylko zjawią się twoi słudzy. - Kapłan strzelił palcami. Huma akurat w tej chwili odzyskał jasność widzenia. Z ciemności wychynęły zakapturzone postacie, zniszczone przez chorobę maskary przypominające poległych na polu bitwy, którzy odzyskali pozory życia. - Zabierzcie go do katakumb i przywiążcie do ołtarza. - Żadnych ofiar!

Nawet Huma musiał zauważyć, jak kapłan wykrzywił wargi. Nie obawiaj się, psie. Będzie żywy i zdrowy. Ciekaw jestem, czy poszczęści ci się bardziej ode mnie.

Dracos nic potrafił na to odpowiedzieć, a przynajmniej Straszylk niczego nie przekazał. Huma szarpał się, lecz więzy trzymały mocno. Cztery spowite w płaszcze postacie chwyciły go brutalnie i uniosły. Bijący od nich odór był niemal nie do zniesienia.

Rycerz miał nadzieję, że zorientuje się, gdzie są i dokąd się udają, lecz widok zasłaniał mu nadgryziony przez mole rękaw jednego z dźwigającej go czwórki. Podejrzewał, że nadal są blisko budynku, w którym głupio wpadł w jedną z zastawionych przez członków kultu pułapek. Wiedział coś niecoś o wyznawcach Morgiona. Po mistrzowsku potrafili utrzymywać w tajemnicy swe intrygi oraz tożsamość członków, Fakt, że zabrali go do katakumb, oznaczał, że mieszkali w podziemiach samego Caergothu, co było przerażającą nowiną. Nic dziwnego, że nie można było odkryć przyczyn moru. Nic pochodził on z samego miasta czy z jego okolic, lecz z jego podziemi.

Huma poczuł wietrzyk, który oddalił od jego nozdrzy część smrodu. Uznał, że na pewno wyszli z jednego ze zburzonych budynków z powrotem w noc. Rozpaczliwie usiłował wymyślić jakiś plan ucieczki, gdyż podejrzewał, że katakumby będą praktycznie nie do przebycia. Był jednak mocno związany i zakneblowany. Jego sytuacja wydawała się w tej chwili beznadziejna.

Grupa oddaliła się już trochę od budynku, gdy Huma usłyszał coś, co przypominało pohukiwanie nocnego ptaka. Obdarłe postacie zatrzymały się nagle, gdy z opóźnieniem zdały sobie sprawę z tego, co Huma rozumiał natychmiast.

Rozległ się świst. Coś przemknęło w powietrzu. Jeden z niosących Humę wyznawców Morgiona przewrócił się. Z jego piersi sterczała strzała. Rycerz miał czas się przygotować, nim pozostali wypuścili go z rąk i padł na ziemię twarzą w dół.

Potem rozpętało się pandemonium. Rozbłysnę nagle jaskrawe światło uniemożliwiło zakapturzonym postaciom ukrycie się. Celne strzały powaliły jeszcze dwóch członków kultu, zanim pozostali zdążyli się zorientować, co się dzieje. Przez pole widzenia Humy przemknął osobnik zwany Skularisem. Zrezygnował z zaszczytów dowodzenia na rzecz szansy ratunku, jaką dawała ucieczka. Była ona jednak krótka. W plecy wbiła mu się nie jedna, lecz trzy strzały. Mistrz nocy zachwiał się

niczym szalona marionetka i runął jak kłoda.

Światło zaczęło przygasać. Z ukrycia wypadały zakute w zbroje postacie. Z odzianych w płaszcze nikkczemników - Huma zdał sobie z przerażeniem sprawę, że było ich więcej niż tuzin - jedynie czterech stało jeszcze na nogach. Nie mieli żadnej konkretnej broni i pierwszym żołnierzom, którzy podjęli walkę, wydawało się, że nic im nie grozi. Wkrótce stało się oczywiste, że był to błąd. Jeden z kapłanów ciemności wydobył mały woreczek i cisnął nim w najbliższego z zakutych w zbroje ludzi. Huma usłyszał jego wrzask, a także pełne przerażenia krzyki pozostałych żołnierzy. W ciągu kilku sekund w porażonym zaszły wszystkie spustoszenia towarzyszące morowi.

Znajoma postać zbliżyła się do niego i nachyliła, by uwolnić go z więzów. - Jakim głupcem byłem! Powinienem się domyślić...

Łucznicy wzięli się do roboty. W chwili, gdy lord Avondale skończył przecinać więzy Humy, ostatni z odzianych w płaszcze wrogów leżał już martwy. - A Straszywilk? Czy go dopadliście?

- Straszywilk? - Zaniepokojony Avondale rozejrzał się wokół. - Nie widziałem go! - Mój miecz!

Broń Humy leżała na wpół skryta pod jednym z członków kultu. Pociągnął za nią z pustką w głowie. Myślał jedynie o tym, że koniecznie trzeba powstrzymać czworonożne monstrum. Co niewiarygodne, stworowi

w jakiś sposób udało się umknąć z pola bitwy. Huma nie chciał, by wytropił go on ponownie i przekazywał swemu panu informacje o miejscu przebywania i poczynaniach rycerza.

Usłyszał, że lord Avondale wykrzyknął jego imię, zignorował go jednak. Musiał unieszkodliwić potwora.

Zaalarmował go odgłos biegu. Pognał za tym dźwiękiem ile sił w nogach. Z największym trudem omijał liczne dziury i kopce, na których mógłby przewrócić się jak długi, gdyby źle odmierzył kroki. Nie myślał o niebezpieczeństwach.

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

Przeskoczył nad resztkami kamiennego muru. Zaraza nie była bezpośrednią przyczyną wszystkich otaczających go zniszczeń. Odpowiedzialne były oszalałe tłumy podpalające ogarnięte morem domy.

Wylądował na kupie gruzu. Jego stopa omsknęła się nagle. Runął na plecy. Maksymalnym wysiłkiem woli zdołał nie wypuścić z dłoni miecza. Poczul, że ma skręconą nogę. Zazgrzytał zębami z bólu.

Gdy lak leżał oszołomiony, przed jego twarzą pojawiła się straszliwa paszcza. Długie, pożółkłe kły zawisły nad jego gardłem. Czerwony jak krew język wysuwał się raz za razem spomiędzy potężnych szczęk. Niewidzące oczy zapowiadały schwytanemu w pułapkę rycerzowi jedynie śmierć. Przednie łapy straszylka przydusiły mocno pierś Humy. - Z radością pozabawię maga jego przyjaciela, a zarazem marionetki! Szczęki zbliżyły się do gardła rycerza.

Huma z całej siły ciął mieczem straszylka. Ze względu na niewygodną pozycję, rana którą zadał, była mało znacząca. Zdołał jednak rzucić bestię ze swej piersi.

Przetoczyła się i wylądowała na czterech łapach. Karmazynowe ślepia załśniły wściekle. Stwór wykrzywił wargi w wyrazie nienawiści. Huma wzniósł wysoko miecz.

Nagle monstrum eksplodowało płomieniami. W jednej sekundzie stało tam jeszcze, przygotowując się do ataku, w drugiej zaś przerodziło się w kulę ognistą. Zdumiony Huma podniósł wzrok. Zauważył nową postać. Wyłoniła się ona z ruin budynku, który ongiś był dość dużą gospodą. - Magius!

Mag szybko uniósł palec do warg, by podkreślić potrzebę zachowania ciszy. Wychudł. W jego zachowaniu było teraz znacznie mniej próżności. Lśniący, złocisty połysk jego włosów ustąpił miejsca brzydkiemu brązowi. Ostrzygł je też znacznie krócej. Czyżby strawił je ogień? Do tego Magius odział się w coś, czego Huma nie widział na nim od wczesnych dni jego szkolenia - karmazynowa szatę.

- Chodź! Rzuciłem na ludzi lorda Avondale'a zaklęcie dezorientacji, ale nie minie wiele czasu nim się zorientują, w którą stronę naprawdę pobiegłeś!

- Ale... - Huma wiedział, że byłby szaleńcem, gdyby ponownie podążył za swym starym przyjacielem, lecz mocne więzy wykute wczoraj zachowały swą siłę również dzisiaj.

- Chodź! - powtórzył niecierpliwie Magius. Huma poszedł za nim. Przeszli przez miasto ze zdumiewającą szybkością. Wreszcie dotarli na jego południowy kraniec. Czekwały tam na nich dwa konie. Magius wskazał gestem rycerzowi, by dosiadł cięższego ze zwierząt. Dopiero gdy oddalili się już na znaczną odległość, czarodziej się odezwał.

- Przez pewien czas musimy jechać jak najszybciej. Trzeba ominąć solamnijską placówkę. - Placówkę?

Ta wiadomość była wielkim szokiem dla Humy, który nie wiedział zbyt wiele o krainach leżących na południe od Solamni. Rycerze solamnijscy! W Ergocie! - Czy to ty wywołałeś to światło?

- Tak - odparł Magius. - Wyjaśnię ci to rankiem, gdy tylko się upewnię, że zgubiliśmy pościg. Ergothianin z pewnością zdążył już go zorganizować! Huma zwolnił tempo. - Dlaczego uciekamy przed lordem Avondalem?

Oczy maga błysnęły. - Czy jesteś ślepy? Czyżbyś sądził, że ten Ergothianin pomagał ci z dobroci serca?

Huma powstrzymał się od odszczeknięcia, że tak jest, ufał szlachcicowi. Dlaczego miałoby to być

zbrodnią?

- Powiedziałeś mi, że w górach coś się kryje, prawda? Powiedziałeś mi o ścieżce! - Bredzisz, Magiusie. Nic nie wiem o żadnej ścieżce. Magius skrzywił twarz. Huma zdał sobie sprawę, że czarodziej niechcący się wygadał. Mag jednak szybko odzyskał panowanie nad sobą. - Powiedziałeś mi, że w górach na południowym zachodzie znajduje się coś, co może zapewnić zwycięstwo w wojnie z Takhisis - stwierdził. - On jest w pierwszej kolejności ergothiańskim szlachcicem, Humo, a to grupa ludzi słynących z tego, że są skłonni zrobić wszystko, co tylko konieczne, by zwiększyć własny prestiż i władzę. Pomyśl o tym, co mi wyjawiałeś. Jak wspomniałyby sukces odniósłby, gdyby zdołał zdobyć tę rzecz dla cesarza. Pomyśl, jak ten ostatni nagrodziłby człowieka, któremu udało się wreszcie zaprowadzić pokój na Ansalonie. Ergothiański szlachcic byłby zdolny zabić, by osiągnąć coś tak cennego, jak to, czego szukamy.

Słowa - a może ton głosu - wywierały niemal hipnotyczne wrażenie. Huma powtarzał sobie, że lord Avondale jest dobrym człowiekiem. Czy jednak nie był on winien lojalności przede wszystkim swemu cesarzowi, a nie wędrownemu rycerzowi? Zaoferował Humie prawo swobodnego przejazdu, lecz tylko pod warunkiem, że ów najpierw będzie mu towarzyszył. Huma potrząsnął głową, by uwolnić się od tych obłąkanych wątpliwości. Nie był już pewien, co jest słuszne, a co nie. Wiedział jedynie, że chce odnaleźć ową górę. Zmierzał we właściwym kierunku, nie było więc sensu zawracać.

Nie zauważył gorzkiego uśmiechu, który pojawił się na poranej bruzdami twarzy maga, gdy zwrócił się on ponownie naprzód.

Magius prowadził go krętą ścieżką wiodącą przez równiny i lesiste tereny leżące na południowy zachód od Caergothu.

Zbliżał się już świt, gdy wreszcie się zatrzymali. Magius wskazał Humie małe, niemal niewidoczne jeziorko. Przywiązali konie na dobrym pastwisku. W chwilę później czarodziej położył się spać. Nadal niczego nie wytłumaczył. Huma oparł się o drzewo i wpatrzył w spokojną tafle wody. Myślał o magu-renegacie, który poszukiwał go teraz równie zawzięcie, jak Magiusa. O Dracosie.

Straszywilk obrócił się w popiół. Galan Dracos nie miał już szpiega. Przynajmniej na razie był ślepy na poczynania Humy i Magiusa. Ponieważ wojna pochłaniała tak wiele jego sił, czarodziej-renegat był zmuszony w zbyt wielkim stopniu polegać na straszywilkach. Huma podejrzewał, że Dracos wie przynajmniej tyle, co on, o tym, czego szukał Magius. Być może nawet więcej. Gdzieś będą na nich czekać nowi szpiedzy. Rycerz nie wątpił też, że prędzej czy później Galan Dracos odłoży na chwilę inne zadania i wyruszy osobiście, by załatwić się ze swymi wrogami oraz położyć kres ich misji.

Wziął w rękę mały kamyczek i cisnął go na środek jeziorka. Nieoczekiwanie pomknął on z powrotem w jego kierunku. Huma spróbował wstać, lecz nogi ugięły się pod nim. W co tym razem się wpakowałem? - pomyślał gniewnie.

U brzegu pojawiła się nagle kobieca głowa. Choć lekko zielonkawa, była bardzo piękna. Oczy były wąskie jak szparki, zupełnie jakby ich właścicielka przed chwilą się obudziła. Nieznajoma miała mały, zadarty nosek i duże, pełne wargi. Gdy wyszła z wody, Huma dostrzegł, że jest szczupła i długonoga, choć głową nie sięgała mu nawet ramion. Jej jedyny strój, cienka suknia, był przesiąknięty wodą i przylegał do każdej

krzywizny ciała. Nimfa. Huma słyszał opowieści o tych istotach. Mówiono, że wywodzą się one z Wieku Snów, z którego nie zachowały się żadne zapiski. Było kwestią sporną, czy stanowią odrębną rasę. Widywano je bardzo rzadko. - Cześć, człowieczku.

Jej głos był melodyjny niczym śpiew małego leśnego ptaszka. Uśmiechnęła się. Huma poczerwieniał na twarzy. Niemniej, choć nimfa była atrakcyjna, w jego wyobraźni pojawiła się inna kobieca postać. Gwyneth. Zdołał dźwignąć się na nogi. Cześć.

Potrzebował trochę czasu, by zdobyć się na odpowiedź. Nimfa niepokoiła go, choć wydawała mu się pociągająca. Legendy mówiły, że podobne stworzenia są nie tylko swawolne, lecz również niezwykle groźne. Jeśli starożytne opowieści były prawdziwe, niejednego mężczyznę zwabiły w śmiertelna pułapkę. Dłoń rycerza pogłaskała gałkę miecza. Nimfy były magicznymi istotami, a mimo swej przyjaźni z Magiusem, Huma nadal podzielał część tradycyjnej dla rycerstwa nieufności do czarów.

Spojrzał na leżącego obok czarodzieja. Ze zdumieniem przekonał się, że ten nadal śpi. Podejrzał, że nie był to już naturalny sen. Zadrzał.

Nimfa roześmiała się zaskoczona. - Myślałam, że jesteś kimś innym -oznajmiła. - Ale ty też mi się podobasz. - Tak?

Starał się, by jego głos zabrzmiał obojętnie, choć serce waliło mu jak opętane, a w głowie miał natłok myśli. - Dlaczego myślałaś, że jestem kimś innym?

O ile jezioro odwiedzały inne istoty, wołał nie pozostawać tu zbyt długo. Jeśli choć w niewielkim stopniu przypominały nimfę, Huma podejrzewał, że gdyby doszło do starcia, byłby bez szans. Mimo woli zacisnął dłoń na rękojeści broni.

- Wyglądasz jak Buoron. Cały ten głupi metal. On przychodzi mnie odwiedzać. Czy chciałbyś zobaczyć mój dom?

Zaniepokojony Huma cofnął się o krok. Zgodnie z tym, co wiedział - a nie było tego wiele - jej dom zapewne znajdował się na dnie jeziora. Gdyby postanowiła go zmusić... - Dziękuję - odpowiedział pośpiesznie. - Nie chciałbym się narzucać. Wydeła wargi. - Mówisz też jak Buoron. - Czy spodziewasz się jego wizyty?

Huma omiótł pośpiesznym spojrzeniem brzeg jeziora, niemal spodziewając się, że zaraz ujrzy pędzącą między drzewami, zakutą w ciężką zbroję postać.

Nimfa wyszła na brzeg. Huma zwrócił się w stronę Magiusa. Ten nadal spał.

- Nie obudzi się, dopóki mu nie pozwolę. Nie lubię go. Rycerz zmarszczył czoło. - Jego też znasz?

Zbyła czarnoksiężnika lekceważącym machnięciem dłonią. - Nie jego. Jego obraz. - Skąd?

Huma nie wiedział, co ma sądzić o tej istocie. Wydawała się wątła, lecz dysponowała mocą na tyle wielką, by bez wysiłku schwytać Magiusa w pułapkę. Być może nie udało by jej się to, gdyby czarodziej nie był tak bardzo zmęczony, niemniej świadczyło to o wielkich możliwościach.

- Widuję go w moim zwierciadle. Ono pokazuje mi sny innych. Tutaj czasem jest strasznie nudno. Tęsknię za budowniczymi jaskiń. - Budowniczymi jaskiń?

- Tymi, którzy ryją w ziemi, głuptasie. No wiesz, niskie, zabawne ludziki.

Krasnoludowie. Próby zrozumienia niektórych wypowiedzi nimfy mogły doprowadzić do rozstroju nerwowego.

Stała już teraz blisko, pochylając się niewinnie w jego stronę, co pozbawiało go pewności siebie. - Czy jesteś pewien, że nie chciałbyś obejrzeć mojego domu? Nie pozwolę ci utonąć, o ile nie zrobisz się nudny.

A więc na tym polegała pułapka. Ilu mężczyzn uległo jej urodzie i podążyło za nią, by zostać więźniami podmorskiej jaskini? Instynktownie wypowiedział modlitwę do Paladine'a. Nimfa cofnęła się. - Wolalabym, żebyś tego nie robił!

Choć w zasadzie nie była zła, nie była też stworzeniem Paladine'a ani Gileana. W związku z tym szczerze modlitwy do któregoś z tych bogów mogły sprawić jej ból lub nawet ją odpędzić.

Huma miał już zamiar ją przeprosić, gdy usłyszał odgłos ciężkiego rumaka przedzierającego się przez zarośla gdzieś w pobliżu.

O, nadjeżdża Buoron. Mam nadzieję, że będziecie walczyć. Od stuleci nie widziałam dobrego pojedynku.

Koń i jeździec wypadli spomiędzy listowia na otaczającą jeziorko wąską polanę. Większą część ciała mężczyzny spowijał płaszcz, lecz Huma dostrzegł pod spodem błysk zbroi. Przybysz z początku ich nie zauważył. Gdy wreszcie zobaczył rycerza, rozdziawił usta. Szata rozsunała się i Huma po raz pierwszy wyraźnie ujrzał skrytą pod spodem zbroję. Przeniósł wzrok na twarz nieznanego, a potem z powrotem na pancerz.

Przypomniał sobie, że Magius wspominał przelotnie o posterunku znajdującym się gdzieś w południowym Ergocie. Solamnijskim posterunku. Nimfa uśmiechnęła się słodko. - Teraz rozumiesz, dlaczego wzięłam cię za Buorona? Macie nawet takie same zbroje. Była to prawda. Buoron był Rycerzem Korony.

Rozdział trzynasty

Nowo przybyły zwrócił wzrok ku nimfie. Jego twarz o grubych rysach była ogorzała, ani szczególnie przystojna, ani brzydka. W jego oczach krył się głęboki smutek. Co dziwne, mężczyzna nie miał imponujących wąsów noszonych przez większość rycerzy, lecz czarną brodę przystrzyżoną w takim samym stylu, jak u lorda Avondale'a. Huma zastanowił się, jak długo już Solamnijszyk mieszka w tej okolicy. - Zostaw nas teraz - polecił nimfie Buoron. - Nie będziecie się bić?

Wydawało się, że to pytanie wzbudziło w rycerzu niesmak. - To jeden z moich towarzyszy. Nie zamierzam z nim walczyć.

- Och! - Zmarszczyła brwi, lecz nagle rozpromieniła się ponownie. - A może chcesz zmierzyć się z magiem?

- Z magiem? - Rycerz odgarnął z twarzy niesforny kosmyk włosów i spojrzał na zwiniętego w kłębek czarodzieja. - Musi być paskudnie zmęczony, jeśli przespał to wszystko. - To ona go uśpiła - wyjaśnił Huma. Westchnienie. Rycerz najwyraźniej się tego spodziewał. - Dlaczego?

Nimfa wyduła wargi. - Nie lubię go. To jeden ze śniących, których ci pokazywałam. Naprawdę? - Buoron wyprostował się, nagle zainteresowany. - A który?

- Ten, który ciągle umiera. Huma przymrużył oczy. Podczas ich podróży Magius wyznał mu kiedyś, że scena własnej śmierci nieustannie nawiedza go w snach. Nimfa nie mogła o tym wiedzieć. A może mogła? Czy naprawdę widziała sny innych? - Uwolnij go - rozkazał jeździec. - Czy nie chcesz ze mną posiedzieć? - Poruszyła się aż nazbyt kusząco. Twarz Buorona poczerwieniała raz jeszcze. - Nie. Zostaw nas. To jest ważne.

- Wodna istota wsparła delikatne dłonie na biodrach i obrzuciła rycerza gniewnym spojrzeniem. - Już cię nie lubię. Nic chcę, żebyś mnie więcej odwiedzał.

Wbiegła do wody. Gdy było już wystarczająco głęboko, zanurkowała pod powierzchnię. Pomijając lekko zielonkawy odcień skóry i zdumiewającą płynność ruchów, nic nie wskazywało, by była kimś innym niż człowiekiem. Huma zastanowił się, w jaki sposób nimfa oddycha.

- Nie mówiła tego poważnie - mruknął Buoron. - Obrażała się na mnie już przeszło tuzin razy. Zawsze zapomina o tym, zanim zdążę zaczerpnąć oddechu. Sądzę, że taka jest ich natura, choć nigdy nie widziałem innej nimfy. Huma spojrzał na nadal drzemiącego Magiusa. - Czy będzie pamiętała, by uwolnić swą ofiarę?

- Daj jej parę chwil. Nie zdoła utrzymać zaklęcia przez zbyt długi czas. Znasz moje imię, bracie z

zakonu. Jak brzmi twoje?

Huma wyprostował się. - Jestem Huma, Rycerz Korony z twierdzy Vingaard.

- Vingaard! - Buoron wypowiedział tę nazwę takim tonem, jakby było to imię samego Paladine'a.

- Czy wreszcie przełamali front? Czy wojna ma się ku końcowi?

Huma potrząsnął głową. Wbił wzrok w ziemię. Zdał pośpieszną relację z tego, co zaszło. Buoron nie był uszczęśliwiony.

- Jedna z jej rozrywek - rzekł, wskazując ręką ku wodzie - to wziąć zwierciadło śniącego, starożytny artefakt, i potrząsnąć nim, by zobaczyć, czy sen się ukaże. - Rycerz zadrzał. - Sny sług Królowej Smoków są mroczniejsze niż mógłbyś to sobie wyobrazić. - Czy zawsze tu mieszkała?

Buoron wzruszył ramionami. Niechętnie rozmawiał o nimfie. Ich związek, bez względu na to, jaki miał charakter, nie był czymś, na co rycerstwo przymknęłoby oczy. - Była już tutaj, gdy przybyłem na placówkę. Jej skarby są niewiarygodnie starożytne - przerwał. - Natknąłem się na nią przypadkowo. Inni nigdy nie zapuszczają się tak daleko. Ścigałem jelenia i nie chciałem, by mi uciekł. W naszym forcie rzadko jadamy tak znakomite rzeczy. Z takiego czy innego powodu, zwierzę uciekło w tę stronę. Mój wierzchowiec zatrzymał się nagle i spadłem na ziemię. Gdy wreszcie pozbyłem się bólu głowy, patrzyłem prosto w jej oczy. Huma dostrzegł zawstydzienie widoczne na twarzy rycerza. - Nie obawiaj się, bracie z zakonu. Nikomu nie wspomnę o tym jeziorze. Buoron wzruszył ramionami. - Właściwie oni o tym wiedzą. Nie

robiłem tajemnicy z moich wypadów. Nie posunąłem się o wiele dalej niż siedzenie z nią. Nimfa nie jest w pełni realna. Pragnąłbym czegoś więcej.

Magius zaczął się poruszać. Miejscowy rycerz wskazał na niego. - Twój czarodziejski przyjaciel się budzi. Wątpię, by z radością przyjął wiadomość, że przez cały ten czas pozostawał pod wpływem zaklęcia.

Huma spojrzał w dół. Magius nie ocknął się jeszcze w pełni, lecz trzeba było szybko podjąć decyzję. - Nie musi się o tym dowiedzieć.

Brodaty rycerz nie odrzekł nic, lecz jego oczy rozbłyły wdzięcznością. Myło oczywiste, że zależy mu na wodnej nimfie bardziej niż chciał to okazać.

Magius zerwał się nagle na nogi, gdy jakiś zmysł powiedział mu, że on i Huma nie są już sami. Odwrócił się i spojrzał na przybysza. - Witaj, Czerwona Szato.

Przywitanie Buorona było szorstkie i rzeczowe. Magius otrzymał jedynie wyrazy szacunku należne towarzyszowi podróży rycerza.

Mag wrócił do siebie. Pokłonił się nisko w charakterystyczny dla niego sposób i również wygłosił słowa przywitania.

- Pozdrawiam cię, rycerzu solamijski. Nie miałem pojęcia, że tak daleko na południu przebywa jeszcze jeden przedstawiciel szlachetnego rycerstwa.

Wyraz twarzy Humy nie uległ zmianie, lecz zmartwiło go kolejne kłamstwo, które usłyszał z ust przyjaciela. Po ich ucieczce z ruin, Magius wspomniał, że chce ominąć posterunek rycerzy. - Znajduje się tu nasza placówka - odparł Buoron.

- Jest niewielka i często się o niej zapomina. Nie wątpię, że z biegiem lat zostanie opuszczona. - Tak.

Czarodziej okazał wyraźny brak zainteresowania. Wpatrzył się w miejsce, gdzie spał. Potem przeniósł wzrok na jezioro. - Przepraszam, że nie obudziłem się wcześniej. To do mnie niepodobne. Nie chciałem być nieuprzejmy.

Buoron był wyraźnie zaniepokojony. Jego koń, rumak bojowy koloru kawy z mlekiem, przestępował nerwowo z nogi na nogę, wyczuwając poruszenia swego jeźdźca. - Nic nie szkodzi. To

zdarza się tutaj często. Sam nieraz zapadałem w sen dokładnie tego samego rodzaju. - To jednak nie stanowi usprawiedliwienia.

- Jak daleko jest do tej placówki? - zapytał wreszcie Huma. Magius przeszył go wściekłym spojrzeniem.

- Niedaleko. Godzinę jazdy stąd. Musicie oczywiście nas odwiedzić. Mimo straszliwych wieści, jakie przynosicie, będziecie mile widzianymi

- gośćmi. Magius zachichotał enigmatycznie.

Miejscowy rycerz zaczął odczuwać do czarnoksiężnika wyraźną antypatię. Udając, że nie słyszy śmiechu maga, Buoron wskazał na wierzchowce obu wędrowców.

- Wygląda na to, że jechaliście na nich przez całą noc. Trzeba się nimi solidnie zająć, jeśli macie zamiar wyruszyć w dalszą drogę.

Nie zapytał o cel ich podróży, uważając, że Huma poinformuje go o tym, o ile uzna to za stosowne.

Mag poddał się. - Proszę bardzo. Musi to jednak być krótki postój. Czeka nas daleka droga. - Hm.

To było wszystko, co powiedział Buoron. Huma jednak zauważył, że przygląda się on z zainteresowaniem im obu. Odwiązali swe wierzchowce i dosiedli ich. Gdy już byli gotowi, brodaty rycerz wskazał na zachód. - Tędy. Ruszcie przodem. Dogonię was za chwilę.

Huma i Magius skierowali wierzchowce między drzewa i zarośla. Ten pierwszy obejrzał się na moment i zobaczył, iż Buoron zsiadł z konia i wydobył z jednej z sakw małą drewnianą rzeźbę. Woda w pobliżu zaczęła bulgotać. Nad powierzchnię wynurzyła się głowa nimfy. Potem drzewa zasłoniły Humie widok. Gdy jego towarzysz zwrócił się ku niemu, rycerz zareagował tak, jakby myślał tylko o ciągnącej się przed nimi ścieżce.

Nie minęło więcej niż minuta albo dwie, gdy Buoron pojawił się za nimi. Skinął głową do Humy i natychmiast wysunął się na czoło.

Podczas jazdy Huma zasypywał go pytaniami dotyczącymi miejscowej forpoczty rycerstwa. - Czy jest tu wiele takich placówek?

- Jesteśmy jedną z zaledwie dwóch. Druga leży na zachód od tych gór. - Buoron wskazał na łańcuch szczytów, który stał się widoczny dopiero wtedy, gdy trzej jeźdźcy wjechał i na szczyt wzniesienia. - W zasadzie my nadzorujemy wschodnią część kraju, a oni zachodnią. Nie ma tu jednak wiele rzeczy, które interesowałyby Królową Smoków. Musimy uganiać się za domniemanymi bandytami, podczas gdy powinniśmy atakować linie ohydnych ogrów.

- Czy jesteście dużą placówką? Nie wiedziałem, że ktokolwiek tu stacjonuje.

Buoron roześmiał się. Jego śmiech brzmiał gorzko. - Ja leż nic wiedziałem, dopóki nie skierowano mnie tu, jakieś pięć lat temu. Nie, nie jesteśmy dużą placówką. Osiemdziesięciu rycerzy usiłujących strzec kraju dorównującego powierzchnią Solammii. Kiedyś było nas więcej.

Huma nie potrzebował dalszych słów. Teraz, gdy losy wojny układały się tak źle, tutejsi rycerze zostali naprawdę odcięci od całej reszty, nie licząc ich towarzyszy po zachodniej stronie gór. Nie mogli porzucić placówek i pojechać na północ, by przyłączyć się do walki. Rozkazano im tu pozostać i nie ruszać się stąd, dopóki ów rozkaz nie zostanie odwołany. Poczucie obowiązku było czymś trwale zakorzenionym w każdym rycerzu. Rennard raz za razem podkreślał jego znaczenie. - Czy byłeś kiedyś w tych górach? - zapytał nagle Magius. - Nie. Buoron nie miał ochoty na pogawędkę z czarnoksiężnikiem. - A czy ktokolwiek z was był?

- Tylko między zewnętrznymi szczytami. Trzymamy się z dala od wewnętrznego pasma. Magius wyglądał na zainteresowanego. - A to dlaczego? - Ścieżki są niebezpieczne. To wszystko.

Huma zauważył, że jego przyjacielowi zrzęda mina. Magius spodziewał się czegoś bardziej

niezwykłego.

Tu, tak daleko w głąb południowego Ergothu, trudno było uwierzyć, że w kraju szaleje wojna. Co prawda niebo było równie zachmurzone, jak na północy, lecz w lasach i na polach panował spokój. Huma zdawał sobie jednak sprawę, że jest to spokój pozorny. Miał zniknąć, gdy tylko hordy Królowej Smoków uporają się z Solamnią. Po jej upadku Królowa Ciemności zawładnie resztą kontynentu w ciągu niespełna roku. - Jesteśmy już prawie na miejscu.

Huma przyjrzał się po raz pierwszy solamnijskiej placówce. Nie był to wyniosły gmach w rodzaju twierdzy Vingaard. Całą konstrukcję wzniesiono z drewna pokrytego ochronną warstwą, by płomienie nie obróciły jej w śmiertelną pułapkę. Ściany otaczające kompleks budynków były przeszło czterokrotnie wyższe od Humy. W ich górnej krawędzi widoczne były rozmieszczone w równych odstępach otwory strzelnicze pozostawione dla łuczników. Nad ścianę wyrastała tylko jedna budowla, wieża strażnicza, na której stał wartownik wpatrujący się w nadjeżdżającą trójkę. Mężczyzna krzyknął głośno i wskazał ich ręką. Buoron nie odpowiedział okrzykiem. Poprzestał na znużonym machnięciu dłonią. Huma spojrzał na Magiusa. Czarodziej wpatrywał się tęsknie w odległe góry.

Rozległy się kolejne krzyki, kiedy wartownik zauważył, że jeden z dwóch nieznanym również jest rycerzem. Drewniana brama otworzyła się szeroko, gdy do niej podjechali. Wyglądało na to, że niemal wszyscy

mieszkańcy placówki przyszli przywitać gości. - Buoron! Tak szybko wróciłeś? Kogo ze sobą sprowadziłeś? Wysoki, postarzały mężczyzna, który przemówił, musiał być rycerzem już wtedy, gdy lord Oswal był jeszcze dzieckiem. Jego twarz pokrywały głębokie zmarszczki, a głos drżał lekko. Poruszał się jednak z gracją i Huma podejrzewał, że potrafi jeszcze władać mieczem. W przeciwieństwie do większości rycerzy, którzy nosili ergothiańskie brody, starszka nadal zdobiły tradycyjne, choć lekko posrebrzone siwizną wąsy. Był Rycerzem Róży, jedynym, którego Huma dostrzegł tu na pierwszy rzut oka.

- Witaj, lordzie Tagginie. Przyprowadziłem dwóch wędrowców potrzebujących wypoczynku. Jeden z nich jest bratem z naszych szeregów. Przynosi nadzwyczaj ważne wieści.

Taggin skinął głową z ponurą miną. - Spodziewałem się tego. Wracajcie do swych zadań! - rozkazał reszcie zgromadzonych. - Pamiętajcie, że jesteście rycerzami solamnijskimi, a nie stadem zgłodniałych gęsi!

Na twarzach zebranych pojawiło się lekkie rozczarowanie. Buoron wyjaśnił, że wielu z nich przebywało w placówce już niemal dziesięć lat. Taggin był tu dwukrotnie dłużej. W gruncie rzeczy, przez wiele lat sam stanowił całą załogę fortu.

Huma nie mógł się nie uśmiechnąć. Z jakiegoś powodu odniósł wrażenie, że znalazł się wśród rycerzy zupełnie innych od tych z twierdzy Vingaard. Przestrzegali zasad z mniejszą surowością i byli bardziej skłonni dostosować się do wymogów okoliczności.

Okazało się, że placówka składa się z trzech tylko budynków. Jednym z nich była wieża, która służyła również jako zbrojownia oraz stajnia. Drugi stanowił coś w rodzaju długiego domu. Huma rozpoznał w nim koszary kompanii. Trzecim, i - co zaskakujące - najbardziej niepozornym, była kwatera dowódcy, którą zajmował lord Taggin. Wszystkie budynki były drewniane. Wychowany na wsi Huma czuł się tu jak w domu, bardziej niż w dumnej twierdzy.

Budowniczości placówki zaplanowali ją tak dobrze, jak tylko było to możliwe. Huma zauważył, że leży ona wystarczająco blisko lasu, by rycerze z łatwością mogli polować i zbierać drewno na opał, lecz zarazem na tyle daleko w głąb równiny, że wszelka próba ataku zmusiłaby nieprzyjaciela do szarży przez szerokie, płaskie, otwarte pole. Wody dostarczał mały strumień oraz głęboka studnia.

Później Huma dowiedział się, że rycerze uprawiają nawet ziemię na ufortyfikowanym obszarze położonym na tyłach placówki. Po raz kolejny nie mógł się nadziwić różnicom dzielącym tutejsze rycerstwo od solamnijskiego.

Taggin rozkazał Buoronowi, by przyprowadził obu gości do niego, gdy tylko umyją się i coś zjedzą. Magius bez ogródek oznajmił, że nie będzie z nikim rozmawiał, dopóki wreszcie nie pozwolą mu się trochę zdrzemnąć. Dowódca zmarszczył brwi na podobnie aroganckie zachowanie, lecz zgodził się, że to konieczne.

Humę obudziły odgłosy wydawane przez ludzi przygotowujących się do opuszczenia fortu. Spojrzał przelotnie na Magiusa, który poruszył się niespokojnie, a następnie zwrócił ku najbliższemu oknu. Mag wyrzwał na zewnątrz. Słońce skłaniało się ku zachodowi. Przez bramę wyjeżdżała znaczna liczba zakutych w pełne zbroje rycerzy. Niejeden z nich na dodatek do zwykłej broni miał też obciążone sieci. Jak na patrol, było wśród nich bardzo wielu jeźdźców.

Zobaczył przechodzącego obok drzwi Buorona. Skinął do niego dłonią. Rycerz odwzajemnił ów gest i zawrócił. Huma zaczął się ubierać. Buoron wszedł do środka. - Czy czujesz się już lepiej? Buoron mówił cicho.

- Bez porównania. Od kilku tygodni nie spałem tak długo. Huma nie powiedział nic więcej, dopóki nie ubrał się do końca. Następnie obaj z Buoronem wyszli na zewnątrz. Ostatni rycerze opuścili już fort. Bramę zamknięto.

Huma wskazał na nią palcem. - Dlaczego patrol był tak ciężko uzbrojony? Czy doniesiono o działalności ogrów?

Buoron potrząsnął głową. - Zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek się tu pokażą. Nie, to problem o miejscowym charakterze. Prowadzimy niewielką wymianę handlową z elfami Qualinesti, choć oni z reguły unikają kontaktów, podobnie jak większość ich pobratymców. Jeden z tych nielicznych, którzy regularnie się z nami spotykają, poinformował nas, że niedaleko naszej twierdzy kręci się jakaś bestia. - Brodaty rycerz uśmiechnął się. - Chcieliśmy ich zapytać, co robili tak daleko od swych terenów, ale nasze stosunki nie wytrzymałyby podobnej prowokacji. Podziękowaliśmy im więc i wszczęliśmy dochodzenie w tej sprawie. - Czy widzieliście tego stwora?

- Nazywamy go po prostu bestią. Jest sprytny. Niewykluczone nawet, że to ogrowy zwiadowca. Wymknął się nam już trzykrotnie. Uważają jednak, że dziś w nocy uda się im osaczyć go w jego legowisku. Jeśli się im poszczęści, patrol schwyta go żywcem. W jakim celu? Jeśli jest szpiegiem, może znać ważne informacje. Jeśli zaś jest jakimś

zwierzęciem, Taggin i tak chce go obejrzyć. Qualinesti są zaniepokojeni jego obecnością. Dowódca chce się przekonać dlaczego.

Lord Taggin kończył już swe codzienne czynności, gdy Buoron przyprowadził Humę, aby z nim porozmawiał. Postarzały rycerz przywitał serdecznie gościa - protokół nie był tutaj ważny - sprawiał jednak wrażenie podenerwowanego.

Czy nie wiesz, jak w tej chwili wygląda sytuacja? Huma potrząsnął głową. - Nie mam pojęcia. Mieliśmy zamiar dokonać przegrupowania. To wszystko, co mi wiadomo.

Rozumiem. - Taggin skierował na niego przeszywające spojrzenie. - Nie możemy nic na to poradzić - powiedział po kilku chwilach. - Lepiej będzie powiadomić o wszystkim ludzi, gdy tylko rano się obudzą, Buoronie. Brodaty rycerz, który od początku rozmowy stał bez słowa, nie wahał się ani chwili. - Zrobię to, lordzie Tagginie.

- Świetnie. - Dowódca sprzątnął wszystko z biurka, którego używał do pracy. - Możesz odejść, chłopcze.

Huma odwrócił się, tak samo, jak Buoron, lecz Taggin powstrzymał go natychmiast. - Nie ty,

rycerzu Humo. Muszę zadać ci jeszcze kilka pytań. Usiądź, proszę.

Zapanowało milczenie, dopóki Buoron nie wyszedł. Huma czuł się nieswojo, przebywając sam na sam z Tagginem, lecz był wystarczająco opanowany, by tego po sobie nie okazać. Stary zabębnił palcami. Gdy już zebrał myśli, zapytał: - Jaki jest cel twych podróży? - Wielmożny panie?

Nerwowość starszego rycerza zniknęła. Jego głos i spojrzenie były spokojne. - Nie wykręcaj się, Humo. To nie jest Vingaard. Nie wykorzystam przeciwko tobie niczego, co powiesz. Zostanie to między nami. Lubię sobie wyobrazać, że potrafię oceniać ludzki charakter. Ufam ci, mimo towarzystwa, w którym się obracasz. - Dziękuję, wielmożny panie. Taggin uśmiechnął się ze smutkiem na tę uprzejmość.

- Znakomicie zdaję sobie sprawę ze swego statusu, a już zwłaszcza wieku. Proszę cię, mów mi Taggin. No więc, w jakim celu tu przybyłeś? Potrafię sobie wyobrazić sto różnych tras, które już dawno doprowadziłyby cię z powrotem do Vingaardu. Dlaczego zmierzasz na południe? Czy ze względu na maga? Jak rozumiem, mimo jego dość odpychającego zachowania, jesteście ze sobą blisko. - Wychowaliśmy się razem. -

Huma nie miał ochoty opowiadać o swej przyjaźni z Magiusem więcej niż było to konieczne.

- Naprawdę? To niezwykle zestawienie. Niemniej w człowieku jest coś więcej niż noszone przez niego symbole lub szaty, bez względu na to, czy są białe, czerwone, czy nawet czarne. - On nie jest zły, lo... Tagginie. Dowódca placówki uśmiechnął się lekko. - Nie twierdziłem, że jest. Czując zrozumienie, Huma zaczął przełamywać swe opory.

- Obawia się o swe życie, lecz również sądzi, że zdoła położyć kres wojnie. - A co jest dla niego ważniejsze? - Muszę... - Huma stał się spięty. - Muszę przyznać, że własne życie.

- To zrozumiałe. Oczywiście pod warunkiem, że nie będzie to ze szkodą dla świata. Na to Huma nie potrafił odpowiedzieć.

Lord Taggin podniósł się i zaczął spacerować po pokoju. - Dlaczego postanowiłeś przyłączyć się do jego... nazwijmy to „misją”, z braku lepszego słowa. Czy tylko ze względu na przyjaźń? - Tak. Nie. I tak i nie. Starszy rycerz uniósł brwi. - I tak i nie?

Aby wyjaśnić swe słowa, Huma musiał najpierw opowiedzieć Tagginowi o próbie i o tym, jak wpłynęła ona na Magiusa. Rycerz Róży wysłuchał cierpliwie relacji o ujranej przez czarodzieja wizji własnej śmierci. Wyraz jego twarzy nie zmienił się zbytnio.

Byłeś ze mną szczery - stwierdził, gdy Huma skończył. - Chciałbym to wszystko przemyśleć. Rano porozmawiam z tobą raz jeszcze. Teraz, gdy rozmowa dobiegła już końca, Humę zalał pot. Tak jest, wielmożny panie. Dziękuję.

Taggin usiadł na krześle. - Żyję na świecie już długo, Humo. Widziałem więcej niż ci się zdaje. Chcę, żebyś przemyślał to dziś w nocy. Odmaszerować.

Huma zasalutował i wyszedł. Gdy znalazł się na zewnątrz, wypuścił gwałtownie powietrze z płuc. Buoron czekał na niego.

- Od dłuższego czasu nic nie jadłeś - powiedział po chwili brodaty rycerz. - Czy zechciałbyś coś przekąsić?

Huma uśmiechnął się z wdzięcznością. - Przydałoby mi się coś do zjedzenia. Magiusowi z pewnością też. Może sam sobie poradzić. Jest czarodziejem. Ta uwaga zabolala Humę dotkliwie. Spojrzał w kierunku kwater

rycerzy. - Zapewne jeszcze śpi - stwierdził wreszcie. - Jak zgłodnieje, to się obudzi. - Świetnie. Buoron poprowadził go w przeciwnym kierunku. Huma nie opierał się.

Noc minęła, a Magius nadal spał. Huma uznał wreszcie, że czarnoksiężnik z pewnością celowo stara się odzyskać siły. Sądząc po jego wyglądzie, można by go wziąć za zmarłego. Był błądy i

niemal tak sztywny, jak trup. Huma jednak sprawdził jego puls i nie odkrył niczego nieprawidłowego.

Gdy minęła pierwsza godzina dnia, strażnik dał okrzykiem znak, że patrol wraca nareszcie do domu. Mężczyźni pognali otworzyć bramę. Krążyły szalone spekulacje na temat ewentualnego sukcesu łowów. Huma odnalazł Buorona. Wspólnie dołączyli do pozostałych. Taggin wyszedł za drzwi swej kwatery i przyglądał się tylko.

Pierwszy, który dopadł bramy, wyjrzał przez judasza i odwrócił się, podekscytowany. - Coś mają!

Taggin podszedł natychmiast do pozostałych. - Wszyscy, którzy mają służbę, wrócić na posterunki! Na Triumwirat, to placówka wojskowa, a nie cyrk! Jeśli to naprawdę bestia, i tak wkrótce ją zobaczycie!

Otworzono bramę. Wyczerpana, lecz triumfująca drużyna wjechała do środka. Część rycerzy wyglądała na rannych, lecz Buoron wyszeptał, że wszyscy wrócili.

Bestii nie było widać, gdyż spowijały ją obciążone sieci. Wystawały spod nich fragmenty skóry porośniętej brązową sierścią, lecz nie sposób było określić natury stworzenia. Zmuszono je do zwinięcia się w kłębek. Parskało i warczało.

Taggin kazał przenieść bestię do zagrody, którą zbudowano w tym celu kilka dni temu. Na oczach Humy kilku rycerzy złapało związaną masę i wciągnęło ją do środka. Bestia zaczęła się wić. Niektóre z krępujących ją więzów puściły. Rycerze wypadli pośpiesznie z zagrody, podczas gdy stwór usiłował się uwolnić.

Dowódca patrolu podszedł do lorda Taggina i zasalutował. - Znaleźliśmy go w żlebie. Zabił niedawno jelenia i właśnie go zjadał. Wyczuł nas, ale zdążyliśmy już go otoczyć. Najpierw ludzie spróbowali złapać go w sieci, ale przyciągnął ich do siebie. Potem poranił też innych, którzy pośpieszyli im na ratunek. Przez chwilę sądziłem, że będziemy musieli go zabić. Na szczęście obeszło się bez tego. Potknął się, zaplątany w sieci, i wpadł w nasze ręce. Stary rycerz skinął głową.

- Jest oczywiste, że Paladine czuwał nad

wami. Cieszę się, że nikt nie zginął. Klatka powinna go powstrzymać.

- Lepiej nie używać słowa „klatka”. Bardziej odpowiednim terminem byłoby „więzienie”, wielmożny panie. - Więzienie? - Stojący obok Huma i Buoron wymienili spojrzenia. - Co my tu mamy?

Bestii i nadal nie sposób było rozpoznać. Udało się jej uwolnić kończyny, lecz ciało wciąż miała zakryte. Było już jednak oczywiste, że niektóre z jej warknięć są w rzeczywistości stłumionymi słowami.

Dowódca patrolu sprawiał wrażenie do przesady dumnego. Szpiega Królowej Smoków! Jednego z jej paskudnych stworów z północy! Wojna dotarła wreszcie i do nas.

W oczach rycerza widoczny był błysk, który wydał się Humie niepokojący.

Taggin podszedł bliżej do klatki. Bestia zdołała wreszcie zerwać pokrywające ją sieci. - Sargasie, niech cię szlag! Rozszarpie was wszystkich na strzępy! Huma zamarł. Buoron popatrzył na niego. Zapewne zastanawiał się, dlaczego widok bestii tak bardzo zdumiał jego towarzysza. Jako niedawny przybysz z północy, powinien być przyzwyczajony do podobnych stworzeń.

Hestia ściągnęła ostatnią sieć z rogatej głowy. Dysząc ciężko, zwróciła się ku tym, którzy ją schwytali. Z mrozącą krew w żyłach furią potrzęsła kratami swego więzienia.

- Głupcy! Tchórze! Pozwólcie mi walczyć z którymś z was! Dajcie mi uczciwą szansę! Gdzie się podział wasz sławny honor?

Z miejsca, gdzie stała w tej chwili, bestia nie mogła dostrzec Humy, on jednak widział ją całkiem

dobrze. Wybałuszył oczy na widok rozjuszonego zwierzoluda, zastanawiając się, w jaki sposób ma uratować Kaza przed egzekucją.

Rozdział czternasty

Najpierw zdradził swój sekret Buoronowi. - Miałeś szczęście, że nikt inny tego nie zauważył - stwierdził brodaty rycerz. - Omal nie wypadła ci szczeka, gdy go przywieziono. Huma potrząsnął głową. - Byłem zdumiony. Kiedy ostatni raz

widziałem Kaza, on pojechał na północ, a ja na południe. Podążała za nami wielka liczba ścigających. Ja byłem najwyraźniej dla nich ważniejszy, gdyż wybrali mnie.

- I zapłacili za to cenę - zauważył cicho Buoron. Huma opowiadał mu o tym incydencie bez żadnych upiększeń. Wywarło to wielkie wrażenie na miejscowym rycerzu.

- Jestem zdumiony, że Kaz tu dotarł i to co najmniej dwa dni przede mną. Musiał niemal natychmiast zawrócić na południe i minąć się ze mną tylko o włos. Gdy się rozdzieliliśmy, byłem zmuszony porzucić konia w nadziei, że sprowadzę w ten sposób ścigających na manowce. Przez pewien czas wędrowałem później na piechotę. Mimo to musiał jechać bardzo szybko, jeśli zdołał dotrzeć aż tutaj. Konia z pewnością stracił niedługo później. - Czy wiedział, dokąd zmierzasz?

Huma zastanawiał się długo. Wydawało się, że było to całe wieki temu. - W przybliżeniu. Przynajmniej tyle, że powinien skierować się na południowy zachód.

Buoron spojrział przez okno w kierunku klatki. Kaz siedział bezwładnie, pogrążony w ponurym gniewie. - Istnieje wiele ścieżek, które mógłby wykorzystać doświadczony wojownik, by podróżować bezpiecznie. Z pewnością dowiedział się o naszym istnieniu i uznał, że zatrzymasz się tutaj. Być może nawet sądził, że tu właśnie się wybierasz.

To wydało się Humie sensowne. - Wspominałem, że chcę wrócić do rycerstwa. Mógł uznać, że skieruję się tutaj, jeśli nie znajdę możliwości powrotu do Solamnii.

- Albo też... - Buoron zawahał się. - Albo też naprawdę jest szpiegiem i przez cały czas miał zamiar dostać się tutaj. - Nie.

Huma miał ostatnio wątpliwości odnośnie do wielu rzeczy, lecz lojalność minotaura do nich nie należała.

- Może ci być trudno przekonać o tym pozostałych. Minotaur to minotaur. Przesłuchają go i - bez względu na to, czy coś powie czy nie - zapewne go stracą.

- Za co? Nie zrobił nic złego. Tylko się bronił. Buoron skrzywił twarz. - Czy nie słyszałeś, co powiedziałem? Jest minotaurem. Niepotrzebny im żaden inny powód. Huma zaczął chodzić po pokoju. - Muszę porozmawiać z Tagginem.

- Lepiej zrób to szybko. Zaczną przesłuchania już dzisiaj, zapewne po porannych modlitwach.

- - Czy znajdę go teraz w jego kwaterze?

- Nie sądzę. Jako Rycerz Róży z pewnością nie opuści codziennych modlitw. Odłożył je dziś na później tylko ze względu na polowanie. Skoro już o tym mowa, czy miałeś ostatnio czas, by ukończyć swego ducha modlitwą?

Huma zatrzymał się. Pobladał. - Nie. Paladine postąpiłby słusznie, gdyby odwrócił ode mnie wzrok na wieki.

Buoron potrząsnął głową. - Sądzę, że Paladine jest odrobinę bardziej wyrozumiały. Chodź.

Taggin nie mógł zobaczyć się z Huma po modłach. Komendant naradzał się ze swymi zastępcami oraz dowódcą patrolu. Huma wiedział, że lepiej nie domagać się, by go wpuszczono. To tylko zaszkodziłoby jego szansom przekonania ich, by uwolnili Kaza.

Skoro dowództwo było zajęte, Huma postanowił zobaczyć się z minotaurem. Nie było w porządku, że udał, iż nie zna potężnego mieszkańca wschodu. Kaz zawsze traktował go uczciwie.

Miejscem jego uwięzienia była klatka podobna do tych, w których wędrowne trupy trzymały egzotyczne zwierzęta. Miała metalowe kraty i tylko jedne drzwi. Podłogę posypano trawą i słomą. Kaz nie chodził po niej w obie strony. Siedział, wpatrzony ponuro w mięso i mieszankę zbożową, które zostawili mu strażnicy. Nie było to zbyt apetyczne danie. Huma zastanowił się, czy smakuje równie okropnie, jak wygląda. Klatki pilnowali dwaj rycerze. Szybko zastąpili drogę Humie. - Czy mogę zadać więźniowi kilka pytań?

- Do tego ma prawo tylko komendant. Każdy, kto chce się przyglądać, może to zrobić. - A czy mogę przynajmniej z nim porozmawiać?

Obaj rycerze popatrzyli na siebie nawzajem. Niewątpliwie zastanawiali się, dlaczego jeden z ich towarzyszy miałby chcieć rozmawiać z uwięzionym minotaurem. Wreszcie ten sam, który odezwał się przedtem, udzielił odpowiedzi. - Tylko za zgodą komendanta.

Kaz zdążył już usłyszeć głosy. Zareagował z opóźnieniem, być może dlatego, iż nie był pewien, kogo słyszy. Nagle odwrócił się i skoczył do krat. - Huma!

Obaj wartownicy poderwali się. Ten z nich, który najwyraźniej był dowódcą, odwrócił się i walnął w kraty zakutą w stal pięścią -wystarczająco daleko od minotaura, by ten nie mógł go złapać. - Cisza, bestio! Będziesz miał szansę się nagadać, gdy zacznie się dochodzenie.

Kaz parsknął gniewnie. - Myślałem, że rycerstwo to honorowa zgraja, widzę jednak, że bardzo niewielu z was wie, co to honor! - Wyciągnął przez kraty długie, muskularne ramię, otwierając dłoń w błagalnym geście. - Humo! Uwolnij mnie z tej klatki!

Rycerze spojrzeli na Humę przymrużonymi oczyma. - Wydaje się, że on cię dobrze zna. Jak to możliwe?

- Spotkaliśmy się i wędrowaliśmy razem. On nie jest niewolnikiem Królowej Smoków. Sam jest sobie panem. To mój przyjaciel. Przyjaciel?

Strażnicy spojrzeli na Humę ze zdumieniem i dużą dozą niedowierzania. Zaczęli się gromadzić inni rycerze, pragnący poznać przyczynę krzyków.

Wreszcie odezwał się drugi z wartowników. - Calebie, być może powinniśmy powiadomić Taggina.

- Wolałbym mu w tej chwili nie przerywać. - Caleb, wysoki, tłusty mężczyzna o drapieżnym wyrazie twarzy, wskazał palcem na Humę. -Gdybym cię nie znał, mógłbym cię uznać za szpiega, gdyż zadajesz się z magami i minotaurami. Sądzę jednak, że jesteś po prostu głupcem. Jeśli chcesz porozmawiać z tym stworem, poproś Taggina. Gdyby zależało to ode mnie, kazałbym i ciebie zamknąć do czasu rozprawy.

Rozległy się szepty wyrażające aprobatę. Huma był zdumiony. W ciągu kilku sekund z darzonego łaskami gościa przerodził się w coś w rodzaju wyrzutka. - Co tu się dzieje?

Wszyscy, nawet Kaz, zamarli na dźwięk tego głosu. Lord Taggin miał na sobie ceremonialną zbroję. Jego twarz odmłodziła o co najmniej dwadzieścia lat. Stanowił teraz żywe wyobrażenie autorytetu.

- Ostatnio zaczęła się z was robić cywilbanda. Widzę, że będę musiał wprowadzić pewne zmiany - Taggin zwrócił się w stronę Humy. -Powiedziano mi, że wiesz coś o tym minotaurze. - Stojący za plecami komendanta Buoron spuścił wzrok. - Za pół godziny rozpoczniemy przesłuchanie. Spodziewam się, że będziesz obecny i zdasz relację ze wszystkich faktów. Zrozumiano? - Tak jest, wielmożny panie.

Taggin zwrócił się w stronę wartowników. - Co zaś do was, wydaje się, że macie trudności ze sprostaniem niektórym zasadom rycerstwa. Spodziewam się, że ten incydent czegoś was obu nauczy.

Rycerz Róży nie czekał na odpowiedź. Minał rycerzy i podszedł do klatki. Kaz przeszył go

wściekłym spojrzeniem. Na Tagginie nie zrobiło to wrażenia.

- Dowiedz się, minotaurze, że zasady rycerstwa są niezmiennie. Twa rozprawa będzie bezstronna. Otrzymasz wszelkie szanse, by dowieść swej niewinności oraz prawdziwości tego, co mówi o tobie ten rycerz. Obiecuję ci to.

Kaz nie odpowiedział. Skinął tylko nieznacznie głową. Taggin odwrócił się i skierował ku swej kwaterze.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zdumiewać swą zdolnością skupiania na sobie uwagi, Humo.

Huma i Buoron podnieśli wzrok, gdy tylko weszli do kwater rycerzy. Magius, odziany w swe wspaniałe czerwone szaty, spoglądał na nich z przeciwległego końca pomieszczenia. Huma po raz kolejny zastanowił się nad tą zmianą. Czy Magius faktycznie wrócił do Zakonu Lunitari, czy też był to tylko kolejny z jego kaprysów? - Mag wraca do krainy żyjących - zauważył oschłym tonem Buoron. Czarodziej poruszył się. - Doprawdy, Humo, jedyna rzecz głupsza od tego metalowego wdzianka, w którym paradujesz, to towarzystwo, jakie sobie dobierasz. Nie mam oczywiście na myśli siebie.

- Jeśli nie masz nic sensownego do powiedzenia, Magiusie, to lepiej siedź cicho. Huma sam był zaskoczony własną uwagą.

Magius zignorował ten przytyk. - Widzę, że minotaurowi udało się wpakować w kłopoty. Naprawdę nie mamy na to czasu. Gdybym nie potrzebował odpoczynku, moglibyśmy odjechać jeszcze nocą.

Buoron uśmiechnął się złośliwie. - Nigdzie nie pojedziesz bez zgody lorda Taggina. - Czyżby?

- Nie ze mną, Magiusie. Nie wcześniej, nim Kaz będzie wolny - dodał Huma.

Mag westchnął. - Niech będzie. Mam nadzieję, że to się zbyt nie przeciągnie. Wiem jak długie i nudne potrafią być dochodzenia.

- Humo, czy ta świnka to naprawdę twój przyjaciel? - wtrącił się Buoron.

- O ile potrafisz w to uwierzyć. Nadal mam nadzieję, że znajdę gdzieś pod spodem dawnego Magiusa.

Tym razem czarodziejowi zabrakło słów. Spojrzał tylko na Humę, po czym wpatrzył się w coś interesującego na swej lasce. - Czy pójdziesz ze mną, Magiusie? Jego przyjaciel z dzieciństwa podniósł wzrok. - Na dochodzenie?

Raczej nie. Mogliby zechcieć oskarżyć również mnie. Zaczekam na wynik tutaj.

Huma westchnął, nie potrafił jednak określić, czy z ulgi czy ze zmartwienia.

W przeciwieństwie do formalnych dochodzeń w twierdzy Vingaard, sesje odbywające się w tej placówce były szybkie, proste i rzeczowe. Kaza zapytano, gdzie przebywał przez ostatnie pół roku. Z najdrobniejszymi szczegółami omówiono jego zbrodnię przeciwko poprzednim panom oraz spotkanie z Humą. Lord Taggin poszukiwał jakiejś sprzeczności, która udowodniłaby, że minotaur jest niegodny zaufania.

Podczas przesłuchania ujawniło się wiele szczegółów z jego przeszłości. Był przedstawicielem długiej linii wodzów klanu. Nadano mu nawet imię jednego z odległych przodków, potężnego wojownika, który przez dwadzieścia trzy lata władał całą rasą, nim wreszcie padł w walce.

Kaz jednak dorastał w czasach, w których minotaurowie nie mieli prawdziwego władcy. Zgodnie z tym, co opowiadał Humie, ci, którzy panowali nad jego rasą, byli marionetkami w rękach wodzów Królowej Smoków. Każdego minotaura, bez względu na płeć, wcielano do nieustannie rosnących szeregów armii Królowej Ciemności, gdy tylko osiągnął odpowiedni wiek. W żadnej jednostce nigdy nie było ich wystarczająco wielu, by wywołać atmosferę buntu. Pobratymców Kaza surowo karano nawet za najdrobniejsze wykroczenia.

Minotaur przyznał, że brał udział w walkach. Stanowiło to część jego natury. Stopniowo jednak zbrzydła mu szalejąca wokół bezsensowna rzeź. Większość rzeczy, do których go zmuszano, nie przynosiła najmniejszego zaszczytu. Ogrowie nie dbali o to, czy mają do czynienia z armią czy z wioską. Wszystko, co stało im na drodze, musiało zostać zniszczone.

Następnie Kaz przystąpił do szczegółowego opisu ostatniego incydentu, gdy natknął się na ogrowego kapitana-mordercę. Przez krótką chwilę słuchający rycerze byli całkowicie po jego stronie.

Wiadomość o załamaniu się solamnijskich linii i chaosie, który nastąpił później, ponownie wzbudziła w nich gniew. Następnie Kaz opisał atak na cytadelę Magiusa oraz ucieczkę, która doprowadziła do tego, że został rozdzielony z Humą.

Szczytowym punktem przesłuchania był chyba moment, gdy Kaz opisał krótkie, lecz krwawe starcie swego przyjaciela z naczelnym wodzem. Wahadło uczuć ponownie przechyliło się na stronę Humy. Ci, którzy krzywo spoglądali na jego dziwną przyjaźń, ponownie zaczęli patrzeć na niego z szacunkiem.

Po Kazie przemówił Huma. Nie prosił rycerzy o łaskę dla minotaura, lecz opowiadał im o jego odważnych i sprawiedliwych czynach. Wskazał również, że honor jest dla Kaza równie ważny, jak dla Solamnijszyków.

Gdy wszystko już powiedziano i zrobiono, lord Taggin wyglądał na skrajnie zmęczonego. Wstał i zwrócił się ku minotaurowi, który był związany i pod strażą. Następnie zaczerpnął oddechu i powiedział: -Minotaur Kaz współpracował z nami pod wszelkimi względami. Przedstawił nam dokładny obraz działań armii Królowej Smoków. Jego słowa potwierdził Huma, Rycerz Korony. Zgodnie z prawem, minotaur zasłużył sobie na honorową śmierć.

Kaz parsknął gniewnie i zaczął szarpać więzy. Huma chciał się podnieść, lecz Buoron go powstrzymał. Taggin mówił dalej.

- Istnieje też jednak inna możliwość. Paladine jest bogiem sprawiedliwości i mądrości. Egzekucja minotaura byłaby największą z możliwych parodią tej pierwszej. W związku z tym oddaję go pod kompetentny nadzór rycerza Humy. Jak sądzę, możemy wierzyć, że potrafi on nad nim zapanować.

Rozległy się okrzyki radości. Opinia o Humie uległa dalszej zmianie. Był teraz dla swych towarzyszy niemal równie wielkim bohaterem, jak dla Ergothian. Zdejmijcie minotaurowi więzy.

Rycerz Caleb wykonał rozkaz nie bez obaw. Gdy usunął ostatni ze sznurów, Kaz obdarzył go pełnym zębów uśmiechem. W chwilę później minotaur przepychał się już przez tłum. Objął swego dawnego towarzysza i dźwignął go w powietrze z okrzykiem zadowolenia.

- Sądziłem, że już nigdy cię nie zobaczę, mój przyjacielu Humo! Powinieneś wiedzieć, że z uwagi na mój szacunek dla ciebie trzymałem się w ryzach podczas poszukiwań! Jakże się cieszę, że postanowiłem natychmiast zawrócić na południe.

Przyszło mi do głowy, że być może pojechałeś na północ, by mnie odnaleźć.

Huma zaczerwienił się. - Mogłem jedynie żywić nadzieję, że nic ci nie grozi. Moja trasa wiodła na południowy zachód, nawet wtedy, gdy tego nie chciałem. Magius...

Kaz źle go zrozumiał. - Tak jest. Widziałem, jak ten smoczy pomiot, ten twój przyjaciel mag, gapił się na mnie. Sprawiał wrażenie, że jest w pełni gotowy poświęcić mnie dla własnej wygody. Tak mnie wściekła jego zadowolona mina, że zacząłem się zastanawiać nad samobójczą próbą ucieczki. Minotaur ryknął śmiechem. Huma nie rozumiał jego powodów.

Taggin odchrząknął. Huma szybko zaprowadził przyjaciela do niego. - Lordzie Tagginie, Rycerzu Róży. Przedstawiam ci minotaura Kaza. - Z rodu, który wydał z siebie więcej niż tuzin wodzów mej

rasy. Pochodzenie nie grało w kraju minotaura tak wielkiej roli, jak wśród wyznających arystokratyczne zasady rycerzy solamnijskich, lecz ród, który wydawał z siebie wodzów, cieszył się wielkim podziwem współplemieńców. Dla rycerzy brzmiało to tak, jakby Kaz okazał się szlachcicem wśród swego ludu.

Taggin pozdrowił minotaura, po czym spoważniał. - Kiedy inni sobie pójda, porozmawiamy. Wezwałem również maga.

Nie upłynęło wiele czasu nim pomieszczenie się opróżniło. Jedno spojrzenie komendanta wystarczyło, by i Buoron wyszedł za drzwi. Kaz miał zakłopotaną minę, lecz lord Taggin nie chciał nic powiedzieć przed zjawieniem się Magiusa.

Mag wszedł do środka z wyraźną niechęcią. Kaz zeszywniał. Jego oczy poczerwieniały z gniewu. Huma obawiał się, że minotaur rzuci się do ataku, ten zapanował jednak nad sobą. Magius udawał, że jego masywnej postaci w ogóle tu nie ma. - Postanowiłem przyjść tu na twą prośbę, lordzie Tagginie.

- To bardzo miło z twojej strony. - Starszy rycerz, podobnie jak Buoron, nie był skłonny ukrywać swej wrogości wobec maga. - Zdecydowałem zezwolić na kontynuowanie waszej podróży. Przydzielę wam nawet eskortę.

Magius pociągnął nosem. - Zachowałeś się bardzo przyzwoicie, lordzie Tagginie. Eskorta nie jest nam jednak potrzebna. Huma i ja damy sobie radę sami.

- Nie zostaniesz z nim sam, wilczy pomiole - syknął Kaz. - Udam się z wami bez względu na to, czy będziecie mieli eskortę.

Taggin uniósł rękę, by nakazać ciszę. - Nie macie wyboru. Tak czy inaczej, wyślę eskortę. To nie uprzejmość, lecz warunek, pod którym pozwolę wam kontynuować tę... misję.

Magius spojrzał na Humę z nie skrywaną wściekłością. - Szkoda, że nie złożyłeś przysięgi milczenia. Potrafisz nieźle trzepać ozorem.

Huma zjeżył się, lecz nie zamierzał sprawić swemu towarzyszowi satysfakcji dziecianną odpowiedzią.

Komendant placówki podszedł do Magiusa. Ich twarze zbliżyły się do siebie na odległość mniejszą niż szerokość dłoni. Odjedźcie jutro o świcie. Nie wcześniej ani nie później. Jeśli zamierzasz wymknąć się ukradkiem, nie zadawaj sobie trudu. Znajdziemy cię, a potem każę cię zamknąć. Potrafimy uwięzić czarodzieja. Możesz być tego pewien.

Huma poczuł zadowolenie, gdy Magius wycofał się jako pierwszy. - Niech będzie. Skoro wygląda na to, że nie mamy wyboru. Nie macie.

Magius zwrócił się w stronę Humy i wskazał palcem minotaura. - Czy to coś również musi nam towarzyszyć? - zapytał. - Bezwzględnie. Kaz poparł odpowiedź Humy groźnym warknięciem, które odsłoniło jego zęby.

- A więc rano. - Magius ponownie zwrócił się w stronę lorda Taggina. - Czy to wszystko? - Nie. Czy dobrze zrozumiałem, że cała sprawa opiera się na śnie? Mag uśmiechnął się, jak się zdawało, smutno. - Próba nie była snem. Bardziej odpowiednim określeniem jest koszmar. Koszmar, który mam nadzieję zmienić.

Taggin wpatrzył się w jego oczy. - Nie powiedziałaś mu wszystkiego, prawda, Magiusie? Huma wybałuszył szeroko oczy. Stały się one jeszcze większe, gdy czarodziej uparcie zwlekał z odpowiedzią.

Magius popatrzył na pozostałych, po czym gwałtownie zwrócił się w stronę drzwi. - Nie. Zrobię to, gdy chwila będzie odpowiednia. Popatrzeli w ślad za nim.

- Miej na niego oko, Humo - wyszeptał wreszcie Taggin. - Nie tylko ze względu na was, lecz

również na niego.

Młodszy rycerz mógł tylko skinąć głową. Po raz kolejny zastanowił się, jak może jeszcze wierzyć w Magiusa.

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

Rycerz stał i czekał na szczycie najwyższej z gór. Zastłona jego hełmu była opuszczona, nie sposób więc było go rozpoznać. Nosił znak Rycerzy Róży, a w lewej dłoni dzierżył wspaniały miecz. Wydawało się, że chce go wręczyć Humie.

Ten czołgał się przez turnie i wąwozy. Więcej niż tuzin razy tracił punkt zaczepienia, lecz za każdym razem odzyskiwał go w ostatniej chwili. Choć Huma był już blisko szczytu, rycerz nie chciał mu pomóc. Niezwykła postać wyciągała tylko ku niemu miecz.

Huma wgramolił się na szczyt i przyjął oferowaną broń. Był to piękny miecz. Antyk. Przeszył nim powietrze trzy razy. Nieznajomy nadal się w niego wpatrywał.

Huma podziękował mu za broń i zapytał o jej nazwę. Rycerz nie odzywał się. Rozgniewany nagle Huma wyciągnął rękę i uniósł zastłonę.

Nie był pewien, co zobaczył, gdyż coś zawyło nagle. Huma poderwał się na łożu. Sen rozproszył się.

Taggin przyszedł dopilnować, by wszystko poszło jak należy. Szczególną uwagę poświęcił poczynaniom Magiusa, lecz tego ranka czarnoksiężnik był wyjątkowo grzeczny.

Przybyła eskorta. Dziesięciu mężczyzn zgłosiło się na ochotnika. Huma poczuł ulgę, zobaczywszy, że jednym z nich jest Buoron.

Gdy cała drużyna dosiadła już koni, ten ostatni nakazał gestem otworzenie bramy. Kiedy wyjeżdżali, każdy z nich oprócz Magiusa i Kaza zasalutował komendantowi placówki. Rankiem lord Taggin nie powiedział Humie już nic, lecz gdy odwzajemniał jego pozdrowienie, machnął lekko dłonią, by dodać mu odwagi.

Ich trasa miała przez cały czas prowadzić przez otwarty teren, dając im coraz wyraźniejszy widok na łańcuch górski. Od celu dzieliło ich przynajmniej kilka dni drogi. Huma zastanawiał się, którego szczytu szuka Magius i co spodziewa się tam znaleźć. Mag zachowywał się bardzo spokojnie. W gruncie rzeczy od chwili, gdy opuścili placówkę, nie spuszczał wzroku z górskich wierzchołków. Gapił się na potężne, skalne olbrzymy, jakby zależało od nich jego życie. Niewykluczone zresztą, że tak faktycznie było.

Gdyby Huma obejrzał się w owej chwili za siebie, mógłby dostrzec stworzenie, które gnało szybko od jednej kryjówki do drugiej. Nie lubiło światła dnia, które było szkodliwe dla jego rasy. Co prawda, patrzyło na siebie wyłącznie jako na przedłużenie swego pana. Odbyło długą podróż, by służyć jako oczy i uszy tego, kto był źródłem jego egzystencji. Dla niego było gotowe znosić palące światło dnia, które raziło je nawet przez nigdy nie znikającą powłokę chmur. Dokądkolwiek udadzą się rycerz i mag, Straszylk podąży za nimi.

Rozdział piętnasty

Olbrzymy majaczyły nad nimi, nie zważając na maleńkie, pełne niepokoju istoty, które dotarły do ich zewnętrznej granicy. Z oddali góry wyglądały wspaniale. Z bliska były wręcz przytłaczające. Nawet Magius się nie odzywał.

Tutejsze góry były stare, znacznie starsze niż wiele ich odpowiedników na wschodzie, czy nawet na północy. Niejeden szczyt znikał w warstwie chmur, co świadczyło o ich niewiarygodnej wysokości. Czas poddał wszystkie turnie wpływowi erozji, niektóre z nich do tego stopnia, że przypominały skorupy gigantycznych morskich stworów. Wiecznie obecny wiatr, dziesięciokrotnie silniejszy niż na równinach, wypełniał powietrze niemal ludzkim zawodzeniem, tańcząc na całym obszarze łańcucha górskiego.

- Sargasie - wyszeptał Kaz. Nikt nie czynił mu wymówek za ten cichy okrzyk. To oczywiście Magius zmącił ich koncentrację. Poruszył się

niespokojnie w siodle. Niemal nie spuszczał wzroku ze szczytów leżących w sercu łańcucha. - Nic nie osiągniemy, jeśli będziemy tu siedzieć i się gapić. Czy jesteś gotowy ruszyć w dalszą drogę, Humo? Rycerz zamrugał powiekami. - Tak. Sądzę, że moglibyśmy to zrobić. Kaz?

Minotaur podniósł wzrok ku szczytom. Po chwili uśmiechnął się. - Podobny krajobraz jest mi dobrze znany, mój przyjacielu. Nie żywię żadnych obaw.

Będziemy tu na was czekać trzy dni, na wszelki wypadek - oznajmił Buoron. Magius pociągnął nosem i odwrócił pogardliwie wzrok. - To nie jest konieczne. Niemniej jednak, tak właśnie zrobimy. Twoje słowa nic mają znaczenia.

- No to jedźmy - wtrącił szybko Huma. Gorąco pragnął skończyć już z całą tą sprawą, o ile tylko było to możliwe. - Zgoda. Magius popędził swego wierzchowca naprzód.

- Humo - powiedział poważnym tonem Buoron. Wyciągnął rękę. Jego twarz przypominała rozciągające się przed nimi góry - miała ostre rysy, lecz na swój sposób była godna podziwu. - Niech Paladine czuwa nad tobą. - I nad tobą też.

Pozostali rycerze skinęli głowami na pożegnanie, gdy Huma ich mijał. Nie obejrzał się za siebie w obawie, że usidli go pragnienie wycofania się z misji, która mogła być jedynie szaleństwem. Nie okazał jednak strachu wobec Magiusa czy Kaza. Rycerz taki, jak Bennett, udałby się w góry gotowy stawić czoła samej Królowej Smoków, jeśli zaistniałaby taka potrzeba. Huma wiedział, że nigdy nie zdołałby tego dokonać, zrobi jednak, co będzie mógł, by wypełnić misję z godnością.

Aż nazbyt szybko wjechali na teren gór. Zewsząd otaczały ich szczyty, fantastyczne urwiska i bariery gotowe - czekające? - by zamknąć się i zatrzeć wszelki ślad po maleńkich stworzeniach, które odważyły się je nawiedzić.

Góry takie jak te zawsze mi uświadamiały, jak musi się czuć owad - zauważył Kaz.

Jadący z przodu Magius roześmiał się pogardliwie. - To zwykle bryły skalne. Na pierwszy rzut oka robią wrażenie, ale nie zasługują na cześć w większym stopniu niż maleńkie kamyczki na plaży. - Widzę, że nigdy naprawdę nie poznałeś gór. Bądź ostrożny, byś nie dał się tu pogrzebać, zwiedziony ich pozorną błahością.

Gdzieś wśród turni rozległ się krzyk, ochrypli i drapieżny. Wszyscy trzej jeźdźcy rozejrzeli się pośpiesznie wokół.

Gdy upłynęło kilka sekund i nic się nie pojawiło, Kaz zwrócił się w stronę Magiusa. - Co to było? Czy znasz ten dźwięk?

Mag odzyskał już zimną krew, podobnie jak arogancję. - Może jakiś ptak. Albo nawet smok. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że żyją tu te ostatnie. - Tutaj?

Humę nawiedziła nagle wizja wielkich czerwonych smoków opadających w dół na nieszczęsną grupę. Magius może byłby w stanie powstrzymać je przez chwilę, lecz Kaz i Huma nie mieliby szans. Pałasz nie byłby zbyt skuteczny przeciw pancерnej skórze takiej bestii.

Szlak stanowił krętą serię pochyłości, skalnych występów i niebezpiecznych zakrętów. Buoron mówił, że wybudowali go krasnoludowie, którzy dawno już opuścili te okolice. Była to jedyna droga dająca wędrowcom odrobinę nadziei na to, że dotrą na drugą stronę gór. Rycerze zapuszczali się w nie tak rzadko, jak to tylko możliwe, nie dlatego, że się bali, lecz ponieważ wiedzieli, iż nawet nieliczni miejscowi bandyci trzymają się od tych okolic z daleka.

Porywy wichru szarpały szaleńczo płaszczem Humy. Wreszcie rycerz musiał spaść go szpilą. Lodowaty wiatr wydawał niesamowite dźwięki przypominające okrzyki niezwykłych, niewyobrażalnych bestii.

Magius wciąż podążał jako pierwszy, ponieważ jedynie on miał pojęcie, dokąd się udają. Huma rozglądał się w poszukiwaniu szczytu, który odpowiadałby przedstawionemu na gobelinie. Kaz jechał tylko przed siebie, pozostawiając robotę pozostałym. Mało go obchodziło to, czego szukał czarodziej. Dbał tylko o zdrowie własne oraz Humy. Mag Czerwonych Szat mógł sobie zginąć.

Minęli kolejny zakręt i zatrzymali się jak wryci. Magius wybuchnął serią przekleństw. Kaz roześmiał się, mimo złowieszczego wyrazu oczu czarodzieja.

Szlak był zasypany tonami skalnego gruzu. Huma uniósł wzrok i dostrzegł świeżą szczelinę w zboczu jednej z gór. Spróbował sobie wyobrazić siłę potrzebną do wywołania obsunięcia się stoku na podobną skalę.

- Nie pozwolę, by mnie okpiono! - Magius podniósł się w siodle, krzycząc ku górą. Odwrócił się błyskawicznie ku swym towarzyszom. - Niedaleko za nami były dwie rozwidlające się ścieżki - powiedział. -

- Sprawdźcie, czy któraś z nich nie zawraca z powrotem do tego szlaku. Ja zobaczę, czy da się coś zrobić tutaj.

Minotaurowi nie podobało się, że Magius chciał mu rozkazywać, lecz Huma uspokoił go. Lepiej żeby Kaz nie drażnił w tej chwili maga.

Podczas gdy czarodziej poddawał oględzinom rumowisko, Huma i Kaz zawrócili. Ścieżki, o których wspominał Magius, sprawiały wrażenie nieuczyszczanych. Jedną z nich zarastały nawet delikatne krzewy, pospolite na terenie gór. Huma wybrał szlak skryty w zielsku.

Kaz oddalił się, by zbadać drugą ścieżkę. Huma popatrzył, jak jego przyjaciel znika, po czym zsiadł z konia. Ścieżka była zbyt niepewna. Nie miał zamiaru narażać i siebie, i wierzchowca. Lepiej zostawić zwierzę w tym miejscu. Jeśli na dalszym odcinku szlak okaże się bezpieczniejszy, wróci po konia.

Był zmuszony użyć pałasza, by oczyścić drogę z listowia. Choć pojedyncze rośliny były słabe, rosły w takiej masie, że czuł się, jakby przecinał grube bele siana. Musiał rąbać mieczem przez kilka minut bez chwili przerwy, by posunąć się choć trochę naprzód.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że skalista ścieżka prowadzi stromo w górę. Jazda konna była tu niemożliwa, a piesza wspinaczka powolna, nudna i uciążliwa.

Nagle znalazł się na opadającym łagodnie w dół stoku ukrytym częściowo w roślinności. Uśmiechnął się z ulgą. Wyglądało na to, że ścieżka zatacza krąg i ponownie łączy się z głównym szlakiem za skalnym rumowiskiem. Po dłuższych oględzinach doszedł wreszcie do wniosku, że nie tylko nadaje się ona do przejścia, lecz zaprowadzi ich krótszą drogą do szczytów, których szukał Magius. Z zadowoleniem zauważył też, że wiatr dmie tu znacznie słabiej. Rycerz zawrócił, zwiększając tempo. Był pewien, że Kaz zakończył już poszukiwania. Wątpił też, by Magius zdołał tymczasem znaleźć drogę omijającą rumowisko. Ścieżka Humy sprawiała wrażenie najlepszej, a być może jedynej.

Doszedł do miejsca, gdzie spotykały się dwa stoki i wszedł z powrotem na skalisty odcinek szlaku. Skręcił... i stanął jak wryty przed potężną skalną ścianą. - Co jest... - mruknął, marszcząc czoło ze zdumienia. Spojrzał wzdłuż kamiennej formacji i położył dłoń na jej powierzchni. Była aż nazbyt realna. Zdał sobie sprawę, że musiał skręcić w złym kierunku.

Wrócił do punktu wyjścia i zatrzymał się zdumiony. Wszystko wskazywało na to, że za pierwszym razem podążył właściwą drogą. Mimo to skalna formacja sprawiała wrażenie, że wznosi się w tym miejscu od lat.

Jej powierzchnię pokrywały plamy mchu. Była zwietrzała, a na szczycie niemal zaokrąglona. Wreszcie Huma dał za wygraną i wrócił do poprzednio odkrytego przez siebie skrzyżowania.

Wkroczył na drugą ścieżkę, choć miał wrażenie, że to niewłaściwa trasa. W miarę jak zapuszczał się coraz dalej, nabierał pewności siebie, gdyż wyglądało na to, że szlak zaprowadzi go z powrotem tam, gdzie chciał się znaleźć. Nagle jednak zawrócił w przeciwnym kierunku. Wkrótce Huma podążał dróżką pełną zakrętów, od których dostawał zawrotów głowy. Wreszcie zatrzymał się. Idąc w tę stronę, oddalał się od celu. Mruczając pod nosem, zawrócił tą samą trasą, którą przyszedł.

Choć wiedział, że szlak, którym szedł, powinien zakręcać w prawo, teraz wiódł on w lewo.

Coś tu było nie w porządku. Huma wiedział, że poprzednio mógł się pomylić, lecz tym razem na pewno miał rację. Był szczególnie ostrożny i starannie obserwował drogę. Buoron i pozostali mówili, że wielu wędrowców nigdy stąd nie wracało. Teraz Huma rozumiał dlaczego. Było to tak, jakby same góry występowały przeciw nieostrożnym. Huma jednak wiedział, że musi to być dzieło jakiejś śmiertelnej istoty. Jego myśli powędrowały do Galana Dracosa, nie pasowało to jednak do stylu renegata. Zdał sobie sprawę, że gdzieś go prowadzono. Dracos już by go w tej chwili schwytał. Nie, to była magia o innym przeznaczeniu. Wyciągnąwszy miecz, ruszył przed siebie jedyną dostępną mu ścieżką.

Wokół nie było nic nadzwyczajnego. Po prostu skały, rzadko rosnące krzewy, a od czasu do czasu przelatujący wysoko ptak.

Dróżka rozwidlała się nagle w dwóch kierunkach. Huma zatrzymał się, podejrzewając, że w rzeczywistości może wybrać tylko jedną. Ale którą?

Zastanawiał się przez jakiś czas, zanim usłyszał stukot dobiegający zza jego pleców. Odwrócił się błyskawicznie, unosząc w górę miecz. Spodziewał się, że zobaczy ogra albo może jednego z Czarnych Gwardzistów, znalazł się jednak twarzą w twarz z zakapturzoną postacią siedzącą na wielkim, płaskim głazie.

Stukot wydawała laska bardzo przypominająca należącą do Magiusa. Trzymała ją skryta w szarej rękawicy dłoń, częściowo zasłonięta rękawem płaszcza tego samego koloru, który z kolei pokrywał większą część postaci - Huma podszedł bliżej, by się upewnić - mężczyzny o szarej twarzy. Opuścił nieco miecz. - Kim jesteś? - zapytał.

- Kim jesteś? - powtórzył szary mężczyzna. Rycerz zmarszczył brwi, lecz postanowił na razie ustąpić nieznajomemu. - Jestem Huma, rycerz

Zakonu Korony.

- Rycerz solamijski - stwierdziła bezbarwna postać, jak gdyby wiedziała to od samego początku. Laska zastukała. - Ja odpowiedziałem na twoje pytanie. Teraz ty odpowiedz na moje.

- Ja? - Mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając szare zęby. - Jestem tylko towarzyszem podróży. Huma wskazał palcem otaczającą ich okolicę. - To nie twoje dzieło? - Góry? Ależ nie. Jak rozumiem, są tutaj już od dawna.

- Chodziło mi o ścieżki, które znikają. Ekscentryczne zachowanie nieznajomego irytowało Humę.

- Nie potrafię przenosić gór. Całkiem możliwe, że po prostu nie widzisz dobrze.

Postać spoczywająca na głazie doskonale wtapiała się w tło. Huma przekonał się, że jeśli odwrócił wzrok choć na chwilę, musiał potem przyglądać się bardzo uważnie, by odnaleźć szarego mężczyznę. Niewątpliwie siedział już na tym kamieniu, gdy Huma przechodził obok przed paroma chwilami. Rycerz go nie zauważył. - Czy jesteś magiem? - zapytał Huma. Stukot laski ustał na chwilę. - Ach, to jest interesujące pytanie. Dźwięk rozległ się ponownie. - Słucham?

Huma usiłował zapanować nad sobą. Wydawało się, że szary człowiek zastanawiał się przez chwilę. Następnie skierował laskę ku dwóm ścieżkom za plecami Humy. - Czy nie miałeś zamiaru wybrać drogi? - zapytał. - Wiesz co, powinieneś się tym zająć. Mógłbyś zawędrować w jakieś ważne miejsce. - Bardzo dobrze. Którą ty byś wybrał?

Huma wstrzymał oddech, zastanawiając się, czy otrzyma odpowiedź, która będzie miała jakiś sens.

Po dalszej konsultacji z samym sobą mężczyzna o barwie łupku wskazał laską na ścieżkę wiodącą w lewo. - Ta trasa była w przeszłości dość popularna. - Dziękuję.

Huma ruszył ku wskazanej drodze. Nie chciał mieć nic więcej do czynienia z szarymi mężczyznami i ścieżkami, które pojawiały się i znikwały. Im szybciej się oddali...

- Oczywiście - dodała osobliwa postać - inni przekonali się, że prawidłowy wybór to prawa droga.

Huma zatrzymał się, odwrócił i zmierzył zimnym spojrzeniem szarego człowieka. - A na którą ty byś się zdecydował?

- Ja się nigdzie nie wybieram.

Rycerz przyjrzał się obu dróżkom. Z miejsca, w którym stał, wydawały się identyczne. Nie mógł dokonać wyboru na podstawie wyglądu. Musiał zaufać swym instynktom.

Wkroczył zdecydowanie na szlak wiodący w prawo i ruszył naprzód. Nie oglądał się za siebie, nawet gdy ponownie rozległ się znajomy stukot. Pożegnalne słowa sprawiły jednak, że zatrzymał się na chwilę - Interesujący wybór. Stukot umilkł. Huma odwrócił się mimo woli.

Ścieżka zniknęła. Podobnie jak szary człowiek. Na ich miejscu wznosił się wysoki, spadzisty szczyt.

Wlókł się krętym szlakiem przez wiele godzin. Zauważył, że słońce stoi już nisko na niebie, co oznaczało, iż był rozdzielony z pozostałymi przez większą część dnia. Nawoływanie ich nic nie dało.

Wiatr się wzmógł. Rycerz owinał się płaszczem. Odważył się schować miecz, by móc otulić się strojem jeszcze ciaśniej. Zastanowił się, jak zimno może się zrobić w tych górach. Potem jednak doszedł do wniosku, że lepiej o tym nie myśleć.

Gdzie się podzieli Magius i Kaz? Miał nadzieję, że minotaur i czarodziej nie pozabijają się nawzajem, gdy zabraknie Humy, który trzymał ich w ryzach.

Ponownie poczuł w żołądku skurcz głodu. Wywołało to niejasne poczucie winy. Głodówka była stosowanym w rycerstwie rytuałem oczyszczenia. Kilka godzin nie powinno być dla niego problemem.

Na krzakach, które mijał, widoczne były nieliczne jagody, lecz poprzednie eksperymenty wykazały mu, że są one niejadalne, a być może nawet trujące. Nie widział żadnych śladów życia zwierzęcego. Nic też nie słyszał, poza powtarzającym się od czasu do czasu krzykiem stworzenia, które gdzieś tu wyczekiwało. Być może był to wielki ptak. Czym się w takim razie żywił? Nieostrożnymi i głupimi wędrowcami?

Wreszcie nadszedł wieczór. Huma czekał na znak od Magiusa. Z ciemności nie dobiegło jednak żadne światło ani dźwięk. Gdy zapadła głęboka noc, rycerz nadal był sam.

Noc była pogodniejsza niż dzień. Gwiazdy zawsze jakoś przeświecały przez zasłonę chmur, choć słońce nie potrafiło tego dokonać. Najbardziej pokrzepiający był jednak chyba fakt, że Solinari wreszcie zmierzał ku pełni. Bóg Białych Szat czuwał teraz nad światem i choć Magius nosił szaty karmazynowe, Huma miał nadzieję, że Solinari będzie strzegł również jego przyjaciela.

Rycerz zatrzymał się wreszcie na noc. Był zmęczony i zbity z tropu, zdecydowany wyruszyć w dalszą drogę, gdy tylko nadejdzie rano. Wczołgał się pod nawis na stosunkowo płaskim obszarze i owinał ciasno płaszczem. Ognisko nie wchodziło w grę. Huma przeżył już gorsze rzeczy, lecz ukłucia głodu nie przestawały go irytować, nawet gdy pogrązał się we śnie.

Poruszył się. Z drzemki wyrwał go jakiś dźwięk przypominający łopot wielkich skrzydeł. Wyrzawszy ze swego schronienia, nic zobaczył nic w nocnym mroku, uznał więc, że była to tylko

skalna lawina bądź wiatr. Wkrótce znowu zasnął.

Zza odległej wyniosłości skalnej dwoje lśniących, krwawoczerwonych, niewidzących oczu spojrzało na nie podejrzewająca niczego postać. Straszylkowi nakazano tylko obserwować, a nie zabić. Nie tym razem. Niemniej śpiący człowiek był zachęcającym celem. Stwór zaczął się skradać w jego stronę, obnażając poźółkłe kły. Przygotowywał się już do skoku, gdy skądś wysunęła się monstrualna łapa, która zmiotła go bezlitośnie. Nocnej ciszy nie zmącił żaden dźwięk. Huma poruszył się raz jeszcze, lecz się nie zbudził. Świt przyniósł rycerzowi wrażenie, że nie jest sam.

Huma zbadał otaczającą go okolicę. Wszystko wyglądało tak samo, jak wczoraj, poza tym, że zrobiło się trochę cieplej. Nadal czuł głód, lecz zaczynał nad nim panować - albo też przekroczył już granicę, poza którą nie miało to znaczenia.

Odważył się zawołać głośno swych towarzyszy. Wiatr był słabszy i Huma sądził, że tym razem mogą go usłyszeć. Jeśli oznaczało to spotkanie ze stworzeniem, które wczoraj krzyczało, to trudno.

Jego wołania nie spotkały się z odpowiedzią, ani maga, ani minotaura, ani bezimiennej istoty. Huma dał sobie z tym spokój i ruszył w dalszą drogę niezwykłą ścieżką. Nie dbał już o to, czy zdołałby trafić z powrotem do punktu wyjścia.

Ku jego przyjemnemu zaskoczeniu, szlak stał się równiejszy i łatwiej było nim wędrować. Można też było znaleźć coś do jedzenia - jagody z nowego typu krzewu. Gdy okazały się jadalne, zaczął pożerać wszystkie, które tylko znalazł. Oczywiście istniały trucizny o powolnym działaniu, lecz Huma znał te rośliny. Uznał, że ścieżka została stworzona po to, by jeszcze trochę pożył.

Wreszcie, gdy zaczynał już wierzyć, że szlak będzie się ciągnął w nieskończoność, dotarł do lśniącego stawu otoczonego drzewami owocowymi oraz ogrodem. Był spragniony, pognął więc ku brzegowi

sadzawki. Woda nie mogła być trująca, jeśli wokół było tyle życia. Huma nachylił się i nabrał jej w garść. Gdy pił, ściekała mu po brodzie. Nie zadowalało go to, ukląkł więc i pochylił się do przodu, by napić się wprost ze stawu. Z tafli spojrzał na niego smok.

Poderwał się znad brzegu. Zdał sobie sprawę, że oblicze bestii było odbiciem. Spojrzał w górę, wybałuszając nagle oczy. Dotarł na miejsce przeznaczenia.

Wielki kamienny smok, sześciokrotnie większy od niego stał nad jednym z brzegów stawu. Huma zauważył, że po drugiej stronie znajdował się ongiś jego odpowiednik, lecz zostały po nim jedynie piedestał oraz fragment głowy. Oba wyglądały na wyrzeźbione z marmuru lub jakiegoś podobnego kamienia.

Ten, który stał jeszcze, był srebrnym smokiem, ten zaś który rozpadł się na kawałki, złotym.

Huma napił się do syta. Gdy skończył, popatrzył prosto przed siebie i zauważył skryte w gęstym zielsku wejście, dosłownie wykute w samej górze. Zbliżył się do niego, by przyjrzeć mu się dokładnie. Otaczała je płaskorzeźba przedstawiająca maleńkie symbole. Większość z nich zniszczyła już erozja. Niektóre - być może te, które osłaniała gęsia roślinność - można było jeszcze rozpoznać, a przynajmniej miały określony kształt. Huma rozpaczliwie pragnął się dowiedzieć, co mogą oznaczać te znaki.

Odsunął splątane pnącza i zajrzał do środka. Powinno tam być ciemno, lecz rycerz dostrzegł słabą łunę. Całkiem jakby ktoś zapalił pochodnie, żeby wskazać mi drogę - pomyślał z niepokojem.

Westchnął z rezygnacją i wszedł do prowadzącego pod górą korytarza. Spodziewał się, że przypominający jaskinię tunel będzie wilgotny i pełen woni stęchlizny. Poczuł się jednak zupełnie tak, jakby wszedł do sali obrad w twierdzy Vingaard. Korytarz był ciepły i suchy, a ściany i sufit gładkie.

Potrzebował trochę czasu, by pokonać całą długość nagiego tunelu. Uwagę skupiał wyłącznie na

widocznym z przodu migotliwym światelku. Wreszcie minął ostatni odcinek. Teraz dopiero przypomniał sobie o mieczu. Wyciągnął go z pochwy. Korytarz przechodził w wielką komnatę. Huma uznał, że kiedyś sprawował tam rządy jakiś wielki król albo cesarz. Sklepienie piętrzyło się wysoko. Była to naturalna jaskinia, której sztucznie nadano idealne kształty. Światło faktycznie pochodziło z pochodni. Huma zadał sobie pytanie, kto je zapalił. Wzdłuż wszystkich ścian ustawiono metalowe posągi zakutyh w

zbroje rycerzy. Choć nieożywione, wyglądały całkiem jak żywe. Mogłyby niemal być wartownikami, którym rozkazano spać do chwili, gdy będą potrzebni - albo żywymi trupami, którym polecono zabijać wszelkich intruzów.

Huma wyszedł na środek pomieszczenia i wpatrzył się w podłogę. Dostrzegał teraz wzór wytrawiony w kamieniu. Hardziej niż cokolwiek innego dodał mu on odwagi, gdyż było to olbrzymie wyobrażenie samego Paladine'a, Platynowego Smoka. Wiło się od jednego końca komnaty do drugiego. O ile rycerz potrafił to ocenić, faktycznie wykonano je z platyny. Humę zdumiewała misterność wykończenia.

Jego wzrok powędrował ku jedyjnemu meblowi w komnacie, wysokiemu tronowi wyrzeźbionemu z drewna, jakiego Huma nigdy w życiu nie widział. Wydawało się, że jarzy się ono własnym blaskiem. Krawędzie mebla były inkrustowane klejnotami, które również lśniły w świetle pochodni.

Gdy chodził po komnacie, ogarnął go dziecinny zachwyty. Zauważył, że zbroje są wielu różnych typów, noszonych przez rycerstwo w ciągu wieków. Uchylił niejedną zasłonę, by zajrzeć do środka, lecz znalazł tam jedynie kurz.

Na koniec stanął po prostu bez ruchu i wznosił dzięki do Paladine'a za to, że pozwolił mu dotrzeć tak daleko. Modlił się też o to, by Triumwirat czuwał nad jego dwoma towarzyszami, mimo sporów między nimi. Następnie klęknął przed tronem na znak czci.

Nie było mu jednak dane rozpocząć modlitwy. W jednym z mrocznych przejść poniósł się echem donośny dźwięk przypominający uderzanie metalu o metal. Huma zerwał się na nogi i rozejrzał wokół, starając się ustalić z którego z korytarzy dobiega odgłos.

W tej samej chwili jednak walenie ustało i rycerz nie zdołał określić jego źródła.

Przypomniał sobie, gdzie uprzednio słyszał podobny dźwięk. W twierdzy Vingaard.

Był to odgłos ciężkiego młota uderzającego w rozżarzony metal na kowadle.

Rozdział szesnasty

Kowadło. Huma zastanawiał się, co może to oznaczać. Spodziewał się w tym miejscu najróżniejszych rzeczy, ale nie czynnej kuźni. Skoro już o tym mowa, kto dzierżył w ręku ów młot? Duchy z zamierzchłych epok? Być może krasnoludowie nie opuścili jednak tego miejsca.

Jego oczy powędrowały z powrotem ku tronowi. Zauważył, że nie jest już sam. W pierwszej chwili pomyślał, że wrócił szary człowiek, gdyż szata i kaptur zakrywające całą postać miały podobną barwę. Przybysz był jednak znacznie szczuplejszy. - Zjawileś się.

Jej głos był cichy i płaszcz niemal go tłumił, nie było jednak wątpliwości, że to kobieta. Drobne, damskie dłonie wysunęły się z bufiastych rękawów szaty i sięgnęły do kaptura. Odsunęła go powoli, odsłaniając długie, gęste, faliste włosy oraz twarz, która przyprawiła rycerza o zachwyty i szok jednocześnie, albowiem znał ją i tęsknił za nią. - Gwyneth. Uśmiechnęła się. - Myślałam, że może o mnie zapomniałaś. - Nigdy.

Uśmiech stał się szerszy, po czym zniknął nagle. - Wiedziałam, że to będziesz ty. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam cię w... jak leżałaś, tocząc walkę z zabijającą umysł raną. Tak jest, twoje obrażenia były groźniejsze niż ci się zdawało. Żadne kości nie były złamane, ale twój umysł... Gdyby uzdrowiciele nie zajęli się tobą tak szybko, utraciłbyś na zawsze wszystkie zmysły.

- Paladine - wydyszał. Stać się głuchym, niemym i ślepy. A może nawet gorzej. - Gwyneth. Co to za miejsce?

- Można je nazwać darem miłości. Wybudowali je ci, którzy bardzo kochali Paladine'a i jego ród. Nie chcieli niczego w nagrodę. W swoim czasie było wspaniałe.

Huma pomyślał, że Gwyneth ma niepokojący zwyczaj mówienia tak, jakby naprawdę była świadkiem przeszłości.

- Czy tego właśnie szukał Magius?

- W pewnym sensie. Twój przyjaciel nadal jest dobrym człowiekiem, Humo, mimo jego obsesji, która może jeszcze go strawić. Bez względu na to, czy w to wierzy czy nie, przyszłość, którą widział, jest jedynie skomplikowanym zmyśleniem. Te próby są skonstruowane tak, by odsłonić największe słabości kandydatów. Obawiam się, że nie przeszedł przez swoją tak łatwo, jak na to liczyło konklawe. - W takim razie to wszystko nie ma nic wspólnego z tym, co mówił. Gwyneth wyglądała na zaskoczoną. - Och, ależ ma! Wizja tego miejsca jest znana człowiekowi już od stuleci, od czasów pierwszej wojny z Królową Smoków. Nie zmieniło się ono wiele. Konklawe znało osobowość swego ucznia, Magiusa. Największą słabością twego towarzysza z dzieciństwa jest fakt, że - podobnie jak elfowie - uważa się on za siłę zdolną zbawić świat. Jaka próba byłaby lepsza niż przegrana w tym największym ze wszystkich zadań?

Huma milczał, gdy jego umysł przetrawiał tę wiadomość. - A co ze mną? - zapytał wreszcie. - Magius wydawał się sądzić, że jestem ważny, gdyż mogę zmienić jego przyszłość.

- Jesteś ważny, ale nie z tego powodu. Tym, kogo szukano od tak dawna, jest mężczyzna lub kobieta, stanowiący wcielenie wszystkiego, czego próbował nauczyć ten świat Paladine. Niektórzy zbliżyli się do tego celu, lecz ostatecznie wszyscy przegrali - gdy otworzył szeroko oczy, skinęła ze smutkiem głową. - Nie jesteś pierwszym, który tu przybył, Humo. Modlę się - och, Paladine, jakże się modlę byś okazał się tym, którego szukano. Gdyby nie to, że sam Krynn mógłby ucierpieć, powiedziałabym ci, byś zawrócił stąd, dopóki nie jest za późno.

Rycerz zeszywniał. - Nawet na twoje polecenie nie zrobiłbym tego. Nie mógłbym. Nie mógłbym tego uczynić i pozostać tym, kim jestem. - Czy rycerstwo znaczy dla ciebie tak wiele?

- Nie rycerstwo. To, czego ono naucza. Nigdy dotąd nie myślał o tym w podobnych kategoriach. Gwyneth wyglądała na zadowoloną. - Gdybyż istnieli inni podobni do ciebie, nawet wśród rycerzy - powiedziała tylko. - Gwyneth, gdzie są Kaz i Magius?

Ktoś będzie nad nimi czuwał. Nie obawiaj się, Humo - przerwała. - Chyba czas już zaczynać.

Zaczynać? - Huma rozejrzał się wokół, spodziewając się, że komnata wypełni się kapłanami i magami gotowymi do jakiejś ceremonii. Gwyneth zeszła jednak tylko z tronu i ruszyła w stronę rycerza. Choć była ubrana prosto, a jej twarz nic nie wyrażała, wyglądała piękniej niż uznalby to dotąd za możliwe. Nimfa Buorona bladła w porównaniu z nią.

Zawahała się tylko moment pod jego spojrzeniem. Huma bezskutecznie próbował zrozumieć, co zdradzała ta chwila niepewności. Gdy Gwyneth znalazła się w odległości wyciągniętej ręki od niego, wskazała dłonią na mroczne korytarze. - Możesz wybrać, który tylko chcesz. - I co stanie się wtedy?

- Przejdiesz przez niego. To, co wydarzy się później, zależy od ciebie. Mogę ci tylko powiedzieć, że będziesz musiał stawić czoła trzem wyzwaniom. Powiadają, że każdy z członków Triumwiratu stworzył jakąś ich część, choć nie jest tak, by jedno wyzwanie reprezentowało jednego boga, podobnie jak człowiek stanowi sumę swych części, a nie zestaw oddzielnych cech, które funkcjonują niezależnie od siebie.

Huma przyglądał się każdemu z korytarzy przez długi czas. Jeśli miał tego dokonać, musiał zaufać Paladine'owi i mieć nadzieję, że dokona właściwego wyboru.

Postawił krok w kierunku korytarza, który wybrał, lecz Gwyneth chwyciła go za ramię. - Zaczekaj.

Pocałowała go lekko. - Niech Paladine czuwa nad tobą. Nie chcę, żebyś przegrał.

Nie potrafił na to nic odpowiedzieć. Odwrócił się szybko i ruszył w kierunku wybranego korytarza. Wiedział, że jeśli się odwróci, a ona nadal będzie na miejscu, może poczuć pokusę, by zostać. Wiedział też, że gdyby tak uczynił, nigdy by sobie nie wybaczył.

Korytarz, który wybrał, był naturalną jaskinią. Na niektórych odcinkach przejście zwięzło się, zmuszając go do schylania się lub przesuwania w bok. Było też straszliwie długie i pogrążone w niemal absolutnej ciemności.

Wkrótce korytarz zaczął się jarzyć własnym światłem pochodzącym z samych ścian. Huma zatrzymał się, by przyjrzeć się temu zjawisku. Słyszał opowieści o podobnej poświacie.

Blask ścian nasunął mu pewien pomysł. Odłupał kawałek skały rękojęścią miecza i schował świecący kamień do mieszka u pasa.

Ogłuszający, wstrząsający ziemią wrzask sprawił, że się przewrócił. Przysypały go odłamki skał.

Był to ten sam krzyk, który Huma słyszał w wąwozie. Znał teraz jego źródło. Leżało ono na wprost przed nim, w jedynym kierunku, w którym mógł iść, gdyż - podobnie jak było to na ścieżce - korytarz za jego plecami kończył się skalną ścianą.

Z mieczem i tarczą w dłoni, zaczął skradać się tunelem ku miejscu, z którego dobiegał dźwięk.

Wyszedł z korytarza i znalazł się w następnym. Dzielił się on na trzy rozgałęzienia. Stwór mógł czaić się w każdym z nich. Huma wyprostował się, zaniepokojony i poirytowany. Wrzask niósł się echem po systemie jaskiń. Stworzenie mogło być wszędzie. W jakiejś głębokiej komorze odległej o wiele godzin drogi bądź tuż za jego plecami.

Pomyślawszy o tym, przesunął stopy. Nie znalazł dla nich oparcia i runął na ziemię z brzękiem metalu.

Potrząsnął głową, by mu się w niej rozjaśniło, po czym popatrzył na płytką kałużę ciemnej cieczy, na której się pośliznął. Zanurzył w niej palec i przysunął sobie próbkę do twarzy, by lepiej się jej przyjrzeć. Jak na tak małą kałużę, smród był straszliwy. Nagle Huma z przerażeniem zauważył, że substancja przeżera się przez jego metalową rękawicę. Wylał ohydny płyn o skałę, która wydawała się znacznie bardziej odporna na jego działanie. - Heeeehh.

W pierwszej chwili brzmiało to jak śmiech, złowrogi śmiech. Huma dźwignął się na nogi, lecz nadal nie potrafił określić, z którego z trzech tuneli dobiega odgłos. Gdy zabrzmiał ponownie, rycerz zrozumiał, że to nie śmiech. Był to oddech.

W pobliżu czaiło się coś niewiarygodnie wielkiego - chyba że podziemne komory wzmacniały dźwięk.

Choć trzymanie się jednego miejsca mogło się okazać bezpieczniejsze, Huma nie miał ochoty tego robić. Wybrał środkowy korytarz i pomknął wzdłuż niego.

Wyglądał on dokładnie tak samo, jak poprzedni. Huma zastanawiał się, w jaki sposób niewątpliwie olbrzymie stworzenie mogło się precyzyjnie przemieszczać przez tak wąskie przejścia. Nawet jemu sprawiało to trudności.

Ten tunel zaprowadził go do następnego, który wyglądał dokładnie tak samo, jak dwa poprzednie. Jaskinie tworzyły labirynt. Huma był zarówno grającym, jak i wygraną w niebezpiecznej, podziemnej grze.

Idąc, zwracał uwagę na ciemną ciecz płynącą pod jego stopami, oraz gorąco bijące z niektórych korytarzy. Towarzyszyła mu woń siarki, która - jak sądził Huma - wskazywała na połączenie z ognistym sercem formacji. Słyszał o podobnych górach. Modlił się, by ta nie wybuchła, podczas gdy

będzie przebywał w jej wnętrzu. - Hhhhheeeehhhh. -

Przycisnął się do ściany przy narożniku. Bez względu na echo, wiedział, że dzieli go od tamtego tylko kilka minut drogi. Najwyraźniej wiedział on też o jego obecności, gdyż wydał z siebie obłąkany chichot. Z całą pewnością obłąkany. Gdy śmiech ucichł, stwór przemówił cichym, głębokim głosem.

— Człowieczku. Czuję twój zapach, człowieczku. Czuję ciepło twojego ciała, gorzki chłód twojej metalowej zbroi. Czuję twój strach.

Huma nie powiedział nic. Cofnął się bezgłośnie do korytarza, z którego przed chwilą wyszedł. Nie chciał stawić czoła czemuś tak wielkiemu, jak ten mieszkaniec tuneli, jeśli nie znajdzie miejsca, które da mu swobodę manewru.

- Chodź do Gadziego Praszczura, człowieczku. Pozwól, bym pokazał ci mą siłę.

Słuch Gadziego Praszczura był niewątpliwie znakomity, gdyż bestia syczała głośno za każdym razem, gdy Huma się poruszył. Rycerz słyszał skrobanie towarzyszące ruchowi wielkiego cielska ocierającego się o ściany tunelu.

Ruszył otwartym korytarzem w nadziei, że ominie potwora. Wydawało się, że jego syk dobiega z wszystkich stron. Korytarze ciągnęły się bez końca.

Syczenie umilkło nagle. Huma zamarł. Przez kilka minut trwała cisza. Słyszał tylko doprowadzające do szału walenie własnego serca. Później skrobanie rozległo się ponownie. Wydawało się, że Gadzi Praszczur oddala się od Humy.

Rycerz zdał sobie sprawę, że względna gładkość ścian tuneli jest wynikiem nieustannego ścierania przez ciało ścigającej go istoty.

Ostry, drapiący dźwięk ucichł. Huma pogрузił się w rozmyślaniach. Ruszył cicho dalej w głąb tunelu. Jeśli tylko zdoła znaleźć drogę wyjścia z tego labiryntu... Szalony śmiech... i korytarz eksplodował płomieniem!

Nie miał innego wyboru, jak ucieczka. Gadzi Praszczur wiedział, gdzie się ukrył. Huma zrezygnował ze skradania się i po prostu pobiegł w kierunku najbliższego tunelu.

Kolejny impuls ognia sprawił, że wypadł z niego pośpiesznie. Jak Gadzi Praszczur mógł poruszać się tak szybko? Czym właściwie był?

Nie potrafił policzyć, przez ile korytarzy przemknął, czy ile razy śmiech mieszkańca podziemi ostrzegł go na chwilę przed tym, nim palący płomień oblizał mu wąsy. Uciekający rozpaczliwie Huma z początku nie zauważył szerokiego

otworu po lewej stronie. Dopiero gdy go minął, zdał sobie sprawę, że natrafił na coś innego niż korytarz. Zatrzymał się natychmiast i zamarł.

Złowieszczy syk Gadziego Praszczura był obecnie daleko, choć Huma wiedział, że w każdej chwili może się to z łatwością zmienić. Przysunął się chyłkiem do bocznego korytarza i pochylił do przodu tak, by móc do niego zajrzeć.

Był bardzo krótki. Kończył się czymś, co wyglądało raczej na jaskinię. Huma wszedł do owego tunelu i ruszył powoli wzdłuż niego.

Grota sprawiała wrażenie wielkiej. Wydawało się, że powstała w ten sam sposób, co korytarze - stworzył ją jakiś olbrzymi kształt ocierający się nieustannie o skałę.

Gdzie jednak był sam olbrzym? Gdzie był Gadzi Praszczur? Huma rozejrzał się po jaskini. W jej ścianach na różnych poziomach widoczne były wejścia do korytarzy. Bystre oczy rycerza zbadały zarysy podłóża. Było ono wystarczająco gładkie, by po nim chodzić, choć w kilku miejscach stawało się strome, zwłaszcza tam, gdzie wznosiło się nagle... Huma przeklął w myślach swą sytuację. Cofnął się do korytarza.

To, co zobaczył - choć rozpaczliwie pragnął temu zaprzeczyć - było potężnym, węzowatym

kształtem, który wznosił się na środku groty niczym jakieś piekielne drzewo, zakręcał gwałtownie w bok i wnikał w jeden z dalszych tuneli. Ujrzał wreszcie fragment Gadziego Praszczura.

Złowrogi stwór wylazący z rozwartej rozpadliny na środku pulsował życiem. Widać było jedynie gadzi tułów o średnicy dwukrotnie większej niż wysokość Humy. Matowoszare cielsko pokrywały zielone i niebieskie plamy, całkiem jakby było zainfekowane.

Tułów zniknął nagle w rozpadlinie. Z innego korytarza wychynał ohydny łeb Gadziego Praszczura, przyprawiając Humę o zdumienie i szok. Gadzi Praszczur był smokiem.

W porównaniu z tym olbrzymem wszystkie smoki, jakie Huma kiedykolwiek widział, czy o jakich słyszał, wydawały się karzełkami. Paszcza potwora mogłaby z łatwością pochłonąć koński zaprzęg w dwóch kęsach, jednego człowieka zaś znacznie szybciej. Długie, szerokie zęby dorównywały niemal wysokością Humie. Muskularny, rozwidlony język, który co chwila wysuwał się z paszczy Gadziego Praszczura, z łatwością mógłby owinąć się wokół rycerza.

Wszędzie unosiła się woń siarki. Huma zdał sobie sprawę, że we wnętrzu góry nie płonie ogień. To smok był źródłem smrodu. Rycerz zamarł, gdy ociężały łeb potwora zwrócił się ku niemu. W tej głowie było coś dziwnego. Wydawała się zbyt wielka w stosunku do grubości szyi, która z kolei była zdecydowanie dłuższa niż u smoków, jakie Huma sobie przypominał.

Nagle rycerz go rozpoznał. Wciągnął powietrze z wrażenia. Gadzi Praszczur był smokiem, którego wyobrażała statuetka w cytadeli Magiusa. Musiała ona jednak być starożytna nawet według elfich standardów. Czy smoki mogły żyć tak długo?

Gadzi Praszczur syknął. Jego łeb był zwrócony w kierunku rycerza i smok nie mógł go nie zauważyć. Mimo to śmiercionośna bestia nie przestawała badać jaskini. Dopiero, gdy Huma spojrzał w jego oczy, zrozumiał powód. Pokrywała je biaława błona. Gadzi Praszczur był ślepy.

Stwór nie był jednak głuchy, a już z pewnością miał czuły zmysł węchu. Za pierwszym razem nie odkrył rycerza, lecz Huma wątpił, by poszczęściło mu się ponownie. Już teraz długi pysk zdawał się badać niektóre z okolic, które smok uprzednio pomiął. Jeśli Gadzi Praszczur nie wetknie ponownie łba w jeden z korytarzy, za chwilę znajdzie Humę.

Potwór przemówił, całkiem jakby pomyślał to samo. Jego słowa sprawiły, że olbrzymia komora zadrżała. - Spryciarz. Cieszę się. Minęło już tyle czasu, odkąd stałem przed choć najdrobniejszym wyzwaniem. Z tantymi poszło tak łatwo.

Głowa zwróciła się w stronę Humy. Olbrzymie nozdrza rozwarły się, gdy potężny smok węszył w poszukiwaniu zapachu rycerza.

- Wyczuwam w tobie smród Paladine'a. Habbakuka. Najbardziej przekłętą ze wszystkich bogów światła, tego, który mnie uwięził, nienawistnego Kiri-Jolitha!

Podczas tego wybuchu gniewu Huma nie poruszył się ani nawet nie odetchnął. Olbrzym opowiadał o spotkaniu z przynajmniej jednym z bogów odpowiedzialnych za stworzenie rycerstwa. Spotkaniu, na którym smok najwyraźniej nie wyszedł najlepiej.

- Czy przyszedłeś tutaj po moje skarby? To największy zbiór zgromadzony przez któregokolwiek ze smoków. Nawet uwięziony, mam sposoby, by go powiększyć. Ach! - Potężne szczęki wykrzywiły się w makabrycznym, gadzim uśmiechu. - Być może chodzi ci o zwierciadło! Tak jest, ono dorównuje wartością całej reszcie moich bogactw!

Przemawiając, Gadzi Praszczur cały czas węszył po olbrzymiej jaskini w poszukiwaniu Humy. Komorę wypełnił dźwięk metalu uderzającego o metal. Huma instynktownie zasłonił uszy, gdy hałas zaatakował jego umysł. To znowu było kowadło. Młot wałący w kowadło.

Jego dźwięk drażnił Humę, lecz Gadziego Praszczura doprowadzał do szału. Smok zwiększył panujący hałas, wydając z siebie wrzaski. Przekleństwa, płacz, groźby. Z jego paszczy płynęły słowa

wszelkiego rodzaju. Ze szczękiem skapywała mu piana.

- Moja Królowo! Dlaczego pozwalasz im mnie dręczyć! Czy nie dość się wycierpiałem przez te niezliczone tysiąclecia? Czy nadal muszę znosić nieustanne walenie tego przeklętego kowala! Czy mnie opuściłaś, wielka Takhisis?

Jeden z korytarzy po drugiej stronie groty lśnił jaśniej od pozostałych. Gadzi Praszczur wspominał o swym skarbcu i o tym, że nawet teraz potrafi wyszukiwać drogocenne przedmioty. Czy w podobnym zbiorze nie mogło się znajdować coś użytecznego? Na przykład broń groźniejsza od miecza Humy, który nagle zaczął w jego oczach wyglądać na drobiazg. Oczywiście było to desperackie posunięcie. Gdy bestia wznowiła krzyki, rycerz zaczął biec.

Stukot jego butów o skaliste podłoże przyciągnął uwagę Gadziego Praszczura, lecz walenie młota uniemożliwiało bestii lokalizację małej ludzkiej postaci. Rozgniewany smok zaryczał i zaczął wypuszczać z siebie w przypadkowych kierunkach impulsy palącego ognia.

Huma wpadł do korytarza. Potwór wspominał o jakimś bardzo ważnym zwierciadle. Rycerz pamiętał o tym, które należało do nimfy. Używała go do podglądania snów innych. Czy mogły być ze sobą powiązane? Tamto było jedynie sposobem na przechwytywanie snów. To mogło mieć inne właściwości.

Gadzi Praszczur nadal wykrzykiwał w szale protesty przeciwko waleniu młota. Huma zagłębił się w korytarz. Bał się, że popełnia błąd.

Mógł tu odnaleźć jedynie złoto i klejnoty, które w tej chwili były bezużyteczne. Mogło też nie być tu nic.

Przewrócił się. Jego oczy ujrzały przelotnie przerażający widok tego, o co się potknął. Uśmiechała się do niego sponiewierana czaszka, a kości oderwanej od korpusu ręki wskazywały na niego drwiąco. Większa część szkieletu okryta była zmiażdżonymi resztkami zbroi. Humie udało się przetoczyć, gdy padał, lecz uderzenie wstrząsnęło nim.

Podniósł się i popatrzył ze smutkiem na fragmenty szkieletu. Miał bardzo stary. Zbroja niemal całkowicie zamieniła się w rdzę. Niektóre znaki były jednak widoczne. Przejęty groza i zafascynowany Huma otarł pył z napierśnika i ujrzał insygnia Rycerza Róży. Na jego wargach instynktownie pojawiła się modlitwa. Oto był rycerz,

który dotarł tak daleko po to tylko, aby zginąć. Aby zginąć. Mogło to czekać i Humę.

Gdy tylko nawiedziła go ta myśl, zdał sobie sprawę z nowego niebezpieczeństwa. Walenie młota ucichło równie gwałtownie, jak się zaczęło. Huma postąpił kilka kroków naprzód, właściwie nie zdając sobie z tego sprawy, i omal nic wpadł na ogromny stos kosztowności.

Było tam mnóstwo monet, złotych i srebrnych, więcej niż Huma widział ich w życiu. Ich blask niemal wprawiał go w trans. Wśród nich wałały się różne unikatowe przedmioty. Wiele z nich było ozdobionych klejnotami, a wszystkie fascynujące. Naszyjniki z wielkich pereł bez skazy. Małe figurynki z jakiegoś minerału, być może szmaragdu lub nefrytu. Zbroje, które wyglądały na wykute dopiero wczoraj, niektóre z nich tak bogato zdobione, że z pewnością wykonano je dla potężnych cesarzy, którzy mogli sobie pozwolić na podobną precyzję i ekstrawaganckie dekoracje. Była tam nawet broń, choć z reguły do niczego nieprzydatna, gdyż zaprojektowano ją raczej z myślą o stylu i kosztach niż użyteczności.

Zbadał pośpiesznie komnatę. Serce mu waliło. Wszystko co leżało tu przed nim, z radością zamieniłby na tylko jeden oręż zdolny powalić olbrzymiego mieszkańca jaskiń. - Gdzie uciekłeś, człowieczku?

Huma zeszywniał. Gadzi Praszczur był bardzo blisko. W każdej sekundzie korytarz mógł wypełnić płomienie.

- Kowal opuścił cię, rycerzu solamnijski! Tak, teraz cię poznaję. Wyczuwam w tobie smród Trzech, silniejszy nawet niż przedtem. Jesteś rycerzem solamnijskim, prawdziwie wierzącym, w przeciwieństwie do tamtych. Sądzieli, że wierzą, ale jedynie udawali. Ty jednak jesteś inny. Ciekawe jak będziesz smakował?

Zardzewiałe topory bojowe. Ozdobione klejnotami miecze zdatne jedynie do użytku ceremonialnego. To nie mógł być olbrzymi skarbiec, o którym mówił smok, chyba że w swym szaleństwie Gadzi Praszczur wymyślił niezmierzone bogactwa. Zwierciadło też? - Teraz cię mam!

Huma usłyszał odgłos pełzania i drapania. To olbrzymi łeb wciskał się do korytarza. Rycerz odwrócił się błyskawicznie i zdał sobie sprawę, że stosunkowo niewielki skarb złożony ze złota i klejnotów stanowi jedynie fragment, który przelał się tu z sąsiedniej komnaty. Dotarł na najwyższą część wzgórzka kosztowności i zaczął kopać. Faktycznie po kilku

sekundach odnalazł wyjście. Było jak dotąd niewielkie. Zwiększało się powoli w miarę, jak kontynuował pracę. W każdej sekundzie spodziewał się poczuć na plecach palący żar oddechu Gadziego Praszczura. Robota była męcząca. Nieprzerwany klin kosztowności tworzył skuteczną blokadę. Rycerz przeklinał w milczeniu, gdy nowe monety i dziwne przedmioty napływały na miejsce tych, które odsunął na bok. Zacerpnął głęboko tchu. Kopanie nie wystarczało. Usunąwszy z przejścia bryłę szepionych ze sobą klejnotów, zaczął czołgać się naprzód niczym kret.

Pogrzyżył się już głęboko w stosie, gdy poczuł gorący, cuchnący oddech smoka. Gadzi Praszczur nie mógł tu użyć ognia, by nie zniszczyć swych kosztowności. Dlatego wykręcał głowę i szyję, by dostać się do wejścia do komory kryjącej w sobie skarb.

Olbrzymi łeb wychynał zza rogu akurat na czas, by potwór usłyszał, że rycerz zniknął w sąsiedniej komnacie. Gadzi Praszczur zatrzymał się. Po chwili wielkie, smocze wargi wykrzywiły się w złośliwym uśmiechu i ogromna bestia zaczęła wycofywać się z pomieszczenia.

Początkowo wszędzie panowała ciemność, co wydawało się dziwne po tak wielu korytarzach wypełnionych własnym światłem. Huma zastanowił się, dlaczego tutaj jest inaczej.

Nic nie widząc, poczołgał się niezgrabnie przez ogromny zestaw kosztowności. To z pewnością był główny skarbiec, jak jednak miał znaleźć cokolwiek po ciemku? Czy znajdowało się tu coś, co mógłby wykorzystać? Z jakiegoś powodu sądził, że na pewno tak jest. Jeśli była to próba, musiał istnieć jakiś sposób na pokonanie smoka.

Jego dłoń otarła się o coś, co wydawało się rękojeścią miecza. Pomieszczenie nagle wypełniła słaba, zielonkawa poświata. Zaskoczony rycerz cofnął błyskawicznie rękę. Miał nadzieję, modlił się. A teraz znalazł wreszcie to, o co mu chodziło. Tylko że... Tylko że z jakiegoś powodu obawiał się tego dotknąć. Całkiem jakby jakiś instynkt ostrzegł go, by tego nie robił.

Chwyć mnie. Podnieś mnie. Użyj mnie. Będę twoją wolą obróconą w czyn.

Słowa zabrzmiały wyraźnie w jego umyśle. Wyraźne, słodkie, kuszące słowa. Pochodziły od samego miecza.

Rozdział siedemnasty

Dłoń Humy zawahała się w odległości kilkunastu centymetrów od broni. Łuna utrzymywała się, lecz słowa już się nie powtórzyły.

Oreż robił wrażenie. Rękojeść była pięknie wysadzana klejnotami, z których jeden - wielki i zielony - wydawał się źródłem blasku. Trzymającą ją dłoń chronił kosz. Miecz był tak ostry, jakby wykonano go niedawno. Huma czuł niemal nieprzeparte pragnienie, by go dotknąć. Był pewien, że z taką bronią zwyciężyłby nawet Gadziego Praszczura.

Gadzi Praszczur! Czar prysł. Huma przypomniał sobie smoka. Z taką bronią... nie! Rycerz cofnął się od miecza. Nie potrafił określić, skąd to

wie, ale oręż był zły. Nie szukał w nim towarzysza, lecz niewolnika, który wykonywałby jego rozkazy.

Odwróciwszy się od broni, dostrzegł światło odbijające się w gładkiej powierzchni w jednym z rogów komnaty. Zaczął się gramolić po klejnotach i monetach, by lepiej się przyjrzeć owemu przedmiotowi.

Spełniły się jego nadzieje. Było to ozdobne zwierciadło dwukrotnie wyższe od niego. To, o którym mówił Gadzi Praszczur. Huma przypomniał sobie niewidzące oczy mieszkańca jaskiń. Zastanowił się, w jaki sposób ślepy smok korzysta ze zwierciadła. Było oczywiste, że gromadził on swój skarbiec przez stulecia.

Zwierciadła. To było trzecie. Jedno należało do nimfy. Drugie wisiało w cytadeli Magiusa. Wszystkie były magiczne. Czy wykonała je ta sama osoba? Wątpił, by kiedykolwiek się tego dowiedział. - Człowieczku. Chcę z tobą porozmawiać.

Huma poderwał się, gdy głos Gadziego Praszczura wypełnił pomieszczenie. Komorę nagle zalało jasne światło. Huma przeklął sam siebie za to, że nie zrozumiał, iż popełnia błąd. Do tego pomieszczenia nie było innych wejść, ponieważ wejście stanowił sufit! Prastary smok odciągał właśnie potężną kamienną płytę, która służyła jako wieko dla jego skarbonki wielkości domu. Rycerz przyjrzał się niezliczonym stertom łupów w poszukiwaniu czegoś użytecznego, przekonał się jednak, że jego wzrok zawsze wraca do złowieszczonego szmaragdowego miecza.

- Człowieczku. - Gadzi Praszczur pociągnął nosem. Jego straszliwe oblicze rozjaśnił szeroki uśmiech. - Zapach skarbów jest oszałamiający, prawda?

Huma był pewien, że zdoła pokonać odległość dzielącą go od miecza w ciągu dziesięciu sekund. Czy będzie miał tyle czasu?

- Nic ma sensu się ukrywać, człowieczku. Potrafię cię wywęszyć. Mogę spustoszyć całą tę komorę. Nie muszę cię jednak zabić. Może się znaleźć inne rozwiązanie.

Huma przesunął się chyłkiem w stronę miecza. Potężny łeb Gadziego Praszczura obrócił się na ten dźwięk.

- Dobijemy targu, rycerzu solamijski? Wykonasz dla mnie pewne zadanie w zamian za coś z mojego skarbcza? Z pewnością zebrałem tu kilka rzeczy, które twoi bracia stracili w ciągu lat.

Huma przypomniał sobie starożytne szczątki noszące poobijany herb Rycerza Róży. Czy Gadzi Praszczur przedstawił owemu człowiekowi tę samą propozycję? Czy wybierał on właśnie swoją nagrodę w chwili, gdy

zaskoczył go smok?

Luźne monety obsunęły się pod stopą Humy. Smoczy łeb zagroził mu nagle drogę. Rycerz przygotował swój miecz, spoglądając z zalem na ten drugi, który leżał tuż obok niego. Tak blisko!

Gadzi Praszczur pociągnął nosem. - Rycerz solamijski, w rzeczy samej! Zabawa w chowanego dobiegła końca, człowieczku! Czy przyjmujesz moją propozycję... - Potężne szczęki ponownie skrzywiły się w uśmiechu. - ...czy też poszukamy innego sposobu załatwienia tej sprawy? - Czego chcesz?

Olbrzym nastawił uszu. - Achchch! Umie mówić! Według mojej oceny upłynęło prawie trzysta lat, odkąd intruz odważył się przemówić bezpośrednio do mnie z powodów innych niż błaganie! Nawet taki głos, jak twój, sprawia mi przyjemność po tym, przez co przeszedłem!

- Cieszę się - odparł Huma. Nic przychodziło mu do głowy nic innego, co mógłby powiedzieć.

Chichot, który zabrzmiał, zmusił go do zakrycia uszu. - Odważny człowieczek! Podobasz mi się. Co powiesz na moją propozycję? - Jestem gotów jej wysłuchać.

- Naprawdę odważny! Wysłuchaj mnie więc, człowieczku! - Olbrzymia bestia wzniosła wysoko

leb. - Jam jest Gadzi Praszczur, pierwszy i największy z dzieci mej straszliwej pani, pierwszy, który wzbili się na jej zew! Bronilem jej sprawy przed ohydnyimi bogami światła i ich unizonymi slugusami. Za kazdym razem odnosilem triumf! Tak wielka i straszna byla moja moc, ze na koniec sam Kiri-Jolith byl zmuszony stoczyc ze mna boj i powiadam ci, ze przystapil do niego z lekciem! Walczyliśmy przez przeszło rok.

Góry rodziły się, padały i rodziły się ponownie. Ziemia trzęsła się od naszej walki, a morza wzbierały wysoko. Wreszcie popełniłem błąd i Kiri-Jolith pokonał mnie. Zwycięstwo mu jednak nie wystarczyło! Ze zniszczonej ziemi zbudował tę górę, otoczył mnie nią i odgrodził od dającego radość nieba! Zapowiedział, że pozostanę jej częścią. Nie dosięgnie mnie nawet najslabszy wietrzyk. Drwil ze mnie, mówiac, ze tylko jeden z jego braci mogłby mnie uwolnić! Tylko ktoś taki jak on potrafiłby zwrócić mi wolność!

Ślepe oczy spojrzaly znacząco na Humę, który zaczynał rozumieć, do czego zmierza smok.

Przez długi czas sądziłem, że miał na myśli jednego z bogów i ryczałem z wściekłości. Potem zrozumiałem oszustwo zawarte w jego słowach. Nie

chodziło mu o boga. Wojownik zmierzający bez wahań prostą ścieżką mógłby zrobić to, co dla mnie było niemożliwe. A czyż rycerze solamnijscy nie są synami Paladine'a? Czyż nie czyni ich to duchowymi braćmi Kiri-Jolitha?

Huma wpatrywał się w lśniący miecz zagrzebany głęboko w kopcu klejnotów i monet. Odczuwał tęsknotę tak silną, że omal nie pobiegł wprost do niego. Nagle jednak straszliwe oblicze Gadziego Praszczura ponownie znalazło się przed nim. Gorący, cuchnący siarką oddech sprawiał, że szczypały go oczy.

Uwolnij mnie, rycerzu solamnijski, a co tylko sobie wybierzesz, będzie twoje! Nawet zwierciadło, które służyło mi tak dobrze, zanim nadeszła ciemność!

Zwierciadło. Huma spojrzal na nie. Gdyby mógł poznać jego sekrety... Zdumiała go własna brawura. - Jak ono działa? Mógłbym się nad tym zastanowić.

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

- Musisz pomyśleć o miejscu, do którego pragniesz się udać... Nie! Najpierw mnie uwolnij! Góra zadrżała, gdy Gadziego Praszczura ponownie ogarnął szal. Młot znowu zaczął uderzać - o ile to tylko możliwe, głośniej.

Gadzi Praszczur podniósł swój masywny łeb. - Nie pozwolę się znowu oszukać! - wrzasnął.

Huma pobiegł po miecz. Oszalały smok runął naprzód w gniewie. Potężne szczęki rozchyliły się szeroko. Długi, zwisający, rozwidlony język wypadł na zewnątrz. Gadzi Praszczur zamierzał zrobić sobie przekąskę z małego człowieka.

Dłoń Humy zacisnęła się na rękojeści miecza. Palila go ona, nawet przez rękawicę. Mimo bólu wyciągnął oręż ze stosu i wznosił go wysoko. Kierowały nim odruchy i nabyte umiejętności.

Szczęki Gadziego Praszczura zamknęły się na Humie, połykając jednocześnie niezliczone skarby. Rycerz zniknął na chwilę w paszczy tytana.

Z krzykiem bólu, od którego zatrzęsły się skały, prastary olbrzym zaczął się wić. Z jego paszczy wypadło złoto, srebro, rzeźby, klejnoty oraz potężnie poobijany Huma. Rycerz upadł na jeden ze stosów znajdujących się poniżej. Jego prawe ramię przeszły fale bólu.

Nad nim, Gadzi Praszczur potrząsał łbem w przód i w tył, usiłując usunąć miecz, który sam wbił sobie w głowę. Były to bezcelowe wysiłki. Jego ciało już teraz reagowało czysto odruchowo. Mózg smoka był martwy. Zielony miecz przebił się przez wszystkie chroniące go bariery.

Ruchy bestii sprawiały tylko, że pograżał się jeszcze głębiej.

Huma dźwignął się na nogi, gdy masywna głowa zaczęła opuszczać się wreszcie w dół. Nawet martwy, Gadzi Praszczur mógł stać się przyczyną śmierci Humy. Rycerz umknął pośpiesznie.

Potężna czaszka uderzyła w ziemię niebezpiecznie blisko Humy. Rycerz - wraz z ilością kosztowności wystarczającą, by wypełnić królewski skarbiec - wzbił się w powietrze i pomknął przed siebie. W ostatniej chwili pomyślał o Solamni. Jego ciało uderzyło w zwierciadło... ..i wylądowało w błocie i mule na zmoczoną deszczem pustkowiu.

Jego pierwsze, rozpaczliwe myśli dotyczyły miecza. Pozostał wbity w paszczę umierającego smoka. Huma musiał go odzyskać.

Ale jak? Przyjrzał się otoczeniu. Zachwiał się na nogach pod wpływem szoku. To była Solamnia! Bardzo blisko twierdzy Vingaard. Usiadł i skrył twarz w dłoniach. Odkrył tajemnicę zwierciadła. Przeniosło go ono daleko od gór i jego towarzyszy!

Prawa rękę miał odrętwiałą. Nie mógł niemal nią ruszać, lecz nie wyczuwał żadnych złamań. Przejściowy paraliż ustąpił po kilku godzinach. Był pokryty błotem, podobnie jak jego zbroja. Dotknął szybko pasa, po czym wydał ciche westchnienie ulgi. Nadal miał miecz, choć wydawał się on drobiazgiem w porównaniu z potężnym impulsem mocy, który poczuł, dzierżąc zielony oręż. Gdyby tylko... Przyszła mu do głowy pewna myśl.

Trudno było określić kierunek, lecz kilka nadal możliwych do rozpoznania punktów orientacyjnych mówiło mu, że z pewnością znajduje się na południe od twierdzy Vingaard. Wiedział, że gdyby dzień był słoneczny, mógłby dostrzec potężną cytadelę. Bezskutecznie próbując otrzeć błoto z twarzy, Huma ruszył na północ.

Domostwa, które mijał, byłyby marnym schronieniem nawet dla dzikiego zwierzęcia, a co dopiero dla człowieka. Zbutwiałe drewniane konstrukcje waliły się. Kryte strzechą dachy zaledwie zasługiwały na tę nazwę. Było w nich zbyt wiele dziur, a za mało łączącego je w całość materiału. Gлина używana do spajania kamieni stała się tak wilgotna, że w wielu miejscach ściany zawaliły się

całkowicie.

Udręczony wyraz twarzy wychudzonych mieszkańców, którzy pozostali jeszcze w tej nędznej imitacji wioski sprawił, że przebiegły go ciarki. Co robi w tej sprawie twierdza? - zastanowił się. Ci ludzie ledwie trzymali się przy życiu. Ich chaty były zaledwie szałasami. Niektórzy nie mieli nawet tyle. Siedzieli tylko w błocie lub na ogołoczonej ziemi, gapiąc się na otaczające ich spustoszenia.

Wiedział, że rycerstwo nie mogło zaopiekować się wszystkimi, niemniej jednak cierpiał z tego powodu katusze. Modlił się, by znaleźć jakiś środek transportu i wrócić pod górę, o ile mu na to pozwolą, a potem ponownie stawić czoła wyzwaniom. Niepokoił się też o swych towarzyszy. Czy go szukali?

Patrząc na zniszczoną okolicę, Huma pomyślał, że rycerstwo mogłoby pomóc ludziom odbudować wioski, patrolować lasy, a może nawet zebrać plony. Nie uczyniło jednak nic.

Zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się nad swymi niemal bluźnierczymi pomysłami. Co by powiedział Rennard, gdyby cos takiego usłyszał? Huma uśmiechnął się lekko. Zapewne bardzo niewiele - uznał.

Kilku wieśniaków wyszło z chat, by gapić się na niego z najróżniejszymi wyrazami: strachu, szacunku, gniewu bądź niesmaku. Pięciu mężczyzn zagroziło mu drogę. Zamrugnął powiekami i czekał. Nie ustąpili.

Ten, który wyglądał na przywódcę, był wysokim, szerokim w barach mężczyzną o odrażającej, czarnej brodzie, niewielkiej łysinie oraz spłaszczonym nosie. Ważył ponad sto kilogramów, na które ongiś składały się same mięśnie. Miał na sobie pokryte plamami błota spodnie oraz wielokrotnie łątaną bluzę - typowy strój wieśniaka. Ubranie to było stanowczo zbyt cienkie na tak zimną pogodę. W muskularnych dłoniach mężczyzna dzierżył kowalski młot.

- Odłóż miecz, kurduplu, a nie zrobimy ci krzywdy. Potrzebne nam twoje rzeczy, a nie ty.

Chudy chłopak o ziemistej twarzy stojący przy wielkoludzie zachichotał nerwowo. Był prawie łysy i miał wszystkie cechy człowieka, który przeżył mór, łącznie ze śladem szaleństwa. Pozostałą trójkę stanowiły nie wyróżniające się niczym szczególnym ludzkie strzępki. Ich twarze i ciała uschły już dawno. Nikt z piątki nie był prawdziwym bandytą.

Huma pomodlił się bezgłośnie, by nie był zmuszony podnosić przeciw nim ręki. - Czy jesteś głuchy?

- Nie mogę wam oddać moich kosztowności ani jedzenia, jeśli tego właśnie pragniecie. Posiadam bardzo niewiele.

- Nie masz wyboru. - Potężny mężczyzna na próbę zamachnął się z wielką precyzją młotem w stronę Humy. - Chyba nie pojąłeś, o co chodzi. Bierzemy sobie to, co zechcemy.

Młot znieruchomiał w pozycji gotowej do ciosu. Huma wydobył miecz, lecz nie chciał go używać, nawet przeciw nim. Odebrano mu jednak

możliwość wyboru, gdyż młot herszta bandytów przemknął obok jego twarzy, nieznacznie chybiając celu.

Pięć postaci runęło na jednego rycerza. Albo spróbowało to zrobić. Nagle prawa stopa Humy trafiła jednego z napastników w żołądek. Jego swobodna dłoń ogłuszyła chichoczącego chłopaka, który próbował przemknąć pod jego gardą, używając zardzewiałego, starego, krótkiego miecza. Huma powalił go na ziemię płazem własnej broni. Młodzieniec padł nieprzytomny. Rycerz z łatwością rozbroił staruszka o załzawionych oczach. Ten, pozbawiony oręża, salwował się ucieczką, co pozwoliło Humie zająć się dwoma, którzy jeszcze stali. Jednym z nich był prowodyr.

Rozpacz ogarnęła rycerza, gdy zdał sobie sprawę, że pozostali napastnicy się nie poddadzą. Ten, który miał miecz, walczył z desperacją, która dodawała niebezpiecznej siły jego niezbyt imponującej

postaci. Herszt bandytów uśmiechał się złowieszczo, atakując raz za razem.

Z wielkim smutkiem Huma podjął decyzję. Na oczach zdumionych wieśniaków, Rycerz Korony przebił się przez gardę wymachującego mieczem przeciwnika i ciał go głęboko w pierś. Tamten wybulgotał coś i osunął się na ziemię. W tej samej chwili Huma zmuszał już prowodyra do odwrotu jednym kąśliwym uderzeniem za drugim. Krzepki opryszek zaczął wymachiwać szaleńczo młotem. Huma czekał na okazję. Gdy nadeszła - jak to przewidywał - pojedynczy cios położył kres ostatniemu z bandy desperatów.

Zdyszany ciężko Huma spojrzał na widzów. Nie okazywali żadnych uczuć. Nie potrafił odgadnąć, czy są zadowoleni czy rozgniewani.

Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu trzech ocalałych napastników. Dwaj byli nieprzytomni, trzeci zaś uciekł. Nie przysporzą mu już kłopotów.

Wytarł z niesmakiem miecz, schował go do pochwy i ponownie ruszył na północ. Nie zdążył nawet opuścić wioski, nim wybuchły spory. Ludzkie sępy walczyły ze sobą o nędzny dobytek martwych złodziei.

Gdy po raz pierwszy stanął pod twierdzą Vingaard, która była domem rycerstwa od czasu, gdy Vinas Solamnus nakazał ją wznieść tak wiele stuleci temu, Huma czuł się niczym pyłek w obliczu pałacu bogów. Owo wrażenie zelżało od tego czasu tylko nieznacznie.

Mury twierdzy, Vingaard wznosiły się na niebotyczną wysokość. Jedyne nieliczni wrogowie próbowali się na nie wdrzeć. Otaczały cytadelę ze wszystkich stron. W regularnych odstępach znajdowały się w nich otwory strzelnicze dla łuczników. Jediną przerwą w murach było miejsce, gdzie na straży stała masywna, żelazna brama. Dorównywała ona

grubością długości ramienia Humy i mogła wytrzymać pełen impet smoczej szarży. Oba jej skrzydła udekorowane były trzyczęściowym symbolem rycerstwa: majestatyczny zimorodek z na wpół rozpostartymi skrzydłami, trzymający w ostrych pazurach miecz, na środku którego spoczywała róża. Nad głową ptaka widniała korona.

Huma długo czekał w deszczu, nim jego ochryple krzyki przywołały wartownika, który obrzucił spojrzeniem przemoczoną postać odzianą w połączone ze sobą fragmenty solamnijskiej i ergothiańskiej zbroi. - Kto idzie? - zawołał. - Podaj swe imię i cel wizyty!

Huma zdjął hełm. - Jestem Huma, rycerz Zakonu Korony. Wracam z dalekich krajów. Muszę porozmawiać z lordem Oswalem albo nawet samym wielkim mistrzem! To pilne!

- Z wielkim mistrzem? - Huma nie widział twarzy mężczyzny, lecz zaskoczenie w jego głosie było wyraźne. - Zaczekaj! Rycerz zastanowił się nad tą dziwną reakcją. Wreszcie brama zaczęła uchylać się powoli.

Stał przy niej ten sam wartownik, który zadawał mu pytania. Na jego znak, Huma podążył za nim w głąb twierdzy. Ludzie, którzy otwierali wrota, mieli miny takie same, jak jego przewodnik. Tajemnica stawała się coraz głębsza.

Wartownik, młody Rycerz Korony, zaprowadził Humę w ciemny kąt, gdzie mogli się schronić przed mżawką, która właśnie się rozpadała. - Wiem, kim jesteś, gdyż mistrz Rennard mówił o tobie bardzo pochlebnie podczas szkolenia. Dlatego wykorzystałem tę okazję, żeby cię ostrzec, zanim popelnisz gafę. - Ostrzec? Przed czym?

- Dziś rano... - Drugi rycerz rozejrzał się wokół. - ...wielki mistrz Trake zmarł na jakąś ohydną, wyniszczającą chorobę.

Huma omal nie krzyknął: - Nie! - Wielki mistrz nie żył! Trake nigdy nie przepadał za nim - a właściwie gardził nim, tak samo, jak jego syn, Bennett - lecz Huma nie mógł nie odczuć żałoby na wieść o śmierci głowy rycerstwa. Wszyscy rycerze ją poczują.

Nie wiedziałem. Ludzie w wiosce sprawiali wrażenie zaniepokojonych, ale nie...

Oni o niczym nie wiedzą! - syknął rycerz. - Lord Oswal zarządził, żeby ani słowo na ten temat nie wydostało się z twierdzy, dopóki nie wybierzemy nowego wielkiego mistrza! Jeśli rozejdzie się wiadomość, że zapanował wśród nas podobny chaos, ostatnie linie naszej obrony załamają się!

Ostatnie linie? - Opowiedz mi... - Nazywam się Garvin.

- Opowiedz mi, Garwinie, co wydarzyło się, gdy ciemność przełamała nasze szyki? Jak wygląda teraz sytuacja? Huma chwycił drugiego rycerza za ramiona.

- Czy nie przedzierałeś się przez front? - Garvin popatrzył na Humę z zainteresowaniem. - Znajduje się w odległości nie więcej niż dwóch dni jazdy zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie. Na południu Czarna Gwardia naczelnego wodza porusza się bez przeszkód. Większość naszych placówek jest odcięta. Sami jesteśmy odcięci. - Czyż więc nie ma nadziei? Garvin zeszywniał. - Jesteśmy rycerzami solamijskimi, Humo.

Huma skinął głową, wiedząc, że bez względu na wszystko będą walczyć do końca. Jego umysł wrócił do jaskini wyzwania, a przede wszystkim miecza. Tęsknił za nim. Dzierżąc go w dłoni, mógłby się przerząbać przez złe siły Królowej. Solamnia odniosłaby zwycięstwo. Mógłby nawet zdobyć dla siebie maleńkie królestwo...

Potrząsnął gwałtownie głową. Garvin zmarszczył z zakłopotaniem brwi. Huma wygnał bezbożne myśli ze swego umysłu. Miecza nie pozostawił rycerstwu w spadku Paladine. Bez względu na cały jego majestat i moc, coś w nim przyprawiało Humę o mdłości, choć pragnął tej broni. Nie miało to już jednak znaczenia. Stracił wszystko, gdy przeniknął przez zwierciadło. Sytuacja była beznadziejna.

Nieprawda! Wyprostował się i uśmiechnął do Garvina, by przeprosić go za swe dziwne zachowanie. Był jeszcze czas, jeśli tylko zdoła sprawić, by ktoś go wysłuchał. - Garwinie, gdzie mogę znaleźć lorda Oswala?

- Teraz? - Drugi rycerz wyjrzał z ich schronienia i popatrzył na pociemniałe niebo. - Wiem, że jest już po kolacji. Będzie w swych apartamentach. Przygotowuje się do rycerskiej rady, która odbędzie się jutrzejszej nocy.

- Będą czekać aż do jutrzejszej nocy, nim wybiorą nowego wielkiego mistrza? Słudzy Królowej mogą już dziś znaleźć się u naszych bram! A przynajmniej smoki! Garvin skinął głową. - Tak mówi lord Oswal, ale rada wie swoje.

- W takim razie muszę porozmawiać z nim natychmiast. Huma popędził w deszcz. Lord Oswal uznał, że od rozpoczęcia wojny nigdy nie padało tak, jak

teraz. W przeszłości zawsze kończyło się na mżawce. Teraz zanosило się na to, że deszcz zmyje wszystko.

Najwyższy wojownik wyrwał się ze swych rozmyślań. Uznał, że na pewno pogrąży się już w starym otępieniu, skoro myśli o deszczu w chwili, gdy los rycerstwa i świata może zależeć od zmuszenia tępaków z rady, by szybciej podjęli decyzje, kto zostanie wielkim mistrzem. Zniszczył własne szanse, gdy przyznał, że w chwili klęski zabrakło mu zdecydowania. Było to tylko chwilowe wahanie, szok wywołany nieoczekiwanym obrotem wydarzeń i świadomością faktu, że nie zdołają odeprzeć ataku. Straty były poważne.

Bratanek Oswala, Bennett, knuł intrygi, wykorzystując swe stronnictwo. Nigdy nie przekraczał granic przysięgi i reguły, był jednak ambitny i będzie próbował manipulować decyzją. Zgodnie z logiką kandydatami na następcę zmarłego wielkiego mistrza byli przywódcy trzech zakonów. Bennett jednak sądził, że to on powinien objąć stanowisko ojca. Trake zawsze tego pragnął. Teraz na drodze stał mu tylko Oswal. - Lordzie Oswalu?

Podniósł wzrok i ujrzał Rennarda, który wpatrywał się w niego bacznie. Bładolicy rycerz stał

obok drugiego z dwóch krzeseł w komnacie Oswala.

Rennard. Mimo jego zimnego zachowania, najwyższy wojownik miał dla tego rycerza niemal tyle szacunku, ile dla Humy. Ale Huma zaginął podczas klęski. Najwyraźniej walczył dzielnie do samego końca. - O co chodzi, Rennardzie?

- Nadal nie sformułowałeś swych planów. Sądzę, że mogłyby być mądre...

Na zewnątrz doszło do jakiegoś poruszenia. Dwaj wartownicy strzegący drzwi do komnaty spierali się z kimś. Przybysz był nieustępliwy. W jego głosie było coś znajomego. - Rennardzie, co...

Bładolicy mężczyzna otworzył drzwi i - najwyższy wojownik nie mógł niemal w to uwierzyć - rozdziawił szeroko usta na widok przemoczonego rycerza szarpiącego się z dwoma strażnikami. Lord Oswal potrzebował tylko kilku sekund, by rozpoznać przybysza. Następnie on również szeroko otworzył oczy z zaskoczenia i zachwytu. - Huma!

Wartownicy natychmiast zaprzestali walki, gdy usłyszeli ton swego zwierzchnika. Rennard również przyszedł do siebie. - Wpuście go - polecił z typową dla siebie prostotą.

Uwolniony przez strażników Huma wpadł do komnaty. - Lordzie Oswalu, Rennardzie...

- Baczość, Humo - wtrącił wychudły rycerz. Huma zeszywniał natychmiast. Rennard zwrócił się w stronę najwyższego wojownika, który skinął głową. - Wróćcie na posterunek. To rozkaz najwyższego wojownika - polecił wartownikom.

Gdy drzwi zamknięto, lord Oswal wpatrzył się w dygoczącego rycerza. Huma miał coś do powiedzenia i wydawało się, że chce to przekazać, zanim wiadomość rozsądzi mu głowę.

- Spocznij, Humo. Chodź tu i usiądź. Opowiedz nam o cudzie, który pozwolił ci wrócić zza grobu.

Huma uklęknął przed starszym rycerzem. Wreszcie znalazł ulgę. Opowieść wypłynęła z niego strumieniem.

Lord Oswal i Rennard słuchali z uwagą kolejnych części relacji. Poszukiwania Magiusa - pościg Czarnej Gwardii - wiecznie obecne straszywilki - góry, jaskinia, smok, miecz... gdyby mówiącym nie był Huma, żaden z nich nie uwierzyłby w ani jedno słowo. Jemu wierzyli bez zastrzeżeń.

Lorda Oswala najbardziej zainteresował donośny brzęk metalu uderzającego o metal, tak bardzo przypominający odgłosy kuźni znajdującej się w twierdzy. Zapytał Humę o jego zdanie na temat tego dźwięku.

To pracownia bogów. Nie sposób tego opisać inaczej. O ile to nie sam Reorx kształtuje gdzieś metal we wnętrzu tej góry... Nie mogę dodać nic więcej poza tym, iż odnoszę wrażenie, że muszę tam wrócić. Jeśli Paladine pozwoli - dodał Huma.

Cóż. To było wszystko, co w pierwszej chwili potrafił powiedzieć najwyższy wojownik. Rennard skinął tylko głową.

Lord Oswal zastanawiał się przez chwilę. - Ten miecz wydaje się fascynujący. Czy można by...

- Obawiam się, że jest dla nas stracony - przerwał mu natychmiast Huma. Gadzi Praszczur stał się jego grobem.

Ton głosu rycerza był ostrożny. Chciał on, by zapomnieli o mieczu, nie tylko dlatego, że się go obawiał, lecz również z powodu odczuwanej przez siebie pokusy, by wziąć go w rękę i zdobyć dla siebie.

Najwyższy wojownik przyjął jego słowa za dobrą monetę. Zaufam twemu zdaniu. - Przeniósł wzrok z Humy na Rennarda, a potem z powrotem na młodszego rycerza.

Sądzę, że nie możemy z tym zwlekać zbyt długo. Wszystkim nam zaczyna brakować czasu.

Huma przemówił pośpiesznie, panując nad swym nerwowym entuzjazmem. - Potrzebny mi tylko środek transportu. Koń... czy są tu smoki? Może jeden z nich?

Najwyższy wojownik zmarszczył brwi. - Nie mogę ci w niczym pomóc, Humo. Nie w tej chwili. Jeśli wyślę cię z jakąś szaloną misją, trudno mi będzie przeszkodzić temu, by rycerstwo przejęli ludzie bardziej zainteresowani władzą i uznaniem niż przysięgą i regułą. Będziesz musiał poczekać na wybór nowego wielkiego mistrza. Huma wyglądał na zakłopotanego. - Ale z pewnością ty... - Uznano, że nie jestem najlepszym kandydatem. Może to być ktoś inny.

- Ale... - Huma nie mógł uwierzyć, że jego misja miała zostać odroczone - a może nawet odwołana - z tak mało istotnego powodu.

- Sądzę, że jestem w stanie wygrać tę rywalizację, Humo. Przykro mi, ale będziesz musiał poczekać. Rennardzie, to jeden z twoich ludzi. Dopilnuj, by mógł się umyć, najeść i wyspać. Chcę jutro zobaczyć na jego barkach jaśniej myślącą głowę. - Tak jest, wielmożny panie.

Rennard objął ramiona Humy przyjacielskim, lecz stanowczym gestem. Młodszy rycerz wstał z niechęcią.

Rozstali się w milczeniu. Przygnębienie Humy pogłębiło się jeszcze. Zagrożona była nie tylko jego misja, lecz również los człowieka, który był dla niego jedynym ojcem, jakiego w życiu znał. Nikt poza lordem Oswalem nie mógł teraz poprowadzić rycerzy. Bennettowi, bez względu na całą jego dzielność, brak było doświadczenia. Nawet Huma o tym wiedział. Solamnijscy rycerze potrzebowali silnego przywództwa, które -jak sądził Huma mógł zapewnić jedynie lord Oswal. Bez niego rycerstwo podzieli się na odłamy.

Zdał sobie nagle sprawę, że jeśli najwyższy wojownik nie obejmie dowództwa, on sam może nigdy nie wrócić pod górę.

Rozdział osiemnasty

Deszcz nie przestał padać przez całą noc. Choć Huma był kompletnie wyczerpany, nie mógł zasnąć. Podobnie jak lord Oswal, dopatrywał się jakiegoś znaczenia w tej nagłej zmianie ciągłego zachmurzenia w nieustanną ulewę, która w miarę upływu czasu tak bardzo drażniła nerwy.

Usłyszał przebiegające obok kłusem konie. Zawsze coś się działo, nawet w samym środku nocy. Niektórzy ludzie spali, a inni pracowali. Wróg nigdy nie weźmie twierdzy Vingaard z zaskoczenia.

Uznał, że to powracający patrol. Dźwięki ucichły, oddalając się w kierunku stajni. Zastanowił się, czy przynieśli jakieś wieści. Czy linie obrony cofnęły się jeszcze bardziej? Czy rycerze będą niedługo w stanie ujrzeć front z samej twierdzy? Ile czasu upłynie, nim kleszcze wreszcie zacisną się na kolebce rycerstwa?

Huma podniósł się powoli, nie chcąc budzić innych, którzy odpoczywali razem z nim we wspólnej kwaterze Rycerzy Korony. Wnętrze budynku było praktycznie jednym wielkim pomieszczeniem wypełnionym szeregami twardych, płaskich łóżek. Każdemu z mieszkańców przydzielano też fragment sali, by miał gdzie przechowywać swe rzeczy. Jako że rycerze spali na zmiany, nigdy nie była ona pełna. Ponadto wielu z nich, z takiego czy innego powodu, przebywało poza twierdzą. Jedynie wyżsi rangą członkowie rycerstwa mieli własne pokoje.

Huma uznał, że dobrze mu zrobi świeże powietrze. Ominął ostrożnie swych towarzyszy i dotarł wreszcie do drzwi.

Powietrze było chłodne. Dał wiatr nieco bardziej rześki niż się tego spodziewał. Odetchnął głęboko, ciesząc się, że ma krótką chwilę, by odpocząć od dezorientacji i wszelkich smutków. Modlił się, by jutro wszystko poszło dobrze.

Zamrugał powiekami. Oczy zaczynały płatać mu figle. Przez krótką chwilę był przekonany, że w pobliżu pokojów lorda Oswala, tuż za plecami Obu wartowników, przemknęła jakaś ciemna postać. Zastanowił się, czy kogoś nie zaalarmować, lecz żaden ze strażników nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego, a gdy Huma ponownie spojrział w tamtą stronę, nie dostrzegł ani śladu intruza. Nie

niał ochoty się ośmieszać. Nie w tej chwili. Wpatrzył się w noc. Po kilku minutach wrócił do łóżka. Tym razem sen nadszedł prędej.

Następny dzień minął o wiele za szybko. Huma miał zamiar unikać pozostałych rycerzy, przynajmniej do chwili, gdy zostanie rozwiązana kwestia dowództwa. Przeszedł przez zbyt wiele i nie wierzył, by potrafił zachować w tej sprawie neutralność. Zdawał sobie sprawę, że to, co by powiedział, zaszkodziłoby lordowi Oswalowi, który zawsze go wspierał. Nawet Rennard mógłby ucierpieć.

Mimo to lord Oswal wezwał Humę zaledwie dwie godziny przed wyznaczonym terminem spotkania rycerskiej rady. Rycerz Róży, który przyniósł wezwanie, spoglądał na niego z wielką ciekawością, lecz - będąc lojalnym wobec najwyższego wojownika - nie zadawał żadnych pytań.

Gdy Huma zmierzał do kwatery lorda Oswala, stanął twarzą w twarz z tą właśnie osobą, której nie chciał spotkać. - Powiedzieli mi, że żyjesz. Wątpiłem w to jednak, dopóki teraz nie zobaczyłem cię na własne oczy.

Bennett był odziany w ceremonialne szaty, w których skład wchodził fioletowy płaszcz ozdobiony zarówno znakiem rycerstwa, jak i jego rodzinnych włości. Przez napierśnik przebiegała na ukos czarna szarfa. Nawet w tej chwili, gdy deszcz siąpił jeszcze lekko i zapadła już niemal prawdziwa noc, wydawało się, że rycerz wprost lśni. Bennett był nieodrodnym synem swego ojca. Orle rysy jego twarzy były kopią oblicza starszego rycerza. - Przepraszam, lordzie Bennetcie.

Rodzinnymi posiadłościami zarządzali na spółkę Oswal i Trake aż do chwili, gdy ten drugi został wielkim mistrzem. Teraz, jako spadkobierca Trake'a, Bennett dzielił tytuł ze swym stryjcem. Ponieważ Oswal nie miał dziedzica, włości przejdą pewnego dnia pod władzę tylko jednego człowieka. - Chciałem złożyć kondolencje wcześniej...

Nie rób ze mnie głupka, pastuchu - przerwał mu Bennett. - Unikałeś mnie, ponieważ zawsze byliśmy wrogami. Nadal nie wierzę, że powinieneś zostać jednym z nas, ale moje dobre serce sprawiło, że teraz już właściwie nie sposób cię wyrzucić. Skąd miałem wiedzieć, kiedy cię wychwalałem - pośmiertnie, jak sądziłem - że wrócisz?

Huma poczuł, że całe jego ciało się naprężyło. Nie zamierzał jednak pozwolić, by Bennettowi udało się go sprowokować. Był pewien, że znaczna część gniewu odczuwanego przez syna wielkiego mistrza była skutkiem przedwczesnej śmierci jego ojca.

- Nigdy nie byłem twoim wrogiem, wielmożny panie. Zawsze cię podziwiałem, mimo że sprzeciwiałeś się mojemu wyborowi. - Słowa Humy naprawdę wywołały lekkie zaskoczenie na twarzy Bennetta. - Twoją postawę, umiejętności, zdolność dowodzenia w najbardziej niesprzyjających warunkach. Jesteś taki, jakim pragnę zostać, choć nigdy nie zdołam tego osiągnąć. Proszę tylko o to, by dano mi szansę spełnienia obowiązku. Bennett nagle zaniemówił. Spojrzał przelotnie na Humę. - Być może - wymamrotał. - Być może? - Huma uniósł brwi. - Co masz na myśli? Świeżo upieczony lord Baxtrej odwrócił się już jednak. Huma mógł tylko patrzeć, jak znika w głębi twierdzy. Ruszył na spotkanie z lordem Oswalem.

Był u niego Rennard. Huma przerwał im oględziny mapy. Lord Oswal wskazywał na punkt położony niedaleko na północy. Podnieśli wzrok, gdy Humę wpuszczono do komnaty. Najwyższy wojownik uśmiechnął się półgębkiem. Rennard skinął tylko głową.

Lord Oswal zwinął mapę. - Czy oddalałeś się od głównych kwater Rycerzy Korony? - Nie. Miałem pecha natknąć się na twego bratanka, wielmożny panie. Starszy rycerz potrząsnął głową. Wyglądał na znacznie bardziej wyczerpanego niż poprzedniej nocy. - Tak. Nie zwracaj na niego uwagi, Humo. Jest zdenerwowany faktem, że najwyraźniej wróciłeś zza grobu. - Nadal nienawidzi mnie za to, kim jestem.

- W takim razie jest głupcem - wtrącił nagle Rennard. - Dowiodłeś, że jesteś dziesięć razy lepszym rycerzem od niego. - Dziękuję ci, ale nie wierzę w to. - W takim razie ty również jesteś głupcem.

- Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, są spory wewnętrzne - przerwał im lord Oswal. Najwyższy wojownik dotknął dłonią czoła, omal nie przewracając przy tym zapalanej świecy. Huma wyciągnął do niego ręce, lecz Oswal nakazał mu gestem się cofnąć. - Nic mi nie jest. Wygląda na to, że za mało spałem. Chyba wielu dręczyła dziś bezsenność. - Czy dasz radę uczestniczyć w zebraniu rady? - zapytał Rennard. - A jaki mam wybór? Być może to tylko mój osobisty pogląd, ale jeśli - mój bratanek - choć muszę nadmienić, że uważa on, iż postępuje jak najślusniej - będzie miał jakąkolwiek władzę nad następnym wielkim mistrzem, czeka nas katastrofa.

Surowość opinii najwyższego wojownika o własnym bratanku zaskoczyła Humę. Wiedział, że nie przepadają za sobą, ale takie coś... - A to dlaczego?

Bennett, podobnie jak wielu z nas, jest zbyt zafascynowany legendami dotyczącymi rycerstwa. To ten rodzaj przywódcy, który rozkaże wszystkim zdolnym do noszenia broni rycerzom w twierdzy Vingaard ruszyć do ataku w potężnej, bohaterskiej szarży, która zakończy się ich śmiercią.

- Naprawdę? W głosie Humy brzmiało niedowierzanie. Nawet wobec ciemności Bennett sprawiał wrażenie człowieka wyrachowanego i w pełni panującego nad sobą.

Naprawdę. Nigdy nie widziałeś Bennetta na naradzie dowódców. Zawsze proponuje błyskawiczne uderzenia bądź fale zniszczenia zamiast solidnej, długoterminowej strategii. Po śmierci Trake'a stał się chyba jeszcze bardziej zdeterminowany, by dokonać czegoś doniosłego, celem uczczenia pamięci ojca.

Humie może być trudno w to uwierzyć, ale ja znam Bennetta dłużej i zgadzam się z tą opinią - dodał Rennard. Lord Oswal spojrzał na Humę. -Jeszcze jedno. On nigdy by nie uwierzył w twoją opowieść o zaklętych mieczach, uwięzionych smokach i stworzonych przez bogów wyzwaniach, które skrywają klucz do zwycięstwa. Ja w to wierzę. Może to wiara w Paladine'a, ale ja w to wierzę.

Starszy rycerz pochylił się nagle do przodu, trzymając się dłonią za głowę. - Odpoczynek. Potrzeba mi trochę odpoczynku - wymamrotał. - Pomóż mi go podnieść, Humo.

Rycerze odprowadzili we dwóch najwyższego wojownika do łóżka. Gdy pomagali mu się położyć, lord Oswal złapał Rennarda za rękę. -Musisz dopilnować, bym obudził się na spotkanie rady. Zrozumiano?

Błada twarz zwróciła się w stronę Humy, a potem ponownie ku najwyższemu wojownikowi. - Oczywiście. Wiesz, że to zrobię - odparł Rennard z zawsze demonstrowanym przez siebie brakiem emocji. - To dobrze.

Lord Oswal zasnął niemal natychmiast. Obaj rycerze oddalili się cicho. Gdy znaleźli się za drzwiami, Rennard zwrócił się w stronę Humy. - On chce, byś był obecny na spotkaniu rady. - A co z nim? - Huma niepokoił się o zdrowie Oswala.

- Będzie tam. Obiecałem, że się nim zaopiekuję. - Rennard naprawdę uśmiechnął się lekko. - Całkowicie panuję nad sytuacją. Przekonasz się. Huma upewnił się, że będzie jednym z pierwszych, którzy się stawiają.

Nie wszystkie rycerskie rady były otwarte dla mieszkańców twierdzy. W większości uczestniczyli jedynie kierujący rycerstwem oraz osoby mające do czynienia z którymś z punktów programu. Istniał również ustalony plan podobnych sesji, którego w normalnych warunkach zawsze przestrzegano. Kierujący rycerstwem uznali jednak, że wybór następcy wielkiego mistrza jest wydarzeniem, w którym każdy powinien wziąć udział i choć nie wszyscy mogli pomieścić się w

komnacie, rycerstwo jako całość miało być dobrze reprezentowane.

Mistrzowie Zakonów Korony i Miecza zajęli już miejsca. Arak Sokole Oko szarpał swą małą bródkę i przyglądał się z wyrazem niejakiej arogancji swemu odpowiednikowi z Zakonu Miecza. Huma nie rozpoznał człowieka siedzącego obok lorda Sokole Oko. Nie był to ten sam rycerz, który dowodził Zakonem Miecza przez ostatnie cztery lata. Poprzedni mistrz zginął w wojnie na wschodzie. Jego następcę wybrano z konieczności na polu bitwy. Kanciasta twarz rycerza przywodziła Humie na myśl raczej wyidealizowany posąg niż człowieka. Jego wąsy były długie i wąsko przyszyżone, a oczy niemal niewidoczne pod gęstymi, krzaczastymi brwiami. Gdy pojawił się Bennett, stało się oczywiste, kto naprawdę sprawuje władzę w Zakonie Miecza, gdyż tamten zeszywniał.

Wreszcie komnata wypełniła się. Zaczęło się oczekiwanie. Brak było tylko dwóch ważnych osób: Rennarda i lorda Oswala. Rycerska rada czekała cierpliwie. Jej członkowie nieustannie naradzali się pomiędzy sobą. Po jakimś czasie Bennett podszedł władczy krokiem do lorda Sokole Oko i powiedział coś do niego ostrym półszepem. Tamten odparł w podobny sposób. Spór trwał przez kilka minut. Niestety nie mówili na tyle głośno, by można ich było zrozumieć. Huma mógł się jedynie domyślać, jakie słowa padły pomiędzy nimi.

W tej chwili do komnaty wpadł zdyszany Rennard. Na jego twarzy widniał wyraz potężnego napięcia. Widok z reguły spokojnego rycerza w stanie takiego pobudzenia emocjonalnego wystarczył, by niejedna osoba podniosła się z miejsca, spodziewając się złych wieści.

Rennard szepnął coś szybko do lorda Sokole Oko. Bennett i pozostali członkowie rady przysłuchiwali się tak uważnie, jak tylko mogli. Twarz Bennetta zbielała. Zacisnął mocno dłonie na oparciu najbliższego krzesła. Arak Sokole Oko podniósł się i zwrócił ku zaniepokojonemu nagle tłumowi.

- Spotkanie jest odroczone do odwołania. Z żalem informuję zebranych, że lord Oswal z Baxtrej, najwyższy wojownik i mistrz Zakonu Róży, zaraził się tą samą chorobą, która powaliła wielkiego mistrza. Na twierdzę nałożono kwarantannę. Nie spodziewamy się, by lord Oswal przeżył dzisiejszą noc. Rennard nadal dygotał.

- Przyszedłem go obudzić, tak jak tego żądał, i znalazłem go w łóżu nieprzytomnego i miotanego drgawkami, mimo że był przykryty dwoma albo trzema kocami. Pomogłem mu, jak potrafiłem, po czym wezwałem kapłana.

Huma nigdy nie widział go w podobnym stanie. Wyglądało to niemal tak, jakby bladolicy rycerz raz jeszcze przeżywał własne starcie z chorobą. - I co osiągnął kapłan?

- Niewiele. Ta choroba jest dla niego zagadką. Sądzę, że to kolejny dar od Królowej, niech przekłete będzie jej istnienie. - Czy nie można nic poradzić?

Huma nagle poczuł się słaby. Lord Oswal był jego mentorem, przyjacielem, drugim ojcem niemal. Nie mógł umrzeć! - Możemy jedynie czekać i modlić się.

Czy w głosie Rennarda słychać było ton gorzkiej drwiny? Huma nie mógł właściwie mieć do niego pretensji. Sam czuł się bezsilny. Przypuszczał, że Królowa Smoków, Crynus i mag-renegat Galan Dracos z pewnością śmieją się z ich losu.

- Humo - Rennard położył dłoń na jego ramieniu. Na bladej twarzy nadal widniało napięcie. Jakże bliski musiał mu być Oswal! - Prześpij się trochę.

Znajdowali się w przedsionku świątyni Paladine'a, gdzie przeniesiono najwyższego wojownika w nadziei, że bogowie ułatwią jego powrót do zdrowia. Kapłani leczący starszego rycerza stanęli przed dylematem. Chwilami byli przekonani, że pokonali chorobę, lecz ona wracała, silniejsza niż poprzednio. Zaczynało brakować im czasu. Ciało lorda Oswala nie wytrzyma już wielu tak

gwałtownych nawrotów.

Rennard uśmiechnął się blado. - Obiecuję, że cię powiadomię, jeśli tylko zajdzie jakaś zmiana.

Mimo swych dobrych intencji, Huma poczuł nagłą senność, całkiem jakby wzmianka o śnie sprawiła, że sobie o nim przypomniał. Skinął głową do Rennarda i dźwignął się na nogi. - Obudzisz mnie. - - To samo obiecałem lordowi Oswalowi - odparł z goryczą Rennard.

Gdy Huma się oddalał, nadal słyszał głos Bennetta dobiegający z bocznej sali, gdzie naradzali się kapłani. Wydawało się, że stryj jest mu niemal tak samo bliski, jak ojciec. Gdy nadeszła wiadomość o chorobie najwyższego wojownika, to Bennett zapobiegł panice, zorganizował tymczasową kwarantannę i kazał przenieść chorego szlachcica do świątyni. Obecnie Rycerz Miecza dzielił czas między modlitwy o zdrowie stryja i spory z kapłanami, którzy jego zdaniem reagowali na kryzys zbyt opieszale.

A co z wojną? Wydawało się, że ci, którzy skryli się za murami twierdzy, zapomnieli o niej. Ta myśl niepokoiła Humę przez całą drogę do łóża.

Zbudził się nagle. Umysł miał zdumiewająco jasny. Jego pierwsze myśli dotyczyły lorda Oswala. Huma natychmiast założył, że Mało się najgorsze. Inni spali dalej. Sprawiali wrażenie znacznie bardziej przyzwyczajonych do tego, że codziennie tracił czyjeś cenne życie.

Huma wymknął się w noc. Rozejrzył się wokół. W bladym świetle pochodni dostrzegł wartowników pełniących czujnie służbę na murach oraz innych, patrolujących dziedziniec. Również u drzwi wiodących do kwatery najwyższego wojownika stali jeszcze strażnicy. Był to dobry znak.

Nie mogąc spać, Huma postanowił wrócić do świątyni. Fakt, że Rennard nie przyszedł po niego, nie zaskoczył go. Bładolicy rycerz najwyraźniej miał zamiar czuwać przez cały kryzys, o ile tylko będzie to możliwe.

Deszcz nie przestawał padać. Dziedziniec zamieniał się w jedno wielkie bajoro.

Gdy Huma zbliżył się do świątyni Paladine'a, odniósł wrażenie, że jest w niej dziwnie ciemno. Nikt nie stał na straży, co go zresztą nie zaskoczyło. Gdy jednak wszedł na górę po schodach i miał już zastukać do wrót, zauważył, że jedno z ich skrzydeł jest lekko uchylone. Pchnął je i otworzył szerzej. Przekonał się, że w głównym korytarzu również jest ciemno. Wiedział, że coś jest nie w porządku. Powinien tu stać wartownik albo przynajmniej kapłan.

Nagle Huma natknął się na jednego z Rycerzy Róży, który pełnił obowiązki członka gwardii honorowej i - podczas obecnego kryzysu - strażnika przy złożonym chorobą najwyższym wojowniku. Rycerz stał u drzwi ze srogą miną. Huma omal go nie pozdrowił, zdał sobie jednak sprawę, że nie sterczałby on tu po ciemku, jeśliby nie miał ku temu bardzo ważnego powodu. Krocząc ostrożnie, Huma ruszył naprzód po

marmurowej posadzce. Nie zatrzymał się, dopóki nie stanął twarzą w twarz z wartownikiem. Rycerz Róży gapił się przed siebie, lecz nic nie widział.

Huma przysunął dłoń do twarzy mężczyzny. Czuł i słyszał jego oddech, lecz był on taki, jak u człowieka pogrążonego w głębokim śnie. Odważył się uderzyć rycerza lekko w policzek. Ten nawet nie drgnął.

Nachylił się bliżej i zajrzał w otwarte oczy wartownika. Były szkliste. Widywał już wcześniej ludzi w podobnym stanie, ludzi, którym z jakiegoś powodu podano narkotyki. Podejrzewał, że Rycerz Róży nie będzie pamiętał tego, jak dopuścił się zaniedbania obowiązków. Podejrzewał też, że coś podobnego przydarzyło się pozostałym mieszkańcom świątyni, w tym również Rennardowi.

Odmówiwszy modlitwę do Paladine'a, Huma wyciągnął miecz. Szedł mrocznymi korytarzami, aż dotarł do miejsca, gdzie uprzednio siedział Rennard. Przekonał się jednak, że wychudły rycerz zniknął. Drzwi do komnaty, w której spoczywał lord Oswal, również były uchylone. Huma odkrył

jeszcze dwóch strażników pogrążonych w podobnej śpiączce.

Obawiał się najgorszego. Szybko przyjął, że Rennard i lord Oswal ulegli przewadze nieprzyjaciela.

Podszedł miarowym krokiem do drzwi wiodących do komnaty lorda Oswala i otworzył je powoli. Dezorientacja wywołana ciemnością trwała tylko mgnienie oka. Następnie jego wyćwiczone zmysły dostrzegły jeszcze ciemniejszą plamę - lorda Oswala stojącego przy prowizorycznym łożu.

Stojącego? Huma zamrugał powiekami. Zaczekał, by jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Nie, to nie był najwyższy wojownik. Oswal rzeczywiście spoczywał w łożu. W takim razie co? Cień?

Rycerz postąpił krok naprzód. Wydało mu się, że w ciemności coś się poruszyło. Zamrugał raz jeszcze. Postać - albo to, co uważał za postać - zniknęła. Huma ruszył przed siebie z lekkim drżeniem. Zatrzymał się obok nieruchomej postaci i lorda Oswala. Z ulgą usłyszał regularny oddech najwyższego wojownika.

Stopa rycerza uderzyła w coś. Spojrzał w dół i zobaczył nieruchome ciało jednego z kapłanów. Zasnął on tak samo, jak wartownicy. Oczy miał szeroko otwarte i szkliste. Huma potrząsnął nim mocno, próbując go obudzić, lecz mężczyzna nawet nie drgnął.

Raczej poczuł niż usłyszał, że w mroku za jego plecami coś się poruszyło. Zawahał się i omal nie kosztowało go to życia, Coś metalowego uderzyło w jego napierśnik. Gdyby zareagował wolniej, wbiłoby mu się głęboko w gardło.

Przeklinając siebie, Huma odbił drugie okrutne pchnięcie maleńkiego, zakrzywionego sztyletu. Po raz pierwszy udało mu się spojrzeć na napastnika - postać spowitą w fałdzistą ciemność, z której wpatrywało się w niego dwoje czerwonych oczu. Przeciwnik rzucił sztyletem w jego głowę, zmuszając Humę do pochylecia się. W tej samej chwili gdy rycerz odskoczył przed ciosem, widmo wyciągnęło mały woreczek i uniosło go w górę.

Huma cofnął się szybko. Nie sposób było zaprzeczyć temu, co widział. Zachowanie i wygląd napastnika były charakterystyczne dla członka kultu Morgiona, Pana Choroby i Rozkładu. Dziwił się, że nie rozpoznał intruza natychmiast. Jeden z tych szczurów przeniknął do twierdzy Vingaard i udało mu się już zabić jedną - a może nawet dwie - z najważniejszych osobistości rycerstwa. Obdarta postać zawahała się, nim cisnęła zawartością woreczka.

Huma skoczył do przodu, trzymając pałasz wysoko przed sobą. Trafił jego płazem w mieszek, który pękł. Impet miecza skierował większą część zawartości woreczka na zakapturzonego intruza. Huma zatoczył się do tyłu, by uniknąć śmiertcionośnego deszczu, który spadł na nieznanego.

Zabójca zakasłał ochryple, gdy pył pokrył mu twarz. Cofnął się chwiejnie, lecz Huma nie odważył się ruszyć naprzód. Członek kultu opadł na ławę, po czym powoli dźwignął się z powrotem na nogi.

- Jeśli sądzisz... - głos był ochryply i napięty, lecz znajomy - ...że zdołasz mnie zabić moją bronią, dowiedz się, że Morgion chroni swe sługi. Poza tym, chciałem tylko cię uspić. Teraz nie pozostawię ci wyboru.

Jedynie najwyższym wysiłkiem woli Huma powstrzymał się przed wypuszczeniem miecza, gdy zakapturzona postać kaszlnięciem uwolniła swe gardło od pyłu, po czym ujawniła swą tożsamość. Huma postawił rozpaczliwy krok w tył, gdy członek kultu wyciągnął ukryty w szacie pałasz.

- Czubek sztyletu skaleczyłby cię tylko i wtedy ty również byś zasnął. Obawiam się jednak, że teraz zostało mi już tylko to. Miecz uniósł się, kierując sztych w stronę szyi Humy.

Ten nie potrafił zdobyć się na walkę. To nie mogło się zdarzyć. To nie mogło być prawdą. To był jakiś straszliwy koszmar, z którego się przebudzi!

Zabójca zaśmiał się cicho. Miecz obniżył się lekko. Wydawało się, że śmiech poniósł się echem po umyśle Humy, szydząc ze wszystkiego, w co rycerz kiedykolwiek wierzył.

- Próbowałem uchronić cię przed tym. Przykro mi, Humo. Choć Huma nie zdołał z początku wydusić tych słów, dudniły one w jego głowie, krzyczały w jego sercu. Dlaczego, Rennardzie?

Rozdział dziewiętnasty

Czy nie masz nic do powiedzenia? - zapytał Rennard. - Mamy czas. Tutaj wszyscy śpią. Mury są grube. Nikt nie usłyszy szczęku naszych mieczy. Tak, sędzę, że mamy czas. W imię Paladine'a, Rennardzie. Dlaczego?

Huma widział zarys jego twarzy, mimo kaptura i ciemności. Wyczuwał gorycz w głosie Rennarda.

Gdy umierałem na mór, wiele lat temu, wznosiłem błaganiu o uwolnienie do Paladine'a, do Mishaka i do wszystkich bogów z tego rodu.

Nie uczynili nic. Trzymałem się życia, marniejac coraz bardziej. Moje oblicze przyprawia teraz wielu o szok. Gdyby zobaczyli je wówczas, przeraziłoby ich jeszcze bardziej. Widzisz, zaraziłem się szkarłatnym morem.

Szkarłatny mór. Ze wszystkich odmian epidemii szalejących w ciągu lat wojny, ta była najgorsza. Rycerstwo było zmuszone do palenia całych wiosek, gdy najwybitniejsi uzdrowiciele nie potrafili zapanować nad zarazą. Ofiary ginęły z wyniszczenia, każdy dzień oznaczał cierpienie i wielu odbierało sobie życie, zanim zabiła ich choroba. Jej nazwa pochodziła od czerwonego koloru skóry wypalonych nią nieszczęśników. Była przerażająca i nadal mówiono o niej tylko szeptem.

- Potem, gdy byłem już pewien, że cierpienie w końcu mnie zabije, nawiedził mnie bóg - nie jeden z tych, do których się modliłem, lecz inny, jedyny, który był skłonny za pewną cenę uwolnić mnie od bólu. - Sztych miecza uniósł się ponownie. - Morgion. Tylko on raczył odpowiedzieć na me modły, choć nigdy się do niego nie zwracałem. Zezbrał uwolnić mnie od bólu i zwrócić mi zdrowie, pod warunkiem, że zostanę jego sługą. To nie była trudna decyzja, Humo. Zgodziłem się natychmiast i to z radością.

Huma modlił się, żeby coś się zdarzyło - żeby lord Oswal się poruszył, żeby rycerze przyszli sprawdzić, dlaczego jest ciemno. Wszędzie jednak panowała cisza. Jak długo Rennard to wszystko planował? Jak długo czekał na tę chwilę?

Huma raczej usłyszał niż zobaczył zbliżający się miecz. Jego przeciwnik pewnie poruszał się w ciemności. Mimo to Humie udawało się odbijać cios za ciosem, choć wiedział, że uważano, iż Rennard nie ma sobie równych, jeśli chodzi o szermierkę. Na dodatek Huma toczył też bój z samym sobą.

Wtem, równie niespodziewanie jak je rozpoczął, Rennard zaprzestał ataków. Zachichotał cicho. - Bardzo dobrze. Całkiem jak twój ojciec. - Mój ojciec?

Oddalili się od drzwi i zbliżyli ku miejscu, gdzie zawsze stali kapłani podczas obrządków. Rennard ściągnął kaptur. Nawet w mroku Huma dostrzegł bladą, pociągłą twarz. - Ojciec. Tak, tak. No wiesz, to dlatego cię chroniłem. Znak Morgiona, nawet na niczego nieświadomej osobie, mówi, że nie wolno jej skrzywdzić nikomu, kto służy temu bogu.

Huma przypomniał sobie słowa członków kultu w ruinach. Widzieli znak i spierali się o niego. Skularis nie miał pojęcia, skąd się on wziął.

- Cóż ze mnie za sentymentalny dureń - ciągnął Rennard. - Chciałem ratować własnego krewniaka.

- Krewniaka? Huma potrząsnął głową z narastającym przerażeniem.

- Jesteś tak bardzo podobny do mojego brata, Humo. Miał na imię Durac. Durac, lord Eldoru,

krainy podbitej wkrótce po tym, jak obaj wstąpiliśmy w szeregi rycerstwa. Dziś po Eldorze pozostała jedynie odrobina żalonych ruin. No i dobrze. W przeciwieństwie do posiadłości rodu Baxtrej, gdzie Oswal i Trake władali wspólnie, ja nie odziedziczyłbym nic. Dziedzicem był twój ojciec, jako starszy syn. - Przestań!

Huma zamachnął się gwałtownie na człowieka, który zdradził wszystko, w co wierzył młody rycerz. Człowieka, który do niedawna był jego przyjacielem.

Rennard bronił się z łatwością. Po kilku chwilach ponownie się rozdzielili.

Należałem do Morgiona na długo przed tym, nim nasz ojciec wysłał nas jako giermków do twierdzy Vingaard. Od pierwszej chwili starałem się osłaniać Duraca. Ostatecznie byliśmy rodziną, inni, którzy służyli Morgionowi, mogliby tego nie zrozumieć, umieściłem więc w nim ten sam niewidzialny znak, który chronił przed nimi ciebie. Ów gest okazał się daremny. Twój ojciec zginął w bitwie zaledwie rok po tym, jak został rycerzem. Został z garstką innych, aby bronić przejścia przez wschodnie góry w Hylo. Jedyne przejście, które pozwoliłoby oddziałom Królowej na atak od tyłu. Ja zresztą grupy pojechałem ostrzec główne siły. Nie mogłem nic nu to poradzić. Czyż nie ma w tym ironii? Chciałem mu w tej ostatniej chwili powiedzieć prawdę o sobie, lecz oczywiście nie mogłem tego zrobić. Nie wiedziałem wówczas, że zostawił żonę i syna.

Huma zadrżał. Część jego jaźni pragnęła wysłuchać opowieści, druga zaś czuła odrazę.

- Musisz kiedyś zapytać lorda Oswala o Duraca, gdy spotkacie się po drugiej stronie!

Rennard rzucił się do ataku. Udało mu się zaskoczyć udręczonego rycerza. Zaczęła się walka. Huma zdał sobie sprawę, że spogląda w twarz na wpół wykrzywioną szaleństwem. Zniknęła pozbawiona uczuć fasada, nad którą zawsze się zastanawiał, maska skrywająca zdradę Rennarda. Humie udało się odeprzeć atak przeciwnika.

- Jak miała na imię, bratanku? Karina? Widziałem ją tylko raz, wiele lat później, gdy wreszcie odnalazłem wioskę, którą odwiedzał przed śmiercią. Była piękna: włosy barwy dojrzałej pszenicy, elfia twarz. Szczupła kobieta pełna życia. Zastanawiałem się, czy nie starać się o jej względy, potem jednak zobaczyłem ciebie - wypisz, wymaluj Durac, choć byłeś jeszcze

- chłopcem - i zrozumiałem, że odtrąciłaby kogoś takiego jak ja. Byłem głupcem, myśląc o czymkolwiek innym niż obietnica, jaką złożyłem memu prawdziwemu panu.

Miecz Rennarda przeszył powietrze, mknąc w kierunku Humy. Młodszy rycerz przetoczył się na bok i zatrzymał w przysiadzie. - Zabiłeś ją, prawda?

Głos Humy był zimny i pozbawiony życia, gdy wspomniał dni śmiertelnej choroby swej matki, choroby, która pojawiła się znikąd.

- Powinieneś mi podziękować. Myślałem o tobie. Chciałem, żebyś został takim rycerzem, jakim powinien być stać się Durac. Sądziłem, że zdołam ukryć przed tobą prawdę. Rennard uśmiechnął się odrażająco. - Sen. Miałem sen o twoim ohydny bogu.

- Myślałem, że zdołam cię przeciągnąć na swą stronę, uczynić moim towarzyszem i oszczędzić nam tego. - Co tu się dzieje, na platynowego smoka?

Obaj walczący zamarli, gdy do pokoju wdarło się światło. W drzwiach stanął Bennett z dwoma rycerzami Zakonu Miecza u boku. Szybkie spojrzenie na twarz Rennarda zdradziło, że zdał on sobie sprawę ze swego błędu. Bennett z pewnością położył się do łóżka z własnej inicjatywy albo przynajmniej opuścił świątynię i Rennard nie miał szansy, by potraktować go tak, jak innych, którzy niczego nie podejrzewali. - Rennardzie? Humo?

Bez względu na swe wady, syn zmarłego wielkiego mistrza nie był mało rozgarnięty. Spojrzawszy na rozgrywającą się scenę, dostrzegł wystrzępiony płaszcz oraz kaptur pokrywający zbroję Rennarda i zrozumiał, co tamten sobą reprezentował. Bennett wyciągnął miecz i wskazał na

zdrajcę. - Chcę go dostać!

Jak szybko znika polor godności w obliczu małościowych uczuć zauważył z przekąsem Rennard. Nie mówiąc już ani słowa, zamachnął się szaleńczo na Humę - który się uchylił po czym rzucił się do ucieczki, przeskakując nad lawami. - Nie ma dokąd zwać!

Podobieństwo Bennetta do drapieżnego ptaka stało się jeszcze wyraźniejsze. Jego szeroko rozwarte oczy gorzały intensywnym blaskiem, lecz mimo to dostrzegały każdy ruch i sprawdzały wszystkie kąty. Jego ruchy były płynne i starannie obliczone. Był jastrzębiem gotowym rzucić się na ofiarę. Teraz ofiarą był Rennard. Ten jednak skrył się w cieniu ściany... i przeniknął przez nią. Huma dotarł tam przed innymi. Nie sądził, by Rennard posiłkował się przy ucieczce czarami, tak jak ongiś Magius. Nie, to mogło być... tak jest! Palce Humy odnalazły płytkie wgłębienie. Ściana otworzyła się nagle, gotowa go połknąć. Usłyszał za sobą, jak Bennett wzywa krzykiem pozostałych, by za nim podążyli. Potem ściana zamknęła się ponownie. Huma nic miał czasu na nich czekać. Dokąd Rennard chciał uciec?

Szybkie odgłosy kroków starszego rycerza były ledwie słyszalne. Biegł na górę. Co miał nadzieję tam znaleźć?

To nie była starożytna, tajemna klatka schodowa, jak z początku podejrzewał Huma. Po drodze na następne piętro minął dwa okna.

Schody kończyły się zapadnią w suficie. Huma sięgnął ostrożnie ręką w górę i, trzymając w drugiej dłoni gotowy do użytku miecz, otworzył klapę. W jego twarz uderzyły wiatr i deszcz. Atak, którego się spodziewał, nie nastąpił.

Kroki za jego plecami poinformowały go o obecności Bennetta i jego dwóch towarzyszy. Huma nie chciał, żeby to oni stawili czoła Rennardowi. Uważał, że tylko on ma do tego prawo. Wdrapał się powoli na górę i wyszedł na zewnątrz, w deszcz.

Dach był pusty. Nie było tu żadnego miejsca, w którym można by się ukryć, żadnej drogi ucieczki. Huma podszedł do najbliższej krawędzi i spojrzał w dół. Zaczęli tam gromadzić się rycerze. Bennett ogłosił alarm. Pierwszy z jego dwóch towarzyszy wgramolił się na dach. - Gdzie on jest? Czy go złapałeś?

Huma potrząsnął głową. Gdzie podział się Rennard? Nowo przybyli również przeszukali dach, lecz i oni nie znaleźli ani śladu zbiega. Zdrajca po prostu zniknął.

Bennett nie chciał w to uwierzyć. Rycerze przeszukali wszystkie pobliskie budynki i - gdy to nic nie dało - także resztę twierdzy. Przyniesiono rzeczy Rennarda i również je zbadano, lecz i to niewiele pomogło.

Gdy tylko kapłani dowiedzieli się o ataku, natychmiast pognali do lorda Oswala. Ku ich zdumieniu, wyglądało na to, że najwyższy wojownik wraca do zdrowia. Jeden z nich wyjaśnił Humie, Bennettowi i reszcie zebranych, że ciało lorda Oswala uwalnia się od efektów dawki, którą wcześniej zaaplikował mu Rennard. Dlatego zabójca miał nadzieję podać drugą dozę, zanim jego ofiara wróci do siebie.

Gdy rycerze się rozeszli - niektórzy, by kontynuować poszukiwania zdrajcy, inni ku różnym obowiązkom - Huma poczuł na swym ramieniu

dłoń. Poderwał się. Jego pierwszą myślą było, że to Rennard przyszedł się z nim załatwić. - Jestem Bennett - odezwał się stojący za nim człowiek. Huma odwrócił się powoli. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie. Wydawało się, że bratanek Oswala walczy z kilkoma uczuciami jednocześnie. Na jego twarzy widniały ślady zawstydzenia, gniewu i dezorientacji. Wreszcie wyciągnął rękę. - Jestem wdzięczny za wszystko, co uczyniłeś.

Niepewny, jak zareagować, Huma ujął po prostu jego dłoń i uścisnął ją. - Nie zdołałem schwytać

zabójcy twego ojca.

Bennett zapanował nad wyrazem swej twarzy. Huma wiedział, że jego rozmówca czuje się bardzo nieswojo. - Zdemaskowałeś go. Uratowałeś mojego stryja, A nawet... nawet stoczyłeś z tym bladolicym zdrajcą równy bój. Ja nigdy nie zdołałbym tego dokonać, rycerz o orlich rysach zasalutował krótko i oddalił się. Huma patrzył, jak znika. Na jego wargach pojawił się przelotny uśmiech. Wreszcie on również odwrócił się i wyszedł w nadziei, że odnajdzie jakiś ślad Rennarda.

Nie było niespodzianką, że w dwa dni później lord Oswal został nowym wielkim mistrzem. Przed tą decyzją pozostawał w izolacji. Rozmawiali z nim wyłącznie członkowie rady. Wszelka możliwość opozycji ze strony Bennetta zniknęła. W gruncie rzeczy bratanek nowego wielkiego mistrza złożył petycję o przyjęcie w szeregi Zakonu Róży. Istniało duże prawdopodobieństwo, że otrzyma rekomendację. Było też wielce możliwe, że wkrótce to on będzie nosił strój najwyższego wojownika.

Humie trudno było wytrzymać te dwa dni. Gdy wreszcie udzielono mu audiencji u lorda Oswala, wyraźnie dygotał. Wielki mistrz był dla niego postacią otoczoną niemal równie wielką czcią, jak Paladine. Ostatecznie był on żywym symbolem pragnień Triumwiratu.

Gdy Huma przyklęknął na znak hołdu, jego uszu dobiegł dziwny dźwięk. Odważył się podnieść wzrok. Otoczony imponującą honorową gwardią złożoną z doświadczonych rycerzy ze wszystkich trzech zakonów, wielki mistrz siedział na tronie i chichotał.

- Wstań, Humo. Przy mnie nie musisz przestrzegać ceremonii. Nie w tej chwili. Huma podniósł się i podszedł bliżej. - Wielki mistrzu... Westchnienie. - Jeśli już musisz być oficjalny, mów mi lordzie Oswalu. Nie mam takich ambicji, jak mój brat... na razie. - Lordzie Oswalu, zanim zacznę, opowiedz mi o Duracu z Eldoru. - O Duracu? Znałem dwóch albo trzech. Z Eldoru... nie jestem pewien... - - Proszę cię. Wiesz, który to. Brat Rennarda. Mój... ojciec. Nowy wielki mistrz wbił w niego wzrok i rozdziawił usta. - Ojciec? Durac? W takim razie Rennard... - Jest moim stryjem. Huma z trudem wypowiedział nienawistne słowo.

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

- Paladine! - Głos lorda Oswala był właściwie szeptem. - Humo, przykro mi. - Panie, mój ojciec?

Wielki mistrz otarł sobie coś z oka. - Przykro mi, Humo. Chciałbym coś ci o nim opowiedzieć, ale naprawdę niewiele pamiętam. Durac był dobrym rycerzem, choć odrobinę ponosił go entuzjazm. Był zdolnym, niemal urodzonym wojownikiem. Zdobywał nowe umiejętności z równą łatwością, jak ja podnoszę nóż ze stołu. Przypominam sobie, że spędzał wiele czasu na zachodzie, ale nie wiedziałem, że miał tam rodzinę. Zapamiętałem jednak - mówił Oswal, drapiąc się w brodę - co krzyknął do nas, gdy zostawiliśmy go wraz z pozostałymi, by pilnował przełęczy. Teraz rozumiem, o co mu chodziło, kiedy zawołał: „Czuwaj nad nimi”. Myślałem, że miał na myśli naszych ludzi. Cóż ze mnie był za dureń! Mówił o swej rodzinie. Tylko Rennard o tym wiedział.

Wielki mistrz nie miał już wiele więcej do dodania. Rozczarowało to Humę, choć nie okazał tego po sobie. To Oswal przerwał krępującą ciszę, stwierdzając: - Udzielam ci pozwolenia na wyruszenie do Ergothu i twoich gór. Ilu rycerzy musi ci towarzyszyć? - Ani jeden.

- Ani jeden? Wielki mistrz pochylił się do przodu, ściskając mocno poręczę tronu. - Jak sam mówiłeś, jest to sprawa o najwyższym znaczeniu. Chcę mieć pewność, że odniesiesz sukces, Paladine uznał za stosowne dać nam tę szansę, ale nie pozwolę, byś podejmował zbędne ryzyko.

- To, czego pragnie Paladine, musi nadejść wyłącznie od mnie - odparł Huma. - Teraz to czuję. Nie potrafię wyjaśnić, skąd to wiem. Po prostu odnoszę takie wrażenie. Oswal westchnął i znowu usiadł wygodnie. -Przemawiasz z wielkim przekonaniem. Głowa mówi mi, że się mylisz, ale moje serce cię słucha. Sądzę, że w tej sprawie wybiorę głos serca, gdyż to w nim zaczyna się wiara.

- Dziękuję, wielmożny panie. Lord Oswal podniósł się z miejsca. Huma podążył za jego przykładem Wielki mistrz ujął go za ramiona. - Bez względu na twe pochodzenie i na to, kim byli twoi rodzice, zawsze będę cię uważał za swego syna. Obejmowali się przez chwilę. Wreszcie Oswal odsunął się od niego. -

Ruszaj. Znikaj stąd, zanim zrobię z siebie jeszcze bardziej sentymentalnego durnia niż dotąd.

Gdy Huma postanowił wyruszyć, na dziedzińcu przebywało niewielu rycerzy. Świadomie wybrał taki moment. To uczyni odjazd łatwiejszym, przynajmniej dla niego. W głębi duszy miał wrażenie, że jest to ucieczka, że powinien raczej poczekać w twierdzy Vingaard do chwili, gdy Rennard zostanie wytropiony i ukarany. Huma nie chciał już jednak brać udziału w jego schwytaniu. Zbyt długo znał wychudzonego rycerza, by po prostu zapomnieć dawne czasy, gdy byli przyjaciółmi.

Zauważył znajomą postać. Bennett stał za balustradą i przyglądał się twierdzy. Bratanek wielkiego mistrza nadal poszukiwał mordercy ojca. Wśród rzeczy należących do Rennarda znaleziono starożytne plany warowni, które uważano za zaginione na zawsze. Uwzględniały one dwa tajne przejścia w obrębie świątyni, o których nie wiedzieli nawet kapłani.

Ponury Bennett przestał gapić się na okolice otaczające twierdzę i zauważył Humę. Skinął powoli głową, po czym odwrócił się. To było wszystko.

Jego droga prowadziła przez kolejną na wpół martwą wioskę. Jechał już od godziny. Dwukrotnie spotkał patrolujących rycerzy. Poinformował ich o bezowocnych poszukiwaniach zdradzieckiego Rennarda prowadzonych w twierdzy Vingaard.

Mieszkańcy tej wioski patrzyli na samotnego rycerza inaczej niż ci, których Huma spotkał w innych miejscach. W ich ruchach widziało się napięcie i wielki strach, jak gdyby obawiali się, że z nieba w każdej chwili może spaść sama Królowa Smoków. Zaczęli powoli okrążyć Humę i jego

konia.

Rumak zwolnił podenerwowany. Rozszerzył chrapy i wbił wzrok w ewentualnych wrogów. Huma ściągnął mocno wodze, by ponownie zapanować nad zwierzęciem. Nie chciał mieć na sumieniu życia niewinnych wieśniaków.

Mały tłumek stał się wkrótce tak gęsty, że koń nie mógł posuwać się dalej. Miejscowi otoczyli zwierzę i jeźdźca falą ludzkiego strachu. Huma zaczął słyszeć zadawane szeptem pytania dotyczące wydarzeń w twierdzy.

Jego prawej nogi dotknęła oblepiona brudem, koścista dłoń. - Czy to prawda, że wielkiego mistrza zamordowano? - zapytał chrapliwy głos. Czy nie jesteśmy już bezpieczni?

- Słyszałem, że rada chce się poddać! - krzyknął ktoś, kogo rycerz nie potrafił zlokalizować. Ta ostatnia wiadomość zwiększyła niepokój wieśniaków. Otoczyli

Humę jeszcze ciaśniej, nie zważając na niebezpieczeństwo, jakim groziły im kopyta szkolonego do walki wierzchowca. Rycerz usiłował odesłać ich gestem dłoni.

- Zejdźcie na bok! Przepuście mnie! W przeciwnym razie koń może wam zrobić krzywdę! - On ucieka! - krzyknął ten sam głos. - Rycerze są zgubieni!

- Wszyscy jesteśmy zgubieni! - wrzasnęła przenikliwym tonem jakaś stara kobieta. Zemdląca i zniknęła w natłoku ciał. - Nie możesz nas opuścić! - Chcesz ocalić własną skórę!

- Zawracaj! W polu widzeniu Humy przesuwały się gniewne, zdezorientowane twarze. Dłonie sięgały ku niemu. Spłoszony koń stanął dęba. Ci, którzy byli najbliżej przodu zwierzęcia, odzyskali rozsądek i cofnęli się, by uciec. Ci jednak, którzy stali z tyłu, nie przestawali napierać naprzód.

Jakiś postarzały mężczyzna padł na ziemię. Rycerzowi udało się uspokoić wierzchowca. Potem spróbował utorować sobie drogę, aby pomóc staruszkowi.

- Zdradził nas wszystkich! Powalił starego! Załatwcie go! Obdarte, wychudzone postacie runęły na Humę. Rycerz wyciągnął miecz w geście ostrzeżenia. Wieśniacy cofnęli się, lecz bynajmniej nie byli gotowi dać za wygraną. Bali się, że rycerze solamnijscy zostawiają ich na łaskę Królowej Smoków

Tym razem Huma zauważył podżegacza, stojącą nieco z boku postać odzianą w strój zwykłego chłopca. Mężczyzna nie próbował ucieczki, gdy zdał sobie sprawę, że go zauważono, Wyciągnął miecz i po raz drugi odsłonił swe złe oblicze. Mumii przeprowadził konia przez tłum, zmuszając mieczem ludzi, by schodzili mu z drogi. Dziękował Paladine'owi, że nikt dotąd nie odważył się sprowokować go do zadania ciosu. Zatrzymał wierzchowca w odległości niespełna dwóch metrów od tamtego.

- Bennett nadal sądzi, że możesz przebywać w twierdzy. Rennard uśmiechnął się przelotnie. - Czekałem tam, dopóki nie ogłoszono oficjalnie lorda Oswala wielkim mistrzem. Potem przybyłem tutaj, żeby przekazać wieśniakom wiadomości.

Huma zeskoczył z konia, ani na chwilę nie odrywając wzroku od stryja. Nie schował też miecza do pochwy. - Chyba raczej po to, żeby porazić ich serca strachem. Żeby zniszczyć zaufanie i sprawić, byśmy zaczęli walczyć między sobą.

- To... to moje powołanie. Nie robiłem tego tylko tutaj, ale we wszystkich okolicznych wioskach. Od wczoraj nie spałem. - Znaleźli w końcu twoje tajne przejścia. - Wiem. Zostawiłem te mapy celowo. Nie są mi już potrzebne. - To szaleństwo, stryju.

- Stryju. Sądziłem, że nigdy nie wypowiesz tego słowa. Tak, to szaleństwo. Cały świat jest szalony. Usiłuję uczynić go rozsądniejszym -Rennard wskazał na wieśniaków. Mówił tak cicho, by nie mogli go słyszeć. - Strach będzie się szerzył. W swej desperacji pomaszczą na twierdzę i rycerstwo będzie zmuszone ich przegnać. Jestem przekonany, że dojdzie przy tym do pewnych strat.

Wielcy rycerze solamnijscy ucierpią z powodu niesławy, jaką okryje ich ten czyn, a na dodatek ich morale otrzyma potężny cios. Nie muszę tłumaczyć ci nic więcej. - To zostało dokładnie zaplanowane.

- Oczywiście. Mogłem zabić wszystkich członków rady, ale to tylko zwiększyłoby determinację rycerstwa. Dlatego właśnie wędrowałem w przebraniu po okolicznych terenach, by szerzyć niepokój - Rennard wyprostował się, poruszając powoli mieczem w obie strony. - Pozostał mi tylko jeden obowiązek, Humo. Ty. Wiedziałem, że wybierzesz tę trasę. Nie mogę pozwolić, byś wrócił do tej... jaskini. Może to być z twojej strony szaleństwem, ale nie sądzę, aby tak było. Nie wolno mi zaryzykować błędu w podobnej sprawie.

Jego miecz uderzył nagle. Huma natychmiast zablokował cios. Wieśniacy odsunęli się od dwóch walczących rycerzy, lecz straszliwa niecierpliwość malująca się na ich twarzach mówiła Humie, że czekają, by zobaczyć, aż jeden z nich zginie. Aż do tego stopnia stali się pionkami Rennarda.

Wychudzony rycerz zamachnął się, stwarzając Humie szansę. Umiejętności Rennarda pozwoliły mu zasłonić się, osłabiając cios, lecz miecz Humy ominął gardę i ześliznął się po prawym boku przeciwnika. Oręż odbił się jednak od twardej powierzchni ukrytej pod bluzą Rennarda. Na bladej twarzy wychudłego rycerza pojawił się przelotnie chytry uśmieszek. Pod ubraniem nadal nosił zbroję.

Ich miecze uderzały w siebie raz za razem, gdy toczyli bój w zmoczonej deszczem wiosce. Otaczała ich nieprzerwana, falująca ludzka ściana. Huma zastanawiał się, co się z nim stanie, jeśli pokona Rennarda. Wieśniacy mogli równie dobrze rzucić się na niego. - Bardzo dobrze! - syknął Rennard. - Nieźle cię wyszkoliłem. - Nienajgorzej. -

Nie mówił już nic więcej. Wiedział, że musi oszczędzać siły. Rennarda napędzało jego szaleństwo. Walczył z zastraszającą siłą i gwałtownością.

Huma pośliznął się na błocie, gdy miecz Rennarda przemknął tuż obok jego gardła. Zdrajca upadł do przodu i Huma zadał mu kąśliwy cios w nogę. Rennard nie krzyknął, choć kończynę niemal natychmiast zalała mu krew. Oddalił się od przeciwnika, utykając.

Ponownie zwrócili się w ku sobie. Huma był u kresu sił, Rennard zaś słabł z powodu straszliwej rany z przodu prawej nogi. Mało brakowało, by miecz Humy przeciął mięśnie i ścięgna, co kosztowałoby sługę Morgiona utratę kończyny. Poddaj się, Rennardzie. Przysięgam, że potraktujemy cię sprawiedliwie.

Blady rycerz wydawał się jeszcze bardziej wymizerowany niż zwykle. - Wątpię w to. Zdrajca, taki jak ja, który zabił jednego wielkiego mistrza i omal nie zrobił tego samego z drugim, nie może raczej oczekiwać od rycerstwa łaskawego traktowania.

Huma wiedział, że im dłużej będą rozmawiać, tym więcej odzyska sił, podczas gdy Rennard słabł ciągle w miarę upływu krwi. Już teraz trudno mu było utrzymać się na nogach. - Chodź, bratanku. Skończmy z tym.

Okazując zdumiewającą wytrzymałość, Rennard rzucił się na Humę. Używał w ataku różnych manewrów. Młodszy rycerz nie cofnął się. Stopniowo zaczął przechodzić do ofensywy. Twarz przeciwnika stała się zamazaną plamą. Decydującą rolę przejęły odruchy. Lekcje - o ironio, lekcje Rennarda - dały Humie umiejętności potrzebne, by sparować każdy cios.

Kolejne pchnięcie przebiło się przez obronę bladoliciego rycerza. Trafiło go w rękę, w której trzymał miecz. Zdrajca omal nie wypuścił broni, gdy zraniona kończyna drgała przez chwilę bezwładnie. Odłonił się wyraźnie. Miecz Humy przemknął w odległości niespełna trzech centymetrów od jego twarzy.

Obu walczących pokrywała gruba powłoka błota. Rennarda opuściło szaleństwo, które wcześniej

nim zawładnęło. Wydawało się, że zdał sobie sprawę, iż nie ma już praktycznie szans. Huma był lepszy od niego. Jego oczy to wiedziały, nawet jeśli twarz nie okazywała żadnych emocji. Teraz Rennard mógł jedynie osłaniać się przed kończącym uderzeniem.

Huma ponownie przebił się przez gardę stryja. Rennard zachwiał się nagle na krwawiących obficie nogach. Osunął się na kolana. Czar prysł. Huma zamrugał powiekami, spoglądając w dół na Rennarda,

którego krew mieszała się z błotem. Na twarzy młodszego rycerza pojawił się wyraz niesmaku. - To koniec, Rennardzie. Nie zabiję cię. To nic by nie dało.

Jego przeciwnik spróbował się podnieść. Czekał, klęcząc na jednym kolanie, z mieczem na wysokości barku, gotowy się bronić.

- Nie wrócę, Humo. Nie poddam się parodii procesu. Huma opuścił miecz. - Pozwól, bym ci pomógł. Byłeś dobrym rycerzem. Jednym z najlepszych.

Śmiech, którym odpowiedział Rennard, przerodził się w ostry kaszel. Członek kultu omal się nie przewrócił. - Czy nic rozumiesz? Nigdy nie byłem rycerzem! Od owego dnia moje życie było w rękach innego boga i zawiodłem nawet jego. Popatrz na mnie! - Rennard uśmiechnął się słabo. Huma z przerażeniem ujrzał, że blada skóra jego byłego towarzysza nabiera powoli koloru szkarłatnego. - To moja nagroda za niepowodzenie. Nigdy naprawdę mnie nie wyleczył. Żyłem tylko z dnia na dzień.

- Rennardzie. Przybędzie tu patrol. Znajdą kapłana. - Żaden kapłan nie zechce mnie dotknąć. Zakłęcie czy koszmar rzucone na wioskę przez byłego rycerza, rozwiało się. Ludzie krzyczeli i płakali na widok jednej z najgorszych postaci moru. Po kilku sekundach dwie zakute w zbroje postacie zostały same. - Rennardzie...

Drugiemu rycerzowi trudno już było nawet mówić. W jego ciele krążyła zaraza. - Nie zbliżaj się do mnie, Humo. Choroba szerzy się przez dotyk - Rennard się uśmiechał. - Gdy już się skończy, nie zostanie nic. Będą mieli szczęście, jeśli znajdą coś więcej niż zbroję. Gdzie był patrol? Huma spoglądał na horyzont z wyrazem zawodu.

- Zapewne nie ma to wielkiego znaczenia, bratanku - wymamrotał umierający - ale mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz. Może jest jeszcze szansa.

Tam! Huma dostrzegł odległe postacie na koniach. Poruszały się jednak bardzo powoli. O wiele za wolno. - Humo...

Młody rycerz opuścił wzrok. Twarz Rennarda wykrzywił ból. - Módl się do Paladine'a, Rennardzie! Patrol zbliża się do wioski. Kiedy wyjaśnię...

- Nie ma czego wyjaśniać poza tym, że muszą spalić moje ciało, nie ruszając go z miejsca. Rennard wyprostował się i ujął mocno obiema rękami rękojeść pałasza.

Z szybkością zadziwiającą w jego stanie, pociągnął ostrzem miecza po swym gardle. - Nie! Jedynie świadomość, że stałby się nosicielem choroby, powstrzymała Humę przed wyrwaniem broni z rąk obdartej postaci. Było już zresztą za późno. Żaden kapłan nie zdołałby na czas zabandażować podobnej rany.

Miecz wypadł z bezwładnej dłoni Rennarda, upadł na ziemię i pogrzyżył się w błocie na chwilę przed tym, nim martwa postać rycerza uczyniła to samo. Huma wypuścił z dłoni własną broń i opadł na kolana. - Nie.

Jego głos był cichszy od szeptu. Skrył twarz w dłoniach i pozwolił, by jego zmaltretowane uczucia wzięły górę. Usłyszał słaby tętent wielu koni. Potem zapadła cisza.

Rozdział dwudziesty

Cisza. Rzenie zbliżających się koni zmieszane z krzykami przerażonych wieśniaków, przekonanych, że pojawił się wśród nich najgorszy z morów, tętent kopyt, a nawet poszum wiatru -

wszystko to ustąpiło miejsca ciszy. Przerwał ją odległy odgłos metalu uderzającego o metal.

Powoli, z niedowierzaniem, Huma uniósł głowę z dłoni i spojrzął, wytrzeszczając oczy, na otaczający go świat. Przygnębiające tereny otaczające twierdzę Vingaard zniknęły. Znalazł się w zamkniętym pomieszczeniu.

Stało przed nim zwierciadło. To samo, przez które wypadł kilka dni temu. Teraz widać w nim było jedynie znużonego, rozczochranego rycerza, który sprawił wrażenie ledwie żywego. Znalazł się z powrotem w grocie Gadziego Praszczura.

Czy wszystko to wydarzyło się naprawdę? Z początku wydawało mu się to nieprawdopodobne. Łatwiej byłoby sobie wyobrazić, iż była to iluzja. Niemniej Huma nadal czuł ból pozostały po tym tak zwanym śnie. A więc był to koszmar. Bardzo rzeczywisty koszmar, albowiem Rennard w rzeczy samej zginął.

Huma odchylił się do tyłu i zdjął rękawice. Potarł oczy i spojrzął na przekłute zwierciadło.

Czuł gniew, a zarazem ulgę. Gniewało go poczucie, że jest marionetką, ulgę zaś przynosiła mu świadomość, iż będzie mógł kontynuować swą misję i, być może, odnaleźć Kaza oraz Magiusa. Co się z nimi działo przez cały ten czas?

Huma nadal gapił się w lustro. Szok wywołany zdradą i śmiercią Rennarda nie opuścił go jeszcze. Rennard nie żył i Huma będzie się za niego modlił, lecz rycerstwo - nie, cały Ansalon - nadal miało szansę, jeśli było prawdą to, co mu powiedziano: że gdzieś w tych górach kryje się klucz do zwycięstwa.

Jego odbicie spoglądało na niego ze zwierciadła. Huma wreszcie zrozumiał, co widzi. Potykając się, ruszył szybko naprzód. Na chwilę zapomniał, co

wydarzyło się w tym pomieszczeniu, co sam tu przeżył. Choć trudno było to sobie wyobrazić, niemal zapomniał o Gadzim Praszczurze.

Jeśli czas płynął tu tak samo, jak w twierdzy Vingaard, należało oczekiwać, że olbrzymi stwór jest już nadpsuty, a padlinożercy wszelkich kształtów i rozmiarów ustanowili swe terytoria. Nic z tego jednak nie było prawdą.

Olbrzymi łeb i szyja faktycznie leżały tam, gdzie runęły, lecz gigantyczne cielsko obróciło się w metal, metal o najczystszej naturze. Błyszczał on jaśniej niż srebro, choć przypominał ten kruszec bardziej niż jakikolwiek inny. Huma dotknął go rękoma i poczuł jego gładkość. Zdumiewała go myśl, jak wielkie złoże musi mieć przed sobą. Z braku lepszego określenia, nazwał metal smoczym srebrem.

Ominął, potykając się, ogromną masę. Jego zainteresowanie przyciągnął nagle przedmiot, który stał się zgubą Gadziego Praszczura. Gdzieś w swej olbrzymiej paszczy gigantyczne truchło skrywało miecz, który przemówił do Humy. Rycerz był tego pewien. Nie miał również wątpliwości, że musi go mieć. Jeśli nawet te przejścia nie miały mu dać nic innego, chciał zdobyć tę broń.

Głowa martwego olbrzyma była odwrócona dołem ku górze. Huma przekonał się, że dolna szczęka spoczywa pewnie na górnej. Oznaczało to, że miecz jest pochowany w olbrzymiej masie czystego metalu i nie ma sposobu, by go wydostać. Rozgniewany Huma wałnął pięścią w pysk stworzenia. Ból przywrócił mu zdrowy rozsądek. Zastanawiał się przez moment nad swą obsesją na punkcie starożytnego oręża. Lepiej będzie, jak...

Jego stopa w coś uderzyła. Rozległ się metaliczny brzęk. Huma popatrzył w dół i ujrzał przedmiot, którego szukał. Z okrzykiem zdumienia opadł na kolana i przytulił broń do piersi. Miała należeć do niego. To był znak.

Od chwili, gdy jego dłonie dotknęły miecza, rozjarzył się on ponownie. Huma wygrzewał się uszczęśliwiony w tym blasku. Uspokajał go on i pozwalał mu zapomnieć o straszliwych

wydarzeniach ostatnich kilku dni. Schował z niechęcią broń do pochwy i wgramolił się na grzbiet wielkiej bestii. Pochyła szyja Gadziego Praszczura okazała się znakomitą rampą, po której Huma mógł się wdrapać do jednego z górnych tuneli wychodzących do jaskini, aby odnaleźć tajemniczego kowala. Logika mówiła mu, że tam właśnie znajduje się cel jego wędrówki.

Gdy miał już miecz, nie interesowały go nie kończące się kopce złota ani lśniące stopy kosztowności. Zwierciadło nadal go intrygowało, lecz nie

mógł wlec go ze sobą przez jaskinię. Pocieszał się myślą, że będzie mógł wrócić po nie, jeśli mu się powiedzie.

Miał wreszcie w rękach porządną broń. Dzięki temu wkrótce czuł się już wypoczęty i pewny siebie. Pomaszerował po zdumiewająco długiej szyi Gadziego Praszczura.

Tunele znajdujące się tuż nad nim były w naturalny sposób oświetlone, choć nie tak jasno, jak te na dole. Huma zajrzał w głąb jednego z nich i nie dostrzegł żadnej różnicy pomiędzy nim, a tymi, przez które przechodził poprzednio. Wszędzie zalegały głębokie cienie. Teraz, gdy miał godną siebie broń, czuł się ośmielony. Opuścił szyję skamieniałego Gadziego Praszczura i wkroczył do najbliższego tunelu.

Gdy w miarę upływu czasu znajdował tylko następne korytarze, zaczęła go ogarniać niecierpliwość. Gdzie się podziały wyzwania? Pierwszym był Gadzi Praszczur. Wiedział, że muszą go czekać jeszcze dwa. Pomyślał jednak, że nic nie mogłoby się równać ze starciem z olbrzymią bestią. Niewykluczone, że stawienie jej czoła było wystarczająco trudną próbą.

Jedna z jego dłoni głaskała gałkę miecza. Być może wcale nie potrzebował tego, co kryło się we wnętrzu tej góry. Ten oręż sam był wart całej armii, a jego panem był Huma.

W miarę, jak podążał tunelami, które zdawały się nie mieć końca, jego niecierpliwość rosła. Chciał tylko stąd wyjść. Wyzwania już go nie obchodziły. Miecz był wszystkim, czego potrzebował. Cóż mogłaby mu zaoferować jaskinia, co byłoby lepsze od tak potężnej i doskonałej broni?

Nagle nawiedziła go myśl o dowodzeniu skrzydłem. Po wszystkim, czego dokonał, lord Oswal z pewnością go nagrodi. Nie tylko zdobył broń o wielkiej wartości, lecz również zdemaskował Rennarda i ocalił starszemu rycerzowi życie.

Wysokie stanowisko dowódcze zawsze było jego marzeniem. Gdy je zdobędzie, nie minie wiele czasu, nim będzie dowodził całą armią. Na jego twarzy zaczął pojawiać się uśmiech. - Ani kroku dalej.

Z początku Huma nie zauważył stojącej przed nim postaci. Była odziana w długi, fałdzisty, szary płaszcz i wtapiała się w otoczenie, a zwłaszcza w dominujące teraz cienie. Jej twarz była szara, podobnie jak zęby i język. Jedyna dostrzegalna zmiana, jaka zaszła w szarym człowieku od poprzedniego spotkania, polegała na tym, że tym razem nic uśmiechał się on nawet odrobinę.

- To znowu ty! - Huma ucieszył się, że spotkał niezwykłego maga - o ile faktycznie był to mag - gdyż dzięki temu mógł się chełpić przed kimś

- innym niż przed sobą samym. - Uporałem się z twoimi wyzwaniami i to z łatwością! Przychodzę po nagrodę. Co prawda, nie wydaje się ona już taka ważna. - Oczywiście. Zostaw miecz tam, gdzie stoisz, i ruszaj naprzód. - Mój miecz? Szary człowiek równie dobrze mógłby go poprosić, by zostawił rękę.

- Twój miecz. Zawsze uważałem, że akustyka jest tu całkiem niezła. Czyżbym się mylił? Oblicze maga było w tej chwili równie nieprzeniknione, jak twarz Rennarda. - Dlaczego?

Humie nie spodobało się to podejrzane posunięcie. Ostatecznie szary człowiek był sługą Królowej Smoków. Wyglądało na to, że bogowie obawiają się teraz mocy Humy. I właściwie czemu by nie?

- Tego przedmiotu nie tolerujemy w naszych komnatach. Nie powinno się go tolerować nigdzie. - Mówisz o tym?

Rycerz wznosił w górę wspaniałą miecz, podziwiając jego intensywną łunę. Przedtem uważał go tylko za dobrze wykonany, lecz jasność jego w pełni przebudzonego piękna czyniła go czymś, na co warto było popatrzeć. Oddać go? Nie uczyni tego bez walki!

- Ta twoja cudowna broń jest znana jako Miecz Łez. To relikw z Wieku Snów. Za jego pomocą Takhisis znęciła rasę ogrów, odwiodła ich od piękna, aż wreszcie wszyscy oprócz garstki zboczyli z właściwej ścieżki. Powiadają, że to z tym orężem w ręku wojownik ciemności rzuci wyzwanie światłu podczas ostatniej bitwy poprzedzającej dzień końca. Jest czystym złem i powinno się go unicestwić. O ile istnieje taka możliwość. - Mylisz się. To klucz do naszego zwycięstwa. Spójrz na niego! Szary człowiek zasłonił oczy. - Widziałem go. Wiele razy. Ta niegodziwa parodia blasku nadal mnie irytuje, choć minęło już tyle stuleci.

Huma opuścił miecz, lecz tylko na tyle, by skierować go w stronę zagrażającego mu drogę człowieka. - Czyżby? A może po prostu unikasz wszelkiego światła? Sądzę, że to ty stanowiąc właściwe niebezpieczeństwo. - Gdybyś tylko mógł zobaczyć swoją twarz.

- Moją twarz? - Huma roześmiał się arogancko. - Powiedziałeś: „Miecz Łez”. Czy to możliwe, by nadano mu tę nazwę z powodu łez, które wyleje Królowa Smoków, gdy wreszcie stanie wobec mocy potężniejszej od niej?

-
Twarz szarego człowieka skrzywiła się w wyrazie niesmaku. - Widzę, że ten straszliwy oręż w najmniejszym stopniu nie stracił swej mocy.

Huma skrzyżował ramiona, przyciskając miecz do piersi w obronnym geście. - Wystarczająco długo już słuchałem twojej śmiesznej tyrady. Czy pozwolisz mi przejść? Strażnik uniósł laskę do poziomu oka. - Nie z mieczem.

Huma uśmiechnął się tylko i wepchnął broń w ścianę po swej lewej stronie. Wbiła się tak łatwo, jakby tunel biegł przez kwaśne mleko, a nie skałę. Miecz rozjarzył się szmaragdowym światłem. Rycerz wyciągnął go z równą łatwością. Nie było na nim widać żadnych rys, a pobliski fragment skały stracił swój naturalny blask.

Szary człowiek skrzywił tylko wargi. - Lepiej uderz ją jeszcze raz. Może nadal być zdolna do walki - powiedział drwiąco.

Huma przeszył go gniewnym wzrokiem. - To twoja ostatnia szansa. Czy ustąpisz? - Nie, dopóki nie oddasz miecza. - W takim razie przetrąbię sobie drogę przez twoje ciało. - Jeśli zdołasz.

Rycerz uniósł Miecz Łez. Wydawało się, że rozjarzył się on jeszcze jaśniej, jakby z niecierpliwości. Huma ruszył naprzód. Szary człowiek porzucił swą obronną postawę i cisnął laskę na ziemię. Huma stanął bez ruchu z uniesioną ręką, chwilowo oszołomiony. - Więc się poddałeś?

Zakapturzona postać potrząsnęła głową. - Jeśli chcesz przejść, musisz mnie powalić.

Powal go! - krzyknął głos w umyśle Humy. Zielona łuna Miecza Łez zdominowała teraz tunel. Powal go! - powtórzył głos.

To byłoby... - Huma miał trudności z dokończeniem myśli. Głos stał się natarczywy: Powal go i zdobądź nagrodę! ...nikczemne!

Odlóż miecz, Humo. Tylko w ten sposób możesz odzyskać wolność. Nic! To słowo wydobyło się z ust Humy, lecz to nie on je wypowiedział. Wydawało się, że jego źródłem był sam miecz. Teraz sprawił on, że trzymająca go ręka uniosła się, jak gdyby rycerz miał zamiar zadać cios szaremu magowi. - Nie!

Tym razem to Huma przemówił. Oparł się o ścianę korytarza i spojrzał z nagłym niesmakiem i

grozą na przedmiot, który trzymał w dłoni, nie zważając na jego blask, od którego odwrócił się nawet szary człowiek.

Weź mnie! Użyj mnie! Stworzono mnie dla krwawej chwały! Stworzono mnie, bym zdobył świat dla mojej pani! - Nie!

Tym razem odmowa była bardziej zdecydowana. Wyraz szoku w oczach Huma ustąpił miejsca gniewowi. Rycerz wyzwolił się spod uroku złowieszczego artefaktu. Miecz zażądał od niego rzeczy niemożliwej - aby rozmyślnie zabił kogoś, kto nie tylko na to nie zasługiwał, lecz nawet nie próbował się bronić. Huma nie potrafił tak potraktować Rennarda, nie mógł też zrobić tego teraz z odzianym w ciemne szaty strażnikiem.

Z miecza popłynęła moc. Huma krzyknął. Wstrząs powalił go na ziemię. Miał wrażenie, że każde włókno jego ciała jest rozdzierane na strzępy. Widział tylko zieleń, czuł tylko ból, słyszał tylko nieprzerwane rozkazy Miecza Łez, który usiłował przemóc jego wolę. - Humo!

Inny głos, znajomy, spróbował wpłynąć na niego. Rycerz chwycił rzuconą mu linę. Skoncentrował się.

- Musisz być w pełni gotów się z nim rozstać. W przeciwnym razie demoniczny miecz opanuje twoje ciało i duszę!

W pełni? Huma podjął walkę z bólem. Zrozumiał już, że Miecz Łez służy tylko własnym, podstępny celom i nigdy naprawdę nie będzie niczym sługą. Ta świadomość dodała mu siły woli, której mu dotąd brakowało.

- Odrzucam cię! - Trzymał miecz na odległość wyciągniętej ręki. Jego widok przyprawiał go teraz o mdłości. - Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego i w związku z tym nie masz nade mną żadnej władzy!

Ból zelżał. Huma przeszedł do kontrataku. Powoli wyparł obcą obecność ze swej głowy. Lżył ją, pewien, że nie ma w niej żadnej prawdziwej mocy. Wydawało się, że cofnęła się przed jego determinacją. Szmaragdowy blask przygasł gwałtownie. - Panie - zawołał miecz. Doprawdy jesteś panem.

Złakł się jego umysłu. Huma nabierał pewności siebie. Nagle przez jego głowę przemknęła pewna myśl. Czy teraz, kiedy pokonał miecz, nie mógłby używać go bezpiecznie?

Nie! Odepchnął tę pokusę od siebie. Pot skapywał mu z czoła. Jego skóra zbieleła.

Z rozmachem odrzucił demoniczną broń na drugą stronę korytarza. W tej samej chwili odniósł wrażenie, że słyszy krzyk wściekłości. Oręż uderzył z brzękiem o przeciwległą ścianę i upadł na ziemię. Jego łuna niemal zniknęła.

- Nigdy - wydyszał Huma. Oparł się o ścianę z rękoma na kolanach. - Nawet za całą moc na świecie.

Odgłos powolnych kroków wyjawiał mu, że szary człowiek jest niedaleko. Na ramię Huma opadła mocna dłoń. - Nie musisz się już bać. Miecz Łez jest niczym. Nie więcej niż dymem na wietrze. Widzisz?

Huma podniósł wzrok. Demoniczny oręż zamigotał i zaczął przygasać. Przesączał się przez kamień ku nicości. Po kilku sekundach nie pozostał żaden ślad po jego fizycznej postaci i kryjącym się wewnątrz złowrogim duchu. - Gdzie się podział?

- Mam nadzieję, że wrócił tam, gdzie jest jego miejsce. Jest obdarzony własnym umysłem. Sam zresztą się o tym przekonałeś. Sądzę, że wysłałem go tam, skąd nie tak łatwo będzie mu się uwolnić.

Rycerz podniósł wzrok. - Uratowałeś mnie. I moją duszę. - Ja? Szary człowiek wyglądał na lekko rozbawionego. Udzieliłem ci tylko kilku przyjacielskich rad. To ty musiałeś stoczyć prawdziwy bój. Co więcej, nie uległeś. - I co teraz?

Huma wyprostował się powoli. Bolały go mięśnie i głowa. Nie sądził, by był w tej chwili do czegokolwiek zdolny. Oparł się bezwładnie o ścianę.

- Teraz? - W głosie szarego człowieka znowu brzmiała wesołość. Huma nie rozumiał, co wydawało mu się takie zabawne. - Teraz... pójdziesz dalej, by odebrać nagrodę. Uporałeś się z trzema wyzwaniem.

- Uporałem się... - Rycerz potrząsnął ze smutkiem głową. - Jesteś w błędzie. Zaledwie zdołałem ocalić życie, nie wspominając już o duszy. - Życie. Tak jest. To cel wszystkiego. Walczyć o życie, o cel.

- Gadzi Praszczur. Miecz Łez. To tylko dwa wyzwania. Chyba że... -Huma pojął nagle prawdę.

Szary człowiek uśmiechnął się smutno. - Twoja podróż przez zwierciadło nie była przypadkiem. Plama ciemności wżarła się głęboko w tkankę rycerstwa. Któż lepiej poradziłby sobie z oczyszczeniem go z owego plugastwa niż jeden z jego członków? Sądzę, iż większość ludzi z zadowoleniem zabiłaby Rennarda, nie dając mu szansy na poddanie się. Ty chciałeś go ocalić, nawet wtedy. To... to namiętne umiłowanie życia jest najważniejszym z ideałów, które stawia sobie rycerstwo.

Huma wyprostował się. Wbił wzrok w ciągnący się za szarym człowiekiem tunel, który zdawał się nie mieć końca. Następnie zwrócił się z powrotem ku zakapturzonej postaci. - Czy jesteś Paladinem? -

Szary mag uśmiechnął się figlarnie. Postukał się palcem w bok nosa. -Mógłbym powiedzieć, że nim jestem, ale nie zrobię tego. Niech ci wystarczy, że konieczne jest podtrzymywanie równowagi między dobrem a złem, a ja jestem jednym z tych, których wybrano do tego zadania. Pod tym względem przypominam cię, choć obawiam się, że moja rola jest mało znacząca w porównaniu z twoją nie dał Humie szansy na udzielenie odpowiedzi. - Już czas, byś przeszedł przez ten ostatni tunel, by odebrać nagrodę. Jak już mówiłem uprzednio, musisz tam iść nie uzbrojony w nic poza swą wiarą.

Huma wytrzeszczył oczy. Szary człowiek uniósł dłoń, w której trzymał ostrożnie, za czubki, dwa sztylety. Rycerz sięgnął odruchowo do pasa, lecz jego noże zniknęły. Stały się teraz własnością nieznajomego. On jednak również się ulotnił. Przed Huma pozostał tylko ziejący pustką tunel. Postąpił krok w kierunku skrytego w mroku przejścia.

Odmówił dwie modlitwy - jedną do Paladine'a, a drugą do Gileana, Pana Neutralności - po czym wkroczył w ciemność.

Nie potrafił ocenić upływu czasu, był jednak pewien, że szedł już długo, nim dotarli do niego pierwsze echa uderzeń młota. Nie wydawały się ani dalekie, ani bliskie. Ich donośność nigdy nie ulegała zmianie. Nie brzmiały tak, jak w wielkiej komorze, gdzie olbrzymi, oszalały potwór ryczał głośno z wywołanej nimi udręki. Znajome odgłosy kowalskiej roboty uspokajały Humę. Przypomnił sobie, jak podczas szkolenia uczono go podstaw tego rzemiosła. Wszyscy rycerze wiedzieli trochę na ten temat, gdyż każdy z nich mógł zostać zmuszony do naprawy zbroi bądź podkucia konia. W rycerstwie wymagano, by dobry kowal potrafił dokonać praktycznie wszystkiego z kowadłem, młotem i rozgrzanym do czerwoności metalem.

Huma uznał, że bez względu na to, kto pracuje przy kowadle, musi to być potężny mężczyzna, gdyż młot uderzał w całkowicie regularnym rytmie przez czas tak długi, że większość ludzi padłaby już z nóg. Kto jednak powiedział, że musi to być człowiek? Czy nie mógł to być sam Reorx? Huma wiedział, że jest to siedziba bogów i mocy. Przed nim mogło znajdować się wszystko.

Nagle znalazł się w potężnej zbrojowni. Z jakiegoś powodu nie zauważył wcześniej, że się do niej zbliża.

Wszędzie, od jednej ściany do drugiej, wisiały, stały lub leżały niezliczone narzędzia o charakterze wojennym bądź pokojowym. Widział je wszędzie, gdzie tylko mógł sięgnąć okiem w słabym świetle. Niektóre zwisały nawet wysoko u sufitu. Sierp, którego ostrze, gdyby je wyprostować, długością dorównywałoby przynajmniej ciału Humy. Miecze wszelkich kształtów i rozmiarów: jedne zakrzywione, inne proste; jedne wąskie, a inne ciężkie. Wysadzane klejnotami i pozbawione ozdób. Jedno - i oburęczne.

Zobaczył tu więcej pancerzy niż w skarbcu na dole: od najprymitywniejszych napierśników, do najnowszych modeli pełnej zbroi, noszonych przez ergothiańskich cesarzy. Nad nimi wisiały tarcze ozdobione wszystkimi herbami, jakie kiedykolwiek stworzono, łącznie z używanymi przez rycerzy solamnijskich.

Było tego znacznie więcej. Huma pragnął obejrzeć wszystko. Czuł się tak, jakby znalazł się w ukrytym grobowcu jakiegoś wielkiego wojownika. Nie było to jednak miejsce spoczynku zmarłego, gdyż broń i inne wyroby były wolne od kurzu oraz wszelkich oznak upływu czasu. Każdy przedmiot, który oglądał, mógł być wykonany zaledwie wczoraj, tak ostre były krawędzie i gładkie boki. Żadnej zbroi nie tknęła rdza. Drewniana rękojeść sierpa nie zbutwiała. Huma wiedział jednak, że owe wyroby są jeszcze starsze niż rozciągające się na dole groty, a ten szereg komnat stworzono wcześniej niż wszystko inne w całym górskim labiryncie. Nie potrafił określić, skąd to wie. Po prostu wiedział.

Uderzenia młota nabrały w jego uszach własnego rytmu. W pierwszej chwili nie zauważył, gdy ustały. Kiedy zwrócił na to uwagę, zdążył już dotrzeć na środek zbrojowni. Jego wzrok wędrował we wszystkich kierunkach. Huma zatrzymał się wtedy, ogarnięty chwilową niepewnością. Wówczas właśnie zauważył przed sobą błysk światła i usłyszał, że nieznany kowal wznowił pracę. Drogę zagradzały mu tylko dwie pary masywnych drzwi.

Huma wyciągnął rękę, by zapukać w jedno z nich, lecz w tej samej chwili otworzyły się przed nim. Ich lekkiemu poruszeniu towarzyszyło przerażające skrzypienie. Rycerza zdumiało, że młot nie przestał uderzać, całkiem jakby kowal nic nie usłyszał albo o to nie dbał.

Była to kuźnia o boskich rozmiarach. Olbrzymi zbiornik wody mógł służyć jedynie do chłodzenia wyrobów. Przy olbrzymim palenisku kowalskim - Huma musiał przymrużyć oczy - uwijały się widmowe postacie z werwą dorzucające do niego opału.

Walenie ustało na dobre. Huma oderwał wzrok od gorejącego jak słońce pieca i odwrócił się.

Kowadło sięgało mu do pasa. Ważyło z pewnością pół tuzina razy więcej niż Huma w pełnej zbroi. Pokryta sadzą postać, która stała obok, dzierżąc bez wysiłku w jednej ręce oburęczny młot wzniesiony wysoko

nad głową, odwróciła się, by przyjrzeć się przybyszowi. Ci, którzy pracowali przy piecu, zaprzestali swych czynności, podobnie jak dwójka przy kowadle. Kowal opuścił rękę i ruszył naprzód. Oczy Humy nie powędrowały natychmiast ku jego twarzy. Przyciągnęła je ręka kowala. Była wykonana z metalu lśniącego tak samo, jak materiał, w który obrócił się Gadzi Praszczur.

Następnie Huma spojrzał w twarz kowala. Tak jak całe ciało, pokrywała ją sadza. Mimo to rycerz dostrzegł, że nieznajomy nie należał do żadnej z ras. Jego rysy były połączeniem elfich, ludzkich, krasnoludzkich i czegoś... nierozpoznawalnego. Mężczyzna przyjrzał się mu od stóp do głów.

- Czy przybyłeś wreszcie po smoczą lancę? - zapytał zaskakująco cichym głosem.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Huma obrzucił wysokiego kowala zdeorientowanym spojrzeniem. - Po co? - odparł. - Po smoczą lancę? Czy jesteś wreszcie tym, komu się udało? Krasnoludzkie rysy ściągnęły się w wyrazie

nieskrywanej tęsknoty.

Kowal przymrużył oczy, jakby czekał na odpowiedź. Jego cienkie, elfie usta układały się w prostą linię na twarzy o przewadze rysów ludzkich. Było w niej jednak jeszcze „coś innego”, co nadawało mu przerażający, lecz piękny wygląd, nietypowy dla żadnej z tych trzech ras.

- Stawiłem czoła wyzwaniom, a przynajmniej tak mi powiedziano. Tak twierdził szary człowiek.

- Tak twierdził szary człowiek, he? Nawet staruszkowi Gadziem Praszczurowi? - Masywna postać nie czekała na odpowiedź. - Tak, jemu chyba też. Ostatnio zachowywał się raczej cicho. Czuję się dziwnie, nie słysząc już jego bombastycznego bredzenia. Nie przypominam sobie tak spokojnego dnia. Będę się chyba musiał do tego przyzwyczaić. Wzruszył ramionami. - Czy udzieliłem zadowolającej odpowiedzi na twoje pytanie?

Choć Huma nie odzyskał jeszcze pewności siebie, odezwało się w nim uczucie godności. Nie chciał sprawiać wrażenia onieśmiałego.

- W rzeczy samej, udzieliłeś - wyszeptał kowal, raczej do siebie niż do rycerza. - W rzeczy samej, udzieliłeś.

Wybuchnął mocnym, serdecznym śmiechem. - Wielki Reorxie! Nic sądziłem, że dożyję tego dnia! Wreszcie ktoś będzie mógł należycie docenić moją robotę. Czy wiesz, ile czasu upłynęło, odkąd rozmawiałem z kimś kompetentnym? - A co z nimi?

Huma wskazał na widmowych osobników stojących za kowalem. Nie sprawiali wrażenia urażonych.

Oni? To moi pomocnicy. Im muszą się podobać moje dzieła. Nie zrozumieliby prawdziwego pożytku płynącego ze smoczej lancy tak, jak rycerz. Paladine, jakże długo czekałem! Głos potężnego mężczyzny poniósł się echem po komnatach.

Zapomniałem się. - Głos kowala ucichł nagle, a twarz skrzywiła się w grymasie. Huma zauważył, że zmiany jego nastroju są równie gwałtowne, jak rysy twarzy niepowtarzalne. - Jestem Duncan Ironweaver, mistrz kowalski, zbrojmistrz i uczeń samego Reorxa. Czekałem na twoje przybycie tak długo, że wolę o tym nie pamiętać. Przez wiele lat niepokoiłem się, że możesz nigdy nie postawić tu nogi. Powinienem być wiedzieć lepiej.

Duncan Ironweaver wyciągnął rękę do Humy. Rycerz ujął ją bez zastanowienia. Uścisnął ciepły metal.

Kowal zauważył, że Huma gapi się na urządzenie. Uśmiechnął się. - Sam Gadzi Praszczur pozbawił mnie ręki, wiele lat temu, gdy byłem jeszcze nierozsądnym młodzieńcem. Choć sprawiło mi to ból, nigdy nie

żałowałem utraty kończyny. Ta nowa funkcjonuje znacznie lepiej. Nieraz, się zastanawiałem, jak by to było, gdyby miało się całe ciało z metalu - wydawało się, że medytowałem nad tą możliwością przez kilka sekund, nim zdał sobie sprawę, że odbiegł od tematu. - Oczywiście bez srebrnej ręki zabrakłoby mi siły i wytrzymałości niezbędnych, by przekuć cudowne smocze srebro w znakomicie wykonaną smoczą lancę. Znowu smocza lanca.

- Co to jest ta smocza lanca? Jeśli to po nią przybyłem, to czy mogę ją zobaczyć?

Ironweaver zamrużył powiekami. - Nie pokazałem ci jej? - Dotknął głowy dłonią brudną od sadzy. - Oczywiście, że nie! We łbie mi się maści. Chodź więc. Pójdź ze mną, byśmy wspólnie obejrzeliby cud, na który złożyło się coś więcej niż moje proste umiejętności i twoja odwaga.

Kowal odwrócił się i ruszył krętą trasą ku najciemniejszym głębiom sali. Czterech widmowych pomocników ustąpiło z drogi swemu mistrzowi oraz towarzyszącemu mu rycerzowi. Gdy Huma zbliżył się do nich, odniósł wrażenie, że wtopili się w ciemność. Dostrzegał jedynie cztery pary oczu, które zdawały się przenikać go na wskroś.

Idący kilka metrów przed nim Ironweaver pogwizdywał melodię, która przypominała nieco solamijską pieśń marszową. Sprawilo to, że Huma uspokoił się nieco, choć zastanawiał się, co łączyło kowala z rycerzami solamijskimi i z jakich czasów wywodził się ten związek. W tej chwili nie byłby zaskoczony, gdyby przebudził się w twierdzy Vingaard i przekonał się, że wszystko to było tylko snem.

Podeszli do następnych drzwi. Potężny kowal zatrzymał się i zwrócił w stronę Humy. - Przez te wrota przejdziesz tylko ty. Mam dużo roboty i muszę do niej wracać. Kto inny zaprowadzi cię z powrotem do świata zewnętrznego i twych przyjaciół.

Przyjaciół? Skąd Duncan Ironweaver wiedział o Kazie i Magiusie? - A smocza lanca? - Poznasz ją, gdy ją zobaczysz, mój mały druhu. - Gdzie mam...

Huma zaczął pytać o coś jeszcze, lecz przerwał nagle, gdy zauważył, że przemawia do powietrza. Zwrócił się szybko w kierunku, z którego przyszedł, lecz kuźni nie było już widać. Została tylko ciemność. Huma postawił na próbę kilka kroków w tamtą stronę, lecz cofnął się z niesmakiem, gdy jego twarz zetknęła się z grubą pajęczyną o niewiarygodnych rozmiarach. Wypluł z ust ohydny substancję i przyjrzał się pajęczynie. Była stara.

Powstawała przez niezliczone pokolenia. Jej powierzchnię pokrywała gruba warstwa kurzu. Tu i ówdzie dotykała zardzewiałych narzędzi, mieczy, starego sprzętu do obróbki metalu - przedmiotów zapomnianych przez ich twórców i użytkowników na długo przed narodzinami Humy. Ale przecież przed chwilą tędy przechodził.

Nawiedziła go niepokojąca myśl: jaki to pajak potrzebowałby tak gigantycznej pajęczyny?

Nie spuszczać z niej oczu, Huma wyciągnął rękę ku drzwiom. Klamka - długa, wyszczerbiona i zardzewiała ze starości - ustąpiła z wyraźnym oporem. Wreszcie wrota otworzyły się, wzbijając w górę chmurę pyłu. Powoli, z wielką czcią, Huma wszedł do komnaty smoczej lancy.

Ujrzał szarżującego ogiera okrytego pancerzem z najczystszej platyny. Gdy ścigał się z wiatrem, z jego chrap buchał ogień. Potem Huma zobaczył rycerza, śmiałego i gotowego do walki, dzierżącego wielką, opuszczoną lancę. On również był zakuty w platynę. Jego hełm zdobił znak majestatycznego smoka, na napierśniku zaś widniał symbol Triumwiratu: Korona, Miecz i Róża.

Pod zasłoną hełmu lśnił blask, jasny i życiodajny. Huma zrozumiał, że ma przed sobą Paladine'a.

Wielki rumak wyskoczył nagle w powietrze. Z jego boków wyrosły potężne skrzydła. Głowa mu się wydłużyła, a szyja wyciągnęła i zawinęła. Nie stracił jednak nic ze swego majestatu i piękna. Przerodził się z zakutego w platynę wierzchowca w platynowego smoka. Rycerz i jego towarzyszy zmuszali ciemność do ucieczki, posilkując się lancą... smoczą lancą. Lśniła ona własnym życiem i przeznaczeniem. Mrok pierzchał przed nią. Zrodzona ze świata i niebios była prawdziwą mocą, prawdziwym dobrem.

Zniszczywszy ciemność, smok wylądował przed Huma, który mógł tylko paść na kolana. Rycerz odpiął smoczą lancę od uprząży i wyciągnął ją ku klęczącemu śmiertelnikowi. Huma podniósł się powoli i z pewnym wahaniem. Postąpił krok naprzód. Wyciągnął rękę i ujął broń za drzewce. Smok i dosiadający go jeździec zniknęli, pozostawiając Humie cudowny dar. Rycerz uniósł go nad głowę i krzyknął z radości.

Zalewał go pot. Jego ciało utraciło niemal całą energię. Huma jednak nie czuł niepokoju, gdyż było to wyczerpanie następujące po radosnym ożywieniu towarzyszącym spełnieniu marzeń. Wiedział, że już nigdy w życiu nie zazna podobnego uniesienia. Leżał na podłodze komnaty, skąpany w czystym, białym świetle.

Dźwignął się na kolana i spojrzał w blask. Ogarnął go zachwyty.

Stał nad nim smok naturalnych rozmiarów. Jego oczy spoglądały na śmiertelnika. Wydawało się,

że właśnie przed chwilą wylądował. Wykonano go z czystej platyny. Rzemieślnik, który go rzeźbił, musiał umiejętnościami dorównywać bogom. Rozpostarte skrzydła sięgały daleko, pod ściany komnaty. Huma zdumiał się, że metal wytrzymuje takie obciążenie. Każda łuska, od największej do najmniejszej, była wyrzeźbiona z najdrobniejszymi szczegółami. Smok wyglądał całkiem jak żywy. Huma nie zdziwiłby się, gdyby nagle zaczął oddychać.

Jeździec także wyglądał tak realistycznie, jakby był gotowy zeskoczyć z grzbietu swego latającego towarzysza. Prawdopodobnie też patrzył na Humę, choć nie było widać jego oczu ukrytych za opuszczoną zasłoną. Zbroja była wykonana równie pieczołowicie, jak skóra smoka. Huma dostrzegał każde połączenie, każde ogniwo, a nawet szczegóły ślimacznicy na napierśniku. Źródłem wypełniającego komnatę blasku była smocza lanca.

Była długa, gładka i wąska. Długością niemal trzykrotnie przewyższała wzrost rycerza. Wydawało się, że na końcu zwęża się, tworząc grot tak ostry, iż nic nie mogłoby zagrozić mu drogi. Za nim, w odległości ponad pół metra od końca lancy, po obu jej stronach wyrastały ostre zadziory gwarantujące, że każdy cios będzie drogo kosztował nieprzyjaciela.

Drugi koniec lancy tworzyła ozdobna tarcza, której nadano kształt przerażającego oblicza atakującego smoka. Drzewce wystawało z paszczy olbrzyma niczym język ognia. Skryta za tarczą ręka platynowego rycerza trzymała oręż w pozycji bojowej.

Smocza lanca była tak doskonała, że Huma czuł się niegodny przejąć ją z rąk rycerza. Mimo to uzbroił się w męstwo i podszedł bliżej. Musiał wspiąć się w górę, by odpiąć broń od uprząży utrzymującej ją na siodle. Jej oś obróciła się, dając Humie pewną swobodę. Nie był jednak pewien, jak usunąć z uchwytu dłoni metalowego rycerza. Gdy dotknął jego palców, zwolniły one uścisk same z siebie i lanca niemalże wpadła w oczekujące ręce Humy.

Zgodnie z jego oczekiwaniami, była ciężka, lecz Huma w tej chwili o to nie dbał. Był zakłopotany myślą, że zdobył ją on, najmniej wart spośród rycerzy. Fakt, że Paladine pobłogosławił go w podobny sposób, sam z siebie stanowił cud. Gdy złożył lancę na ziemi, opadł na kolana, by odmówić dziękczynne modły. Wydawało się, że smocza lanca zaśniła jeszcze jaśniej. Gdy wreszcie minął początkowy zachwyt, Huma zauważył inne lance,

które zdobiły ściany wokół niego. Zdumiało go, że z jakiegoś powodu nie dostrzegł ich wcześniej.

Wzniósł dzięki za to, że Paladine raz jeszcze wszystko przewidział, gdyż jedna lanca z pewnością by nie wystarczyła. Naliczył ich w sumie dwadzieścia. Dziewiętnaście wyglądało tak samo, jak ta, którą zobaczył najpierw, dwudziesta zaś była mniejsza, lecz lśniła nie mniej jasno. Huma uznał, że z pewnością jest przeznaczona dla piechoty.

Zdjął je z uchwytów, jedna za drugą. Każdą ujmował w ręce z czcią. To były narzędzia, które uwolnią Krynn od Królowej Smoków. Ochotników z pewnością nie zabraknie.

Co dziwne, wydawało się, że nie ma stąd innego wyjścia niż drzwi, którymi wszedł. Huma zadał sobie pytanie, jak zdoła wynieść lance spod góry i przetransportować je do Solamni. Czy zaszedł tak daleko po to tylko, by skapitulować przed tą stosunkowo nieznaczną trudnością?

Rozejrzył się po komnacie. Jego wzrok zatrzymał się na postaci dosiadającego smoka rycerza. Spoglądał on w górę i nieco w bok, zupełnie jakby szukał czegoś w pobliżu jednego z dalej położonych narożników sufitu. Obraz był tak sugestywny, że Huma nie mógł nie odwrócić się i nie popatrzeć w tę samą stronę.

Z początku nie dostrzegł nic, potem jednak ujrzał niemal niedostrzegalne zarysy zapadni. Podbiegł w tamtą stronę, by zbadać sprawę. Odkrył na ścianie punkty oparcia dla dłoni i stóp. Były to jedynie płytkie zagłębienia i nie sposób ich było zauważyć, jeśli nie stało się na wprost nich.

Odwrócił się i spojrzął z niepokojem na lance, które złożył w stos. Bardzo nie podobała mu się myśl o zostawieniu ich tutaj, lecz wiedział, że potrzebna mu pomoc, jeśli ma wynieść z tej komnaty choć jedną z nich. Musiał znaleźć Kaza i Magiusa.

Z wielką ostrożnością rozpoczął wspinaczkę. Nie była ona tak trudna, jak się tego spodziewał. Wkrótce znalazł się pod sufitem. Otwarcie drzwi okazało się jednak niełatwe, gdyż musiał niebezpiecznie odchylić się do tyłu, aby popchnąć je jak należy. Mięśnie ręki chroniącej go przed śmiertelnym upadkiem naprężyły się mocno. Huma musiał wcześniej zdjąć rękawice, by mieć lepszy uchwyt. Teraz za to płacił, zdzierając sobie powoli skórę z koniuszków palców.

Gdy kłapa wreszcie się uchyliła, rycerz wydał z siebie westchnienie ulgi. Ten, kto ją zbudował, celowo utrudnił jej otwarcie. Huma wątpił, by kiedykolwiek odgadł jego motywy. Niemniej, ważne było, że droga wyjścia stała się wreszcie dostępna.

Wyciągnął rękę w górę. Poczul, jak między jego palcami zatańczył chłodny wietrzyk. Poruszywszy dłonią, odkrył, że grunt pokrywa coś miękkiego, być może śnieg. Chwycił za brzegi otworu i podciągnął się.

Był dzień. Nie padał deszcz, a nieba nie przesłaniała powłoka chmur. Górski stok oświetlało słońce. Huma zastygł, wystające do pasa nad ziemię. Napawał się tym widokiem. Ile czasu upłynęło, odkąd naprawdę widział słońce? Nie pamiętni już tego. Był to wspaniały obraz. Być może stanowił on znak, że nastąpił przełom.

Grunt faktycznie pokrywała cienka warstewka śniegu. Wokół nie było widać żadnych śladów. Rycerz był sam, chyba że coś przelatywało nad jego głową. Niebo było jednak czyste. Czyste i błękitne. Zapomniał już, że ma taką barwę.

Huma wyszedł z zamaskowanej dziury i z uwagą zbadął okolicę. Odnalazł w pobliżu wielki głaz i umieścił go w pobliżu otworu jako znak.

- Miałam nadzieję, że ci się uda. Modliłam się o to. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ci się nie powiodło. - Gwyneth! Jej imię eksplodowało na jego wargach, gdy się odwracał.

Była odziana w prosty płaszcz o srebrnym odcieniu. Jej włosy powiewały na wietrze. Młoda kobieta, która nadzorowała jego powrót do zdrowia w namiocie, wyglądała całkiem jak dumna... kapłanka? Jaką rolę grała w tym wszystkim?

- W istocie mi się udało, Gwyneth! Pod naszymi stopami znajduje się broń, która uwolni ten świat od Królowej Smoków!

Uśmiechnęła się na widok jego entuzjazmu. Postąpiła krok naprzód. Wydawało się, że jej stopy zaledwie dotykają pokrytego śniegiem gruntu. Huma zauważył, że kobieta nie zostawia żadnych śladów. - Opowiedz mi o tym.

Próbował to zrobić, och jak bardzo próbował, lecz słowa, które popłynęły z jego ust były zbyt ubogie, zbyt skomplikowane, nie wystarczające, by wyrazić to, co chciał przekazać. Gdy zdawał Gwyneth relację ze swej misji, wszystko wydawało mu się całkowicie nieprawdopodobne. Czy przeżył to naprawdę? W jaki sposób prastary potwór zwany Gadzim Praszczurem obrócił się w przedmiot z lśniącego metalu, wielokrotnie większy od Humy? Czy wizja w komnacie smoczej lancy była prawdziwa, czy też stanowiła jedynie efekt złudzenia?

Gwyneth wysłuchiwała wszystkiego z twarzą pozbawioną wyrazu. Tylko w jej przypatrujących się Humie oczach widniało coś niemożliwego do rozpoznania. Gdy skończył, z powagą skinęła głową. - Już gdy ujrzałam

cię po raz pierwszy, dostrzegłam w tobie wielkość stwierdziła. -Zobaczyłam to, czego nie miało tak wielu przed tobą. Naprawdę obchodzili cię mieszkańcy Krynnu. To właśnie stało się przyczyną porażki tamtych. Inni ludzie interesowali ich, lecz w stopniu niewielkim w porównaniu z ich

osobistymi ambicjami.

Huma ujął ją za ramiona i uściskał. - Czy teraz znikniesz, tak jak szary człowiek i kowal?

- Tak, na pewien czas. Musisz odnaleźć swych towarzyszy. Kiedy wrócisz, będzie na ciebie czekał kto inny. Ktoś, kogo znasz i kto pomoże ci w nadchodzących dniach. - A Kaz i Magius?

- Są niedaleko - uśmiechnęła się. - Jestem zaskoczona, że tak długo znosili swe towarzystwo.

- Muszę ich odnaleźć - zdecydował nagle Huma. Było tak wiele do zrobienia. Bardzo nie chciał opuszczać Gwyneth, choć mieli się jeszcze spotkać. Prawda, że mieli?

W jej oczach pojawił się wyraz niepokoju. Wysunęła się z jego objęć. Uśmiech pozostał na miejscu, lecz stał się mniej wyrazisty. Przypominał raczej ochronną maskę. - Twoi przyjaciele czekają tam. - Wskazała ręką na wschód. - Lepiej idź już do nich. Zaczynają się o ciebie niepokoić.

Odwróciła się i oddaliła szybkim, lekkim krokiem. Huma omal za nią nie podążył, lecz była mu na tyle bliska, że uszanował jej życzenia w tej kwestii. Myśl, że może jej już nigdy nie zobaczyć, rozdzierała mu serce, lecz pozwolił jej odejść, zwracając się w drugą stronę.

Ruszył na wschód, brnąc w miękkim śniegu. Zauważył, że tutaj powłoka chmur nie rozproszyła się. Słońce po prostu unikało tego szczytu.

Szedł nie dłużej niż dziesięć minut, gdy usłyszał głos. Nie sposób było pomylić go z żadnym innym. Był to Kaz, i to rozgniewany. Rycerz przyspieszył kroku. Tylko jedna osoba mogła podobnie poirytować minotaura.

Gdybym tylko uczynił to, co chciałem zrobić, i położył kres twojej nędznej egzystencji. Nie masz honoru ani sumienia.

Kaz stał wyprostowany. Ruchy jego pięści podkreślały każde słowo. Uderzał nimi w powietrze, jakby to ono było adresatem wygłaszanej reprimendy.

Magius siedział na wielkim głazie. Zachowywał się dziwnie cicho. Skrył twarz w dłoniach. Bez ruchu wysłuchiwał wymyślań minotaura. Huma z napięciem zbliżał się do tej pary. To Magius wyczuł jego obecność. Twarz maga była blada i wychudła.

Włosy sterczały mu dziko we wszystkich kierunkach. Oczy miał zapadnięte. Wybałuszył je, gdy uniósł głowę. Otępiały umysł czarodzieja rozpoznał wreszcie postać swego jedyne go przyjaciela. - Huma!

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

- Co? - Kaz poderwał się na nagły krzyk. Zauważył, w którą stronę patrzy mag i odwrócił się. Krwawoczerwony kolor zniknął z jego oczu. Na krowiej twarzy pojawił się pełen zębów uśmiech. Zapomniał na chwilę o niedawnym gniewie. - Huma!

Minotaur ruszył naprzód, lecz Magius się skulił. Popatrzył żałośnie w kierunku Humy, lecz nawet nie drgnął, by razem z Kazem przywitać zaginionego towarzysza.

Minotaur omal nie zmiażdżył rycerza w niedźwiedzim uścisku. Spoglądał na niego z góry, cały czas się uśmiechając. Nagle podniósł nieszczęśnika z ziemi i zakręcił nim wkoło. Huma czuł się w uścisku olbrzymiego zwierzoluda jak niemowlę.

- Gdzie się podziewałeś? Szukałem cię, ale nie mogłem znaleźć ścieżki, którą podążyłeś. Nie zaprzestałem jednak poszukiwań. Wołałem cię, ale odpowiadał mi tylko wiatr i ten piekielny krzyk. Sarg... Bogowie! Wreszcie pomyślałem, że nie żyjesz. - Kaz postawił Humę na ziemi. Odwrócił się ku Magiusowi, który cofnął się niczym uderzony. - Kiedy powiedziałem temu tam, co się stało, z początku wręcz krzyknął z radości. - Co?

Huma popatrzył na Magiusa. Jego przyjaciel z lat dzieciństwa nie chciał na niego spojrzeć.

Kaz dźgnął palcem rycerza. - Czy wiesz, dlaczego byłeś dla niego taki ważny? Nie chodziło o twoją przyjaźń ani umiejętności. Uwierzył w swoją szaloną wizję, że gdzieś tu faktycznie znajduje się dar od Paladine'a, ale gdyby spróbował go zdobyć, zginąłby. Postanowił więc wysłać najpierw ciebie. Miałeś przyjąć na siebie atak, który by go zabił! Twoje życie był skłonny poświęcić! - Rozgniewany wojownik roześmiał się zimno. - Czy potrafisz w to uwierzyć? Twierdził, że rycerz w lśniącej jak słońce zbroi przeszyje go lancą o niewiarygodnej mocy. Czy słyszałeś kiedyś podobne bzdury? Kiedy uznał, że zginąłeś, był przekonany, że wizja została zmieniona raz na zawsze. Był pewien, że niemal natychmiast odnajdzie tę wielką tajemnicę i ocali życie, by wykorzystać ją ku twojej pamięci i własnej chwale.

Kaz przerwał, by zaczerpnąć tchu. Huma wybrał ten moment, aby ominąć minotaura i stanąć twarzą w twarz z Magiusem. Czarodziej niemal lękliwie podniósł wzrok i cofnął się o krok. Huma wyciągnął rękę, lecz

Magius nie chciał jej uścisnąć.

Minotaur stanął za plecami rycerza. - Gdy nie znaleźliśmy żadnej ścieżki ani jaskini, zaczął tracić panowanie nad sobą. Nigdy bym nie uwierzył, że on może mieć sumienie. Przypuszczam, że mu w tym nieco pomogłem, gdyż co dzień, co godzinę, przypominałem mu o tym, co uczynił. O tym, że uważałeś go za dobrego przyjaciela.

Huma pochylił się. Jego głos brzmiał łagodnie. - Magiusie. Nie masz się czego bać. Nie nienawidzę cię za to, co zrobiłeś. To nie byłeś ty. To nigdy nie byłeś ty. Cień minotaura padł na nich obu. Magius odwrócił się.

- Co ty pleciesz, Humo? - wtrącił się Kaz. - On cię zdradził. Zaplanował całą sprawę, zanim jeszcze my dwaj się spotkaliśmy. I wszystko to z powodu jakiegoś kompletnego, bezsensownego szaleństwa!

- Nie było cię tam! - warknął Huma. - Słyszałem opowieści o tym, jak realne są próby. Czasami istnieją tylko w umyśle, lecz niekiedy są całkowicie, przerażająco rzeczywiste. Tak czy inaczej, poddawany im czarodziej może przypłacić to życiem.

- Magiusie - wyszeptał Huma do swego dręczonego wyrzutami sumienia przyjaciela. Czarnoksiężnik sprawiał wrażenie, że jest bliski załamania. Wydawało mu się pewnie, że to duch

rycerza wrócił z za grobu, by straszyć tego, kto go zdradził. -Magiusie. Zapomnij o wizji. Miałeś rację w sprawie góry. Znalazłem to, czego szukaliśmy! Źrenice maga poszerzyły się, a potem zwężyły.

- Znalazłeś? - Tak. Stawiłem czoło wyzwaniom czekającym pod górą i zwyciężyłem.

- Co ty gadasz? - ryknął Kaz. - Jakim wyzwaniom? Huma zdał pośpieszną relację z tego, co wydarzyło się wewnątrz góry. Opowieść o Gadzim Praszczurze wywołała w oczach Magiusa dziwny blask. Czarodziej, jękając się, wyznał, że przed wielu laty badał sprawę statuetki, lecz nie odnalazł nic poza kilkoma strzępami legend. Zdrada Rennarda wstrząsnęła obydwojma słuchaczami. Magius wychował się razem z Huma i często zastanawiał się, kto był ojcem jego przyjaciela.

- Na mych przodków do dwudziestego piątego pokolenia! Gdybym tylko mógł być obecny przy twojej walce z ojcem wszystkich smoków. Taki bój, a mnie tam nie było! Minotaur potrzęsnał głową. Rycerz skrzywił twarz.

- Biłem się raczej o ocalenie życia niż o cokolwiek innego. Wielką rolę odegrało w tym szczęście.

- Nie sędzę. Nie uważam, by szczęście było liczącym się czynnikiem w tych wyzwaniach. Ilu wojowników uciekło lub stało, dygocząc, przed

- smokiem? Wielu minotaurów uznałoby podobną walkę za szaleństwo.

Magius pociągnął Humę za rękę, całkiem jak małe dziecko. - Smocza lanca? Czy masz ją ze sobą? Muszę ją zobaczyć!

Przed twarzą czarnoksiężnika zmaterializował się potężny, uzbrojony w pazury kułak. - Niczego nie zobaczysz!

Huma nie uląkł się gniewu minotaura. Siłą odciągnął jego pięść w dół. Kaz przeszył rycerza wściekłym spojrzeniem, lecz potem zapanował nad sobą.

- Po to właśnie potrzebuję waszej pomocy - wyjaśnił im Huma. - Może na nas czekać jeszcze jedna osoba, ale musicie pójść ze mną, aby wydobyć lance z komnaty. Wszystkie oprócz jednej są przeszło dwa razy wyższe od ciebie, Kaz. To będzie trudne.

- Ale to zrobimy i ten szczer nam w tym pomoże. Magius pobladł, lecz nie ustąpił. - Zrobię tyle, co i ty, a zapewne więcej.

Wiatr targał grzywą minotaura, zasłaniając mu twarz. Nadawało mu to szczególnie dziki wygląd. - To się dopiero okaże, magu.

- Dość tego! - krzyknął Huma. O ile będzie to konieczne, wyciągnie lance sam. - Jeśli chcecie ze mną iść, to chodźcie, a jak nie, to zostańcie tutaj i pozwólcie, żeby zasypał was śnieg!

Oddalił się dumnym krokiem. W chwilę później obaj podążyli za nim bez komentarza.

Zaznaczył miejsce najlepiej, jak potrafił. Głaz leżał tam, gdzie go zostawił. Przeszedł nad nim i sięgnął ręką w dół. Kaz i Magius przyglądali mu się z zainteresowaniem, zwłaszcza, gdy dłoń Humy natrafiła tylko na twardą ziemię, a nie na otwór, który powinien tam się znajdować. - Co się stało? - zapytał Kaz.

- Nie mogę znaleźć wejścia! Nie mogę znaleźć wejścia! Jego towarzysze opadli na kolana i zaczęli przeszukiwać grunt.

- Nie ma potrzeby dalej szukać - odezwał się nagle jakiś głos. - Smocze lance są w bezpiecznym miejscu, przygotowane do podróży do świata.

Słowa dobiegały z góry. W całą trójkę uderzył potężny podmuch wiatru, który zmusił ich do cofnięcia się. Głos przeprosił ich. Wielkie skrzydła spowolniły ruchy. Na pobliskiej wyniosłości wylądował majestatyczny smok.

- Usłyszałam wezwanie - oznajmiła ta sama srebrna smoczyca, która udzieliła niegdyś pomocy Humie i Kazowi. Wydawało się, że było to już tak dawno temu. - Lance są gotowe. Czekają na nas w

bezpiecznym miejscu. Spojrzała - czule? - na rycerza.

- Następny etap ich podróży zależy od ciebie, Huma.

Rozdział dwudziesty drugi

Po ciebie? Gwyneth posłała po ciebie?

Srebrna smoczyca pochyliła głowę na znak potwierdzenia. - Urodziłam się w tej okolicy dawno temu. Nadal ją odwiedzam. Jest częścią moich obowiązków, częścią mojego przeznaczenia, by pełnić tu straż w oczekiwaniu na dzień, gdy smocze lance zostaną objawione światu.

- Jak poradziście sobie w walce z ciemnością? - zapytał Huma. Pamiętał smoki czekające, aż spowije je magiczny mrok. Zastanawiał się wtedy, czy ocalą życie.

- Ponieśliśmy klęskę. - W jej głosie zabrzmiała bardzo ludzka gorycz. - To było coś więcej niż tylko dzieło renegatów. Wyczuwaliśmy obecność magów Czarnych Szat - choć z jakichś powodów nie mieli oni ochoty się angażować - a także czegoś innego. Czegoś tak złego, że dwójka z nas zginęła na miejscu jedynie ze względu na jego bliskość. Podejrzewaliśmy to już przedtem. W chwili porażki uzyskaliśmy pewność - zawahała się. - Na Krynn przybyła Takhisis.

Wszyscy byli oszołomieni. Minotaur poruszył ustami, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Magius potrząsał głową raz za razem, jak gdyby mógł w ten sposób zaprzeczyć jej słowom. Huma stał po prostu bez ruchu. Jego kamienna twarz skutecznie maskowała strach i ból, jaki poczuł. Królowa Smoków na Krynnie. Wydawało się, że to koniec nadziei.

A może nie? Huma natychmiast przypomniał sobie wizję platynowego rycerza, który zwyciężył ciemność za pomocą pełnej splendoru lancy.

Uciał wszelkie komentarze, stwierdzając bez ogródek: - To o niczym nie przesądza. Mamy smocze lance. Jest jeszcze nadzieja. Kaz potrząsnął głową. Magius po prostu wchłaniał w siebie każde

słowo. Smoczyca spojrzała na nich z satysfakcją. Wyglądała na bardzo zadowoloną z reakcji Humy.

Wiatr zaczął się wzmagać. Ani Huma, ani jego towarzysze nie mieli najmniejszego zamiaru pozostawać na szczycie dłużej niż to konieczne. Potrzebowali jedzenia i odpoczynku. - Gdzie są lance? - zapytał srebrną smoczącą Huma.

- Daleko w dole, razem z waszymi końmi. Być może zdołałabym udźwignąć je wszystkie, ale to niemal uniemożliwiłoby mi manewrowanie, nie mówiąc już o utrzymaniu się w powietrzu. Lepiej, żebyśmy była nie obciążona, na wypadek gdyby zaatakowano nas po drodze.

Humie przyszła do głowy pewna myśl. Rycerz zwrócił się ku swym towarzyszom. - Kaz, ty i Magius pojedziecie konno. Chciałbym uwierzyć, że potraficie ze sobą współpracować. Czy to możliwe?

Kaz spojrzał spode łba na maga. Ten, uwolniony od poczucia winy, szybko odzyskiwał swą poprzednią arogancję. Popatrzył na minotaura z równą niechęcią. Mogli jednak pracować razem, gdyż stojący przed nimi cel był nieporównanie ważniejszy niż ich małostkowość. Usatysfakcjonowany Huma mówił dalej.

- Na posągu smoka w komnacie lanc było siodło - powiedział do smoczyce. - Umożliwiało ono jeźdźcowi panowanie nad bronią. Chciałbym stworzyć jego prowizoryczną wersję. Potem, jeśli pozwolisz, polecę na twoim grzbiecie ze smoczą lancą gotową do użytku na wypadek, gdyby nas zaatakowano.

Spojrzała w górę. Zastanawiała się nad tym przez chwilę. Wreszcie skinęła głową. - Znakomity pomysł. Muszę cię poinformować, że gdy przybyłam w te góry, natknęłam się na jednego ze straszywilków Galana Dracosa. Natychmiast go zabiłam, lecz możesz być pewien, że renegat wyśle

swego sługusa, naczelnego wodza Crynusa, by się z tobą rozprawił - wysunęła długie szpony. - Nie mam nic przeciwko ponownej konfrontacji z tym plugastwem zwanym Charrem. Zbyt wielu mych pobratymców padło ofiarą owego czarnego smoka i jego towarzysza, naczelnego wodza.

Powiedziawszy to, srebrna smoczyca rozpostarła skrzydła, wzbiła się delikatnie w powietrze na chwilę tak krótką, jak to tylko możliwe, po czym wylądowała niżej, by móc spoglądać pozostałym prosto w oczy. Właźcie. Mogę zanieść was wszystkich do lanc. Przygotujcie się jednak na częste zmiany kursu. Wiatry w górach potrafią być porywiste.

Gdy już zasiedli bezpiecznie na jej grzbiecie, ponownie rozpostarła skrzydła i wzbiła się w górę. Przez chwilę trzej jeźdźcy mieli wrażenie, że ziemia na dole pomknęła im na spotkanie, potem jednak zaczęła się

oddalać. Srebrna smoczyca wzniosła się wyżej. Wreszcie zdołała wyrównać lot jak należy.

Huma spojrzał na turnię, którą zostawiali za sobą. Wydarzyło się tu tak wiele rzeczy, których nigdy w pełni nie zrozumie. Nie wdrapał się nawet na jej szczyt, jak z początku sądził. Przynajmniej jedna czwarta wysokości potężnego olbrzyma wciąż majaczyła nad nimi.

W dole leżał świat, skryty za zasłoną chmur. Gdy zagłębili się w wiszący nad Ansalonem pułap mgieł, Huma zadrżał. Bez względu na zwycięstwa, które odniósł wewnątrz góry, modlił się o to, by zdołał sprostać oczekującym go wyzwaniom.

- Tam. - Srebrna smoczyca wskazała punkt położony u południowej podstawy góry. Huma popatrzył w dół. Ujrzał konie i wóz. Dobrze zaplanowała ich trudną podróż.

Dopiero, gdy znaleźli się na ziemi, Kaz zaczął protestować. - Nie możesz kazać takim koniom ciągnąć wozu! Nie są nauczone podobnej pracy. To bojowe rumaki, a nie pociągowe szkapy. - Zrobią, co będą mogły - odparła majestatyczna olbrzymka.

Huma tymczasem zabrał się szybko do pracy nad urzeczywistnieniem swego pomysłu. Zdjął siodło ze swego wierzchowca. Posługując się sztyletem pożyczonym od Kaza - jego własny został gdzieś pod górą - naciął je po obu stronach, by lepiej pasowało na smoczy grzbiet, który był znacznie szerszy od końskiego. Ponieważ rzemienie nie mogły objąć tułowia smoka, Huma był zmuszony użyć sznura. Na szczęście skóra smoczycy była znacznie mocniejsza i twardsza od końskiej, grube powrozy nie drażniły więc jej ani nie krępowały ruchów.

Nie był w stanie zrobić wiele w sprawie osi, na której lanca miała się obracać. Właściwie mógł tylko odciąć kawałek łąku siodła, by broń miała na czym spoczywać. Następnie przywiązał ją mocno z tej samej strony i wypróbował. Przekonał się, że może ją w pewnym stopniu przesunąć w lewo, lecz w prawo tylko bardzo nieznacznie. Upewniwszy się, że lanca się utrzyma, Huma zdjął ją i zaprezentował smoczyce swe dzieło. Ta popatrzyła na nie z pytaniem w oczach, po czym zaakceptowała jego projekt.

- Siodło, które widziałem - wyjaśnił rycerz - było bardzo podobne do końskiego, choć szersze, gdyż musiał je nosić smok. Zasadniczą różnicę stanowi oś, na której spoczywa smocza lanca. Ta na posągu obróciła się, gdy zdejmowałem z niej broń. Nie mogę uzyskać takiego efektu, nie mając więcej czasu i sprzętu. W związku z tym pozostało mi tylko przycięcie łąku tak, by pasował do rękojeści lancy. - Huma spojrzał krzywo na swe

- dzieło. - Właściwie zrobiłem bardzo niewiele.

- To wystarczy - zapewniło go uskrzydłone stworzenie. Podczas gdy Huma był zajęty siodłem, Magius poddał oględzinom wóz. Nie podobała mu się szczególnie myśl o transportowaniu nim lanc aż do twierdzy Vingaard - o ile solamijską cytadela jeszcze stała. Podzielił się na głos swymi wątpliwościami z pozostałymi.

- To wszystko nie jest potrzebne. Mogę przenieść lance na miejsce w mgnieniu oka. Czarodziej

wzniósł ręce i zaczął coś mamrotać. Huma wypuścił z rąk siodło, gdy zdał sobie sprawę, co się dzieje. -Magiusie, nie!

Było już za późno. Mag dokończył zaklęcie. Nie wydarzyło się nic oprócz tego, że smocze lance załśniły odrobinę jaśniej. Magius popatrzył na wóz, a potem na swe ręce, jak gdyby to one były w jakiś sposób odpowiedzialne za jego niepowodzenie. Kaz ryknął głośnym śmiechem.

- Nie rób tego więcej! niemal krzyknął Huma. - Miałeś szczęście. Smocze lance są odporne na twoją magię. Nie sposób przewidzieć, co by się stało, gdybyś spróbował użyć potężniejszego zaklęcia.

Niedługo później siodło przytwierdzono bezpiecznie do smoczy. Pasowało na jej grzbiet, choć z trudem. Nacięcia wykonane przez Humę w bokach siodła pozwoliły je spłaszczyć. Sznury były mocno napięte, lecz nie krępowały zbytnio stworzenia. Uporawszy się z tym zadaniem, rycerz wydobyl pierwszą lancę ze stosu i przy pomocy Kaza przywiązał ją z lewej strony łęku siodła.

Postanowili, że Magius będzie woźnicą, a Kaz pojedzie obok niego na niezaprężonym koniu jako eskorta. Smoczyca wraz z Huma polecą nad nimi, by pełnić rolę obrońców oraz zwiadowców.

Rycerz zawahał się, zanim dosiadł swego wierzchowca. Spojrzał na szczyt. - A co z Gwyneth? Srebrna smoczyca odwróciła głowę i popatrzyła na niego z wielkim zainteresowaniem. - Zależy ci na niej?

Aczkolwiek Huma musiał przyznać, że nie potrafi dokładnie określić własnych uczuć, skinął po chwili głową. - Choć trwało to bardzo krótko, mam wrażenie, że nigdy nie znałem nikogo tak dobrze. Czy ona nie wyruszy z nami?

Jego towarzyszką otworzyła potężną paszczę, by przemówić. Nagle przerwała. Po chwili wyraźnie zmieniła zdanie w sprawie tego, co zamierzała powiedzieć. - Ma jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Możliwe,

że jeszcze ją zobaczysz, w chwili, gdy najmniej będziesz się tego spodziewał. Nie były to słowa, które Huma pragnął usłyszeć, lecz najważniejsze było to, że rycerstwo potrzebowało lanc. Nie mieli czasu do stracenia.

- Niewykluczone, że po drodze natkniemy się na mych pobratymców -zauważyła smoczyca. - Wtedy moglibyśmy przetransportować wszystko drogą powietrzną i zaoszczędzić wiele czasu.

Huma usiadł bezpiecznie. Sprawdził osadzenie smoczej lancy. Wydało mu się w porządku. - Startujemy.

Gdy opuścili łańcuch górski, napotkali czekającą na nich samotną postać dosiadającą potężnego rumaka. Z tej odległości nie sposób było określić, czy to przyjaciel czy wróg. Huma i srebrna smoczyca, lecący wysoko nad swymi towarzyszami, pomknęli szybko naprzód, nisko nad ziemią, by zbadać sprawę. W połowie drogi Huma dostrzegł, że postać unosi rękę. Dobiegły go słowa pozdrowienia. W chwilę później rozpoznał jeźdźca.

Buoron przyglądał się z wybałuszonymi oczyma, jak smoczyca ląduje przed nim. Ujrzał rycerza siedzącego wysoko na grzbiecie olbrzymiego stworzenia, ze lśniąca lancą w pozycji bojowej. - Huma?

- Buoronie. - Huma nie zsiadł. - Dlaczego wciąż jesteś tutaj? Czy w placówce coś się wydarzyło?

Brodaty rycerz potrząsnął głową. - Nie... Uważałem, że ktoś powinien tu poczekać, na wszelki wypadek.

Wiara Buorona poruszyła Humę. - Doceniam twą wytrwałość, przyjacielu. Wracamy do Solamnii. Obawiam się, że nie mamy zbyt wiele czasu, by zatrzymać się w placówce. Będziemy jednak musieli to zrobić, aby zabrać prowiant.

- Nie ma takiej potrzeby. - Buoron wskazał na kilka wielkich, ciężkich sakw przytroczonych do jego siodła. - Mam tyle zapasów, że dla czterech wystarczy na tydzień. Konie mogą się paść. Jest tu pod dostatkiem żyznych terenów. Woda również nie stanowi problemu. Mogę wam pokazać mnóstwo strumieni.

Huma przymrużył oczy. - Mówisz tak, jakbyś wybierał się z nami. Doceniam twe dobre intencje, ale nie możemy tego od ciebie żądać.

Buoron uśmiechnął się lekko. - Taggin udzielił mi pozwolenia na powrót z wami do Solamni. Uważa, że powinniśmy złożyć naczelnemu dowództwu raport o naszych poczynaniach i dowiedzieć się, czy wielki mistrz Trake ma dla nas jakieś polecenia.

- Trake nie żyje. Wielkim mistrzem jest teraz Oswal. - Kiedy to się stało?

Huma otworzył usta, by mu odpowiedzieć, lecz powstrzymał się. Nadal nie był w pełni przekonany, że wszystko to wydarzyło się naprawdę. - Wyjaśnię ci to później. Jeśli masz pozwolenie, by się do nas przyłączyć, wątpię, by dla moich towarzyszy był to powód do niezadowolenia. Drugi rycerz skrzywił twarz. - Minotaur i... mag? - Obaj mi pomagają.

W tej właśnie chwili nadjechali Kaz i Magius. Huma zwrócił się ku nim, by ich poinformować, że dołączy do nich jeszcze jeden rycerz. Kaz przywitał go jako podobnego sobie wojownika, Magius zaś zdawał się traktować go jak zło konieczne.

Tego dnia nie posunęli się już zbyt daleko. Choć bojowe rumaki znakomicie wywiązywały się z roli zastępczych koni pociągowych, w miarę upływu czasu osłabły. Wreszcie Huma ze srebrną smoczyką wysforowali się do przodu, by znaleźć miejsce na obóz.

Później, gdy był on już rozbity, Huma uniósł głowę, zaalarmowany dobiegającym z oddali głosem. Był słaby, bardzo słaby, lecz nic sposób go było pomylić z niczym innym. Znalazł Buorona i zapytał go: - Powiedz mi, czy w okolicy jest dużo wilków?

Rycerz wzruszył ramionami. - Sporo. Poza nami nie ma tu właściwie cywilizacji, przynajmniej takiej, jak my ją rozumiemy. Nie wątpię, że elfowie byliby innego zdania. Dlaczego pytasz? Huma potrząsnął ze zmęczeniem głową. - Bez powodu. To tylko nerwy.

Następnego dnia grupa ruszyła w dalszą drogę. Kaz i Buoron jechali po obu stronach wozu. Srebrna smoczyca unosiła się wysoko w powietrzu. Na razie jednak przewodnikiem był Buoron, który lepiej znał okolicę.

Dotarli do zalesionych terenów. Huma był spięty. Z góry często nie sposób było dostrzec, co kryje się pod wierzchołkami drzew. Co gorsza, ze względu na przewożoną broń, jego podążający dołem towarzysze musieli się trzymać prowadzących przez las ścieżek.

Huma lak skoncentrował się na utrzymaniu kontaktu wzrokowego z przyjaciółmi, że zapomniał o własnym bezpieczeństwie. Srebrna smoczyca również ledwie zdążyła dostrzec spadającą z góry błyskawicę.

Rycerz złapał się mocno siodła, gdy długie na trzydzieści centymetrów pazury omal nie strąciły go z grzbietu jego wielkiej partnerki. Powietrze przeszył gwałtowny, groźny, bezlitosny wrzask.

Olbrzymi czerwony smok zasłonił na chwilę pole widzenia Humy, nim jego własny, srebrny, zanurkował jeszcze bliżej wierzchołków drzew.

Rycerz spojrział szybko w górę. Ujrzał dwa smoki, oba barwy karmazynowej.

Srebrna smoczyca nie wahała się, gdy wydał jej krzykiem rozkazy. Zawróciła w stronę napastników i wzbiła się w górę tak szybko, jak tylko mogła. Huma przygotował smoczą lancę.

Na grzbietach obu bestii siedzieli jeźdźcy. Rycerz zauważył przelotnie, że są oni zakuci w mające barwę hebanu zbroje Czarnej Gwardii. Następnie dwa czerwone smoki pomknęły po łuku w ich stronę i wszelkie inne myśli zniknęły.

Huma trącił srebrną smoczycę w lewy bark. Ta natychmiast skręciła, by zaatakować pierwszego z przeciwników.

Lanca przeszła straszliwą karmazynowa bestię tak szybko i gwałtownie, że srebrna smoczyca nie zdążyła się od niej oddalić i wróg omal nie ściągnął jej ze sobą na ziemię. Jeździec dosiadający martwego już olbrzyma zdążył w tej krótkiej chwili zamachnąć się raz na Humę. Potem miotał się tylko bezsilnie, gdy rycerz wyszarpywał lancę. Wreszcie człowiek i smok runęli na rozpościerający się w dole las.

Drugi z napastników, unoszący się nad walczącymi, zanurkował i spróbował ściągnąć jeźdźca wraz z lancą z grzbietu srebrnej smoczy. Ta zdążyła już zawrócić. Zwiększyła prędkość. Czerwona bestia zamiast jak zamierzała - opaść na przeciwnika, zatrzymała się zdezorientowana w odległości zaledwie kilku długości ciała przed nim.

Jeździec na czerwonym smoku coś wykrzyknął. Nieprzyjaciel spróbował opuścić się niżej, lecz wahał się o chwilę zbyt długo. Niestety lanca przebiła jedynie zewnętrzną warstwę jego skóry. Srebrna smoczyca zdołała jednak, przelatując obok swego służącego złu pobratymca, przeorać pazurami jego lewe skrzydło.

Gwardzista siedzący na jego grzbiecie odwrócił się i zamachnął na nią pałaszem. Sprzyjało mu szczęście. Zdołał trafić ją w pysk. Miecz wbił się głęboko. Czarna Gwardia nie była tak bezbronna, jak sądzili Huma i jego smoczyca.

Czerwony smok oddalił się chwiejnym lotem. Jego skrzydło było poważnie uszkodzone. Zawrócił jednak, kreśląc szybki, nierówny łuk i ponownie przystąpił do ataku.

W tej samej chwili spod osłony chmur wypadły kolejne dwa smoki. Pierwszy z nich był czerwony, drugi zaś - olbrzymi, większy od pozostałych - czarny jak węgiel.

Zaskrzeczał gniewnie, nie na Humę i jego towarzyszkę, lecz na rannego czerwonego smoka. Ten był tak skupiony na próbie pomszczenia swych obrażeń, że zignorował jego zew.

Ku zaskoczeniu wszystkich, czarny smok - Huma wreszcie zorientował się, że to w istocie Charr - wypuścił z siebie przerażający obłok płynu. Jeździec na czerwonym smoku odwrócił się akurat na czas, by dostrzec, jak się zbliża.

Ciecz pochłonęła go wraz z jego wierzchowcem. Stali się jedną płonąca masą. Huma wciągnął powietrze z wrażeniu. Kwas. Żądza zemsty Charra była tak wielka, że zabił własnych sojuszników. Chciał porachować się ze srebrną smoczyca i dosiadającym jej rycerzem za rany, które zadali jemu i jego panu Crynusowi. Szczątki ofiar runęły na ziemię.

Ostatni z czerwonych smoków i jego jeździec trzymali się z tyłu, gdy Charr i dosiadająca go wysoka postać, naczelny wódz Crynus, ścigali dwoje przeciwników, którzy upokorzyli ich niegdyś. Huma wiedział, że tym razem bój nie skończy się, dopóki któryś z nich nie będzie martwy.

Zaryzykował spojrzenie w dół. Tak, jak się tego obawiał, na niektórych z bardziej otwartych obszarów lasu widać było ciemne, zakute w zbroje postacie. Kolejni Czarni Gwardziści. Nie widział ani śladu wozu i swych towarzyszy. Modlił się, by zdołali się obronić. Sam już teraz miał przed sobą tyle zagrożeń, że niemal przerastało to jego możliwości. Całkiem jakby usłyszał jego myśli, Charr zanurkował na nich.

- Bądź przygotowany, Humo - zawołała srebrna smoczyca. - Znam parę sztuczek, które mogę wykorzystać, jeśli mi się uda. Niemniej to smocza lanca jest naszą największą nadzieją na załatwienie się z tym plugastwem raz na zawsze.

Oba smoki walczyły o przewagę. Wznosiły się coraz wyżej, lecz żaden nie mógł prześcignąć drugiego. Rycerz poczuł, że srebrna smoczyca zadrżała, zaczerpując głęboko tchu. Czyżby się

męczyła? - zastanowił się. Charr wyczuł to. Niemal uśmiechnął się na znak triumfu.

Towarzyszka Humy wypuściła nagle z siebie obłok mgły o kształcie stożka, który ogarnął przednie fragmenty ciała Charra. Czarny smok zamarł w locie i zaczął spadać na ziemię.

- Humo! - krzyknęła ochryple smoczyca. - Nie trafiłam wprost w niego. Do tego ma straszliwie silną wolę. Musimy zaatakować, zanim uwolni się od paraliżu.

W tej samej chwili zwolniła lot, by rozpocząć nurkowanie. Huma złapał się mocno siodła jedną ręką, w drugą chwycił smoczą lancę, obiema nogami zaś otoczył szyję partnerki. Był pewien, że gdyby nie jeździł na niej przedtem i nie przeszedł przez tak wiele prób, dawno już by zemdłał. Gdy nurkowali, Huma obserwował, jak czarny smok wraca powoli do

życia. Charr opadał już wolniej. Dosiadający go Crynus wyrzaskiwał coś i wymachiwał toporem, wskazując rycerza i srebrną smoczycę nad nimi. Głowa Charra obróciła się powoli do góry. Tym razem oba smoki zwały się ze sobą i walczyły ze wszystkich sił.

Smocza lanca wbiła się w bark złowieszczej bestii. Krew pociekła z rany strumieniem.

Gdy smoki miały raz za razem masywnymi głowami, by zacisnąć zęby na ciele przeciwnika, jeźdźcy zbliżyli się do siebie i znaleźli się w zasięgu ciosu. Huma, któremu przeszkadzał ciężar lancy, nie mógł wyciągnąć miecza. Crynus zamachnął się oburęcznym toporem i tylko o włos chybił szczytu hełmu rycerza.

Oba smoki pokryły plamy krwi. Trudno było określić, który ucierpiał bardziej. Na ich szyjach widniały tuziny skaleczeń, ukąszeń i szram. Pazury przeciwnika przeorały czarną bestię od przodu, zdołała ona jednak urwać kawałek błony z dołu prawego skrzydła srebrnej smoczycy.

Charr zaczął odczuwać skutki rany barku i wcześniej zranionego skrzydła. Osłabł nieco. Srebrna smoczyca zdołała pokryć bok jego szyi paskudną serią szram. Smocza lanca raz jeszcze wbiła się w bark potwora.

Zdesperowany czarny smok wciągnął gwałtownie powietrze. Huma, obawiając się, że jego partnerka tego nie zauważyła, kopnął ją mocno w boki. Czy to dzięki jego ostrzeżeniu, czy z jej inicjatywy, pysk smoczycy zamknął się mocno na szczękach Charra, zaciskając paszczę smoka ciemności. Kwasowy obłok, który ten był gotów wypuścić, został zatrzymany i cofnął się. Czarny smok zadrżał i zatrzęsł się. Dusił się i płonął jednocześnie.

Wywołany tym szal sprawił, że zatopił głęboko pazury w tułowiu srebrnej smoczycy. Jego skrzydła opadły, a ciało utraciło równowagę pod wpływem działania kwasu i braku tlenu. Czwórka walczących runęła w dół.

- Moje skrzydła spowolnią upadek, ale i tak wstrząs będzie bardzo poważny! - krzyknęła srebrna smoczyca. - Jeśli zdołam, ustawię ciało tak, by cię nim osłonić. Tymczasem Crynus sprawiał wrażenie, że zupełnie nie przejmuje się swą sytuacją. Nawet w tej chwili usiłował dosięgnąć Humy albo srebrnej smoczycy. Wiatr nie pozwalał mu dokonać zbyt wiele. Ogarnięty gniewem bądź szaleństwem naczelny wódz odpiął się od bezpiecznego siodła. Podmuch natychmiast porwał go daleko od reszty grupy. Nawet nie krzyknął. Huma wpatrywał się w znikającą postać, niezdolny uwierzyć w obłąd

zakutego w czarną zbroję naczelnego wodza.

Drzewa pomknęły im na spotkanie. Uścisk Charra rozluźnił się nagle. Srebrna smoczyca mogła się wreszcie uwolnić.

Było już jednak za późno. Runęli na wierzchołki drzew z potężnym trzaskiem.

Rozdział dwudziesty trzeci

Gdy Huma odzyskał przytomność, czuł, że każdy fragment jego ciała pokrywają siniaki. Wydawało się jednak, że poza tym nic mu się nie stało.

Wstał i popatrzył na otaczające go zniszczenia. Impet dwóch potężnych smoków wystarczył, by powalić większość drzew w bezpośrednim otoczeniu.

Bezwładna postać Charra leżała z boku. Jego kark był skręcony. Odrażająca paszcza wciąż szczyrzyła zęby w przerażającym uśmiechu. Łapy, uzbrojone w śmiertcionośne pazury, sterczały sztywno ku górze.

Nie było żadnego znaku obecności srebrnej smoczyca, choć przynajmniej część krwi pochodziła od niej. Niewątpliwie odeszła stąd o własnych siłach, ale dokąd?

A gdzie zniknęli jego towarzysze? Huma nie słyszał żadnych dźwięków. Nie potrafił się zorientować, w którym kierunku należy się udać, aby szukać reszty grupy.

Smocza lanca i siodło leżały tuż obok, tam, gdzie zapewne upadła srebrna smoczyca. Broń nadal lśniła jasno. Ujrawszy ją, Huma poczuł się odrobinę lepiej. Pozostał jeszcze przynajmniej jeden nieprzyjacielski jeździec oraz czerwony smok. Gdzie jednak się podziali?

Nie mógł raczej dźwigać lancy na ramieniu. Przewyższała go przeszło dwukrotnie. Mógł ją jedynie ciągnąć za sobą. Owiązał kawałek sznura wokół tarczy, jego drugi koniec przytroczył do lancy, a potem przerzucił go sobie przez głowę i ramię. W wolnej ręce trzymał miecz, który wyszedł cało z upadku.

Włoczenie lancy okazało się trudne. Zaledwie Huma zdołał się oddalić od miejsca katastrofy, gdy zahaczyła o sterczący w górę korzeń drzewa. Rycerz odłożył miecz i pociągnął za długą broń. Uwolniła się nagle i Huma uderzył o pień drzewa. Poczuł gwałtowny ból w każdym z siniaków pokrywających jego ciało. Minęła przeszło minuta, nim był w stanie usiąść i ponownie uporządkować swe myśli. Pierwszą rzeczą, którą uczynił, było sięgnięcie po miecz. Okazało się to bezbłędną decyzją.

Ciężki topór rąbnął w drzewo dokładnie w tym miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się szyja rycerza.

Huma przewrócił się na twarz. Chwycił za broń i spróbował się dźwignąć na nogi. Ku jego zdumieniu, atak się nie powtórzył. Napastnik ryknął głośnym śmiechem.

- Masz tyle czasu, ile ci tylko potrzeba, rycerzu solamijski! To ci w niczym nie pomoże.

Huma odrzucił sznur. Zacisnął mocno dłoń na mieczu. Przyjrzał się swemu przeciwnikowi. Potrząsnął głową, nie wierząc w to, co widzi. To musiała być jakaś sztuczka!

Naczelną wodź Crynus ze spokojem wyciągał topór z pnia drzewa, którego omal nie przerąbał na pół. Jego pozbawiona ozdób zbroja hebanowej barwy była w wielu miejscach powyginana i zabrudzona, ale on sam najwyraźniej czuł się znakomicie. Jego twarz nadal była ukryta za zasłoną hełmu, lecz oczy lśniły lodowatym błękitem. Wysoka, złowieszcza postać powinna być martwa. Crynus postąpił krok naprzód. - Tak się cieszę, że ocaliłeś życie, Humo

z Zakonu Korony - zasyczał jego niski głos. - Miałeś szczęście owego dnia, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się w przestworzach nad ziemią niczyją. Po sprawiedliwości, powinienem odrąbać ci wtedy głowę. To twoje przypadkowe zwycięstwo nigdy nie powinno się zdarzyć. Dobrze je zapamiętałem.

Jeden z ciężkich buciorów naczelnego wodza nadepnął na konar obalonego drzewa i złamał go bez wysiłku. - Jestem największym z dowódców jej piekielnej wysokości. Gdyby nie ja, już dawno przegrałaby wojnę.

- Słyszałem inną wersję - odważył się powiedzieć Huma. - Niektórzy mówią, że największy jest Galan Dracos.

Crynus zamachnął się na próbę oburęcznym toporem. - Niekiedy bywa użyteczny, ale nie dowierzam jego lojalności - naczelną wodź przerwał. Zmienił temat. - Twój cios podczas naszej

pierwszej, krótkiej walki był szczęśliwym przypadkiem. Jak już mówiłem, to nigdy nie powinno się zdarzyć. - A to dlaczego?

- Sam się przekonasz, jeśli będzie ci sprzyjać szczęście. Naczelnny wódz runął na Humę.

Ten uchylił się przed pierwszym uderzeniem. Topór wbił się w kolejne drzewo. Crynus wyrwał go z niewiarygodną siłą i przerodził ten ruch w następny atak, zmuszając rycerza do odwrotu, gdy broń przemknęła nagle ze świstem nad jego głową.

Tym razem Huma znalazł szansę na zadanie pchnięcia, lecz nie było ono zbyt celne. Miecz odbił się od napierśnika Crynusa. Ten roześmiał się i ponownie rozpoczął gwałtowny atak. Huma wciąż cofał się, potykając, w poszukiwaniu ucieczki przed nieustannym naporem.

Topór raz jeszcze chybił tylko o kilka centymetrów. Naczelnny wódz popełnił błąd. Drzewce jego broni uderzyło mocno o pień drzewa. Oręż wypadł mu z rąk. Huma podjął ostateczne ryzyko. Odważył się na wypad. Tym razem nie było wątpliwości, że cios był celny. Miecz trafił Crynusa w nie osłoniętą część szyi. Ostrze nie zatrzymało się, dopóki nie natrafiło na metal tylnej części hełmu naczelnego wodza.

Zakuta w czarną zbroję postać zatoczyła się do tyłu, usiłując jednocześnie wyrwać miecz przeciwnikowi. Naczelnny wódz potknął się i wypuścił topór z dłoni, po czym padł na ręce i kolana. Z jego ust wyrwało się śmiertelne rżenie.

Nagle przyprawiający o utratę zmysłów dźwięk wydawany przez Crynusa przerodził się w coś bardziej znajomego. I mrożącego krew w

żyłach. Huma przyglądał się niczym zahipnotyzowany, jak Crynus dźwignął się powoli na nogi, zwrócił w stronę Humy i uśmiechnął.

Śmiertelna rana na jego szyi stała się zaledwie blizną. Sprawiał wrażenie, że rozpiera go duma.

Nie mogę umrzeć, rycerzu solamnijski. Moje rany natychmiast się goją. Jak już mówiłem, jestem największym z dowódców mojej pani. Gdybym zginął, byłoby to dla niej potężnym ciosem. Dlatego zażądałem od Galana Dracosa tej ochrony. Z początku jego wysiłki zakończyły się tylko częściowym sukcesem, czego niemal nie przypląciłem życiem. Dlatego właśnie nasza walka była tak krótka. Moi ludzie mogli cię załatwić, ale chciałem cię zachować dla siebie. Nie odważyliby się sprzeciwić moim życzeniom. Chciałem się z tobą osobiście policzyć za to, czego omal nie uczyniłeś.

Topór ponownie runął na Humę. Rycerz został całkowicie zepchnięty do defensywy. Jak można było zabić przeciwnika, którego rany natychmiast się goiły? Crynus dysponował siłą wielu ludzi i dorównującą jej wytrzymałością.

Naczelnny wódz śmiał się z Humy, gdy ten usiłował uniknąć jego ciosów i ocalić życie. Crynus stał się jawnie nieostrożny. Pozwalał, by jego topór przeszywał powietrze. Naigrawał się z Solamniczyska, demonstrując swą nieśmiertelność.

- Spodziewałem się po tobie czegoś więcej, młody rycerzu. Rozczarowujesz mnie.

Huma oparł się o drzewo. Crynus wrzasnął i zamachnął się swym orężem. Śmiercionośne ostrze chybiło tylko o włos. Rycerz skoczył ku naczelnemu wodzowi. Za jego plecami topór wbił się głęboko w pień. Obaj walczący zwałili się na siebie i zaczęli się szamotać. Dla Humy było oczywiste, że nie dorównuje siłą naczelnemu wodzowi. Crynus odepchnął rycerza i spróbował go udusić, lecz Huma kopnął go kolanem. Jego przeciwnik stracił równowagę. Obaj dźwignęli się na nogi i popatrzyli na siebie. Huma nadal miał miecz. Naczelnny wódz był bez broni.

- Na co czekasz? - Chełpił się zakuty w zbroję barwy hebanu dowódca. - Przeszyj mnie mieczem. I tak zabiję cię gołymi rękoma.

Huma próbował zyskać na czasie. Gorączkowo poszukiwał pomysłów. -Jak to możliwe, że twoja armia funkcjonuje bez ciebie? Czy nie obawiasz się, że popełni błędy?

Crynus roześmiał się krótko. - Dracos jest kompetentnym dowódcą. Poza tym, nadszedł już czas, gdy mogą się obejść bez mojego przewodnictwa. Zostało tylko załatwić się z tymi, którzy nadal są zgrupowani wokół twierdzy Vingaard. Takie drobiazgi pozostawiam memu sztabowi.

Topór leżał w niewielkiej odległości. Huma postąpił krok w jego kierunku. Gdyby tylko zdołał go dopaść.

Crynus rzucił się z krzykiem na miecz Humy. Rycerz zadała cios, wypuścił swój oręż z dłoni i skoczył po topór. Ruchy naczelnego wodza stały się wolniejsze, gdy usiłował wyrwać ostrze ze swego ciała. Huma podniósł broń przeciwnika i ponownie ruszył w jego stronę. Crynus zaczął wyciągać miecz. Wydawało się, że nie sprawia mu to bólu. Huma uniósł topór. Crynus zwrócił się w jego stronę.

Cios był celny. Skryta w hełmie głowa pofrunęła w powietrze. Ciało naczelnego wodza osunęło się na kolana. Huma odrzucił z niesmakiem topór. To nie był jego sposób walki.

Bezgłowy trup ponownie dźwignął się na nogi. Twarz Humy stała się biała jak kreda.

Dłonie pozbawionego głowy stwora z bezbłędną precyzją wyrwały pałasz i odrzuciły go na bok. Huma widział, jak rana się goi. Nawet zbroja zamknęła się na nowo niczym druga skóra. Huma czekał, aż przeciwnik skieruje się ku niemu, lecz bezgłowe ciało zachowywało się tak, jakby rycerz nie istniał. Ruszyło tam, gdzie poszybowała jego głowa.

Huma wiedział, że może uciec, lecz naczelny wódz podąży za nim, nie znając zmęczenia. - SARGASIE!

Okrzyk dobiegł od strony żywego trupa. Huma podniósł z ziemi miecz. Znał tylko jedną osobę, która wezwałaby tego boga.

Jeśli Kaz był w pobliżu, zapewne to samo dotyczyło pozostałych. I smoczej lancy... - Oczywiście!

Rycerz przemknął przez gęstwinę. Ujrzał siedzącego na koniu Kaza. Minotaur rozdziawił szeroko usta. Pozostałych nigdzie nie było widać. Kaz wybałuszył oczy, gdy ciało Crynusa zbliżyło się do swej głowy, która chwiała się i przechylała, całkiem jakby funkcjonowała nadal. - Kaz! On nie może dotrzeć do głowy! Minotaur popędził konia na monstrum, które zwało siebie Crynusem.

Kumak przystąpił do szarzy. Gdy jednak znalazł się w odległości dwóch metrów od bezgłowego stwora, zatrzymał się nagle z głośnym rzeniem. Kaz nie marnował czasu. Zeskoczył z ogarniętego paniką wierzchowca i pobiegł w kierunku leżącej głowy. Huma tymczasem wrócił do smoczej lancy. Złapał ją za drzewce.

- Huummmmmooo!

Kaz przedarł się przez listowie. Mało brakowało, by nadział się na smoczą lancę. W prawej ręce dzierżył makabryczne trofeum wciąż wibrujące upiornym życiem. Za plecami minotaura słychać było odgłosy czegoś, co gnało w ich stronę z wielką zawziętością.

- Rzuć ją! - Huma wskazał na głowę. - Tam! Szybko! Minotaur cisnął głowę przed czubek smoczej lancy, gdy tylko pojawiła się skryta w rękawicy dłoni.

Bezgłowe ciało zamarło, po czym rzuciło się w bok, zanim zdążyli je przeszyć.

- Ono wie! - zawołał minotaur z parsknięciem. Jeszcze gorsze było to, że gdy zwłoki podniosły się z ziemi, dzierżyły w jednej dłoni porzucony i zapomniany topór. - To szaleństwo - mruknął Kaz.

- Co tu się dzieje? - zabrzmiał nowy głos. Zarówno Huma, jak i Kaz spojrzeli na unoszącą się nad nimi srebrną smoczycę. Wyglądała na wycieńczoną. Jedna z jej przednich kończyn zwisała bezwładnie. Nadal jednak było w niej wiele mocy. Odwróciła wzrok od nich i spojrzała na straszliwe stworzenie. - Czy to... Ciało sięgnęło po głowę.

- Paladine! - krzyknęła wstrząśnięta smoczyca. Wciągnęła gwałtownie powietrze w tej samej

chwili, gdy Crynus odłożył topór i dźwignął swą głowę. Ramiona monstrum uniosły ją wysoko. Smoczyca wypuściła z siebie strumień ognia.

Smoczy płomień ogarnął naczelnego wodza. Ciało zachwiało się. Opadło na kolana. Zarówno głowa, jak i tors zniknęły w oczyszczającym ogniu. Po kilku sekundach wewnątrz miniaturowego piekła nie było już widać ani śladu po żywym trupie zwanym Crynusem.

Srebrna smoczyca wylądowała na polanie i przygotowała się do drugiego uderzenia. - To powinien być koniec tego stwora - oznajmiła.

- Zaczekaj! - krzyknął Kaz. Podbiegł do ognia i podniósł topór, który ocalał przed żarem. Wrzucił go w płomień i uciekł. Broń eksplodowała. Kawalki metalu i drewna pomknęły przez las. Kaz zaklął. Małeńki metalowy odłamek uderzył go w ramię. - Sar... Bogowie! Nie mogę cię zostawić nawet na chwilę, Huma! Podnieśli się obaj z ziemi i otrzepali. Srebrna smoczyca tymczasem wypuściła z siebie impuls zimnego ognia. Najbliższe drzewa pokrył lód. - Nie wiedziałem, że potrafisz to robić - odezwał się Huma. -

Jej barki opadły w dół ze zmęczenia. - Rażenie chłodem i paralizem wchodzi w zakres naszych normalnych zdolności. Płomień... płomień jest możliwy dla każdego smoka, oprócz tchórzliwych, mieszkających wśród lodu białych. Kosztuje to nas jednak wiele. Obawiam się, że nadmiernie się przeciążyłam. Muszę odpocząć.

Huma skinął głową na znak zrozumienia. Następnie rozejrzał się wokół. - Kaz! Gdzie są Buoron i Magius? Gdzie smocze lance?

- Pewnie tam, gdzie ich zostawiłem. Kiedy zobaczyliśmy w oddali spadające na ziemię smoki, zgłosiłem się na ochotnika, by pojechać naprzód i sprawdzić, czy żyjecie. - A więc ich nie widziałeś? - Kogo? - Musimy szybko tam wrócić!

Huma skierował się ku srebrnej smoczycy. Wielka bestia leżnia bezwładnie na ziemi. Liczne rany odniesione w starciu z Charrem, upadek, przed którym osłoniła Humę własnym ciałem oraz straszliwy końcowy wysiłek, który włożyła w spalenie Crynusa, sprawiły, że osiągnęła granice swej wytrzymałości. - Czy możemy cię tu zostawić? - zapytał.

Lśniące oczy otworzyły się i spojrzały na niego. - Nic mi nie będzie. Przykro mi, że nie mogę wam pomóc.

Kaz schwytał swego konia, największego z ich wierzchowców. Gdy tylko Huma zasiadł bezpiecznie, minotaur popędził zwierzę naprzód.

Usłyszeli szcęk oręża dużo wcześniej, nim zbliżyli się do miejsca, gdzie Kaz zostawił resztę grupy. Huma sądził, że to, co dostrzegł z góry, było frontalnym atakiem. Pod tym względem się mylił. Czarna Gwardia uderzyła na Magiusa i Buorona z zasadzki.

Przed nimi rozblęskło jasne światło. Huma ujrzał, jak postać w zbroi hebanowej barwy wzbija się w powietrze i uderzyła w pień drzewa. Nie przybyli za późno. Magius i Buoron żyli jeszcze i toczyli bój.

Huma nie czekał, aż koń zwolni bieg. Ześliznął się z niego, przetoczył i zamarł w przysiadzie. Kaz złapał za topór i z okrzykiem wpadł między walczących.

Magius przykucnął na wozie. Trzymał większość napastników na dystans za pomocą krótkoterminowych zaklęć. Buoron stał na ziemi za pojazdem, odpierając ataki tych gwardzistów, którzy otoczyli maga. Pierścień nieprzyjaciół zaciskał się.

Huma załatwił się z pierwszym przeciwnikiem i runął na następnego. Gdy skrzyżowali miecze, rycerz usłyszał wycie. Było bardzo blisko. Tym razem nie mógł go pomylić z niczym innym. Straszywilk.

Bestia skoczyła na tył wozu. Buoron dostrzegł ją pierwszy. Odważny rycerz mógł jednak tylko

krzyknąć, gdyż toczył już walkę z dwoma wrogami. Magius, pobladły i wycieńczony, zwrócił się w stronę stworzenia. Krzyknął coś i rzucił zaklęcie, lecz rozplynęło się ono, nim zdążyło dotrzeć do celu. Czarodziej osiągnął granicę swych możliwości.

Tym razem Straszywilk - a właściwie Galan Dracos, gdyż to jego umysł panował nad nieżyjącymi stworzeniami - roześmiał się. Humie udało się uporać z walczącym z nim gwardzistą. Spróbował dotrzeć do wozu, lecz stanęli mu na drodze jeszcze dwaj wrogowie w czarnych pancerzach. Rycerz mógł jedynie spoglądać bezradnie, jak płonące oczy stwora rozjarzyły się i renegat rzucił własne zaklęcie. Huma nie zobaczył, co wydarzyło się później, gdy jednak wóz znów znalazł się w jego polu widzenia, Magius stał tak samo, jak przedtem. Smocze lance w jakiś sposób uchroniły go przed ohydą mocą Dracosa. Straszywilk cofnął się ukradkiem. Jego pan nie spodziewał się tego niepowodzenia.

Potem wrogowie zmusili Humę do cofnięcia się. Kaza ściągnięto z konia. Rozbłysło światło. W powietrzu pojawił się wielki, okrągły otwór. Rycerz zrozumiał, że jest to portal, brama wystarczająco wielka, by przeprowadzić przez nią furę. Zaatakował dwóch wojowników, którzy blokowali mu drogę. Ci nie zamierzali ustąpić.

Za plecami Magiusa na wóz wskoczył gwardzista. Czarnoksiężnik zdążył odwrócić się na czas. Pechowy napastnik runął na ziemię. Straszywilka nigdzie nie było widać.

Jeden z przeciwników Humy popełnił fatalny błąd i drogo za niego zapłacił. Drugi walczył z desperacją. Lance otaczało coraz więcej gwardzistów. Wydawało się, że Buoron zniknął.

Jeszcze dwie czarne postacie wskoczyły na wóz. Tym razem Magius nie był wystarczająco szybki. Jeden z napastników złapał go za rękę i unieruchomił, podczas gdy drugi sięgnął po lejce. Inni wojownicy zaczęli wycofywać się przez portal. Miejscem ich przeznaczenia była zapewne cytadela Galana Dracosa.

Kolejny gwardzista dołączył do dwóch na wozie. Huma zabił wreszcie ostatniego ze swych przeciwników, po czym pognął w tamtą stronę. Białe monstrum przecięło mu na chwilę drogę, lecz sprawiało wrażenie zainteresowanego przede wszystkim odwrotem. Nawet nie spojrzało w kierunku rycerza.

Choć wóz znajdował się w odległości zaledwie kilku metrów od portalu, w chwili, gdy ten ostatni zaczął się pojawiać i znikać, woźnica zawahał się. Konie wymykały mu się spod kontroli. Jeden z gwardzistów

zeskoczył na ziemię w tej samej chwili, gdy Huma dobiegł do fury. Jednocześnie Magius zdołał wyrwać się z objęć napastnika. Przysunął dłonie do jego skrytej za zasłoną twarzy. Mała eksplozja odrzuciła gwardzistę do tyłu. Wystarczyło to jednak tylko, by go ogłuszyć. Czarodziej niemal padł z nóg. Ten ostatni wysiłek wyczerpał go dokumentnie. Nie miał już mocy. Zostało mu też bardzo niewiele sił. Podczołgał się naprzód i spróbował otoczyć ramieniem szyję woźnicy. Udało mu się zahamować ruch pojazdu, lecz obaj mężczyźni spadli na ziemię.

Jeden z nielicznych pozostałych gwardzistów coś krzyknął. Wszyscy pognali w kierunku bramy.

Konie, zaniepokojone całym tym zamieszaniem, ponownie ruszyły naprzód. Huma pochwycił lejce. Zwierzęta protestowały, lecz rycerz zaczął wykrzykiwać do nich rozkazy. Kaz podjął ostateczne ryzyko. Stał przed zaprzęgiem i złapał za uzdy. Z siłą nieosiągalną dla żadnego z ludzi unieruchomił rumaki. Opierały się jeszcze przez chwilę, po czym poddały się jego woli. Huma osunął się na siedzenie woźnicy. Skinął głową do minotaura na znak podziękowania. Portal zniknął.

Zza wozu dobiegł jakiś jęk. Huma poderwał się z mieczem w ręku. Poczul w lewej nodze ukłucie bólu. Spojrzał w dół i ujrzał długą szramę, którą z pewnością zadał mu podczas walki nieprzyjacielski pałasz.

Kaz dotarł do jęczącej postaci jako pierwszy. Był to Buoron. Leżał na w pół skryty pod wozem. Jego lewą rękę pokrywały krwawe plamy. Przez twarz biegło głębokie cięcie. Płynąca z niego krew zalała oczy rycerza. - Czy jesteś poważnie ranny? - zapytał Huma.

- Oczy mnie szczypią i obawiam się, że żaden rzeźbiarz nie użyje mnie już jako modelu, ale tak naprawdę boli mnie tylko ręka. Całe szczęście, że to nie ta, w której trzymam miecz. Boję się, że przez pewien czas będzie bezużyteczna.

Nim Buoron skończył mówić, Kaz zabrał się już do opatrywania jego ran. Minotaur również był pokryty niezliczonymi drobnymi draśnięciami, lecz najwyraźniej nie przejmował się swym stanem.

Huma skinął głową i pokuśtykał powoli ku przodowi wozu. Zajrzał na jego drugą stronę i zamarł.

Magius! Gdzie podział się czarnoksiężnik? Nie zważając na ból, rycerz zeskoczył z wozu i obejrzał zabitych. Wszyscy mieli na sobie czerń Takhisis i jej dowódców. Tych nielicznych, którzy ucierpieli od mocy maga, łatwo było zidentyfikować. Po samym Magiusie nie było ani śladu.

Huma dostrzegł mały pręt leżący w pobliżu drzew, między porzucanymi szczątkami napastników. Podeszedł do niego, by go podnieść.

Pręt zadrżał. Zaskoczony Huma omal nie wypuścił go z rąk. Zaskoczenie przerodziło się w fascynację, gdy przedmiot zaczął się powiększać. Nie przestawał rosnąć, aż wreszcie stał się wyższy od niego. Była to laska Magiusa. Czarnoksiężnik nigdy się z nią nie rozstawał.

Leżała dokładnie w tym miejscu, nad którym znajdował się uprzednio portal. Magius był w rękach Galana Dracosa.

Rozdział dwudziesty czwarty

- Nie jesteśmy pewni, czy faktycznie go pojmano, Humo. Zresztą nawet gdyby był więźniem Galana Dracosa, nie bylibyśmy w stanie go uwolnić. Z pewnością przetrzymują go w samej cytadeli renegata - tłumaczył Kaz po raz setny.

- Najwięcej nadziei możemy pokładać w dostarczeniu smoczych lanc do twierdzy Vingaard i wielkiego mistrza, Humo - dodał Buoron.

Rycerz skinął głową. Wiedział, że obaj mają rację, lecz gryzł go fakt, że nie potrafił obronić Magiusa, którego znał niemal całe życie.

Powoził teraz Buoron, z ręką na temblaku. Huma siedział obok lanc, obserwując tyły. Srebrna smoczyca zaoferowała się, że poszuka pomocy swych pobratymców. Humie spodobał się ten pomysł. Jako że Crynus zginął, a wśród jego gwardzistów zapanował zamęt, ich trójka powinna na razie być bezpieczna. W gruncie rzeczy część jaźni Humy niemal pragnęła ponownego starcia.

Kilka następnych dni minęło bez żadnych incydentów. Grupa wędrowała w kierunku Solamni i twierdzy Vingaard. Niekiedy Humę budziły dźwięki, które z pewnością były głosami straszywilków, lecz nic się nie wydarzyło.

Przez cały ten czas srebrna smoczyca nie powracała. Nikt nie chciał snuć w tej sprawie domysłów, choć wszyscy trzej uznali, że ma to coś wspólnego z niepowstrzymanym naporem hord Królowej Smoków. Huma przypomniawszy sobie słowa Crynusa, który twierdził, że rycerze solamnijscy są praktycznie pokonani, a Vingaard wkrótce padnie. Choć Huma bardzo pragnął wierzyć, że jest inaczej, wyczuwał w tych przechwałkach zbyt wiele prawdy.

Zdążyli już zawędrować daleko na północny zachód od Caergothu. Huma przypomniawszy sobie lorda Guya Avondale'a. Modlił się, by udało im się ominąć tę okolicę bez konfrontacji z ergothiańskim dowódcą. Nie był pewien, jak zostałby przyjęty po nieoczekiwanym zniknięciu. Nie miał też pewności, jak zachowają się Ergothianie, kiedy zobaczą smocze lance. Równie dobrze mogli je skonfiskować.

Pomimo utraty sił trójka posuwała się naprzód w dobrym tempie, Huma jednak uważał, że

wędrują zbyt wolno. Zło Takhisis pochłaniało wszystko, a on czuł się bezsilny.

Jechali teraz przez równiny. Sytuacja taka miała się utrzymywać przez większą część ich podróży. Choć ułatwiało to im posuwanie się naprzód, nie mieli gdzie się ukryć.

Około południa, w odległości dwóch dni jazdy od granicy, ujrzeli liczny patrol. Dzieliła ich od niego zbyt wielka odległość, by mogli go zidentyfikować. Było jednak oczywiste, że żołnierze również ich dostrzegli. Skręcili w ich kierunku i zwiększyli tempo.

Kaz wydobył topór. Huma zeskoczył na ziemię i wyciągnął miecz. Buoron pozostał na wozie, lecz również sięgnął po swój oręż, czekając, aż oddział się zbliży.

Brodaty rycerz rozpoznał ich jako pierwszy. - To Ergothianie - powiedział, zwróciwszy się do Humy. - Chyba część ich północnej armii.

Nie mogli uniknąć spotkania z żołnierzami. Jak zachowają się Ergothianie, gdy staną twarzą w twarz z dzierżącym topór minotaurem oraz dwoma rycerzami z zakonu w znacznej części odpowiedzialnego za schyłek ich potężnego ongiś cesarstwa?

Gdy grupa zbliżyła się do trójki, dowódca patrolu uniósł rękę. Potężny, niemal otyły mężczyzna o skąpej bródce i przerzedzonych, siwych włosach przyjrzał się po kolei każdemu z nich. Jego wzrok zatrzymał się na Kazie, który - wbrew swej naturze - robił wszystko, co mógł, by wyglądać niegroźnie. Zdaniem Humy, minotaurowi kompletnie się to nie udało.

Ergothianin zwrócił się najpierw do Buorona. - Jesteś z jednej z placówek na południu, zgadza się? - Tak. Obaj rycerze zeszywnieli. Ten człowiek był bystrym obserwatorem. - A twój towarzysz nie? - Panie, jestem rycerz Huma z Zakonu Korony - odparł Huma.

- Rozumiem - stwierdził Ergothianin z zainteresowaniem mniej więcej takim, jakby powiedziano mu, że na równinach rośnie trawa. Wskazał na

- Kaza. - A ten stwór? Skąd się wziął? Słyszałem pogłoski...

- Jestem Kaz - odparł dumnie minotaur. - Zbuntowałem się przeciwko moim dawnym panom i zostałem towarzyszem Humy, najszlachetniejszego i najodważniejszego z rycerzy.

Mogłoby to przywołać uśmiech na oblicza niektórych Ergothian, gdyby nie widzieli oni posępnego wyrazu twarzy Kaza i nie zdawali sobie sprawy, że traktował on każde swe słowo poważnie. - Jestem też minotaurem, a nie stworem.

- Rozumiem. - Dowódca przesunął w siodle swe korpulentne ciało. - Nazywam się Faran. Choć nigdy się nie spotkaliśmy, ja i moi ludzie jesteśmy obecnie podkomendnymi twego znajomego, lorda Guya Avondale'a. Huma nie mógł się nie wzdrygnąć.

- Widzę, że go pamiętasz. Nakazano mi doprowadzić cię do niego. Nie przyjmę żadnych sprzeciwów.

Huma spojrzał na swych towarzyszy. Patrol miał nad nimi przewagę liczebną. W jego skład wchodziło też немало łuczników. Opór byłby głupotą. Dopóki żyli, mogli mieć nadzieję. - Z chęcią przyjmiemy waszą eskortę. Faran uśmiechnął się głupkowato. - Tak też sądziłem.

Skinął dłonią. Oddział rozdzielił się. Żołnierze jechali teraz z obu stron wozu. Nie było żadnych szans ucieczki. - Czeka nas cały dzień drogi, radzę więc, byśmy nie tracili już cennego czasu.

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

- Muszę przyznać, że bardzo mnie zaskoczyło twe nagłe zniknięcie owej nocy, Humo - stwierdził następnego dnia lord Guy Avondale.

Wszyscy trzej siedzieli z komendantem w jego namiocie. - Wyjaśniłem już jego okoliczności. - W rzeczy samej, wyjaśniłeś.

Lord Avondale odstawił puchar. Trójce gości również zaproponowano wino, lecz żaden z nich nie przyjął poczęstunku. Przyznaję, że powinienem był okazać więcej rozsądku, ale gdy odkryliśmy to gniazdo zarazy, z wielką radością przyjąłem pomoc maga.

Kaz zaczął tracić cierpliwość. Podniósł się gwałtownie. - Siedzimy tu już od trzech godzin. Dwie z nich zmarnowaliśmy, czekając na ciebie, komendancie. Przez ostatnią prawiliś nam tylko fałszywe uprzejmości i powtarzałeś stare wieści. Jak długo jeszcze mamy to znosić? Czy pozwolisz nam zawieźć lance do Solamnii?

Do środka wpadli dwaj strażnicy. Komendant gestem nakazał im oddalić się. Huma zauważył jednak, że nie opuścili namiotu. Ergothianin ponownie odstawił puchar. - Przez te trzy godziny, a także

całą ostatnią noc, roztrząsałem w swym umyśle problem tego, co począć z wami i z tą bronią. Żeby odpowiedzieć na twe ostatnie pytanie: tak, możecie zawieźć lance. Po co miałbym je oddawać cesarzowi? Zatknałby je tylko na którymś z murów pałacu jako najnowsze trofea, nie dbając o to, ile dobrego mogłyby zrobić dla całego Ansalonu. Huma i Avondale spojrzeli sobie w oczy.

- Pomijając garstkę twarogłowych, większość z nas patrzy na sprawę na tyle realistycznie, by móc wyznać prawdę. Nie walczymy już dla cesarza, choć być może ongiś rzeczywiście tak było. Walczymy dla Ergothu. Dla naszej ojczyzny i naszych rodzin. Na dłuższą metę liczy się tylko to. Cesarze przychodzą i odchodzą, lecz naród zostaje. W pewnej chwili straciliśmy ten fakt z oczu i znaczna część cesarstwa uznała, że lepiej sobie poradzi bez nas. Ale o tym oczywiście wiecie.

- A więc - zapytał spokojnie Huma. - Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, dlaczego nas tu przetrzymujecie? - Nie przetrzymujemy. Czekamy. - Na co?

Dźwięk rogu ogłosił zbliżanie się kogoś lub czegoś. Guy Avondale podniósł się z miejsca i uśmiechnął chytrze. - Myślę, że już przybyły. Chodźcie ze mną, proszę.

Wstali i podążyli za ergothiańskim komendantem. Obaj wartownicy poszli za nimi.

Gdy znaleźli się na terenie obozu, pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę Huma, był rozległy, otwarty, płaski obszar leżący przed namiotem komendanta. Zastanawiał się wówczas nad jego przeznaczeniem. Aż do tej chwili dręczyło go też pytanie, skąd Avondale wiedział, gdzie są, i że w ogóle udają się w tę stronę. Teraz rycerz wszystko zrozumiał.

Jako pierwsza wylądowała srebrna smoczyca we własnej osobie. Sprawiała wrażenie w pełni uzdrowionej. Przywitała Humę z takim entuzjazmem, że rycerz poczuł się zakłopotany.

- Przepraszam za zwłokę, Humo, ale znalezienie pomocy okazało się trudniejsze niż sądziłam. Niemniej odszukałam ich!

Wylądowały jeszcze dwa srebrne smoki, samica i samiec. Smoczyca przedstawiła ich jako swe rodzeństwo. Oba przywitały Humę i wpatrzyły się w niego z taką powagą, że rycerz odniósł wrażenie, iż poddają go oględzinom. Odwzajemnił ich pozdrowienia z lekkim zażenowaniem.

Ostatnim z nowo przybyłych był smok barwy spiżu, nieco mniejszy od pozostałych. Niemniej jego mięśnie i szybkość z nawiązką równoważyły niedostatek rozmiarów. Ludzie nadali mu przydomek Piorun. Nosił go z

dumą. Huma uznał, że Kaz wreszcie odnalazł pokrewną duszę.

- Cztery albo pięć lanc to dla nas żaden problem - wyjaśniła smoczyca Humy. - Siodło... - zaczął rycerz.

- Kazałem już komuś się tym zająć - przerwał Avondale. - Mamy cztery sztuki. To powinno wystarczyć. Zapewniam was, że z powodzeniem zdołają wytrzymać oczekujące was trudności. - Lepiej, żeby tak było - mruknął Kaz.

- Powiedziałaś cztery - zauważył Huma. - Bez Magiusa jest nas tylko trzech. Chyba że masz zamiar...

- Nie mam! - Ergothiański komendant spojrzał Humie prosto w oczy. - W imię Paladine'a i całego Ansalonu zabraniam ci rzucać się na renegata w beznadziejnej próbie ratowania maga! Sam mówiłeś, jak wielkie znaczenie mają smocze lance dla przyszłości nas wszystkich. Jeśli niepotrzebnie poświęcisz swe życie, skążesz nas na mroczne sny Królowej Ciemności!

Huma w głębi duszy poczuł wstyd z powodu ulgi, jaką poczuł, gdy usłyszał słowa Avondale'a. Część jego jaźni rozpaczliwie pragnęła ocalić towarzysza, inna zaś martwiła się o własne bezpieczeństwo. Huma czuł się rozdarty. - Kto więc będzie czwartym członkiem naszej grupy? - Ja.

- Ty? - Kaz parsknął pogardliwie. - Czy wszystkich dowódców na świecie ogarnął obłęd?

- Faran może z powodzeniem przejąć moje funkcje - odparł chłodno lord Avondale. - Mimo swej niechęci do Solamni, jest trzeźwo myślącym człowiekiem. Nie zrobi niczego, co mogłoby pogorszyć sytuację. Nikomu nie zaufałbym tak, jak jemu.

- A co powiedziałby na to twój cesarz? - zapytał milczący dotąd Buoron.

- Będzie mógł wyrazić swe zdanie później, jeśli ocalę życie. Jak już mówiłem, walczę dla Ergothu. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym naraził życie kogoś innego na podobne niebezpieczeństwo, choć jestem pewien, że znalazłoby się wielu ochotników. Ktoś musi udać się z wami, by reprezentować Ergoth przed waszym wielkim mistrzem. Mogę to równie dobrze być ja.

Huma zgodził się, choć z wielkimi oporami. Znajdowali się w tej chwili w rękach Avondale'a i praktycznie nie mieli wyboru. Ponadto uznał, że komendant jest człowiekiem, którego warto mieć u swego boku. Postanowili, że Huma ponownie dosiądzie srebrnej smoczy, a Buoron

i Avondale polecą na młodszych smokach, samcu i samicy. Zgodnie z przewidywaniami rycerza, minotaur i spizowy smok przypadli sobie do gustu, jak dwaj starzy żołnierze. Obawiał się tylko, że może im wpaść do głowy rzucić się do szarży. Podzielił się tym niepokojem ze srebrną smoczyką.

Zachichotała. - Piorun i Kaz faktycznie tworzą kłopotliwy tandem, ale przynajmniej smok ma wystarczająco dużo rozsądku. Tak sędzę. Ostrzegę go, gdy już będziemy w powietrzu. - Dopilnuj, by zrozumiał, że ostrzeżenie dotyczy ich obu. - Nie będzie w tej sprawie wątpliwości.

Pragnęli odlecieć bez żadnych fanfar, lecz Faran nie chciał o tym słyszeć. Zastępca dowódcy przygotował honorową gwardię, która miała ich pożegnać.

Pioruna szczególnie intrygowały smocze lance. Już przedtem był postrachem niebios - zgodnie z jego słowami - i twierdził, że teraz, z lancą i Kazem w siodle, nikt mu nie dorówna. Srebrne smoki spoglądały na niego ze źle skrywaną wesołością, choć smoczyca Humy przyznała wkrótce potem, że opowieści jej spizowego pobratymca nie były przechwałkami. Rzeczywiście był straszliwie groźnym przeciwnikiem.

Smoki wzbiły się w powietrze jeden po drugim, Huma i jego wierzchowiec jako pierwsi, Kaz i Piorun na końcu. Słońce stało już wysoko na niebie, lecz mimo to na grzbietach olbrzymich bestii mogli jeszcze tego dnia pokonać wielką odległość.

Gdy noc wreszcie zatriumfowała, dawno już przekroczyli granicę z Solamnią. Ich lot spowolniło jednak coś, o czym nic pomyśleli. Mżawka, która zaczęła padać w Ergothu, przerodziła się w ulewę.

Wszyscy czterej jeźdźcy byli przemoczeni do suchej nitki. Na smokach deszcz najwyraźniej nie wywierał wrażenia. Zwłaszcza spiżowy wyglądał na zachwyconego błyskawicami, które dwukrotnie omal ich nie przeszyły. Na nalegania Humy wylądowali, by przeczekać noc, w nadziei, że ranek przyniesie poprawę pogody. Smoki uformowały wokół nich ochronny kwadrat. Czwórka jeźdźców rozbiła dwa namioty, o których zabraniu pomyślał Avondale. Uchroniły ich one przed deszczem. Humie przeszkadzało jedynie to, że w miarę upływu czasu prawdziwy zapach mokrego minotaura stawał się coraz wyraźniejszy. Rankiem Kaz wygłosił tę samą uwagę na jego temat.

Deszcz nie przestał padać, osłabł jednak. Jeźdźcy owinęli się w płaszcze bądź nieliczne koce, które ze sobą zabrali. Dzięki smokom w ciągu dwóch dni mieli się znaleźć w pobliżu twierdzy Vingaard. Gdyby nie były

obciążone dodatkowymi lancami, zajęłoby im to nawet mniej czasu.

Niemniej ich podróż bynajmniej nie dobiegła końca, gdyż musieli teraz stawić czoła siłom Królowej Smoków. Dracos zamknął w uścisku serce Solamni. Udało mu się wreszcie odciąć północną i południową drogę prowadzącą do Vingaardu, co w praktyce stworzyło mur otaczający twierdzę. Zaczynało brakować w niej zapasów. O panowanie nad niebem nadal toczyła się walka, lecz kryzys morale dawał się odczuć nawet wśród smoków światła. Srebrna smoczyca wyjawiała, że jedyną rzeczą, która je podtrzymuje na duchu, są pogłoski o smoczej lancy.

Gdy poczuli pierwszą wypuszczoną w ich kierunku sondę, na czele leciał srebrny samiec. Tajemnicza istota była blisko. Posiłkowała się magią, by wykryć intruzów. Sonda nie była niczym więcej niż przelotnym kontaktem umysłów, wystarczyło to jednak, by cała grupa zatrzymała się gwałtownie. - Do tyłu! - krzyknął samiec.

Cztery olbrzymy zawróciły błyskawicznie i cofnęły się nieco. Lecąc obok siebie, odbyły naradę. - Co wyczuliśmy? - zapytała smoczyca Humy.

- Umysł. Nie smoczy, lecz ludzki i to potężny. A do tego niezdyscyplinowany. Ten ktoś nigdy nie był uczniem zakonów magii. - To nie był kapłan? Samiec potrząsnął potężną głową. - Nie, bez wątpienia mag. Renegat. Huma rozejrzał się wokół niespokojnie. - Z pewnością nie jest dla was groźbą!

- Nie fizyczną, Humo - odpowiedziała mu jego srebrna smoczyca. - Ale bez trudności mógłby powiadomić innych o naszej obecności - o ile już tego nie zrobił - a ci inni mogą być niebezpieczni. Jego zadaniem jest jedynie obserwacja nieba. - Pozwólcie mi się z nim załatwić! - krzyknął Piorun.

- A w jaki sposób - zapytała młoda, srebrna samica - przeszkodziłbyś mu w wysłaniu wiadomości, zanim byś uderzył? Spiżowy smok zamknął gwałtownie paszczę.

- Sądzę zauważył srebrny samiec - że została nam pewna szansa. Ostatecznie to tylko człowiek. Wzbiję się na pułap znacznie wyższy niż ten, na którym zwykle latamy. Gdy już tam się znajdę, niewykluczone, iż przekonam się, czy jego moc sięga tak wysoko. By się upewnić, muszę podjąć ryzyko, że nas odkryje. Jeśli mój towarzysz nie ma nic przeciwko temu... Buoron potrząsnął głową, choć mocno chwycił się łąki siodła.

- A co z resztą?

Pozostali nie wyrazili sprzeciwu. Samiec potraktował to jako zgodę. Zatoczył pojedynczy krąg, po czym pomknął w górę. Buoron trzymał się mocno, gdy srebrny smok wzbijał się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie zniknął w warstwie chmur. Upłynęło kilka minut. Reszta grupy oczekiwała z niepokojem. Nagle Huma dostrzegł postać przebijającą się przez obłoki.

Buoron był dość blady, lecz wydawało się, że poza tym nie ucierpiał. Jego smok sprawiał wrażenie zachwyconego.

- Miałem rację. To typowe dla wielu związanych z ziemią umysłów. Jego poszukiwania sięgają

tylko do chmur. Nic, co znajduje się wyżej, dla niego nie istnieje. - Mogłem na to wpaść! - poskarżył się Piorun.

- Ale nie wpadłeś i ja też nie - odparła smoczyca Humy. - Teraz, gdy o tym usłyszałam, zdumiewa mnie to. Zapomniałam, jak ograniczeni są niektórzy ludzie. Niemniej, może mu to przyjść do głowy przypadkowo, lepiej więc ruszajmy szybko.

Reszta grupy podążyła za Huma i jego towarzyszką ku niebu. Wznosili się, aż znaleźli się wśród chmur, w mgłach, a potem przedostali się na drugą stronę. Następnie określili swe położenie w stosunku do twierdzy Vingaard i ruszyli w dalszą drogę.

Smoki leciały przez całą noc. Ich jeźdźcy spali. Humę obudził głos Kaza usiłującego przekonać wielkie gady, że bez względu na wojnę, muszą urządzić postój, nim wszystkie mięśnie w jego ciele zeszywnieją. Same smoki były wyraźnie zmęczone i gotowe wylądować celem ponownego sprawdzenia swej pozycji.

Najpierw Piorun, a po nim reszta pomknęła po spirali w dół. Spiżowy smok zniknął w jedwabistym, białym morzu. Młodsza samica szybko zrobiła to samo. Za nią podążył Huma ze srebrną smoczyką.

Otoczyła go chłodna mgła. Nie widział nawet głowy swej towarzyszki. Poniżej rozległy się ostre, drażniące trzaski. Pierwszą myślą Humy było, że wchodzi w obszar straszliwej burzy. Nagle wypadli z warstwy chmur... ..i pograżyli się w chaosie.

Przyjęli błędne założenie, że minęli już linie nieprzyjaciela. Umysłem Humy opanowały straszliwe koszmary, gdy rycerz zdał sobie sprawę, jak blisko twierdzy są oblegający. Wszędzie szalały walki.

Ludzie i ogrowie ścierali się wściekle ze sobą. Humie wydało się, że rozciągająca się pod nim ziemia usłana jest zabitymi i umierającymi. Obie strony w tej samej chwili nacierały bądź cofały się, zależnie od tego, gdzie spojrzął. Panował kompletny chaos. Smoki Takhisis nurkowały raz za

razem, atakując zarówno przeciążone linie rycerstwa, jak i tych spośród swych ogrowych sojuszników, którzy mieli pecha znaleźć się zbyt blisko. Były tam smoki złote, srebrne, spiżowe i miedziane, lecz zawsze wydawało się, że jest ich za mało. Co gorsza, w powietrzu czuło się obecność złowrogiej mocy, której nie mogła się przeciwstawić odwaga dobrych smoków. Nawet na górze, daleko od pola bitwy, Huma czuł, jak w jego duszy narasta zniechęcenie i rezygnacja.

- Jest tu Takhisis - mruknęła jego towarzyszka. - Przybyła na Krynn. Karmi naszych kuzynów własną mocą i mrozi umysły swych wrogów. Nie sądziłam, że potrafi przekazać tak wiele swej siły do świata śmiertelników. Wygląda to całkiem tak, jakby znajdowała się przed nami osobiście.

Była to prawda. Poczucie obecności Królowej Smoków było przytłaczające. Huma zadrzał z zimna, które groziło odrętwieniem raczej jego umysłowi niż ciału. Jak można było walczyć z boginią? - Przed nami, Humo. Czy to widzisz?

Podążył wzrokiem w kierunku wskazanym przez głowę smoczycy. Przetarłszy kilka razy oczy, zidentyfikował maleńki obiekt na horyzoncie.

- Twierdza Vingaard! - krzyknął lecący przed nimi Kaz. Teraz wszyscy już ją dostrzegali. Wydawało się, że walki toczą się na całej przestrzeni aż do jej murów.

Lord Avondale krzyknął głośno. Wskazał ręką w prawo. Złoty smok toczył bój z dwoma czerwonymi. Walka była zajadła. Wszyscy trzej jej uczestnicy odnieśli rany. Gdy stało się oczywiste, że złoty przegrywa, Piorun nie czekał dłużej. Kaz pochylił smoczą lancę i obaj rzucili się do szarży.

Nagle ze wszystkich stron otoczyło ich mnóstwo smoków, w większości wrogich. Wszelkie myśli o jedzeniu i odpoczynku zniknęły. Zostały tylko pazury i zęby, wrzaski i ryki, krew i ból. I smocze lance.

Smoki ciemności nic o nich nie wiedziały. Być może Dracos nie chciał, by się przestraszyły. Wkrótce jednak poznały lęk przed tą bronią. Jeden za drugim ginęły na grotach lanc, które - gdy wyrwano je z ich ciał - były wolne od plam oraz zadrapań i lśniły własnym blaskiem.

Dzieci Takhisis wkrótce zaczęły pierzchać przed ową jasnością. Z łatwością rozpoznały ją jako znak Paladine'a, przeciwko któremu nie miały mocy. Inne, znajdujące się dalej, dostrzegły panikę, w jakiej ich bracia uciekali z pola walki i uznały, że bitwa jest przegrana. Rejterada pierwszych smoków szybko przerodziła się w falę zamieszania na niebie. Coraz więcej ich umykało, ogarniętych bezrozumnym popłochem.

Uwolnione od konieczności walki ze swymi pobratymcami smoki Paladine'a wspomogły siłę rycerstwa. Losy bitwy na ziemi również zaczęły się odwracać. Najpierw na zachodzie, a potem na wschodzie linie sił Królowej Smoków rozciągnęły się, ustąpiły, a na koniec załamały. Bez pomocy swych smoczyczych sojuszników, ogrowie oraz ludzie walczący po stronie ciemności utracili odwagę. Wielu z nich po prostu rzuciło broń i uciekło.

Wreszcie walki ustały. Fakt, że pod kopułą nieba rozległ się złowieszczy grzmot, a w góry na zachodzie uderzyła błyskawica, zaniepokoił tylko nielicznych. Rozpaczliwie potrzebowali jakiegoś sukcesu i uzyskali go. Nikt na razie nie wiedział, jak do tego doszło, lecz wszyscy wznieśli dzięki za cud do Paladine'a i jego rodu, po czym nieugięcie czekali, co wydarzy się później.

Było już dobrze po południu, gdy cztery wyczerpane smoki wylądowały na dziedzińcu twierdzy Vingaard. Wszystkie miały na grzbietach jeźdźców, z których każdy był blady i znużony. Przybyszy otaczała srebrzysta łuna. Wreszcie ktoś zdał sobie sprawę, że to wielkie lance są źródłem tego boskiego blasku, a nie same smoki i ich jeźdźcy. Wtedy jednak wieści zaczęły się już szerzyć.

Rozdział dwudziesty piąty

- Mówili mi, że to ty, ale nie mogłem w to uwierzyć po tych wszystkich opowieściach, jakie powtarzano. - Opowieściach?

Huma i jego towarzysze zeszli ze smoków. Zalałaby ich fala rycerzy i gminu, gdyby nie szybka orientacja lorda Grendala, który kierował obroną twierdzy. Garstka dobrze wyszkolonych, doświadczonych rycerzy tworzących dowodzony przez niego oddział otoczyła przybyszy już w minutę po ich wylądowaniu.

Lord Oswal, wielki mistrz, wskazał ręką na Humę. - Wiesz, o czym mówię. Opowieści o twej walce z demonem, który szerzył w okolicy mór i niezgodę. - Z Rennardem?

- Z Rennardem. To zdumiewające, jak zawodna jest ludzka pamięć. Gdy tylko został zdemaskowany i gdy go pokonałeś, szybko zapomnieli, jak bardzo byli skłonni uwierzyć w szerzone przez niego plotki. Obciążyli winą jego, jako złego demona czy kapłana. Nie pamiętam dokładnie kogo. Potem, na zwieńczenie wszystkiego, zniknąłeś podobno bez śladu niczym sam Paladine.

Twarz Humy nabrała ciemnokarmazynowego odcienia. - Z tym zniknięciem to prawda, zapewniam cię jednak, panie, że to nie moja moc była jego przyczyną. - Zaiste.

Oczy lorda Oswala powędrowały ku smoczemu lancem. Wydawało się, że jego ciało zadrżało przelotnie. - Czy to tego właśnie szukałeś? Czy tego tak rozpaczliwie potrzebujemy?

- Tak, wielmożny panie. To smocze lance. Dotarliśmy tu wcześniej, ale zaangażowaliśmy się w bitwę.

- Nie wątpię. Słyszałem od ludzi i smoków, jak wasza ósemka pojawiła się znikąd, siejąc strach i śmierć wśród sługusów Królowej Smoków. Być może to, co mówią, jest prawdą i faktycznie jesteś Paladinem, który przybył na Krynn w postaci śmiertelnika. - Lordzie Oswalu!

Wielki mistrz zachichotał. - Nie przyjąłem tego sposobu myślenia, Humo. Jak dotąd.

Choć było oczywiste, że Oswal pragnie obejrzeć lance, zwrócił się w stronę pozostałych

członków grupy Humy. - Ciebie znam, minotaurze. Cieszę się, że pokładałem w tobie wiarę. Potwierdziłeś wszystkie dobre rzeczy, które słyszałem o twojej rasie. Dziękuję ci za udzieloną nam pomoc.

Kaz był dziwnie spokojny. - Uczyniłem to, co należało. Złożyłem Humie przysięgę. - I tylko w tym rzecz?

Wielki mistrz uśmiechnął się i podszedł ku pozostałym, zaczynając od lorda Avondale'a. W jego głosie słyszalny był leciutki cień chłodu. - Witam cię, ergothiański dowódco, jako mego towarzysza rycerza. Jak sądzę, nie przywiodłeś ze sobą swej armii? - Gdy spotkaliśmy się ten jeden raz, wielki mistrzu, wiedziałem, że

któregoś dnia zajmiesz pozycję, którą piastujesz obecnie, miałem jednak nadzieję, że złagodniejesz pod jej wpływem, nim ponownie przyjdzie nam się zetknąć.

Oswal zaakceptował zawołaną reprimendę z bardziej autentycznym uśmiechem. - Wybacz mi, jeśli czasami zapominam, że jestem również w obecności kapłana Paladine'a.

Huma, Kaz i Buoron popatrzyli na siebie nawzajem. Choć darzyli szacunkiem lorda Avondale'a, nigdy by nie pomyśleli, że jest kapłanem tego boga. Kto jednak miał prawo określać, jak powinien wyglądać kapłan, dopóki jego wiara i zachowanie nie pozostawały w sprzeczności z boskimi naukami?

Zdradziłeś moją tajemnicę, ale nic nie szkodzi. Może teraz Huma zrozumie, dlaczego chciałem, by towarzyszył mi do Caergothu. Gdy zauważyłem znak Morgiona na tak niewątpliwie lojalnym rycerzu, zaniepokoiłem się, że naznaczono go po to, by dokonać na nim jakiegoś ohydneho czynu. Avondale zwrócił się ponownie w stronę Humy. Uśmiechnął się.

Wielki mistrz odwrócił się od Ergothianina i z lekką wesołością popatrzył na Buorona. Rycerz z południowego zachodu rzucał się w oczy ze względu na swą bujną brodę. Dygotał w obecności wielkiego mistrza. - A ty jesteś...

Rycerz zamrugał kilka razy powiekami, zanim wykrztusił swe imię. - Buoron, wielmożny panie! - Z jednej z naszych odległych ergothiańskich placówek, jak sądzę. - Tak, wielmożny panie. Buoron zbiegał. - Jesteś mężnym rycerzem.

Lord Oswal klepnął go w ramię i odwrócił się. Buoron odetchnął z ulgą i uśmiechnął się słabo. - A teraz, Humo... - Wielki mistrz stał się absolutnie poważny. - Jeśli byłbyś tak uprzejmy, chciałbym żebyś udał się ze swymi towarzyszami do mojej kwatery. Chcę usłyszeć wszystko. - Tak, wielmożny panie. Ale smocze lance...

- Będą traktowane ostrożnie i umieszczone w bezpiecznym miejscu, dopóki nie zdecydujemy, co z nimi zrobić. Chodźcie więc. Podejrzewam, że wszyscy chętnie byście się czegoś napili. I ja mam na to ochotę.

Raport Humy od czasu do czasu przerywały pioruny i błyskawice siejące spustoszenie w górach na zachodzie. Kaz zasugerował, że to Takhisis wyładowuje swój gniew na tych, którzy ją zawiedli, bądź też odpowiedzialny za to jest Galan Dracos, wściekły na swych podopiecznych z powodu ich nieudanych prób zdobycia smoczycych lanc.

Lord Oswal stukał palcami w stół, wysłuchując wszystkiego, co przekazywał Huma. - Paladine! Nigdy bym w to nie uwierzył, gdybym usłyszał o tym od kogoś innego i gdybym nie ujrzał ich na własne oczy! Przynosisz dumę mnie staremu, Humo. Wiem, że Durac również byłby z ciebie dumny. - Dziękuję, wielmożny panie. Ten komplement znaczył dla niego więcej niż wszystkie pozostałe.

- Wykonane ze smoczego srebra przez kowala o srebrnej ręce, który do tego posiadał wykuty przez boga młot. Huma zrobił zdumioną minę. - O tym nie wspominałem.

Wielki mistrz uśmiechnął się chytrze. - Jestem badaczem dawnej wiedzy, Humo. To jeden z

powodów, dla których od początku ci wierzyłem. Jeśli ten kowal wygląda tak, jak go opisałeś, musi mieć młot wykonany przez samego Reorxa. Cieszę się, że nasze starożytne zapiski okazały się ostatecznie prawdziwe i że ocaliłeś życie, by sprowadzić do nas tę broń.

Od pewnego czasu wewnątrz Humy coś narastało. Wreszcie rycerz wstał z miejsca. - Wielmożny panie, upraszam cię. Doceniam wszystko, co powiedziałaś. Wiem też, że jest jeszcze wiele rzeczy, które musisz usłyszeć. Niemniej mamy teraz smocze lance i muszę zwrócić się do ciebie z pewną prośbą. Jest dwadzieścia lanc, które można wykorzystać w podniebnej walce. Daj mi choć jedną i pozwól polecieć do dziedziny Galana Dracosa i jego mrocznej pani. Muszę uwolnić Magiusa!

- Rycerzu Humo - głos wielkiego mistrza stał się bezdźwięczny, przerażająco podobny do głosu Rennarda. Lord Oswal wpatrywał się w niego, dopóki Huma nie usiadł. - Jeden mężczyzna albo kobieta - czy to twój towarzysz, krewny czy kochanka - nie może być wart życia setek. Powiedziałbym to samo nawet wtedy, gdyby chodziło o mnie. Masz prawo się ze mną nie zgadzać, ale tylko prywatnie. Walczymy o istnienie całej Solamni, całego Ansalonu, a może nawet Krynnu. Nie mogę na to pozwolić. - Wzięto go do niewoli, gdy bronił lanc. Gorycz Humy zaczynała się uwidaczniać.

- Zdaję sobie z tego sprawę, rycerzu Humo, podobnie jak z grożących ci niebezpieczeństw, których ty chyba nie dostrzegasz. Moja odpowiedź pozostaje bez zmian. Zrozumiano? Huma nie powiedział nic.

- Mówiłeś, że masz dwadzieścia jeden lanc, z których jedna jest przystosowana do wykorzystania przez piechotę.

- - Tak.

- Dwadzieścia raczej nie wystarczy. Tym razem mieliśmy szczęście, gdyż smoki się niczego nie spodziewały i wasze nagłe przybycie wywołało wśród nich chaos. - Uciekły, chowając ogony pod siebie - zauważył z satysfakcją Kaz.

- Tym razem. Gdy przybędą ponownie - a nie sądzicie, że tego nie zrobią - będą działały przebieglej i śmielej. Cztery lance - a nawet dwadzieścia - nie zapewnią nam wtedy zwycięstwa.

- Twierdzisz, że walka jest przegrana. Nie tego oczekiwałem od wielkiego mistrza solamnijskich rycerzy - zauważył lord Avondale.

Wielki mistrz zignorował wyraz wzgardy widoczny na twarzy Ergothianina. Nie spuszczał wzroku z Humy. - Niektórzy mogą to uznać za pogodzenie się z porażką, lecz jedynie dlatego, iż nie chciało im się wysłuchać mnie do końca. Musimy uwolnić kuźnię od wszelkich innych zadań i wykonać lance tak bliskie pod względem jakości oryginalnym, jak tylko nam się uda.

Guy Avondale przymrużył oczy. Na jego wargach wykwitł wąski uśmieszek. Kaz i Buoron wymienili zakłopotane spojrzenia. Huma zawahał się. Nagle zrozumiał, do czego zmierza starszy rycerz. - To podstęp! Usidlimy ich za pomocą blefu na wielką skalę!

Lord Oswal uśmiechnął się z twardym wyrazem w oczach. - Dokładnie. Za pomocą blefu. Mamy już urządzenia potrzebne do produkcji zwykłych lanc. Wyprodukujemy tyle falsyfikatów smoczycych lanc, ile tylko można.

- Jak długo to potrwa? - zapytał Avondale. - Jak sam zauważyłeś, nie upłynie wiele czasu, nim wróg powróci.

- Obróbkę metalu traktujemy jak sztukę, komendancie. To część tajemnicy kryjącej się za naszymi sukcesami. Tandetna broń i osłona to tandetna armia, że sparafrazuję fragment reguły. Wystarczą nam dwa dni, by wyprodukować ponad sto lanc. Jak już mówiłem, będą to kopie, falsyfikaty prawdziwych smoczycych lanc. Niewątpliwie wśród nieprzyjaciół rozeszły się już wieści o przyczynach ich dzisiejszej klęski. Gdy następnym razem stawimy im czoło, mam nadzieję mieć co najmniej sto tych

falsyfikatów. Kiedy nadlecą smoki Takhisis, natkną się na istną szarżę kawalerii. Czynnikiem zaskoczenia będzie po naszej stronie. Mam nadzieję, że setka pik uchodzących za prawdziwe smocze lance spowoduje kolejny wybuch paniki. Jeśli uda się utrzymać smoki na dystans, nasze siły ruszą do ataku, by stawić czoło ogrom.

- To coś więcej niż blef. Masz zamiar zwyciężyć, bez względu na to, czy będziesz miał smocze lance. To interesujący plan. Czy pokładasz w

- nim wiarę? Naprawdę?

- Jako kapłan Paladine'a, powinieneś to wiedzieć. Poza tym, wierzę nie tyle w plan, co w moich ludzi. Ostatecznie jesteśmy rycerzami solamnijskimi.

- Humo. Spacerował sam, starając się uporządkować w głowie wszystko, co się działo. Magius, smocze lance, Galan Dracos, Gwyneth... -Humo? Odwrócił się błyskawicznie. Stała w mroku stajni, odziana w powłóczystą, srebrno-błękitną szatę odsłaniającą częściowo jej szczupłą postać. Podeszła do niego. Huma był zaskoczony. - Gwyneth? Uśmiechnęła się. - Spodziewałaś się kogoś innego? - Nie!

- Chciałam odwiedzić cię wcześniej, ale nie było to możliwe. Są... pewne rzeczy... które muszę sobie poukładać w głowie. Mam jednak nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, bym się z tobą kawałek przeszła. - Nic. Absolutnie nic.

Gwyneth wzięła go pod rękę. Oboje ruszyli powoli przez dziedziniec. Była to pierwsza niemal bezchmurna noc, jaką Huma sobie przypominał. Gdzieś widać nawet było skrawki nieba, całkiem jakby powłoka chmur rozpraszała się wreszcie. Wiedział, że nie ma co liczyć na jej zniknięcie. Mogłaby to spowodować tylko jedna rzecz - całkowita klęska Królowej Smoków.

Potrzebował trochę czasu, by zdobyć się na odwagę, wreszcie jednak zapytał: - Jak tu dotarłaś?

Odwróciła twarz. - Proszę cię, nie pytaj mnie o to teraz. Obiecuję, że wkrótce ci powiem.

- Proszę bardzo. Sam twój widok sprawia mi radość. Ponownie zwróciła się ku niemu. - Cieszę się z tego.

To nadaje wszystkiemu wartość. - Twarz Gwyneth zachmurzyła się nagle znowu. - Słyszałam coś o tym, że chciałeś sam wyruszyć na ratunek Magiusowi. - Wielki mistrz zabrania tego. - Co więc zrobisz? - Usłucham go. To mój obowiązek.

Potem nie mówili już nic. Gwyneth wsparła jedną dłoń o ramię Humy. Gdy szli, zdumiewała go siła jej ręki. Było tak wiele rzeczy, których o niej nie wiedział, w tym również tego, co łączyło ją ze smoczą lancą. Uznał, że z pewnością jest kapłanką, nie był jednak pewien, którego boga. Gwyneth wbiła nagle wzrok przed siebie. Zesztywniała. Huma podążył

oczyma za jej spojrzeniem. Zobaczył nieznanego mężczyznę mniej więcej dorównującego mu wiekiem. Był on odziany jak wieśniak - wielu z nich skryło się w twierdzy Vingaard tuż przed tym, nim wojna dotarła do ich domów - ale jego postawa sprawiała odmienne wrażenie. Twarz obcego niemal całkowicie skrywał cień, lecz Huma mógłby przysiąc, że jego oczy gorzały. Popatrzawszy na nich dwoje, mężczyzna zniknął za rogiem. - Kto to jest?

Dłoń Humy opadła ku rękojeści jego miecza. Jeśli ktoś śledził Gwyneth...

- Nikt - odpowiedziała, o wiele za szybko. Uwolniła się od ramienia Humy. - Muszę już iść. Później się z tobą spotkam. Obiecuję.

Skierowała się w stronę, z której przyszli, i oddaliła pośpiesznie. Huma chciał za nią podążyć, lecz niemal natychmiast zniknęła mu z oczu. Rycerz zamrugał powiekami. Nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie się skierowała ani w którym momencie.

Reakcja na smocze lance nie wyglądała tak, jak się tego spodziewali Huma i inni.

Zaproponował, że zademonstruje sposoby ich użycia. Ku jego konsternacji zjawiała się tylko

garstka rycerzy. Jeden z nich wyjawiał powód zdumiewającej apatii swych braci. Oszołomiony Huma powtórzył pozostałym słowa owego człowieka i poinformował ich, jak rozpowszechnione są wśród rycerstwa podobne uczucia.

- Czas na cuda minął. Ludzie nie chcą zaakceptować magii lanc. Któż mógłby ich za to winić? Prosimy ich, by narażali życie w sposób, który uznają za niecelowy. Ci, którzy ruszą do walki uzbrojeni w prawdziwe smocze lance, przyjmą na siebie główne uderzenie, a potem spróbują przebić się i uderzyć w samo serce zła, Galana Dracosa i jego piekielną panią. Samobójstwo jest jednak sprzeczne z przysięgą i regułą. W sprawie lanc niewielu ma prawdziwą wiarę w Paladine'a. Powiedziano mi, iż niektórzy sądzą nawet, że sam je stworzyłem. Chcą wiedzieć, dlaczego mieliby narażać życie bez potrzeby, podczas gdy mogliby być tutaj, ze swymi towarzyszami, i toczyć bardziej równorzędny bój z konkretnym wrogiem. Walkę ze smokami już znają, ale stawienie czoła samej Królowej Ciemności to szaleństwo. Tę opinię przekazywano mi niejednym razem.

Na te słowa lord Oswal podniósł się z miejsca. - Podejmą to ryzyko, do licha! Są rycerzami, nie tchórzliwymi złodziejami! Rozkażę im wziąć lance i zrobić z nich użytek! - Wtedy zginą - wtrącił Avondale. - - Co takiego? Obaj dowódcy spojrzeli sobie w oczy.

- Zginą, wielki mistrzu. Mając niewielką wiarę, lub zgoła żadnej, po prostu zginą. Nie chodzi o to, czy w smoczych lancach płynie moc Paladine'a. Ten, czyja dłoń włada bronią, również musi wierzyć, gdyż w przeciwnym razie reakcje będą odrobinę zbyt wolne i trochę nieprecyzyjne. Potrzebna im wiara taka, jak nasza. Bez niej przegrają, gdyż będą patrzeć na te lance tak, jak na każdą broń - przedmioty, które wygną się, połamią lub roztrzaskają o skórę smoków ciemności. - Ale smocza lanca...

Ergothiański kapłan uniósł dłoń, nakazując milczenie. - Mamy dwadzieścia smoczycich lanc. Zgadza się? - Plus jedna dla piechoty - dodał szybko Huma.

- Dwadzieścia lanc. Potrzebna nam taka sama liczba ludzi. Sądzę, że Paladine nad nami czuwa. Jeśli smoczycich lanc jest zaledwie dwadzieścia, to nie bez powodu. Jeśli mamy otrzymać więcej, Paladine dopilnuje, by tak się stało. Jeśli nasza wiara jest silna, odniesiemy triumf, czy to z dwudziestoma lancami czy z tysiącem. Lord Oswal popatrzył na Humę. - On ma rację.

Huma przyjrzał się zebranym w komnacie. Kaz, Buoron i Avondale polecą z nim. Potrzebował jeszcze tylko szesnastu ludzi. - Niech więc będzie nas tylko dwudziestu.

Niejednym uniósł brwi na te słowa. Huma nie czekał na pytania, lecz natychmiast przystąpił do snucia planów.

- Buoronie, Kaz, wielmożny panie Avondale. Wiem, że wy trzej przyłączycie się do mnie. Znacnie smocze lance i wiecie, czego potrafią dokonać. Jeśli dwadzieścia lanc to wszystko, co dzieli nas od klęski z rąk Królowej Ciemności, powinniśmy podziękować Paladine'owi, że mamy choć tyle i wykorzystać je w maksymalnym stopniu.

- Powinieneś być zostać kapłanem, Humo. Masz wiarę silniejszą niż ktokolwiek, kogo znałem. W głosie lorda Guya nie było słycać drwiny.

Ktoś zastukał do drzwi komnaty wielkiego mistrza. Do środka wszedł jeden z Rycerzy Róży, z których składała się jego straż przyboczna. - Wielki mistrzu. Rycerz Bennett chce z tobą pomówić.

- Wezwałem go z murów twierdzy już jakiś czas temu. Gdzie się podziewał? - Nie powiedział mi tego, wielmożny panie. Lord Oswal spojrzął na Humę, po czym skinął powoli głową. - Pozwól mu wejść. - Tak jest, wielmożny panie.

Wartownik przemówił do kogoś, kto czekał w korytarzu, po czym stanął na baczność. Bennett wszedł władczy krokiem do komnaty. Wydał się Humie podobniejszy do swego ojca niż kiedykolwiek dotąd. Zasalutował z szacunkiem stryjowi, po czym uprzejmie przywitał pozostałych,

choć w ergothiańskiego dowódcę wpatrywał się długo i intensywnie. - O co chodzi, Bennecie? - Stry... wielki mistrzu, poddałem oględzinom smocze lance. Twarz starszego rycerza zasepiła się. - Kto udzielił ci pozwolenia? Część władczości Bennetta zniknęła.

- Zrobiłem to z własnej inicjatywy. Nie mogłem się powstrzymać, po tym, jak rozmawiałeś ze mną na ten temat po... zniknięciu Humy.

Mówiąc, Bennett spoglądał na Humę, ten jednak nie potrafił nic wyczytać z jego nieruchomych, jastrzębich rysów. - I co?

Żrenice oczu bratanka wielkiego mistrza rozszerzyły się. Maską opadła. Zarówno Humę, jak i lorda Oswala zdumiał zachwyty malujący się na twarzy Bennetta, gdy ten przemówił. - Były gładkie w dotyku. Tak gładkie, że z pewnością bez trudu przesywają powietrze. Nigdy nie widziałem równie ostrych grotów ani równie lśniącego metalu. Równie żywego. Słyszałem, że wielu powątpiewa w autentyczność lanc, muszę jednak uwierzyć, że przysłał je nam Paladine za pośrednictwem wybranego przez siebie reprezentanta.

Po raz pierwszy w życiu Huma wyczuł w bratanku wielkiego mistrza głęboki szacunek dla kogoś. Na dodatek skierowany pod jego adresem.

Lord Oswal był nie mniej zaskoczony. Kaz wydał z siebie ciche, wzgardliwe parsknięcie, lecz spojrzenie, jakim obrzucił go Bennett, sprawiło, że ucichł natychmiast.

- Chcę być jednym z nich, wielki mistrzu. Naliczyłem tylko dwadzieścia lanc i nie wiem, czy będziemy mieć więcej, chcę jednak być jednym z nich. Po to właśnie się szkoliłem - aby poświęcić się w służbie Triumwiratowi i Paladine'owi. Poddam się każdej próbie, jaka będzie potrzebna, by dowieść, że jestem tego godny.

Bennett wypuścił z płuc powietrze. Jego ramiona opadły. Obnażył się przed wszystkimi obecnymi i czekał teraz na osąd.

Wielki mistrz spojrział na Humę, na Avondale'a, a potem z powrotem na bratanka. - Rycerzu Bennecie, jak wiem, jesteś synem mojego brata. Człowieka, - który był mi bratem, zanim rozdzieliły nas napięcia związane z przywództwem. Dostrzegam w tobie potencjał, w który wielu zawsze wierzyło. Jeśli potrafisz pozostać takim, jakim jesteś teraz, możesz stać się jednym z pierwszych i najlepszych w naszych szeregach. - Ramiona Bennetta zeszywniały w nieskrywanej dumie. Oswal mówił dalej: - Jeśli naprawdę chcesz osiągnąć to, do czego wszyscy dążymy, proszę cię, byś brał przykład z tego rycerza... - Wskazał na zdumionego Humę. - ...gdyż stanowi on wcielenie naszych nauk, bez względu na to, czy sam w to wierzy. - Czy więc pozwolisz...

- Pozwolę. Zlecę ci też specjalne zadanie. Znajdź innych, podobnych sobie. We wszystkich trzech zakonach. Ma ich być w sumie piętnastu. Muszą wierzyć w siłę i wolę Paladine'a oraz być gotowi wlecieć pod firmament uzbrojeni w smocze lance.

Bennett skierował się ku drzwiom, niemal się potykając. Zwrócił się ku stryjowi. Lord Oswal skinieniem dłoni nakazał mu odejść. Rycerz Róży oddalił się pośpiesznie.

Uczył dokładnie tak, jak mu polecono. Odnalazł ochotników we wszystkich trzech zakonach. Kryterium wyboru były zasługi i wiara, a nie lojalność w stosunku do Bennetta, jak stałoby się to przed śmiercią jego ojca. Byli wśród nich rycerze doświadczeni i będący niemal nowicjuszami. Co było sporym zaskoczeniem, Bennett włączył też trzech takich, którzy stracili na wojnie kończyny bądź też zostali trwale okaleczeni. W czasie pokoju lord Oswal przydzieliłby tym ludziom pracę w twierdzy, coś, co dostarczyłoby im zajęcia, lecz pozwoliło unikać trudnych sytuacji. Teraz jednak potrzebny był każdy, kto potrafił walczyć. Ci, którzy stracili nogę, nadal mogli jeździć i wymachiwać mieczem. Jedną bezwładną ręką oznaczała, że wojownik mógł używać drugiej. Rycerz solamijski nie poddawał się, dopóki nie odniósł triumfu lub nie zginął. Gdyby usunęli podobnych ludzi z

szeregów, liczebność oddziałów stacjonujących w twierdzy zmniejszyłaby się niemal o jedną czwartą.

Gdy siły Królowej Smoków wycofały się z sąsiadujących z twierdzą terenów, ponownie otworzyły się linie zaopatrzenia, choć kontakt był tylko sporadyczny. Przy każdej okazji rycerze z południowych rubieży dowozili żywność i surowce. Było to niebezpieczne, gdyż ogrowie i smoki nadal nękali szlaki i części wozów nie udawało się dotrzeć do celu.

W górach na zachodzie panował złowróżbny spokój. Huma złapał się na tym, że od czasu do czasu spogląda w ich kierunku. Magius nadal gdzieś tam się znajdował. Rycerz wciąż pragnął podjąć jakąś próbę

uratowania go. Irytowało go oczekiwanie w twierdzy na to, co uknują Galan Dracos i jego pani.

Może byłoby mu łatwiej, gdyby była z nim Gwyneth, lecz po tamtej nocy nie wróciła już. Huma konwersował ze srebrną smoczyką. Rozmawiali ze sobą tylko wtedy, gdy byli sami, gdyż Huma czuł się zażenowany w obecności innych strzegących twierdzy smoków, a zwłaszcza brata i siostry jego towarzyski. Ta dwójka obserwowała go z uwagą, gdy tylko się pojawił.

Smoczyca słuchała każdego słowa rycerza i odpowiadała na jego pytania z tak głębokim uczuciem, że często po prostu zapominał, iż rozmawia ze stworzeniem znacznie większym i starszym od siebie. Jednocześnie wydawała się przepelniona smutkiem, którego źródła Huma nigdy nie potrafił zidentyfikować. Tylko raz spróbował naciskać na nią, by się dowiedzieć, gdy jednak posunął się za daleko, wielka smoczyca odwróciła się i odeszła bez słowa.

Rycerz nie potrafił wyjaśnić przyczyn uczucia, które go wówczas wypełniło, wiedział jednak skądś, że to on jest przyczyną smutku, który stał się nieodłączną częścią olbrzymiej istoty.

Pamiętał, by nigdy już nie poruszać tego tematu, z obawy przed prawdą, którą mógłby odkryć.

Czas mijał, aż wreszcie pewnego dnia wszystkim wydało się, że same niebiosa eksplodowały. Rycerze przebywający w twierdzy wskazywali ku górze. Podniosły się szepty. Choć nie przyznaliby, że czują strach, wielu pobladło, przypomniawszy sobie poprzedni raz, gdy niebo wyglądało w podobny sposób.

Huma pognał ku blankom. Kaz i Buoron biegli tuż za nim. Zarówno rycerz, jak i minotaur zmrużyli oczy, spoglądając na rozpościerającą się przed nimi grozę. Buoron, który przybył z placówki na południowym zachodzie, nie był obecny podczas poprzedniego ataku, popatrzył jednak na scenerię, zwrócił się ku swym towarzyszom i wtedy dopiero ujrzał wyraz ich twarzy.

On również pobladł. - Co to oznacza? - zapytał. - Dlaczego niebo jest takie czarne?

Kłębiąca się ciemność, która w poprzedniej bitwie omal nie sprawiła, że rycerstwo przegrało wojnę, zbliżała się powoli ku zewnętrznym liniom obrony. Wiatry wokół twierdzy wzmagały się do maksimum.

Rozdział dwudziesty szósty

- Smocze lance! Musimy polecieć natychmiast!

Inni zbierali się już, gdy Huma i jego towarzysze weszli na dziedziniec. Bennett patrzył na niego tak, jak adiutant na komendanta. Tutaj dowództwo sprawował Huma.

Smoki również były już na miejscu. Miały kłopoty z podjęciem decyzji, które z nich będą towarzyszyć rycerzom. W przeciwieństwie do ludzi, wszystkie zgłosiły się na ochotnika. To srebrna smoczyca dokonała ostatecznego wyboru, jako najbliższej związana z lancami. Nikt nie kwestionował jej postanowień, gdyż w każdym przypadku kierowała się uprzednimi osiągnięciami oraz fizyczną wytrzymałością kandydata. Były to smoki srebrne, spiżowe - wśród nich największym gadułą był Piorun - a nawet jeden złoty.

Wykonano więcej siodła niż było potrzeba. Dobrze wyszkoleni rycerze kończyli już ich

przygotowania. Ktoś również pomyślał o przytwierdzeniu lancy dla piechoty do srebrnej smoczy, na której miał lecieć Huma.

Gdy wszystko było już gotowe, Huma zwrócił się ku zebrany i zobaczył, że na coś czekają. Skrzywił twarz, zdawszy sobie sprawę, że oczekują na jego rozkazy. Nawet lord Avondale, który zdaniem Humy z pewnością posiadał więcej kwalifikacji dowódczych od niego. Rycerz zwrócił się naprzód. Upewnił się, że wszystko jest pewnie przymocowane, po czym kopnął lekko srebrną smoczę i dał sygnał do odlotu.

Cóż to za wspaniały widok - pomyślał, obejrzawszy się za siebie. Dwadzieścia smoków utworzyło formację o kształcie grotu strzały. Huma

leciał na jej przedzie. Po lewej, nieco z tyłu, miał Kaza na Piorunie, a po prawej Buorona. Nie widział lecącego z tyłu lorda Avondale'a.

Jego rozmyślania przerwał widok oblicza srebrnej smoczy, która odwróciła się, by przemówić do niego. - Humo, ja... - Popatrzył przed siebie, spodziewając się ujrzeć wyłaniające się z ciemności dzieci Królowej Smoków. - Nic. Chciałam... chciałam tylko powiedzieć, że możesz na mnie liczyć pod każdym względem.

- Zawsze będę ci wdzięczny - krzyknął. Wiatr stał się tak silny, że uszy wypełniał mu jego szum. Nie mógł być pewien, czy go usłyszała. Zdażyła już się odwrócić.

Wielkiego wysiłku wymagało samo wniknięcie w zasłone ciemności wzniesioną przez zwolenników Galana Dracosa. Wichura była gwałtowna, rycerze jednak pewnie siedzieli na swych wierzchowcach, lance zaś zostały bezpiecznie przytwierdzone. Huma i srebrna smoczyca przedostali się jako pierwsi. Wyglądało to tak, jakby Kryn przestał istnieć. Niebo i ziemia zniknęły. Został tylko rycerz, jego smoczyca i lanca. Nie - zrozumiał nagle Huma. Było jeszcze coś więcej. Za sobą dostrzegał blask innych smoczyc i lanc. Z początku obawiał się, że ich światło stanie się latarnią morską dla sił Takhisis. Potem dostrzegł, jak pochłaniają one ciemność, niszcząc zakłęcie. Nie miało znaczenia, czy wróg ich zobaczy czy nie. Mrok przestał być zagrożeniem. - Przebiliśmy się! - krzyknęła srebrna smoczyca.

Nagle świat pojawił się ponownie. Gdy Huma wędrował tędy na piechotę, wydawało mu się, że pokonał niewiarygodny dystans, nie kończąc się ciemność, w której stwory pochodzące z innego wymiaru skradały się z chrzęstem ku niczego nie widzącym ofiarom. Teraz miał wrażenie, że to nic wielkiego. Runęły na nich nieprzyjacielskie smoki.

Najpierw zaatakowały Humę, gdy wraz ze srebrną smoczą wynurzył się z powrotem w światło. Samotny jeździec wydal się czerwonym smokom łatwym łupem. Dwa z nich oddzieliły się od swych braci, by rozprawić się z nim. Z ciemności za jego plecami zaczęli jednak wyłaniać się kolejni smoczy jeźdźcy i łatwy łup przerodził się w śmiertelnie groźnego łowcę. Obie nadmiernie pewne siebie czerwone bestie zwały się szybko na ziemię, nie mogąc umknąć na czas. Inne: niebieskie, czarne i czerwone, ruszyły naprzód z większą ostrożnością. Huma odnosił wrażenie, że atakują jedynie ze strachu przed swą panią, której bały się bardziej niż smoczyc i lanc. Jeden z dwudziestu, Hallerin, świeżo mianowany, lecz wprawny Rycerz

Korony, runął na ziemię, płonąc od kwasowego wydechu wroga. Pozostali rycerze pokonali czterech nieprzyjaciół. Reszta smoków ciemności rozpoczęła odwrót, wołając narazić się na gniew swej pani.

Niektórzy z rycerzy chcieli je ścigać, lecz Huma sprzeciwił się leniu, utrzymując poprzedni kurs. Jego celem było źródło ruchomej ciemności.

Kilkakrotnie atakowały ich powietrzne stwory. Napotykali smoki niemal każdego koloru. W pewnej chwili starli się z wielkimi, ptakopodobnymi istotami o lwich paszczach i trzech parach

szponiastych łap. Kolejny smoczy jeździec zginął w starciu z okropieństwami, które mogły być jedynie obłąkanymi wytworami samego Dracosa. Humę szczególnie zasmuciła ta strata. Był to pokryty bliznami, doświadczony Rycerz Róży o imieniu Marik Ogrobójca, jeden z inwalidów.

To on zgłosił się na ochotnika pierwszy. Zostało ich tylko osiemnastu. Podczas lotu Huma notował w pamięci miejsce i okoliczności każdej śmierci w nadziei, że zdoła później w jakiś sposób upamiętnić odwagę tych ludzi pieśnią bądź wierszem. Huma wiedział, że są już bardzo blisko źródła zaklęcia. Czuł to. - Coś widzę, Humo - odezwała się srebrna smoczyca. - Gdzie? - Na dole po prawej.

Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Nie dostrzegł tam nic poza wzgórzem. Było ono nagie, pomijając kilka wykrzywionych, próchniejących drzew, które tworzyły regularny wzór. Z pewnością nie tego się spodziewał. Podzielił się tą opinią ze srebrną smoczyką.

Uśmiechnęła się z miną kogoś dobrze zorientowanego. - Nie patrz oczyma, Humo. Patrz mądrością Paladine'a. Czy widziałeś kiedyś, by rosnące drzewa tworzyły pentagram?

Rycerz spojrzał raz jeszcze. Zauważył, jak precyzyjnie nakreślona jest figura. Gdy przyglądał się drzewom, zaczęły migotać, jak gdyby nie były rzeczywiste. Nie zniknęły, lecz przerodziły się w odziane na brązowo postacie przypominające maga, który zaatakował Humę w lesie. Wydawało mu się, że było to tak dawno temu.

Teraz dostrzegał ich dokładniej. Bez mała tuzin postaci przykucnęło na ziemi z pochylonymi głowami i rękoma wyciągniętymi w kierunku środka pentagramu, gdzie jedna z nich stała z ramionami wzniesionymi ku górze.

- Załatwimy ich? Chyba nas nie widzą - krzyknął lecący obok Kaz. Piorun z entuzjazmem wyraził podobne pragnienie. - Chcę wziąć ich żywcem, jeśli to możliwe. - Jeśli możliwe? - zachnął się Kaz.

Piorun runął naprzód i omal nie odniósł straszliwych obrażeń, gdy coś wzbiło się w górę, zakłócając prądy powietrzne, całkiem jakby z ziemi uderzył grom. Kaz i Piorun zatoczyli krąg, by podjąć następną próbę. Tym razem, gdy nastąpił atak, smok uchylił się z łatwością. Firmament przeszyła błyskawica, która uderzyła w pagórek. Gdy dym się rozwiął, w miejscu, gdzie przedtem znajdowały się postacie, dostrzegli niewielki krater.

Huma odwrócił się na dźwięk śmiech srebrnej smoczycy. - Skąd pochodzi jego przydomek „Piorun”. Wszystkie spizowe smoki znają tę sztuczkę, lecz tylko nieliczne potrafią zrobić to z podobną precyzją, a żaden mu nie dorównuje.

Gdy ich obrona została rozbita, magowie-renegaci ożywili się nagle. Podnieśli się jak jeden mąż i zwrócili w stronę przybyszy. Choć Huma nie mógł być tego pewien z tak daleka, wydało mu się, że ich twarze są zdumiewająco podobne do siebie. Wszyscy mogliby być rodzeństwem. Nagle rycerz zdał sobie sprawę, skąd bierze się to wrażenie. Magowie zachowywali się tak, jakby rzucono na nich zaklęcie bądź też byli tak skupieni, że ich koncentracja odbijała się w twarzach i ruchach. W pewnym sensie byli jedną osobą. Zwrócili ręce w stronę Humy i srebrnej smoczycy.

- Nurkuj! - krzyknął, lecz ona już to zrobiła. Renegaci usiłowali śledzić ich lot, ale utkała ze swej trasy skomplikowany gobelin. Podczas gdy magowie skupili się na niej, inni smoczy jeźdźcy zbliżyli się do nich.

Jak długo renegaci zdołają bronić się w ten sposób i jednocześnie podtrzymywać ciemność? - zastanowił się Huma. - Humo, zobacz!

Zza wzgórza wyłoniły się maszerująca miarowo naprzód armia ogrów. Teren dosłownie roił się od nich, a także od ich sojuszników: ludzi, goblinów, a także garstki istot, których nie sposób było zidentyfikować. Niewątpliwie były to efekty eksperymentów magów. Stwory mające zbyt wiele rąk,

czy nóg, a nawet głów i tułowi.

Powietrze rozstało się na oczach Humy. Rycerz ujrzał przelotnie miejsce, które znał wyłącznie z koszmarów i modlitw. Choć trwało to tylko chwilę, ciemność była tak przytłaczająca, tak gotowa go pożreć, że wiedział, iż może to być jedynie Otchłań.

Mieli aż tyle siły, że zdołali otworzyć w zamieszkałej przez śmiertelników płaszczyźnie szczelinę, która mogła go pochłoniąć. Huma zadrżał niepohamowanie. Nawet srebrna smoczyca zawahała się na ten widok. wydawało się, że szpara rozszerza się, nie pozwalając im uciec ani

się ukryć. Zbliżyła się, Wtem moc podtrzymująca szczelinę załamała się, a renegaci padli ofiarą zbliżających się smoków światła. Osiągnęli granicę swych zdolności koncentracji. Działo się jednocześnie zbyt wiele ważnych rzeczy. Gdy zaatakowały smoki, najpierw jeden, a potem drugi i trzeci, garstka renegatów usiłowała walczyć i zginęła na miejscu, reszta zaś rozpierzchła się. Łącząca ich więź została zdruzgotana.

Ciemność za ich plecami rozproszyła się. Jakieś stwory zaskrzeczały, przerażone blaskiem. Wyhodowano je w ciemności, być może nawet w Otchłani. Światło oznaczało dla nich śmierć. Ich ciała nie mogły istnieć bez mroku. Ulatniały się niczym rosa, nie pozostawiając śladu po swym istnieniu.

To jednak nie mogło powstrzymać potężnej armii maszerującej w kierunku wzgórza, na którym rozpierzchli się magowie. Dowódcą Królowej Smoków brak było wyobraźni i śmiałości Crynusa. Rzucali wszystkie swe siły do pierwszej bitwy.

Srebrna smoczyca ponownie zwróciła się ku swemu jeźdźcowi. - Oni się boją, Humo. Jak sądzę, nie nas, lecz Galana Dracosą i Królowej Smoków. - Co możemy zrobić? - **MOŻECIE UMRZEĆ.**

Za sobą Huma usłyszał krzyki i głosy pozostałych. Przed nim w powietrzu unosiła się postać, która skrzyżowała ramiona i uśmiechała się z zadowoleniem spod brązowego kaptura. Mężczyzna był szczupły i wysoki, być może nawet wyższy od Humy. Przypominał raczej dobrze wyszkolonego rycerza niż maga, którym niewątpliwie był. Na zasnutym cieniem twarzy unoszącego się w powietrzu czarnoksiężnika widać było tylko gądzi uśmiech.

- Galan Dracos - szepnął Huma do siebie. Było jednak oczywiste, że mag go zrozumiał, gdyż pochylił głowę, potwierdzając swą tożsamość.

- Ty jesteś Huma. Wyglądasz inaczej, gdy patrzeć na ciebie ludzkimi oczyma. To jedyna wada straszylków. Widzi się tak, jak one.

Huma zaledwie zdołał się powstrzymać przed nakazaniem srebrnej smoczycy ataku na unoszącą się w powietrzu postać. Oto było żywe wcielenie wszystkiego, co złe.

Galan Dracos uśmiechał się szeroko. - Marnujesz czas, cny rycerzu. Co prawda te lance zapewniają przewagę w starciu ze smokami, ale masz -przepraszam, miałeś - ich tylko dwadzieścia, a smoków jest o wiele za dużo. Zobacz sam. Mag wskazał palcem na horyzont za swymi plecami.

Huma przymrużył oczy. Znad horyzontu wylewała się mroczna masa. W pierwszej chwili pomyślał, że to kolejne zakłęcie ciemności. Potem jednak dostrzegł, że nie jest ona jednolita, lecz składa się z wielu dużych, latających stworzeń. Smoki. Dzieci Takhisis. Były ich setki.

Galan Dracos nadal się uśmiechał, gdy Huma zwrócił się w jego stronę. - Dzięki pomocy mej mrocznej pani wezwałem je z całego Krynnu. Wszystkie co do jednego. Czarne, czerwone, białe, zielone - wszelkie, najróżniejsze smoki. Leciały wiele dni, by tu przybyć. Dotarły już prawie na miejsce.

Dwadzieścia lanc. Teraz osiemnaście. Osiemnaście przeciwko niezliczonym setkom smoków. Gdyby tylko mieli ich więcej...

- Jeśli poddasz się natychmiast, może jeszcze znaleźć się dla ciebie miejsce wśród nas. Na mojej

pani wielkie wrażenie wywarła twoja umiejętność przetrwania. Gdybyś był skłonny oddać swe talenty w jej służbę, okazałaby się nadzwyczaj wdzięczna - renegat uśmiechnął się. -Widziałeś dotąd tylko jej wcielenie wojowniczkę. Ma ona także inne, równie cudowne uzdolnienia.

Srebrna smoczyca wydała z siebie nietypowy dla niej syk wściekłości. Huma nagle zorientował się, że zbliża się do maga. Co dziwne, Dracos roześmiał się tylko, gdy olbrzymka skoczyła na niego, rozdziawiając paszczę i wyciągając przed siebie pazury. Szczęki zamknęły się, nie wyrządzając żadnej szkody. - Iluzja - mruknął Huma.

Wydawało się, że drwiący śmiech unosi się jeszcze w powietrzu. Grupa zatrzymała się, ogarnięta niepewnością. Czekala na polecenia Humy. Ten nie przestawał się wpatrywać w punkt, gdzie przed chwilą unosił się fantom Galana Dracosa.

Nie mogąc już znieść oczekiwania, niezidentyfikowany rycerz za plecami Humy zawołał: - Przegraliśmy!

- Nie przegramy, dopóki nie zginie ostatni rycerz, Derricku - krzyknął do niego Bennett. Następnie szepnął coś do złotego smoka, który natychmiast zbliżył się do Humy na tyle blisko, by mogli porozmawiać, nie słyszani przez pozostałych rycerzy. - I co zrobimy teraz?

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

Bennett prosi go o przewodnictwo? Gdyby cała sytuacja nie była tak tragiczna, Huma mógłby się roześmiać. - Wycofamy się. Musimy ostrzec twierdzę. Mając tak mało lanc, powinniśmy utworzyć krąg wokół Vingaardu. Uczynmy jego zdobycie zadaniem tak trudnym i wymagającym ofiar, jak to tylko możliwe.

- Dajesz za wygraną?

- Bynajmniej. W tej chwili obrona twierdzy jest dla nas najlepszym rozwiązaniem. - Huma zwrócił się ku pozostałym. - Z powrotem do Vingaardu!

Usiłował ukryć swe rozczarowanie, gdy zawracali, by uciec przed zbliżającą się hordą. Sytuacja wydawała się beznadziejna.

Wtem zaślniło przed nim coś jasnego. W pierwszej chwili Huma pomyślał, że to odbicie słońca. Zdał sobie jednak nagle sprawę, że słońce skrywają chmury. To, co zobaczył, było światłem pozbawionym widocznego źródła.

Wydawało się, że maleńki, migotliwy błysk, na którym skupiły się oczy Humy, przywołuje go. Nie było to właściwie światło, lecz raczej coś w rodzaju zielonkawej łuny. Przypominało Humie poświatę emanującą z Miecza Łez.

Wydawało się, że blask pomknął ku ziemi. Huma zawahał się. Zwrócił uwagę srebrnej smoczyicy na połyskujący obiekt. - Co o tym sądzisz?

- To jakiegoś rodzaju posłaniec. Podejrzewam jednak, że jego twórca nosi czarne szaty. Zignoruj go. Wracajmy, nim sytuacja się pogorszy. Nie... nie podoba mi się tutaj.

Huma zdał sobie sprawę, że smoczyca zachowuje się dziwnie. Od chwili, gdy jej atak na Dracosa zakończył się niepowodzeniem, stała się cicha i niemal ponura. To uwaga renegata na temat uroków jego pani wyprowadziła ją z równowagi. Ale dlaczego? Czyżby obawiała się, że rycerz da się zwabić podobnie fałszywemu marzeniu? Zacerpnął głęboko tchu. Potrząsnął głową. - Poleć za nim w dół. - Humo... - ZRÓB TO.

Nigdy dotąd nie przemawiał do niej takim tonem, nie sądził jednak, by w tej chwili mógł zaufać jej reakcjom. Decyzja musiała należeć do niego.

- Humo! - Usłyszał z przodu krzyk Kaza. Potrząsnął głową i z twarzą bez wyrazu wskazał w stronę twierdzy. Minotaur mruknął coś do Pioruna, po czym zwrócił się ku pozostałym, by zobaczyć, co się z nimi dzieje. Wykrzyknął coś. Bez względu na wszystko, masywny mieszkaniec wschodu zamierzał zaczekać ze swym smokiem, aż rycerz zbada to, co go zafascynowało.

Srebrna smoczyca z niechęcią podążyła za zielonkawym blaskiem w dół. Gdy dotarli do podnóża jednego ze wzgórz, światło znikło gwałtownie. Wylądowała. Huma rozejrzał się wokół z wyczekiwaniem.

- Przybywam w pokoju, rycerzu solamnijski.

Głos był niski i drażnił uszy. Jego właścicielem była wizja niskiego, żyłastego mężczyzny o nadmiernie wielkiej głowie i wąskiej, szczurzej twarzy. Jego głowy nie porastała ani jedna kępka włosów. Miał na sobie czarną szatę. - To podstęp! Mówiłam ci!

Srebrna smoczyca stanęła dęba, gotowa bronić Humy. Mag Czarnych Szat skulił się, choć w jego oczach nie było strachu. Huma nie przestawał krzyczeć na swą towarzyszkę, dopóki się nie uspokoiła. Jej niedawno objawiona nerwowość zaczynała go niepokoić. - Wysłuchaj mnie - odezwał się chrapliwym głosem czarny mag. Huma spojrzał na niego ponuro. - Co masz do powiedzenia? Rozmawiałem już z twoim panem.

Czarodziej skrzywił twarz. - Dotknąłeś sedna sprawy. Idzie o renegata, który mieni się naszym panem. To ścierwo! - Obaj służycie tej samej pani, zgadza się?

- Wysłuchaj mnie uważnie, rycerzu solamijski, gdyż nie potrafię odgadnąć, kiedy ten pies odkryje moją nieobecność. Potrzebna nam twa zgoda. - Moja?

Huma zamrugał powiekami. Członek zakonu Czarnych Szat zwracał się o pomoc do niego?

- Słyszeliśmy o tobie od tego, który nosił w życiu wiele szat, a teraz przywdział jeszcze inną - jeśli nawet nie cieleśnie, to duchowo.

- Magius! - Rycerz poderwał się, usłyszawszy ten niejasny opis. - Gdzie on jest?

Czarnoksiężnik uniósł rękę, by go uciszyć. - Nie ma na to czasu. Słuchaj. Wiemy już, że jeśli Królowa Smoków zwycięży, nie będziemy dla niej niczym więcej niż wy. Jej śmiertelnym głosem stał się już Dracos. Jego świat będzie wyglądał niczym zrodzony z samej Otchłani. Widziałeś już stworzone przez niego monstra. Czy chciałbyś, by nabrały trwałego charakteru? Pragniemy połączyć z wami siły. Lepiej zginąć w walce niż być na wieki zdanym na jej łaskę. Zważ też, że ona przygotowuje specjalny los dla obu naszych zakonów.

Propozycja sojuszu... od Czarnej Szaty? - Jak mogę zaufać tobie, jednemu z jej sługusów?

Mag wyprostował się. - Jestem wierny w pierwszej kolejności Nunitari, Mrocznemu Panu Magii. Myliliśmy się, sądząc, że służymy jemu, gdy postanowiliśmy służyć - nie nazwę jej jego matką - powiedzmy, tej, która

go zrodziła. Nunitari dba o ten świat. Dlatego właśnie on, Lunitari i...

- czarnoksiężnik zawahał się, wypowiadając to imię - nawet Solinari od Światła zaprzestali walki o Krynn i stworzyli zakony magii jako odrębną organizację mającą służyć udoskonaleniu naszej sztuki na świecie. Jeśli Takhisis zatriumfuje, Krynn stanie się zaledwie zimną skałą pośród gwiazd. Marzenie naszego pana szeptnie. Nie możemy się na to zgodzić. - Czego chcecie? - Nie chodzi o to, czego chcemy, lecz o to, co możemy dać.

- Dać? - Srebrna smoczyca, która milczała przez większą część rozmowy, przymrużyła oczy i roześmiała się uszczypliwie. - Czarna Szata nie daje nic poza cierpieniem i śmiercią.

- To krzywdzący fałsz. Niemniej, w tym przypadku, wszelkie cierpienie i śmierć, które wywołamy, spotka Galana Dracosa i jego hałastrę. Potrzebna nam jednak sposobność.

- Sposobność? Co masz na myśli? Oferuję ci to. - Mag wyciągnął kościstą dłoń. Spoczywała na niej maleńka, zielona kulka. - O ile nie znajdziesz się bardzo blisko niego, nigdy nie ujrzysz zamku Galana Dracosa. Wznosi się on na granicy między naszą płaszczyzną a Otchłanią. Za pomocą tego będziesz w stanie go zlokalizować.

Srebrna smoczyca parsknęła pogardliwym śmiechem. - Czy nie zapomniałeś o swej byłej pani, Królowej Smoków? Czy będzie się ona beczynnienie przyglądać, gdy zaatakujemy terytorium jej najbardziej zaufanego sługi?

Czarnoksiężnik wskazał na smoczą lancę. - Powiedziano mi, że one wzbudzają w niej niepewność. Że pozostanie na terenie zamku, blisko ścieżki wiodącej do Otchłani, ponieważ boi się mocy smoczycich lanc.

- To niedorzeczność! Humo, nie pozwolę ci... - Srebrna smoczyca mówiąc to, odwróciła głowę. Zamarła, gdy ujrzała wyraz jego twarzy. - Humo... niemożliwe, byś w to wierzył.

Rycerz zignorował ją. - Co uczynicie, gdy uderzymy, zakładając, że tak się stanie?

- Na terenie zamku najgroźniejsze będą dla was niedobitki Czarnej Gwardii oraz ci z renegatów, którzy dobrowolnie służą Dracosowi. Poradzimy sobie z nimi. Jeśli to możliwe, spróbujemy odwrócić od was też uwagę smoków. - To szaleństwo!

Zamajaczył nad nimi jakiś cień. Wszyscy troje podnieśli wzrok i ujrzeli unoszących się w

powietrzu Kaza i Pioruna. Minotaur krzychał: - Spieszcie się! Widzę już strażę przednie smoków. Czarodziej szybko - zwrócił się ponownie w stronę Humy. - Na Nuitari, przysięgam, że na imię mi Gunther i możesz mi zaufać. Weź to!

Mag Czarnych Szat przysięgł na swego pana. Dla wyznawców Nuitari karą za złamanie takiej przysięgi zazwyczaj bywała śmierć. Huma wyciągnął rękę i ujął w dłoń zieloną kulkę. - Jesteśmy z wami.

Mag zniknął nagle. Huma kopnął delikatnie swego wierzchowca. Smoczyca rozpostarła skrzydła i zaczęła się wznosić. Na jej obliczu malowała się wyraźna ulga. Kaz ujrzał zaciśniętą dłoń Humy. Zamrugnął powiekami. - Co to jest?

Rycerz wbił wzrok w zbliżające się morze zniszczenia. Przyszło mu do głowy, jak proste wydaje się teraz zakłęcie ciemności. Spojrzał na dłoń trzymającą maleńką kulkę. - W najlepszym razie nadzieja płynąca z rozpacz.

Rozdział dwudziesty siódmy

- Na triumwirat! Ile jeszcze sił mogą rzucić przeciw nam?

Guy Avondale potrząsnął głową. - Zło zawsze pleni się obficie, gdy ma szansę zapuścić korzenie. To stwierdzenie mojego poprzednika jest melodramatyczne, lecz aż nazbyt prawdziwe.

Stali na dziedzińcu, w miejscu, gdzie wylądowały smoki oraz ich jeźdźcy. Strata dwóch rycerzy z ich elitarnego oddziału zaniepokoiła wielkiego mistrza, podobnie jak wiadomość o zbliżającej się ku nim następnej fali zła.

- A co z tą umową z wyznawcami Nuitari, Humo? - zapytał Bennett. - Czy uważasz, że można im zaufać?

- Sądzę, że tak - odpowiedział Huma po głębokim zastanowieniu. Uniósł dłoń, w której trzymał maleńką szmaragdową kulkę. Ta zapulsowała. - Dali mi to. Przyznaję, iż mogą nas chcieć w ten sposób wywabić, żeby rozprawić się z nami w otwartym polu, ale ofercie towarzyszyła przysięga na samego Boga Mrocznej Magii. Nikt z Czarnych Szat, komu miłe jest życie, nie będzie prowokował Nuitari.

- Zgadza się - dodał wielki mistrz i westchnął. - Cóż, stoimy przed nie lada problemem. Nie możemy zbyt długo bronić Vingaardu przed oblężeniem o podobnym natężeniu. Z drugiej strony, opuszczenie twierdzy, by stawić czoła tej hordzie, byłoby czystym szaleństwem - zawahał się. - Oznajmiłem smokom, że mogą odlecieć, jeśli uważają, że walka w tym miejscu jest przegrana - dodała. Uniósł dłoń, by uspokoić zaniepokojonych towarzyszy. - Musiałem im to zaproponować. Nie wątpię jednak, że zostaną z nami aż do końca. Przekonamy się. Na czym stanąłem? Aha. Nadal nie wiem wszystkiego na temat wschodu. Podobno ogrowie stabilizują tam swe panowanie. Nie możemy liczyć na żadną pomoc z południa. Niech szlag trafi elfów! Na północy jest tylko woda.

- Mamy fałszywe smocze lance - przerwał mu Bennett. - Wykorzystajmy je w ostatnim ataku. Jeśli w szeregi wroga wkradnie się zamieszanie, kilka fałszyfikatów pozwoli nam zyskać na czasie, nawet jeśli nie przydadzą się na nic więcej.

Lord Oswal chrząknął. Popatrzył na lance jeźdźców. - Sądzę, że ogarnął nas dzisiaj oblężenie, lecz jeśli nikt nie ma innych sugestii, połączymy brawurową szarżę, której tak rozpaczliwie pragnie mój bratanek, ze skoordynowanymi poszukiwaniami zamku Galana Dracosa i atakiem na niego,

Rozejrzał się wokół. Nikt, nawet lord Avondale - kapłan i doświadczony żołnierz - nie potrafił nic przeciwstawić tej samobójczej strategii.

Oswal potrząsnął głową. - Jeśli historia w ogóle mnie zapamięta, to zapewne przeklnie mnie jako wielkiego mistrza, który wysłał swych ludzi na rzeź. Zabrzmiął róg.

- Zauważyli pierwszą falę - odezwał się czyjś niespokojny głos. Rycerze zaczęli nagle

przemieszczać się w najróżniejszych kierunkach. Konie przygotowywano i ustawiano w szyku bojowym. Formował się jeden szereg rycerzy za drugim. Pikinierzy, lansjerzy, łucznicy - wszelkie formacje żołnierzy zajmowały miejsca, by upewnić się, że w godzinie niebezpieczeństwa nie zapanuje chaos.

- Przygotować lance dla piechoty! - wykrzyknął wielki mistrz do jednego ze swych adiutantów. Mężczyzna zasalutował pośpiesznie i oddalił się, aby poinformować giermków, do których miało należeć to zadanie.

Huma chciał rozkazać ocalałym smoczym lansjerom uformować szyk bojowy, lecz powstrzymał go lord Oswal. - Nie. Jeśli chcesz się przebić i dotrzeć do gór, musisz ruszyć wtedy, gdy smoki będą zajęte walką. - Ale siły lądowe... - Otrzymają od naszych smoków najlepszą możliwą osłonę. Ja... Róg zabrzmiał ponownie, tym razem inną nutą. - Co to znaczy, na Kiri-Jolitha?

Wielki mistrz wraz z pozostałymi podbiegł na wysunięte pozycje, gdzie bezpośrednio dowództwo sprawował lord Sokole Oko. - Lordzie Sokole Oko, co się dzieje? Naczelnny rycerz Zakonu Korony odwrócił się błyskawicznie.

- Wielki mistrzu, oni się zatrzymali, są w zasięgu naszego wzroku. Nawet smoki. Wygląda na to, że na coś czekają. Kazałem wszystkim być w pogotowiu.

- Znakomicie. - Huma wstrzymał oddech do chwili, gdy z twarzy wielkiego mistrza zniknęło widoczne napięcie. - Drażnią się z nami. Chcą żebyśmy rzucili się do ataku. Beznadziejni głupcy. Nie zdołają tak łatwo zwabić nas w śmiertelną pułapkę! Niech oni się trochę pomartwią. Niech poczekają. Kiedy Galanowi Dracosowi albo jego pani zabraknie cierpliwości, przystąpimy do akcji.

Z wieży na dziedzińcu sfrunął złoty smok. Był stary, nawet jak na swój gatunek, gdyż jego skóra była spękana i pokrywała ją blizna po pradawnych bitwach. W jego postaci nie dostrzegło się jednak słabości. - Przekazałem pozostałym twą uprzednią propozycję. Jego głos był głęboki i dudniący. Przypominał nieco głos żywiołka

ziemi, który służył Magiusowi. Rycerze zamilkli.

Lord Oswal zawahał się, wreszcie jednak zapytał: - I jaka była ich odpowiedź?

Smok obrzucił go spojrzeniem, które można było opisać tylko jako „a nie mówiłem”. - Nie porzucimy was. Bez twierdzy Vingaard inne placówki się nie utrzymają. Rozstrzygnięcie zapadnie w tym miejscu. Gdy padnie Vingaard, ten sam los czeka Ergoth, a potem kraje elfów i krasnoludów. Królowa zapanuje nad wszystkim.

- Chciałem tylko, by sprawa Paladine'a nie zginęła, gdybyśmy ponieśli tu klęskę.

- Sprawa dobra nie zginie nigdy. Nawet Takhisis z pewnością o tym wie.

Mimo panującego wokół zamieszania wydawało się, że dla ich grupy czas się zatrzymał. Huma zrozumiał, że smoki zobowiązały się do walki na śmierć i życie. Ze względu na swych ludzkich sojuszników oraz w imię wiary w nauki Paladine'a.

Wielki mistrz uczynił wtedy coś bezprecedensowego. Opadł na jedno kolano i złożył hołd, nie wyłącznie temu smokowi, lecz całemu ich rodzajowi. Pozostały, choć droga do wolności stała dla nich otworem. - Dziękuję ci. Miałem taką nadzieję, ale nigdy nic nie wiadomo. Złoty smok skinął majestatycznie głową, rozpostarł długie skrzydła i wzbił się ku niebu. Wielki mistrz przyglądał mu się w ciszy. Nagle zwrócił się w kierunku nowego dźwięku. Giermkowie niosący falsyfikaty smoczych lanc przeznaczone dla piechoty pognali w stronę zebranych rycerzy. Huma gapił się na zdejmowane ze skrzyń lance. Jakże lśniły! Wyglądały całkiem jakby... - Wielmożny panie! Huma zaskoczył sam siebie, przerywając wielkiemu mistrzowi. - Jeśli mi wybaczysz, jest kilka rzeczy, które muszę przygotować. - Idź więc.

- Kaz. - Huma odciągnął minotaura na bok. - Przynieś jedną z lanc, które rozdają giermkowie, i

porównaj ją z prawdziwą smoczą lancą. - Co... - Minotaur nie zdążył powiedzieć nic więcej. - Wyjaśnię ci to, kiedy wrócę.

Huma oddalił się pośpiesznie, pozostawiając minotaura by sam odgadł znaczenie próby towarzysza.

Kuźnia znajdowała się w niewielkiej odległości, tuż poza zasięgiem wzroku wielkiego mistrza i pozostałych.

Gdy tylko Huma się do niej zbliżył, masywne drewniane wrota otworzyły się na zewnątrz. Rycerz cofnął się szybko. Znalazł się twarzą w twarz z nieznanym.

- Lepiej byłoby nie stawać przy drzwiach, jeśli nie chcesz zrobić sobie krzywdy.

Przybysz miał srebrnoczarne włosy i wąską, długą głowę. Przez chwilę wydawało się, że jego oczy płoną. Huma przypomniał sobie postać, która gapiała się na Gwyneth tej nocy, gdy spacerowali wspólnie po dziedzińcu. Kobieta obawiała się owego człowieka. To jednak nie mogła być ta sama osoba. Ten mężczyzna był wyższy i szczuplejszy. Ale oczy...

- Ty jesteś Huma - stwierdził nieznanym. Jego wzrok przeszywał go na wskroś. - Jestem Huma. Nie był bohaterem z opowieści bardów, by miał nosić podobny tytuł.

- Mistrz kowalski był ostatnio zajęty, sądzę jednak, że dla ciebie może znaleźć chwilkę.

Uśmiech był niezwykły, tak obcy, że Huma zadrżał. Co mu przypominał?

Z wnętrza dobiegły jakieś głosy. Oby były znajome. Jeden szczególnie znajomy. - ...Czy nie możesz posłużyć mi radą?

- ...Stanowczo zbyt długo przebywałem z dala od świata ludzi, a czas mego pobytu na Krynnie dobiega już końca. Lepiej zwróć się do jednego ze swych pobratymców.

- ...Żaden z nich tego nie rozumie! Jak mam mu powiedzieć, że nie jestem tym, za kogo mnie uważa? Że latałam z nim niemal codziennie, a on nie zdawał sobie z tego sprawy? Czy sądzisz, że mógłby mnie kochać, gdyby wiedział, że ja... my...

Było tam niewiele światła. Biło tylko od paleniska. Wystarczyło to jednak, by mógł dojrzeć sylwetki dwóch stojących wewnątrz postaci. - Gwyneth?

Jedna z nich, kobieta, odwróciła się, słysząc jego głos, po czym wciągnęła głośno powietrze i uciekła przez tylne drzwi. Huma spróbował za nią podążyć, lecz druga postać zagroziła mu drogę i przywitała go serdecznie. - Huma! Jak się cieszę, że zobaczyłem cię jeszcze ten ostatni raz! Duncan Ironweaver dźwignął go wysoko, potrząsnął nim jak niemowlęciem i postawił z powrotem na podłodze. Huma spojrział za plecy wysokiego kowala, lecz nie było już widać, dokąd umknęła Gwyneth.

- Naprawdę sądziłeś, że zostawiłbym cię z zaledwie dwudziestoma lancami? Chłopcze, zaskakujesz mnie! - A więc one są autentyczne? To nie jest tylko wytwór mojej wyobraźni!

- Bynajmniej! Miałem ich znacznie więcej niż dwadzieścia, ale nie znajdowały się w pobliżu. Poza tym, nigdy nie zdołałbyś sprowadzić tutaj ich wszystkich. Po drodze wałęsał się za dużo szpiegów Królowej Smoków. A do tego - uśmiechnął się - dobrze mi zrobiła ta wycieczka. - A kuźnia...

Duncan Ironweaver wskazał ręką na pracownię. - Potrzebny był mi zbrojmistrz i specjalista od broni. Naciągnąłem lekko prawdę i powiedziałem, że wezwałeś mnie z południa. W pewnym sensie rzeczywiście tak było. Co zrozumiałe, moja praca wywarła na nich wrażenie. Pozwolili mi przejść kontrolę. Wkrótce zostałem tylko ja i moi pomocnicy. - To... to niewiarygodne! Przez cały ten czas w kuźni produkowano autentyczne lance.

Olbrzymi kowal stuknął się w pierś. - Udowodniłeś im, że smocze lance są skuteczne, Humo. Nie sądzę, by nawet wasz sławny wielki mistrz zdawał sobie sprawę, ilu z tych ludzi w nie wierzy.

Humie zakręciło się w głowie. - Siodła! Będziemy potrzebować więcej siodła. - Khildithu!

Huma po raz pierwszy zauważył pomocników kowala - elfa, człowieka i krasnoluda. Khildithem był niewątpliwie ten ostatni, gdyż to on wystąpił naprzód. - Mistrzu Ironweaver? - Czy siodła są gotowe?

Krasnolud uśmiechnął się w sposób bardzo podobny do kowala. Miał imponujące bokobrody, choć wyglądał na starca, poruszał się z szybkością i gracją kogoś w sile wieku. - Więcej niż będzie potrzeba. - Świetnie, świetnie.

Duncan Ironweaver podszedł do Humy i położył dłoń na jego ramieniu. Rycerz poczuł, że kowal odsuwa go uprzejmie, lecz zdecydowanie. - Mistrzu Ironweaver. Jedno pytanie. Gwyneth...

- To sprawa między tobą a nią. - Zmiana wyrazu twarzy kowala wystarczyła, by uspokoić Humę. - Pamiętaj, że macie teraz lance. Zróbcie z nich użytek.

Rycerz znalazł się za drzwiami, zanim zdążył powiedzieć „do widzenia”. Jednoręki kowal zgiął mechanicznie kończynę. - Niech

Paladine będzie z tobą, chłopcze. Nawet lance nie zdołają ci pomóc, jeśli naprawdę utracisz wiarę.

Róg zabrzmiał kolejną nutą ostrzeżenia. Huma zerwał się do biegu. Wszystkie inne pytania traciły znaczenie w obliczu bitwy. Smocze lance były autentyczne!

Spotkał go Kaz niosący w obu rękach lance dla piechoty. - Czy to jakaś sztuczka, Humo? Przysięgam... - Są autentyczne! Wszystkie są autentyczne! Gdzie jest lord Oswal? Minotaur użył jednej lancy jako wskaźnika. - Na murach. Uporał się, że musi to zobaczyć sam.

Huma zwrócił się w tamtą stronę i dostrzegł ustawiającego jeźdźców Bennetta. Pozdrowił go. Bennett wydał warkliwym głosem ostatni rozkaz, po czym podszedł do niego. - Co się stało?

W twarzy bratanka wielkiego mistrza żywy był każdy mięsień. Bennett był w swoim żywiole i rozkoszował się tym nieświadomie. - Smocze lance. Wszystkie są autentyczne!

Huma zawahał się. Bennetta nigdy nie wtajemniczono w pierwotny plan. Nikt wówczas nie wiedział, że pojawi się Duncan Ironweaver.

Bennett oczekiwał w milczeniu. Wreszcie Huma, jękając się, powtórzył mu całą opowieść. Oblicze Rycerza Miecza nieruchomieło powoli, przeradzając się w niemożliwą do odczytania maskę. Gdy Huma wreszcie skończył, obaj wbili w siebie wzrok.

Drapieżne spojrzenie Bennetta przeniosło się nagle w miejsce, gdzie zebrali się szeregowi rycerze czekający na rozkaz. Przeniósł szybko wzrok z powrotem na Humę. - Czy jest coś więcej? Mam jeszcze mnóstwo roboty.

Bezdźwięczne, pozbawione intonacji słowa wstrząsnęły Humą. Spodziewał się gniewu i zaskoczenia, ale... nic? - Bennetcie...

Jego zdanie przerwało spojrzenie szeroko otwartych oczu tamtego. Bennett wskazał na otaczających ich rycerzy. - Czy to, o czym mówisz, sprawia ci jakąkolwiek różnicę, Humo? Nawet gdyby smocze lance nie istniały, ci ludzie przygotowywaliby się teraz do bitwy, bez względu na jej prawdopodobny wynik. Byłbym wśród nich pierwszy. Sądzę, że ty również. Wszelkie straty, jakie zadamy, utrata ich sił, jaką spowodujemy, nawet w razie klęski, jest swego rodzaju zwycięstwem - zaczerpnął głęboko tchu. Z jego oczu zniknęła część fanatyzmu. - Cieszy mnie, że słyszę potwierdzenie, iż nie ruszamy bezbronni w paszczę wroga. Na tym jednak koniec. Gdybyś mi powiedział, że smocze lance są bezużyteczne, i

tak pomaszerowaliby przeciw nieprzyjacielowi i daliby z siebie wszystko. Czy sam postąpiłbyś inaczej?

Wiara, którą zawsze w przeszłości okazywał Bennett, nabrała teraz dla Humy innego znaczenia.

Wiedział, że tamten ma rację, zwłaszcza gdy chodziło o niego. Bez względu na to, jak mizerne byłyby szanse. Huma zawsze stałby w pierwszym szeregu rycerzy ruszających do ataku.

- Teraz, jeśli mi wybaczysz, jest wiele rzeczy, które trzeba jeszcze zrobić. Powinieneś znaleźć mojego stryja tam na górze. - Bennett wskazał na fragment muru po prawej stronie. - Sądzę, że z radością usłyszysz twe wieści.

Bennett oddalił się. Po drodze wykrzykiwał rozkazy. Zachowywał się tuk, jakby ich konwersacja nigdy się nie odbyła. Huma poruszył się i pognał w stronę murów.

Na ich szczycie, na występie przeznaczonym dla obserwatorów, stał wielki mistrz.

Lord Oswal usłyszał zbliżającego się Hume. Spojrzał w jego stronę. Gdy zobaczył, że to on, powiedział: - Widzę tam jakieś ruchy. Coś kształtuje się na niebie.

Była to tylko mała plama na zasnutym chmurami firmamencie, daleko za zbliżającą się armia, lecz gdy już się ją zobaczyło, przyciągała uwagę widza bardziej niż cokolwiek innego na nieboskłonie. Huma miał wrażenie, że część jego świadomości jest przyciągana w kierunku owej plamy, całkiem jakby chciała ona wessać jego duszę. Wstrzymał oddech i oderwał od niej wzrok. - Co to jest?

Wielki mistrz potrząsnął głową. Nic wiem. Sądzę jednak, że to wabi ku nam smoki i ogrów.

Huma przypomniał sobie, po co tu przyszedł. Szybko poinformował Oswala o swoim odkryciu.

Starszy rycerz zareagował, zanim jeszcze Huma skończył. -Zaalarmować wszystkich dowódców! - krzyknął do swych adiutantów. -Smoki! Ktoś musi zawiadomić smoki! Sformować szeregi!

Lord Oswal ponownie zwrócił się ku nadciągającej hordzie. Potrząsnął głową. Na ich oczach smoki ciemności zaczęły wysuwać się przed oddziały naziemne. Miały przybyć o wiele za wcześnie.

- Wielmożny panie - odezwał się niecierpliwie Huma. - Pozwól mi zabrać pierwszą grupę jeźdźców. Opóźnimy posuwanie się nieprzyjaciela, by inni mieli czas się przygotować. Wysyłaj ich w grupach po dwudziestu, ale każ czekać nad twierdzą, dopóki nie zbierze się bardzo wielu. Wtedy

- wydaj rozkaz ataku. Piechota niech podąży za nimi. Jeśli zdobędziemy panowanie w powietrzu, na ziemi również zwyciężymy. - Zginiesz!

Młodszy mężczyzna zawahał się, lecz tylko przez króciutką chwilę. - W takim razie poświęcę me życie dla Paladine'a, tak jak powinien postąpić każdy rycerz.

Oswal skinął ze zmęczeniem głową. Huma pognał na dół, zastanawiając się, ile trzeba będzie czasu, by zebrać pozostałych. Ku swemu zaskoczeniu przekonał się jednak, że wszyscy czekają już na niego. Jeźdźcy siedzieli na smokach, trzymając lance w gotowości. W krótkim czasie, który spędzili razem, grupa przerodziła się w całość. Była tam również srebrna smoczyca. Czekwała na rozkazy Hume.

W śmiertelnej ciszy, która niekiedy zapada przed bitwą, Huma stanął przed swym oddziałem i wyjaśnił niebezpieczeństwa związane z misją oraz jej prawdopodobne zakończenie. Spodziewał się sprzeciwu, głosów oschłej logiki, które unicestwiłyby jego plan. Przekonał się jednak ze zdumieniem, że wszyscy przyjęli z wiarą jego propozycję, choć mogła ona kosztować ich życie. Bennett skinął głową na znak aprobaty. Wyraziły ją nawet niektóre smoki. Co dziwne, jedynie jego własny wierzchowiec nie zareagował. Smoczyca wydawała się zamknięta w sobie, choć nie sprzeciwiła się, gdy wdrapał się na jej grzbiet. Kiedy wydał rozkaz odlotu, wykonała go szybko i z pełną subordynacją, chociaż bez entuzjazmu.

Gdy już byli w powietrzu, Kaz i Piorun zbliżyli się do nich. - Zaleziemy im porządnie za skórę, nim zginiemy. Zapamiętaj me słowa, Humo.

- Musimy odnaleźć Dracosa - odparł rycerz. - On jest kluczem do wszystkiego. - On i jego mroczna pani. Huma skinął głową.

Gdy byli już wysoko, lord Avondale, który spoglądał na południowy zachód, wskazał nagle na

coś ręką. - Popatrzcie tam! - zawołał. - Czy coś widzicie?

Piorun odpowiedział mu pierwszy. - To nowa armia. Wróg staje się coraz silniejszy.

Avondale roześmiał się na te słowa. - To my stajemy się coraz silniejsi! - krzyknął.

Była to północna armia Ergothu. Wiedząc, że jeśli rycerstwo padnie, czeka ich tylko klęska i niewola, Ergothianie zaryzykowali wszystko w nadziei, że uda im się dokonać błyskawicznego uderzenia na tyły nieprzyjaciela. Fakt, że słudzy Takhisis dotąd ich nie zauważyli, był doprawdy bardzo szczęśliwym zrzędzeniem losu.

- Kiedy pozostali wzbiją się w powietrze? - zawołał Avondale. - Niedługo.

To Bennett udzielił krzykiem odpowiedzi. Huma był mu za to wdzięczny. Nie chciałby w tej chwili niczego gwarantować.

Gdy padły te słowa, zbliżali się już do pierwszej grupy smoczych zwiadowców. Utrzymywali zwartą formację, wiedząc, aż za dobrze, że jeśli się rozdziela, wróg wytnie ich w pień.

Wyglądało na to, że smoki ciemności zrozumiały ich zamiary. Niektóre z nich wykonały stosowne manewry. Inne jednak miały najwyraźniej odmienną opinię o możliwościach rycerzy. Oderwały się od reszty i pomknęły w kierunku przeciwnika. Huma nie mógł nie uśmiechnąć się przelotnie. Gdy złe smoki obnażyły zęby i pazury, rzucając wyzwanie przybyszom, zdał sobie sprawę, że nie uwierzyły w moc smoczyców.

Wszyscy napastnicy z wyjątkiem garstki zginęli w ciągu kilku minut. Większość z nich nadziała się na lance Huma i jego towarzyszy. Jeszcze dwa poniosły śmierć, nim nakazał gestem swej grupie pozwolić niedobitkom na ucieczkę. Zarażą swym przerażeniem pozostałe smoki, które wołały zaczekać.

Huma obrzucił pośpiesznym spojrzeniem pozostałych. Kaz był zarumieniony i pełen wigoru. Piorun ledwie mógł powstrzymać chęć pogoni za uciekającymi smokami. Lord Avondale spoglądał w kierunku swej armii. Buoron był spokojny. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Uzdrowiono mu rękę. Trzymał smoczą lancę tak pewnie, jak tylko mógł.

Na ich spotkanie ruszyły dziesiątki smoków z jeźdźcami na grzbietach. Czerwone, czarne, zielone i niebieskie. Białe smoki również przystąpiły do szarży, lecz nie niosły jeźdźców. Huma podejrzewał, że zdecydowano się je poświęcić. Kierowały się raczej zwierzęcą chytryością niż inteligencją, a do tego środowisko było dla nich całkowicie nieodpowiednie. Choć mniejsze od swych pobratymców, potrafiły jednak być śmiertelnie groźne i ich obecność mogła ułatwić zadanie Królowej Smoków.

Taktyka marszruty obu armii na ziemi uległa zmianie. Ergothianie formowali długą, szeroką linię. Południowa część oddziałów ogrów zawracała, by stawić czoła tej nowej groźbie. Północna połowa, która nie wiedziała jeszcze o ataku, zaczynała się oddalać, a pozostali wojownicy rozpierzchli się w poszukiwaniu rozkazów. Wyglądało na to, że szerzy się chaos.

Teraz! - krzyknął w myślach Huma. Powinniśmy zaatakować teraz! Oczywiście rycerze w twierdzy nie widzieli ergothiańskiej armii. Z pewnością jednak dostrzegli rozszczępienie sił ogrów i zrozumieli, że

dzieje się coś korzystnego dla nich. Ile czasu upłynie, nim zareagują?

Nagle mała grupka lansjerów spotkała pierwszą z na pozór nie kończących się fal wrogów i nie było już czasu myśleć o niczym innym niż walka o ocalenie życia.

W pierwszej chwili Humie wydawało się, że smoki pojawiają się i znikają w mgnieniu oka. Ze wszystkich stron otaczały go wrzaski. Robiło się na przemian ciemno jak w Otchłani i jasno jak na słońcu, gdyż smoki używały swej różnorodnej magii, a jeźdźcy, wśród których znajdowali się kapłani i czarodzieje, wykorzystywali w bitwie własne moce.

Gdy srebrna smoczyca uchyliła się przed ciosem napastnika, Huma dostrzegł, jak jeden z lansjerów padł wraz z wierzchowcem, pokonany przez co najmniej sześciu wrogów. Obaj zniknęli, pochłonięci przez ich straszliwą moc. Huma mógł jedynie krzykiem uczcić ich odważną śmierć. W panującym chaosie nie potrafił zidentyfikować zabitego.

Nieprzyjaciel zaczynał ich rozdzielać. Kaz i Piorun wciąż trzymali się blisko Humy i srebrnej smoczycy. W pewnej chwili rycerz usłyszał potężny głos krzyczącego coś Guya Avondale'a.

Straszliwy czarny smok z jednym z Czarnych Gwardzistów na grzbiecie zanurkował na niego z góry. Huma ostrzegł krzykiem srebrną smoczycę, lecz była ona zajęta walką z czerwoną bestią, która wpychała sobie smoczą lancę coraz głębiej w bark, zbyt rozwścieczona, by to zauważyć. Rycerz wy dobył miecz, bezużyteczny w walce z podobnym przeciwnikiem, i przygotował się do starcia.

Nagle dostrzegł srebrną smugę. Czarnego smoka przechwycił inny, lśniący. Na grzbiecie srebrnego olbrzyma zasiadał jeździec. Huma zauważył, że to Buoron. Rycerz ten otrzymał już nie jeden cios. Jego zbroję i wierzchowca pokrywały plamy krwi.

Ból! Huma upadł na plecy. Coś sprawiło, że jego lewą nogę przebiegły fale bólu. Popatrzył w dół, na krew wypływającą z głębokiej rany. Jego noga zadrżała. Impulsy cierpienia nie przestawały atakować jego umysłu. Załzawionymi oczyma dostrzegł ogra siedzącego okrakiem na smoku.

Przeciwnik uderzył toporem z siłą większą od ludzkiej. Sprzyjało mu szczęście.

Huma odbił następny cios wroga, poczuł jednak, że nie jest w stanie się skoncentrować. Ból zabierał mu zbyt wiele energii.

Ku jego uldze, srebrna smoczyca zdołała wreszcie odepchnąć swego przeciwnika. Czerwony smok, osłabiony utratą wielkiej ilości krwi z licznych ran pomknął bezradnie ku ziemi, wymachując skrzydłami. Zabral ze sobą pechowego jeźdźca.

- Humo!

Potrzebował kilku chwil, by zdać sobie sprawę, że srebrna smoczyca woła do niego. Spojrzała na swego jeźdźca oczyma wypełnionymi straszliwym strachem, i to nie o siebie. Widział już takie oczy przedtem, ale...

Jego rozmyślenia przerwały krzyki, które ponownie rozległy się wszędzie wokół. Z początku wydało mu się, że to koniec, że więcej smoków przybywa na pomoc tym, które już atakowały małą grupkę.

Był w błędzie. Olbrzymy, które ujrzał w górze i wokół siebie, gdy uniósł wzrok, były złote i srebrne - we wszystkich jaskrawych metalicznych kolorach smoków Paladine'a. Było ich ponad sto. Każdy dźwigał jeźdźca oraz rycerza uzbrojonego w lancę, która lśniła jasno i uderzała celnie. Smoczą lancę.

Smoki ciemności ogarnęła straszliwa panika. Jeśli cokolwiek im powiedziano, zapewniono je, że smoczych lanc jest jedynie garstka. Najbliższe z nich zginęły, nie unosząc nawet pazurów, by się bronić. Tak głębokie było ich niedowierzenie.

Huma dotknął ręką czoła. Gdy ją cofnął, była pokryta krwią. Jego własną. Zastanowił się, kiedy to się wydarzyło i w jaki sposób.

Pomyślawszy o ranach, ponownie zwrócił wzrok na nogę. Krew nadal wypływała strumieniem. Wiedział, że wkrótce zemdleje, jeśli nie uczyni czegoś, by zatrzymać jej upływ. Srebrna smoczyca zaczęła wycofywać się z walki.

Z twierdzy nadlatywało coraz więcej smoków. Ile smoczych lanc wykonał kowal?

Srebrna smoczyca leciała tak, jakby ścigała ją sama Królowa Ciemności. Od czasu do czasu oglądała się na niego. W jej oczach widniał ten sam wyraz strachu. Zmarszczył brwi i zacisnął dłonie wokół rany na nodze, aby powstrzymać krwotok.

Wreszcie przelecieli nad murami twierdzy. Ledwie ominęli następną grupę wzbijających się w górę lansjerów. Smoczyca dostarczyła go w miejsce, gdzie udzielano pomocy innym ocalonym z jego grupy. Zdejmijcie go ze mnie!

Jej głos był tak chrapliwy i nakazujący, że nikt nie zwlekał. Huma przestał ją widzieć, podobnie jak cały świat.

Gdy się ocknął, stała nad nim Gwyneth. Obmywała jego ranę i dotykała jej dłońmi w sposób, który łagodził ból. Wyczuwał niemal moc wypływającą z koniuszków jej palców. Stała pochylona nad jego nogą z twarzą pobladłą i częściowo zasłoniętą włosami.

Huma zaczął błądzić wokół oczyma. Znajdowali się na wzgórzu, z dala od pola walki, nie tak jednak daleko, by nie słyszeli jej odgłosów. Był z nimi Avondale. Lewy bok miał zlany krwią. Nigdzie nie było widać Kaza. Z pierwszej grupy zostało jedynie dziewięciu. Bennett, który nie był ranny, choć wyglądał tak, jakby przeciągnięto go w zbroi przez całe równiny, wpatrywał się w Gwyneth z uczuciem, które było czymś pośrednim między odrazą a fascynacją. Spoglądał przez chwilę w oczy Humy, po czym odwrócił pośpiesznie wzrok.

- Buoron nie żyje, Humo - poinformował go wreszcie bratanek Oswala, nie spuszczać wzroku z Gwyneth. - Gdy widziałem go po raz ostatni, rzucił się ze swym smokiem na tego czarnego, by cię uratować. Zginęli.

Wiadomość ta wstrząsnęła nie tylko Humą, lecz również Gwyneth. Oderwała dłonie od rany, zakryła oczy i rozplakała się. Huma wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

- To nie nad Buoronem płacze. - Bennett miał trudności ze znalezieniem odpowiednich słów. - Daj spokój, Bennecie. - Guy Avondale spróbował się podnieść. - Huma!

W powietrzu pojawił się Piorun. Kaz zamachał toporem na znak pozdrowienia. Zarówno smoka, jak i minotaura pokrywały zadrapania oraz drobne rany, nie sprawiali jednak wrażenia osłabionych. Huma spojrział na nich jedynie przelotnie, po czym popatrzył znowu na Gwyneth. Odwróciła wzrok. Nie przestawał się w nią wpatrywać, nawet gdy wreszcie odpowiedział na uwagę Bennetta. - Co masz na myśli, Bennecie? Co próbujesz mi powiedzieć? Orla twarz rycerza zwróciła się ku ergothiańskiemu komendantowi będącemu zarazem kapłanem. - Wszyscy poza nim to widzieli. Po cóż to ukrywać? Jeśli ona nie potrafi mu powiedzieć, z pewnością zrobi to ktoś inny. Wiem, co on do niej czuje. - To jest ich sprawa! Avondale był wściekły. - Przestańcie.

To słowo padło z ust Gwyneth. Podniosła się, wpatrując się nieustannie w Humę. Jej ręce opadły bezwładnie u boków.

Avondale osunął się nagle na plecy. Spojrział na Bennetta i Kaza. - Wy dwaj, pomóżcie mi wstać. Zaczynam odczuwać chłód. Muszę się przenieść na mniej odkryty teren.

Kaz i Bennett z ociąganiem pomogli mu się podnieść. Cała trójka oddaliła się. - Płaczę nad Buoronem - odezwała się wreszcie Gwyneth. - Tak jak nad - wszystkimi, którzy padli w walce z Królową Smoków. - Ja również.

Spróbowała się uśmiechnąć. - Najbardziej jednak płaczę nad smokiem, na którym jechał. Tym wielkim, srebrnym.

Bratem jego własnej smoczy - przypomniał sobie Huma. Dlaczego Gwyneth rozpaczała tak bardzo po tym akurat smoku?

Rozejrzała się wokół markotnie. W pobliżu zrobiło się pusto. Gdy Huma dostrzegł to ze zdziwieniem, jej twarz złagodniała. - Zanim ci to powiem, dowiedz się, że kocham cię, Humo. Nigdy nie uczynię niczego, co mogłoby cię zranić. - Ja również cię kocham. Nagle te słowa przyszły mu z wielką łatwością. - Sądzę, że możesz zmienić zdanie - odparła enigmatycznie. Huma nic miał czasu jej zapytać, co ma na myśli, gdyż Gwyneth rozjarzyła się nagle - niemal tak, jak smocze lance.

Przyglądał się ze zgrozą i fascynacją, jak jej twarz wydłużyła się, a nos i usta przerodziły w pełną zębisk paszczę. Huma pomyślał, że to czary i podniósł się, by jej pomóc, lecz jego noga nie była jeszcze sprawna, a rany na głowie nic natarto maścią. Osunął się na ziemię.

Jej długie, szczupłe ramiona stały się jeszcze dłuższe. I bardziej muskularne. Małe dłonie skręciły się i obróciły, przemieniając się w straszliwe szpony. Opadła na cztery kończyny. Wydawało się, że nie przestaje rosnąć. Coś zaczęło wic się i poruszać na jej plecach. Ani trochę nie przypominała już człowieka. To, co przypominała, sprawiło, że rycerz raz za razem potrząsał głową.

Jej ubiór zniknął - jeden Paladine wiedział, gdzie się podział - lecz w swej obecnej postaci już go nie potrzebowała. Dziwne, wijące się drgania na jej plecach pochodziły od dwóch garbów. Otworzyły się one nagle, odsłaniając nietoperze skrzydła, które rozpostarły się szeroko. Po chwili transformacja dobiegła końca. Stwór, który przed chwilą był Gwyneth, postąpił krok naprzód - wysoki, wyprostowany i wystraszony. To była smoczyca. Srebrna smoczyca. Jego własna.

Rozdział dwudziesty ósmy

Spuściła wzrok.

- Humo, w imię Paladine'a, proszę cię, powiedz coś! Głos niewątpliwie należał do Gwyneth. Huma spojrzał

w gadzie oblicze i dostrzegł w nim strach. Strach, że ją odrzuci. Nie potrafił określić, co naprawdę dzieje się w jego umyśle. Miał wrażenie, że wszystko wokół niego się zawaliło. To nie mogła być Gwyneth. A może mogła?

- Tamtej nocy widziałeś mojego brata. Widziałeś też innego, który służył Duncanowi Ironweaverowi. Obaj byli smokami, lecz w ludzkiej postaci. Tak bardzo was podziwiamy, Humo. Ciebie i twoją rasę. W swym krótkim życiu osiągniecie tak wiele.

Huma nie powiedział nic. Mimo woli odsunął się od niej nieco - nie z powodu strachu, lecz dezorientacji.

Nie zinterpretowała tego w ten sposób. Słowa z jej ust zaczęły płynąć szybciej. Mówiąc, odzyskiwała ludzką postać. Skrzydła skurczyły się i znikły. Cztery kończyny wygładziły się i skręciły. Gdy odzyskały ludzki kształt, mogła ponownie stanąć na dwóch nogach. Jej ciało zmniejszało się szybko, całkiem jakby olbrzymia masa topniała na oczach przerażonego rycerza. Twarz stała się mniejsza i bardziej okrągła. Wielka smocza paszcza skurczyła się, przechodząc w pełne wargi bez skazy. Z głowy wyrosły połyskujące, srebrne włosy, które spłynęły kaskadą w dół pleców. Huma omal nic uciekł. Metamorfoza, której był świadkiem, nie mogła

wydarzyć się naprawdę.

- Mój brat wytłumaczył mi to, czego z początku nie potrafiłam dostrzec, a mianowicie, że padłam ofiarą tego, co w przeszłości spotkało zaledwie kilku spośród nas. Żyłam między wami tak długo, że nauczyłam się kochać tak, jak wy. - Dlaczego?

Zmarszczyła brwi. Nie była pewna, o co dokładnie ją pyta. Wreszcie odpowiedziała: - Jesteś wcieleniem przekonań Paladine'a. Jesteś odważny, łagodny i nie znasz nienawiści. Pokochałam cię za to, kim jesteś. Za nic innego. - Ach, szczęśliwi kochankowie.

Zimny, triumfujący głos przebudził Humę z odrętwienia. To niemożliwe, nie tutaj...

Galan Dracos, wyglądający tak samo, jak przedtem, zmaterializował się przed rycerzem i smoczą dziewczyną. Uśmiechnął się. - Poinformowałbym was wcześniej o mej obecności, ale nie chciałem przerywać tak pięknej sceny.

Gwyneth wydała z siebie krzyk niemożliwy dla żadnego z ludzi. Zaatakowały go, lecz Huma zdążył się już poruszyć. Zagroził jej drogę. Rycerzowi udało się postawić jedynie kilka kroków, nim noga odmówiła mu posłuszeństwa. Padł na ziemię. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że postać

przed nim jest iluzją. Przeklął bezgłośnie własną głupotę.

Renegat roześmiał się. - Przybyłem, by zwiększyć twe cierpienia, Humo. Odplacić ci za stratę Crynusa. Muszę przyznać, że na koniec jego obłąd sprawił, że stał się nieprzewidywalny. Niemniej był to mój najlepszy dowódca i będzie mi go brak. Szkoda.

Kaz i Bennett, zaalarmowani głosem tego, kogo znali aż nazbyt dobrze, wypadli zza rogu. Iluzoryczny Dracos uniósł dłoń. Zatrzymali się, całkiem jakby uderzyli w mur. - Oko za oko, ty żaloszny śmiertelniku.

Dracos uniósł obie ręce. Coś zaczęło się przed nimi materializować. Huma rozpoznał to dopiero wtedy, gdy było niemal w pełni uformowane. - Magius!

Torturowali go. Jego twarz zmieniła się w krwawą miazgę. Jedno oko zamknął obrzęk. Z szaty zostały strzępy. Huma z zaskoczeniem ujrzał, że strój jest biały, nie czerwony. Jedna z rąk była zgięta pod nieprawdopodobnym kątem. Żadna z nóg nie wyglądała na zdatną do użytku. Magius uniósł się na zdrowym ramieniu. - Hu... Humo. - Brak mu było kilku zębów. - Miałem rację. W - ostatecznym rozrachunku.

Dracos uśmiechnął się pobłaźliwie. - Od czasu do czasu opowiada podobne banialuki.

Z wielkim wysiłkiem Magius odwrócił się i splunął na szaty renegata. Rozwścieczyło to Galana Dracosa. Wyciągnął ku swemu jeńcowi otwartą dłoń. Magius krzyknął. Po jego ciele przemknęły fale wywołane torturami zadanymi przez czarnoksiężnika.

Gwyneth postąpiła naprzód. - Wypróbuj swe zaklęcia na mnie, Galanie Dracosie.

Zjawa uśmiechnęła się złośliwie. - Mam więcej mocy, niż mogłabyś uwierzyć, nie chcę jednak używać jej w tej chwili. Przybyłem tylko po to, by ukazać Humie, jak niemądre są jego marzenia o zwycięstwie.

Rycerz przetoczył się naprzód, rozpaczliwie usiłując dosięgnąć udręczonego przyjaciela.

Magius potrząsnął pokiereszowaną głową. - Nie rób tego, Humo. Nie ma już powodu. Pokonaj Dracosa. To wszystko, o co proszę.

Dracos skierował ku niemu obie dłonie. - Twój czas dobiegł końca, mój przyjacielu.

Jednym gestem renegat wysłał ku jeńcowi wiązki zielonego światła. Wydawało się, że przeszły one Magiusa. Czarodziej krzyczał, jakby każda z nich była stalową lancą. Chwiał się przez chwilę, po czym runął do przodu i spoczął u stóp Humy niczym kłoda. Jego śmierć nie była iluzją. Huma krzyknął i spróbował się poruszyć. Pozostali postąpili krok naprzód, lecz Dracos zniknął już.

- To cena za opór, rycerzu solamijski. Cena, którą wszyscy już wkrótce zapłacicie, o ile nie zostaniecie stronnikami mej pani.

- Nie, renegacie - odparł rycerz, unosząc się na ramionach. - Jeśli ktokolwiek zapłaci, to tylko ty.

Nie potrafił odgadnąć, czy Dracos go usłyszał, gdyż ostatnie słowa wypowiedział w pustkę.

Bennett i Kaz ruszyli chwiejnie naprzód. Minotaur przemówił pierwszy. - Humo! Nic ci nie jest?

Nie odpowiadając mu, rycerz wpatrzył się intensywnie w skrzywą postać Magiusa. - Jeśli pragniesz zemsty, Humo, z radością stanę u twego boku. Kaz nigdy nie przepadał za czarodziejem, lecz ostatnio zaczął go szanować.

Huma potrząsnął głową. - Zemsta niczego nie rozwiąże. - Uniósł rękę. - Pomóżcie mi do niego podejść.

Zrobili to. Co dziwne, Magius wyglądał bardzo spokojnie. Z pewnością za życia nigdy nie robił podobnego wrażenia.

Huma ułożył delikatnie głowę maga na ziemi. Zazgrzytał zębami i podniósł się o własnych siłach. Bennett i Kaz byli gotowi mu pomóc, lecz zbył ich machnięciem ręki. Gdy wreszcie wstał, zwrócił się ku pozostałym.

- Potrzebuję waszej pomocy. Całej trójki. Czas już przywrócić równowagę. Czas, by Galan Dracos i jego mroczna pani dowiedzieli się, że tam, gdzie jest zło, dla równowagi musi również istnieć dobro. Magius był tego żywym dowodem. W swoim czasie nosił kolejno szaty wszystkich trzech zakonów, kończąc na bieli Solinari. Od zła do dobra. Wahadło porusza się w obie strony. Czas już, by przechyliło się na naszą. - Zamierzasz odszukać zamek? - zapytał Bennett.

- Tak. Proszę was o pomoc, podobnie jak wszystkich z naszej grupy, którzy ocaleli. Jeśli się wahacie, zrozumieć to, gdyż z pewnością jest to samobójstwo.

Kaz sprawiał wrażenie gotowego pęknąć z oburzenia. - Jeśli spodziewasz się, że ucieknę przed jakąkolwiek bitwą, a zwłaszcza przed tą, nie wiesz nic o moim ludzie. Mogę nie być rycerzem solamnijskim... - zignorował przenikliwe spojrzenie Bennetta - ale wiem, kiedy muszę walczyć. Będę ci towarzyszył.

Bennett skinął głową. - Udam się z tobą. Jestem pewien, że ci, którzy mogą dosiąść smoków, powiedzą to samo.

- Zostawcie mnie więc samego na kilka minut. Bennecie, powiedz proszę wielkiemu mistrzowi, co tu się wydarzyło. Chciałbym, aby bez względu na to, co się stanie, urządził Magiusowi należyty pogrzeb. - Jak sobie życzysz.

Minotaur i rycerz oddalili się. Huma wpatrzył się w ciało Magiusa, wspominając dawne lepsze czasy. Z zamyślenia wyrwał go kobiecy głos.

- A co ze mną, Humo? Przerwała nam ta tragedia. Nie domagam się odpowiedzi. Nie mam nawet nadziei, byś mógł odwzajemnić moją miłość. Powiem tylko tyle: w sprawie Galana Dracosa i Krynnu nadal jestem twoją towarzyszką. Jeśli polecisz w samą paszczę Królowej Smoków, to ja cię tam zaniosę. - Czekala na odpowiedź, ale Huma nie potrafił nic rzec. - Gdy się przygotujesz, będę czekała.

Jego uszu dobiegły odgłosy kroków, które cichły, aż wreszcie nie słyszał już nic. Nie ruszył się z miejsca, dopóki nie przyszli kapłani ze świątyni, by zanieść ciało Magiusa tam, gdzie miało spocząć. Huma pokuśtykał w stronę grupy. Wszyscy jej pierwotni członkowie,

którzy mogli jeszcze jeździć, byli gotowi. Zebrało się ośmiu ludzi i taka sama liczba smoczych wierzchowców. Lord Avondale nie mógł im towarzyszyć z uwagi na odniesione rany, przyszedł jednak pożegnać się z nimi.

Huma przemówił najpierw do niego. - Czy są jakieś wieści o twych ludziach?

- Ugrzęźli, ale żyją. Wasz wielki mistrz wprowadził do akcji siły naziemne. Posuwają się naprzód. Marsz ogrów został powstrzymany.

Huma skinął głową w odrętwieniu. Słyszał jedynie część tego, co mówił Ergothianin. Zamordowanie Magiusa było uczynkiem płynącym z desperacji, próbą złamania ducha Humy. Rzeczywiście czuł się złamany i zbity z tropu, gdy nadeszła dla niego ta ważna, promienna godzina. - Życz nam szczęścia, kapłanie, - Zrobię coś lepszego. - Avondale sięgnął ku szyi i złapał za łańcuszek. Gdy przełożył go sobie przez głowę, pojawił się medalion, ukryty dotąd pod zbroją i ubraniem. - Pochyl się.

Huma uczynił to. Avondale zawiesił mu medalion na szyi. - Zaslugujesz na niego bardziej ode mnie.

Rycerz ujął medalion w dłoń i popatrzył na niego. Wyobrażenie Paladine'a odwzajemniło spojrzenie człowieka. Przedmiot, który trzymał w dłoni, wydawał się przyjemnie ciepły. - Jestem... wdzięczny. - Nie dziękuj mi. Znajdź Dracosa!

Huma skinął głową i wyprostował się. Wszyscy pozostali byli już gotowi. Podeszedł do srebrnej smoczycy. Zaczął coś do niej mówić, zmienił jednak zdanie i dosiadł jej. Ktoś wręczył mu lancę. Zauważył, że do jego wierzchowca ponownie przypięto tę, która była przeznaczona dla piechoty.

Na jego znak wzbili się w powietrze, zdecydowani przedrzeć się przez linie nieprzyjaciela i odnaleźć twierdzę maga. Huma uniósł małą, zielonkawą kulkę i skoncentrował się. Nakazał jej, by zaprowadziła ich do cytadeli.

Kulka rozjarzyła się jasno, wzniosła w powietrze i zaczęła lecieć w kierunku piętrzących się na zachodzie gór. Osiem par podążyło za nią.

Bitwa przeradzała się w rzeź. Smoki, gnane strachem przed swą panią, przypuszczały na lansjerów jeden atak za drugim. Za każdym razem odpierano je z wielkimi stratami.

Tymczasem zginęła więcej niż jedna piąta rycerzy oraz ich wierzchowców. Wróg zalewał ich swą liczbą. Siły naziemne również ucierpiały, zwłaszcza na początku. Gdy jednak Solamnijscy przekonali się o skuteczności swych lanc, liczba ofiar zmalała. Wkrótce żaden smok

nie odważył się do nich zbliżyć. Ich magia oraz śmiertelne oddechy wciąż siały chaos wśród rycerzy, lecz moce te miały swe granice, a wyczerpane dzieci Królowej Ciemności stały się łatwym łupem dla latających lansjerów.

Mimo wcześniejszych postanowień, Huma i jego grupa nie mogli całkowicie uniknąć walki. Ogarnięty nią obszar był już zbyt rozległy. Niejeden raz opadali w dół, by pomóc niedobitkom. Dzieci Takhisis nie były jednak bynajmniej pokonane. Uformowały grupy i atakowały punkty, które wyglądały na najsłabsze. Już teraz wiele z nich zdołało się przebić. Kierowały się ku twierdzy. Huma wiedział, że czeka je tam niespodzianka. Wielki mistrz nie był nowicjuszem. Ponad pięćdziesięciu rycerzy na smokach było gotowych do natychmiastowego startu.

Pod nimi siły ogrów i ich sojuszników ogarnęło potężne zamieszanie. Zostali teraz zmuszeni do walki na dwa fronty, gdyż Ergothianie odnaleźli dogodny teren i z dużym powodzeniem nękali południową flankę.

Nagle wszędzie wokół nich niebo pociemniało. Huma i jego towarzysze poczuli bliskość straszliwego zła.

Błyskawice uderzyły z przerażającą celnością. Trafiały smoki i jeźdźców, rozrywając ich na strzępy. Atakujący smoczy lansjerzy zawahali się. Zepchnięto ich do tyłu. Dzieci Królowej Ciemności zaczęły walczyć ze zdwojoną energią.

Huma walnął pięścią w tarczę lancy. Jak można było walczyć z burzą? Nie wywołał jej żaden mag. Osłonił oczy dłonią. Gdyby miał konkretnego przeciwnika, mógłby czegoś dokonać, cóż jednak mogły nawet smocze lance zdziałać przeciw żywiołom?

Otrzymał odpowiedź na to pytanie, gdy przedarł się do serca nawałnicy. Świadomość obecności zła była tak potężna, że Huma mógł niemal wyobrazić sobie Królową Smoków, ciskającą ku niemu deszcz i pioruny. Grom uderzył tuż za jego plecami. Rycerz usłyszał krzyk. Nie potrafił już określić, czy po jego twarzy spływa deszcz czy też są to łzy.

Nagle smocza lanca eksplodowała taką jasnością, że musiał na chwilę zacisnąć powieki. Okrzyki, które rozległy się wokół, powiedziały mu, że jego towarzysze doświadczyli tego samego. Gdy oczy przestały go boleć, odważył się je otworzyć. Otwierał je coraz szerzej, aż wreszcie wybałuszył je z niedowierzania.

Chmury burzowe rozprasały się szybko. Huma przeżył szok, ujrawszy, że jego zbroja błyszczy w słońcu. Czy to było normalne? Według wszelkich obliczeń było już późne popołudnie. Słońce powinno zachodzić, a mimo to stało wysoko na niebie.

Nikt po żadnej ze stron nie potrzebował bardziej dramatycznego znaku świadczącego o tym, w którą stronę przechylają się szale bitwy. Smoki ciemności utraciły impet, zawróciły i - pojedynczo oraz parami - rozpoczęły odwrót z pola walki. Nawet potężny strach przed ich panią nie zdołał ich powstrzymać. Paladine udowodniał, że jest większym z bogów.

Ogromnie jednak walczyli z furją, jak w amoku. Smoki mogły uciec, by stanąć do walki innego dnia, lecz nie oni i ich ludzcy sojusznicy. Nie było miejsca, w którym mogliby się ukryć. Rycerze wytropiliby ich wszędzie. Dla nich w grę wchodziło tylko zwycięstwo.

Kaz i Bennett lecieli po obu bokach Humy, nieco za nim. Rycerz dotknął medalionu, który dał mu lord Avondale. Ciepło wciąż było silne. Pod wpływem impulsu pochylił się do przodu i dotknął przedmiotem smoczej lancy. Wypełnił go przyływ siły.

Góry leżały na wprost przed nimi. Zielona kulka jakimś sposobem przez cały czas była z nimi. Nie wpłynęła na nią burza ani furia Królowej Smoków. Huma z uwagą wypatrywał jakiegoś śladu zamku. Nie sposób było określić ich położenia, a trzeba było przygotować się na to, że cytadela z pewnością nie będzie bezbronna.

Wtem z jednego z mniejszych szczytów widocznych na południowym zachodzie uderzył w górę impuls energii. Huma zwrócił się w jego stronę w nadziei, że lanca powstrzyma jego moc. Nagle tej wiązce przecięła drogę następna. Obie zniosły się wzajemnie. Huma przeniósł wzrok ku drugiemu źródłu emisji. Na jego oczach grupy zgromadzone na obu szczytach przystąpiły do bezpardonowej walki. Po kilkusekundowej obserwacji, Huma wszystko zrozumiał. Uśmiechnął się ponuro i zwrócił w stronę Kaza.

- Magowie Czarnych Szat przystąpili do akcji! Zwrócili się przeciwko Galanowi Dracosowi i jego bandzie!

Powtórzył tę samą wiadomość Bennettowi, który przekazał ją podążającym za nimi dzielnym rycerzom.

Nagle spomiędzy gór wzbiło się w powietrze dwanaście czerwonych smoków. Każdy z nich miał na grzbiecie jeźdźca. Wszyscy oni byli odziani w czerń i - ku przerażeniu Humy oraz jego towarzyszy - dzierżyli w dłoniach smocze lance.

Niewątpliwie zabrano je zabitym. Huma uznał, że powinien był przewidzieć tę groźbę. Lanca niosła śmierć bez względu na to, czyja dłoń kierowała jej ruchami. Mieli nad grupą Humy dwukrotną przewagę liczebną.

Bennett i pozostali zbliżyli się do jego boku. Ten z gwardzistów, który wyglądał na dowódcę, dał znak pozostałym. Był odziany w płaszcz, a na głowie miał przyłbicę ozdobioną dwoma straszliwymi rogami. Czerwone smoki zaczęły wznosić się i opadać na przemian, tworząc dwa poziomy.

Ich strategia natychmiast stała się oczywista. Bez względu na to, którą grupę postanowią zaatakować ludzie Humy, odsłonią się przed uderzeniem drugiej.

Gdy czerwone smoki się zbliżyły, Huma rozłożył szeroko ramiona, po czym złączył dłonie, jakby nimi klaskał.

Rycerze podzielili się na dwie grupy, jedna po lewej, a druga po prawej stronie.

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

Ten manewr wprowadził zamieszanie w szeregi ich wrogów. Złe smoki zawahały się, po czym ich szyk zaczął się rozsypywać. Każdy starał się osłonić własne boki przed śmiertcionośnymi lancami. Były zbite w tak ciasną grupę, że okazało się to dla nich niekorzystne. Dwa z nich zderzyły się ze sobą. Huma przeszył jednego pechowego stwora. Jego towarzysze ruszyli do ataku. Podstawą ich planu była szybkość.

Rycerze nie marnowali czasu ani okazji. Uchyliwszy się przed strumieniem ognia wyemitowanym przez jednego ze straszliwych wrogów, srebrna smoczyca sprawiła, że Huma wraz z lancą znalazł się na wprost jego podbrzusza. Ostrze wbiło się w nie bez oporu. Czerwony smok zatrzepotał skrzydłami. Dosiadający go jeździec zrozumiał, że w tej sytuacji jego lanca jest bezużyteczna. Rozpaczliwie sięgnął ku lukowi, który miał na plecach. Zabrakło mu czasu. Jego wierzchowin ogarnęły konwulsje. Ku zaskoczeniu Humy stanął w płomieniach. Zarówno człowiek, jak i olbrzym obrócili się w popiół.

Rycerz dojrzał kątem oka dowódcę gwardzistów. Odziana w zbroję barwy hebanu postać, trafiła zrabowaną bronią w szyję nie oczekującego ataku złotego smoka. Ów zadrzał gwałtownie i uwolnił się od smoczej lancy. Rana była głęboka. Złoty smok zaczął miotać się we wszystkie strony, zrzucając jeźdźca z grzbietu. Wydawało się, że rana eksplodowała. Huma nie mógł nic zrobić dla bezradnego towarzysza, gdyż gwardzista zwrócił teraz wierzchowca w jego stronę.

Krew złotego smoka skapywała z grotu lancy. Huma zauważył przelotnie, że oręż pokryty plamą. Nigdy dotąd się to nie wydarzyło. Nagle oba smoki ryknęły. Odstłoniły pazury i otwały szeroko paszcze w przerażającym popisie.

Srebrny startł się z czerwonym. Obie lance zajmowały pozycję idealną do zadania ciosu. Huma nie wiedział, jak zapobiec śmierci Gwyneth.

Wreszcie zdołał nazwać ją tym imieniem. Gdy lance uderzyły, wypowiedział jedno słowo modlitwy do Paladine'a.

Grot skradzionej smoczej lancy dotknął nieosłoniętej piersi srebrnej smoczycy z prawej strony, po czym ześliznął się i ominął ją, przeszywając dolną membranę skrzydła.

Lanca Humy nie zatrzymała się. Wbiła się tak głęboko, że przeszła czerwonego smoka i wyszła na zewnątrz na jego grzbiecie. Z tego powodu Gwyneth była zmuszona szarpać się z umierającym stworem, by mogli się uwolnić. Zranione skrzydło jeszcze bardziej utrudniało jej zadanie.

Jeździec w czarnej zbroi potrafił wykorzystać okazję. Odpiął się od konającego czerwonego smoka i poczołgał szybko do przodu. Srebrna smoczyca, zajęta swym przeciwnikiem, nie dostrzegła wroga, dopóki nie skoczył na jej grzbiet za plecami Humy. Nie było już wtedy nic, co mogłaby uczynić, nie narażając swego jeźdźcę na niebezpieczeństwo.

Napastnik chwycił ją mocno za bark i sięgnął ręką za siebie, do pochwy. Miecz, który z niej wy dobył, był straszliwy i ciężki. Oba jego ostrza na całej długości pokrywały maleńkie zadziory.

Broń Humy wydawała się żałośnie niewystarczająca, lecz nie mając nic innego, rycerz odwrócił się, by stawić czoła gwardziście. Miecze uderzyły w siebie. Oręż rycerza omal nie wypadł mu z rąk, zahaczywszy o ząbki.

Z potężnym wysiłkiem srebrna smoczyca uwolniła się wreszcie od masywnych zwłok. Gdy pomknęły po spirali ku ziemi, zaczęła szukać sposobu na zrzucenie z grzbietu napastnika w hebanowej zbroi w taki sposób, by nie zrobić tego samego z Humą.

Żadnemu z walczących nie udało się tymczasem zdobyć przewagi. Siedzący bezpiecznie w siodle

Huma miał pewniejsze oparcie, lecz niełatwo mu było się odwrócić. Gwardzista, siedzący okrakiem na tylnej połowie tułowia smoka, musiał utrzymywać tę pozycję bądź ryzykować, że spadnie. Nie miał sposobu znalezienia bezpiecznego uchwytu.

Rycerz szarpnął gwałtownie za więzy przytwierdzające go do siodła. Przesunął się naprzód, by uzyskać więcej swobodnego miejsca celem odwrócenia się. Jego przeciwnik ciął swym ząbkowanym mieczem, lecz chybił. Huma, zwrócony teraz w stronę napastnika, zamachnął się nad siodłem i zadał cios w bok gwardzisty. Ten sparował uderzenie. Miecz rycerza uwiązał w zadziarach. Zaczęli się szarpać, usiłując wyrwać sobie nawzajem oręż z dłoni.

Taktyka ta okazała się tragicznym błędem gwardzisty. Pozycja Humy pozwalała mu na korzystanie z obu rąk, co dla tamtego było niemożliwe. Czarny rycerz wyciągnął drugą dłoń, by nie wypuścić miecza. Stracił

równowagę i ześliznął się z grzbietu srebrnej smoczy. Spróbował złapać jej skrzydła, lecz znalazły się one poza zasięgiem jego rąk. Dowódca Czarnych Gwardzistów mógł jedynie zamachać szaleńczo ramionami w powietrzu, nim runął z wrzaskiem w dół i zniknął im z oczu.

Huma popatrzył w górę. Kaz i Piorun spoglądali na tę scenę z wyrazem triumfu.

Nieoczekiwanie smoczy lansjerzy stracili w bitwie tylko jednego człowieka. Huma wzniosł dzięki za to, że nie poległ nikt więcej i zastanowił się, co jeszcze ich czeka.

Nagle wszędzie wokół powietrze zaczęło migotać. Huma, który ponownie przytroczył się do siodła, sądził przez chwilę, że przypuszczono na nich kolejny atak. Lśnienie powodowało dezorientację. Towarzyszył mu głęboki chłód. Cały łańcuch górski wydawał się wykoślawiony, całkiem jakby lecieli w kilku kierunkach jednocześnie. Huma nie mógł zrobić nic więcej, jak trzymać się mocno i modlić, by wkrótce się to skończyło.

Być może Paladine usłyszał go bądź też przebili się wreszcie na drugą stronę zaklęcia rzuconego przez Dracosa, gdyż dziwne zakłócenia zniknęły nagle. Gdy Huma ponownie otworzył oczy, góry wyglądały tak, jak poprzednio.

Pojawił się tylko jeden dodatkowy obiekt - wysoki, potężny, czarny zamek usytuowany na zboczach wyszczerbionej turni. Cytadela Galana Dracosa, renegata i sługi Takhisis, Królowej Smoków. Miejsce ostatecznego zwycięstwa lub wiekuistej klęski.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Zamek wznosił się na północnym stoku nagiej góry podobny do ziejącej

rany, czarniejszy niż noc, czarniejszy niż zbroje gwardzistów. Był tak ohydny, że można go było porównać jedynie z Otchłanią ze snów Humy. Rycerz zastanowił się, czy nie powinien był poczekać, aż zbierze większą ilość lansjerów. Nie było już jednak odwrotu. Trzeba było stawić czoła Królowej Smoków. - I co teraz, Humo?

Srebrna smoczyca spojrzała na niego. W jej oczach widać było śmierć. Nie jego śmierć, lecz raczej jej. Widział, że opuściła ją wszelka nadzieja, iż będzie należała do niego. Rycerz chciał coś powiedzieć, cokolwiek, lecz nie potrafił się na to zdobyć. Nie wobec tego tak obcego, gadziego oblicza. Poczul się zawstydzony. - Znajdziemy drogę wejścia. Znajdziemy Galana Dracosa. Widziany z bliska, zamek był jeszcze bardziej obrzydliwy. Wydawało się, że gnije na ich oczach. Od czasu do czasu odpadały od niego małe kawałki zaprawy murarskiej, wyglądało jednak na to, że nie ubywa w nim substancji. Na jego zewnętrznych murach wiły się usychające pnącza. Huma zastanawiał się, w jaki sposób podobne rośliny mogą istnieć w tak niskiej temperaturze, zauważył jednak, że sprawiają wrażenie, iż już od pewnego czasu umierają.

Na blankach straż pełniły makabryczne maskarony. Po bliższych oględzinach okazało się, że nie są to demoniczne stwory, lecz dzieła jakiegoś szalonego rzeźbiarza.

Nad całą resztą gmachu górowały dwie wieże. Jedna wyglądała na strażniczą, gdyż umieszczono ją na zewnętrznej krawędzi murów. Dawała tym, którzy znajdowali się na jej szczycie, fantastyczny widok na góry, a także na ziemię ciągnące się na wschodzie.

Druga wieża wydawała się tu całkowicie nie na miejscu. Była szeroka. Zajmowała prawie jedną czwartą powierzchni twierdzy. Podczas gdy reszta zamku wyglądała na sypiącą się ze starości, ona była nowa i niemal bez skazy. Huma nie miał wątpliwości, że tam właśnie znajdą renegata. - Nie ma tu żadnych obrońców! - krzyknął Bennett.

Po murach nie spacerowali wartownicy. Na wieży strażniczej nie było nikogo. Również na dziedzińcu nie widziało się gwardzistów. Cała konstrukcja sprawiała wrażenie opuszczonej, choć Huma wiedział, że Galan Dracos na nich czeka. Zwrócił się ku pozostałym. - Rozproszyc się! Udam się tam sam.

Srebrna smoczyca zadrżała pod nim, lecz nadal wbijała wzrok wprost przed siebie. Kaz nie okazał się równie małomówny. - Rozproszyc się? Oszalałeś? Czy myślisz, że cię zostawimy? -

- Dracos czeka na mnie. Tak musi się to odbyć. Bennett nakazał swemu smokowi zbliżyć się do Huma. - Nie pozwolę ci tego zrobić. - To w istocie szaleństwo, Humo - odezwał się służący mu złoty smok. Huma musiał złapać za łęk siodła, gdy srebrna smoczyca nagle pomknęła w dół, ku zamkowi, pozostawiając za sobą innych z rozdziawionymi ustami. Odebrała im możliwość decyzji. Mogli podążyć za nią, lecz nie zdołaliby jej doścignąć.

Dziedziniec znajdował się tuż pod nimi. Humę zdumiewały rozmiary zamku. Galan Dracos nie mógł być tak potężny, by nakazać tej cytadeli nieustannie wznosić się na zboczu góry, ukrywać ją przed ludzkim wzrokiem i mieć jeszcze siłę na wszystko, czego dokonał.

Nadal nad tym dumał, gdy w niego i w Gwyneth uderzyło coś o potężnej sile. Coś, co wydawało się olbrzymią dłonią, uniosło go z siodła. Świat zniknął.

Huma ocknął się w wąskim przejściu. Mroczny korytarz oświetlała tylko jedna pochodnia. Mury wzniesiono z zimnego kamienia. Unosił się tam zaduch wilgoci przyprawiający rycerza o mdłości.

Dlaczego tu się znalazł? Jeśli była to pułapka zastawiona przez Dracosa, czemu nie zamknięto go w lochach, zabrawszy mu uprzednio broń i zbroję?

Broń. Sięgnął do boku i poczuł rękojeść miecza. Po chwili poszukiwań przekonał się, że nadal ma również noże. Cóż to była za sztuczka?

Brzęk metalu uświadomił mu, że niedaleko, w bocznym korytarzu poruszają się zakute w zbroje postacie. Wyciągnął ostrożnie miecz. Nie ufał temu labiryntowi na tyle, by gnać nim na oślep. Za bardzo przypominał mu tunele jaskiń, po których ścigał go Gadzi Praszczur.

Staął z uniesionym mieczem po prawej stronie skrzyżowania korytarzy. Wstrzymał oddech. Według jego kalkulacji było ich przynajmniej dwóch. Mógł mieć nadzieję, że upora się z pierwszym, a być może i z drugim, lecz gdyby wrogów było trzech, nie unikałby wzniesienia powszechnego alarmu.

W polu jego widzenia pojawił się ciemny but. Znajoma zbroja barwy hebanu skręciła w lewo. Drugi gwardzista podążył za pierwszym. Huma wstrzymał oddech.

Skryta w rękawicy dłoń wystrzeliła ku długiemu, straszliwemu mieczowi, jaki Huma widział uprzednio w rękach dowódcy smoczycy jeźdźców. Pierwszy gwardzista odwrócił się, usłyszawszy hałas. On również sięgnął po oręż. Choć drugi z nich zauważył Humę, nie zdołał

wyciągnąć miecza wystarczająco szybko. Rycerz przeszył jego szyję, nim ząbkowane ostrze zdążyło wysunąć się z pochwy.

Mury zadźwięczały, gdy Huma uchylił się przed ciosem drugiego z napastników. Miecz gwardzisty wbił się głęboko w kamień, lecz mimo to wysunął się z niego bez trudu. Huma sparował

drugie uderzenie, po czym przejął inicjatywę.

Jego przeciwnik był dobry, lecz nie dorównywał starannie wyszkolonemu rycerzowi solamijskiemu. Coraz bardziej fuszerował swe zasłony. Zakuty w atramentową czerń osobnik zdał sobie sprawę, że brak mu umiejętności, by zwyciężyć intruza. Huma zmusił go do uniesienia miecza, po czym wymierzył mu kopniaka. Odległość była zbyt mała, by gwardzista mógł się uchylić. Gdy przeciwnik rycerza padł na ziemię i spróbował się podnieść, ten przeszył go mieczem. Hałas z pewnością zwrócił czyjąś uwagę.

Huma popatrzył w głąb korytarza, z którego wyszli strażnicy, a także tego, w który skręcili na skrzyżowaniu. Oba wydawały się ciągnąć bez końca.

Tak cicho, jak to tylko było możliwe, ruszył naprzód w przeciwnym kierunku. Panowała tam praktycznie całkowita ciemność. Huma musiał dotykać ścian, by się upewnić, że nie mija żadnych odgałęzień czy skrzyżowań.

Gdzie się podziała srebrna smoczyca? - pomyślał. Gdzie się podziała Gwyneth? - poprawił się. Bez względu na swój kształt czy postać, była to Gwyneth. Zdawał sobie z tego sprawę, nawet jeśli nie pojmował w pełni swych uczuć. Doszedł do wniosku, że jego towarzyszka musi gdzieś tu być. Niewykluczone, że - tak jak on - wędrowała po omacku po jakiejś pogrążonej w mroku części cytadeli, poszukując go bezowocnie.

Pod wpływem impulsu zdjął z piersi medalion i przycisnął go do ciała. Jego ciepło przeniknęło rycerza. Przedmiot rozjarzył się z intensywnością przypominającą smocze lance. W tej samej chwili po korytarzu poniósł się echem głos.

Dwa głosy o syczącym brzmieniu. Nie byli to członkowie Czarnej Gwardii naczelnego wodza. Huma zauważył już, że ci rzadko się odzywają. Magowie. Czy jednak byli to renegaci, czy też ci, którzy poprzysięgli wspomóc rycerstwo?

Trzymał miecz w gotowości, przeklinając w milczeniu brak prawdziwego światła. Ciemność była sprzymierzeńcem czarodziejów. Podobnie jak zawodowi zabójcy, słynęli oni ze znajomości kuglarskich sztuczek. Huma miał nadzieję, że zdoła szybko pokonać obu.

- On musi gdzieś tu być! - Dlaczego to zrobiłeś?

- Renegat miał ich oboje. Chciał... aaau! Pierwszy z dwóch czarnoksiężników ujrzał nagle sztych miecza tuż pod swą brodą. Drugi nie uczynił nic, by zaatakować Humę. - Żadnych podejrzanych ruchów - wyszeptał rycerz. - To on! - syknął do swego towarzysza drugi mag.

- Widzę! - odparł czarnoksiężnik. - Jesteśmy twymi sojusznikami! dodał, zwracając się do Humy. - Czy Gunther ci o tym nie powiedział?

W ciemności trudno było odczytać wyraz twarzy czarodzieja, lecz Humie wydało się, że wybałuszył on szeroko oczy ze strachu. - Gunther? - Drobny, o zwierzęcej twarzy. Łysy.

Opis był prosty, lecz w miarę poprawny. Nie znaczyło to jednak, że ci dwaj są jego przyjaciółmi. - Dał ci malutką szmaragdową kulkę. - W porządku.

Było to ryzykowne, lecz Huma postanowił opuścić miecz. Magowie westchnęli głośno. Obaj byli przeciętnego wzrostu, jeden z nich dosyć gruby. Szczegółów mógł się jedynie domyślać.

- W innej sytuacji moglibyśmy ci pokazać, co to znaczy grozić członkowi Zakonu Nuitari - mruknął masywniejszy z magów. - Obecnie jednak jesteśmy zmuszeni ci pomóc. - Podoba mi się to nie bardziej niż wam.

- Dracos wiedział, że uznacie pusty dziedziniec za zaproszenie do lądowania, przygotował jednak dla was niespodziankę. Nie mieliśmy czasu, by przechwycić was oboje, zadowoliliśmy się więc tobą, jako ważniejszym. Aby nie dopuścić, by któryś z renegatów cię wytropił, byliśmy zmuszeni przenieść cię w przypadkowe miejsce w zamku i mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

- Bardzo dobrze wiedziałem, gdzie wylądujecie. Nie było powodu do niepokoju - chudszy z magów pociągnął głośno nosem na znak wzgardy. - Niektórym z nas czasami sprzyja po prostu szczęście.

Uwaga tęższego czarodzieja była skierowana do jego towarzysza. Huma wyczuł między nimi więź, bliższą od zakonnego braterstwa. - Tak czy inaczej, chcemy żebyś...

- Chcecie? - Huma zacisnął mocniej dłoń na mieczu. Zamachał nim na wysokości gardeł obu czarnoksiężników. - Nie przyjmuję rozkazów od Czarnych Szat. Współpracujemy, ale jak równi z równymi.

-
Dwa westchnienia. Huma wolałby się obyć bez podobnych sojuszników, niemniej już raz uratowali mu życie. - Co stało się ze smoczą której dosiadałem?

- Tym stworem? - zapytał pierwszy z magów. - Jest unieruchomiony. Przez zakłęcie zatrzymujące czas. Galan Dracos nie marnuje surowców. - Co to ma znaczyć?

Myśl, że w tej samej chwili z Gwyneth może się dzieć coś strasznego, omal nie doprowadziła Humy do paniki. Magowie błędnie uznali ją za morderczy gniew i szybko zrobili, co tylko mogli, by go ułagodzić.

- Nic! Jest w tej chwili o wiele zbyt zajęty! Przygotował jakieś wspaniałe zakłęcie, które według niego ma na zawsze zmienić oblicze Krynnu. Nie ma czasu zajmować się smokiem.

Huma zaczerpnął głęboki oddech. Uspokoił się. - Do tej pory wasza pomoc okazała się nieoceniona, sądzę jednak, że jesteście spaleni. Z pewnością podejrzewa już wszystkie Czarne Szaty?

Chudy mag ponownie pociągnął nosem. - Nie wie, jak bardzo rozszerzył się bunt. Przypuszcza, że to tylko kilku niezadowolonych członków naszego zakonu. Nie podejrzewa, że doszło do masowego nawrócenia. Nie ugniemy karku jak niewolnicy przed tym psem i jego panią.

- Cicho - syknął pierwszy. - Przyciągniesz jej uwagę, a jej jednej nie możemy stawić czoła!

- Nie możecie? - Huma popatrzył na obu z niesmakiem. Żałował, że nie mogą dokładnie dojrzeć wyrazu jego twarzy. - Rozumiem. Nadal chcecie, bym wykonał za was całą robotę. Świetnie. Którędy do Galana Dracosa? - Nie możesz być aż tak szalony! Trudno było określić, który z dwóch magów to powiedział. - Którędy?

- Sprowadziliśmy go tutaj. Równie dobrze możemy doprowadzić sprawę do końca. - Nie tak to zaplanowaliśmy.

- Czy cokolwiek, co zaplanowaliśmy, choć raz poszło tak, jak tego chcieliśmy? Sagathanus zginął, gdy po raz pierwszy opowiedział się przeciwko renegatom, a to on ich zwerbował, obiecał im, że zgodzimy się na koegzystencję z nimi! Że nie będzie się dłużej na nich polować i zabijać ich, gdy odmówią wstąpienia do trzech zakonów i podporządkowania się regułom ustanowionym przez konklawe!

- To był nasz błąd! Obiecaliśmy im, że będą mogli swobodnie kontynuować swe ohydne eksperymenty. Eksperymenty, które

- przekraczają nawet szerokie granice naszej tolerancji.

Huma przerwał toczący się spór, wpychając sztych miecza między twarze skłóconych czarnoksiężników. Natychmiast stali się cisi jak głazy. - Galan Dracos? Po raz ostatni. Gdzie on jest?

Tęgi mag wyliczył szereg zakrętów i odległości, powtórzył to raz jeszcze, po czym zapytał Humę, czy wszystko zapamiętał. Zapamiętał.

- Spróbujemy uwolnić smoka, jeśli zdołamy. Jeśli nie... - Mag wzruszył ramionami. - A co z resztą moich towarzyszy?

- Oddalili się, gdy wpadliście w pułapkę. Nie potrafię odgadnąć, czy wrócą. Może zwiali z powrotem do Vingaardu.

Huma zignorował docinek. Był pewien, że pozostali są w pobliżu i układają plany. Najlepiej zrobi, jeśli nadal będzie podążał obecnym kursem.

W korytarzu poniosły się echem kroki. Obaj czarodzieje dosłownie podskoczyli w górę. - Znikaj - wyszeptał chudy.

Huma oddalił się szybko od magów Czarnych Szat. Usłyszał ciche głosy. Zrozumiał, że czarodzieje starają się zyskać dla niego jak najwięcej czasu.

Ujrzał przed sobą cienie zakutych w zbroje ludzi. Skrył się w innym korytarzu i zaczął, aż przejdą.

Sześciu strażników minęło go w milczeniu. Całą uwagę skupili na wyznaczonych obowiązkach.

Czarnym Szatom groziło większe niebezpieczeństwo niż im się zdawało. Jeśli Huma prawidłowo zinterpretował sytuację, gwardziści starali się już ich pojmać - o ile nie zamierzali zabić ich natychmiast. Wtedy Huma musiałby w pojedynkę zmierzyć się z Galanem Dracosem i jego boginią czystego zła.

Rycerz zatrzymał się przy następnym zakręcie. Nagle ujrzał przed sobą trzy jasno oświetlone korytarze.

Głosy. Huma podkradł się bliżej. Zamarł nagle, gdy rozpoznał jednego z mówiących. - Czy wiesz, co zrobić z klejnotem, Gharisie? - Wybrano miejsce, panie Galanie. Będziemy tam czekać na twój znak.

- To tylko zabezpieczenie, Gharisie. Ona tego zażądała. Niemniej to mojego rozkazu usłuchacie, gdy nadejdzie czas. Zrozumiano?

Osobnik zwany Gharisem odpowiedział niewyraźnym głosem. Huma podejrzewał, że Dracos był zmuszony wzmacniać swe rozkazy czymś w rodzaju hipnozy.

Najwyraźniej upewniwszy się, że jego polecenia zostaną wykonane, Galan Dracos nakazał swemu rozmówcy natychmiast odejść. Huma cofnął się chwiejnym krokiem, lecz Gharis - zapewne renegat, tak jak jego pan, gdyż miał na sobie jednobarwny, brązowy płaszcz, a nie czarny - nie poszedł korytarzem, w którym stał rycerz. Jego kroki oddaliły się w innym kierunku.

Do komnaty wiodło więcej niż jedno wejście. Huma ruszył ku niej z obawą innym korytarzem. Zbliżywszy się powoli, zajrzał do pomieszczenia.

W jeszcze większym stopniu niż reszta zamku przypominało ono dzieło szaleńca. Wzdłuż ścian stały olbrzymie figury demonów. Wszystkie sprawiały wrażenie gotowych runąć na każdego niczego nie podejrzewającego intruza. Huma zadrżał na tę myśl. Największym obiektem w sali było podwyższenie wykonane z czegoś, co wyglądało na czarny kryształ. Wznosiło się w górę w czterech poziomach. Na najwyższym z nich spoczywała lśniąca szmaragdowa kula.

Rycerz cofnął się szybko. Dracos faktycznie przebywał w komnacie. Stał przed kulą, zwrócony plecami do Huma. Ten spodziewał się obecności maga, lecz za lśniącym obiektem, wpatrzony weń intensywnie, siedział spokojnie zielony smok trzykrotnie większy od człowieka. Huma nigdy nie widział podobnego. To właśnie go zaniepokoiło.

- Teraz już rozumiesz, dlaczego zawsze mam przewagę, mój mały przyjacielu?

- Wielki jest pan Galan - wysyczał młody smok. Miał okrutny, chytry głos, nawet jak na przedstawiciela swego rodzaju. Huma nie wiedział wiele o zielonych smokach, słyszał jednak, że są one najgroźniejsze ze wszystkich, gdyż najczęściej posługują się oszustwem i podstępem. Otwarta walka nie należała do ich zwyczajów, lecz fizyczne możliwości tych bestii wzbudzały szacunek nie

mniejszy niż ich umysły. Ich pokrętne, zdradzieckie umysły. - Cyan Bloodbane wiele się uczy, obserwując pana Galana.

Śmiech renegata był równie zimny i okrutny, jak głos młodego smoka. -Cyan Bloodbane nigdy nie zrealizuje w pełni swego potencjału, jeśli będzie sądził, że zdoła zapanować nade mną. Jesteś eksperymentem, Cynie. Za moim pośrednictwem zrozumiałeś umysły ludzi, elfów, krasnoludów i wszystkich innych ras tak, jak nie udało się to żadnemu z twych pobratymców. Gdy dorośniesz całkowicie, twoje imię będzie budziło grozę nawet w ich snach. Nie dojdzie jednak do tego, jeśli mi się

sprzeciwisz.

Coś zaczęło krztusić się niepowstrzymanie. Huma zastanowił się, czy może smok postanowił położyć kres aroganckiej przemowie maga. W chwilę później usłyszał, jak Cyan Bloodbane składa gorączkowe przeprosiny. - Pan Galan jest wszechpotężny! Już starczy! Proszę!

- To pomieszczenie stało się zbyt smrodliwe od twojego przesyconego chlorem oddechu. Wynocha! Wezwę cię, gdy ponownie zechcę cię zobaczyć. - Panie!

Załopotały skrzydła. Huma zrozumiał, że na wyższym poziomie z komnaty musi prowadzić wyjście na zewnątrz.

Odgłos kroków powiedział mu, że Dracos się oddala. Huma odważył się wyrzeć zza węgła. Dostrzegł plecy maga, nim zniknął on w następnym, sklepionym przejściu. Wydawało się, że pochodnie w komnacie przygasły.

Huma postąpił jeden krok do środka. Spodziewał się jakiejś czarodziejskiej pułapki, lecz nic nawet nie zamigotało.

Starannie mierząc kroki, skierował się ku czarnej, kryształowej platformie i wbił wzrok w wielką kulę. Pomyślał, że może to ona przyciągała jego maleńkiego przewodnika. Może właśnie za jej pomocą Dracos ukrywał zamek przed światem zewnętrznym. Albo też...

Uderzyła go fala odrazy. Zachwiał się na nogach i omal nie wypuścił z rąk miecza. Zdał sobie niejasno sprawę, że wrażenie pochodzi z samej kuli. Zamknął na chwilę oczy i skoncentrował się. Nienawiść zniknęła, zastąpiona pogardą i rozbawieniem. Ktoś z niego drwił. Drwił z samego faktu jego istnienia. Huma zmusił się do otwarcia oczu. Wiedział, co zobaczy, i nie zamierzał dać się zastraszyć. Była tam. Patrzyła na niego poprzez kulę. Takhisis.

Co dziwne, pierwszą myślą Humy było, czy Galan Dracos wie, że bogini może sięgnąć do tej komnaty. Czy podejrzewała, jak zaczynał podejrzewać Huma - opierając się na rozkazach wydanych przez maga zahipnotyzowanemu słudze że knuje on coś przeciwko niej? Z pewnością zdawała sobie sprawę, że ktoś tak ambitny, jak renegat, nigdy nie będzie zadowolony, dopóki nie zapanuje nad wszystkim. Być może właśnie dlatego się uśmiechała?

Uśmiechała? Z początku nie było tam prawdziwej twarzy. Teraz jednak Królowa Ciemności pozwoliła sobie na ukazanie oczu, nosa i ust. Było to

kobiece oblicze, choć równie dobrze mogłaby się pojawić jako zakuty w zbroję wojownik lub nawet drzewo, jeśli taki miałyby kaprys.

W gruncie rzeczy, im dłużej Huma się w nią wpatrywał, tym bardziej był przekonany, że nigdy nie widział równie pięknej twarzy. Były to rzeźbione rysy królowej ponad królowymi, prawdziwie nieśmiertelnej. Mężczyzna łatwo mógłby się zatracić w podobnym pięknie. Na wieczność. Za tak małą cenę. Cóż dało mu rycerstwo poza cierpieniem? Przez nie stracił rodziców, Rennarda i niezliczonych towarzyszy, w tym również Buorona. Odebrano mu nawet jego miłość...

Kłamstwa! Mgła spowijająca jego umysł uniosła się i rycerz dostrzegł fałsz ukryty za tymi tak zwanymi prawdami. Do utraty Rennarda doszło na długo przed tym, nim Huma wstąpił w szeregi

rycerstwa. To on był odpowiedzialny za śmierć jego matki. Ojciec Humy, Durac, zginął walcząc o coś, w co rozpaczliwie wierzył, coś, za co był gotów oddać życie. Co zaś do Gwyneth... ta myśl pozostała nie ukończona. Zamiast go powalić, Królowa Ciemności uśmiechnęła się tylko. Twarz zniknęła. Pozostał jedynie ślad zła, które było Królową Smoków, by przypominać mu, czego przed chwilą doświadczył. - Sądzę, że już pora zakończyć tę grę - odezwał się nagle Galan Dracos.

Rozdział trzydziesty

Renegat skrzyżował ręce i wbił wzrok w rycerza. Jego wąskie wargi skrzywiły się w uśmiechu przywodzącym na myśl padlinożercę.

Mag uniósł rękę i odsunął kaptur płaszcza, by w pełni odsłonić twarz. Jego przerzedzone włosy lepiły się do czaszki. Wysuwały się na czoło, z boku tworząc zakola. Sama głowa była wydłużona, niemal nieludzka. Wyciągnął rękę i poklepał jednego z dwóch stojących u jego boków straszywilków w biały jak kość łeb. Ruch ten odsłonił długie, kościste palce zakończone szponami.

- A więc dotarliśmy do końca. Nie chciałbym, aby odbyło się to w inny sposób. Musiałeś tu dotrzeć, by obejrzeć mój triumf... ostateczny triumf. - Wiedziałeś, że tu jestem?

- Wyznawcy Nuitari nie przynoszą mu zaszczytu. Są tak przepełnieni zarozumiałością, że nie zdają się sprawy, czego może dokonać ktoś, kogo nie krępują prawa ułożone przez tych głupców, którzy kierują Konklawe Trzech Zakonów. Nie liczyłbym na wsparcie z ich strony.

Gdy Dracos mówił, Huma rozważał swe możliwości. Nie było ich wiele. W jego umyśle zamajaczył plan zrodzony z desperacji. Rycerz cofnął się o krok i zatrzymał dłoń nad wielką kulą, w której, zaledwie parę chwil temu, ujrzał wizję Królowej Smoków. - Jeden ruch i roztrzaskam to. Co wtedy stanie się z twymi marzeniami?

- Dosłownie rozpadłyby się na kawałki. Gdybyś tylko potrafił rozbić tę kulę. Daję ci szansę podjęcia próby.

Huma uderzył w szczyt szmaragdowej kuli najsilniej jak potrafił. Jego skryta w rękawicy dłoń odbiła się od niej. Na powierzchni nie pozostało nawet najdrobniejsze zadrapanie. - Widzisz? Rycerz skinął głową. Pozwolił, by jego ręka opadła niedbale do pasa. - Sądzę...

To było wszystko, co zdołał powiedzieć Galan Dracos, zanim Huma wy dobył ostry sztylet i cisnął nim prosto w niego.

Nóż pomknął celnie. Mimo to renegat uniósł tylko palec i sztylet zwolnił, zatoczył łuk, po czym poleciał z powrotem ku Humie. Rycerz dał nura do przodu i zleciał ze stopni kryształowej platformy. Broń odbiła się od wielkiej zielonej kuli i upadła z brzękiem na podłogę. - Żałosne. Po tym wszystkim spodziewałem się po tobie więcej. Zanim Huma zdołał odzyskać równowagę, Dracos strzelił palcami. Rycerza pochwytiły nagle od tyłu potężne dłonie sprawiające wrażenie wykutych z kamienia. Szarpał się, usiłując podważyć grube, monstrialne palce. Na niewidocznym napastniku nie wywarło to żadnego wrażenia. Zbroja Humy zaczęła wpijać się w jego ciało. - Pod tę ścianę. - Dracos wskazał palcem.

Humę obrócono i uniesiono w górę. Coś zimnego i kamiennego złapało go za oba nadgarstki, a potem za kostki. Był w pułapce.

Szybkie, precyzyjne ruchy sługi maga nie pozwoliły dotąd Humie go zobaczyć. Nagle ujrzał przerażony, że jego strażnik jest w rzeczywistości jednym z maskaronów stojących wzdłuż ścian pomieszczenia. Na oczach Humy stwór wrócił powoli do swej niszy. Spoglądając przez ramię, rycerz zobaczył, że inny maskaron, składający się niemal wyłącznie z ramion, przyciska go mocno do ściany. Widzę, że podziwiasz moją robotę.

Dracos podszedł bliżej. Uwięziony rycerz dostrzegł, że znaczną część twarzy maga pokrywa

cienka warstwa łusek. Renegat wyglądał niemal jak gad. Huma zastanowił się, jak wielką część swego człowieczeństwa mag poświęcił w zamian za moc. - Muszę przyznać, że z początku cię nie doceniałem. Sądziłem, że jesteś

jedynie pionkiem Magiusa, dawnym przyjacielem, którego ponownie uznał za użytecznego. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, gdy się przekonałem, że nie tylko nie jesteś pionkiem, lecz że nasz wspólny znajomy naprawdę ci ufa.

Wspomnienie o Magiusie sprawiło, że Huma zaczął się szarpać. Łapy maszkarona nie pozostawiały mu jednak swobody. Bezradny rycerz przeszył renegata wściekłym wzrokiem. Ten rozpromienił się tylko z jeszcze większej satysfakcji.

- Wiesz, on wyparł się wszystkiego, co wcześniej uczynił. Wątpię, by w ciągu kilku ostatnich dni na całym Krynnie znalazła się bielsza szata. Szkoda. Powinieneś być słyszeć te krzyki. Moim... pomocnikom... nie brak wyobraźni. Jednego z nich musiałem ukarać za nadmierny entuzjazm. Zabiłby naszego przyjaciela - renegat zachichotał. - Ogromnie nie lubię ograniczać wyobraźni. Co prawda nie miało to już wówczas znaczenia. Obawiam się, że po tym fakcie Magius nie był już właściwie z nami. Zaczął mówić do siebie. O wydarzeniach z dzieciństwa, jak rozumiem. To straszliwie drażniło moje sługi. Nie zwracał uwagi na ich wspaniałą robotę. W gruncie rzeczy, nie odezwał się już do chwili, gdy spotkałem się z tobą. Musiałeś znaczyć dla niego bardzo wiele, skoro opuścił bezpieczne schronienie, w którym skrył się jego umysł. - Dracos wzruszył ramionami. - Dość już gadania o przeszłości. Zajmijmy się teraz przyszłością - tych z nas, którzy jeszcze ją mają.

Huma odwzajemnił uśmiech maga, choć jego umysł przepełniał niepokój. - Smoki są pokonane. Podobnie twój renegaci. Crynus i większość jego Czarnych Gwardzistów nie żyje. Nim dzisiejszy dzień dobiegnie, końca, ogrowie rozpoczną odwrót. Przegrałeś. Po kilku tygodniach wojna będzie jedynie wspomnieniem.

Oczy Dracosa rozjarzyły się. Huma zrozumiał, że trafił w czuły punkt. Gdy czarnoksiężnik przemówił ponownie, jego głos brzmiał ochryple i gniewnie.

- Masz rację pod wszystkimi względami, z jednym wyjątkiem. Ogrowie wycofają się. To w głębi duszy tchórze, odważni tylko wobec słabszych. Są źródłem żywej siły i niczym więcej. Byliby bardzo zaskoczeni, gdyby się dowiedzieli, jak niewiele będą znaczyć w moim świecie. - W twoim świecie?

- Świecie, którym będę władał w imieniu mojej pani, Takhisis, oczywiście. Dracos wykonał bezbłędny dworski ukłon. - Nie masz armii. -

- Na tym właśnie polegał kłopot z Crynusem. Na wszystko patrzył jak na bitwę. Choć uznawał korzyści płynące z mych mocy, uważał je jedynie za środek służący osiągnięciu jego celu.

Galan Dracos podszedł do ciemnej kryształowej platformy. Stał na jej szczycie, dotykając kuli w niemal pieszczotliwym geście. Bijąca z niej szmaragdowa łuna oświetliła jego twarz. Wyglądał w tym świetle jak martwy. Huma zadrżał mimo woli.

- Natężenie swej mocy zawdzięczam zwolennikom - zarówno dobrowolnym, jak i niedobrowolnym. Gdy odnalazł mnie mag Czarnych Szat, Sagathanus, to właśnie zainteresowało go najpierw. Byłem wówczas głupcem. Panowałem zaledwie nad garstką tubylców. Naprawdę miałem pewien sentyment dla tego ohydneho miejsca, dlatego że tam się urodziłem. - Spojrzał na Humę. - Czy słyszałeś kiedyś o Culthairai? Nic? Nie jestem zaskoczony. To maleńka rolnicza prowincja w samym centrum Istar. Poza owsem, jedyna wartościowa rzecz, jaką mają tam na sprzedaż, to garstka silnie umięśnionych typków nadających się na najemników. Wyobraź to sobie! Największy mag, jaki kiedykolwiek będzie żył, urodzony w bezwartościowej prowincji! - To musiało być dla ciebie straszne. Huma sam był zaskoczony własnymi słowami.

Gadzie oblicze wykrzywiło się w niemiłym uśmiechu. - To najczystsza prawda. Nikt dotąd nie

potrafił tego zrozumieć. Przypuszczam, że to dlatego, iż sam wychowałeś się w podobnych warunkach. Dracos najwyraźniej wiedział wiele o Humie.

Została dla ciebie. Klarowność tej nagłej myśli oszołomiła Humę. Nic zrodziła się ona w jego umyśle. Huma miał wrażenia, że pochodzi raczej od Magiusa... Co zostało dla niego?

Wyczuwszy coś, jeden ze straszywilków podszedł do rycerza i obwąchał go. Bijący od niego smród rozkładu przyprawił Humę o mdłości.

Dracos tymczasem gapił się na coś ukrytego w kuli, coś, co być może tylko on mógł dostrzec.

Łopot długich, skórzastych skrzydeł sprawił, że obaj podnieśli wzrok. Cyan Bloodbane wrócił bez pozwolenia swego pana. Wyraz oczu młodego zielonego smoka świadczył o strachu.

- Panie Galanie! Ogrowie zaczynają się załamywać! Moi bracia uciekają w panice. Tchorze! Cóż mamy zrobić?

Dracos naprawdę triumfował. - Nadszedł czas. Rozmiary chaosu osiągnęły szczyt nie notowany od czasów poprzedzających Wiek Snów. Zostaw nas! - odpowiedział zaniepokojonemu smokowi. - Nie chcę, by

twój smród paskudził tę komnatę w podobnym momencie!

Młody smok oddalił się pośpiesznie. Dracos wezwał dwa straszywilki, które zaczęły dygotać niepowstrzymanie.

Huma przyglądał się z niesmakiem i zdumieniem. Naprawdę widział, jak esencja życiowa - jeśli tak właśnie się to nazywało - opuszcza oba makabryczne monstra. Nawet się nie opierały. Galan Dracos uniósł dłonie z dwóch wychudłych, nieruchomych postaci. Straszywilki rozsypały się w proch.

- Strach to chaos. Wojna to chaos. Chaos to nieograniczona moc. Moc wzbudzająca respekt nawet w bogach. Rozumiesz?

Huma zamrugał powiekami. Chorobliwie zafascynowany unicestwieniem straszywilków, nie słuchał maga. - Co zamierzasz zrobić?

- To. - Mag pogłaskał kulę. - To jest klucz do stworzenia połączenia między naszym wymiarem a Otchłanią. Portalu lub bramy do leżącej po drugiej stronie krainy Królowej Smoków. Zrozum to: gdy bogowie pojawiają się wśród śmiertelników - to znaczy, gdy naprawdę tu przybywają - dysponują jedynie cieniem swej prawdziwej potęgi. Nie znaczy to, że są słabi. Bynajmniej. Niemniej ich przeciwnicy mają wtedy nad nimi przewagę.

W oczach rycerza błysnęło zrozumienie. - To dlatego Królowa Smoków nigdy nie oddała się od bramy, którą stworzyła. Boi się, że Paladine uderzy na nią w chwili jakiegoś kryzysu. Teraz jednak wybudowałeś połączenie, które umożliwi jej korzystanie z pełnej mocy nawet podczas pobytu w naszym świecie.

Galan Dracos napiął mięśnie, a potem uśmiechnął się zimno. Przez cytadelę przemknął jakiś wstrząs. Mag nie zwrócił na to uwagi. - Jesteś bystrzejszy niż się spodziewałem. Niemniej mało istotna sprawa twojej ingerencji wkrótce przejdzie do historii. Blisko! Niewyraźny obraz pojawiał się i znikał w umyśle Humy.

- Uważaj to za zaszczyt. Będziesz świadkiem wydarzenia, które zmieni oblicze całego Krynnu!

Po tej uwadze wielka szmaragdowa kula rozjarzyła się jeszcze jaśniej. Galan Dracos ponownie naciągnął kaptur i wydobył znikąd jasną laskę barwy kości.

Oczy Humy skupiły się całkowicie na przedmiocie dzierzonym przez renegata. To był klucz! Laska Magiusa. Zgubiona przez jego przyjaciela po schwytaniu przez Czarną Gwardię. Zgubiona? Raczej pozostawiona celowo. Magius z łatwością mógł ją w każdej chwili przywołać z powrotem, tak jak uczynił to ze swoją Galan Dracos.

Co jednak miał uczynić? Gdzie ona teraz była?

Pochodnie zamigotały, gdy renegat uniósł wysoko laskę. Wydawało się, że przyciąga ona płomień ku niemu. W komnacie zrobiło się ciemniej.

- Takhisis, wielka Królowo, władczyni ciemności, nadszedł czas, by w pełni otworzyć portal! Nadszedł czas, by pozwolić twej pełnej mocy przepłynąć z twej krainy do tego świata!

Huma zapomniał na chwilę o lasce Magiusa. Przyglądał się przerażony, jak ściana za kulą zaczęła się wypaczać i wyginać niczym obraz z szalonego snu. Nagle owa część budynku zaczęła rozpływać się w nicości.

Zakłęcie nie otworzyło jednak widoku na góry. Ukazał się ciemny, pełen chaosu krajobraz. Wydawało się, że opada on ku ziejącej, nie kończącej się czeluści, z której nie mógł uciec żaden promień światła.

Na oczach Humy widok zmienił się ponownie. Teren porastały teraz drzewa, lecz były one martwe lub umierające i ciemne jak noc.

W następnej chwili stał się rozszarpaną pustynią, z której sterczały kości zapomnianych wędrowców. Po paru momentach przerodził się w prawdziwe morze szczątków. - Co to jest?

Huma sądził, że wie, miał jednak nadzieję, że mag zaprzeczy jego domniemaniu.

Galan Dracos oderwał wzrok od obłąkanej scenerii i spojrzał spod zmrużonych powiek na rycerza. - Królestwo mej pani. Otchłania. - Ciągłe się zmienia.

- To twój umysł postrzega w niej zmiany. Jej wizja opiera się na doświadczeniach obserwatora. W tym przypadku twoich. Ja nauczyłem się panować nad podobnymi podświadomymi myślami.

Galan Dracos zszedł z podwyższenia i zbliżył się do Humy, który szarpał się nadaremnie. Cytadela zatrzęsała się raz jeszcze, lecz mag nadal wydawał się tego nieświadomy. Wyciągnął szponiastą dłoń ku czole rycerza.

- Nie musisz się obawiać - rzekł protekcyjnym tonem. - Nie mogę marnować na ciebie czasu ani mocy. Ustanowię tylko blokadę między twymi myślami a Otchłanią. Całkiem jakbym wzniósł mur.

Nagle uderzenie odrzuciło głowę Humy do tyłu. Na krótką chwilę wszystkie myśli zniknęły. Wkrótce Dracos wrócił na podwyższenie. Zastukał dwukrotnie swą laską barwy kości słoniowej i zaczął coś mamrotać w jakimś magicznym języku. Szmaragdowa kula rozjarzyła się niczym miniaturowe słońce. Zamek zadrżał raz jeszcze. - Więz z Otchłanią jest zabezpieczona! - wykrzyknął triumfalnie - renegat. Wewnątrz kuli coś zamigotało. Dracos sprawił, że jego laska zniknęła. Dotknął obiema dłońmi rozjarzonego artefaktu. Wbił w niego wzrok, nie zważając na niemal oślepiające światło. Ponownie rozległo się mamrotanie. Huma wezwał laskę za pomocą myśli.

Nie potrafił określić, czy myśl ta pochodziła od niego czy też - w co na wpół wierzył - od żadnego zemsty ducha Magiusa. Wiedział tylko, że musi się skupić na przywołaniu laski nieżyjącego maga i że musi to zrobić natychmiast.

To takie proste - teraz, gdy znał sposób. W jednej chwili jego dłonie były puste, w następnej zaś w lewej dzierżył skróconą wersję laski. Szeroko otworzył oczy ze zdumienia, gdy poczuł drzenie w ręce zamkniętej na magicznym przedmiocie.

Laska obróciła się w jego uścisku niczym obdarzona własnym życiem i stuknęła w kamienny pazur więżący jego nadgarstek. Maszkaron zwolnił uchwyt. Galan Dracos nadal był zwrócony twarzą do kuli. Ręce miał rozpostarte, jakby wznosił błagania do jakiegoś osobistego boga. Huma uwolnił prawy nadgarstek.

Dracos krzyknął coś niezrozumiałego. Łuna bijąca z kuli rozszerzyła się, obejmując sobą maga. Był teraz wyższy. Huma wbił wzrok w magiczny przedmiot. Wydawało się, że energia wiruje w nim chaotycznie. Tym razem cytadela zatrzęsała się gwałtownie.

Nie! Galan Dracos sprawiał wrażenie, że mówi do kogoś innego. -Przepływ jest zbyt wielki! Muszę pobrać więcej mocy! Inaczej energia mnie pochłonie!

Huma nie zrozumiał jego słów, wiedział jednak, że musi zerwać połączenie między światami. Jeśli Takhisis czerpała z tej mocy...

Następny wstrząs był tak potężny, że kilka maszkaronów przechyliło się do przodu i roztrzaskało na podłodze. Wyraz twarzy Galana Dracosa nie zmienił się, gdy mag ujrzał, iż Huma jest wolny. Wymamrotał coś tylko pod nosem i natychmiast ponownie przeniósł uwagę na zakłęcie.

Gdy rycerz się uwolnił, laska natychmiast zaczęła się wydłużać i grubieć, całkiem jakby była żywa. Odzyskiwała poprzedni kształt.

Maszkarony zaczęły nagle opuszczać swe nisze - bezładny zestaw okropieństw, które pragnęły tylko jednego. Śmierci Humy.

Rycerza uczono walki drągiem. Przekonał się, że laska maga nadaje się do wykorzystania jako taka broń. Za każdym celnym ciosem sypały się skry. Czarodziejski przyrząd przeszywał maszkarony tak łatwo, jakby były

zrobione z masła. Niemniej odrąbanie kończyny czy głowy nie wystarczało, by powstrzymać podobnego stwora. Atakowały go ze wszystkich stron. Huma wiedział, że renegatowi nigdy nie zabraknie nieożywionych sług. Mimo to walczył z całą swą determinacją i wiarą w Paladine'a.

Wiedział, że wystarczy, jeśli zada Dracosowi tylko jeden porządny cios, lecz maszkarony napierały na niego ze wszystkich stron, a laska była praktycznie bezużyteczna w walce na tak małą odległość. O ile nic się nie wydarzy, zostało mu tylko kilka sekund, nim zmiażdży go nacisk kamiennych stworów. - HUUUUUMMOOO!

Głos dobiegał z wysoka. Zagłuszał nawet wstrząsający cytadelą łoskot. Co robił Dracos? Czy zamierzał obalić same góry? - HUUUUUMMOOO! Rycerz już ją teraz widział. - Gwyneth!

Dostrzegła go i pomknęła po spirali w dół. W tej samej chwili jeden z maszkaronów wytrącił mu z ręki laskę. Srebrna smoczyca ryknęła i zaatakowała najbliższe z kamiennych stworów. Rozsypały się w pył. Wzbiła się w górę, zatoczyła krąg i ponownie pomknęła w dół, by ponowić atak. Niektóre maszkarony odwracały się od Humy, by stawić czoła nowemu wrogowi. Gwyneth ścigał w dół połączony ciężar czterech istot, które uczepiły się jej od spodu. Rycząc raczej z irytacji niż z bólu, zaczęła zataczać kręgi, by strząsnąć napastników. Trzymali się jednak mocno. Smoczyca musiała wzbić się w górę i opuścić komnatę, aby się od nich uwolnić.

Mimo to dała Humie niezbędny czas. Rycerz złapał laskę Magiusa i raz jeszcze obrócił się błyskawicznie, eliminując pierwszym ciosem najbliższego z przeciwników. Pozostali ponownie spróbowali się zbliżyć.

Do komnaty wpadło kilku wojowników. Czarna Gwardia. Zakute w hebanowe zbroje postacie zatrzymały się w sklepionym przejściu, gapiąc się na to, co zobaczyły.

Huma ujrzał przelotnie obłąkane spojrzenie Dracosa, który zwrócił się na chwilę ku swym żołnierzom. W jego oczach lśniło światło bardzo przypominające blask szmaragdowej kuli. Wypowiedział tylko jedno słowo, lecz nawet ten wysiłek sprawił, że się wzdrygnął.

Ku niczego nie spodziewającym się wojownikom z przerażającą szybkością pomknęła wąska, śmiertcionośna wiązka zielonej energii wywodząca się z kuli. Nim jeszcze pokonała połowę drogi, podzieliła się

na dwie, a potem na cztery. Gwardziści zbyt późno zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Odwrócili się i rzucili do ucieczki. Czterech jednak nie zdążyło nawet się poruszyć. Impulsy energii przeszyły ich jak harpuny, po czym wciągnęły ofiary do wnętrza komnaty. Huma zadrzał. Wyglądało na to, że zakłęcie panuje nad Galanem Dracosem w równym stopniu, jak on nad zakłęciem. Rycerz

wątpił, by renegat naprawdę zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił. Dla Dracosa liczyła się w tej chwili jedynie moc.

Pozostali gwardziści umknęli. Z miejsca, w którym stał, Huma patrzył bezsilnie, jak wystrzeliła kolejna wiązka, tym razem w jego kierunku.

Trafiła go w pierś z impetem tak wielkim, że część energii rozproszyła się, uderzając w zastęp maszkaronów. W pierwszej chwili Huma czuł, że impuls dosłownie wysysa z niego siłę życiową. Nagle coś odepchnęło pasożytniczą wiązkę, która wijąc się wróciła do szmaragdowej kuli. Rycerz pomacał swą pierś i poczuł medalion, który dał mu Avondale. Medalion kapłana Paladine'a. - Humo! Zamek się wali!

Jakiś maszkaron osunął się na kolana. Inny rozsypał się po prostu. Huma odwrócił się. Spojrzał prosto w twarz Galana Dracosa. Oblicze renegata - już przedtem nieludzkie - nabrało obłąkanego wyrazu.

- Nagnę... nagnę go do mej woli! Jestem Dracos, największy mag, jaki kiedykolwiek żył!

Ponownie ukazał swą laskę i stuknął nią trzykrotnie w podwyższenie. -Shurak! Gestay Shurak Kaok!

Maszkarony straciły wszelkie pozory życia. Gdy rozsypały się wokół Humy, ponownie pojawiła się srebrna smoczyca, która pomknęła ku niemu. Dracos nie postąpił ani kroku w ich kierunku. Nawet ich nie zauważył. Uśmiechał się do niebios. Jego postać tętniła energią.

- Dokonałem tego, pani! Moc należy do mnie! Renegat był tak zaprzątnięty swym pozornym triumfem, że nie zauważył obrazu, który uformował się w szmaragdowej kuli. Nieludzka twarz o drwiącym wyrazie. Na oczach Humy podzieliła się, tworząc dwie. Potem trzy. Oblicza wykrzywiły się i przerodziły w gadzie. Smocze. Przynajmniej pięć głów. Wszystkie drwiły. - Humo, musimy uciekać! - Nie mogę!

Rycerz wbił wzrok w smocze lance, które niosła Gwyneth. Były zbyt ciężkie do jego celów. Nawet lanca dla piechoty była nieporęczna. Nagle jego oczy spoczęły na lasce Magiusa. Nawiedził go pewien impuls. Huma dźwignął laskę. Z jego ust popłynęły słowa, których nie rozumiał. Przedmiot rozjarzył się nagle. Rycerz cisnął nim ze wszystkich sił.

Nie trafił w Galana Dracosa, lecz to nie on był celem. Przypominająca włócznię laska uderzyła bezbłędnie w sam środek jarzącej się kuli. Wydawało się, że zawahała się chwilę, gdy jej koniec zetknął się z artefaktem, lecz potem pomknęła dalej, miażdżąc wszelki opór.

- Nie patrz! - krzyknął Huma do Gwyneth. Szmaragdowa kula eksplodowała z rykiem. Cytadela zadrżała - a komnata przechyliła się -gdy zamkiem targnął wstrząs wywołany zniszczeniem magicznego przedmiotu. - Humo! - Srebrna smoczyca trąciła go. - Musimy uciekać! Szybko! Odzyskał równowagę, trzymając się kurczowo jednego z jej skrzydeł. Pośpiesznie rzucone spojrzenie powiedziało mu, że podwyższenie ogarnia zielonkawe piekło. Wydawało się, że pokrywa ono całą ścianę. Za ową zasłoną coś ryknęło.

- Paladine! - wyszeptał Huma. To było niemożliwe! Potrafił sobie wyobrazić tylko jedną istotę, która mogłaby wydać z siebie tak ogłuszający, wstrząsający posadami ziemi głos. Smoka. Olbrzymiego smoka. Giganta z pięcioma głowami. Takhisis. - Ttttyyyy!

Huma zapomniał o ryku. Odwrócił się błyskawicznie w kierunku płomieni, z których dobiegał ten nowy krzyk.

Coś wyłoniło się powoli ze szmaragdowego ognia. Jarzyło się, lecz nic płonęło. Szło na dwóch nogach, lecz pod żadnym względem nie było już człowiekiem. Uniosło szponiastą łapę, która ongiś była dłonią. Pod rozerwanymi i postrzępionymi resztkami kaptura widać było demoniczną twarz o wykrzywionych rysach przywodzących na myśl jakiegoś zniekształconego węża. -

Hhhuuuuummmooooo! Galan Dracos ruszył chwiejnym krokiem naprzód. - Zapłacisz mi za to życiem!

Ku rycerzowi wystrzeliło coś wyposażonego w witki. Zatrzymała to srebrna tarcza, która pojawiła się na chwilę. Galan Dracos cofnął się o krok.

- Ty również masz swego... swego patrona! Szkoda, że jest już za późno dla Krynnu! Twarz wykrzywiła się.

Huma postąpił krok naprzód. Gwyneth zaczęła się sprzeciwiać, lecz rycerz uciszył ją spojrzeniem. Następnie ruszył powoli ku obłąkanemu magowi.

- Zbyt wielu ludzi zginęło przez ciebie, Galanie Dracosie. Paladine mi świadkiem, że nie mogę ci pozwolić zachować wolności. To musi zakończyć się tutaj.

Gdy Dracos wreszcie się odezwał, panował nad swym głosem. Wbił wzrok w dal.

- Tak. To się tutaj zakończy. Zwycięstwem... zdemaskowaniem mojej zdrady. Podjąłem ryzyko i przegrałem. Odwrócił się plecami do Huma. Wydawało się, że wzruszył ramionami.

Renegat podszedł chwiejnym krokiem do krawędzi piekła. Jego nogi ledwo już mogły się poruszać. Coraz mocniej wspierał się na swej lasce. Huma nieustępliwie podążał za nim. - Nie mogę pozwolić ci odejść.

Zdeformowany mag roześmiał się. Wydawało się, że jego śmiech trwa o wiele za długo. Oczy Galana Dracosa stały się wąskimi, lśniąco szparkami. - Nie będę czekał na sprawiedliwość Królowej. Wolę od niej nicość. Nie dostanie mojego potępionego ducha, by bawić się nim przez wieczność. Galan Dracos, mistrz magii, renegat, wypowiedział jedno słowo.

Pochłonęły go szmaragdowe płomienie. Odrzucił zabezpieczenia, które przedtem go chroniły. Huma zasłonił oczy, gdy ogień rozjarzył się jaśniej. Kiedy spojrział ponownie, po magu nie zostało już nic. - Spalił się.

- Nie. - Srebrna smoczyca potrząsnęła głową. - Przestał istnieć. To właśnie było ostatnie zaklęcie, które rzucił. To tak, jakby nigdy go nie było. Niedługo ci, którzy go znali, przestaną o nim pamiętać. Oprócz jego byłej pani, jak sądzę. - Przybrała zamyślony wyraz twarzy. — Naprawdę uciekł przed Królową Smoków. Zdumiewające. Cytadela ponownie zaczęła osuwać się w dół. - Humo!

Chwilowa fascynacja opuściła natychmiast Gwyneth, gdy smoczyca zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

- Tak! - Zaczął się wspinać na jej grzbiet, lecz zatrzymał się nagle. -Nie! Laska Magiusa! Muszę sprawdzić... - Czy to ten krótki pręt za twoim pasem?

Opuścił wzrok. U jego prawego boku, zatknięty bezpiecznie za pasem, tkwił znajomy drążek długości trzydziestu centymetrów. - Skąd...

Gwyneth zirytowała się wreszcie. - Kiedy indziej wyjaśnię ci, na czym polega magia! Humo, Paladine mi świadkiem, że cię kocham! Nie pozwolę ci tu zginąć, jeśli tylko zdołam temu zaradzić!

Usłyszawszy te słowa, Huma wdrapał się niezgrabnie na jej grzbiet. Każdą chwilą zwłoki narażał jej życie. I to ze względu na co? Własne wahania, własne obawy. A mimo to kochała go. Srebrna smoczyca wzbijała się szybko w powietrze.

- Połóż się płasko na moim grzbiecie i trzymaj smoczą lancę prosto! -krzyknęła.

Cytadela nie przestawała chwiać się i osuwać w dół. Maszkaronami ciskało we wszystkie strony. Niektóre fragmenty komnaty zaczęły się walić. Część górnego przejścia została zasypana. Srebrna smoczyca nie mogła już uciec przez ten wąski tunel.

Huma usłyszał, że krzyknęła coś w jednym z magicznych języków. Jego uszu dobiegł odgłos walących się murów. Obok głowy przemknęły mu kawały gruzu. - Spokój! To tutaj!

Poczuł, jak smocza lanca wbija się w gruby kamienny mur, poszerzając szczelinę. Gwyneth zwinęła skrzydła i pomknęła w górę niczym strzała wypuszczona z łuku. Huma wiedział, że stara się najlepiej jak tylko może osłonić go własnym ciałem.

Gdy byli już na zewnątrz, zdał sobie sprawę, że wstrzymywał oddech. Wypuścił powietrze z płuc. Srebrna smoczyca pomknęła po spirali w górę. Z wysoka dostrzegli, że zielona luna pochłonęła już znaczną część zamku.

To, co pozostało z cytadeli maga, zawisło na chwilę nad przepaścią. Zachwiało się, a potem zaczęło powoli przechylać. Na początek poszła wieża, wysoka kolumna, która pochyliła się do przodu, a potem runęła w dół. Huma zwrócił wzrok ku niebiosom. - Paladine! Nagle zapadła nowa, głębsza ciemność.

- Humo... - Głos srebrnej smoczyki brzmiał niepewnie. Podążył za jej spojrzeniem aż na szczyt tej samej góry, z której runęła cytadela Galana Dracosa. W ich kierunku spoglądało coś olbrzymiego, wielogłowego i promieniującego złem. Humo, wojownika Paladine 'a. Przyjdź do mnie. Przyjdź w me objęcia. Takhisis.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Spod niemal hipnotycznego wpływu Królowej Smoków wyzwolił go znajomy głos.

- Huma! Dzięki bogom! Baliśmy się, że zginąłeś razem z cytadelą! Odwrócił się w siodle. Bennett i Kaz lecieli obok niego. - Wysłaliśmy pozostałych po pomoc - wyjaśnił pośpiesznie minotaur. - Tylko że... Sargasie! Co to jest? - To Królowa Smoków, prawda? Głos Bennetta był wyprany z emocji. Huma skinął tylko głową. Podniósł wzrok ku widocznemu nad nimi widmowemu okropieństwu. Portal, przez który przeszła Królowa Smoków, rozszerzał się. Wydawała się coraz bardziej materialna i rzeczywista.

Rycerza nawiedziła pewna myśl. Sięgnął za pas po skróconą laskę Magiusa. Wręczył ją Bennettowi. - Zanieś ją do twierdzy Vingaard. Trzeba ją oddać konklawe. Jako przywódcy magów, jego członkowie będą wiedzieć, co z nią zrobić. Należała do Magiusa. Obawiam się, że mnie się już raczej nie przyda. Kaz i Bennett popatrzyli na siebie.

Huma przeszył ich obu spojrzeniem. - Trzeba przekazać wiadomość, że Dracosa już nie ma. Chcę też, byście zorganizowali lansjerów. Bennecie, jesteś synem jednego wielkiego mistrza i bratankiem drugiego. Urodziłeś się na dowódcę. Będę ściągał na siebie gniew Królowej Ciemności tak długo, jak tylko zdołam, lecz naszą jedyną prawdziwą szansą pozostaje zmasowany atak. Z pewnością zostało jeszcze co najmniej sto lanc. Z nimi, jeśli Paladine pozwoli, będziemy w stanie coś osiągnąć.

Bennett potrzęsnał głową. - Humo, to jest bogini! Znaczymy dla niej mniej niż jeden oddech!

- Jesteśmy jednak rycerzami solamnijskimi - odparł Huma. Z rycerstwa założonego przez święty Triumwirat, którego najstarszym rangą członkiem jest Paladine. Powierzono nam misję stania na straży sprawiedliwości i dopilnowania, by zło nigdy nie zapanowało nad Krynem. To jest nasza ostateczna próba. Tu właśnie okaże się, czy sprostaliśmy przysiędze i regule.

23. Bohaterowie 01 - Legenda o Humie

Drugiemu rycerzowi nie przyszła do głowy żadna odpowiedź. Twarz poczerwieniała mu lekko.

- Nie mam czasu na spory. Wracaj, Bennetcie. Kaz, ty poleć z nim -dodał Huma.

Minotaur popatrzył na swego wierzchowca, po czym przeniósł wzrok z powrotem na przyjaciela.

- Zgadzam się, że jeden z nas powinien wrócić i najlepiej, żeby był to Bennett. Ja jednak zostanę.

Również złożyłem przysięgę, a nie dowiodłem jeszcze, ile jestem wart. Piorun jest tego samego

zdania. Huma westchnął. - Kaz, nie mogę cię powstrzymać. Bennetcie,

wykonaj swój obowiązek.

Bennett zazgrzytał zębami, skinął jednak głową. Dał znak i jego srebrny smok zawrócił. Przedtem

jednak spojrzął w oczy Gwyneth. Przekazali sobie jakąś wiadomość. Huma przypomniał sobie, że to

kuzyn jego smoczycy. Dla nich rozstanie nie było wcale łatwiejsze. Gdy Bennett odleciał, Huma

wrócił do minotaura. - Teraz.

Oba smoki wznosiły się coraz wyżej. Wydawało się, że widoczny nad nimi pięciogłowy kształt

Takhisis zamigotał. Całą górę, a nawet niebo ponad nią, zniekształciła olbrzymia dziura w strukturze

samej przestrzeni. Brama, za pośrednictwem której Królowa Smoków zmaterializowała się w tym

świecie. Portal, przez który do niedawna czerpała swą absolutną moc przy pomocy przez nikogo nie

opłakiwanego Galana Dracosa. Została odcięta od swej pełnej potęgi, ponieważ Huma rozbił

szmaragdową kulę, brama jednak istniała nadal, a Takhisis miała już moc, którą sprowadziła

wcześniej. Podczas żadnej ze swych poprzednich inwazji na świat śmiertelników nie była tak silna.

Czarujące. Jeszcze bardziej interesujące niż wasza nieustanna potrzeba spierania się ze sobą o

beznadziejne sprawy. Zimne, okrutne myśli uderzyły w jaźń Humy.

Będę musiała zgromadzić kilku podobnych tobie i zbadać tę zdumiewającą, ulotną rzecz zwaną

miłością. Wydaje się takim... marnotrawstwem.

Huma poczuł przynajmniej pewną satysfakcję płynącą ze świadomości, iż Takhisis nigdy nie

doświadczy żadnego ze znanych mu uczuć. Dla takiej jak ona zawsze pozostaną tajemnicą. Pod tym

względem ustępowała każdemu ze śmiertelników. Naucz mnie więc.

Choć wiedział, że jej smocze wcielenie nadal siedzi na szczycie góry, widział też pełną gracji,

ponętą postać kruczowłosej kusicielki odzianej w najciemniejsze z ciemnych jedwabii. Gdy się

uśmiechała, wyglądało to tak, jakby nikt nigdy dotąd naprawdę tego nie robił.

Potrafiłabym stać się wszystkim, czego byś zapragnął. Mógłbyś nauczyć mnie tej miłości, o której

jesteś tak dobrego zdania. Byłabym bardzo chętną uczennicą.

W jego umyśle uwodzicielska postać przesunęła się lekko w bok, przybierając nowe,

provokujące pozy. Huma nie był w stanie się skoncentrować. Była niezrównanie piękna. Do tego

chciała nauczyć się co to znaczy kochać i być śmiertelną. Gdyby zdołał jej to pokazać, Krynn mógłby

już nigdy nie zaznać zła ani cierpienia.

Dochodziły też interesujące - i bardzo ważne - elementy, które z pewnością łączyłyby się z tą

nauką.

Uśmiechnęła się. Wydawało się, że wyciąga ku niemu szczupłą, doskonale ukształtowaną dłoń.

Huma poczuł na piersi ciepło. Mimo woli złapał się za nią. W dłoń wsunął mu się znajomy

przedmiot.

- Nie! krzyknął pod wpływem impulsu. - Nie ulegnę twym mrocznym powabom. Nigdy nie

poznasz miłości ani życia. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Darzę miłością inną!

Poczuł pod sobą szarpnięcie, całkiem jakby Gwyneth o coś zahaczyła. Nie miał już więcej czasu

o niej myśleć, ponieważ Królowa Smoków ponownie wpiła się w jego jaźń.

Mogłeś zaznać radości, jakiej nigdy nie znał żaden mężczyzna. Mogłeś dowodzić moimi armiami, gdyż żaden wojownik nigdy nie okazał się bardziej pomysłowy, elastyczny i zdeterminowany od ciebie. Mogłeś być drugi rangą po mnie i nagrodziłabym cię ponad wszelkie twe oczekiwania.

Rozszalała się straszliwa wichura, która omal nie cisnęła srebrną smoczyką o stok góry. Piorun i Kaz zostali z tyłu. Huma ścisnął jedną ręką smoczą lancę, drugą zaś dotknął medalionu Paladine'a. Dzięki tym dwóm przedmiotom mógł zachować nadzieję.

Proszę bardzo! Odrzuciłeś mnie. Otworzyłeś drzwi wiodące do zagłady siebie i tej, którą kochasz.

Niezdolna poznać miłości, Królowa Ciemności aż za dobrze znała nienawiść. - Huummmoooo!

Rycerz odwrócił się na chwilę i ujrzał, że Piorun został zmuszony do lądowania na skalnym występie. Kaz trzymał się rozpaczliwie siodła.

Zostaliśmy tylko my dwoje, tak bardzo śmiertelny rycerzu solamijski! Będziesz prosił o wybaczenie za wszystko, co uczyniłeś! Będziesz mnie błagał o położenie kresu twym cierpieniom, lecz wieczność dobiegnie końca, nim choć zastanowię się nad spełnieniem twej prośby.

Huma przypomniał sobie wybór, jakiego dokonał Galan Dracos: raczej unicestwienie ciała i duszy niż łaskawa sprawiedliwość Królowej Ciemności. A był to człowiek, który nie znał litości, który okrutnie torturował Magiusa i wysłał tysiące na niepotrzebną śmierć. Na koniec dla Dracosa pozostał tylko strach, strach na myśl o tym, że będzie zdany na łaskę swej pani.

Najpierw zmiążdżę twą fizyczną postać. Mimo to nie umrzesz. Potem wezmę się do twojego umysłu i odsłonię przed nim pełne mroczne piękno

mego królestwa. Obłęd cię nie ocali. Nie pozwolę na to. Następnie zajmę się twą ukochaną i poddam ją najwspanialszym z moich... rozrywek... podczas gdy będziesz się temu bezsilnie przyglądał.

Huma widział już cuda i okropności, jakie poznało niewielu ludzi. Ocaliła go jedynie wiara w Paladine'a oraz w sprawiedliwość i dobro reprezentowane przez tego boga. Za każdym razem dodawała mu ona siłę. Pokochał cały Krynn równie mocno jak Paladine i był gotów poświęcić wszystko dla dobra świata, jeśli będzie to oznaczało klęskę ciemności. Zamiast nakazać Gwyneth zawrócić, rycerz popędził ją naprzód. Usłuchała go. Nie chciała go opuścić.

Jesteście głupcami. Większymi głupcami niż Dracos, który wierzył, że może zostać bogiem. Ucieczka w nicość uratowała go przed moim czułym miłosierdziem. Co ocali was?

Było to tak, jakby nagle odsłonięto zasłonę. Królowa Smoków stała i przyglądała się im. Jej piękno zapierało dech w piersiach, budząc jednocześnie grozę. Wszystkie głowy gigantycznej smoczycej drwiły z niego.

Było ich w sumie pięć. Każda z nich reprezentowała jedną grupę jej dzieci. Sprytne i okrutne zielone. Nieustępliwe białe. Straszliwie niszczyielskie czerwone. Nieprzewidywalne czarne. Dominujące niebieskie.

Kołysały się wężowym ruchem do przodu i tyłu, całkiem jakby rzucały hipnotyczne zaklęcie. Ani na chwilę nie spuszczały oczu z Huma. Ani na chwilę żadna z nich nie przestawała się poruszać.

Królowa Ciemności. Dobrze ponad dwadzieścia metrów czystej mocy. Każdy ruch był wcieleniem gracji i siły. Każdym ruchem, bez względu na to jak drobnym, wykazywała głupotę tych, którzy wazyli się przeciwstawiać jej woli. Teraz widzicie. Teraz wiecie.

Szybki, najmniejszy biały smok skierował nagle swój oddech ku rycerzowi. Huma ledwie zdołał dostrzec zbliżający się stożek intensywnego mrozu, lecz Gwyneth z łatwością skrzyła i znalazła się poza jego zasięgiem.

Smoczyca Wielu Kolorów i Żadnego - to starożytne imię przypomniało się nagle Humie - roześmiała się zjadliwie. Ten atak nie był dla bogini niczym więcej niż zabawą. Bawiła się z nimi tak, jak kot z myszą, nim pożre ją w całości.

Wiatr nic przestawał dąć. Srebrna smoczyca zbliżyła się niebezpiecznie do stoku góry. Głowy Królowej Smoków zaniosły się wesołym śmiechem.

W poczynania boskiej olbrzymki wkradła się odrobina niepewności, gdy Huma przestawił umysł na inne tory. Bogini nie drwiła też już z niego. Każda z par oczu skupiła się na nim z uwagą. Takhisis przyjrzała mu się na nowo. Potężne skrzydła rozpostarły się w geście, który Huma u normalnego smoka uznałby za wyraz niepokoju.

Skinął na Gwyneth. Smoczyca zawróciła, oddalając się na znaczną odległość od straszliwej postaci Królowej Smoków, po czym skierowała się ku bogini. Huma chwycił pewnie smoczą lancę. Pięć głów zamarło w pozycji bojowej. Rycerz skinął raz jeszcze.

Nawałnica przywołana przez Królową Smoków wzmogła się dziesięciokrotnie, zmuszając Kaza i Pioruna do poszukania schronienia na najgłębiej skrytym fragmencie występu. Tylko przez moment dostrzegli srebrną smoczycę walczącą z okrutnym wichrem i oberwaniem chmury, które rozszalało się nagle. Leciała naprzód z coraz większą szybkością. Potem rycerz i smok zniknęli, zbliżywszy się do szczytu góry.

Kaz wymamrotał modlitwę do każdego z bogów z rodu Paladinea, którego przypominał sobie jego zmacony umysł. Ostatnią i najdłuższą zachował dla Platynowego Smoka - boga znanego ludziom jako Paladine.

Przejmujący mróz. Szybka, śmiertelna błyskawica. Syczący strumień trującego gazu. Jasny płomień. Pryskający i pluskający kwas.

Każda z głów skierowała swą moc na nich. Gwyneth zakręcała i uchylała się, uchylała i zakręcała, a potem zataczała spirale, próbując umknąć przed kolejnymi odrażającymi atakami. Niekiedy nawet jej umiejętności nie wystarczały. Kwas wypalił w jej skrzydłach mnóstwo maleńkich dziur. Płomienie osmałiły jej bok. Huma nadal ścisnął smoczą lancę, nie zważając na nic.

Jak dotąd nie udało się im zadać ciosu Królowej Smoków. Decydujące znaczenie miał jednak fakt, że mimo użycia wszystkich swych możliwości nie zdołała strącić ich na ziemię. Dowodziło to, że słabo panowała nad swą zwiększoną mocą. Chciała zrobić zbyt wiele i nadmiernie rozciągała siły, rzucając za dużo zasadniczo odmiennych zaklęć.

Gwyneth wypuściła stożek mrozu na zieloną głowę bogini. Ta strząsnęła go z siebie, jakby był to liść.

Szczęki kłapnęły niebezpiecznie blisko. Huma dostrzegł przelotnie głowę czerwonego smoka. Gwyneth uciekła poza jej zasięg.

Gdy po raz kolejny zwróciła się ku Królowej Smoków, Huma dostrzegł, że olbrzymia istota wznosi się wreszcie ze szczytu. Pani Ciemności nie sądziła już, że jej zwycięstwo jest przesądzone. Przystąpiła do ataku na

Humę, zdecydowana nie przeciągać tej walki bardziej niż to było konieczne.

Widziana w powietrzu, Królowa Smoków była przynajmniej dziesięć razy większa od srebrnej smoczycy. Jej skrzydła przesłaniały niebo. Każda z przednich łap mogłaby objąć głowę towarzyszki Humy i zmiażdżyć ją z łatwością. Znudziła mnie już ta zabawa. Fruwaj jak motylek.

Srebrna smoczyca poderwała się. Huma zdał sobie sprawę, że Takhisis po raz pierwszy przemówiła do Gwyneth.

Jej czarna głowa krzyknęła coś w magicznym języku. Rycerza i smoczycę ogarnęła nagle ciemność. Ryk.

Szpony przeszły powietrze nad głową Humy. Srebrna smoczyca w ostatniej chwili zniżyła lot. Smocza lanca nadal się jarzyła - jedyne źródło światła na niebie. Światło? Nic możecie mieć światła!

Nawet Huma w pierwszej chwili tego nie zauważył, była to jednak prawda. Ciemność przerodziła się w półmrok, ten zaś ponownie stał się światłem. Takhisis zawisła w powietrzu, rozwścieczona mocą smoczej lancy. Paladine nie zdołała chronić was wiecznie!

- Humo - zawołała do niego srebrna smoczyca. Rozpaczliwie brakowało jej tchu. - Nie dam rady wymykać się jej długo.

Dotknął medalionu wiszącego na środku jego piersi. Skinął głową. -Pora stawić jej czoło. Chodźcie więc do mnie. Pójdźcie w me objęcia.

- Daję ci tę samą szansę, którą dałem Galanowi Dracosowi, Królowo Ciemności. Szansę poddania się.

Żartujesz w chwili swej zagłady, śmiertelniku Humo. Twój wesoły nastrój wydaje mi się interesujący. Będę miała wieczność, by się tobą zabawiać.

Huma skierował smoczą lancę prosto w środek wielkiej postaci Królowej Smoków.

- Przekonaj się, czy żartuję. Oto moc Paladine'a. Żadna broń śmiertelników nie może cię powalić, ale smocza lanca nie jest bronią śmiertelników.

Ty jednak jesteś śmiertelny, rycerzu solamijski. Huma opuścił głowę na znak potwierdzenia. - Jestem rycerzem solamijskim. Ręką Paladine'a, Kiri-Jolitha i - Habbakuka na tym świecie. Przebywasz na Krynnie. Należysz do mnie, Królowo Ciemności.

Kopnął Gwyneth w boki. Pomknęła naprzód z nową energią. Smocza lanca zaślniła jasno. Wydarzyło się coś dziwnego.

Humie wydało się, że zbroja, którą miał na sobie, zaślniła jaśniej. Leżała na nim inaczej. Z wyglądu i dotyku sprawiała wrażenie platynowej. Zniknęły wgniecenia i otwory, których się w niej nabierało. Jego skryta w rękawicy dłoń błyszczała równie jasno jak lanca. Przypomniawszy sobie wizję, którą miał, oraz rzeźbę, z której zdjął pierwszą z lanc.

Gwyneth również uległa przekształceniu. Stała się dłuższa, gładsza i o wiele piękniejsza. Przerodziła się w lśniącego, białego rumaka, platynowego smoka, majestatycznego zimorodka.

Wszystko, co ujrzał, mogło być iluzją. Czy jednak Królowa Smoków widziała to samo?

Nie miał żadnej pewności. Wiedział tylko, że olbrzymia chromatyczna bestia znowu się zawahała. Tym razem smok starł się ze smokiem. Uderzyły pazury i zęby. Smocza lanca zatrzymała się tylko na chwilę. Huma przygotował się na wstrząs.

Królowa Smoków nie spodziewała się, że jej impet będzie miał aż takie znaczenie. Ciało bogini przechyliło się do przodu i smocza lanca odnalazła nagle nie osłoniętą szyję środkowej głowy.

Humę spryskała posoka. Jej krople poparzyły jego ranną nogę, co wyrwało go na chwilę z przypominającego niemal trans stanu. Rycerz wygnął ze swego umysłu myśli o cierpieniu. Takhisis zadrżała niepowstrzymanie, gdy przeszył ją ból.

Jej krzyk dosłownie wstrząsnął górami. Słyszano go w odległości wielu kilometrów. Cztery głowy zwróciły się na oślep ku źródłu męczarni. Piąta, niebieska, zwisała bezwładnie. Nie mogła już przydać się na nic. Takhisis uderzała szaleńczo pazurami. Bezskutecznie usiłowała wyrwać smoczą lancę z uchwytu, lecz wierzchowiec Humy nie zamierzał się cofnąć. Cztery pozostałe głowy usiłowały pochwycić srebrną smoczycę. Gwyneth.

Huma zdał sobie sprawę, że Królowa Ciemności nigdy dotąd nie czuła bólu.

Udręczona Takhisis atakowała ich zębami i pazurami. Huma nakazał Gwyneth się cofnąć. Z przerażeniem przekonał się, że lancy nic da się wyrwać. Srebrna smoczyca zaczynała obficie

krwawić. Rycerz zauważył, że pokrywa ją mnóstwo szarpanych, ociekających krwią ran. Jej wystrzępione skrzydła poruszały się powoli, a oddech stał się płytszy.

Królowa Smoków nie przestawała wrzeszczeć. Młóciła skrzydłami w górę i w dół. Uchwyt smoczej lancy wygiął się wyraźnie. Huma na próżno usiłował ją unieruchomić. Koniec drzewca wystrzelił nagle w górę, uderzając go mocno w bok głowy. Rycerz opadł na plecy, oszołomiony i krwawiący. Usłyszał, że coś się złamało. Podźwignął się z gigantycznym wysiłkiem i zobaczył, że z uchwytu pozostały jedynie drzazgi. Takhisis pozbawiła go lancy. Gdzie się podziała? - Hu... urno. - Gwyneth!

Pochylił się do przodu. Oddychała nieregularnie. Za każdym ruchem z jej paszczy kapiała krew. - Ona... ja... na dole. Nie... mogę... Jej skrzydła zamarły w samym środku ruchu.

Runęli w dół, ku stokowi góry. Wykrzyknął raz jej imię, nim spadli na ziemię. Potem poczuł, że jego ciało zostało wyrzucone z siodła. Wszystko pochłonęła noc.

Gdy się ocknął, świat był czerwony. Krew. Krew i ból. Miał wrażenie, że leży tu wiele godzin. Czuł szczypanie w przekrwionych oczach. Widział wszystko jak przez mgłę. Wyraźnie dostrzegał jedynie kontury. Wiatr nie przestawał zawodzić.

Nie mógł wyzwolić się od bólu, który przeszywał całe jego ciało. Ranna noga była odrętwiała. Huma z wielkim wysiłkiem dźwignął się do pozycji siedzącej.

Spróbował wstać na nogi, lecz runął twarzą do przodu na chłodną ziemię górskiego stoku. Jego umysł ponownie ogarnęły płomienie bólu.

Zaczął się czołgać. Nie widział żadnego śladu Gwyneth ani Królowej Smoków. Posuwał się naprzód centymetr za centymetrem.

Podczas tej mordęgi jego uwagę przyciągnęło coś leżącego nie opodal szczytu góry. Dłoń. Ludzka dłoń.

Nie był do końca pewien, gdzie znalazł rezerwy energii, zdołał jednak dowlec się do postaci spoczywającej w pobliżu wyniosłości. - Gwyneth.

Zmieniła kształt na ludzki. Rany pokrywające jej naturalną postać były nie mniej straszliwe. Jedna ręka leżała wykręcona pod tułowiem. Pobladała twarz była równie jasna jak srebrne włosy. Jej spazmatyczny oddech był urywany i chrapliwy. Raz za razem drżała niepowstrzymanie. Spomiędzy jej spękanych, krwawiących warg wyrwały się ciche jęki bólu przypominające zwierzęcy skowyt. Całe jej ciało pokrywały krwawiące szramy i ciemne siniaki. Było cudem, że żyła.

Usta Humy otworzyły się w bezgłośnym krzyku. Doczołgał się do jej boku, nie zważając na poranione, okrwawione dłonie oraz ból targający nieustannie jego wnętrznościami.

Gdy do niej dotarł, zauważył wreszcie, że kobieta w zdrowym ręku ściska lancę dla piechoty, jakby była ona samym życiem. Choć tak poraniona i pokiereszowana, Gwyneth ocaliła mniejszą smoczą lancę, wiedząc, że to jedyna broń, która może ich uratować, gdyby powróciła Królowa Smoków. Powtórzył jej imię. Coś zaryczało. Oczy kobiety otworzyły się szeroko. Spojrzała prosto w górę. - Huma? - Leż. Przyleci Kaz albo ktoś inny.

- Nie! Jej oczy zaszklily się łzami. - Takhisis! Nie możesz puścić jej wolno!

Rycerz podniósł wzrok. Za wzniesieniem coś się miotало. Coś olbrzymiego i cierpiącego straszliwy ból. Ponownie rozległ się ryk.

- Prędzej... - Gwyneth kaszlnęła krwią. - Prędzej czy później przemoże smoczą lancę. Musisz... musisz coś zrobić, zanim to się stanie. - Ale co? Huma ledwie mógł wesprzeć się na rękach.

- Weź to. - Wskazała na mniejszą smoczą lancę. - U... udało mi się ją ocalić. - Gwyneth złapała go nagle kurczowo. Czy jesteś ciężko ranny? Pozwól, niech ci pomogę!

- Zapomnij o mnie. Zapomnij o Królowej Smoków. Co się dzieje z tobą? Dlaczego masz ludzką

postać? Czy leczysz swe rany?

- To... to nieważne. Upadek tylko... przyśpieszył sprawę. Dziękuję Paladine'owi, że t... ty jeszcze żyjesz. - Nie mów nic więcej. Nie może być umierająca - pomyślał przerażony Huma. M... mogę ją ocalić, śmiertelniku!

Wiatr wydał się nagle lodowaty. Huma znieruchomiał w milczeniu, nim dotarł do niego sens jej słów. Jak? - pomyślał.

N...N... Ból! Nie jest jeszcze poza granicą mych możliwości! Uwolnij mnie o... od tego cierpienia, a z radością uzdrowię was oboje! Przysięgam na... na zaświat! Przysięgam, najwyższy boże!

Huma spojrzał w dół i zobaczył, że Gwyneth wpatruje się w niego intensywnie. Jej oddech był już słaby. - Co to jest? - Oferuje nam - tobie - życie. - W zamian za co? Zawahał się. - Za uwolnienie.

- Hu... - Gwyneth zakasłała niepoohamowanie. Zamknęła oczy. Przez chwilę rycerz obawiał się, że już po niej, lecz ponownie uchyliła powieki i wbiła w niego wzrok. - Nie możesz jej zabić. To jest niemożliwe. Nie możesz też jednak jej uwolnić. Cały Krynn zapłaciłby za jej obecne męczarnie. Moje życie nie... nie jest tego warte.

Przerwała. Wysiłek związany z mówieniem zużywał resztki sił, jakie jej pozostały.

Huma osłonił ją swym ciałem, by ostry wiatr nie uderzał w nią z pełną siłą. - Nie pozwolę ci umrzeć. - Nie masz żadnego wyboru. Uśmiechnęła się słabo.

- Nie możesz - Huma zająknął się, po czym wreszcie wypowiedział na głos to, do czego już dawno przyznał się przed sobą. - Kocham cię. Wstydzę się, że nie potrafiłem powiedzieć tego wcześniej. Nie chcę cię utracić. Jej twarz rozpromieniła się mimo straszliwych ran.

- Chcę... chcę, byś zapamiętał mnie taką, jaka jestem teraz... bo ta postać jest prawdziwa. To jako człowiek po raz pierwszy żyłam naprawdę. - Zaczerpnęła głęboki oddech. - Jako człowiek kochałam.

Jej dłoń opadła z jego ciała. - Umrę jako człowiek, wiedząc wreszcie, że... - Gwyneth zamknęła oczy, kiedy targnął nią spazm bólu. Huma podtrzymywał ją, gdy ogarnęły ją drgawki. - ...że...

Drżenie ustało. Rycerz rozluźnił uścisk. Oczy miała zamknięte. Jej martwe oblicze przybrało dziwnie pogodny wyraz. - Gwyneth? Śmieerteelniku! Nie jessst za późno! Huma złożył jej głowę na ziemi.

Zza wzniesienia na chwilę wynurzył się ogon. Potem zniknął. Niebo znowu pociemniało. Portal, brama Takhisis stanowiąca połączenie z Otchłanią, stał się zaledwie cieniem swego uprzedniego złowieszczonego majestatu. Wciąż jednak był na miejscu.

Huma złapał smoczą lancę i zaczął czołgać się w stronę wzniesienia. Robił to bezwiednie. Dręczyły go niejasne myśli o niespełnionych możliwościach. Nie przebywał już w terażniejszości. Nie zdawał sobie

nawet sprawy, że dotarł aż do szczytu, nim nie spojrzał na Królową Smoków.

Spoczywała nieco niżej, w kraterze utworzonym przez upadek jej cielska.

Huma leżał na szczycie przez dłuższy czas. Oddychanie przychodziło mu teraz z trudnością. Zdał sobie sprawę, że na pewno ma połamane żebra. Widoczny przed nim obraz raz za razem pojawiał się i znikał.

Zdołał jakoś dowlec smoczą lancę na szczyt i przenieść na drugą stronę, grotem do przodu. Lodowaty wiatr już mu nie przeszkadzał. Pomagał mu tylko rozjaśnić myśli i nie zapomnieć o stojącym przed nim zadaniu. Co... robisz?

Myśli Królowej Smoków zamigotały nagle w jego głowie. Był tak zaskoczony, że lanca omal nie wysunęła mu się z rąk i nie spadła w dół stoku. Przyciągnął ją z powrotem, i za jej pomocą dźwignął

się chwiejnie na nogi.

Trzymając smoczą lancę jak włócznię, Huma spojrział w dół, na miotającą się boginię.

Leżała na grzbiecie ze skrzydłami złożonymi niezgrabnie za tułowiem. Cztery pozostałe głowy usiłowały szaleńczo wyrwać smoczą lancę wciąż pograżoną w jej ciele. Broń sypała iskrami, gdy tylko się zbliżały. Raz za razem cofały się pod wpływem bólu. - Wysłuchaj mnie - powiedział Huma.

Z początku odpowiedziały mu tylko odgłosy szarpaniny oraz straszliwe zawodzenia bólu i wściekłości. - Wysłuchaj mnie - powtórzył. Śmiertelniku... czego chcesz? Olbrzymia smoczyca spróbowała się podnieść. Bez powodzenia.

- Jesteś pokonana, Takhisis, Królowo Smoków. Nieprawda! To niemożliwe!

- Twoje armie poniosły klęskę. Twój renegaci nie żyją bądź rozpierzchli się. Konklawe ich wytropi. W przyszłości takich jak oni będzie się obserwować z większą uwagą. Nigdy nie będzie drugiego Galana Dracosa.

Upłynęła kolejna chwila. Królowa Smoków wyraźnie usiłowała zapanować nad sobą. Czego chcesz, śmiertelniku?

- Równowaga musi być utrzymana. Bez dobra zło nie może rosnąć. Bez zła dobro pograża się w stagnacji. Wiem, że nie mogę cię zabić. Uwolnij mnie więc!

Huma zatoczył się do tyłu pod wpływem gwałtowności jej myśli. Smocza lanca omal nie wypadła mu z rąk. - Najpierw musisz się poddać. -

Wiatr uspokoił się. Niebo stało się dziwnie czyste. Blask słońca ogrzał ciało Humy. Portal już niemal nie istniał.

Królowa Smoków znieruchomiała całkowicie. Wyglądała niemal na... martwą. Huma odciągnął lancę od grani i pochylił się do przodu.

Smocza głowa, szmaragdowozielona, uniosła się nagle. Rycerz cofnął się zbyt późno.

Wytrysnął z niej gęsty, syczący strumień toksycznego, zielonego gazu, który ogarnął Humę, nim ten zdążył cokolwiek pomyśleć. Upadł na twarz. Tym razem lanca na dobre wypadła mu z dłoni i ześliznęła się w dół zbocza. Pechowy rycerz również osunął się ku Królowej Smoków. Krzyczał przy każdym uderzeniu w usiany głazami stok krateru.

Jeśli przedtem czuł ból, teraz zrozumiał, czym jest udręka. Nie przestawał krzyczeć, lecz nie umarł.

Jeszcze żyjesz! Czego potrzebujesz, by cię zabić? Jesteś tylko śmiertelnikiem! Mimo bólu, Huma roześmiał się.

- Należę do Paladine'a. Należę do Gwyneth. Żadne z nich nigdy ci mnie nie odda.

Huma podźwignął się. Kasłał. Ręce mu drżały. Wciągnął w płuca zbyt wiele gazu. Upadek pokiereszował ciało rycerza. Miał on tak gwałtowne zawroty głowy, że mógł co najwyżej zachować pozycję siedzącą. Wiedział, że mimo jego słów nie zostało mu zbyt wiele czasu. - Zbliżają się, Takhisis. Kto?

- Inne smocze lance. Ponad sto. Stukrotnie większy ból i udręka. Ja dałem ci szansę. Oni nie zechcą tego zrobić. Wiesz o tym. Nie mogą mnie zabić!

- Mogą cię skazać na wieczne męki. Nie mogą! Równowaga! Mówiłeś o niej!

- Co ich obchodzi równowaga? Powiedzą, że znacznie lepiej jest mieć pokój.

Nastąpiła długa przerwa. Huma zaczął już zamykać oczy, lecz zmusił się do otworzenia ich jeszcze ten jeden raz.

- Nie zdołasz uwolnić się przed ich przybyciem. Nawet jeśli umrę i tak cię dostaną. Bogini zdana na łaskę śmiertelników. Czego chcesz?

Najwyraźniej kontynuowanie rozmowy przychodziło jej z trudnością. Tylko jedna głowa nadal

spoglądała w kierunku Humy. Pozostałe trzy kołysały się niepowstrzymanie.

- Wycofaj się z Krynnu. Ja... - Wycofaj się natychmiast! Zgoda.

- Wycofaj też swe smoki. Nigdy już nie będą mogły przybyć na Krynn. Zabierz je ze sobą. Długa przerwa. - Przysięgnij, że to zrobisz - dodał. Zawahała się. Przysięgam. - Chcę usłyszeć, jak przysięgasz na to, co jest dla ciebie najświętsze. Oboje dostrzegli samotnego smoka, który przeleciał nad ich głowami, i usłyszeli znajomy Humie okrzyk jego jeźdźca.

Kaz. Głos mu drżał, a jego smok był wyraźnie zmęczony. Mimo to zatoczyli krąg w górze, gotowi się zbliżyć. - Masz już mało czasu, Królowo.

Przysięgam, że wyc... wycofam. - Skręciła się z bólu. Przez chwilę Huma pomyślał, że jej cielsko może go zmiażdżyć. Wycofam się z Krynnu razem z moimi dziećmi, dopóki świat pozostanie cały. Przysięgam na... Powiedziała to. Na zaświat. Na najwyższego boga.

Piorun wylądował tuż obok, zachowując czujność. Kaz, nie zważając na majaczącą postać ohydnej Królowej Smoków, pognął do boku Humy. - Zwyciężyłeś! Pokonałeś ją!

Minotaur zatrzymał się nagle. Jego twarz przybrała poważny wyraz. - Jestem twoim świadkiem, Humo. Za... zapamiętam to, jak pamiętam mych przodków.

Rycerz uciszył go spojrzeniem. - Kaz, musisz wyciągnąć smoczą lancę z jej ciała.

- Co? - Kaz podniósł się. Spojrzał na Humę tak, jakby ten postradał zmysły. - Uwolnić ją? Spustoszy wszystko! Zginiemy... jeśli będziemy mieli szczęście!

Huma potrząsnął głową. - Nie. Złożyła... przysięgę... Mogę... obiecać ci, że ona... - chciał zamknąć oczy - odejdzie. - Nie mogę! - Kaz - Huma skrzywił twarz. - Obiecałem jej.

To... kwestia honoru. Rozumiesz, co to jest honor. Powiadamy... powiadamy: Est Sularis Oth Mithas. W starym języku znaczy to: Mój Honor To Moje Życie.

Minotaur przeniósł wzrok z rycerza na boginię, która milczała teraz, drżąc z bólu. - Szybko. Lanca. Mój honor. Tamci... nie pozwolą ci. Minotaur poruszył - się z niechęcią. - Mój honor... - powiedział na w pół do siebie, skupiając wzrok na swym celu - ...to moje życie.

Głowy Królowej Smoków odchyliły się w kierunku Kaza, lecz tylko jedna - zdradziecka zielona - wpatrywała się w niego. Pozostałe kołysały się tylko w przód i w tył, jakby straciła nad nimi wszelkie panowanie.

Lanca tkwiła głęboko u podstawy szyi niebieskiej głowy. Z wielkim niesmakiem i niemąłą trwogą Kaz wdrapał się na grzbiet Takhisis, Królowej Ciemności. Głowa zielonego smoka wpatrywała się w niego uważnie.

Potężny wojownik parsknął pogardliwie w akcie szalonej zuchwałości. Wzdrygnął się, gdy wydało się, że głowa zaraz go zaatakuje, potem jednak wpatrzyła się ona z zawziętością w źródło cierpień Królowej.

- Bogowie - mruknął Kaz. Zaciśnął mocno usta, pomyślawszy o przysiędze. Dotarł do smoczej lancy. Złapał ją mocno i pociągnął.

Wysunęła się bez najmniejszego oporu. Kaz stracił równowagę i spadł z gigantycznego cielska, wciąż dzierżąc lancę w dłoniach. Powietrze wypełnił straszliwy, paralizujący umysł śmiech. Minotaur zatrzymał się, odwrócił i spojrzał... w górę.

Wisiała tam w całej swej piekielnej chwale. Rozpostarte skrzydła przesłaniały niebo. Wszystkie pięć głów spoglądało w górę i śmiało się. Ból, rany... wydawało się, że nigdy ich nie było.

Pięć straszliwych smoczych łbów spojrzało w dół na bezradnego, poturbowanego rycerza, a potem na minotaura, który ją uwolnił. Wszystkie oblicza uśmiechały się złośliwie. Firmament eksplodował płomieniami. Kaz był zmuszony zasłonić oczy.

Gdy otworzył je ponownie, na niebie nie było chmur. Słońce - dawno zapomniane słońce -

świeciło majestatycznie. Triumfalnie.

Słońce lśniło teraz jasno. Humie nie było już zimno, choć właściwie nie czuł też ciepła. Senność. To właśnie czuł.

Zdał sobie sprawę, że ma w otwartej dłoni medalion, który dostał od lorda Avondale'a. Twarz Paladine'a zaśniła jasno w promieniach słońca. Jej blask był zbyt intensywny. Huma zamknął oczy. Nie mógł zacisnąć dłoni na talizmanie. Nic nie szkodzi. Gdy słońce zacznie się przesuwac, zechce spojrzeć na niego raz jeszcze.

Jego myśli wróciły do Gwyneth i tego, co zrobią teraz, gdy wojna wreszcie się skończyła.

Rozdział trzydziesty drugi

- Świątynia. Niech ich kender przeklnie. Budują ci świątynię, choć pragnęłaś jedynie miejsca na spoczynek.

Kaz odwrócił konia od wspaniałego grobowca. Lord Oswal podzielał odczuwany przez minotaura niesmak do całej tej pompy, której Huma za życia nigdy nie lubił. Musiał jednak wziąć pod uwagę inne względy.

- Ludziom potrzebny jest bohater - wyjaśnił wielki mistrz z odrobinę niepewnym wyrazem postarzałej twarzy - a rycerstwu wzorzec, do którego mogłoby aspirować. Huma zapewnił obie te rzeczy.

Kaz zastanowił się, ile czasu upłynie, nim wszyscy zapomną o Humie albo zaczną traktować jego historię tak, jak inne legendy - jako jeszcze jedną opowieść. Ludzie, krasnoludowie, kenderzy i elfowie - wszyscy oni mieli tendencję, by z upływem czasu zapominać prawdę bądź upiększać ją. Nawet minotaurowie nie byli tu bez winy.

Przyjrzał się ścieżce przed sobą. Bennett mówił, że jest przekonany, iż w ciągu pięciu, sześciu lat równiny wrócą do stanu sprzed wojny. Kaz sądził, że potrzeba będzie raczej dziewięć lub dziesięć. Niemniej droga nadawała się do użytku, a tylko to się liczyło. Chciał odjechać jak najdalej, nim rycerze zauważą jego nieobecność. Było tak wiele rzeczy, których nikt z jego pobratymców dotąd nie widział. Qualinesti wydawało się interesujące. Elfowie mogli się okazać ciekawym doświadczeniem.

Dzień był jasny i ciepły. Kaz nie był do tego przyzwyczajony. Cieszył się, że zapakował wiele bukłaków. Dopóki nie pozna lepiej terenu, będzie musiał z uwagą oszczędzać zasoby.

Ciężki rumak, którego podarował mu lord Oswal, posuwał się szybko po szlaku. Zdewastowana ścieżka była bardzo nierówna, co sprawiało, że ekwipunek podskakiwał nieustannie. Sakiewka u pasa uderzała o prawy bok Kaza, co irytowało go tak, że w końcu ją odpiął. W środku metal zabrzęczał o metal.

Zatrzymał wierzchowca i sięgnął do mieszka. Wydobył stamtąd dwa przedmioty. Pierwszym była pieczęć ozdobiona z jednej strony znakiem rycerstwa. Na drugiej stronie wyryto imię Kaza, a także informację, że faktycznie jest on minoturem. Znak nad jego imieniem zaświadczał, że

pozostaje on pod opieką rycerzy solamnijskich. Kaz z początku drwił z tego, lecz wielki mistrz szybko zwrócił mu uwagę, że niewielu ludzi ma cokolwiek dobrego do powiedzenia o minotaurach. Opowieści o Humie, które zaczęły już krążyć, nie wspominały o Kazie. Wielu rycerzy nadal nie mogło się pogodzić z przyjaźnią legendarnego rycerza z istotą uważaną przez większość ludzi za zwierzę.

Kaz ostrożnie schował pieczęć z powrotem do sakiewki i przyjrzał się drugiemu przedmiotowi. Był to medalion Paladine'a, który wysunął się z martwej dłoni rycerza, gdy Kaz wsadził Humę na grzbiet Pioruna. Minotaur schował wtedy przedmiot do sakiewki i zapomniał o nim aż do tej chwili.

Słońce zaśniło w medalionie. Kaz ponownie popatrzył na niebo. Wszystko się zmieniało. Smoki

ciemności odeszły, lecz metaliczne również. Piorun oddalił się bez słowa, gdy dostarczyli już ciała. Od tej chwili nikt nie widział żadnego smoka.

Kaz kopnął lekko rumaka w boki. Podczas jazdy nie przestawał dotykać medalionu. Z początku przyszło mu do głowy, że mógłby go zatrzymać, by na zawsze zachować pamiątkę o spotkaniu z Huma. Teraz jednak nie był już taki pewien, że ma do niego prawo.

Medalion już był w połowie drogi z powrotem do sakiewki, gdy Kaz dostrzegł samotne drzewo po prawej stronie szlaku. Inne rosnące w pobliżu zostały wyrwane z korzeniami bądź uschły. Tylko to jedno zachowało ślad życia - nieliczne gałązki wypuszczające nowe liście.

Pod wpływem impulsu minotaur wyciągnął rękę i - gdy mijał drzewo - zawiesił medalion na gałęzi wznoszącej się nad skrajem dróżki. - Est Sularis Oth Mithas - mruknął.

Ponownie zwróciwszy wzrok ku ciągnącej się przed nim ścieżce, zmusił nagle wierzchowca do zwiększenia szybkości. Nie zwolnił aż do chwili, gdy drzewo i grobowiec już dawno zniknęły mu z oczu.